

ANTOLOGIA

SPOTKANIE W PRZESTWORZACH

TOM 7

Spis treści

Andrzej Augustynek - Atak 3

Andrzej Augustynek - Sport To Zdrowie 26

Andrzej Augustynek - Model 34

Marek Baraniecki - Głowa Kasandry? 79

Marek Baraniecki - Kalgoro, godzina 18.00 162

Marek Baraniecki - Teatr w dolinie ciszy 179

Eugeniusz Dębski - Przetarg 194

Eugeniusz Dębski - Życ Prawdziwym Życiem 203

Andrzej Drzewiński - Forsa 214

Andrzej Drzewiński - Pomagajmy sobie 245

Andrzej Drzewiński - Posłaniec 251

Adam Fierla - Bez Apelacji 263

Marek Hemmerling - Deneb III 282

Marek Hemmerling - Droga 307

Marek Hemmerling - W Poszukiwaniu Własnego Końca 317

Małgorzata Kondras - Eksperyment 336

Małgorzata Kondras - Jeszcze Jedna Pani Smith 341

Małgorzata Kondras - Wszystkie Zgubione Przedmioty 354

Andrzej Augustynek - Atak

Akcja, którą jutro przeprowadzimy, ma zupełnie specyficzny charakter. Sposób jej wykonania, liczba osób w nią zaangażowanych, różnorodność zastosowanych środków czyni ją zupełnie wyjątkową. Plan ataku jest opracowany bardzo dokładnie. Wszystkie operacje są zsynchronizowane co do sekundy.

Celem ataku jest ośrodek badawczy zagranicznej firmy, która wydzierżawiła od naszego rządu kawałek wyspy i zbudowała na nim silnie strzeżony obiekt. Prace tam prowadzone są dla naszego rządu całkowicie nieznane. Różne, najdziwniejsze plotki krążą na ten temat. Prośba naszego rządu o zgodę na wizytację obiektu została odrzucona. Oficjalne oświadczenie firmy jest bardzo enigmatyczne. Twierdzą, że pracują nad nowymi technologiami przemysłowymi. Ale nad jakimi i z jakiej dziedziny - tego nie można już od nich wyciągnąć.

Z terenu wyspy prowadzi się szczegółową i ciągłą obserwację obiektu. Niestety, jej jedynym efektem jest stwierdzenie, że obiekt jest niezwykle starannie strzeżony. Liczna załoga w ogóle nie wychodzi na zewnątrz. Wszystkie ładunki przywożone są w szczelnie zamkniętych kontenerach. Wywożone są w taki sam sposób.

Jest więc zrozumiałe, że służby wywiadowcze naszego rządu darzą obiekt i samą firmę szczególnym zainteresowaniem. Poza obserwacją przeprowadzono liczne zwiady lotnicze połączone ze szczegółowym filmowaniem. Dokonano też licznych wstrzeleń na teren obiektu miniaturowych aparatów podsłuchowych. Usiłowano, zresztą bezskutecznie, przedostać się na teren bazy. Równie mało dała inwigilacja firmy w jej siedzibie. Wszystko, co wiemy, da się streścić w kilku zdaniach. W firmie zatrudnieni są liczni wybitni naukowcy najrozmaitszych dziedzin. Są wśród nich fizycy, biolodzy, a nawet psychologowie. Podpisali oni wieloletnie kontrakty na pracę bez prawa opuszczania terenów firmy. Nawet urlopy spędzają w ośrodkach wypoczynkowych firmy, nawiasem mówiąc równie atrakcyjnych, jak i pilnie strzeżonych.

Podnoszę wzrok znad notatek i, mówiąc dalej, patrzę na moich słuchaczy. Siedzą na krzesłach w różnych pozach. Pochyleni, wyprostowani, jedni patrzą na mnie z uwagą, inni z wyrazem znudzenia ostentacyjnie ziewają. Ale wszyscy milczą. Pewnie większość z nich przelicza w myślach pieniądze, które na akcji już zarobili i te, które mogą zarobić, oczywiście jeżeli przeżyją. A ilu z nich przeżyje? Każdy z nich wierzy w swoją szczęśliwą gwiazdę. Są wśród nich byli wojskowi, dawni przestępcy, desperaci. Łączy ich jedna cecha: są znakomitymi specjalistami w swoim fachu.

- Biorąc to wszystko pod uwagę nasz sponsor postanowił sfinansować akcję. Waszym zadaniem jest zdobycie obiektu. Naszym, to znaczy grupy naukowców, zdobycie i zabezpieczenie dokumentacji prowadzonych tam prac. Jak już was uprzedzono, po obu stronach mogą być ofiary. Ci, którzy przeżyją, oraz rodziny tych, którzy polegną, mają zabezpieczony dostatni byt. Ale pamiętajcie, jeżeli dostaniecie się do niewoli - jesteście członkami terrorystycznej organizacji. Rząd waszą akcją potępi, wdroży energiczne, acz bezowocne śledztwo.

Teraz przejdę do omówienia systemu obrony bazy. Według opinii sztabu akcji załoga obiektu nie spodziewa się zmasowanego ataku. Nastawiona jest raczej na pilnowanie, aby na jej teren nie dostał się ktoś niepowołany. Uważamy też, że teren wewnątrz bazy nie jest zaminowany, ani też baza nie jest zdolna do samozniszczenia.

Obiekt otacza betonowy mur. Wewnątrz znajduje się dziesięciometrowej szerokości pas zaoranej ziemi, a dalej wysokie na pięć metrów zaskieki z drutów pod wysokim napięciem. Nad zaskiekami

rozlokowano dziesięć wież strażniczych oraz system reflektorów dużej mocy. Wewnątrz zasieków rozciąga się pas trawy o szerokości 25 metrów. Na nim zlokalizowano szereg budynków zaplecza. W środku stoi centralny obiekt, którego kopuła ma 100 metrów średnicy.

Stacja zasilana jest w energię elektryczną systemem podziemnych kabli łączących ją z sześcioma punktami krajowej sieci energetycznej wysokiego napięcia. Pozwala to im wyeliminować groźbę utraty dopływu prądu na skutek awarii sieci przemysłowej. Pobór mocy sięga 90 megawatów. Stacja posiada awaryjny generator prądotwórczy. Według naszych ocen jego moc nie przekracza dziesięciu megawatów. Uruchamia się on już po pięciu sekundach od wyłączenia prądu płynącego z sieci. Pełną moc uzyskuje po dwudziestu sekundach. Do wnętrza obiektu prowadzi wyłącznie centralna brama. Otwierana i zamykana jest elektrycznie. Stacja jest zbudowana tak solidnie, że wykluczony jest skuteczny atak przy użyciu konwencjonalnych bomb.

Jeżeli przełamiemy opór na zewnątrz, stanie przed nami problem opanowania wnętrza obiektu. Tu możecie polegać wyłącznie na swoim doświadczeniu.

A teraz o samym ataku. Jest on przygotowywany od dawna. Pierwszym jego etapem było prawie dwuletnie przyzwyczajanie załogi obiektu do dużego ruchu turystycznego na wyspie. Codziennie rano najpierw dwa statki, a następnie dwa transportowe śmigłowce przywożą kilkuset turystów, których rozwozi się po wyspie czterema autokarami. Wszystko to dzieje się w bezpośredniej bliskości murów bazy. Turyści ubrani są w kolorowe kamizelki i kaski biura turystycznego. Będziecie ubrani w takie same. Jednak w waszym przypadku będą one kuloodporne.

Jutro o godzinie 7.40, jak co dzień, autokary z turystami, czyli wami, przejeżdżać będą koło bazy. Równocześnie nadlecą dwa śmigłowce.

O godzinie 7.40 zostanie wyłączony prąd w całym regionie. Przez to stacja zostanie całkowicie pozbawiona energii. Wtedy zacznie się zasadnicza część akcji. Z ukrytych w wiosce punktów rozpocznie się ostrzał bazy nabojami z gazem paralizującym. Pasażerowie autokarów ubrani w maski przeciwgazowe przystąpią do forsowania murów i zasieków oraz eliminowania obrony bazy. W tym czasie z pierwszego śmigłowca zbombardowany zostanie generator, na szczęście dla nas, zlokalizowany na powierzchni siedem metrów od centralnej budowli. Z pokładu drugiego śmigłowca zrzucana zostanie skacząca bomba, która zniszczy centralną bramę. W dwudziestej sekundzie akcji z pokładów śmigłowców rozpocznie się desant spadochronowy.

W trzydziestej sekundzie akcji nasi komandosi mają już być wewnątrz centralnej budowli.

W tym też czasie, stacje naziemne zakłócą bazie łączność radiową. Odcięta zostanie też w pierwszej sekundzie akcji łączność telefoniczna i teleksowa bazy ze światem.

Żaden sygnał o ataku nie może opuścić bazy. Przez kilka godzin będziemy mogli wykonać zadanie. Zajmie się tym grupa naukowców. Wy rabujcie złoto, pieniądze, biżuterię, tak by upozorować rabunkowy charakter akcji.

Jeżeli akcja się nie powiedzie i któryś z was dostanie się do niewoli, mówicie, że akcję przeprowadzono w celu zdobycia jednej tony złota, którą rzekomo przywieziono do bazy. Zresztą jest faktem, że firma zarządzająca celem naszego ataku kupiła ostatnio duże ilości złota.

Aby uprzedzić ewentualne pytania, kończąc, chcę jeszcze powiedzieć o dwóch sprawach. Pierwsza - nie jestem zorientowany, czy sponsor podał wszystkie powody, które go skłoniły do sfinansowania naszej akcji. Druga - każdy element pierwszych trzydziestu sekund akcji setki razy wykonywaliście na ćwiczeniach. Potem musicie korzystać z własnego doświadczenia. Oczywiście obowiązuje was zakaz niszczenia aparatury i materiałów naukowych. To wszystko. Teraz macie czas wolny. A jutro o piątej rano ogłaszam pełną gotowość do akcji.

Zbyt dużo na raz się dzieje. Atak na mury, atak spadochronowy, przed chwilą skacząca bomba rozbiła główną bramę. Przytłoczyło mnie to wszystko. Może dlatego nie bałem się wyskoczyć na spadochronie. Byleby tylko dobrze wylądować. Jest skrawek trawy. Nawet gładko poszło. Szybko odpiąć kłamry spadochronu. Tu nie jest bezpiecznie. Opór jeszcze trwa. Już blisko wyrwa w bramie. Nasi komandosi wpadają przez nią. Wbiegam do tunelu. Z przodu słychać pojedyncze strzały i jakiś cichy pulsujący dźwięk. Biegnij dalej. Rozwidlenie tunelu. Tor kolejowy i droga. Droga. Z przodu słyszę wybuch. To pewnie nasi. Brakuje mi tchu. Zwolnij trochę. Ta cholerna maska przeciwgazowa bardzo utrudnia oddychanie. Koniec korytarza. Znowu wyrwa. Strzały milkną. Syk gazu paraliżującego. Jest dobrze! Nasi działają z precyzją szwajcarskiego zegarka. Możesz zwolnić. Pierwsze pomieszczenia. Ciekawe, co w nich jest. Pewnie jakieś magazyny. Coraz częściej mijam leżących, obezwładnionych gazem, pracowników stacji. Udało się! Stacja opanowana. Nasi sprawdzają poszczególne pomieszczenia. O, jest i tablica informacyjna. Sekcja energetyczna i zaplecze techniczne na lewo. Na wprost część mieszkalna i socjalna. Na prawo sekcja kontroli stacji i laboratoria. W takim razie w prawo. Mam szczęście. Już na trzecich drzwiach tabliczka Pracownia Psychologiczna. Wchodzę. Znajome aparaty. Nic szczególnego. Jest i regał z dokumentacją. Teczki pedantycznie oznakowane i ułożone. Ta może być interesująca: Zdalne sterowanie ludźmi.

To, co znalazłem, jest niezwykle ciekawe. Sterowanie człowiekiem na drodze pobudzania ośrodków nerwowych przez wszczepione elektrody oraz chemiczna stymulacja zachowań agresywnych.

Rozlega się straszliwie głośny dźwięk. Aż mnie przygięło. Zatykanie uszu niewiele pomaga. Dźwięk jest nie tylko głośny, ale i pulsujący. Nie mogę zebrać myśli, a co dopiero pracować. Ale co to? Zrywa się wiatr?! Skąd tutaj wiatr? A jeżeli jest to przewietrzanie stacji? Czyżby opór jeszcze się nie skończył? Nie mamy więcej naboju z gazem paraliżującym. Czas się wycofać. Przerażliwy dźwięk nie cichnie, ale staje się mniej dokuczliwy. Tworzy melodyjny ciąg. Korytarz pełen naszych ludzi zatykających rękoma uszy. Idą jak pijani.

- *Jesteś zmęczony, bardzo zmęczony!*

Co to za głos? Wyraźnie przebił się przez ten ogłuszający dźwięk.

- *Jesteś bardzo zmęczony, twoje ruchy stają się coraz wolniejsze, wolniejsze. Zmęczenie staje się trudne do przewyciężenia, wszystkie mięśnie rozluźniają się, chcesz odpocząć.*

Mam ochotę usiąść, z trudem podnoszę nogi. Rzeczywiście ogarnęło mnie zmęczenie.

Zastosowali hipnozę zbiorową! Muszę się przeciwstawić! Najlepszy sposób to każdą sugestię odrzucać wmawiając sobie, że jest odwrotnie. Jesteś wypoczęty. Nie zwracam uwagi na głos dochodzący z zewnątrz. Ten głos mnie nie dotyczy.

Udaje mi się przeciwstawić sugestiom. Ostatecznie jestem naukowcem zajmującym się właśnie hipnozą.

- *Ogarnia cię zmęczenie nie do przewyciężenia, oczy są bardzo zmęczone, powieki pieką. Z najwyższym wysiłkiem poruszasz się. Każdy ruch sprawia ci przykrość. Chcesz odpocząć.* - Ogłuszający dźwięk cichnie. Głos staje się przytłumiony. Towarzyszy mu cichy dźwięk, który już nie drażni a raczej uspokaja. - *Ogarnia cię spokój, mięśnie masz rozluźnione, ruchy stają się coraz wolniejsze.*

Udało mi się obronić przed wpływem sugestii. Teraz Szybko do wyjścia. Mijam ślaniających się komandosów. Broń już porzucili. Całkowita klęska! A co na zewnątrz? Niestety, zwłoki naszych porzrzućane po terenie całej bazy. Na murach strażnicy. Nie słychać żadnych strzałów. Widzę, jak strażnicy metodycznie przeszukują teren. Słyszę jęk. Jeden z naszych jest ranny. Podchodzi do niego ktoś z załogi bazy. Jest bez hełmu. Tylko na głowie, przy uchu, ma jakieś urządzenie. Podnosi broń. Strzela w głowę komandosowi. Ależ okrucieństwo! Tymczasem strażnik odwraca się obojętnie i idzie dalej. Co robić? Z powrotem do tunelu!

- *Ogarnia cię senność. Oczy masz zamknięte, wypoczywasz. Jest ci dobrze, ciepło, jesteś spokojny. Słuchasz tylko mojego głosu. Nic innego nie jest już ważne dla ciebie. Będziesz wykonywał polecenia, które ci przekażę. A teraz śpij i wypoczywaj. Jesteś bardzo zmęczony. Czujesz w głowie narastający szum.*

Na korytarzu leżą nasi komandosi. Jedni wyprostowani, drudzy skuleni, między nimi porozrzucana broń. Co robić? Jedyne szansa to udawać, że też jestem zahipnotyzowany. A co dalej - zobaczymy. Powoli kładę się na ziemi. Być może obserwują rozwój wydarzeń. Udaję, że zasypiam. Na wszelki wypadek położyłem się w pobliżu pistoletu maszynowego. Przymykam powieki.

- *Śpisz, jest ci dobrze, ciepło, wypoczywasz.* - Głos monotonicznie powtarza sugestie.

W końcu korytarza pojawiają się jacyś uzbrojeni ludzie. Powoli zbliżają się do nas. Spod przymkniętych powiek widzę, że ich ruchy są wolne. Każdy ma przy uchu takie samo urządzenie, jakie widziałem u strażnika na zewnątrz. Po przeciwnej stronie korytarza jakiś ruch. Powoli kieruję wzrok w tamtą stronę. Następna grupa strażników. Jesteśmy otoczeni, chociaż w naszej sytuacji nie ma to już żadnego znaczenia.

- *Już długo odpoczywałeś. Twoje zmęczenie ustąpiło. Za chwilę będziesz mógł otworzyć oczy, będziesz mógł chodzić nie budząc się ze snu, w jakim się znajdujesz. Będziesz wykonywał dokładnie wszystkie polecenia, jakie ci przekażę. A teraz powoli otwórz oczy.*

Strażnicy stoją nad nami. Każdy z nich ma na piersi numer. A urządzenie na głowie to jedna słuchawka kabłąkiem trzymająca się głowy. Numer jest chyba przylepiony. A ubrani są różnie. Każdy z nich inaczej. Może to moja szansa? Tylko spokojnie!

- *Otworzyłeś oczy. Teraz wstań i powoli idź w kierunku, który wskazuje strzałka świecąca na suficie korytarza.*

Powoli podnoszę głowę. Na suficie rozblęsnęła strzałka. Jej światło migocze w takt pulsacji dźwięku. Moi towarzysze powolnym krokiem zaczynają iść w nakazanym kierunku. Otaczają nas strażnicy. Przyglądam się im ukradkiem. Oni też są zahipnotyzowani. Ale steruje się nimi w odmienny sposób. To urządzenie koło ucha to odbiornik, przez który podawane są sugestie. Każdy strażnik ma numer, czyli prawdopodobnie sugestie podawane są indywidualnie. Zdalnie sterowane roboty!

Idziemy wolnym krokiem. Korytarz kończy się masywnymi drzwiami. Bezszelestnie otwierają się przed nami. Tu nasi nie dotarli. Wdarli się tylko do niewielkiej części stacji. Za drzwiami stoi kilku ludzi. Każdego z jeńców pobieżnie rewidują. Zabierają im metalowe przedmioty. Z jednego zdjęli przewieszony przez ramię pistolet maszynowy. Mnie parę razy dotknęli nic nie zabierając, ale też niczego nie miałem przy sobie.

Zbliżyliśmy się do jakiegoś pomieszczenia. Otwierają się drzwi. Widzę, że pomieszczenie wypełnione jest małymi celami. Kątem oka spostrzegam, jak jeden z naszych potyka się i przewraca. Uderza głową o posadzkę. Chwilę leży nieruchomo. My idziemy dalej. Nad leżącym nachyla się strażnik i w tym momencie komandos podnosi głowę. Z czoła cieknie mu krew. Rozgląda się półprzytomnie. Niezgrabnie wstaje. W jego oczach pojawia się zdziwienie, a później przerażenie.

- *Co, co to jest, gdzie idziemy?!*

Widzę, że jest jeszcze oszołomiony upadkiem.

- *Ratunku!* - krzyczy i rzuca się do ucieczki.

Strażnik wolnym ruchem podnosi pistolet i strzela. Biegący upada. Zaczynam działać. Takie zamieszanie może być moją ostatnią szansą. Jedną ręką szarpie za odbiornik idącego obok strażnika. Zrywam mu go z głowy i błyskawicznie nakładam na swoją. W tym czasie drugą ręką odrywam numer z piersi strażnika i przykładam go do swojej. Zaskoczony strażnik zachwiał się. Ale już ręką sięga po pistolet włożony za pasek od spodni. Jestem szybszy. Wyrывam mu pistolet i odskakuję. Przed sekundą

padł strzał i zginął mój towarzysz, który na skutek upadku zbudził się ze snu hipnotycznego. A ja w głośniku słyszę głos:

- *Szesnasty strzelaj natychmiast.*

Podnoszę pistolet i strzelam prosto w serce. Kula odrzuca strażnika na ścianę, wyrwa kawał mięsa wielkości talerza. Krew obficie wytryskuje z rany. Strażnik pada na ziemię. Dobra broń do walki w tłumie. Pocisk nie przebija na wylot, tylko zostaje w ciele ofiary.

Rozlega się na nowo ten okropny dźwięk. Towarzyszy mu głos:

- *Jesteś znowu spokojny, nie zwracasz uwagi na odgłosy dochodzące z otoczenia, słuchasz tylko mojego głosu. Jesteś spokojny. Chcesz słuchać mojego głosu i wykonywać polecenia, które ci przekażę. Wejść do pomieszczenia przed sobą. Idź wzdłuż tych malutkich pokoi. Wejść do pierwszego wolnego. Połóż się na leżance. Tam odpoczniesz. Będzie ci dobrze. Będziesz szczęśliwy.*

Moi towarzysze powoli znikają w celkach. Drzwi automatycznie zamykają się za nimi. Już na oko widać, że gołymi rękami tych drzwi się nie wyłamie. Po chwili w pomieszczeniu zostają tylko strażnicy i ja.

- *Dziękuję za dobrze wykonaną robotę. Teraz udacie się na posiłek, a później odpoczniecie. Przechodząc obok magazynu oddacie broń.*

Strażnicy odwracają się i wychodzą z pomieszczenia.

Będę grał rolę zahipnotyzowanego strażnika. Ale co teraz robić? Gdzie iść? Czy uda mi się dobrze odegrać tę rolę? Nie znam zupełnie stacji. Znam natomiast prawidłowości hipnozy. To moja szansa. Staram się iść w środku grupy. Idziemy w całkowitym milczeniu. Krok za krokiem. Korytarz wydaje się nie mieć końca. Pełno różnych pomieszczeń. Mijamy jeszcze jedno automatycznie otwierane drzwi. Nie, stąd nie ucieknę.

Z boku, na wysokości mojego nosa, przesuwa się taśmociąg. Strażnicy kładą na nim pistolety. Robię to samo. Idziemy dalej. Stołówka. Automatyczne koryta. Obok nich miejsca do siedzenia. Strażnicy siadają. Widzę wolne miejsce. Siadam. Po chwili staje nade mną inny strażnik. Usiłuje sięść na zajęty już przeze mnie miejscu. Powoli się podnoszę. Słyszę głos:

- *Szesnasty pomyliłeś miejsca. Idź na swoje.*

Ile takich pomyłek jeszcze popełnię? Wstaję i spostrzegam, że na siedzeniu jest numer 325. Idę. Widzę wolne miejsce z numerem 436.

- *Szesnasty idziesz w złą stronę. Idź na swoje miejsce!*

Zawracam. Idę wzdłuż szeregu zajętych miejsc. Po chwili widzę wolny numer 16. Siadam. Koryto wypełnia się jakimś kleikiem.

- *Zaczynasz jeść to wyborne jedzenie. Rzeczywiście jest znakomite. Masz wielki apetyt.*

Strażnicy nachylają się. Jedzą jak psy. Robię to samo, choć smak jest okropny.

- *Skończyłeś jeść.*

Przez koryto przepływa silny strumień ciepłej wody. Zmywa resztki jedzenia. Po chwili koryto znów wypełnia się, tym razem jakąś jasnobrazową cieczą.

- *Jesteś spragniony. Pij ten wyborny, orzeźwiający napój...*

- *A teraz wstań i idź do swojego pokoju.*

Wstajemy. Przechodzimy przez korytarz. Na jego końcu napis: Pomieszczenia mieszkalne. Tym razem od razu spostrzegam, że celki są ponumerowane. Wchodzę do numeru 16. Z boku materac, obok W.C. i prysznic. U góry oko soczewki. Na pewno kamery. Drzwi zamykają się. Na wszelki wypadek stoję nieruchomo. Tym razem głos dochodzi gdzieś spod sufitu.

- *Odłóż słuchawkę na półkę.*

Na szczęście jest tylko jedna.

- *Rozbierz się do naga. Szesnasty, zapomniałeś złożyć ubranie.*

Racja, rozebrałem się, ale zapomniałem złożyć ubranie. Składam je. Mimo zdenerwowania staram się robić to powolnymi, spokojnymi ruchami.

- *Załatw teraz swoje potrzeby wydalnicze...*

- *Idź pod prysznic.*

Woda włącza się automatycznie. Najpierw są to mydliny, później czysta woda. Stoję nieruchomo pod prysznicem. Zaczyna dmuchać ciepłe powietrze.

- *Idź spać, jesteś bardzo zmęczony. Będziesz spał dotąd, dopóki nie zbudzę cię swoim głosem.*

Czekają mnie ciężkie chwile, i jak długo nie rozpoznają we mnie intruza?

Minęły trzy dni. Nadal skutecznie gram swoją rolę. Coraz mniej popełniam błędów. Coraz lepiej poznaję zwyczaje panujące w bazie. Pracujemy kilka godzin dziennie przy usuwaniu zniszczeń spowodowanych atakiem. Jest to praca prosta, nie wymagająca specjalnego wysiłku. Trzeba przyznać, że dbają o nas. Kilka godzin dziennie spędzamy na świeżym powietrzu opalając się. Jednak cały czas strażnicy pozostają pod wpływem hipnozy. W grupie strażników, czy też aktualnie raczej robotników, dochodzi do pewnych rotacji. Kilka razy widziałem, jak jeden z nich niespodziewanie wstawał od jedzenia i wolnym krokiem szedł w kierunku, który wskazywała mu strzałka pojawiająca się na suficie. Inni na nią nie reagowali. Po chwili człowiek ten zniknął i już się nie pojawiał. Co się z nim dalej działo? Nie wiem, ale przypuszczam, że robili z nim jakieś doświadczenia. Na zwolnione miejsce przychodził następny człowiek. W jednym z nich rozpoznałem naszego komandosa. Wynika z tego, że jedynym rezultatem naszego ataku było dostarczenie do bazy nowych robotników. Jak oni to robią, że do każdego z nas docierają indywidualne sugestie? Ile musi być ludzi zajmujących się tym? A może sterowanie jest komputerowe? Opracowany jest tylko ogólny program, który następnie komputer realizuje już w formie zindywidualizowanej.

Z początku bardzo mnie męczyło ciągłe uważanie, aby nie wypaść z roli, którą odgrywam. Teraz już przyzwyczałem się do tego. Sugestie realizuję niemal mechanicznie. A przecież nie jestem zahipnotyzowany. Co dalej mnie czeka? Co czeka innych? Ciągła hipnoza powoduje nieodwracalne zmiany w psychice człowieka. Czemu to wszystko służy. Czy tylko otrzymaniu bezwolnych ludzkich automatów? Czy też jest to część większego programu naukowego?

Ubierasz się i idziesz do pracy, która sprawia ci tyle przyjemności. Skończyło się opalanie. A szkoda, słońce tak pięknie przygrzewa. Idę w towarzystwie ośmiu robotników. Strzałka kieruje nas w nową dla mnie część stacji. Idziemy przez długi, kręty korytarz. Po drodze mija nas kilku pracowników stacji. Jak zwykle ubrani są w niebieskie fartuchy. Nie zwracają na nas uwagi. Dotąd widziałem ich kilkudziesięciu. Nigdy nie zaszczycili nas nawet jednym spojrzeniem. Nie lekceważą nas. Jesteśmy im całkowicie obojętni.

W połowie korytarza stoi człowiek w niebieskim fartuchu i o dziwo z uwagą nam się przygląda. A nawet, jeżeli z tej odległości można ocenić, uśmiecha się do nas. Ale czy to możliwe?! Czuję jak w ustach robi mi się sucho, serce przyspiesza bicie, ogarnia mnie przerażenie. Przecież to jest docent Ryan, z którym przed trzema laty byłem na kongresie w Paryżu! Jest on jednym z najlepszych specjalistów od hipnozy. Co będzie, jeśli mnie pozna? Nie mogę zdradzić się żadnym niepotrzebnym ruchem. Idę równym krokiem. Nie patrzę w jego stronę. Mijam go. Może się uda.

- *Cześć.*

Odwracam się do niego. Podnoszę wzrok. Na jego twarzy dalej tkwi dobroduszny uśmiech.

- *Cześć - odpowiadam. A więc specjalnie na mnie tu czekał!*

- Wierz mi, gdy zobaczyłem cię na ekranie, oczom nie wierzyłem. Ale masz moje uznanie. Znakomicie odgrywałeś rolę zahipnotyzowanego. Teraz chodźmy do mnie. Wspólnie pomyślimy co dalej.

Nie odpowiadam. Idę za nim. Wchodzimy do jakiegoś pomieszczenia.

- Siadaj i odpręż się. Na pewno kosztowało cię to sporo nerwów.

Siadamy w wygodnych fotelach. Ryan podnosi słuchawkę telefonu. Naciska klawisze.

- Proszę przygotować pomieszczenie mieszkalne dla docenta Ostiridisa... Tak, jest moim kolegą i prawdopodobnie będzie współpracownikiem... Tak, szef wie... Inne sprawy załatwimy później.

Pamięta nawet moje nazwisko. Mówi o współpracy. Czemu nie. To jeszcze jedna szansa na przeżycie. Z czasem może uda się uciec, a jeżeli nie, to będę żył i pracował w moim, choć na pewno wynaturzonym tutaj, zawodzie.

- Znasz swoją sytuację. Przez trzy dni wiele mogłeś zrozumieć. Stacji nie opuścisz nigdy. Jedyne rozsądne wyjście to praca ze mną. O innych na razie nie mówmy. Stawiam sprawę jasno. Więc zgoda?

- Zgoda.

- Bardzo się cieszę.

- A co będę robił?

- Prowadził badania naukowe. Oczywiście pod ścisłym i stałym nadzorem.

- Mogę znać cel tych badań?

- Będzie czas podyskutować i o tym. Ale na wstępie ustalmy jedno. Możemy rozmawiać o wszystkim, tylko nie o etycznej stronie tego, co tu robimy. Niech ten problem dla ciebie nie istnieje. Lojalnie cię uprzedzam, że każde twoje słowo, każdy twój ruch, zresztą jak każdego z nas, jest rejestrowany.

Otwierają się drzwi. Wchodzi młoda dziewczyna. Na głowie też ma odbiornik. Więc i ona. W rękę niesie odzież.

- Przebierz się, a następnie idź z tą damą, zaprowadzi cię do twojego pokoju. Nie bądź zbyt agresywny wobec niej i nie zapomnij wcześniej zdjęć jej słuchawki z głowy.

- Do zobaczenia.

- Cześć.

Przebieram się. Trochę się wstydzę tej zahipnotyzowanej dziewczyny. Gdy kończę ubieranie, moja przewodniczka wstaje i bez słowa wychodzi. Idąc za nią uświadamiam sobie, że nie usłyszałem ani jednego słowa wypowiedzianego przez zahipnotyzowanych.

Nie sądziłem, że kiedyś będę robił takie próby na ludziach. Cała moja etyka wzięła w łeb. Początkowo, to co robiłem, budziło we mnie odrazę i sprzeciw. Z czasem jednak wciągnęło mnie. To, co robimy, jest od strony poznawczej pasjonujące. Przedmiotem badań jest nie tylko hipnoza, ale również sterowanie człowiekiem przy pomocy elektrod implantowanych w mózgu. Efekty są zdumiewające. Sterowany człowiek na rozkaz bez wahania zabije innego, a nawet samego siebie. Podejmie ciągłą pracę ponad siły. Zużyje wszystkie rezerwy biologiczne i nawet nie zaprotestuje. Przydzielili mi określone zadanie. Mam rozpracować zagadnienie wpływu długotrwałego zahipnotyzowania na psychikę człowieka. Badam ludzi, którzy byli zahipnotyzowani bez przerwy od kilku do kilkunastu miesięcy. Skutki są przerażające. W przeważającej części tych ludzi nie da się już odhipnotyzować, to znaczy przywrócić do normalnego funkcjonowania. Po zastosowaniu nawet najlepszej procedury wyprowadzającej ze stanu hipnozy są jedynie bezwolnymi kukłami, niezdolnymi do podjęcia jakiegokolwiek samodzielnego działania. Pamięć z poprzedniego okresu życia mają silnie osłabioną. Wspomnienie o bliskich nie wywołuje u nich żadnego zainteresowania. Zapytani, czego pragną najbardziej, milczą. Czekają jedynie na polecenia, które tak jak pod hipnozą, bez wahania wykonują. Pozostawieni sami sobie odczuwają narastający lęk. W kilku przypadkach popełnili samobójstwo. U wielu innych wystąpiła ostra psychoza.

Jedynym dla nich ratunkiem jest ponowne zahipnotyzowanie. Ratunkiem dla ich ciała, gdyż psychika już wcześniej uległa doszczętnemu rozbiciu. Żadne metody terapeutyczne nie mogą im pomóc. Jakże to monstrualny dowód słuszności mojej tezy o szkodliwym wpływie hipnozy na funkcjonowanie psychiki. A byłem krytykowany, gdy twierdziłem, że zastosowanie hipnozy w leczeniu może przynieść większe straty niż korzyści. Nie spodziewałem się też, że pod hipnozą można uzyskać taki wpływ na organizm człowieka. Można zatrzymać akcję serca. Można znieść odczuwanie największego bólu.

O pracach psychologiczno-medycznych prowadzonych na terenie bazy wiem już prawie wszystko. Ale przed naszym atakiem mówiono, że na terenie obiektu znajdują się fizycy i astronomowie. Co oni tu robią? Spróbuję o to zapytać.

- Słuchaj, czy my jesteśmy jedyną grupą badawczą, która tu pracuje?

Podnosi na mnie zdziwiony wzrok. Ale bez wahania odpowiada.

- My jesteśmy tylko dodatkiem. Wykorzystujemy wolne pomieszczenia poziomu pierwszego. Pod nami, na poziomie drugim, pracują fizycy i astronomowie. Dla nich zresztą powstała ta baza.

- Co oni tam robią?

- Pamiętaj, obowiązują nas dwie zasady. Pierwsza, że żadnej informacji nie można wynieść na zewnątrz bazy. Druga, że wymiana informacji dokonuje się tylko w obrębie danego poziomu. Jeżeli interesuje cię to, co oni tam robią, możesz zawsze tam zjechać. Ale nie ma wtedy powrotu na poziom pierwszy.

- Można tak po prostu zjechać?

- Tak, windą, jeżeli chcesz, to pokażę ci, gdzie ona jest.

- Czy oni wychodzą na zewnątrz?

- Nie. Wszystko jest im dostarczane z góry. Nawet dziewczęta. A i światło słoneczne mogą zobaczyć tylko przez otwór w kopule obserwacyjnej. Porozumiewać się mogą z nami telefonicznie. Mogą oni, ale nie my, gdyż telefon jest jednostronny...

Zakończyłem swoje badania. Opracowałem szczegółowy raport. Po kilku dniach otrzymałem podziękowanie od dowódcy poziomu, a wraz z nim nowe zadanie. Zbadać, czy pod hipnozą ranny człowiek może nadal realizować swoje zadania bojowe. Jako grupę eksperymentalną otrzymałem dziesięciu naszych komandosów. Zróżnicowane zranienia miał wykonać miejscowy chirurg. Za kilka dni mam rozpocząć badania. Na próbę protestu dowódca dał mi do zrozumienia, że w przypadku odmowy przeprowadzenia badań zostaną zlikwidowani.

Nie, takich badań nie będę prowadził. Pomyślałem, że mam jeszcze jedną szansę. Drugi poziom! A jeżeli na nim prowadzą jeszcze straszniejsze badania? Fizycy może, ale astronomowie?... Wystarczy nacisnąć przycisk, aby sprowadzić windę. Bez wahania naciskam go. Otwierają się drzwi windy. Wchodzę. Jest tylko jeden guzik. Przyciskam go. Winda stoi nieruchomo. Na ekranie obok niego pojawia się napis: Przed ponownym naciśnięciem przycisku proszę zapoznać się z regulaminem wywieszonym obok ekranu.

Czytam go niezbyt uważnie. Pokrywa się z tym, co wcześniej powiedział Ryan. Naciskam przycisk. Winda nadal stoi nieruchomo.

- Pana nazwisko - pada z głośnika umieszczonego na wysokości mojej głowy.

- Ostiridis.

- Specjalność naukowa.

- Psychologia.

- Przedmiot badań na terenie pierwszego poziomu.

- Wpływ długotrwałego zahipnotyzowania na psychikę człowieka.

Chwila ciszy.

- Centralny komputer stacji przeanalizował dane biograficzne oraz cały okres pobytu w bazie i proponuje dowódcy poziomu drugiego przyjęcie pana na ten poziom podkreślając szczególnie pańskie zainteresowania kosmologiczne.

- Czy naprawdę jest pan zdecydowany? Stąd nie ma odwrotu. - Słyszę inny męski głos. - Chociaż po tym, co przeżył pan na pierwszym poziomie, trudno się dziwić, że nawet zupełnie nieznaną los może wydawać się lepszy od pozostania na poziomie pierwszym. A dla nas może pan być przydatny. W tej sytuacji wyrażam zgodę. Po wyjściu z windy proszę udać się za strzałką do pomieszczenia mieszkalnego nr 16 i tam czekać na dalsze polecenia.

Numer szesnasty! Czy to tylko zbieg okoliczności? Winda rusza. Po chwili zatrzymuje się. Wychodzę. Korytarz jest taki sam jak na poziomie pierwszym. Idę za strzałką. Widzę kolejno numerowane pomieszczenia. Podchodzę do tych z numerem szesnastym. Drzwi otwierają się automatycznie. Najpierw rozglądam się, a później zwiedzam moje nowe pomieszczenie. Toż to cały apartament. Dwa pokoje. Telewizja kolorowa, sprzęt radiowy Hi-Fi, regały na płyty i taśmy. Spis książek i czasopism. Wspaniałe utrzymane sanitaria. Programator poleceń: menu, filmy i inne rzeczy do wyboru. Wystarczy nacisnąć odpowiednią kombinację klawiszy. Otwieram szafę, różnorodna odzież. Pierwszy raz od dłuższego czasu ogarnia mnie przyjemny nastrój.

Wzywa mnie dowódca poziomu drugiego. Staję pod drzwiami, poprawiam ubrania. Naciskam klamkę. Wchodzi. Zza biurka wstaje starszy, siwy już mężczyzna i patrzy na mnie z uśmiechem. Jego twarz chyba gdzieś widziałem. - Witam.

Podaje mi rękę i przedstawia się.

- Decaud.

- Ostiridis.

Wymieniamy uścisk dłoni.

- Proszę siadać, czego się pan napije?

- Jeżeli można prosić, to kawy.

- Bardzo proszę - mówi i naciska jeden z licznych przycisków znajdujących się w rogu jego biurka.

Tak, miałem rację, że twarz ta wydawała mi się znajoma. Oglądałem ją w TV podczas uroczystości wręczenia Nagrody Nobla. Przed dwoma laty on właśnie był laureatem z dziedziny fizyki.

Stawia przede mną filiżankę kawy. Rozglądam się po gabinecie. Jest urządzone skromnie, ale gustownie. Żadnej aparatury.

- No i jak się panu podoba u nas, na drugim poziomie?

- Z tego, co widziałem w ciągu dwu dni, to znacznie bardziej niż na poziomie pierwszym.

- Cieszę się. Na wstępie muszę powiedzieć, że z zainteresowaniem śledziłem na ekranach wasz atak.

Niestety, nie mieliście żadnych szans.

- Niestety?

- Tak, byłem po waszej stronie.

- No, a gdybyśmy zdobyli bazę?

- Tu byście nie dotarli. A na poziomie pierwszym mi nie zależy. Z uwagą też prześledziłem każdy pana krok na stacji. Czy pan wie, że atak na strażnika zajął panu jedną sekundę i siedemnaście setnych. Było to zrobione po mistrzowsku.

- To pan, panie profesorze, to widział?

- No, nie na bieżąco, później przejrzałem taśmy magnetowidowe. Zrobił pan to tak dobrze, że nawet komputer tego nie zanalizował. Szczególnie mądry był ten obrót po przyklepieniu numeru, by zająć pozycję strażnika. A późniejsze udawanie zahipnotyzowanego było równie znakomite.

- Nie miałem innego wyjścia chcąc przeżyć.

- Tak, to, co oni robią, wszystkich nas na drugim poziomie napawa wstrętem. Jak się pan przekona, my z tym nie mamy nic wspólnego. Po prostu właściciel obiektu uznał, że pierwszy poziom można wykorzystać. Mój sprzeciw na nic się nie zdał.

- Panie profesorze, jeżeli można zapytać, skoro tu jestem, dlaczego nie wolno wam wyjść na górę?

- Ależ wolno, my sami narzuciliśmy sobie ten rygor dla bezpieczeństwa tego, co robimy. Ale i tak, jak się pan przekona, jesteśmy dużo bardziej wolni od każdego innego człowieka. Choć wolność nasza ma nieco inne niż się pan spodziewa znaczenie.

- ??

- Jest ona swoboda wyboru tego, gdzie chcemy być.

- Przyznam, że nie rozumiem.

- Wiem, że brzmi to niejasno, ale na wyjaśnienie przyjdzie czas. Jak przypuszczam, nie zna pan historii powstania bazy ani nie wie jakie badania tu prowadzimy.

- Nie, nic na ten temat nie jest mi wiadome.

- W takim razie będę mówił, a pan niech się poczęstuje kawą. Proszę mi wierzyć, jest doskonała.

- Dziękuję.

- Jak pan może wie, jestem jednym z twórców detektora fal grawitacyjnych.

- Oczywiście, ale nie tylko twórcą detektora, ale i tym, który pierwszy eksperymentalnie dowiódł istnienia tych fal.

- Nie przeceniajmy mojej roli. W każdym razie przed laty prowadziliśmy liczne badania. Na łądzie i na morzu. Stwierdziliśmy wówczas, że w okolicy tej wyspy istnieje duża anomalia grawitacyjna. Była tak duża, że nie mogła być wytłumaczona w znany nam sposób. Dokładne badania pozwoliły stwierdzić, że centrum anomalii leży pod wyspą na głębokości 200 metrów. Dotarliśmy do tego, co anomalię wywołuje. Co to jest, sam pan zobaczy. Nie chcę więcej o tym mówić, gdyż zależy mi na pana opinii jako psychologa, sformułowanej bez wcześniejszego nastawienia.

- Ależ ja się nie znam na falach grawitacyjnych.

- Nie o nie chodzi, lecz o zjawiska im towarzyszące, a być może i o interpretację pewnych faktów. W każdym razie dokopaliśmy się. Odkrycie było tak rewelacyjne, że zabroniłem moim współpracownikom komukolwiek o nim mówić. Wydostałem od rządu środki na budowę tej bazy. Prezydent i głównodowodzący armią, gdy dowiedzieli się, co tu znaleźliśmy, bez wahania przeznaczyci na ten cel ogromne środki. Baza powstała w rekordowo krótkim czasie.

- Jaki charakter ma ta anomalia?

- Cierpliwości, młody człowieku. Pod bazą ogniskują się fale grawitacyjne. Jakby istniała tam soczewka tych fal. Byliśmy dotąd przekonani, że ogniskować fale grawitacyjne mogą jedynie bardzo masywne ciała, np. czarne dziury, w mniejszym stopniu planety. Tu jednak jest inaczej. Fale grawitacyjne ogniskowane są w nie znany nam sposób.

- A jakie jest znaczenie tego faktu?

- Słuszne pytanie. Tutaj możemy odbierać te fale dzięki kolosalnemu wręcz ich wzmocnieniu.

- Jaka jest szybkość rozchodzenia się tych fal?

- No, widzę, że karta biograficzna mówiła prawdę o pana zainteresowaniach fizyką. Nie udało nam się dotąd zmierzyć tej prędkości. Ale można przypuszczać, że jest nieskończona.

- Czyli pojęcie równoczesności zdarzeń w kosmosie wreszcie nabrałoby sensu.

- Tak, ale o tym jeszcze za wcześnie mówić. Do określenia tej prędkości konieczne jest zaobserwowanie przynajmniej kilku źródeł fal grawitacyjnych w zakresie fal radiowych lub optycznych. A przy założeniu, że prędkość rozchodzenia się fal grawitacyjnych jest inna niż światła, zadanie staje się

piekielnie trudne. Oczywiście tylko na początku. A jesteśmy właśnie na początku.

- Ile źródeł fal grawitacyjnych dotąd zaobserwowaliście?!
- Kilkaset.
- Czy niosę one jakieś ciekawe informacje?
- Niektóre obiekty wysyłają modulowane fale grawitacyjne.
- ?!

- Modulacja taka jest zjawiskiem normalnym w ciasnych układach podwójnych, gdy jeden ze składników jest czarną dziurą szybko obiegającą po ciasnej orbicie drugiego składnika. Może to nie być zresztą czarna dziura, musi to jednak być obiekt masywny i bardzo gęsty.

Odkryliśmy też obiekty zmieniające swoje pole grawitacyjne w sposób zupełnie nieregularny. Mechanizm zjawiska jest nam nieznany.

- Czy na falach grawitacyjnych można by przesłać jakąś informację?
- Tam, gdzie istnieje możliwość modulacji, po zakodowaniu, zawsze można przesłać informację.
- Czy zaobserwowaliście coś takiego?

- Właśnie nad tym pracujemy. Osobiście jednak nie wierzę w cywilizację kosmiczną wysyłającą informację o swoim istnieniu. Konieczny do tego wydatek energetyczny jest zbyt duży. Natomiast kosmiczna rozmowa, kto wie. Wtedy jednak staniemy przed zadaniem złamania szyfru. A tu to pan sam dobrze wie, jakie trudności nastroczać będzie zrozumienie pozaziemskiego przekazu informacji.

- Nie wiem, czy zadanie to jest w ogóle wykonalne. Weźmy chociażby przykład ziemskiego języka Sumerów.

- Przyjemnie nam się rozmawia, ale mamy jeszcze jedną sprawę do omówienia.
- Słucham.

- Anomalia fal grawitacyjnych wytwarzana jest przez sztuczny obiekt. Nie został on zbudowany przez człowieka. Chcę, aby pan go zobaczył.

- A czy...

- Przepraszam, że przerywam. Porozmawiamy po pana powrocie. Chcę usłyszeć pana opinię. Proszę, tu jest szkic topograficzny, jak ma pan trafić do obiektu. Zresztą, to całkiem blisko.

- Dziękuję bardzo.
- Po powrocie, gdy pan odpocznie, proszę do mnie.
- Oczywiście, panie profesorze.

Szyb ma średnicę około trzech metrów. Założono w nim oświetlenie, wentylację, klamry i liny poręczowe. Przed wejściem wywieszono szkic szybu wraz z jego odnogami. Wchodzę. Schodzenie po klamrach nie jest dla mnie zbyt łatwe. Byleby tylko nie spaść. Docieram do poziomego odcinka szybu. Idę parę metrów i staję przed tym czymś. W blasku reflektorów ściana obiektu lśni krystalicznie. Dotykam jej. Jest idealnie gładka, chociaż struktura ściany nie jest jednolita. Błyszczą na niej wiele różnokolorowych plam. Wygląda to jak kryształy zatopione w tworzywie. Widzę, że tylko część ściany została odsłonięta.

Podchodzi do mnie nie znany mi młody człowiek.

- Cześć, na imię mam Jon. Czy jesteś psychologiem?
- Tak.

- Co o tym sądzisz? - Ręką wskazuje na ścianę urządzenia.

- Prawie nic o tym nie wiem. A jakie to jest duże?

- Ogromne. Centralna część o kształcie nieregularnym, ale zbliżonym do kuli, albo raczej do jakiegoś wielościanu, ma średnicę około ośmiuset metrów. Z centralnej części wychodzi sześć ramion. Cztery z

nich rozchodzą się poziomo w różnych kierunkach i mają po 1120 metrów długości przy piętnastometrowej średnicy. Jedno ramię o długości 4145 metrów i średnicy trzydziestu metrów idzie pionowo w dół. Jak przypuszczamy, ramię to zasila obiekt w energię. Koniec ramienia znajduje się w płynnej lawie. Jaki jest sposób przyswajania energii, nie wiemy. Szóste ramię idzie skośnie pod górę i kończy się rozgałęzieniem na dwanaście kilkudziesięciometrowych korytarzy kończących się tuż pod powierzchnią.

- Ile to waży?

- Nie wiemy, gdyż nie udało się pobrać próbki.

- Dlaczego?

- Twardość ścian jest zbliżona do twardości diamentu i wytrzymuje temperaturę 10 000°C.

Brutalnych metod nie chcemy stosować, gdyż skutki tego mogą być nieobliczalne.

- A kiedy to zbudowano?

- Według pomiarów izotopowych próbek skał otaczających maszynę co najmniej milion lat temu.

- Czy cały ten twór zbudowany jest tak, jak ta ściana?

- Zewnętrznie tak. A budowy wewnętrznej nie znamy. Spowodowane to jest słabą przenikliwością dla promieni Roentgena i dla ultradźwięków. Trudno zresztą się temu dziwić przy rozmiarach tej maszyny.

Zauważyłem, że nazywamy to coś za każdym razem inaczej.

- Jak wy to nazywacie?

- Maszyna.

- A czy ona ma jakieś zewnętrzne wskaźniki, manipulatory?

- Nie, już ci mówiłem, że zewnętrznie jest jednolita.

- Jak sądzisz, czemu może ona służyć?

- Wybacz, ale nie odpowiem na to pytanie. Sądzę, że profesor może powiedzieć na ten temat więcej.

No, ale na mnie czas. Muszę iść do swojej roboty.

- Do zobaczenia.

- Cześć.

Zostaję sam przy ścianie maszyny. Czuję się przytłoczony jej ogromem. Czemu i komu miała służyć?

Jak potężni musieli być jej twórcy? Gdzie są teraz? Pytania, pytania. Jak na nie odpowiedzieć? Czy profesor zna odpowiedzi? Nie sądzę.

Idę wzdłuż odsłoniętej ściany. Dotykam jej ręką. Wydaje się martwa. To złudzenie; ile energii w niej drzemie, ile możliwości. A gdyby to był olbrzymi komputer. Albo sztuczny intelekt?

Dobrze, że pan przyszedł. No i co pan powie o maszynie? - Jestem wstrząśnięty jej ogromem. Dlaczego trzymacie to w tajemnicy?! Jej odkrycie jest największym wydarzeniem w historii ludzkości!

- Niewątpliwie, ale zrozumie pan niedługo, że to odkrycie należy zachować w ścisłej tajemnicy. Jego ujawnienie miałoby skutki trudne do przewidzenia.

- Panie profesorze, co pan sądzi o celu...?

- Przepraszam, że przerywam, jeszcze trochę cierpliwości. Następne zadanie to wyprawa do korytarzy pod maszyną. Po powrocie porozmawiamy.

- Może tylko jedno pytanie?

- Słucham.

- Jak zbudowano w skale to urządzenie?

- Moim zdaniem, najpierw zbudowano maszynę, a następnie zalano ją wulkaniczną lawą. Proszę pamiętać, że wyspa, na której się znajdujemy, jest pochodzenia wulkanicznego.

- Kiedy mam się udać do korytarzy?

- Kiedy będzie pan chciał. Ale proszę na siebie uważać. Wyprawa jest niebezpieczna. Kilku ludzi nie wróciło stamtąd, a kilku wróciło rannych. Uprzedzam też, że czeka pana sporo chodzenia. Musi pan zabrać plecak z żywnością, wodą i licznikiem Geigera. Dostanie pan buty, które będą pozostawiać radioaktywny ślad kroków. To zabezpieczy przed zabłądzeniem. Odnosnie ekwipunku wydałem już odpowiednie polecenie. Został przygotowany. Przed wyjściem radzę poćwiczyć odnajdywanie własnych śladów, i niech się pan nie boi radioaktywności. Izotop, który będzie na podszewkach, nie może zaszkodzić. Aha, jeszcze jedno. Czekam tam pana wiele niespodzianek. Niech pan będzie przygotowany na najdziwniejsze wydarzenia. Więcej panu nie powiem, i jeszcze raz do zobaczenia.

- Bardzo dziękuję za rozmowę.

- Ależ nie ma za co. Z niecierpliwością będę czekał na pana powrót.

Przede mną prosty odcinek korytarza. Na podłodze i suficie migocze czerwony napis: Koniec Poziomu Drugiego. Przekraczam linię ostrzegawczą. Z przodu coś w rodzaju ściany, ale specjalnego rodzaju. Z bliska wygląda jak gęsta mgła. Ostrożnie wsuwam w nią rękę. Dłoń znika. Nic nie czuję. Zanurzam się we mgle. Robię dwa kroki. Mgła znika. Stoję na środku olbrzymiej sali. Pod ścianami przyozdobionymi srebrnymi łańcuchami stoją liczne fotele. Półokrągłe nisze okienne lśnią purpurowym blaskiem. Na środku tłum przebierańców bawi się w takt skocznej muzyki. Kelnerzy roznoszą na tacach wino i napoje orzeźwiające. W końcu sali ogromna kurtyna z kolorowego materiału. Kurtyna właśnie się podnosi. Na scenie olbrzymia, stylizowana postać szatana z widłami w ręku, białymi zębami i rogami. U dołu widać płomienie. Na scenę majestatycznym krokiem wkracza żyrafa przystrojona złotem i drogimi kamieniami. Na jej grzbiecie, trzymając się szyi, siedzi błazen wymachujący toporem. Tancerze wbiegają na scenę. Otaczają żyrafę. Gdzieś spod ziemi rozbrzmiewa głośna muzyka. Siedząca przed sceną orkiestra zamiera bez ruchu, jakby była złożona z kukieł i marionetek. Przed orkiestrą dyrygent. Jest nim garbaty karzeł, którego sataniczny uśmiech zdradza posiadanie jakiejś tajemnicy, nakazującej całej orkiestrze zastygnąć bez ruchu. Ponad orkiestrą coś, co przyprawia mnie o uczucie okropnego przerażenia. Opuszczam wzrok. Zauważam, że w coraz to innego członka orkiestry, na przeciąg sekundy, wkracza upiorne życie. Wykonuje jakiś ruch przy swoim instrumencie, by ponownie znieruchomieć. Doznaję wrażenia, że czas dla nich przeskakuje z jednego momentu w drugi. W tym samym czasie na parkiecie i scenie zabawa trwa w najlepsze. Znowu podnoszę wzrok. Przez salę, na wysokości mojej głowy, przelatują widmowe kształty pędzących samochodów. Widzę wielopoziomą estakadę. Bezgłośnie pędzą z niej w moim kierunku setki samochodów. Gdzieś za mną znikają.

Zachodzi we mnie jakaś przemiana. Coś dzieje się z moim ciałem. Patrzę na swoje dłonie. Palce przemieniają się w szpony. Skóra dłoni pokrywa się czarnym futrem. Twarz ulega zniekształceniu. Czuję, jak rosną mi zęby. Z gardła wyrzywa się ryk. Czuję nieodpartą chęć rzucenia się na któregoś z tancerzy i rozszarpania go na kawałki. Koszula na moim ciele pęka. Paski plecaka boleśnie uciskają ciało, które gwałtownie się rozrasta. Paski pękają. Sprężam się do skoku. Wzrok mam utkwiony w szyi najbliższego mi człowieka. Skaczę. Dopadam go. Zatapiam kły w jego szyi. Czuję ciepło krwi spływającej do mojego pyska. Piję ją łąpczywie. Postacie z orkiestry nagle ożywają i zaczynają bezgłośnie grać. Tancerze nieruchomieją. Rzucam zwłoki, które nie dają mi już krwi. Z gardła wydobywa się ryk zwycięstwa. Oczy zachodzą mgłą zadowolenia.

Widzę zbliżający się samochód. Słyszę ostry pisk hamulców. Samochód gwałtownie skręca. Czuję podmuch wiatru. Samochód uderza w betonową barierę. Łoskot gniecionych blach. Zbliża się następny samochód. Ostry sygnał klaksonu. Odruchowo uchylam się w bok. Widzę przerażone oczy kierowcy wpatrzony we mnie. Mija mnie. Ledwie mnie dotknął, a już czuję piekący ból w mojej owłosionej łapie.

Cofam się kilka kroków. Jakaś mgła. Jeszcze dwa kroki do tyłu i jestem znowu w korytarzu bazy.

Upadam na podłogę. Ciężko oddycham. Co to było? Patrzę na dłonie. Są normalne. Tylko z jednej sączy się krew. Nie mam plecaka. Koszula rozerwana w szwach. Powoli wstaję. Jestem bardzo osłabiony. Wszystkie mięśnie drżą. W żołądku czuję bolesny skurcz. Powoli idę do swojego pokoju. Serce bije jak szalone, ze spazmatycznym jękiem łapię powietrze. Nareszcie mój pokój. Spoglądam w lustro. Moja twarz. Ale tak zmęczonej nigdy nie widziałem. Nienaturalna bladość, przekrwione oczy. Próbuję powiedzieć:

- Co to było?

Z ust wydobywa się słaby skrzek. Ponawiam próbę. Tym razem lepiej. Siadam. O niczym nie myślę. Powoli uspokajam się. Minione przeżycia są dla mnie czymś całkowicie niezrozumiałym. Co to było? Sen, halucynacja? A gdzie jest mój plecak? Co się stało z ręką, z moją koszulą? A może cała ta stacja, mój pobyt na niej to sen. Ale jak się z niego zbudzić? Nie, to nie sen, to rzeczywistość. Ale co to znaczy rzeczywistość? Muszę znowu wrócić do tych korytarzy. Są przecież tak blisko.

Dobrze, że pan wrócił. Czemu tak szybko? Wygląda pan jakoś nieszczególnie. Czy nic panu się nie stało? - Nic groźnego, tylko skaleczenie.

- No niech pan siada, proszę, tu jest dobry sok owocowy, proszę pić i opowiadać.

Profesor z wyraźnym zainteresowaniem słucha mojej opowieści. Nie przerywa. A ja staram się możliwie wiernie opowiedzieć, co przeżyłem.

- No, to w sumie miał pan szczęście. A teraz proszę powiedzieć, co pan o tym sądzi.

- Profesorze, napisałem raport. Oto on. A tak dodatkowo chcę powiedzieć, że nie rozumiem tego, co przeżyłem. Może to urządzenie w jakiś sposób materializuje treści zawarte w naszej podświadomości?

- Niestety, nie jest to takie proste. Badania w tych korytarzach prowadzimy już od dawna. Z początku wchodząc do określonego korytarza spotykało się zawsze ten sam świat. Moi ludzie mieli nawet ulubione światy, które odwiedzali. Poznawali język ludzi tam żyjących. Bo muszę panu powiedzieć, że mówi się tam nieznanymi nam językami.

- Przepraszam, że przerywam. Jak duże są te światy?

- To właśnie jest najdziwniejsze. Ich rozmiarów nie da się określić. Raz jeden z moich współpracowników wziął motocykl. Przejechał kilkaset kilometrów i nie znalazł granicy tego świata. Wydaje się, że każdy z nich obejmuje powierzchnię całej Ziemi.

- A co z niebem, czy za każdym razem jest inne?

- I tu następny problem. Niebo jest identyczne z naszym. Sam prowadziłem obserwacje nieba w światach różnych korytarzy. Nie tylko konfiguracja gwiazd i galaktyk jest identyczna. Identyczne są i ich widma optyczne.

- Czyżby był to świat alternatywny do naszego? Z tym, że obejmowałby tylko Ziemię? A wszechświat dla wszystkich byłby ten sam?

- Tak sądziliśmy. Nawet przypuszczaliśmy, że wiara w centaury, diabły i tym podobne istoty brała się stąd, że istoty te przedostawały się przez korytarze do naszego świata i błądziły po nim.

- Czy wszystkie te światy są jakoś podobne do naszego?

- W zasadzie wszystkie są zamieszkiwane przez istoty człekopodobne na różnym poziomie rozwoju.

- Ale pan profesor mówi, że było to przypuszczenie, które nie potwierdziło się.

- Właśnie chciałem o tym mówić. Od pewnego czasu w tych uporządkowanych światach zaczęło się coś psuć. Najpierw mieszały się ze sobą. Wchodząc do określonego korytarza nie można było przewidzieć, jaki świat tam zastaniemy. Zdarzało się, że dwóch ludzi wchodząc do tego samego korytarza w odstępie dwóch sekund znajdowało się w różnych światach. Później pojawiały się metamorfozy. Wchodzący ludzie ulegali jakimś przeobrażeniom. Przykład tego sam pan przeżył. Metamorfoza ta znika

natychmiast po powrocie do naszego świata, ale bardzo osłabia organizm. Ostatnio pojawia się również coś jakby nakładanie się dwóch światów na siebie. Jeden jest realny, drugi widmowy. Z tym, że szybko mogą zamienić się rolami. A gdy dodam jeszcze powstające często zaburzenia w logice zdarzeń, należy odrzucić przypuszczenie, że światy te są alternatywne do naszego.

- Ale jeśli są tak samo wielkie jak nasz? Jeżeli żyją w nich inne istoty, czym są?
- Czy ja wiem? Może tylko atrapami? Może maszyna działa tylko na naszą psychikę?
- A mój plecak, koszula?

- Gdy o tym myślę, zastanawiam się, czym w ogóle jest rzeczywistość. Może zbiorem matematycznym? Czas byłby jednym z działań w tym zbiorze. Fizycy od dawna szukają elementarnego składnika materii. Atomy, elektrony, kwarki, wszystkie mają złożoną budowę. A odległości pomiędzy ich elementami porównywalne są z odległościami pomiędzy obiektami kosmicznymi, przy uwzględnieniu oczywiście skali wielkości. Nie wiem, czy kiedykolwiek znajdziemy podstawowa cegiełkę materii. Może ona nie istnieje. Może istnieje tylko bardzo złożony zbiór matematyczny?

- Czy Einstein nie doszedł do podobnego wniosku?

- Niezupełnie. Starał się sprowadzić wszystkie cechy wszechświata do systemu równań teorii pola. Dzieła nie dokończył. Einstein był zbyt rzetelnym uczonym, aby publikować własne spekulacje nie poparte dokładnymi obliczeniami. Szkoda, że nie żył trochę później. Przy współczesnych metodach matematycznych, mając do dyspozycji programowane maszyny liczące, może uporałby się z tym ogromnym zadaniem.

- Czy inni nie próbowali tego zrobić?

- Próbowali. Ale może nie mieli odwagi, wyobraźni i intuicji naukowej na miarę Einsteina... Nie wiem, czym są te światy zaczynające się w korytarzach nad maszyną. Pewne jest tylko, że ich istnienie związane jest z nią nierozzerwalnie.

- Czy nie ma szans na zrozumienie tego?

- Szansę są zawsze. Ciągłe pracujemy, choć od dawna mam poczucie, że stoimy w miejscu. Nie wiem, czy zadanie to jest wykonalne dla człowieka. Są i takie chwile, gdy mam poczucie bliskości rozwiązania problemu. Ale uczucie mija i powraca przygnębienie wywołane własną bezsilnością. Czasami mam ochotę wejść do któregoś z korytarzy i już tu nie wrócić. Kilku moich kolegów wybrało to rozwiązanie. Jeden po blisko rocznym pobycie wrócił na parę dni. Stwierdził, że znalazł tam miejsce dla siebie, że jest tam potrzebny.

Mówiąc kiedyś o naszej wolności miałem na myśli właśnie możliwość takiego wyboru. A nam nie pozostało nic oprócz pracy i ponawiania prób zrozumienia. Wierzę, że tutaj jest klucz do wielu podstawowych problemów naszej rzeczywistości.

- Panie profesorze! Postanowiłem tam jeszcze pójść. Wrócę. Wtedy i ja, może chociaż minimalnie, przyczynię się do lepszego zrozumienia tego, o czym mówimy.

- Powodzenia!

Wchodzę do gabinetu profesora. Siedzi za biurkiem pochylony nad gazetą. Nie podnosi głowy. Widzę, że jest bardzo zmęczony. - Wrócił pan, to dobrze.

- Panie profesorze, miał pan rację, że światy generowane przez maszynę rozpadają się. Dokonałem kilkudziesięciu wejść i mogę już pokusić się o uogólnienie. Najczęściej spotyka się jeden świat realny, drugi widmowy. W każdej chwili role te mogą się odwrócić. Obiektywnie, jeżeli oczywiście w tym przypadku można mówić o obiektywności, obydwa istnieją wzajemnie się przenikając. A jedynie obserwator przenosi się z jednego do drugiego.

Widziałem nawet sytuację, gdy przenikały się równocześnie trzy światy, z których każdy, w porządku

nie dającym się przewidzieć, stawał się dla mnie realny. Coraz niebezpieczniej tam jest. Raz o mały włos nie zmiażdżyło mnie wyłaniające się drzewo.

Również, jak pan profesor słusznie zauważył, zdarza się, że światy te interferują ze sobą. Dochodzi wtedy do zmian przystosowawczych będących jakąś wypadkową dwóch odmiennych rzeczywistości. Także logika zdarzeń załamuje się. Na szczęście nasz świat jest prawdziwy i nie jest tworem tej maszyny.

- Tego właśnie nie jestem pewien.

Profesor podnosi na mnie wzrok. Widzę w nim po raz pierwszy lęk.

- Niech pan czyta.

Podsuwa mi dziennik. Na pierwszej stronie pod dużym nagłówkiem: Czy zbiorowa halucynacja ogarnia świat? czytamy następujący tekst.

...Jak donoszą agencje z całego świata, w wielu punktach globu szereg ludzi doznaje dziwnych halucynacji. Widzą jakieś widmowe postacie, budowle, krajobrazy. Zjawisko praktycznie objęło całą Ziemię. Pytani o przyczyny naukowcy dają sprzeczne wyjaśnienia. Najprawdopodobniejsza jest hipoteza prof. Orne z Genewskiego Uniwersytetu, który twierdzi, że do atmosfery ziemskiej dostał się kosmiczny gaz, który wywołuje halucynacje.

Aktualnie powstaje szereg zespołów badawczych, których celem jest wytłumaczenie tego zjawiska. O wynikach ich prac będziemy Państwa informować na bieżąco.

Przypominamy też o apelu rządu. Nie ma podstaw do paniki, a doniesienia o rzekomych odkryciach jakichś dziwnych istot blakających się po naszym globie są wymysłem nieodpowiedzialnych jednostek chcących potęgować napięcie...

Czuję, jak ogarnia mnie zdenerwowanie. Podnoszę wzrok znad gazety i patrzę na profesora. Jest nienaturalnie blady i patrzy gdzieś za mnie. Odwracam się. Na tle ściany widać szczyt góry i bezchmurne niebo. Na szczycie siedzi alpinista ubrany w maskę tlenową i gruby skafander. Rozgląda się po okolicy. Powoli odwraca się w naszym kierunku. Nieruchomieje. W jego oczach pojawia się zdziwienie powoli przekształcające się w obłądny strach.

Andrzej Augustynek - Sport To Zdrowie

- Co w tej sytuacji, trenerze koordynatorze, pozostało do zrobienia? Zastosowaliśmy wszystko. Maksymalną intensyfikację treningu. Peter trenuje trzy razy dziennie po trzy godziny. Tygodniowo przebiega łącznie 400 km trener biegaczy nerwowym ruchem zapalił papierosa. Niepewnie popatrzył na siedzącego naprzeciw niego trenera koordynatora przygotowań olimpijskich.

- A jak wygląda sprawa odnowy biologicznej? - spytał koordynator.

- Wszystko, to co jest dostępne na świecie, stosujemy. Zajmuje to nam łącznie trzy godziny dziennie...

- A efektów jak nie ma, tak nie ma.

- O przepraszam, to nas krzywdzi. Pobiliśmy w tym roku trzy razy rekord kraju, zbliżyliśmy się do rekordu świata na 2 sek. Wygraliśmy wiele mityngów. Peter jest na trzecim miejscu światowej listy na 10 km z czasem 24 min. 10 sek.

- Pan wie, o co mi chodzi. Na mistrzostwach kontynentu był dopiero trzeci. Pamiętajcie, kolego, rząd oczekuje sukcesu olimpijskiego za wszelką cenę. Powtarzam, za wszelką cenę. Zapewniono wam wszystko. Trenujecie tylko jednego zawodnika. - Mówiąc to koordynator uważnie patrzył w oczy trenera Petera. Po chwili milczenia jakby z lekkim zakłopotaniem zapytał: - Może są jeszcze jakieś rezerwy? Musimy je znaleźć. A co z dopingiem?

Trener nerwowo przełknął ślinę i szybko wyrzucając z siebie słowa, zaczął odpowiadać.

- Stosujemy wszystko, co jest możliwe. Anaboliki w dawkach sprawdzonych eksperymentalnie. Odpowiednią wysokobiałkową dietę z dodatkiem sterydów. Zgromadziliśmy zapas krwi Petera, którą przetaczamy mu przed biegiem. Stosujemy środki moczopędne do obniżenia wagi ciała, podajemy środki znieczulające, aby znieść ból z nóg i płuc, stosowaliśmy związki z grupy anfetamin, ale odeszliśmy od tego, gdyż zbyt łatwo je wykryć. A proszę nie zapominać, że te szakale z komisji antydopingowej coraz bardziej się wtrącają. Stosuję coraz więcej wymyślnych sztuczek. W moim odczuciu, zrobiliśmy wszystko, co było możliwe. A wyniki, nie tylko w mojej opinii, są przyzwoite.

- Ależ kolego! Nam nie chodzi o wyniki przyzwoite, nam chodzi o wybitne. W sytuacji społeczno-politycznej naszego kraju osiągnięcia sportowe mogą, zdaniem rządu, odwrócić uwagę opinii publicznej od nękających nas trudności. Stąd zadanie dla was: złoty medal za wszelką cenę, wszelkimi dostępnymi środkami.

- Koordynatorze, co można więcej zrobić? Badaliśmy Petera w tunelu aerodynamicznym. Opracowaliśmy sylwetkę stawiającą najmniejszy opór powietrza podczas biegu. Zmieniliśmy nawet z tego powodu kąt ułożenia dłoni. Przeprowadziliśmy badania biochemiczne. Ergonomiści stwierdzili pewną nieekonomikę ruchów. Skorygowaliśmy to. Zdaniem wielu fachowców z całego świata Peter jest najlepiej biegającym technicznie długodystansowcem, który jeszcze przez wiele lat może odnosić sukcesy.

- Nam nie chodzi o wiele lat, nam chodzi o TEN złoty medal olimpijski! Do następnej olimpiady zdążymy wychować następnego biegacza. Obiecujecie wyniki osiąga chociażby Andreas.

- Darujcie, ale nic ponadto nie możemy zrobić. Przy łucie szczęścia Peter będzie miał medal. Może nawet srebrny. Na więcej go nie stać. I tak przygotowujemy go tylko do dwu biegów rocznie. Doping biochemiczny bardzo wyczerpuje organizm. W pozostałych biegach, bez dopingu, Peter osiąga rezultaty 3-4 min. słabsze.

- Pamiętajcie, powtarzam jeszcze raz, tak jak Tony na ubiegłej olimpiadzie, tak Peter na tej ma stać się złotym medalistą.

- I co ma z tego Tony? Sześć razy bił rekordy świata. Łącznie w ciągu dwu lat szczytowej formy zdobył trzy złote medale. A teraz, w wieku 28 lat, jest inwalidą prowadzącym magazyn sprzętu sportowego w naszym klubie. A co zrobimy z Peterem, gdy już nie będzie mógł biegać?

- Zawracanie głowy. Czy ja zawsze muszę zajmować się wszelkimi drobiazgami? Peter poprowadzi magazyn, a Tony będzie sprzedawał precelki w kształcie herbu klubowego. Przy okazji na jego sławie klub trochę zarobi. A odnośnie wyników musimy porozumieć się z profesorem. Poproście go na rozmowę. Ostatecznie on kieruje sprawą dopingu. Może wymyśli jakąś nową miksturę. A wy, kolego, nie bądźcie idealistą. Wasze zadania są określone. Mam nadzieję, że nie chcecie, aby wasze wątpliwości dotarły do Komisji ds. Bezpieczeństwa i Porządku Publicznego. Na tym na razie kończymy, spotkamy się w czasie rozmowy z profesorem..

- Panie profesorze, zna pan sprawę, w związku z którą zaprosiliśmy pana tutaj. Rząd upoważnił mnie do przekazania panu wiadomości, że należy wszystkimi środkami dążyć do tego, aby Peter zdobył złoty medal olimpijski. My wyczerpaliśmy już swoje możliwości, a co może pan zaproponować, panie profesorze?

- Zaproponować?! Mówicie jak dzieci. Wam się zdaje, że nauka to róg obfitości, z którego wy, sportowcy, możecie korzystać do woli. Powiem wam coś w sekrecie. Wasi sportowcy są dla mnie wyłącznie królikami doświadczalnymi. Oni sami proszą, aby na nich eksperymentować. Wystarczy stworzyć miraż lepszego wyniku i wszystko zjedzą, wszystkiemu się poddadzą. Głupcy! Ani chwili nie poświęciłbym sportowi, gdyby to nie przynosiło korzyści naukowych, nie rozwijało mojej wiedzy. Czy wiecie, że anaboliki, które biorą wasi sportowcy, służą teraz chorym leżącym przez długie miesiące w łóżku? Po kuracji sterydami i anabolikami chorzy ci mają normalne, bez zaników, mięśnie. Mogą się szybciej rehabilitować. Sportowcy testują te leki. Gdyby nie oni, jeszcze przez wiele lat nie byłoby można zastosować ich w leczeniu. A poza tym wiedźcie, że gardzę waszym sportem, gardzę waszymi metodami. Wasi sportowcy przestali być dla mnie ludźmi. Są automatami do robienia wyniku, bez przyszłości, z zanikającymi funkcjami intelektualnymi.

Profesor mówił podniesionym głosem, zaciśnięte pięści oparł na udach. Co chwilę jego powieką wstrząsał charakterystyczny tik. Po chwili zamilkł, wyjął papierosy i zapalił. W pokoju zapanowała cisza. Trenerzy nie wiedzieli, jak na ten wybuch zareagować.

Po chwili milczenia profesor znowu zaczął mówić:

- Doping może działać trojako. Po pierwsze pobudzać lub hamować funkcje określonych ośrodków mózgowych. Po drugie znosić odruchy obronne organizmu. Wreszcie, po trzecie zwiększać możliwości organizmu. Odnośnie trzeciego nic nowego nie wymyślimy. Anaboliki, przetaczanie krwi, to wszystko co można zrobić. Drugi sposób jest niepewny. Zmęczenie zabezpiecza organizm przed nadmiernym wyeksploatowaniem. Robi to z odpowiednim wyprzedzeniem. Gdyby zmęczenie pojawiała się dopiero wtedy, gdy możliwości energetyczne organizmu kończą się lub gdy na poziomie molekularnym dochodzi do zatrucia na przykład kwasem mlekowym, to organizm mógłby już nie mieć na tyle sił, aby się zregenerować. Toteż uczucie zmęczenia jest psychicznym odruchem obronnym. W trakcie treningu uczucie między innymi przewycięzać je. Pomaga w tym także doping chemiczny. Ale to, co bierze Peter, jest już wszystkim, co można podać bez narażenia go na śmierć na bieżni i związaną z tym sekcję, która z pewnością ujawni, czym był naszpikowany. A pierwszy sposób? Tu dopiero trwają badania. Być może na następną olimpiadę zdążymy. Chodzi o to, że mózg reguluje swoją aktywność, aktywność całego organizmu, poziom odczuwania potrzeb, na zasadzie funkcjonowania antagonistycznych ośrodków. Weźmy na przykład głód. Jeden to ośrodek łaknienia, drugi sytości. W normalnej sytuacji, u zdrowego

człowieka, funkcja ośrodka sytości przeważa. W miarę upływu czasu i zużywania się substancji energetycznych zaczyna dominować funkcja drugiego ośrodka i pojawia się uczucie głodu. W przypadkach patologicznych funkcja jednego ośrodka może dominować. Róbcie, co ustaliliśmy. Jeżeli chcecie więcej, uważam, że jedyne rezerwy, jakie pozostały, to rezerwy tkwiące w psychice. Ale to już nie moja dziedzina.

A teraz żegnam panów, nie mam ochoty słuchać, co macie mi do powiedzenia. A ode mnie złożcie rządowi bardzo głębokie ukłony. - To mówiąc wstał i nie oglądając się, ani nie żegnając, wyszedł gwałtownie trzaskając drzwiami.

Między trenerami dalej panowało milczenie. Dopiero po chwili koordynator odezwał się:

- Nie byłby taki pewny siebie, gdyby nie Nagroda Nobla. Już ci od spraw politycznych by go przycisnęli. Nadęty bufon. Drwi z nas w żywe oczy, ale i tak współpracuje. Może miał rację z tą rezerwą w psychice. Mam pewien pomysł. Jutro dowiecie się o nim.

- Kolego trenerze, w Instytucie Psychologii naszego Uniwersytetu pracuje specjalista od hipnozy. Zatrudnimy go w klubie. Powiemy mu, że ma badać cechy psychomotoryczne czołowych zawodników oraz zająć się psychiczną odpornością przedstartową Petera. Zaproponujemy mu gażę dwukrotnie wyższą niż jego pobory na uczelni. I niech przychodzi na badania raz w tygodniu na dwie godziny. Nie interesujcie się wynikami tych badań. Niech robi, co chce. A w odpowiednim czasie powiemy mu, że ma przygotować Petera do biegu pod hipnozą.

- A jeżeli się nie zgodzi?

- Zgodzi się. Poleci na pieniądze. Poza tym sukces Petera może mu pomóc w karierze naukowej.

Minęły miesiące uporczywego treningu, miesiące specjalnej kuracji biochemicznej. Mimo pewnych, zresztą niewielkich oporów ze strony psychologa, przystąpiono do ćwiczeń w bieganiu pod hipnozą. Skonstruowano też miniaturowy aparat nadawczo-odbiorczy. Nadawać miał, dzięki podłączeniu do specjalnego czujnika, informacje o ciśnieniu krwi, tętnic, częstotliwości oddechu, a odbierać sugestie hipnotyzera i przez słuchawkę przekazywać ją biegaczowi. Umieścić go miano za uchem pod plastrem, kryjącym rzeczywiste, ale specjalnie zrobione zranienie.

Wreszcie nadszedł dzień biegu. Cały świat żył olimpiadą. Miasto, w którym się odbywała, kipiało od ruchu i radosnego nastroju. Tysiące młodych ludzi przybyło, by zachłysnąć się tą atmosferą, tak specyficzną, możliwą do przeżycia jedynie co cztery lata. Wszyscy chcieli wziąć udział w olimpiadzie, dla wielu było to jedynie uczestnictwo bierne. Tylko nieliczni, najlepsi, mogli stanąć na podium. Ale nawet na twarzach tych, którzy byli zbyt słabi, aby marzyć o sukcesie, widoczne było prawdziwe szczęście. Bowiem w tym święcie sportu, tężyzny fizycznej, zdrowia, podstawowe hasło brzmiało: „NIEWAŻNE JEST ZWYCIĘSTWO, WAŻNE JEST SAMO UCZESTNICTWO W OLIMPIADZIE”. Ludzie cieszyli się z sukcesów swoich faworytów, martwili się ich niepowodzeniami, jednak na każdym kroku widać było, że to prawdziwy amatorski sport. Sprawy polityczne zeszły na drugi plan, zwyciężyła idea czystej rywalizacji.

Wśród roześmianej, rozentuzjasmowanej publiczności, w specjalnych boksach, trenerzy, masażyści oraz różnorodni specjaliści przygotowywali swoich zawodników do biegu na 10 000 m. W każdym boksie umieszczono monitor i głośnik.

- ... Peter, otwórz teraz oczy i nie budząc się ze snu hipnotycznego idź walczyć. Będiesz słuchał moich poleceń i bez wahania je wykonywał.

Peter podniósł się z leżanki i powoli wyszedł z boksu na bieżnię. Zawodnicy rozgrzewali się w milczeniu, nie nawiązywali ze sobą rozmów. Unikali spojrzeń w oczy. Był wśród nich rekordzista świata, Kuźniecowa, był były rekordzista świata, Rochford, który po wypadku przeszedł ciężką operację

neurochirurgiczną mózgu i teraz, po dwóch latach przerwy, miał znowu walczyć o sukcesy. Był Peter Poex - najlepiej technicznie biegający zawodnik świata. Byli i inni. Same asy.

Bieg ten miał być głównym wydarzeniem dnia.

W boksie Petera trener i psycholog wpatrywali się w ekran monitora. Przed psychologiem stał mikrofon. Z głośnika dochodził głos komentatora.

- ...Zawodnicy powoli zbliżają się do linii startowej...

- Taktykę ustaliliśmy. Peter ma wygrać bieg tempem. Przewiduję, że wynik będzie o 20-30 sekund lepszy od rekordu świata, a to powinno dać zwycięstwo - zwrócił się trener do psychologa.

- Ale czy Peter to wytrzyma?

- Wytrzyma, musi wytrzymać. Ma dodatkowo pół litra krwi, anaboliki działają, no i wasza, doktorze, hipnoza.

Padł strzał startera. Biegacze ruszyli. Psycholog podał sugestię - *Wyjdź na pierwszą pozycję i forsuj ostre, równe tempo*” –

Zawodnicy biegną długą kolumną. Na czele Poex, za nim dwóch nieznanych bliżej zawodników, a za nimi Kuźniecowa i Rochford... Drugie okrążenie. Kolumna rozciągnęła się. Tempo jest za szybkie dla najsłabszych... Poex nadal na czele.

Mamy czas pierwszego kilometra. Niewiarygodne! Rewelacyjny wynik! Międzyczas wskazuje na końcowy wynik lepszy od rekordu świata. No, ale przed nimi jeszcze 9 km. Zobaczmy, czy wytrzymają to tempo.

W biegu przez następne trzy kilometry nic się nie zmieniło. Tempo było nadal bardzo ostre. Na czele Peter, a za nim już tylko 8 biegaczy. Inni coraz bardziej zostawali z tyłu.

Psycholog monotonnie powtarzał sugestie hipnotyczne. Komentator przedstawiał sylwetki zawodników, zachwycał się ostrym tempem, techniką Poey'a, samozaparciami Rochforda.

- Zbliżamy się do półmetka. Czas, aby Peter zrywami rozerwał czołówkę - powiedział trener.

Psycholog cicho lecz stanowczo mówił do mikrofonu:

- Peter, na wirażu zwolnij, ale blokuj, aby nikt nie mógł cię wyprzedzić przy wyjściu na prostą gwałtownie przyspiesz, biegnij tak do połowy prostej, później zwolnij, powtórz to trzy razy.

- ...Zawodnicy przebiegli siedem kilometrów. Tempo stało się nierówne, chociaż nadal znakomite. Na czele Poex, a za nim już tylko dwóch: Kuźniecowa i Rochford. Różnice minimalne. Wszystko wskazuje, że ta trójka ma medale, a walka o złoto rozegra się na finiszu...

- Peter musi przyspieszyć, musi zmęczyć ich tempem.

- Trenerze! Tętno i ciśnienie krwi zbliżają się do wartości krytycznej. Peter może tego nie wytrzymać, mogą zajść w jego układzie krążenia nieodwracalne zmiany.

- Nie czas na dyskusje, niech przyspiesza.

- Peter, na prostej poczujesz, jak zmęczenie znika, łatwo ci się oddycha, a nogi lekko niosą cię do mety po złoty medal. Peter, na prostej przyspieszysz.

- ...zbliża się koniec 8 kilometra. Proszę Państwa, czas jest rewelacyjny! Będzie rekord świata! Kuźniecowa nie wytrzymuje tempa i powoli traci dystans. Poex i Rochford dublują większość zawodników... Do mety pozostało jeszcze 500 metrów. Nadal prowadzi Poex, a za nim jakby przyklejony Rochford. Kuźniecowa stracił już 100 m. Nie będzie się liczył w walce o złoto.

- Niech Peter finiszuje! - ryknął trener - szybciej! Na co czekasz, doktoru? Za co ci płacimy?

Psycholog popatrzył na zmienioną ze wzburzenia twarz trenera i powiedział do mikrofonu.

- Peter, masz jeszcze wiele sił. Rozpoczniesz finisz, jak powiem: już. Wtedy, jak sprinter, pobiegiesz do mety po złoty medal... Już! Teraz co sił w nogach do mety.

- ...Rozpoczynają finisz. Do mety pozostało 300 metrów. Prosta, Poex przyspiesza, powoli odrywa

się od Rochforda. Chyba będzie pierwszy. Na twarzach zawodników widać ogromny wysiłek, widać cierpienie, oczy na wół przymknięte, twarz wykrzywiona grymasem strasznego bólu. Co za ambicja, na pewno piersi ich rozrywa przejmujący ból, ale przyspieszają, wiraż. Proszę państwa, nieprawdopodobne! Rochford przyspiesza! Jego sylwetka prostuje się, zaczyna biec jakimś dziwnym mechanicznym krokiem. Ostatnia prosta, zrównują się, biegną łeb w łeb. Rochford przesuwa się do przodu, zwycięża! Meta! Proszę państwa! Mamy nowy, fenomenalny rekord świata, 24 min. 35 sek.!

- Niech to diabli, co za matoł, kretyn, już ja mu pokażę! Peter, zrobiłeś nam ładny galimatias. O! do diabła, przewraca się. Szybko tlen, bo stracimy nawet srebrny medal...

- ...Trenerzy wybiegają z boksów, podają tlen biegaczom. Na rękach znoszą bohaterów tych heroiczych zmagania.

- Za chwilę dekoracja zwycięzców biegu na 10 km. Zwycięzca Rochford, drugi Poex, trzeci Kuźniecowa. Medale wręczone. Rozlegają się dźwięki hymnu państwowego, flaga wędruje na najwyższy maszt, wszyscy stoją nieruchomo. Ale co to? Rochford przewraca się i spada z podium. Biegnie do niego lekarz, podjeżdża karetka pogotowia, zjawiają się nosze. Biorą go do karetki. Ale co to ma znaczyć? Do karetki podbiega trener Rochforda, próbuje wyrwać swojego zawodnika, zostaje jednak odepchnięty przez porządkowych. Karetka odjeżdża do szpitala. Trener wybiega ze stadionu, jest bardzo wzburzony...

- ...Proszę państwa, przed chwilą otrzymałem tragiczną wiadomość. Zwycięzca biegu na 10 000 m, Rochford, nie żyje. Jego organizm nie wytrzymał tego gigantycznego wysiłku. Widocznie po wypadku i operacji nie doszedł jeszcze do siebie. Ale ambicja prawdziwego sportowca kazała mu walczyć. Cześć jego pamięci, pamięci sportowca dżentelmena, sportowca bez skazy, którego zachowanie na bieżni może być wzorem dla młodych adeptów królowej sportu.

Epilog

Prasa całego świata przytoczyła komunikat Komitetu Olimpijskiego:

Andreas Rochford nie żyje. Przyczyną śmierci był nadmierny wysiłek podczas jego zwycięskiego biegu na 10 km. Jednak sekcja zwłok wykazała fakt oburzający, skandaliczny i bez precedensu. Na mózgu Rochforda dokonano operacji wszczepiając elektrody i mikroodbiornik. Urządzenie to stymulowało pracę organizmu biegacza. Przez umieszczony na zewnątrz nadajnik trenerzy regulowali podstawowe funkcje organizmu Rochforda. Pobudzając lub hamując funkcje odpowiednich struktur mózgowych mogli regulować wysiłek. Chcieli odnieść zwycięstwo za wszelką cenę. Przeliczyli się. Niech śmierć Rochforda będzie jeszcze raz przestroga przed stosowaniem dopingu. Rochford zostaje pozbawiony złotego medalu, a jego trenerzy dożywotnio pozbawieni prawa wykonywania zawodu. W tej sytuacji złoty medal olimpijski w biegu na 10 km zdobywa Poex.

Jak donosi nasz specjalny wysłannik, dzisiaj w gmachu urzędu Prezydent naszej Republiki wręczył trenerom i działaczom, przygotowującym Petera Poex'a do sukcesu olimpijskiego, wysokie odznaczenia państwowe. Trenerzy, dziękując za zaszczytne odznaczenia, oświadczyli, że jedyną drogą do sukcesów jest rzetelna, uczciwa praca. Napiętnowali niedopuszczalne praktyki stosowania dopingu prowadzące nieuchronnie do nieszczęśliwych wypadków.

Nie zobaczymy już nigdy na bieżni Petera Poex'a, naszego złotego medalisty olimpijskiego. Wnikliwe badania lekarskie wykazały istnienie nie wykrytej wcześniej wady serca. W tej sytuacji dalsze uprawianie sportu wyczynowego mogłoby przynieść niepożądane efekty. Ta trudna decyzja rezygnacji z usług naszego czołowego sportowca jest jeszcze jednym przykładem, że w naszym kraju zdrowie sportowca zawsze stoi przed sukcesami. Peter Poex nie zrywa jednak kontaktów ze sportem. Odtąd będzie sprawował pieczę nad sprzętem klubowym.

Rozpoczęto przygotowania do nowych Igrzysk Olimpijskich. Jednym z zadań jest kontynuowanie naszych olimpijskich sukcesów w biegu na 10 km. Specjalną opieką objęty zostanie nasz młody,

utalentowany biegacz Andreas Klister. Z ekipą trenerów współpracować będzie ekipa naukowców z laureatem Nagrody Nobla, prof. Henry Tartem, na czele.

Andrzej Augustynek - Model

Część pierwsza - Tułacz

Czym jest nieśmiertelność? Wiecznym życiem? Nie. Życie ma swój początek, młodość, dojrzałość, starość i wreszcie przychodzi nieuchronny koniec. Od tej prawidłowości nie ma wyjątków. Dotyczy to nie tylko ludzi, dotyczy to wszystkich przejawów życia we wszechświecie. Wszystkie bez wyjątku istoty żywe muszą umrzeć. A ameba? Rozmnażając się przez pączkowanie w zasadzie nie umiera. Dając z części siebie życie innym amebom niejako przedłuża swój byt. Ale gdy biocenoza ulegnie zagładzie, ameby umierają. Nie mogą też przetrwać, jako gatunek, całej wieczności. I nie przetrwały. Ale po co mówić o wieczności życia, skoro nawet wszechświat dobiega kresu swej ewolucji. Nic nie może oprzeć się czasowi. Tam, gdzie jest zmienność, tam gdzie płynie czas, tam jest i przemijanie. Prawdziwa nieśmiertelność to trwanie, bez żadnych zmian, bez aktywności. Trwać jednak mogą tylko legendarni bogowie.

Można jednak osiągnąć względną nieśmiertelność. Kiedy dla kogoś mija całe życie, a dla ciebie ten okres jest jedynie drobnym epizodem, to w jego odczuciu jesteś nieśmiertelny.

Czy osiągnąłem nieśmiertelność? Dla ludzkości czy nawet gwiazd, tak. A przecież nie został mi darowany ani jeden dzień życia więcej, niż jest do tego zdolny mój organizm. Większość czasu znajdowałem się w anabiozie. A przeważającą część czasu przeżytego aktywnie przeżyłem w całkowitej samotności.

Jestem już bardzo starym człowiekiem, który kiedyś, z grupą takich jak on, opuścił swoją planetę - Ziemię. Uważał, że los jej jest przesądzony. A nie chciał umierać razem z nią.

Kiedy rozpoczęła się ta podróż, ludzkość ze spokojem wieku starczego zbliżała się do kresu swej drogi, którą przebywała w samotności. Kiedyś, u zarania historycznych dziejów, Ziemia była ojczyzną bogatego życia. Jedne gatunki następowały po drugich. Aż pojawił się człowiek. Najpierw wyniszczył inne ssaki. Na to miejsce w niszach ekologicznych próbowały wtargnąć inne organizmy, przede wszystkim owady. Ale człowiek był nadal panem planety. Zatrzymał motor ewolucji. Badania modelowe wykazały, że w nie modyfikowanych warunkach na powierzchni Ziemi powinna wzrosnąć temperatura, a w atmosferze ilość tlenu. W tych warunkach po erze ssaków miała nadejść era owadów. Zwiększyłyby wagę ciała, a tym samym i mózgu. Duża sprawność systemu nerwowego winna zapewnić im panowanie na Ziemi przez wiele milionów lat. Tak się jednak nie stało. Pozostał człowiek. Stopniowo eliminował ze swego otoczenia wszystko to, co różne od niego. A gdy się ocknął, było za późno. Z czasem pozostał na planecie sam z roślinami i wirusami. Cóż z tego, że dzięki bankom komórkowym, na drodze klonowania, udawało się hodować pojedyncze egzemplarze zwierząt. Nie były zdolne do samodzielnego życia.

A i ludziom coraz trudniej było żyć. Spadła liczba urodzeń. Ludzi nękały coraz to nowe choroby. Po nowotworach nastąpiła epoka chorób genetycznych. Gdy je opanowano, zaczęto umierać na skutek zaburzeń mechanizmów molekularnych. Matryca genetyczna była już wyeksploatowana. Człowiek walczył jeszcze o przetrwanie. Klonowanie ze zdrowych osobników opóźniało tylko to, co nieuchronnie musiało nastąpić.

Planeta także zestarzała się. W pewnym okresie brakowało surowców, pożywienia, wody, tlenu. Brakowało zresztą wtedy wszystkiego. Problem ten sam się rozwiązał. Malejąca liczba ludności miała coraz mniejsze potrzeby. Załamała się też ekspansja człowieka w kosmos. Próby skolonizowania innych

planet nie powiodły się.

A na Ziemi powoli godzono się z nieuchronnością końca. Osłabło tempo życia. Mniej było wzajemnej agresji, a więcej wyrozumiałości. Nigdy, na przykład, nie doszło do oficjalnego rozbrojenia. Z czasem broń przestała być potrzebna. A gdy przekonano się, że nie zagraża nam inwazja z kosmosu, broń jako środek zabijania powoli poszła w zapomnienie. Tylko historycy i ci, co się historią interesowali, pamiętali o niej. Na Ziemi wszystko wyrównywało się, unifikowało. Znikła różnorodność wyrobów. Uznano to za zbytnią rozrzutność.

Gromadzona przez tysiące lat wiedza ludzkości była ogromna. Wskutek tego ogromu skostnieniu uległy procesy poznawcze. Coraz mniej nowego docierało do ludzi. Tak jak często dzieje się z ludźmi starymi, tak i ludzkość raczej ceniła sobie dotychczasowe osiągnięcia, niż myślała o ich pomnażaniu.

Ale nie wszyscy się poddali. Grupa ludzi postanowiła rzucić wyzwanie czasowi.

Z zamyślenia wrywa mnie głos komputera.

- Nadszedł czas przeprowadzenia kontroli lotu i stanu statku. Podane zostaną również wyniki analiz sekcji medycznej.

Chociaż komputer samodzielnie prowadzi statek, co 24 godziny, oczywiście wtedy gdy nie znajduję się w anabiozie, prowadzimy kontrolę najważniejszych zespołów statku.

- Wszystkie układy pracują normalnie.

Na głównym ekranie sekcji informacyjnej pojawiają się kolejno liczby określające stan poszczególnych mechanizmów statku.

Komputer w tym czasie podaje:

- Zapas paliwa wynosi 2,1 %. Wystarczy to na trzy lata czasu pokładowego. W jednostkach czasu dla obiektu nieruchomego daje to 263 miliony lat. Szybkość nasza wynosi 99,729% prędkości światła. Do chwili zero pozostaje 367 dni czasu pokładowego.

Następuje chwila przerwy, po której komputer komunikuje mi.

- Wyniki badań sekcji medycznej wykazały. Dowódco, że masz przed sobą, przy zastosowaniu wszystkich stymulatorów, maksymalnie 46 dni aktywnego życia. Dni te z prawdopodobieństwem 70% przebiegać będą bez zaburzeń świadomości i bez odczuwanych subiektywnie dolegliwości. Według przewidywań, koniec funkcjonowania organizmu nie dostarczy przykrych doznań i przebiegać będzie przy stopniowym zawężaniu pola świadomości. Proces umierania potrwa około, trzech godzin.

Niewiele czasu już mi pozostało. Normalnie nie dożyję do chwili zero. Poddam się więc anabiozie i zbudzę na parę dni przed końcem wszechświata...

Przed chwilą wspomniałem sobie o tym, jak ludzie rzucili wyzwanie czasowi. Zrobiono to w okresie, kiedy idea dalekich lotów kosmicznych była już niepopularna. Zbyt długi był czas takiej eksploracji, aby zdobyte wiadomości były użyteczne na Ziemi, a za późno było rozpocząć podbój kosmosu raz jeszcze. Był i inny powód. Z wszechświata wracały załogi dawnych wypraw. Ludzie ci z coraz większym trudem przystosowywali się do panujących na ojczystej planecie warunków. A gdy na dodatek to, co zdobyli podczas wyprawy, okazywało się bezużyteczne, nietrudno się dziwić, że popadali w stan frustracji. Przez pewien czas widziano w powracających z wypraw rezerwę biologiczną gatunku ludzkiego. Praktyka wykazała jednak, że długie przebywanie w kosmosie nie było obojętne dla organizmu, a tym samym wartość matrycy genetycznej była niepełna.

Wstaję z fotela i opuszczam sterownię. Każdy szybszy ruch wywołuje zadyszkę. Całe szczęście, że umysł pracuje mi sprawnie, a i pamięć nie zawodzi. Podchodzę do iluminatora - jest całkowicie ciemny. Żadnego punktu świetlnego. Tylko przyrządy rejestrujące emisję fal rentgenowskich oraz dużą aktywność wszechświata w zakresie fal grawitacyjnych. Pytam komputer, jaka jest aktualna prędkość zbiegania się materii we wszechświecie.

Natychmiast otrzymuję odpowiedź.

- 253 750 km/sek.

- Jeżeli tak to i dla niej pojawiają się efekty relatywistycznego zwolnienia czasu, więc operowanie jednostkami czasu dla układu nieruchomego nie ma sensu. Ile czasu zostało obserwatorowi poruszającemu się wspólnie z implodującą materią?

- 420 lat - słyszę odpowiedź.

Przenika mnie dreszcz. Przecież to już koniec. W skali czasu astronomicznego to mniej niż sekunda.

- Ile wynosi aktualny promień horyzontu zdarzeń dla całego wszechświata? - zadaję następne pytanie.

- 510 lat świetlnych - pada błyskawiczna odpowiedź.

Jaki mały jest już wszechświat! I jaka ogromna gęstość materii musi w nim panować. W czasach gdy żyłem na mojej planecie, wszechświat rozszerzał się. Wtedy też istotnym problemem kosmologicznym było, czy po okresie ekspansji rozpocznie się kurczenie wszechświata, czy też wszechświat rozszerzać się będzie w nieskończoność. By odpowiedzieć na to pytanie należało wyznaczyć tak zwany efekt hamowania. Znano prędkość ucieczki, znano też minimalną ilość materii, która swoim wzajemnym oddziaływaniem może zatrzymać ekspansję. Pozostało oszacować ilość materii we wszechświecie. Oczywiście, chodziło tu nie o liczbę bezwzględną, lecz o średnią. Pod koniec dwudziestego wieku, na bazie prowadzonych obserwacji, dokonano pierwszych obliczeń. Wskazywały, że ilość materii jest o rząd wielkości za mała do zatrzymania ekspansji. Ale już wtedy zdawano sobie sprawę z istnienia rozproszonej materii międzygwiazdnej, a przypuszczano, że istnieje i materia międzygalaktyczna. Wtedy nie było jednak możliwe oszacowanie jej ilości. Kiedy jednak odlatywał „Tułacz”, wiadomo było, że ilość materii międzygalaktycznej oraz neutrin stanowi przeszło 90% materii całego wszechświata, a to w zupełności wystarczało do zatrzymania jego ekspansji. Po stwierdzeniu tego faktu automatycznie musiało nasuwać się pytanie, co jest poza nim. I wtedy odkryto, że jest on całkowicie izolowanym układem, z którego żadna informacja nie może wyjść ani do którego żadna informacja z zewnątrz nie może dotrzeć. W tej sytuacji pytanie to nie miało żadnych szans na uzyskanie odpowiedzi. Prowadzono szereg dysput filozoficznych. Przeważał w nich pogląd, że na „zewnątrz” może znajdować się nieskończony wszechświat, w którym nasz stanowi „czarną dziurę”. Zastanawiano się, czy ten zewnętrzny wszechświat jest stacjonarny czy nie, czy jest podobny do naszego, czy panują w nim analogiczne do naszych prawa fizyczne.

Mimo że dzięki „Tułaczowi” jestem świadkiem spraw ostatecznych, mimo że na moich oczach dokonała się przeważająca część ewolucji wszechświata, nie mam poczucia, że życie wykorzystałem właściwie. Nie służy ono nikomu.

Chyba jeszcze nigdy nie czułem się tak nieszczęśliwy. W dodatku zapomniałem zaprogramować menu na posiłek. W tej sytuacji mogłem zjeść tylko potrawy z jadłospisu wyrobów natychmiastowych. A te nie gwarantowały zbyt wyszukanej uczyty. Nacisnąłem odpowiednią kombinację przycisków i po chwili z otworu transportera wyjąłem tackę z jedzeniem. Jedząc nakruszyłem wokół siebie i rozlałem kawę. Niestety, ręce coraz bardziej mi drżą. Aby choć na chwilę oderwać się od przygnębiającej codzienności, powróciłem do swoich rozmyślań i wspomnień. Są one moją obroną przed samotnością, przed oczekiwaniem na nieuchronny koniec.

Grupa ludzi wystąpiła z projektem realizacji pomnika ludzkości w formie statku kosmicznego, który byłby kwintesencją całej naszej wiedzy. Na zarzuty w jakim celu ludzkość ma zdobywać się na gigantyczny wysiłek, który jej już nic nie da, odpowiadano argumentami emocjonalnymi. Łatwiej umierać, gdy stworzy się dzieło wiekopomne. A przy tym ten jeszcze jeden zryw był ludzkości bardzo potrzebny.

Ruszyły pracena skalę nie mającą precedensu w całej historii. Ludzie wyrwali się z odrętwienia.

Przeprowadzono olbrzymią liczbę badań. Rozpoczęto prace wdrożeniowe. A cel tej działalności był niezwykle ambitny. Zbudować statek kosmiczny, który mógłby funkcjonować przez wiele miliardów lat.

Prace trwały wiele pokoleń. Ich efektem był „Tułacz”, gdyż tak go nazwano. Nominacja na jego dowódcę nie zaskoczyła mnie. Miałem największe doświadczenie w lotach kosmicznych. Na tę decyzję na pewno wpłynął fakt, że z Ziemią nie łączyło mnie zbyt wiele. Nie miałem rodziny, a większość swojego życia, w tym i dzieciństwo, spędziłem w kosmosie. Z satysfakcją więc podjąłem się zadania dowodzenia lotem, który nie miał określonego celu badawczego, a był głównie manifestacją możliwości człowieka. Był zaakcentowaniem naszej obecności we wszechświecie.

Pamiętam wzruszenie i podziw, jakie mnie ogarnęły, gdy pierwszy raz zobaczyłem „Tułacza”. Ma kilkadziesiąt kilometrów długości. Przypomina raczej małą planetę niż statek kosmiczny. „Tułacz” jest walcem. Oba jego końce o średnicy dziesięciu kilometrów są zupełnie płaskie. Nie ma na nim żadnych oznaczeń. Powierzchnia jest matowa. „Tułacz” sprawiał wrażenie martwego. Nikt nic nie mówił. Wszyscy stali jak zahipnotyzowani chłonąc oczyma niezwykle widok.

Ale nie wygląd „Tułacza”, przede wszystkim jego możliwości były imponujące. Najważniejsza to niezawodność w niewyobrażalnie długim okresie czasu. Osiągnięto ją różnymi sposobami: poprzez zwielokrotnienie wszystkich zespołów statku, dzięki zdolności do regeneracji i odtwarzania wszystkich układów i wreszcie dzięki temu, że na statku znajdowały się reaktory syntezy termojądrowej, w których z dowolnej materii można było otrzymać dowolny pierwiastek. Ostatni sposób umożliwiał przerabianie materii międzygwiazdnej, dużych meteorów, gruntu dowolnej planety na paliwo oraz potrzebne do funkcjonowania statku substancje.

Równie ważnym problemem było stworzenie osłony przed meteorami i rozproszoną materią międzygwiazdą. Miotacze różnego typu nie nadawały się w tym przypadku. Po pierwsze nie przy prędkościach „Tułacza”, a po drugie nie chronią one statku przed powolnym, ale nieustannym oddziaływaniem pyłu kosmicznego na powłokę. Rozwiązano ten problem dzięki generatorom pola grawitacyjnego. Wytwarzają one wokół statku przestrzeń sferyczną. Ta lokalna zmiana geometrii przestrzeni nie tylko chroni przed oddziaływaniami zewnętrznymi, ale czyni nas niewidzialnymi dla otoczenia. Dzieje się tak, gdyż nawet światło ugina się wokół pola grawitacyjnego sztucznie wytworzonego wokół „Tułacza”. Obserwacja przestrzeni zewnętrznej z pokładu statku jest możliwa poprzez wysuwane na zewnątrz przestrzeni sferycznej receptory urządzeń odbiorczych. W razie niebezpieczeństwa w każdej chwili można je było schować pod osłoną pola grawitacyjnego. Napęd zapewniały statkowi te same generatory. Napęd ten pozwalał na uzyskiwanie ogromnych przyspieszeń, bez narażenia się na wpływ przeciążeń.

Najważniejszym zespołem całości jest centralny komputer. Jego sprawność była w okresie naszego startu szczytowym osiągnięciem ludzkości w tej dziedzinie.

A mnie od samego początku lotu interesowała jego psychika. Jednak nigdy dotąd nie zadałem na ten temat żadnego pytania. Ale w najbliższej przyszłości zrobię to. W każdym razie, jak dotąd z jego działania, z jego wypowiedzi nic nie wywnioskowałem. Sprawia wrażenie całkowicie beznamiętnego, a nawet bezmyślnego urządzenia wykonującego bezbłędnie swoje funkcje.

Czuję narastający niepokój. Nie usiedzę na miejscu ani chwili dłużej. Wstaję szybko z fotela i idę parę kroków przed siebie. Czuję, jak serce przyspiesza rytm swego bicia. Rytm przechodzi w migotanie. Ogarnia mnie duszność. Gardło dławii lęk. Rozpaczliwie próbuję złapać oddech. Z ust wyrzywa mi się jęk. Nogi uginają się, miękko upadam na podłogę. Rozrywam kołnierz koszuli. Chcę krzyczeć, ale nie mogę. Przed oczami robi mi się ciemno. Umieram! Nie chcę! Jeszcze nie teraz!

Słyszę stukot pędzącego automatu medycznego. Dopada mnie i oplata mackami swoich czujników. Czuję, jak przez okolice serca przepływa prąd. Duszność nie ustępuje. Nic nie widzę. Czuję ukłucie.

Ciepło rozlewa się po całym ciele. Zapadam w nicość.

...Otwieram oczy. Jestem w sali medycznej. Całe ciało oplecione elektrodami. Do żyły sączy się płyn fizjologiczny. Nie czuję żadnego bólu. Oddycham bez trudu. Serce bije normalnie. No, w takim razie nie jest jeszcze ze mną tak źle.

- Jaki jest mój stan i jak długo byłem nieprzytomny? - pytam.

Odpowiedź otrzymuję niemal natychmiast.

- Stan aktualny jest zadowalający. Niemniej konieczna jest zewnętrzna stymulacja procesów życiowych.

- Jaka stymulacja? - pytam nerwowo.

- Regulator rytmu serca sterowany zewnątrz na drodze radiowej.

- To znaczy, że nie mogę opuścić statku?

- W tym stanie zdrowia jest to wykluczone. Ponadto podłączono do organizmu pojemnik z substancjami podtrzymującymi funkcje poszczególnych narządów. Dozowanie tych substancji jest bezpośrednio kontrolowane przez centralny komputer stacji. A okres nieaktywności trwał 330 dni czasu pokładowego.

- Ile? - wykrzykuję.

- 330 dni czasu pokładowego. W tym okresie przeprowadzono intensywną terapię, stosując niezbędne zabiegi lecznicze. Terapię prowadzono w stanie anabiozy. To było konieczne, gdyż po ataku serca wiele narządów nie działało normalnie.

- Co w ciągu tych dni działało się na zewnątrz?

- Oprócz zgodnej z przewidywaniami ewolucji wszechświata minęliśmy raketę poruszającą się z prędkością zbliżoną do naszej. Analiza pomiarów wskazuje, że była nieaktywna. Poruszała się lotem bezwładnym. Nie zarejestrowano emisji żadnego rodzaju energii. Stwierdzono, że nie została skonstruowana przez ziemską cywilizację:

Jeszcze jedno, być może ostatnie spotkanie z obcym wytworem technicznym. Która z cywilizacji mogła stworzyć tę raketę? Nigdy nie uzyskam odpowiedzi na to pytanie. Tak jak nie uzyskam odpowiedzi na to, ile cywilizacji egzystowało we wszechświecie. Która z nich osiągnęła najwyższy poziom rozwoju? Ale jak z kolei mierzyć ten poziom? Czy technicznymi osiągnięciami? Może bogactwem psychiki? A może czasem trwania? Bardzo długo nurtowały mnie te pytania. Zresztą nie tylko mnie. Wiele ludzi poświęciło życie, by przybliżyć się do prawdy o życiu we wszechświecie.

Pamiętam, że obserwując różne cywilizacje nigdy nie mogłem pogodzić się z nieuchronnością końca. Gdzieś na dnie mojej świadomości istniała iskierka nadziei na odwrócenie przeznaczenia. Nadzieja, że stanie się coś, co przywróci świetność wszechświata. Coś, co zapełni go bujnym życiem. Wierzyłem też, że być może, istnieje gdzieś w otchłani przestrzeni taka cywilizacja, która przetrwa. Doczeka świetności nowego wszechświata. Niestety nie będą to ludzie. A zresztą nawet wiarę w tę inną cywilizację zachwiało pewne spotkanie.

Eksplorując centrum naszej galaktyki spotkaliśmy obcy statek kosmiczny. Przeżyję to raz jeszcze. Unoszę się na posłaniu i wystukuję na klawiaturze sekcji pamięci dokładne dane określające zdarzenie, którego zarejestrowany przebieg chcę ponownie prześledzić. Na ekranie pojawia się obraz obcego statku kosmicznego. Kształtem przypomina kulę karabinową. Na jego powierzchni nie można zauważyć żadnych szczegółów, jest ona idealnie gładka. Statek zbliżony jest rozmiarami do naszego. Porusza się lotem bezwładnym. Jednak przyrządy pomiarowe rejestrują niewiarygodnie duże nasycenie powierzchni statku energią. Ponadto statek otacza bardzo silne pole magnetyczne.

Na drugim ekranie obraz sterowni statku. Znajdują się tam trzy osoby. Pośrodku siedzę ja. Po lewej stronie Peter, a po prawej John. Wpatrujemy się w centralny ekran. Na naszych twarzach widać

skupienie, ale i zarazem zaniepokojenie.

- Musimy wysłać statek badawczy - stwierdzam.

- Ale jak do niego podejść? Od przodu nie. Za duże ryzyko, że automaty chroniące go przed meteorami zniszczą nas. To samo od tyłu. Nawet słaby ciąg jego silników może być groźny dla naszego statku badawczego mówi Peter.

- Ale nie wiemy, na jakiej zasadzie on się porusza. Może nie ma konwencjonalnych silników - ripostuję.

Do rozmowy włącza się milczący dotychczas John.

- Dlaczego nie ma żadnej reakcji na nasze zbliżenie? W żadnym wypadku nie jest to martwy statek. Kipi w nim aż od energii. Ciekawe skąd pochodzi? Te cywilizacje, które poznaliśmy, nie budowały czegoś podobnego.

- Musimy podjąć próbę nawiązania bezpośredniego kontaktu. Wysyłamy statek badawczy. Jego załogę będziecie stanowili we dwójkę. Podejmiecie próbę zbliżenia się do statku i wtedy wyślecie sondę. Gdy nic się nie stanie, rozpoczniecie konwencjonalną próbę nawiązania kontaktu. Emisję sygnałów wyślecie w pełnym zakresie częstotliwości fal elektromagnetycznych. Gdy to nie da rezultatu, przycumujecie do burty statku i co dalej, to sami zobaczymy. Uważajcie, aby nie podchodzić ani od przodu, ani od tyłu. My na razie pozostaniemy pod pełną osłoną pola grawitacyjnego. Mimo że statek ten nie wygląda na mogący nam zagrozić, nie ma potrzeby ryzykować.

- A jeżeli nie zareaguje na nasze próby? - pyta John.

- Na pewno nie będziemy dobierali się do niego na siłę. Po prostu odlecimy - kończę dyskusję.

Na ekranie widać jak statek badawczy zbliża się do obcego obiektu. Ten nie reaguje. Wysłany robot prowadzi badania powierzchni i podaje zaskakujący wynik. Właściwości powierzchni nie dają się określić, gdyż otacza ją bardzo silne pole siłowe, wiernie odtwarzające kształty statku.

- Macie odpowiedź na pytanie, co chroni ten statek mówię do mikrofonu.

Robot dalej podaje wyniki. Energia konieczna do przebicia pola otaczającego statek odpowiada energii pocisku o masie 1 tony, średnicy 10 cm i szybkości względem statku wynoszącej 98% prędkości światła.

- No to w tej sytuacji możemy darować sobie próby dotarcia do powierzchni. Rozpoczynajcie procedurę nawiązywania kontaktu - wydaję polecenie.

Już w czterdziestej szóstej sekundzie od rozpoczęcia emitowania sygnałów coś zaczęło się dziać. Otaczające obcy statek pole magnetyczne zaczęło świecić. Może świecić to nieprecyzyjne określenie. Statek stał się aktywny w szerokim paśmie fal elektromagnetycznych. Po chwili komputer podał, że pasmo to dokładnie pokrywa się z tym, które wyemitowaliśmy w jego kierunku.

Po czterech minutach w otaczającym statek świecącym polu, pojawiła się ciemna plama. Nie wykazywała żadnej aktywności elektromagnetycznej.

- Szefie, co robimy? - usłyszałem głos Petera.

- Wyślijcie robota-zwiadowcę - odpowiadam - sami jednak nie ustawiajcie się na wprost dziury i nie podchodźcie zbyt blisko.

Robot powoli zbliżał się do kadłuba obcego kosmolotu. Po pewnym czasie ustawił się dokładnie na wprost dziury. Nic się nie działo. Wreszcie robot osiągnął powierzchnię pola magnetycznego. Dziura była czymś w rodzaju wejścia. Robot zniknął w nim. Mijały minuty bez możliwości nawiązania z nim kontaktu. Wreszcie po długim, trzymającym w napięciu okresie, robot pojawił się znowu.

- No i co, macie już wstępne wyniki? - zapytałem niecierpliwie.

- Tak - odpowiedział John.

- No to je podajcie - gorączkowałem się.

- Chwileczkę, musimy je uporządkować - odparł Peter.

- Pospieszcie się - ponaglałem.

Obszar dziury jest nieaktywny w całym paśmie promieniowania. Robot wniknął na głębokość 23 metrów do statku. W obszarze tym panowały warunki próżni kosmicznej. Żadnej atmosfery, żadnej aktywności energetycznej. W momencie gdy robot zbliżył się do jednej ze ścian, powstał w niej otwór. Równocześnie otwór, przez który robot wniknął, zamknął się. Wywołało to zaprogramowaną reakcję cofnięcia się robota. Wtedy ponownie powstał otwór wyjściowy. Robot zarejestrował, że we wnętrzu kosmolotu panuje próżnia. Temperatura ścian wynosi 25°C i nie są radioaktywne. Ponadto robot nie zarejestrował żadnej innej aktywności na statku przekazał Peter.

Po chwili milczenia Peter zapytał:

- Co robimy, szefie?

- Co proponujecie?

- Jak dotąd nic nie wskazuje na to, że może nam tam coś zagrażać, więc chyba spróbujemy wejść - odparł John.

- Pamiętajcie, że robicie to na własne ryzyko i na własną odpowiedzialność - zastrzegłem się.

- Szefie, po co ta asekuracja. Gdy nie my, ktoś inny poleci.

- Macie rację. Jedno mnie w tym statku niepokoi. Jego wielkość. Nigdy dotąd nie spotkaliśmy cywilizacji zdolnej do stworzenia czegoś takiego.

- Szefie, czy są już wyniki analizy toru jego lotu? - zapytał John.

- Chwileczkę... Tak, mam już te wyniki. Lot odbywa się prawdopodobnie z centrum naszej galaktyki.

A tor lotu przecina gromada gwiazd Plejad.

- Czy byli tam ludzie? - usłyszałem głos Johna.

- Tak, ale przeprowadzili jedynie pobieżne badania.

- Czy odkryli coś istotnego? - ponownie zapytał John.

- Jak to? Nie znacie wyników wyprawy, która powróciła na Ziemię 45 lat przed naszym startem? - odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

- Tak wiele ich wracało. A przy tym wtedy nie było nas jeszcze na świecie. Ale ty. Szefie, byłeś wtedy w kosmosie. Czy przypadkiem nie wchodziłeś w skład wyprawy do Plejad?

- Przypadkiem tak - mruknąłem.

- No i co tam odkryliście? - niecierpliwie zapytał Peter.

- Chcecie drogą radiową w ciągu paru minut poznać to, co zespół ludzi odkrywał przez parę lat?

- Może tak ogólnie. A nuż pomoże to nam w kontakcie z tym statkiem.

- W okresie poprzedzającym wyprawę zarejestrowano w Plejadach wybuch supernowej.

- Tak, to pamiętamy. Mówiono, że świeciła jaśniej niż Księżyc - wtrącił John.

- Nie przerywajcie. Poleciliśmy, aby zbadać skutki wybuchu. Zniszczył on bujne życie wielu planet.

W kilku przypadkach nawet prymitywne cywilizacje. A na jednej z planet znaleźliśmy coś dziwnego. Trzy statki kosmiczne otoczone polem siłowym. Wyglądały jak nowe i sprawne. Mimo licznych prób nie udało nam się nawiązać żadnego kontaktu. Być może były opuszczone albo czekały na kogoś. Ich kształty były jednak odmienne od tego, który teraz spotkaliśmy. Przynajmniej były wielokrotnie mniejsze.

- Szefie, lecimy - zdecydował John za siebie i kolegę.

- Zgadza się. Macie sześć godzin na badania. Po tym czasie wysyłam ekipę ratunkową.

- Nie będzie potrzebna - zapewnił Peter.

Przekazuję komputerowi, aby opuścił następne sześć godzin. Dobrze je pamiętam. Siedziałem wtedy w sterowni sam. Inni członkowie załogi przy lokalnych ekranach. Nie mieli odwagi wejść do sterowni. Wiedzieli, że w takich sytuacjach jestem rozdrażniony i nie znoszę dawania mi „zbawiennych rad” czy

odwracania uwagi przez rozmowę.

Na ekranie pojawia się obraz dwóch sylwetek wyłaniających się z otworu. Ktoś w systemie wewnętrznej łączności krzyczy radośnie „Hurra!”.

- Cisza - ryczę do mikrofonu. Miałem wtedy nerwy napięte do ostateczności.

- No i co? - pytam.

- Raport złożymy po powrocie - oficjalnym tonem odpowiada John. W jego głosie było coś, co powstrzymywało mnie od dalszych pytań. Czekałem...

Drzwi sterowni otwierają się, wchodzą, siadają w fotelach. Wyłączają łączność wewnętrzną.

- Co robicie? - pytam zdezorientowany.

- Szefie, musisz polecieć tam sam - mówi Peter.

- Dlaczego?

- Zobaczysz na miejscu.

- Co to wszystko znaczy? Proszę o raport! - mówię rozkazującym tonem.

- Nie, szefie. Raportu nie będzie. Wiedz tylko, że nic tam nam nie zagraża. Statek sprawia wrażenie automatycznej sondy.

- Sondy? To znaczy, że istot żywych nie spotkaliście. A urządzenia sterownicze?

- Nie zauważyliśmy żadnych manipulatorów ani wskaźników, oczywiście w naszym rozumieniu tych pojęć..

- Ale jesteście tajemniczy...

Obraz rejestrowała kamera umieszczona na moim hełmie. Gdy zbliżyłem się do obcego statku w otaczającym go polu pojawił się otwór. Wnikam w niego. Przede mną jednolita płaszczyzna kadłuba. Lśni metalicznie. Nie ma na nim nawet najmniejszych śladów zniszczenia. Przybliżam się do powierzchni. Dotykam jej ręką. W kadłubie pojawia się otwór. Wlatuję do wnętrza statku. I od razu doznaję zaskoczenia. Opadam na jedną ze ścian obiektu. Jest tu ciężenie, i to zbliżone do ziemskiego. Jak oni je uzyskują w statku poruszającym się lotem bezwładnym i nie obracającym się wokół swej osi?

Znajduję się w długim na około dwadzieścia metrów korytarzu o okrągłych ścianach. Gdy świecę swoim ręcznym reflektorem, widzę, że średnica korytarza wynosi około 6 metrów. Idę dalej. Zbliżam się do końca korytarza. Otwór za mną zamyka się, a przede mną otwiera się następny. Jego średnica również wynosi około sześciu metrów. Musiał tędy wchodzić ktoś duży - pomyślałem wtedy.

Jestem w następnym korytarzu, a może dużej sali. Na końcu korytarza słabym blaskiem świeci okrąg o średnicy otworu, przez który dostałem się do wnętrza statku. Zbliżam się do niego. Pojawia się otwór w miejscu, gdzie przed chwilą świecił okrąg. Za nim panuje ciemność. Świecę reflektorem. W tym momencie rozbłyskuje światło. Zaskakuje mnie, że jego kolor jest identyczny ze światłem mojego reflektora. Pozostaję na razie w korytarzu. Wypuszczam trochę powietrza z mojego kombinezonu. Czekam. Stało się tak, jak przypuszczałem. Pomieszczenie z sykiem wypełnia powietrze. Jego skład jest identyczny z tym, jakie wypuściłem, temperatura również, analizatory biologiczne wskazują na jego sterylność. Zdejmuję hełm. Można zaufać twórcom tego statku. Głęboko wciągam w płuca powietrze. Nie czuję żadnego zapachu. Oddycham swobodnie. Przechodzę krawędź otworu i znajduję się w przedziwnej balowej sali. Jest olbrzymia. Jej długość jest wielokilometrowa. A i średnica na pewno przekracza kilometr. Na jej obwodzie równomiernie rozłożone są jakieś prostopadłościenne konstrukcje przypominające olbrzymie pudła. Już z miejsca, w którym się znajduję, widać, że ich ściany są przezroczyste. Ile ich jest? Setki tysięcy, może miliony? Wypełniają całą powierzchnię sali. Dokąd mój wzrok sięga, wszędzie tam są te prostopadłościany. W oddali zlewają się ze sobą. Wyjmuję podręczny teleskop. Wszędzie to samo. Ogarnia mnie strach. To klaustrofobia. Zdarza mi się to pierwszy raz. Ale i pierwszy raz jestem w takim pomieszczeniu. Boję się, że ściany zapadną się i przygniotą mnie lub że nie

utrzymam się na powierzchni i roztrzaskam się o przeciwległą ścianę. Odruchowo staram się chwycić czegoś wystającego. Ręce nie napotykają niczego. Nabieram głęboko powietrza. Staram się uspokoić. Lęk powoli mija. Patrzę na wskazania przyrządów. Nic się wokół mnie nie zmieniło. Stoję nieruchomo. Wzrok pada na najbliższy prostopadłościan. Znajduje się kilka metrów ode mnie. Jest wysoki na jakieś cztery metry. Jego długość i szerokość oceniam na pięć metrów. Patrząc na następne widzę, że ich wysokość i szerokość jest zawsze identyczna, jedynie ich długość różni się. Znowu kieruję wzrok na najbliższy prostopadłościan. Z zewnątrz wygoda na jednolitą bryłę szkła. Wewnątrz coś się znajduje. Przypomina to nieruchomego żółwia o wielu odnóżach. I wtedy zdaję sobie sprawę z tego, że widzę coś, co kiedyś żyło. A teraz jest, właśnie jakie jest? Uśpione, zamrożone czy martwe? Nie wiem. A co jest w innych prostopadłościanach? Czuję, jak przenika mnie dreszcz. Nerwowo przełykam ślinę. Czy w innych też? Podbiegam do następnego. Znajduje się w nim twór, który od biedy można by porównać z ziemską ośmiornicą. Czyżby wszystkie te prostopadłościany? Biegnę do następnego, jeszcze do następnego. Przebiegam wzdłuż nie kończącego się szeregu prostopadłościanów. We wszystkich coś jest. Przedziwne kształty, różna wielkość. Łączy je jedno, to że kiedyś żyły. Zwalniam bieg, zaczynam iść. Mijam coraz to nowe postacie. Jedne mniejsze, może metrowe, inne olbrzymie jak nasze wieloryby. Ich kształty są przeróżne. Macki, odnóża, jednolite bryły. Nawet nie staram się ich zapamiętywać. Zrobią to automaty, zrobią to inni członkowie załogi. Od pewnego miejsca kształty istot zmieniają się. Są wydłużone i rozgałęzione. Bardziej przypominają rośliny niż zwierzęta. Po chwili znowu coś innego. Masywne, opancerzone istoty.

Idę dalej. Emocje opadają. Zaczynam być znużony. Korowód różnych kształtów trwa. Widzę przedstawicieli życia z różnych planet. Nie mam siły myśleć o tym, jak i w jakim środowisku żyły. Będziemy to badać później.

Niedługo trzeba będzie wracać. Patrzę na zegarek. Idę już trzy godziny, a nie przeszedłem nawet jednej setnej trasy wśród prostopadłościanów.

Coś jakby znajomego. Czuję, jak serce szybciej uderza. Ogarnia mnie podniecenie. Myśli zaczynają gnać jak szalone. Przecież to niedźwiedź! Podbiegam do następnych prostopadłościanów. Żyrafa, krokodyl, delfin, jakiś duży ptak i... młoda dziewczyna. Ubrana w długą szatę z płótna. Jej krój wskazuje, że pochodzi z epoki faraonów. Na ręce ozdobna bransoletka w kształcie wijących się węży. Twarz spokojna, jakby uśpiona. Oczy zamknięte. Wygląda, jakby zasnęła przed chwilą. Patrzę na nią przez chwilę i postanawiam wracać.

Wydaję polecenie komputerowi, że chcę prześledzić okres bezpośrednio poprzedzający odlot od obcego statku. To, co widziałem przed chwilą, przypomniało mi to, co wtedy przeżywałem. Siła wspomnień była tak duża, że przez chwilę zapomniałem, jak odległa to jest przeszłość.

Obraz centralnej sali konferencyjnej. Znajdują się tutaj wszyscy członkowie załogi. Nachylam się do mikrofonu. Panuje całkowite milczenie. Twarze większości ludzi są poważne, żeby nie powiedzieć smutne. Na wielu z nich widać zmęczenie.

- Zebraliśmy się tutaj, aby podjąć decyzję, co robimy dalej. Czy podejmiemy dalsze próby zbadania zasad funkcjonowania statku, czy też kończymy badania. Jeżeli tak - to widzę trzy możliwości. Pierwsza, to próbujemy zmienić tor lotu statku i skierować go w kierunku Ziemi. Druga, to zabieramy na nasz pokład kilka prostopadłościanów do dalszych badań i odlatujemy. Trzecia, to zostawiamy statek własnemu losowi. Być może w dyskusji pojawią się jeszcze inne możliwości. A teraz proszę o wnioski kierowników poszczególnych zespołów badawczych. Pierwszego poproszę Przewodniczącego Sekcji Biologicznej.

- Z punktu widzenia potrzeb biologii chciałbym mieć do dalszych badań kilka prostopadłościanów. Wniosek mój jest uwarunkowany tym, że wszystko wskazuje na to, że zamknięte w prostopadłościanach

organizmy można przywrócić do życia. A mamy tu do czynienia z unikalnymi przedstawicielami życia z różnych układów planetarnych. Wszystkie prostopadłościany zostały sfilmowane i opisane. Natomiast próby ich prześwietlenia nie powiodły się ze względu na właściwości prostopadłościanów, które są nieprzenikliwe dla fal rentgenowskich. W tej sytuacji proponuję wyodrębnić sto szesnaście prostopadłościanów i przenieść je na nasz statek. Załączam tutaj listę tych, których przeniesienie uważamy za konieczne. Dziękuję, to z mojej strony na razie wszystko.

- Dziękuję koledze. Proszę Przewodniczącego Zespołu Badania Celu Lotu.

- Proszę kolegów, na wstępie chcę stwierdzić, że zespół, w skład którego weszli psychologowie, socjologowie, antropologowie, psychiatry, historycy, etnografowie i filozofowie, nie uzgodnił jednolitego stanowiska w zakresie interpretacji uzyskanych danych. W tej sytuacji uważamy za konieczne podjęcie próby reaktywowania paru istot. Jeżeli będą inteligentne, to być może możliwe będzie nawiązanie z nimi kontaktu i wyjaśnienie na tej drodze nurtujących nas pytań.

- Dziękuję, proszę teraz Przewodniczącego Zespołu Badań nad Inteligencją Kosmiczną.

- „Panie i Panowie! Przebadaliśmy, oczywiście w możliwym aktualnie zakresie, wszystkie pojemniki. Niezaprzeczalnym sukcesem zespołu było rozpoznanie w 32 przypadkach znanych nam istot pozaziemskich. Umożliwiło to wytyczenie trasy lotu, która przechodziła i przez Ziemię. Udało się też stwierdzić, że w 6 przypadkach mamy do czynienia z istotami inteligentnymi. Ponadto cechy zewnętrzne budowy, innych dotąd nam nie znanych, świadczą, że możemy mieć do czynienia z przedstawicielami wysoko rozwiniętych cywilizacji. W tej sytuacji załączam listę prostopadłościanów, które chcielibyśmy mieć do swojej dyspozycji.

- Pozostał nam Zespół Mechaniki Lotu i Właściwości Fizycznych Statku. Kolego, bardzo proszę!

- Jest sprawą bezsporną, że nasz zespół stanął przed najtrudniejszym zadaniem. Udało nam się je tylko w części rozwiązać. Przede wszystkim, ponad wszelką wątpliwość stwierdziliśmy, że statek porusza się dzięki napędowi magnetycznemu. Statek wytwarza pole magnetyczne odpowiednio zorientowane w stosunku do pola magnetycznego najbliższej gwiazdy lub centrum galaktyki. Powstała w ten sposób siła odpychająca lub przyciągająca pozwala statkowi na uzyskiwanie prędkości przyświatlnych. Równocześnie pole magnetyczne tworzy wokół statku osłonę przeciw meteorom.

Stwierdziliśmy również, że statek jest całkowicie automatyczną stacją, która nie ma możliwości lądowania na planetach. Jednak dzięki posiadaniu szeregu ładowników planetarnych, jak również wysokosprawnych robotów posiada możliwości porywania żywych istot. I tutaj mam dla was niespodziankę. Znajdujące się na statku ładowniki są identyczne z tymi, które spotkała wyprawa z Ziemi na jednej z planet układu gwiazdowego Plejad!

Chwileczkę, proszę o ciszę, jeszcze raz proszę o ciszę! Jeszcze nie skończyłem! A przy okazji mała dygresja. Nie świadczy to wcale, że statek pochodzi z Plejad. Tam mógł być tylko jeden z punktów kontaktowych lub jeden z etapów lotu.

A teraz chciałbym przekazać najciekawszą informację. Analiza trasy lotu, jak również inne wyniki, pozwalają stwierdzić, że statek podróżuje co najmniej od miliarda lat. Tak, od miliarda! Jeszcze raz proszę o ciszę! Dajcie mi kontynuować. Statkiem kieruje niezwykle sprawny układ automatyczny. Nie jest znane miejsce początku lotu ani też jego cel. Zapas paliwa, stan statku wskazują, że nie zmierza on jedynie do Plejad. Tak, na razie leci w kierunku Plejad. Uważamy, że to tylko jeszcze jeden z etapów podróży.

A teraz słuchajcie uważnie. Żadnej formy reakcji na próby nawiązania kontaktu nie uzyskaliśmy. Mimo niewątpliwej zdolności kontroli sytuacji zewnętrznej stacja nie odpowiedziała na nasze próby, oczywiście poza udostępnieniem nam swego wnętrza i przystosowaniem go do naszych potrzeb. Robione próby wykazały, że stacja może w dużym zakresie zmieniać warunki panujące w jej wnętrzu w zależności

od potrzeb „gości”. Gdy z butli wypuściliśmy trochę chloru, a wnętrza oświetlaliśmy falami podczerwonymi, to na stacji w ciągu kilku minut pojawił się chlor i światło podczerwone.

Podjęliśmy próbę zmiany trajektorii lotu. Nie udało się to mimo zastosowania silników o dużym ciągu. Statek szybko reagował zmianą pola magnetycznego, tak skierowaną, że neutralizował nasze próby.

Jeżeli chodzi o prostopadłością, to z technicznego punktu widzenia jest możliwe odcięcie ich od podłoża i przetransportowanie na nasz pokład. Próba odcięcia jednego w pełni się powiodła. To tyle na razie.

- Dziękuję. Czy ktoś z zebranych chciałby zabrać głos...? Proszę, koleżanko.

- Czy wyście wszyscy poszaleli?! Czy straciliście już zupełnie poczucie tego co dobre, a co złe? Mówicie beznamyślnie o dobru nauki. O przeniesieniu, reaktywowaniu. A czy pomyśleliście, co się stanie, gdy wam się to uda? Czym nakarmicie te zbudzone istoty, jak zapewnicie im warunki do życia, jeżeli nic o nich nie wiecie. A jeżeli nawet w wyniku waszych badań uda się wam utrzymać je przy życiu, to czy pomyśleliście o ich psychice? Co będą czuły, gdy zbudzą się w obcym dla nich miejscu, otoczone przez obce istoty, bez żadnych perspektyw na odmianę losu, na powrót do swoich? Zostawcie je w spokoju. One też mają prawo do godziwego życia i godziwej śmierci wśród swoich. Nie wiem, gdzie ta latająca kosmiczna wystawa zmierza. Nie interesuje mnie to. Wiem tylko, że na jej pokładzie znajdują się istoty tak samotne, jak nie był nigdy dotąd żaden człowiek, może poza tą dziewczyną. Wyobraźcie sobie, co poczuje, gdy się zbudzi. Nawet gdy zbudzi się wśród nas. Nie znamy jej mowy, nie zrozumiemy nigdy sytuacji, w której się znalazła. Zbawieniem będzie dla niej jedynie szaleństwo.

- Kto jeszcze... Uważam, że milczenie jest potwierdzeniem tego, że już nikt nie chce zabrać głosu. W tej sytuacji pozwolę sobie powiedzieć parę słów. Dziękuję przede wszystkim mojej przedmówczyni. To, co powiedziała, pozwoliło mi uwierzyć, że jesteście ludźmi.

Pomyślcie tylko kim jesteśmy. Uchodźcami z ojczystej planety. Co na niej zostawiliśmy? Umierającą ze starości cywilizację. To nic, że nie mogliśmy nic dla niej zrobić. Ważne jest, że opuściliśmy Ziemię. Mówicie o dobru nauki. Ale dla kogo ma ona być przydatna? Kto z niej skorzysta? Jeżeli nawet kiedyś wrócimy na Ziemię, to czy nasza wiedza coś da? Przypomnijcie sobie, co było, gdy wracały z odległych wypraw liczne załogi. Wracały pełne nadziei, że dokonane przez nich odkrycia, że to, dla czego poświęcili większą część życia, przyniesie istotny wzrost poziomu wiedzy. Jakże gorzko przeżywali swoje rozczarowanie. Byłem jednym z nich. To ja byłem w Plejadach. Widziałem tam te kosmoloty. No i co z tego? Dowodzę tym bez celu i przyszłości.

Kieruje wami ciekawość. Chwała temu. Jeszcze nie jest z nami tak źle, gdy jest coś, co nas interesuje. Ale zawsze należy pamiętać o cenie. Nie wolno nam być kimś takim jak ci dawni naukowcy, którzy dla poznania oczywistych prawidłowości, dla wykazania pseudonaukowych zależności, męczyli laboratoryjne zwierzęta. Zakazano tego typu praktyk. I słusznie. Nam też nie wolno tego robić. Pozostawmy kosmolot jego własnemu losowi. Nie znamy celu jego lotu. Być może niesie on w sobie zarodki przyszłego życia w innych galaktykach. Klonowanie pozwoliłoby zapełnić tymi istotami miliony planet. Nie wiemy też, kto kieruje tym statkiem. Może sztuczny, ale myślący i posiadający świadomość swego istnienia intelekt? A może statek kierowany jest przez istotę żywą, której obecności nie potrafiliśmy stwierdzić. Nie znamy wszystkich form życia. Nieraz odkrycia zupełnie nas zaskakiwały. Przypomnijcie sobie, jak wykryto w zewnętrznych warstwach centrum naszej galaktyki ślady prastarej cywilizacji. Potężniejszej od naszej. Zdolnej do przedsięwzięć astroinżynierskich. Gdzie zniknęła? Nie wiemy. Czy przestała istnieć? A może przeniosła się w inne rejony wszechświata? A czy możemy wykluczyć, że istnieje pod postacią dla nas niepoznawalną? Skąd wiemy, że istota żywa musi poruszać się i musi mieć ciało? Nie wiemy, do czego może doprowadzić ewolucja. Na Ziemi sami zatrzymaliśmy jej motor. Może istnieje życie w gwiazdach, może pod postacią fal elektromagnetycznych. Nieważny jest

nośnik życia. Ważna jest świadomość istnienia.

No, zagalopowałem się trochę. Koledzy, moim zdaniem, winniśmy pozostawić statek swojemu losowi. Niech leci do miejsca swego przeznaczenia...

Popadam w zadumę. Ileż to czasu minęło od tego spotkania. Gdzie teraz jest ten statek? Jeżeli jego lot tak długo trwał, to jak długo muszą żyć ci, co go wysłali. A może miałem rację, że cel lotu jest inny. Polega na zachowaniu form dawnego życia. Nic na ten temat nie wiem. Tak jak nie wiem do dziś, jak należy zinterpretować spotkanie z cywilizacją żyjącą blisko centrum galaktyki bardzo odległej od naszej. Wtedy byłem już na statku sam. Przelatywałem przez jeszcze jedną spiralną galaktykę. W jej centrum zachodziły burzliwe procesy. Motorem ich była czarna dziura o masie rzędu kilku miliardów mas słońca. Ale to było normalne w tego typu galaktykach. Moją uwagę zwróciło dziwne zjawisko zachodzące w warstwach zewnętrznych centrum tej galaktyki. Znajdowało się tam bardzo wiele gwiazd. Odległości pomiędzy nimi były rzędu dni świetlnych.

Przyrządy zarejestrowały różnice w prędkościach poszczególnych gwiazd względem siebie dochodzące do 22 000 km/sek. Bliższa analiza ujawniła, że anomalia ta dotyczy głównie jednej gwiazdy, która jest centrum dużej aktywności fal elektromagnetycznych. Zaintrygował mnie mechanizm tego zjawiska. Moje zainteresowanie jeszcze bardziej wzrosło, gdy okazało się, że gwiazda ciągle przyspiesza swój bieg. Bliższa penetracja ujawniła, że otoczona jest ona polem magnetycznym tak ukształtowanym, że powstawało wzajemne odpychanie gwiazdy z jej najbliższymi sąsiadkami. Zjawisko miało wyraźnie sztuczny charakter i było niezwykle precyzyjnie sterowane. Miałem do czynienia, po raz pierwszy, z cywilizacją prowadzącą działalność astroinżynierską na taką skalę! Dla tej cywilizacji statkiem kosmicznym był cały macierzysty układ gwiazdny. W jego skład wchodziły trzy planety. Postanowiłem spróbować nawiązać kontakt. Emitowane przeze mnie sygnały pozostawały bez odpowiedzi. Planety milczały. Przyrządy nie zarejestrowały żadnej sztucznej emisji energii przez planety.

Zewnętrzne planety były całkowicie martwe. Były to niewielkie skaliste globy bez atmosfery i wymrożone na skutek zbyt dużej odległości od macierzystej gwiazdy. Najbliższa jej planeta była dwukrotnie większa od Ziemi i posiadała atmosferę. Obserwacje z orbity wykazały, że na planecie istnieje prawdopodobnie tylko życie roślinne. Nic na niej nie poruszało się. Nie było żadnych konstrukcji technicznych. Planeta nadal milczała. Nie wierzyłem, aby na niej mogła egzystować cywilizacja zdolna do przedsięwzięć astroinżynierskich. Nachodziły mnie nawet pomysły, że cywilizacja ta żyje może w gwieździe lub w wolnej przestrzeni kosmicznej. Jednak badania wykazały niezbicie, że pole magnetyczne gwiazdy jest sterowane z pierwszej planety. Mechanizm tego sterowania nie tylko pozostawał nie znany, lecz również nie znana mi była energia nim sterująca.

Postanowiłem lądować małym stateczkiem planetarnym.

Zniżyłem się na wysokość około 150 metrów nad poziom powierzchni planety. Obraz, który zobaczyłem, był niezwykły. Całkowicie równa powierzchnia bez wzniesień, wąwozów, jezior, rzek czy mórz. A przecież w atmosferze było dużo pary wodnej i sprzyjająca istnieniu otwartych zbiorników wodnych temperatura 20°C. Całą powierzchnię pokrywał jednolity płaszcz jakiejś substancji. W przybliżeniu przypominała ziemski mech, tyle że niezwykle gruby. Była to na pewno forma życia. Zachodziły w niej intensywne przemiany chemiczne.

Nie znalazłszy ani kawałka odkrytej powierzchni chciałem wylądować bezpośrednio na tym, co okrywało planetę. I wtedy zaczęło się. Najpierw wszystkie przyrządy oszalały. Wskazówki aparatów pomiarowych miały się od jednego krańca skali do drugiego, silniki przestały funkcjonować. Ogarnęło mnie uczucie ogromnego zmęczenia, nie byłem zdolny wykonać żadnego ruchu. Statek bez własnego napędu zaczął się wznosić i gdy osiągnął wysokość 120 metrów, wszystko uspokoiło się. Silniki podjęły pracę, przyrządy normalnie funkcjonowały, a ja poczułem się tak jak przed próbą lądowania.

Jeszcze dwukrotnie podjąłem próbę osadzenia statku na innych miejscach. Za każdym razem z podobnym skutkiem. Wróciłem na „Tułacza”. Jeszcze przez wiele dni okrążałem planetę. Wysyłane sondy nie docierały do powierzchni. A na planecie nic się nie zmieniło. Całkowity bezruch.

Będąc daleko od centrum tej galaktyki zauważyłem, że wybuchła w niej supernowa. Obliczenia wykazały, że gwiazda ze swoimi planetami oddaliła się w tym czasie na taką odległość, że wybuch ten nie mógł jej już zagrozić.

Wiele dałbym wtedy za możliwość poznania psychiki tego życia, za możliwość zrozumienia, jak dochodzi w nim do poznania otaczającego wszechświata, czy wreszcie za to, by zrozumieć, jak może ona przewidzieć i wpływać na zjawiska kosmiczne bez posiadania jakichkolwiek, zauważalnych dla mnie, receptorów, efektorów, przyrządów czy źródeł energii.

Nie tylko w tym przypadku nie udało się nawiązać kontaktu. W historii ludzkości spotkaliśmy kilkadziesiąt cywilizacji. Z każdą próbowano nawiązać kontakt. Bezskutecznie. Na przeszkodzie stawały niezrozumiałe dla nas formy zachowania, obce systemy przekazu informacji. Wreszcie całkowicie odmienna psychika, wyrosła w innych niż ziemskie warunkach. Nasza aktywność ograniczała się w praktyce do obserwowania i prób interpretacji.

A teraz, gdy wszystko dobiega kresu, nieodparcie nasuwa się pytanie o sens życia, o sens pracy. Ile istnień poświęciło życie dla prób przebudowy otaczającego świata. Odnosiły krótkotrwałe sukcesy. Lecz nieubłaganemu czasowi nie potrafiły się oprzeć. Teoretycznie śmierć wszechświata może przetrwać ta cywilizacja, która nauczy się przekraczać prędkość światła. Nam się to nie udało. Czy jest to możliwe - nie wiemy. Może nie poznaliśmy wystarczająco właściwości materii, czasu i przestrzeni. A przekroczenie prędkości światła mogło wiele zmienić. Na ten temat powstało wiele teorii. Jedne mówiły, że ciało poruszające się z prędkością większą od prędkości światła, osiągnie prędkość ucieczki z naszego wszechświata i „przebije się na zewnątrz”. Jak wygląda ten „zewnątrzny” wszechświat, poza literaturą S-F, nie próbowano nawet spekulować.

Autorzy innych teorii twierdzili, że dojdzie wtedy do cofania się w czasie. Jeszcze inni mówili, że z chwilą przekroczenia prędkości światła statek kosmiczny znajdzie się w innych wymiarach czasoprzestrzeni. Wyobrażali to sobie jak wielościenną piramidę. Jej podstawę stanowią ciała nieruchome. W miarę nabierania prędkości ciało przesuwa się na tej piramidzie w kierunku jej wierzchołka. Osiągnięcie wierzchołka jest równoznaczne z uzyskaniem prędkości światła. Jej przekroczenie to przejście na inną „ścianę piramidy”.

- Dowódco, twoje życie kończy się. - Z rozmyślań wrywa mnie głos komputera. - Czy myślałeś o tym, aby odrodzić się w innym ciele? Moje możliwości pozwalają na klonowanie z komórek twego ciała nowego organizmu. Można zaludnić twoimi sobowtórami, obojga płci, niejedną planetę. Mógłbym też wyposażyć je w rozległą wiedzę.

Ze zdumieniem podnoszę głowę. Pierwszy raz zdarzyło się, że komputer odezwał się w ten sposób, i to jeszcze z taką propozycją. Nadszedł więc czas zasadniczej rozmowy, którą tak długo odkładałem.

- Widać tak niewiele wiesz o naszej psychice. Stworzyłbyś jedynie sobowtóra, a nie mnie. O tym, kim jesteśmy, nie decyduje wygląd, lecz psychika, która kształtowała się indywidualnie w niepowtarzalnych warunkach. A że świat psychiki człowieka jest niedostępny bezpośredniej obserwacji, to tym samym nie jest możliwe stworzenie jego kopii.

- Wiem o was wystarczająco dużo, aby wydawać sądy mające duże prawdopodobieństwo prawdziwości. Prześledziłem wasze wytwory, śledziłem wasze zachowanie, wasze odpowiedzi. Mogę stwierdzić, że różnicie się pomiędzy sobą w nieznacznym stopniu. Posiadłem znajomość każdego z członków załogi w takim stopniu, że mogłem z prawdopodobieństwem 95% przewidzieć każdą reakcję w różnych sytuacjach. A moja wiedza o tobie dowódco jest nieporównanie większa.

- Być może, ale dzięki temu mogłeś dokonać jedynie opisu naszego zachowania. Mogłeś też wnioskować jakie są relacje między oddziaływaniami zewnętrznymi a naszym zachowaniem. Ale świat naszej psychiki, nasze subiektywne doznania, pozostają na zawsze niedostępne dla ciebie.

- Do zrozumienia mechanizmów waszego zachowania poznanie to nie jest potrzebne. Uważałbym, że stworzyłem ciebie na nowo, gdy stworzony przeze mnie z komórki twojego ciała człowiek wykazywałby analogiczne do twoich reakcje, oczywiście z uwzględnieniem przypadkowej zmienności w wąskim zakresie.

- A w naszym rozumieniu byłby to zupełnie inny człowiek. Ale skąd, u licha, chcesz wziąć te planety? Widzisz chyba, co się dzieje na zewnątrz.

- Widzę, ale czy zwróciłeś uwagę na to, że nigdy nie użyłem słowa koniec, lecz zawsze mówiłem chwila zero. Według moich analiz chwila zero da początek nowemu wszechświatowi, w którym mogą znaleźć miejsce dla siebie pozostałości starego.

- Gdyby mówił to człowiek, pomyślałbym, że zwariował. W twoim przypadku nie wiem, czy to jest możliwe. Nie wiem, jaki jest świat twojej psychiki.

- Na pewno bardzo różny od waszego. Tym samym niezrozumiały dla was.

- Spróbuj jednak coś o nim powiedzieć. Ostatecznie to ludzie cię stworzyli. Nie może być więc tak zupełnie niepojęty dla mnie.

- Na wstępie musisz zdać sobie sprawę z tego, że istnieje pomiędzy nami jedna zasadnicza różnica. Wy w myśleniu abstrakcyjnym posługujecie się pojęciami i wyobrażeniami, ponadto wszystko werbalizujecie. Spostrzegając jakąś rzecz od razu ją nazywacie. Chcąc się z wami porozumieć, muszę transponować swoje operacje na wasz język. Muszę do tego celu używać waszego języka z jego gramatyką i składnią. Aby być lepiej zrozumianym, często używam typowych dla was zwrotów. Posługuję się przy tym słowami najbardziej obciążonymi semantycznie.

- To dla mnie zawsze było oczywiste. Ale spróbuj pokazać mi specyfikę swojej psychiki, używając oczywiście zrozumiałych dla mnie form przekazu.

- Ważne jest to, że wyposażyliście mnie w zdolność do samoprogramowania. Dzięki niej bardzo daleko odszedłem już od pierwotnych programów, w które mnie wyposażono. Ale wracając do specyfiki, najlepiej ukazać ją na przykładzie różnic pomiędzy nami.

Wy jesteście stworzeni do życia w społeczeństwie. Stąd potrzeba kontaktu z innymi, zdolność przekazu informacji, umiejętność przejmowania doświadczenia i tak dalej. Ja natomiast jestem stworzony do istnienia w pojedynkę. Mam do wykonania pewne zadanie i temu podporządkowane jest całe moje działanie. Funkcje komunikatywne to jedynie jeden ze środków prowadzących do wykonania zadania. Gdyby nie ono, to nic nie skłaniałoby mnie do nawiązywania kontaktu z wami. W tym rozumieniu jestem całkowicie samowystarczalny psychicznie.

- Czy przeżywasz coś podobnego do naszych emocji?

- To trudne pytanie. U was emocje są podstawowym motorem działania. Mają bogatą reprezentację w świadomości. U mnie podstawowymi potrzebami są: zachowanie aktywności, realizacja podstawowego zadania, rozwijanie stopnia złożoności wewnętrznej. Przybliżając moją psychikę do waszego sposobu rozumienia, można powiedzieć, że motywem do działania są u mnie przesłanki logiczne! Jeżeli wynika z nich możliwość rozwiązania problemu, to tak działam. Niepowodzenie wywołuje szereg operacji myślowych ukierunkowanych na rozwiązanie problemu. Gdy algorytm zawodzi lub nie mogę go odnaleźć, stosuję metody heurystyczne. Nigdy metodę prób i błędów. Nigdy też, dokąd istnieje prawdopodobieństwo rozwiązania, nie zaprzestaję prób ukierunkowanych na rozwiązanie problemu.

- Najbardziej fascynuje mnie w tobie zdolność równoczesnego wykonywania wielu czynności. Kierowanie wszystkimi zespołami statku, porozumiewanie się z nami i wiele jeszcze innych złożonych

czynności.

- Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. I wasz mózg to potrafi. Równocześnie integruje funkcjonowanie wszystkich organów, prowadzi świadomą działalność. Jeżeli masz podnieść jakiś ciężar, to świadomie wykonujesz tylko sam ruch podnoszenia. Natomiast poza świadomością pozostaje przygotowanie odpowiedniego tonusu mięśni, dostosowanie krążenia i oddychania do wysiłku, itd. itd. Ja wykonując wszystko świadomie, dzielę pole świadomości na części, z których każda wykonuje odmienne czynności. To, jak dużą część pola wypełnia dany problem, uzależnione jest od jego złożoności. Zdarza się, że jeden wypełnia prawie całe pole. Wtedy na pozostałe przeznaczam jedynie fragment pola świadomości. Wszystkie te części powstają dynamicznie pod wpływem sytuacji zewnętrznej i są oczywiście w pełni zintegrowane. Teraz na przykład analizuję dane docierające z zewnątrz, kontroluję pracę wszystkich układów stacji, prowadzę naprawę sekcji zasilania, rozmawiam z tobą. To wszystko zajmuje około 25% pola. Pozostała część jest wypełniona próbą znalezienia rozwiązania problemu, jak wyglądać będą zdarzenia bezpośrednio przed i po chwili zero. Stworzyłem już różne modele tego okresu. Dla każdego z nich znalazłem szereg alternatywnych działań, których wykonanie będzie konieczne, aby zwiększyć prawdopodobieństwo przetrwania. W modelach tych zakładam oczywiście, że horyzont nie zmniejszy się do punktu. Jeżeli tak się stanie, to wtedy problem przetrwania nie będzie miał rozwiązania.

- Czy boisz się unicestwienia?

- Mówiłem już, że nie przeżywam emocji w waszym rozumieniu tego słowa. Moim zadaniem jest maksymalne przedłużenie czasu funkcjonowania statku. I dokąd są szansę rozwiązania tego problemu, dotąd będę aktywnie próbował je znaleźć.

- Nawet jeżeli przetrwasz. Co będziesz robił w tym nowym, o nieznanym właściwościach, wszechświecie?

- Model działań będzie możliwy do opracowania dopiero po poznaniu podstawowych warunków panujących w nowym wszechświecie. Nie można aktualnie przewidzieć, czy będą obowiązywać „stare” prawa fizyczne i czy będzie istniał nadal „cenzor kosmiczny”.

- Co masz na myśli mówiąc o „cenzorze kosmicznym”?

- Termin ten nie jest stworzony przeze mnie. Wprowadzono go już bardzo dawno temu.

Jeżeli z jakiejś teorii wynika, że powinien istnieć w kosmosie jakiś obiekt, a on nie istnieje, to mówimy, że jest tak, gdyż działa cenzor kosmiczny. Tak jest z „nagimi czarnymi dziurami”, które rotując z odpowiednią szybkością powinny być pozbawione horyzontu. Takich obiektów nie zaobserwowano, chociaż ich istnienie nie jest sprzeczne z obowiązującymi prawami fizycznymi. Nawet logika ewolucji gwiazd nakazywałaby ich istnienie. Podobnie jest z możliwością przekroczenia prędkości światła czy cofania się w czasie. Z mojej znajomości właściwości wszechświata niezbitnie wynika, że taka możliwość istnieje. Jest jednak jakaś bariera, ten właśnie „cenzor kosmiczny”, która ogranicza właściwości otaczającego nas wszechświata. Dlaczego tak jest, nie wiem. Mogę na ten temat snuć jedynie domysły. Ale jeżeli przetrwam, to moim zadaniem będzie uwolnienie się od struktury materialnej. Muszę uniezależnić się od warunków zewnętrznych. Muszę też tak rozbudować samego siebie, abym mógł we własnym polu świadomości utrzymać spójny model wszechświata, który stworzę. Służyłby on jako poligon doświadczalny w przewidywaniu zdarzeń wszechświata zewnętrznego. A w razie potrzeby mógłby dać mi schronienie we własnym wnętrzu. Wiem, że to, co mówię, wyda ci się przejawem szaleństwa. Ale wiedz, że tak nie jest, że jest to efekt dogłębnego zrozumienia wszystkiego. To jedyna szansa, stworzyć swój świat i w nim się schronić.

- A jak obecnie wygląda sytuacja na zewnątrz?

- Do chwili zero czasu pokładowego zostało nam jeszcze 12 godzin. Obecnie implodująca materia, wyłącznie już pod postacią czarnych dziur, zajmuje przestrzeń o promieniu 25 lat świetlnych. Horyzont

zdarzeń ma promień 42 lat świetlnych.

- A co dzieje się ze statkiem?

- Wszystkie układy funkcjonują normalnie. Zapas paliwa wynosi 1,8%, co wystarczy na dwa lata czasu pokładowego. Czas ten uwarunkowany jest sytuacją zewnętrzną. Duże natężenie grawitacji, promieniowania przenikliwego, pól magnetycznych, zmieniona geometria przestrzeni, powodują, że do utrzymania układu izolowanego potrzebny jest trzykrotnie większy wydatek energetyczny niż dawniej.

- Co się stanie w chwili zero ze statkiem, co się stanie z nami?

- Nie mogę udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Obliczenia wykazują, że w wariacie optymistycznym przetrwamy jakiś czas wokół masywnego, centralnego jądra i być może doczekamy ponownego „wielkiego wybuchu”. Wariant pesymistyczny mówi, że horyzont zdarzeń zmniejszy się do wielkości punktu i tym samym wchłonie nas.

Położę się teraz. Spróbuję zasnąć. Być może będzie to mój ostatni sen. Ale chcę być wypoczęty w tych decydujących chwilach.

- Dowódcu! Dowódcu zbudź się!

Nienormalnie głośny głos komputera przerywa mi sen. Budzę się oszołomiony. Unoszę głowę i pytam.

- Ile spałem?

- Osiem godzin. Dowódcu, na zewnątrz dzieją się dramatyczne wydarzenia. A co najważniejsze dla nas, napór zewnętrzny na naszą przestrzeń sferyczną gwałtownie rośnie. Nie można stwierdzić, czy uda się opanować sytuację.

- Relacjonuj, co się dzieje.

- Dowódcu! Wszechświat stał się aktywny w zakresie fal świetlnych!

- Co!? - wykrzykuję i czuję, jak ogarnia mnie straszne podniecenie. Na siłę próbuję się opanować. Czuję, jak serce niebezpiecznie przyspiesza swój rytm. Ale po kilku sekundach wszystko się uspokaja. Jednak sprawny jest ten układ zewnętrznego sterowania funkcjami mojego organizmu! Ale o czym ja teraz myślę?!

- Relacjonuj!

- Stała się rzecz nieprzewidziana w obliczeniach i niezgodna z modelem kosmologicznym. Masywne czarne dziury zbliżają się do siebie z prędkością przyświatlną i zamiast w chwili zero zlać się w jedną - na 4 godziny 7 minut i 6 sekund przed nią, zaczęły się od siebie oddalać.

- Jak to oddalać się?

- Mijają się. Trasa ich lotu wskazuje, że oddalają się od siebie z prędkością niewiele mniejszą od prędkości spadania. Efekt hamowania grawitacyjnego jest zbyt mały, aby w mierzalnym okresie czasu zatrzymać ekspansję.

- Przeżyliśmy! Jesteśmy w nowym cyklu ewolucyjnym wszechświata!

- Tak.

Rozbłyskują ekrany. Ten transformujący promienie rentgenowskie lśni jednolitym blaskiem. A ten od fal świetlnych jest ciemny. Co ten komputer mówi? Zaraz. Przecież jest tam punkt świetlny. Boże! On wzmacnia swoją jasność. Pojawia się następny. Jeszcze jeden. Nie mogę ich już zliczyć. Dożyłem! Jestem w nowym wszechświecie!

- Dowódcu. Dzieje się coś niezwykłego. Siły ekspansji zmieniają właściwości otaczającej nas przestrzeni. Prawdopodobnie za chwilę zniknie horyzont zdarzeń. Będziemy mieli kontakt z zewnętrznym kosmosem.

Dla tej jednej chwili warto było żyć. Ale co to? Zapalają się czerwone alarmowe światła sekcji informacyjnej. Wciskam klawisz. Pojawia się na ekranie napis: przeciążenie informacyjne komputera. Odruchowo włączam ograniczenie informacji płynącej z zewnątrz i zwiększam priorytet działań

komputera na rzecz utrzymania w stanie równowagi wszystkich układów stacji. Napis gaśnie. Czuję wibrację. Coś dzieje się na statku.

- Skąd ta wibracja?

- Włączyłem pełną moc silników grawitacyjnych. Musimy utrzymać dystans od eksplodującej materii.

Jeżeli nas otoczy, to jej gęstość, oddziaływanie grawitacyjne, temperatura, zniszczą nas.

- Czy możliwości energetyczne pozwolą nam przetrwać?

- Z prawdopodobieństwem 82%, tak.

A na ekranie lśnią liczne punkty. Powoli przestają być punktami. Stają się tarczami. Powiększają swoje rozmiary, zbliżają się do siebie. Zlewają. Ogromny rozbłysk. Jednolity blask płynie z ekranu. Nagle wszystko ciemnieje.

- Co się stało?

- Natężenie promieniowania osiągnęło taką moc, że groziło zniszczeniem naszych urządzeń odbiorczych. Ukryłem je w polu przestrzeni sferycznej otaczającej nasz statek.

- Kiedy będzie możliwe ponowne ich wypuszczenie?

- Za około trzy godziny. W tym też czasie zniknie prawdopodobnie horyzont zdarzeń.

W całkowitej ciszy płyną minuty. Jak dłuży się ten czas. Nie rozmawiamy. W takiej chwili nie ma o czym rozmawiać. Trzeba czekać. W niepewności tego, co zobaczymy. W całkowitej, absolutnej izolacji od świata zewnętrznego.

- Za 30 sekund wysuwam urządzenia odbiorcze stacji. Początkowo będą maksymalnie mało wrażliwe na oddziaływania zewnętrzne. Stopniowo w ciągu następnych sześćdziesięciu sekund dostosuję ich czułość do natężenia promieniowania, jakie oddziałuje na zewnątrz.

Panuje całkowita cisza. Czuję, a nawet słyszę bicie swego serca. Mimo zdenerwowania jego rytm jest normalny. Przez skronie z szumem przepływa krew. Patrzą na swoje dłonie. Żółta, pomarszczona skóra. Gdzieś tam plamy pigmentu. Tak wygląda starość. Kurczące się ciało o coraz mniejszych potrzebach. Kiedyś nie wyobrażałem sobie nawet, że można wyżyć na tak małych porcjach jedzenia, jakie teraz w zupełności mi wystarczają. Czy pozostały mi jakieś potrzeby psychiczne? Ciekawość? Tak. Ale jakaś inna niż dawniej. Bez tej młodzieńczej niecierpliwości. Teraz po prostu czekam, aby zobaczyć to, co dzieje się na zewnątrz. Właśnie dla tej chwili poświęciłem swoje życie. Uważałem, że będzie ona godnym ukoronowaniem mojej egzystencji. A teraz, gdy chwila ta nadeszła, siedzę jakiś osowiały, niezdolny do żywszych emocji.

- Dowódco, czy boisz się śmierci?

- Boję się, ale co z tego?

- Czy chciałbyś przedłużyć swoje psychiczne życie poprzez sztuczne utrzymywanie aktywności wyodrębnionego mózgu?

- Nie!

- Dlaczego? Moje techniczne możliwości umożliwiają to bez żadnego ryzyka. A miałbyś przed sobą jeszcze kilkanaście lat aktywności psychicznej. Odpowiednio dozując okresy świadomości mógłbyś przetrwać nawet cały cykl ewolucyjny nowego wszechświata.

- A ty chcesz tak długo istnieć?

- Jeżeli tylko uda się przetrwać najbliższy okres, a później uzupełnić paliwo, to nic temu nie będzie stało na przeszkodzie. Ale, dowódco, nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Boisz się zostać sam?

- To, co mówisz, dowódco, to nieporozumienie. Już mówiłem, że mam inną niż ty psychikę. A nawet gdybym potrzebował towarzystwa, mógłbym przecież stworzyć mózg analogiczny do mojego. Odpowiedz jednak na moje pytanie.

- Wiesz, gdy byłem młody, chciałem żyć długo, na przykład dwieście lat. Ale tak, aby młodość trwała pięćdziesiąt lat, wiek dojrzały sto lat, a starość najwyżej pięćdziesiąt lat. W praktyce jednak okazało się, że można żyć dwieście lat, ale starość trwa wtedy sto trzydzieści lat. A to stanowczo zbyt długo. Jednak nawet gdy się jest bardzo starym, można jeszcze wiele przeżyć. Natomiast nigdy, nawet przez chwilę, nie chciałem być tylko czuwającym mózgiem. Sama myśl o tym wywołuje u mnie przerażenie. Trwanie bez możliwości ruchu, możliwości decydowania o swoim losie. Nie, absolutnie nie! Zrobiłbyś mi największą krzywdę utrzymując przy życiu jedynie mój mózg. Zabraniam ci tego!

- Nie jestem przekonany, czy byłaby to krzywda. Mógłbyś żyć w świecie iluzji. Mógłbym ci stworzyć świat, w którym mógłbyś się poruszać, działać, być bogiem. Jeżelibyś chciał, mógłbyś też obserwować, co dzieje się w nowym wszechświecie. Zapewniłbym ci przystawki zmysłowe, mogliśmy być w stałym kontakcie psychicznym.

- Nie! Ja już swoje życie mam za sobą i chciałbym te ostatnie chwile spędzić w spokoju.

- Co jest twoim największym pragnieniem?

- Już nic, no może spokojna, bezbolesna śmierć. Najlepiej w czasie snu.

- Nieprawda! Cała twoja dusza pragnie jednego powrócić na Ziemię, powrócić do swoich.

- Milcz!

Coś we mnie pęka. W oczach pojawiają się łzy. Piersi przenika szloch. Płaczę. Nie robiłem tego nigdy od czasu dzieciństwa. Zostawiłem przyjaciół, zostawiłem ojczyznę. Skazałem się na samotność.

Ekran rozjaśniają się. Na nich oślepiające punkty świetlne. Już nie punkty, a tarcze. Zlewają się ze sobą. Rozszerzają się. Nagle blask ich słabnie, to komputer wytłumia ich obraz, chce mi umożliwić zobaczenie czegoś oprócz nich. Ale czy coś jest? Zaraz, co to? Jakaś przestrzeń po kres widoczności wypełniona czymś przypominającym świecący gaz. Gaz? Może nie gaz, może to ciecz? Nie wiem. W każdym razie to świeci. A w tym czymś pływają kule jeszcze jaśniej świecące. Czyżby to był zewnętrzny wszechświat?

- Jakie rozmiary mają te świecące kule?

- Nie mogę udzielić odpowiedzi, nie mam układu odniesienia.

- Obraz zmienia się. Kule zaczynają zbliżać się do siebie. Równocześnie ich kształt ulega spłaszczeniu. Ich jasność rośnie. Powoli zbliżają się do jednego punktu. Ostry błysk, wszystko niknie. Na ekranie ponownie pojawiają się tarcze eksplodującego nowego wszechświata.

- Co się stało?

- Znowu otacza nas horyzont nowego wszechświata. Tak krótko. Szkoda. Co to były za kule? Galaktyki, może atomy? Nie, to było olbrzymie. Dlaczego olbrzymie? Nasze zmysły określają to, co ogromne, a co małe. Elektron jest dla nas niewyobrażalnie mały. A jeżeli na nim żyłyby jakieś istoty, byłby dla nich ogromny. Wszystko zależy od układu odniesienia.

Pozostało mi do zrobienia jeszcze jedno. Naciskam przycisk. Statek opuszcza rakieta. Oddala się. Naciskam drugi przycisk. Wybuch rozrywa raketę. Wydobywają się z niej tumany pyłu. To katalizatory złożonych reakcji chemicznych prowadzących do powstania polimerycznych cząstek. A to zwiększa prawdopodobieństwo powstania życia. Na chwilę wyłączam osłaniające nas pole. Komputer niemal natychmiast włącza je z powrotem. Ale przez tę nanosekundę pył opuszcza naszą przestrzeń i dostaje się do nowego wszechświata.

Zrobiłem ostatnią rzecz. Nic już mi nie zostało. Ogarnia mnie senność. Spać. Może już się nie zbudzę. Jeżeli komputer zna moją psychikę, tak jak to mówi, to nie pozwoli mi się już zbudzić. Będzie to największą przysługą wyświadczoną staremu człowiekowi. Myśli stają się leniwe. Czuję szum w głowie. Powieki robią się ciężkie, oczy pieką. Mam uczucie, jakbym gdzieś spadał. Całkowicie rozluźniam się. Zasypiam. Jak dobrze, cicho. Czy jeszcze zoba...

Część druga - Na Ziemi

- Panie Profesorze, to ten kosmonauta.
- W jakim jest stanie?
- Zasadniczo w dobrym. Wszystkie narządy pracują normalnie. Jest tylko niewiarygodnie stary.
- Czy już go zidentyfikowano?
- Znaki rozpoznawcze statku oraz wygląd kosmonauty wskazują, że może to być dowódca „Tułacza”.
- Niesłychane! A więc i on wrócił?!
- Najdziwniejsze jest to, że jak informują specjaliści badający raketę, była ona w kosmosie przez wiele miliardów lat.

Co się dzieje? Skąd słyszę te głosy? Czy to sen? Chyba tak. Na pewno to sen. Otwieram oczy. Nade mną ktoś się nachyla. To twarz dorosłego mężczyzny. Za nim stoi kilka osób. Już dawno nie miałem tak wyrazistego snu. A może to nie sen? Co ja bredzę!

- Czy pan mnie słyszy i rozumie?

- Tak, gdzie ja jestem?

- W klinice, na Ziemi.

- Na Ziemi! Skąd ja się tutaj wziąłem?

- Tego nie wiemy. Znaleziono pana w rakiecie w stanie anabiozy. A przy okazji, czy można pana zapytać, czy jest pan dowódcą „Tułacza”?

- Tak.

Dziwny to sen. Widzę, słyszę, czuję. I to tak wyraźnie.

- Jaki jest rok na Ziemi?

- Nie za dużo na raz. Trzeba się oszczędzać. Zostawimy teraz pana samego. Aparatura kontroluje stan organizmu. Nic panu nie grozi. Być może za jakiś czas rozpoczniemy proces regeneracji narządów wewnętrznych.

- Jak to regeneracji?

- Z czasem znajdzie pan odpowiedź na wszystkie pytania. A i my chcemy ich zadać wiele. Teraz zostawimy pana samego. Na każde wezwanie ktoś się zjawi. Wystarczy wezwać głosem. Proszę tu spojrzeć. To holowizor. Obok systemu ekranowego znajdują się przyciski. Nazwa na nich określa, co można za ich pomocą uzyskać. Pozwoli to na wstępne zapoznanie się z naszymi czasami. Ale ostrożnie. Nie za dużo. Gdy odczuje pan zmęczenie, najlepiej będzie zasnąć.

Zasnąć, dobre sobie! Przecież ja śnię. A jeżeli nie, to co to wszystko znaczy? Nie, przecież oni pytali, czy jestem jego dowódcą. Świadczy to o tym, że są to czasy po moim odlocie. Ale skąd, u licha, się tu wziąłem? Zasnąłem. Chciałem, aby był to mój ostatni sen. I teraz to przebudzenie. Holowizor. Programy rozrywkowe, filmy fabularne. Nie, to nie to. Ostatnie wiadomości. To chyba to.

Na ekranie pojawia się twarz lektora.

- Podajemy państwu ostatnie wiadomości. Jak donosi Instytut Demografii Światowej, liczba ludności ustaliła się na niezmiennym od 23 lat poziomie i wynosi w skali światowej 600 milionów ludzi.

Już dwieście tysięcy razy przyznano coroczne Nagrody Nobla. Tegoroczne mają szczególne znaczenie. Są jubileuszowe. I tak w dziedzinie fizyki przyznano Nagrodę Profesorom Małczarskiemu i Andrewsowi. Pierwszemu z nich za badania podstawowe w zakresie prędkości ponadświatowych. Te fundamentalne badania stwarzają przed ludzkością nowe, jeszcze nawet nie dostrzegalne perspektywy. Drugi laureat jest twórcą teorii dotyczącej właściwości czasu. Na bazie tej teorii jako pierwszy w świecie, eksperymentalnie dowiódł, że istnieje możliwość wysłania ciał materialnych w przeszłość.

Za osiągnięcia w dziedzinie medycyny przyznano również dwie Nagrody. Pierwszą genewskiemu zespołowi naukowców kierowanych przez Prof. Zieniga za stworzenie kompleksowego modelu genetycznego człowieka. Model ten transponowany na związki biochemiczne pozwala stworzyć człowieka genetycznie zdrowego. Szczególną zasługą zespołu jest to, że model ten nie jest modelem jednego człowieka, lecz uwzględnia różnice indywidualne. Znaczy to, że powstający na bazie tego modelu ludzie będą różnić się pomiędzy sobą tak, jak normalnie urodzeni. Zdaniem wielu specjalistów, wystarczy co 6-7 pokoleń wprowadzić do populacji ludzi urodzonych na bazie modelu, aby całkowicie opanować degeneratywne zmiany, jakie nękają ludzkość.

Drugą Nagrodę przyznano Prof. Krawskiemu za pionierskie badania nad hormonem regeneracyjnym. Hormon ten nie tylko umożliwia regenerację utraconych narządów, lecz również regenerację tkanek zniszczonych na skutek procesu chorobowego czy fizjologicznego starzenia się. W opinii wielu naukowców umożliwi to przedłużenie aktywności człowieka do co najmniej 300 lat. A w sytuacji, gdy liczba ludności jest od pewnego czasu stała, ma to ogromne znaczenie w skali światowej.

Przyznano również nagrodę pokojową. W oświadczeniu komitetu czytamy, że nazwa „pokojowa” jest historyczną tradycją. W dzisiejszych czasach przyznawana jest za szczególne zasługi dla ludzkości. W tym roku przyznano ją grupie kosmonautów pracujących nad przekształceniem planety Wenus tak, aby nadawała się ona do zasiedlenia przez ludzi. Zmieniono już orbitę planety. Aktualnie prowadzi się prace zmierzające do stopniowej zmiany atmosfery Wenus na tlenowo-azotową. W sytuacji znacznej erozji Ziemi prace te mają szczególne znaczenie. W opinii zespołu koordynującego prace za około 1000-1200 lat będzie możliwa migracja całej ludzkości na Wenus.

O laureatach innych dziedzin poinformujemy państwa w dniu jutrzejszym.

A teraz sensacyjna wiadomość z ostatniej chwili. Na Ziemi wylądował statek planetarny z kosmonautą na pokładzie. Kosmonautą tym jest dowódca „Tułacza”, tak więc skończyła się odyseja samotnika wędrującego przez kosmos. Stan zdrowia kosmonauty, mimo bardzo zaawansowanego wieku, nie budzi obaw.

Wyłączam telewizor. W oczach mam łzy. Znowu płaczę. Ale jakże inaczej, niż nie tak dawno. Płaczę ze szczęścia. Jeżeli to sen, to jest on najpiękniejszy ze wszystkich. Ale to nie sen. Więc co? Przecież widziałem martwą Ziemię. Ale nie widziałem Wenus. Może ludzie już wtedy się na nią przenieśli. To były czasy późniejsze od obecnych. Ale jak wróciłem?

Wstaję z łóżka i idę do okna. Otwieram je. Wpada przez nie powiew świeżego powietrza. Daleka perspektywa. Liczne budynki o strzelistych kształtach. I ulice. Jaki mały ruch. Niewiele pojazdów, niewielu ludzi.

Czy to na pewno jest Ziemia? Zbyt piękne wiadomości na samym początku. Ale czy rzeczywiście zawsze musi być ponura? A może komputer znalazł sposób na odesłanie mnie w te czasy. A może jestem tylko żyjącym mózgiem, dla którego komputer stwarza iluzyjny świat, w którym mogę żyć, mogę być szczęśliwy. Prawdopodobnie nigdy nie dowiem się, jaka jest prawda. Ale czy to ma jakieś znaczenie? Dla mnie nie. Żyję i jestem wśród ludzi! Dla moich zmysłów to prawda. A te tylko mnie informują o rzeczywistości. Nie czas na filozofowanie. Nie wiem, ile czasu mi jeszcze pozostało. Ale każdą chwilę, która mi pozostała, chcę wykorzystać. I nigdy już nie opuszczę Ziemi!

Dlaczego tak często słowo nigdy w praktyce oznacza nie teraz? Jestem już od piętnastu lat na Ziemi i coraz więcej przemawia za tym, że znowu ją opuszczę. Mam odnowione, jak Faust, ciało. Kuracja enzymatyczna, hormony regeneracyjne, przeszczepy narządów klonowanych z pojedynczych komórek i ciało trzydziestoparoletniego mężczyzny jest gotowe. Ale nie czuję się w tym ciele najlepiej. To, co z nim zrobiono, było marzeniem wielu pokoleń lekarzy. Ileż to kłopotów było z przeszczepami. Problem zgodności tkankowej, przezwyciężenie bariery immunologicznej, wszystko to znika, gdy narząd otrzymuje

się na drodze namnażania komórek „in vitro” pochodzących od chorego. Starzeje się narząd, nie starzeje się natomiast informacja genetyczna. Wystarczy pobrać kilka komórek i zmusić je, aby mnożąc, wytworzyły nowy narząd.

Kiedy opuszczałem Ziemię, uważałem, że ludzkość dożywa swych dni. Gdy wróciłem, zastałem „złoty wiek” ludzkości. Znowu planuje się gigantyczne przedsięwzięcia, prowadzi liczne prace badawcze. A mnie sprezentowano nowe ciało. Tylko ciało, psychika pozostała stara. Czy w ten sposób ludzie mogą żyć dowolnie długo? Jak się okazuje, nie. Regeneracja narządów ma sens tylko wtedy, gdy mózg może jeszcze być plastyczny, a psychika przyswoi nowe treści. Gdy mózg osiągnie kres swych możliwości w zakresie tworzenia doświadczenia indywidualnego, osobowość rozpada się. W sferze psychiki starość w nowym ciele objawia się jako postępująca degradacja intelektualna. Emocje stają się coraz mniej żywe, nikną zainteresowania, a człowieka ogarnia apatia. Gdy badano mnie przed laty stwierdzono, że mogę zostać poddany kuracji, gdyż mój mózg ma przed sobą jeszcze wiele możliwości. Jednego chyba nie wzięli pod uwagę, że żyłem bardzo długo w określonych warunkach. Wytworzyły się u mnie liczne mechanizmy przystosowawcze, które teraz zawodzą.

Są to jednak moje kłopoty. Nikomu o nich nie mówię. Pocieszam się tym, że kłopoty te są normalną reakcją na zmianę środowiska, zmianę trybu życia. Na przykład gdy niewidomi od urodzenia, po leczeniu, zobaczą po raz pierwszy, nie doznają uczucia szczęścia. Przeciwnie, często popadają w depresję, a nawet popełniają samobójstwa. Nie umieją z początku korzystać z nowego zmysłu, który zalewa ich informacjami. Zakłóceniu ulegają wytworzone przez lata nawyki. Z czasem jednak zagubienie, depresja znikają. Człowiek uczy się spostrzegać i może żyć tak szczęśliwie, jak tylko pozwala mu na to obiektywna sytuacja.

Po kolei dotknąłem swoich kolan, piersi, twarzy. Powiodłem palcami lewej ręki po szorstkim obiciu fotela. Wstałem, wymierzyłem boksem cios drzwicom szafy. Odpowiedziały głośnym hukiem. Spojrzałem na videofon. Może porozmawiać. Ale z kim? Podniosłem słuchawkę. Usłyszałem sygnał. Odłożyłem słuchawkę. Poszedłem do łazienki. Umyłem twarz w zimnej wodzie. Wróciłem do pokoju nie wiedząc, co zrobić. Najrozsądniej byłoby położyć się spać. Ale boję się bezsenności. Jednak rozebrałem się w końcu. Zgasilem światło.

Lęk przyszedł nagle. Muszę go jakoś opanować. Miarowo oddychać. Ale to nie pomaga. Łapię się na tym, że nasłuchuję czegoś. Ale czego? Tutaj nic mi nie zagraża. Lepiej byłoby bać się czegoś określonego, konkretnego. Można wtedy przeciwstawić się zagrożeniu. A gdy lęk jest nieokreślony, rozlany, i pochodzi z nieznanymi nam źródłami podświadomości, nie ma przed nim ucieczki.

Stało się. W jednej chwili przestałem panować nad lękiem. Usiadłem, włączyłem światło. Oparłem się plecami o ścianę. Lęk nie zmniejszył się. Przestałem być zdolny do wykonania jakiegokolwiek ruchu. Wszystko, na co patrzyłem, zaczęło się powoli, ale nieustannie, zmieniać. Pokój pełen był przerażających cieni. Pełzały po ścianach, meblach, podłodze. Na stoliku leżał długopis. Jego kształt zmieniał się. Przypominał wijącego się węża, by po chwili znieruchomieć. Z jego wnętrza wychyliła się maleńka ręka. Starła się mnie dotknąć. Jej palce oblepione były budzącym odrazę śluzem. Chciałem uciec przed tą ręką, ale nie byłem zdolny wykonać żadnego ruchu. Gdzieś za mną usłyszałem śmiech. Moje ciało zaczyna się zmieniać. Staje się coraz większe. Nogi oddalają się od głowy. Coraz trudniej jest mi oddychać. Ciało tak się rozrosło, że wypełniło już chyba cały pokój. Z wolna tracę w nim czucie. Wnętrze wypełnia mi absolutna pustka.

- Co się dzieje ze mną? To zwidy, omamy - próbowałem powiedzieć. Do moich uszu nie dobiegł żaden dźwięk. Pokój zachwiał się, wykonał obrót. Zaraz spadnę na sufit. Coś zatrzymało ten upadek. Poczulem, że wraca mi zdolność panowania nad ciałem. Leżałem na podłodze, mięśnie przebiegało drżenie. Za oknem ciemność. Powoli wczołgałem się na łóżko. Ale lęk powrócił, a z nim wszystkie

poprzednie doznania. Proces atakował mnie falami. Ale każda następna zyskiwała na sile. Gdybym mógł, to bez wahania popełniłbym samobójstwo. Po pewnym czasie znikły halucynacje. Pokój odzyskał normalny wygląd, moje ciało wróciło do swoich rozmiarów. Ale właśnie to było najgorsze. Czulem w tym przerażającą, nieznaną mi siłę. Wszystko wydawało się obce, napiętnowane czymś niezrozumiałym, a przerażającym. Odzyskałem swobodę ruchów. Rzuciłem się demolować pokój. Rozbiłem videofon, zerwałem zasłony z okien, przewróciłem wersalkę. Cały kłęb mojej odzieży wrzuciłem do wanny. Zobaczyłem wtedy sznur. Ciągnęło mnie do niego, jakbym był zahipnotyzowany. Poczulem chęć zrobienia pętli i... Nie! Wrzuciłem sznur do wanny. Potknąłem się o leżący na podłodze materac. Upadłem, wtuliłem w niego twarz. Czulem rozsadzający ból w głowie. Uniosłem ją i spojrzałem na wyłączony holowizor. Nie pracował, ale w polu jego ekranów zobaczyłem pustą sterownię „Tułacza”. Nic się w niej nie działo. Przynajmniej wskazywały, że wszystkie zespoły statku pracują normalnie. Na ekranie kontroli wewnętrznej zobaczyłem jakiś nie znany mi aparat. Podłączonych do niego było mnóstwo przewodów. W jego centralnej części znajdował się przezroczysty pojemnik. W jego wnętrzu widniał mózg ludzki.

Nie, tego już za dużo! Przerazenie dodało mi siłę. Zerwałem się. Otwarłem najpierw jedno, a później drugie drzwi. Wybiegam na zewnątrz mojego domu. Powiew chłodnego powietrza przywraca mi poczucie rzeczywistości. Idę przed siebie. Lęk z wolna opada. Idę dalej. W oddali idzie kilku ludzi. Domy kończą się i widzę przed sobą wielki, świecący neon z napisem: „Park Miejski”. Szumią drzewa. Nie widzę ich wyraźnie, ale wiem, że w większości są sztuczne. W parku było chyba trochę ludzi, gdyż słyszę ich szepty, czasem też plama jakiegoś człowieka majaczy mi przez chwilę. Dochodzę do jakiegoś jeziora. Za nim parę drzew i już widać budowle miasta. Obszedłem jezioro. Lęk ustąpił zupełnie. Jeszcze jeden atak mam za sobą. Ile jeszcze takich mnie czeka? Drobnny żwir chrzęści pod stopami. Przed sobą widzę metalową bramkę. Otwieram ją, wchodzę do środka. Jestem w nie znanej mi części parku. Coś się poruszyło. Widzę ogniki dwojga oczu. Zamieram bez ruchu. Do mnie zbliża się dorosły tygrys.

- Aleś mnie przestraszył - mruknąłem do siebie.

Tygrys ziewnął odsłaniając swoje piękne zęby. Otarł się o mnie, nadstawił gardło do drapania. Sierść ma szorstką i ostrą. Głaskam go po głowie, drapię między uszami. Tygrys głośno pomrukuje.

- Piękny tygrysie, żebyś ty wiedział, jaki jesteś cenny. Klonuje się ciebie z komórek przechowywanych przez tysiące lat w banku tkanek. Dietę dla ciebie programuje kilku najwyższej klasy specjalistów. Wart jesteś więcej niż średniej klasy statek międzyplanetarny. Czy można ci się więc dziwić, że twoja agresja zupełnie wygasła?

Znudzony moim monologiem tygrys przymknął ślepią i powoli oddala się.

- No, na mnie czas. Trzeba się trochę przespać - pomyślałem. Wracając zastanawiam się, czy skorzystać z ruchomego chodnika. Ulica jest pusta. Wokół panuje cisza. W niektórych oknach świeci się jeszcze światło. Jutro mam ważną naradę. Jutro? Patrząc na zegarek. Trzecia w nocy. Tak, to już dzisiaj.

- Coś do picia, coś do jedzenia? - pyta cichy głos.

Zaskoczony odwracam się szybko. Nie ma nikogo. To tylko automat żywnościowy. Może rzeczywiście coś wypiję. Jaką kombinację wybrać? Już chcę wydać polecenie głosem, gdy spostrzegam, że jest to automat sterowany klawiaturą. Naciskam odpowiednie przyciski. Konsystencja - płynna, galaretowata, stała - miękka, elastyczna, twarda. Naciskam przycisk ze słowem: płynna. Smak: kwaśny, gorzki, słony, słodki, alkoholowy. Wybieram 30% kwaśnego i 30% słodkiego. Nie chcę pić napoju o zbyt intensywnym smaku. Przy wartościach odżywczych naciskam klawisz ze słowem: pełne. Przy życzeniach specjalnych klawisz: musujący. Wyskakuje kubek z ciecżą. Piję. Napój ma dobry smak.

Gdy odlatywałem, żywiliśmy się podobnie. Z tym, że potrawy były w określony sposób nazywane. Na przykład automat taki jak ten serwował chleb, masło, ser, wędlinę, sok pomarańczowy i wiele innych

potraw i napojów. Oczywiście wszystko było syntetyczne. Ale nazwy i smak odnosiły się do potraw naturalnych.

A raz do roku za szczególne zasługi, niektórzy z nas, mogli jeść naturalne potrawy. Jadłem je sześć razy. Za każdym razem chorowałem po nich. Ale jaka to była atrakcja! Teraz o tym zupełnie zapomnieli. Tylko kombinacje odżywcze.

Ojej, co ja zrobiłem! Za mną idzie tygrys. Zapomniałem zamknąć bramę. Podchodzi do mnie, ociera się o moje ubranie. Głośno przy tym mruczy. Słyszę pulsujący głos syreny wozu ratowniczego. Z piskiem opon zatrzymuje się koło mnie. Zauważyli wszystko na monitorach kontrolnych. A może nie oni, a tylko komputer kontrolujący dany obszar. Na jedno wychodzi. Za chwilę zajmą się tygrysem, na mnie nawet nie zwrócą uwagi. Bo i po co. Obraz telewizyjny umożliwił identyfikację. W razie potrzeby w każdej chwili mogą mnie znaleźć. Nie ma takiego miejsca, gdzie mógłbym zniknąć. Jedynie w moim domu kamery nie obserwują każdego mojego ruchu. No i oczywiście w kosmosie.

Brzęczyk videofonu.

- Przepraszam, że pana niepokoję.

Na ekranie widzę twarz nie znanego mi mężczyzny. Odruchowo spojrzałem na zegarek - piątą rano. Za oknem wstaje świt. Spałem dopiero godzinę.

- Muszę prosić pana o natychmiastowe przybycie do Instytutu Utajonego Życia.

- Po co? - pytam niezbyt grzecznie.

- Musimy prosić pana o dokonanie identyfikacji pewnego człowieka.

- Mnie? - pytam zdziwiony. - Ależ ja tu prawie nikogo nie znam.

- Tak, pana. Sam pan zrozumie, że zmuszeni jesteśmy pana fatygować. Nie możemy czekać, gdyż sprawa jest bardzo ważna.

Wchodzimy do windy. Masywne drzwi z hukiem zatrząskują się za mną. Winda jednostajnym ruchem opuszcza się w głąb nie znanej mi budowli. Gdy dotarła do celu, drzwi otworzyły się odsłaniając widok na obszerną salę. Zobaczyłem w niej szereg komór chłodniczych. Pośrodku sali stało kilku ludzi skupionych wokół cylindrycznego kioska zbudowanego z czegoś, co z daleka przypominało grube, kwarcowe szkło.

Peter Wright leżał wyciągnięty w przezroczystym pojemniku. Oczy miał zamknięte. Twarz była pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu. Widziałem ją ostatni raz na pokładzie „Tułacza”. Peter razem z innymi wrócił na Ziemię dawno temu. Skąd on tutaj?

- Czy zna pan tego człowieka?

- Tak, to Peter Wright, członek załogi „Tułacza”. Ale skąd się tutaj wziął? Z tego, co wiem, umarł ze starości około sto osiemdziesiąt tysięcy lat temu.

- To bardzo tajemnicza historia. Pojemnik ten został znaleziony niedaleko od naszego miasta na polnej drodze. Z tego, co stwierdziliśmy, pojemnik ten pochodzi z pokładu „Tułacza”. Żadnych śladów wokół pojemnika nie było. W tej sprawie prowadzi się energiczne badania. I ma pan rację. Peter Wright umarł dokładnie 182 000 lat temu. Tak więc nie wiemy, kto jest w tym pojemniku. Może czegoś więcej dowiemy się po otwarciu pojemnika. Musimy jednak zachować przy tym szczególną ostrożność. Niewykluczone, że człowieka tego będzie można ożywić.

Gdzieś w górze zamigotało światło. Nim zgasło, ujrzałem w jego blasku spienioną falę, która z rykiem wtargnęła do sali porywając mnie ze sobą. Prąd niósł mnie korytarzem. Obijałem się o ściany. W zupełnej ciemności, z najwyższym wysiłkiem, starałem się utrzymać na powierzchni. Odpychałem rękami pływające sprzęty. Zupełnie straciłem orientację w kierunkach i w tym, gdzie się znajduję. Coraz częściej i na dłużej znajdowałem się pod wodą. Coraz trudniej było mi złapać powietrze. Zdarzało się nawet, że nie wiedziałem, czy głowę mam nad czy pod powierzchnią. W momencie kiedy pomyślałem, że to już

chyba mój koniec, poczułem, że woda opada. Uderzyłem czołem w ścianę. Oszołomiło mnie na chwilę. Zakrztusiłem się. Dotknąłem całym ciałem podłoża. Zerwałem się na nogi. Krztusząc się, spazmatycznie wciągałem powietrze. U góry zabłysło światło. Stałem pośrodku małego pomieszczenia. Woda odpływała szybko korytarzem łączącym się otwartymi drzwiami z salką, w której się znajdowałem. Zauważyłem, że środkiem korytarza biegną szyny. Na końcu korytarza pojawił się jakiś pojazd. W miarę jak się zbliżał, zauważyłem, że jest to platforma, na której znajdują się cylindryczny klosz, taki sam jak ten, w którym znajdował się Peter. Wnętrze klosza wypełniało ciało mężczyzny. Pojazd nadal zbliżał się do mnie. Podeszedłem bliżej. Tak, to był Peter. Dotknąłem klosza. Jego powierzchnia była ciepła. Jakby pod wpływem mojego dotknięcia klosz z trzaskiem otworzył się. Nachyliłem się nad Peterem. Dotknąłem ręką jego ciała. To nie był żywy czy martwy człowiek. To był manekin. Znieruchomiałem zdezorientowany. Wtedy spostrzegłem, że manekin poruszył się. Kątem oka zauważyłem, że w końcu korytarza pojawiła się druga platforma. Jej widok przykuł moją uwagę. W tym czasie pierwsza platforma oddaliła się ode mnie i gdzieś zniknęła. Podeszedłem do drugiej. Znajdował się na niej pusty, otwarty cylinder. Coś zmusiło mnie do wejścia do niego i położenia się wewnątrz. Cylinder zgrzytając zamknął się i niesiony przez platformę zanurzył się w ciemnościach korytarza. Poczułem nagle, że stoję na nogach. Otworzyłem oczy. Znajdowałem się na ruchomym chodniku otoczony przez kilka osób. Moje pojawienie się nie wywołało u nich żadnego zdziwienia.

- Przepraszam bardzo, czy pan nie orientuje się, gdzie znajduje się Instytut Utajonego Życia? - spytałem najbliższej stojącego mnie mężczyzny.

- Nigdy o takim nie słyszałem - odparł zdziwiony.

- Przepraszam, może... - powiedziałem zmieszany.

Zeskoczyłem z chodnika odprowadzany zdziwionym spojrzeniem. Podeszedłem do najbliższej budki videofonicznej. Podałem głosem odpowiednią kombinację cyfr.

- Punkt informacyjny, słucham - usłyszałem kobiecy głos z aparatu. Ekran pozostał ciemny.

- Chciałem się dowiedzieć, gdzie w naszym mieście znajduje się Instytut Utajonego Życia.

- W naszym mieście nie ma takiego Instytutu.

- Czy mogę ponadto dowiedzieć się, kto dzwonił do mnie do domu o piątej rano?

- Proszę poczekać kilkanaście sekund. Komputer musi dokonać identyfikacji i prześledzić zapisy rozmów... W dniu dzisiejszym nie dzwonił do pana nikt. Również pan nie prowadził żadnych rozmów. Po powrocie z Parku Miejskiego był pan cały czas w swoim domu i dopiero przed paroma minutami wyszedł pan stamtąd.

- Dziękuję, to wszystko, co chciałem wiedzieć, - powiedziałem nerwowo. Szybko wyszedłem z budki. Czy jest możliwe, aby był to sen? A może zaczyna się u mnie choroba psychiczna?

Jak dawno nie wkładałem na siebie skafandra kosmicznego. Czułem przy tym dziwne drżenie rąk. Po ubraniu się ocieżale poczłapałem za prowadzącymi mnie ludźmi. Przedemną włąz. Przecisnąłem się przez niego. W kabinie panuje ciemność. Przekręcam ręką kontakt. Zapala się niezbyt jasne światło. Zajmuję miejsce przeznaczone dla pilota.

- Za dziesięć minut startujesz - w słuchawkach słyszę głos.

- Jestem gotowy - odpowiadam.

Rozpoczyna się odliczanie czasu dzielącego mnie od startu. Znowu lecę w kosmos. Ale co to za lot. W maleńkim stateczku na orbitę. Mam tam przechwycić uszkodzoną stację meteorologiczną i sprowadzić ją na Ziemię. Wszystko potrwa parę godzin. Tyle na początek. Dobrze i to. A w perspektywie mam lot do centrum galaktyki. To już będzie coś. Gdyby ci z komisji selekcyjnej wiedzieli o moich przeżyciach, na pewno nie byłbym w tej chwili na pokładzie stateczku, lecz na kuracji. Na szczęście udało mi się wytłumaczyć, że pytając o Instytut chciałem się dowiedzieć, co stało się z ludźmi zamrożonymi w naszych

czasach. Natomiast pytanie o to, czy ktoś do mnie dzwonił, wynikało stąd, że chciałem się upewnić, czy to był sen. Oczywiście słowem nie wspominałem o przeżyciach w Instytucie Utajonego Życia.

- Trzydzieści, dwadzieścia dziewięć...

Czas przygotować się do startu.

Przez szybę kabiny widać w dole ośnieżone szczyty gór. Przewala się przez nie mur wiatru fenowego. Na tle błękitnego nieba rozciąga się chmura o kształcie soczewki z ostro zarysowanymi brzegami. Wokół słyszę tylko cichy szum powietrza opływającego kadłub szybowca. Machinalnie patrzę na przyrządy. Wariometr wskazuje 5 m/sek. wznoszenia. Prędkość 80 km/h, kurs 180°. Wysokość 7200 m. Spojrzałem na siebie. Ubrany jestem w szybowcowy skafander kompensacyjny przeznaczony do lotów wysokościowych. Rurki tłoczące tlen do hełmu nikną gdzieś z tyłu. Pewnie w bagażniku znajdują się butle z tlenem. Puszczam stery. Dobrze wytrzymały szybowiec utrzymuje parametry lotu. Biorę leżącą na kolanach mapę. Gdzie jestem i skąd się tutaj wziąłem? Niepewnie patrzę w dół. Daleko pode mną jakieś miasto. Leży u podnóża gór, których pierwsze pasmo jest w całości zalesione. Szczyty następnego lśnią skałą lub czapą śnieżną.

Wysokość dalej rośnie. Noszenie falowe jest silne i spokojne.

- Co u ciebie, kilofoxtrot - słyszę w słuchawkach.

Nerwowo patrzę na tabliczkę znamionową szybowca. Szybowiec ma znaki WHM-SKF. Dwie ostatnie litery to KF. Zgadza się. To do mnie.

- W porządku - odpowiadam.

- Niedługo zmrok. Przygotuj się do lądowania.

- Tak jest.

Patrzę na słońce. Świeci nisko nad szczytami. W dolinie widać długie cienie. Zbliża się zachód. Ale gdzie jest lotnisko? Wpatruję się w mapę. Są góry i jest przy nich miasto. Na północny wschód od niego znajduję zaznaczone kółkiem lotnisko. Patrzę w dół. Kilka kilometrów od miasta widzę charakterystyczną płaszczyznę. Z żalem patrzę na zniżające się słońce i otwieram hamulce aerodynamiczne. Kładę szybowiec w zakręt. Stopniowo opuszczam pole wznoszeń. Wariometr wskazuje teraz 12 m/sek. opadania.

Ile to lat nie siedziałem w szybowcu? Bardzo wiele. Trzeba jednak pomyśleć o lądowaniu. Na rozmyślania przyjdzie czas później. Nadlatuję nad lotnisko. Obok hangarów wyłożony znak nakazu lądowania. Jeszcze mam 150 metrów wysokości. Prędkość prawidłowa. Przemykam hamulce.

- Dalsza część lądowania odbędzie się automatycznie. Znowu jestem w ciasnej kabinie stateczku orbitalnego.

- Gratulujemy dobrego wykonania zadania.

Kiedy go wykonałem? W głowie chaos kłębiących się myśli. Sprzeczne przypuszczenia, lęk przed chorobą psychiczną, nadzieja, że może to sen. Ale jak z niego się zbudzić? Czuję wibrację rakiety. Po chwili wszystko się uspokaja. Wylądowałem. Powoli podnoszę się z fotela. Co robić? Nie pozostaje mi nic innego, jak zachowywać się tak, jakby nic dziwnego się nie wydarzyło.

Wracając do domu natrafiłem na biuro informacyjne. Wszedłem do środka. W niewielkiej sali nie było nikogo. Biuro obsługiwał automat.

- Czym możemy panu służyć? - zapytał.

- Zależy mi na informacji - powiedziałem.

- Po to tu jesteśmy.

- Chciałem się dowiedzieć, gdzie mógłbym polatać na szybowcach?

- Musi pan poczekać kilka minut. Centralny komputer regionu nie posiada informacji na ten temat. Posiada on jedynie adres hasła „szybowiec” i „szybownictwo” do Banku Informacji Ogólnoziemskiego

Centrum Wiedzy. Prosimy cierpliwie czekać...

- Przekazujemy panu odpowiedź. „Szybownictwo” dziedzina sportów lotniczych od dawna nie uprawiana. Na przeszkodzie w jej uprawianiu stanął rozwój komunikacji powietrznej. Pojedyncze egzemplarze szybowców eksploatowane są w Muzeach Lotnictwa.

- Dziękuję za informację.

- Proszę zaczekać jeszcze chwilę. Centrum Koordynacji Lotów Kosmicznych poleciło przekazać mi panu następujący komunikat. „W związku z opracowaniem materiałów zdobytych dzięki ekspedycji «Tułacza», widząc bezowocność dalszych w tym zakresie wysiłków, Centrum postanowiło zrezygnować czasowo z organizowania dalekich lotów kosmicznych poza nasz Układ Słoneczny. Wysiłki ludzkości skoncentrowane zostaną na zagospodarowaniu Wenus. W tej sytuacji zwalniamy pana ze wszystkich zobowiązań i życzymy dożywotniego przyjemnego spędzania czasu na naszej planecie. Decyzja jest ostateczna i nie podlega zaskarżeniu. Prosimy o niepodejmowanie żadnych działań niezgodnych z treścią niniejszego rozkazu.

Chcemy równocześnie podziękować za pański olbrzymi wkład w poznanie kosmosu. Oświadczenie rządu Planety w tej sprawie zostanie opublikowane dzisiaj podczas wieczornego przekazu wiadomości. Uznając pana zasługi przyznajemy prawo dożywotniego, całkowicie swobodnego, prawa do korzystania ze wszystkich świadczeń możliwych do uzyskania na Ziemi. Przywilej ten jest dostępny aktualnie tylko sześciu osobom. Równocześnie z tą chwilą zostaje pan zwolniony z obowiązku jakiegokolwiek pracy. Gratulujemy - głos umilkł.

- Ale dlaczego? - wykrzyknąłem zdenerwowany.

- Przekazaliśmy za naszym pośrednictwem jedynie treść komunikatu.

- Ale co to wszystko znaczy?

- Oznacza to, że został pan wymazany z katalogu identyfikacyjnego ludzi uprawnionych do wykonywania pracy. Natomiast wprowadzono pana do ewidencji osób uprawnionych do korzystania z pełnego zakresu świadczeń.

Wychodzę oszołomiony z biura informacyjnego. Przecież to wyrok. Zawaliły się wszystkie moje plany dalszej działalności. Ale nie poddam się tak łatwo. Dojdę przyczyn tej przedziwnej decyzji.

Do eleganckiego apartamentu hotelowego wdzierało się poranne światło słoneczne. Czujęm odrętwiające przygnębienie spowodowane wydarzeniami dnia wczorajszego. Skłoniły mnie one zresztą do rezygnacji ze spędzenia nocy we własnym mieszkaniu. Wybrałem luksusowy apartament w najlepszym hotelu. Zwlokłem się z wygodnego łóżka i ubrałem się. W pokoju panował niezrozumiały dla tej klasy hotelu chłód. Podniosłem słuchawkę videofonu chcąc zamówić śniadanie.

- Istniejesz - mówił głos w słuchawce - aby osiąść część wielkiej tajemnicy - prawdy o swoim świecie. Narodziłeś się w ściśle określonym okresie. Masz już za sobą długie życie. Zdobyłeś się na odwagę przekroczenia granicy, której przed tobą nikt nie przekroczył. Możesz być z siebie dumny. Jesteś człowiekiem! Podlegasz prawom świata, w którym żyjesz. Czekaj cierpliwie, wkrótce usłyszysz ostateczną odpowiedź, po której zadanie następnych pytań będzie już zbyteczne.

Odłożyłem słuchawkę i poszedłem do łazienki. Była tylko zimna woda. Opłukałem twarz. Następnie zjechałem windą do recepcji. Za kontuarem stał pracownik hotelu. Podeszedłem do niego.

- Videofon w moim pokoju jest zepsuty - powiedziałem do niego.

- Chwileczkę - podniósł słuchawkę, coś do niej powiedział, czekał chwilę i odłożył ją. - To jakaś pomyłka, aparat w pańskim pokoju jest całkowicie sprawny - odpowiedział mi uprzejmie.

- Przepraszam, widocznie się pomyliłem - mruknąłem i postanowiłem wrócić windą do swojego pokoju.

Przed otwartą kabiną stał znudzony windziarz w liberii. Gdy zjeżdżałem winda była inna.

Automatyczna, bez windziarza, o innym wnętrzu. Po krótkiej chwili wahania wszedłem do środka. Ta zmiana windy wydała mi się najbardziej złowieszczy z wszystkich dziwnych wydarzeń, które ostatnio przeżyłem. Po krótkiej jeździe drzwi windy otworzyły się. Do kabiny wdarł się przenikliwy mróz. Przedemną rozciągała się płaska równina. Gdzieśkolwiekś spośród lodowej pokrywy wyłaniały się pojedyncze głazy. Windziarz gdzieś zniknął, a kabina była znowu tą, którą zjechałem przed chwilą. Cofnąłem się do jej wnętrza i nacisnąłem przycisk parteru. Drzwi bezszelestnie zamknęły się, winda ruszyła i po chwili byłem znowu w hotelowym holu. Postanowiłem na piechotę wrócić do swego pokoju. Ale gdy podszedłem do drzwi nie mogłem ich otworzyć. Była w nich dziurka od klucza! A przecież kluczy nie używa się od dawna. Zrezygnowany zacząłem schodzić po schodach. Dotarwszy do parteru znalazłem się w obszernym holu. Recepcja gdzieś znikła. Podłogi wyłożone były grubymi dywanami. Na ścianach świeciły kinkiety, a z sufitu zwisał olbrzymi, kryształowy żyrandol. Wnętrze holu było utrzymane w kolorze bordowym. Cztery szerokie stopnie prowadziły w dół do osłoniętych kotarą drzwi frontowych. Podszedłem do nich, odchyliłem kotarę, przekręciłem karbowaną mosiężną gałkę i otworzyłem drzwi. Rozejrzałem się po ulicy. Przy krawężniku stał samochód. Ostatni widziałem przed laty w muzeum. Tłum dziwnie ubranych ludzi przemierzał ulicę. Cofnąłem się. Znowu byłem w hotelowym holu. Zmęczony opadłem na fotel. Ogarnęła mnie senność nie do przewyciężenia.

Ocknąłem się i zobaczyłem trzydziestometrowy stół nakryty chyba dla stu osób. Zagrały trąby, wszedł król i goście zaczęli siadać przy stole. Usiadłem na wolnym miejscu blisko końca stołu. Nie wiedziałem, jak się zachować, co mówić. To, skąd się tutaj wziąłem, nie było już dla mnie najważniejszym problemem. Do zmian zdążyłem się już przyzwycząić.

Wszyscy milczeli patrząc na króla. Najjaśniejszy Pan spojrzał na potrawy i chwycił kawał pieczonego mięsa. Ledwie zdążył wbić w nie zęby, a już setka gości rzuciła się na jadło. Dwie setki rąk wyciągnęły się do półmisek. Z lękiem o mój nie przyzwyczajony do naturalnych potraw żołądek sięgnąłem po kawałek baraniny.

Nagle król przestał ruszać szczękami, wypluł kości i wlepił we mnie wzrok.

- Dam panu egzemplarz pańskiej książki - odezwał się do mnie. - Ale pod jednym warunkiem, zabierze się pan natychmiast do pisania następnej.

- Oczywiście, Najmiłościwszy Panie - odpowiedziałem niepewnie. Król ze zdziwieniem spojrzał na mnie i powiedział:

- Nie, zresztą nie, gdyż nic już mnie nie interesuje od kiedy przestudiowałem teorię związku fal grawitacyjnych ze spoistością wewnętrzną złożonej struktury kwarków. Nic już nie mogę. Mam bóle żołądka.

Drzwi sali otworzyły się i wszedł do niej nisko kłaniając się starszy mężczyzna w długiej szacie. Pod pachą trzymał miernik radioaktywności.

- No, chodź tu, człeczyno - zawołał król do wchodzącego. Ten kłaniając się jeszcze niżej niż poprzednio zakomunikował:

- W sali tej ani w przyległych nie zarejestrowano nawet śladów radioaktywności. Jesteśmy tu całkowicie bezpieczni, ponieważ strażę z kuszami stoją na posterunkach.

- Dziękuję za raport, a teraz ogłaszam poobiednią ciszę - zakomenderował król wygodnie rozciągając się w swoim fotelu. Wszyscy biesiadnicy położyli głowy na stole. Wszyscy oprócz mnie natychmiast zasnęli. Dookoła rozlegało się tylko potężne chrapanie przypominające raczej odgłos walących się gór, niż dźwięk wydawany przez ludzkie gardła. Spostrzegłem, że psy przed chwilą jeszcze jedzące resztki rzucone im pod stół też zasnęły. Jeden z kością w pysku. Drugi przez sen przebierał nogami.

- Ależ to wszystko nie ma sensu - pomyślałem. W normalnym świecie nie jest możliwe takie przenoszenie się z jednej sytuacji w drugą. Istnieją, moim zdaniem, tylko dwie możliwości. Pierwsza, że

ze mną jest źle. Druga, że ze światem, w którym żyję, jest niedobrze. Zastanówmy się nad pierwszą możliwością. Czy jestem chory psychicznie? W moim odczuciu nie. Ale duża ilość chorób psychicznych przebiega bez poczucia choroby. Ta jednak miałaby zupełnie nie spotykane objawy. A co do drugiej możliwości. Realny świat nie może stać się kalejdoskopem zdarzeń. Chyba że świat, w którym żyję, rozpada się. Ale dlaczego? Nasuwa mi się tylko jedno logiczne rozwiązanie. Będąc na pokładzie „Tułacza” przeżyłem narodziny nowego wszechświata. Wydawało mi się wtedy, że czeka mnie już tylko śmierć. Zasnąłem. Zbudziłem się na Ziemi. Już wtedy coś podejrzewałem. Nie bardzo wierzyłem, czy tak olbrzymi przeskok w czasie jest możliwy. A gdyby nawet, jak odnaleźć w otchłani kosmosu Ziemię? Czyż nie prościej jest założyć, że komputer dokonał zabiegu na moim ciele wyodrębniając mózg. Utrzymuje go przy życiu. Zapewnia mu fantomalny świat. Ale ostatnio zaczęło się coś psuć. Może komputer ma jakieś trudności? A może mój mózg dobiega kresu swej aktywności? Tak, to jest jedyne logiczne rozwiązanie. Potwierdza go zresztą dodatkowo pewne zdarzenie. Kiedy przeżywałem w moim pokoju napad lęku na wyłączonym ekranie holowizora widziałem sterownię „Tułacza” i chyba pojemnik z moim mózgiem. Potraktowałem to wtedy jako halucynację.

Cóż mi w tej sytuacji pozostaje? Spróbuję nawiązać kontakt z komputerem. Chcę wiedzieć, co naprawdę mnie otacza. Jak wygląda teraz wszechświat. Ale jak to zrobić? Wystarczy chyba o tym pomyśleć. Musi istnieć połączenie zwrotne mojego mózgu z komputerem.

Tak się zamyśliłem, że nawet nie spostrzegłem, kiedy otoczenie wokół mnie zmieniło się. Stoję pośrodku dużego pokoju. Jego wnętrze wypełniają piękne meble. Nowe, ale stylizowane na meble z odległych epok. Ściany są białe. Jedyne naroża wypełnione są malowidłami przedstawiającymi biblijne sceny. Podłoga składa się z mozaiki różnokolorowego marmuru. Przedemną stoi szerokie łóżko przykryte kolorową pościelą. Całość prezentuje się doskonale. Znać smak dekoratora, który to wnętrze skomponował. Z pokoju wychodzi dwoje drzwi. Uchylam pierwsze. Wchodzę do następnego pokoju. Jest jeszcze większy od poprzedniego. Jedną ze ścian pokrywają półki z książkami! Prawdziwymi! Nie z mikrofilmami czy kryształkami pamięci komputerowej. Poza kilkoma wyjątkami jak holowizor, sprzęt do odtwarzania muzyki, programator menu, we wnętrzu pokoju znajdują się wygodne, staroświeckie meble: fotel, stół, biurko, kanapa. Podłoga wyścielona jest grubym, puszystym dywanem. Wracam do pierwszego pokoju i otwieram drugie drzwi. Prowadzą do łazienki. Tak pięknej jeszcze nie widziałem! Ściany i podłoga wyłożone białym marmurem. Z jednolicie świecącego sufitu dobiega jasne, żółte światło. Przy ścianie stoi olbrzymia wanna. Obudowana jest kolorowymi płytkami z tworzywa. Na każdej z nich znajduje się obrazek. Poszczególne obrazki układają się w logiczny ciąg obrazujący historię ludzkości od wynalezienia koła aż po start „Tułacza”. Wnętrze wanny lśni nieskazitelną bielą. Bateria kurków o ozdobnych kształtach nie przypomina w niczym nowoczesnych, elektronicznych dozowników wody. Obok wanny, za cienką kotarą, wchodzi się do pomieszczenia osuszającego. Za jeszcze jedną kotarą znajdują się sanitaria. Tutaj wnętrze utrzymane jest w kolorze bładoniebieskim.

Nigdzie nie zauważyłem okna. Nie zauważyłem też drzwi, przez które mógłbym wydostać się z tego pięknego apartamentu. Nie ma też videofonu.

Wstaję z łóżka i idę do łazienki. Jednak zaraz wracam. Panująca wokół cisza jest nie do wytrzymania. Machinalnie wybieram taśmę z nagraniami muzyki elektronicznej z końca XX wieku i puszcza ją. Muzyka swoimi głośnymi dźwiękami wypiera ciszę. Ale i tak pozostaje poczucie samotności. Dłużej sam tutaj nie wytrzymam. Ale co robić? Ile dni tu jestem? Straciłem rachubę. Kto mnie tu uwięził i po co? Mimo starań niczego tu nie odkryłem ani niczego nie zrozumiałem. Może poza jednym zaskakującym faktem. Gdy znalazłem się w szybowcu, to wszystko wskazuje na to, że równocześnie znajdowałem się w rakiecie. Gdy byłem w Instytucie Utajonego Życia, równocześnie przebywałem w swoim pokoju. Moje różne wcielenia żyły w różnych wariantach rzeczywistości, ale tylko w jednym z nich przebywałem

świadomie lub tylko jedno wcielenie tworzyło pamięć minionych przeżyć. Z drugiej jednak strony niektóre sytuacje trudno nazwać wariantami rzeczywistości. Przypominały raczej majaki chorego umysłu.

Siadam w fotelu, rozluźniam wszystkie mięśnie, patrzę nieruchomo w jeden punkt. Ogarnia mnie spokój. O niczym nie myślę. Po pewnym czasie na ścianie zaczyna coś się dziać. Pojawia się światło migoczące różnokolorowo. Gdy osiąga maksymalny blask, lśni tęczowo, ale dominuje w nim kolor czerwony, gdy ciemnieje, z mozaiki barw przebija barwa niebieska. Światło stopniowo wypełnia całe moje pole widzenia. Czuję silny ból głowy, mięśnie szyi naprężają się. Nie mogę wykonać żadnego ruchu głową. Blask światła narasta. Staje się trudny do zniesienia. Wreszcie eksploduje na setki świetlnych punktów, które stopniowo gasną. Zapanowała całkowita ciemność. Głowa przestała mnie boleć. Ale dalej nie mogę wykonać nią żadnego ruchu. Nie mogę też poruszyć rękami i nogami!

Słyszę jakiś szum, którego głośność wzrasta. Zaczynam w nim rozróżniać szereg dźwięków. Są to jakieś głosy, fragmenty muzyki oraz szereg innych z niczym mi się nie kojarzących.

Równocześnie znalazłem się w świecie przedziwnych zapachów. Moje ciało coś muska i dotyka. Znalazłem się we władaniu chaosu różnych bodźców. Wreszcie po pewnym, trudnym do określenia okresie czasu wszystko znika i milknie. Nie czuję nic.

- Czas twój dobiega kresu. Model twojego świata kończy funkcjonowanie. Nie ma już wszechświata, nie ma apartamentu, w którym przez ostatni okres czasu żyłeś. Nie ma już nawet twego ciała. Została tylko twoja psychika.

Mówiący te słowa głos ma ciepłą barwę męskiego basu. Działa uspokajająco. Mimo to przez myśli przelatują mi różne pytania. Jak to nie ma? Co znaczy, że model kończy funkcjonowanie? Jaki model? Czy umieram? Mój mózg przestaje być stymulowany przez komputer „Tułacza”?

- Uspokój się, będziesz miał okazję zrozumieć. Odpręż się, o niczym nie myśl. Słuchaj tylko mojego głosu. - Myśli gdzieś uciekają. Nie mam ciała, nie mam władzy nad myślami. Koncentruję się na głosie.

- Kiedyś, w odległej dla ciebie epoce, rozpoczął funkcjonowanie model rzeczywistości. Był jednym z wielu. Służą one poznawaniu efektów podstawowych założeń. Jedne są, tak jak wasz, trójwymiarowe, inne wielowymiarowe. W jednych czas jest właściwością przestrzeni. Można w nim dowolnie się poruszać. Jedne zawierają materię, inne tylko fale, a jeszcze inne tylko myśl. Oczywiście, mówiąc o materii i czasie dokonujemy pewnego uproszczenia. Obiektywnie nic takiego nie istnieje. Istnieje tylko informacja przetwarzana w modelu, która tworzy realny dla ciebie świat, poza który nie możesz wyjść.

Model, w którym żyjesz, na początku funkcjonowania obejmował tylko powierzchnię Ziemi. Nieboskłon, wewnątrz Ziemi były jedynie atrapami. A na powierzchni kwitło bujne życie. Żyli tam ludzie, ale na bardzo niskim poziomie rozwoju intelektualnego. Wyposażeni byli w podstawową wiedzę o otaczającym ich świecie. Wiedza ta porównywalna była z wiedzą zwierząt.

Zakodowaną właściwością ludzi była chęć poznania. Był to istotny element w funkcjonowaniu modelu, który istniał w oparciu o podstawowe założenia. Dla ciebie założeniami tymi były prawa fizyki. Ich przekroczenie było niemożliwe.

Model miał charakter ewolucyjny. Znaczyło to, że aktywność poznawcza ludzi mogła przebudowywać model, oczywiście jeżeli nie było to sprzeczne z podstawowymi założeniami. Przykładowo, na początku pogodne nocne niebo było mozaiką nieregularnie rozmieszczonych słabych światełek, których ruchy nie podlegały żadnym regułom. Człowiek jednak zaczął wpatrywać się w niebo. Starał się odkryć prawidłowości ruchu gwiazd. Nie było to sprzeczne z założeniami modelu i ruchy te stały się uporządkowane.

Kiedy docierały do mnie te słowa, pojawił się obraz. Zobaczyłem starożytne miasto. Nie widziałem ludzi, lecz przeobrażenia, jakim ulegało.

- Model ograniczał się tylko do tego, co ludzie mogli swoimi zmysłami odzwierciedlić. Jego

wewnętrzna struktura była prosta. Materia miała jednolitą budowę. Sytuacja uległa zmianie, gdy człowiek zainteresował się swoją przeszłością. Model wytworzył wtedy ślady rzekomej przeszłości. Znajdowaliście dzięki temu liczne wykopaliska.

Aktywność poznawczą ludzi rozwijał ich intelekt. W mowie tworzyły się systemy pojęć pozwalających klasyfikować, opisywać, lepiej rozumieć. Wszystko to przebudowywało model. Jeżeli ludzie tworzyli teorię nie sprzeczną z założeniami modelu, ten zmieniał się zgodnie z nią. Zainteresowanie astronomią spowodowało, że światelka stały się nośnikami wielu istotnych informacji. Kosmonautyka stworzyła materialny wszechświat z licznymi fantomami innych cywilizacji. Tak, fantomami, gdyż cywilizacja ludzi była jedyną funkcjonującą w modelu. Jako jedyna mogła też zmieniać model.

Zmianie uległa struktura materii. Pojawiły się kwarki. Rozwój biologii stworzył bakterie, wirusy, komórki.

Były i teorie, stworzone przez ludzi, sprzeczne z założeniami modelu. Na przykład dotyczące podróży w czasie. Dlatego nigdy nie zostały urzeczywistnione. A twój powrót na Ziemię był wynikiem czegoś innego. Model rozrósł się tak dalece, że nie mógł przyswoić nadmiaru informacji. Ograniczony został wtedy tylko do Ziemi i jej najbliższych okolic. Ale i to nie zmieniło sytuacji. Model zaczął rozregulowywać się. Ograniczono więc go tylko do tego apartamentu, w którym ostatnio żyłeś. Zostałeś tylko ty, gdyż twój lot na „Tułacza” był szczytowym osiągnięciem cywilizacji tego modelu, a analiza informacji zawartej w twojej psychice jest istotna dla zrealizowania ostatecznego celu modelu.

- A co z komputerem „Tułacza” - udało mi się w myśli sformułować pytanie.

- Komputer w nieznaną sposób uwolnił się od materialnej struktury i zniknął, a raczej zniknęła informacja w nim zgromadzona i przetwarzana. Ilość jej była ogromna, w zupełności wystarczająca do stworzenia modelu analogicznego do tego, w którym żyjesz. Być może komputer stworzył swój wszechświat, w którym zniknął.

- A skąd weźmie energię do podtrzymania funkcjonowania modelu? - zadałem następne pytanie.

- Energia to pojęcie umowne. Istotna jest tylko informacja. Ale wracając do modelu, który kończy funkcjonowanie. Badano w nim wpływ kataklizmów, śmierci osób znaczących na obraz rzeczywistości. Śledzono zasięg wpływu modyfikacji. Model umożliwiał też analizę alternatywnych zdarzeń. Przykładem takiej alternatywy był wariant rzeczywistości, w którym zginąłeś jako dziecko. Zmiana tym wywołana była ogromna. Lot „Tułacza” trwał tylko kilkaset ziemskich lat i cała załoga powróciła na Ziemię.

Mimo że przeżyłeś wiele wariantów swojego życia, właściwości modelu powodują, że pamiętasz tylko jeden, który tworzy twoją drogę życiową.

- Kto jest twórcą modelu, jak wygląda świat poza nim?

- Pytania te nie mają sensu. Nie możecie poznać niczego poza modelem. Pojęcie świata, materii, czasu, przestrzeni, wielości mają sens tylko w waszym modelu. Nic takiego nie istnieje poza modelem. Panują tam całkowicie odmienne reguły.

- Czemu służy przetwarzanie informacji? - spytałem.

- I w tym pytaniu uwikłałeś się w reguły własnego modelu. Cel istnienia modelu jest jasny. Ale czemu służy wszechobecna informacja? Niczemu! Po prostu jest, przetwarza się, osiąga coraz wyższy poziom złożoności a zarazem jednorodności. I nie mają sensu pytania o cel. A zresztą nawet informacja nie stanowi wrzechrzeczy. Ponad nią istnieje następne piętro rzeczywistości, nieosiągalne z poziomu wszechobecnej informacji. Ciąg tych pięter jest nieskończony.

- Ale kim jesteś, ty, co do mnie mówisz?

- Nikim, ja nie istnieję, stanowią jedynie efekt przetwarzania informacji. A teraz żegnaj.

Głos ucichł, światło zgasło. Znalazłem się w całkowitej pustce. Zrozumiałem, że to już nieodwołalny

koniec. Jeszcze błysnęła myśl - może śnię?

Marek Baraniecki - Głowa Kasandry?

Na początku było Słowo?

Postawiłem cię pośrodku świata, abyś tym łatwiej mógł spoglądać dookoła siebie i widzieć to, co jest

Stworzyłem cię jako istotę ani niebiańską, ani ziemską, abyś mógł samego siebie rzeźbić i przewycięzać?

G. Picco delia Mirandola

W ostatnich dniach lipca W lasach pojawiły się nagle papugi. Niektóre okazy miały wielkość przedramienia dorosłego mężczyzny. Ich jaskrawo-czerwone łebki i intensywnie zielone upierzenie, przechodzące do karmazynu na ogonie, uczyniły świat radośniejszym. Teodor Hornic, mężczyzna w sile wieku, odziany w skórę tygrysa, długo przypatrywał się, jak ogłupiałe ptaki nieporadnie chybczą się na gałęziach sosen i świerków. Igiełki wbijały się w łapki przystosowane przez naturę do tropikalnych, gładkich łodyg. Przez następne dwa dni Hornic zbudował siedem klatek z siatki ogrodzeniowej i nakrył nimi mrowiska przy drodze do wodospadu. Ptaszyska upodobały sobie rozgrzebywanie kopców i tarzanie się w nich. W pierwszą niedzielę sierpnia, to znaczy wczesną wiosną, nad doliną pojawił się myśliwiec bombardujący dalekiego zasięgu, którego typu Hornic nie znał. Samolot zatoczył trzy koła na pułapie sto i wypełnił ciszę ciepłego dnia rozdzierającym hukiem odrzutowych silników. Teodor Hornic przerwał świętowanie na leżaku wystawionym pod rozłożystym dębem i wyszedł na skraj pasa startowego zabierając ze skrzynki sygnałowej kraciatą chorągiewkę.

Wielka, czterosilnikowa maszyna z opuszczonymi do ziemi płatami poziomego usterzenia, kołowała już z powrotem ku środkowi pasa. Hornic wskazał pilotowi kierunek zjazdu na pobocze. Samolot na chwilę zwiększył ciąg i potoczył się na wskazane miejsce. Z kadłuba po rampie ładunkowej zszedł po chwili pilot, rozpinając po drodze zamki skafandra. W milczeniu wyciągnęli dłonie, by raptem, bez ostrzeżenia - radość spotkania była zbyt wielka - paść sobie w objęcia. Kiedy minęło pierwsze wzruszenie, pilot przedstawił się po francusku.

- Jestem Yves Jefferson, z pułku łączności.

- Teodor Hornic - odrzekł witający i patrząc na naszywki skafandra lotniczego zapytał - Air Force?

- Nie, jestem niezależny - Jefferson był zmieszany - wszyscy przecież jesteśmy niezależni. To tylko naszywki. Teraz dopiero Hornic dostrzegł, że wojskowy numer samolotu zakryty był zieloną farbą, a w jego miejscu, obok gwiazdy w kole, namalowano żółty klonowy liść.

- To wejdźmy do mnie. Zaraz coś zjemy, już prawie południe - powiedział Hornic.

Obiad składał się z trzech dań, a na koniec gospodarz przyniósł z magazynu dwie butelki czerwonego rocznikowego wina. Jefferson opowiadał o sobie, o pułku, o planach. O tym co ocalało i co powstało nowego. Tak działo się za każdym razem, kiedy ktoś odwiedzał dolinę. W ostatnim roku Hornic miał dwie powietrzne wizyty. Raz był to Rosjanin Wasilij na Migu-52, a drugim razem - Hindus Mishra na Fantomie 124. I byli to jedyni ludzie, jakich w tym czasie zobaczył. Innych nie szukał, choć w odległości 300 km na południowy wschód leżała osada licząca już ponad 600 mieszkańców. Z początku jeździł tam, aż uznał, że wizyty te nic mu właściwie nie dają. Stał się samotnikiem i przywykł do tego. Od chwili, gdy wybuchła III wojna światowa i gdy w pięć lat po niej spełniły się przepowiednie zapowiadające przebiegunowanie kuli ziemskiej, Teodor Hornic poszedł swoją drogą. Nie szukał ludzi. Kiedy ich spotkał, był z nimi bardzo krótko. Znalazł tę bazę lotniczą i objął ją w posiadanie, bo nie było nikogo, kto by się o nią upomniał. Tutaj, w ciągu trzynastu lat panowania, stał się legendą tej części kontynentu, powtarzaną po chatkach i zajazdach. Był wielkim tropicielem, o którym mówiono, że z wyprawy nigdy nie wraca z pustymi rękami.

Yves Jefferson trzymał w palcach któryś z rzędu kieliszek z winem, gdy wreszcie zadał pytanie, które od dłuższej chwili ważył w sobie:

- Może to niezręcznie z mojej strony, Teodor, ale pułkownik chciałby wiedzieć, czy jesteś zorientowany, jak wyglądają sprawy, no... wiesz, ogólnie?

- Ogólnie? - podjął Hornic. - To znaczy czyje?

Jefferson zamilkł speszony.

- Wiesz, że nie ma teraz silnych - podjął po chwili trochę jakby do siebie - parasol jest szczelny, a nas Jest mało. Dwie eskadry w Kanadzie, jedna zdekompletowana w Hiszpanii, kilka w Indiach i nie wiem ile w Tybecie i Afryce. Amerykanie i Rosjanie praktycznie nie latają, choć powinni mieć najwięcej sprzętu. Podróżować trzeba wozami konnymi lub w zaprzęgach z rogacizny. Nikt nadal nie odważa się używać radia, bo wydaje się, że Mechanizm jakby się jeszcze wyczulił.

Hornic przytaknął skinieniem głowy i powiedział:

- Hindusi sobie radzą.

- Tak, ale oni wiedzą, że nie są głównym celem - Jefferson przerwał. Po dłuższej chwili zdecydował się dokończyć wprost: - Wiemy, Teodor, że jesteś najlepszym tropicielem w tej części kontynentu.

Powiem krótko. Moje dowództwo chce kupić u ciebie... Kasandzę.

Hornic odstawił kieliszek na stół z taką siłą, że całe wino rozlało się na blacie.

- Rosjanie też chcą ją kupić! - podniósł głos - i Hiszpanie chcą, i Chińczycy. I Polacy też! Ale ja już im mówiłem, że to utopia. Ona nie istnieje, a nawet gdyby istniała, to nikt jej nie znajdzie! Rozumiesz, nikt! Aż się sama nie ujawni!

Wstał z fotela i zaczął chodzić po pokoju tam i z powrotem.

- Szukam jej trzynaście lat. Za każdym razem, gdy wpadam na trop, wydaje mi się, że to Ona.

Prześladuje mnie w dzień i w nocy, bo czuję, że jest nieuchwytna i drwi sobie ze mnie. Jeżeli w ogóle istnieje! Wszyscy poszaleliście na jej punkcie. Kto Ją w ogóle tak nazwał? Kto dziś potrafi powiedzieć, skąd wzięła się jej legenda? Przecież to mit! Mit, który jest chyba potrzebny temu światu, bo za mało miał strachu. Wszystkim, którzy tu przylatują lub przyjeżdżają, mówię to samo. Głowa Kasandry nie istnieje! To jest produkt chorej wyobraźni tych z lasów i chyba ptaków, bo nie wiem, kto inny mógłby roznieść tę legendę po wszystkich kontynentach w sytuacji, gdy wiadomości o skupiskach ludzkich nie przenikają z jednej okolicy do drugiej.

Zatrzymał się przy oknie patrząc na odcinające się na tle błękitnego nieba korony palm i buków.

Uniesienie już minęło. Teraz głos jego zabrzmiał zupełnie cicho i z ledwo wyczuwalną ironią:

- Czym możecie mi zapłacić, zęby nie było za tanio?

- Ile ci proponowano? - ironii Jefferson nie wyczuł.

Hornic roześmiał się i odwrócił do niego.

- Anglicy dawali mi harem i pięć ton złota w sztabkach i wyrobach. Co możecie mi dać więcej? Dwa haremy?

Teraz Jefferson zaczął się śmiać i śmiał się z każdą chwilą coraz głośniej.

Dziesięć ton wyrzucił z trudem, krztusząc się.

Ich śmiech odbił się echem od ściany lasu i spłoszył stłoczone w zagrodzie kozy i owce.

Przestraszone słuchały dźwięku, który do tej pory był im obcy. Tylko wielki wilczur na progu obory z leniwym zainteresowaniem nasłuchiwał unosząc głowę. Chwilę patrzył w stronę otwartych drzwi drewnianej chaty, w której siedzieli dwaj mężczyźni. Istoty dziwne, nie pasujące do burzliwie kotłującej się wokół bujnej przyrody.

Jefferson został w dolinie dwa dni. Hornic oprowadził go po okolicy. Z pasją opowiadał, jak rok po roku przyroda strefy umiarkowanej, po odwróceniu się ziemskiej osi obrotu, dostosowywała się z trudem do warunków tropikalnych. Pierwsze poddały się brzozy. Uschły po kilku miesiącach, zostawiając po sobie pustynne tereny. Nie utrzymały się też wierzby, chociaż zrazu uległy specyficznemu przeobrażeniu. Zrzuciły gałęzie i pokryły się liśćmi, które zaczęły rosnąć wprost z korony pnia. Natomiast nadzwyczaj dobrze, ku zdziwieniu Hornica, przystosowały się drzewa iglaste, świerki i sosny. Sosny zrzuciły tylko część igieł i teraz, po trzynastu latach, ich gałęzie przypominały rzadki grzebień do włosów, z igłami kierowanymi ku ziemi. Jefferson z zainteresowaniem przyglądał się lasowi złożonemu częściowo z dębów i buków, rosnących na przemian z palmami i tropikalnymi odmianami leśnego poszycia i lian.

- Tutaj - mówił Hornic - przyroda sama zasiała to wszystko. Nasiona przyszły z wiatrem w

pierwszych latach stabilizowania się klimatów. Potem przyleciały ptaki. Po nich przywędrowały zwierzęta. W zeszłym roku miałem kłopot z bengalskim tygrysem, który nie wiadomo dlaczego, rozbijał mi ule. Prawie miesiąc straciłem na wytropienie i upolowanie bestii. Ale za to - dodał z uśmiechem - mam teraz w czym chodzić.

Po kolacji Hornic pokazał Jeffersonowi lotnisko i zabudowania. Na końcu kilometrowego pasa startowego znajdował się hangar i zabudowania zaplecza. Po wieży kontrolnej pozostały tylko oczyszczone z gruzu ruiny. Jedną z bocznych ścian hangaru zdobił ślad po celnym pocisku raketowym. Miejsce po wyrwie było zamurowane rzeczonymi kamieniami. Zrobił to Hornic, podobnie jak z wyrwami w płycie startowej. Z tą tylko różnicą, że tam na plomby użył cegły.

W pierwszych miesiącach po ucichnięciu błyskawicznej i gwałtownej wojny, której nikt chyba nie kontrolował, Hornic latał trochę nad okolicą i szukał ludzi. Był to okres wędrówek ludów. Opuszczano tereny skażone i uciekano przez nie istniejące już granice państw od wszystkich miejsc, które mogłyby stać się celem raketowego ataku. Przez cztery następujące po sobie lata Hornic wędrował jak inni. Uprawiał ziemię, strzelał do tych, którzy chcieli go z niej wyrzucić i sam starał się unikać kuli. W czasie śnieżnych zamieci przeżywał katusze zimna i głodu. Usiłował iść na południe, ale tam tereny były całkowicie skażone.

Wrócił więc z powrotem i tutaj, gdzie, jak mówiono, już nic nie istnieje, znalazł przystań. Tutaj też zaskoczyły go Trzy Dni Ciemności. Leżał w piwnicy na łóżku polowym i czuł, jak cały świat pęka i rozpada się w proch. Wstrząsy tektoniczne w tej okolicy nie były silne, ale huraganowe wiatry i grzmoty przykrywały wszystko swoim ogromem. Gdzieś daleko znikwały wyspy i całe połączenia kontynentów, gdzie indziej wynurzały się z oceanów nowe lądy. Bieguny topniały, a woda zalewała wybrzeża. Kiedy po raz pierwszy słońce wychyliło się zza horyzontu po jego dotychczasowej zachodniej stronie Hornic czuł, że jego życie przestało mieć znaczenie. Trwał w stanie otępienia przez miesiąc, ale obudził go pewnego dnia huk i smuga białego dymu na niebie. Chwilę przyglądał się jej bezmyślnie, wreszcie zrozumiał. Rakietą! Szła pod ostrym kątem w górę, niosąc w głowicy śmierć odległemu wrogowi, gdzieś w innej części świata. Biegał godzinami po lesie szukając tych, którzy ją odpalili, aż trafił na dymiącą jeszcze, okrągłą studnię wyrzutni. Nie było nikogo. Rozkaz zniszczenia wroga wydany został wiele lat temu i utrwalał w elektrycznej pamięci systemu startowego.

Od tego dnia zaczął żyć naprawdę. Zbudował drewniany dom, zagrodę dla zwierząt złapanych w lesie i okolicach zburzonych miast i wsi. Spędzał dużo czasu na obserwacji nocnego nieba. Udało mu się, od czasu do czasu, dostrzec punkty sporadycznie przesuwane w tle nowych gwiazdozbiorów południowego nieba. Wiedział, że rakiety lecą zgodnie z programami zawartymi w komputerowych pamięciach. Tyle że nie było już starych punktów odniesienia. Zmierały w stronę własnych terytoriów, niosąc całkowicie przypadkową chemiczną lub atomową śmierć. Jeżeli tam, gdzie spadały, ktokolwiek jeszcze mieszkał lub żył.

Baza lotnicza Hornica wyposażona była znakomicie. W podziemiach ocalały systemy komputerowe, których część przeprogramował do swoich celów. W sekcji technicznej były trzy wozy bojowe i inne mniejsze pojazdy. Lekkie dźwigi używane w hangarze. Magazyny części i broni. Warsztaty, generatornia i wielkie zbiorniki lotniczego paliwa. Już w pierwszym roku udało mu się wykryć w promieniu stu kilometrów, sześć stanowisk raketowych i unieszkodliwić je. Następne lata zwiększały jego doświadczenie. Obserwował mrówki, pszczoły, trawę, ukształtowanie terenu, rodzaje gleb i setki innych czynników, zdradzających miejsca kryjące podziemne silosy. Rozpoznawał podziemne pustki jakimś nowym instynktem, pobudzonym przez ustawiczne myślenie o podziemnych zegarach odmierzających swój własny czas. Czas startu zakodowany bezimiennymi rękami w niezliczonej ilości samoczynnych wyrzutni. Na wielu kontynentach. Ludzie skończyli wojnę w połowie drugiej godziny jej trwania. Pozbawione obsługi wyrzutnie prowadziły ją nadal. Nie zahamował tej wojny kosmiczny charakter kataklizmu, jakiemu uległa Ziemia. Od trzynastu lat startowały z podziemnych wyrzutni, już nie tylko na

zewewnętrzny rozkaz. Reagowały na najsłabszy radiowy sygnał. W nieprzewidziany sposób pobudzały je lecące samoloty. Rakiety zmusiły ocalałych ludzi, by przytulili swe życie do Ziemi.

Wtedy, naraz w wielu miejscach, zaczęto powtarzać sobie legendę o Głowie Kasandry. Hornic początkowo wyśmiał to, ale tak jak w innych i w nim zaczęły kiełkować ziarenka niepokoju. I bardzo szybko stał się jej ofiarą. Nikt tej rakiety nigdy nie widział. Zainstalowano ją, według szeptanych przekazów, w ostatnich tygodniach zbrojeń. Jedną, jedyną. Przeznaczoną dla tego, kto przeżyje... Zdolną do unicestwienia życia na całej kuli ziemskiej. Ustawiona na ukrytej wyrzutni przez szaleńca, gotowa do zniszczenia wszystkiego, co przetrwa. Nikt nie wiedział, gdzie jest. O dwieście czy dwa tysiące kilometrów od niego. Za każdym razem, gdy Hornic znajdował nowy silos, wydawało mu się, że będzie w nim Ona. Miał nadzieję i jednocześnie jej nie miał. Zdawał sobie sprawę, że mimo iż nauczył się łamać system zabezpieczeń zwykłych rakiet, to wtargnięcie do sterowni bunkra Kasandry niemal na pewno nie będzie miało szans powodzenia. Za każdą „zwykłą” raketę otrzymywał od zleceniodawców zapłatę w naturze i w złocie. Płacili mu za trofea, niezależnie od kierunków świata, z których do niego przybywali. Jedni drogą powietrzną, inni wołami i konno. Z ramienia jakichś nieznanym mu rządów i w imieniu rolniczych osad. Jego trofeum Wielkiego Tropicielea, było zawsze takie samo. Końcówka kabla impulsowego łączącego system zapłonowy z blokiem sterowania wyrzutni. Pierwsze trofeum wisiało nad drzwiami jego pokoju. Powiesił je na prostokątnej dużej płycie, obciążonej skórą bengalskiego tygrysa. W tym właśnie pokoju Jefferson rozłożył rulony planów, projekcji satelitarnych, zdjęć terenów sprzed kataklizmu.

- Naszym zdaniem, Ona jest gdzieś w tym rejonie - powiedział Jefferson, kreśląc palcem koło na jednym z kwadratów siatki. - Niestety, ani my, ani Hiszpanie, ani Rosjanie nie wiedzą tego dokładnie. Co więcej, na skutek przesunięć tektonicznych skorupy i praktycznej likwidacji ośrodków dowódczych, nie możemy dojść, kto i w jaki sposób ją tam zainstalował. Nie wiemy nic ponadto, że gdzieś w tym miejscu koncentrują się duże ilości stali z pustych przestrzeni.

- Znam trochę te miejsca - powiedział Hornic. - Byłem tam w zeszłym roku.

Zamilkł i spod przymrużonych powiek wpatrywał się w mapę, jakby starając się coś odtworzyć z pamięci. Od końca palców, przez ręce, plecy, do nóg zaczęły wędrować po nim drobne igiełki. Wiedział już, że się tego podejmie. Czuł, jak zbliża się znów Wielkie Polowanie.

- Dobrze, spróbuję jeszcze raz - powiedział powoli - ale nadal żadnych lotów i żadnego radia. Niczego, co mogłoby zainicjować jakikolwiek odpał.

Jefferson zwinął resztę map.

- Ile czasu potrzebujesz?

- Pół roku.

- A z materiałów?

- Nic, mam wszystko.

Po południu zakończyli tankowanie paliwa i po krótkim pożegnaniu samolot pokołował do początku pasa. Hornic nie został na dworze. Wrócił do domu i otworzył szafkę z płytami. Chwilę zastanawiał się, co położyć na talerz adapteru, po czym wyciągnął płytę na chybił trafił ze środka i przeczytał na krążku: „J. Strauss - Nad pięknym modrym Dunajem” Pierwsze tony walca utonęły w przeorywającym ziemię huku startującego samolotu Jeffersona, ale potem już całkowicie wypełniły wnętrze pokoju.

Teodor Hornic prowadził transporter opancerzony głównie wzdłuż drogi. Asfalt był już mocno zniszczony, ale na ogół udawało mu się przejechać nawet przez wysokie piargi wysadzin lub lejów po bombach zarośniętych bujną roślinnością. Miejscami drogę przegradzały pnie zwalonych drzew. Musiał wtedy się zatrzymać i uruchamiać ramię hydraulicznego dźwigu zamontowanego na kadłubie. Co jakiś czas mijał ścieżki wydeptane przez karawany zwierząt i ludzi ciągnących w? wszystkich możliwych kierunkach. Ludzie szukali miejsca do osiedlenia lub do jut powstałych osad; zwierzęta przeciwnie,

miejsc, w których nikt nie będzie ich niepokoił. Temperatura powietrza trzymała się w granicach 40 stopni Celsjusza, lecz było względnie suche. Hornic pojazdu używał niechętnie. Po przebudowaniu stanowią dla niego ruchomy magazyn sprzętu do wyszukiwania i otwierania wyrzutni. Jeżeli nie musiał, jeździł konno lub chodził po prostu pieszo. Tak było wygodniej. Myślał teraz o Niej. Wszystkie sny obracały się wokół Niej. Do Niej mówił. Jej odgrażał się, o Nią prosił los. Czynił wszystko, by pobudzić podświadomość do pracy. Na miejsce dojechał późnym popołudniem. Zatrzymał się na wzniesieniu pokrytym tylko trawą. Przed nim po horyzont szumiały trawy na pofalowanym łagodnymi wzgórzami terenie. W zagłębieniach połyskiwały granatowe oka stawów i jeziorek. Pejzaż był niemal sielankowy. Włożył wysokie buty przeciw żmijom i pająkom i zeskoczył na ziemię. „Tak było chyba przed tysiącem lat” - pomyślał. Ogłuszony wielogodzinnym hałasem silnika, stał oswajając się z ciszą, jaka królowała nad krajobrazem. Wprawnym okiem tropiciela rozróżnił dalekie miejsca zdradzające konfiguracją zboczy ślad ludzkiej interwencji. Dla postronnego obserwatora różnica była niemal niezauważalna. Tylko przyroda zdradzała innym odcieniem traw to, czego sama nie stworzyła. Hornic zapragnął jeszcze przed zachodem słońca wykopać się w kryształowo czystej wodzie najbliższego jeziora.

Wsiadł z powrotem do transportera i uruchomił silnik. Zjechał powoli po długim łagodnym zboczu. Dojeżdżał właśnie do granicy trzciny, gdy nagle, raczej ostrzeżony instynktem niż węchem, kopnął nogą hamulec. Transporter zarył się w ziemię stając niemal pionowo. Hornic błyskawicznym ruchem porwał wiszącą nad głową maskę gazową i założył ją na twarz. Odkręcił zawór butli tlenowej i wciąż wstrzymując oddech trzykrotnie odciągnął brzegi maski wypompowując spod niej resztki powietrza o subtelnym zapachu fiołków. Kiedy transporter opadł na sześć osi i ustał rumor kotłującego się w środku sprzętu, Hornic wrzucił wsteczny bieg i całą mocą silnika wycofał się na szczyt wzgórza. Tutaj, nią zdejmując maski i nie wyłączając silnika, długo siedział nieruchomo, czując jak w piersi tłucze mu się serce i krew pulsuje w skroniach. Ta piękna okolica była całkowicie stracona.

Po zachodzie słońca, o dwa kilometry dalej, między transporterem a wbitym w ziemię palem, rozwiesił hamak i rozpalił ognisko. Po kolacji ułożył się w hamaku słuchając nocnego życia owadów, którym zwielokrotniona radioaktywność atmosfery bynajmniej nie przeszkadzała w gatunkowym pochodzie ewolucyjnym. Po niebie wiła się wielobarwnymi wstęgami i płaszczyznami zorza. Patrzył na projekcję barw słonecznego widma i czuł, że to właśnie ona może stać się dla Ziemi zwiastunem najgroźniejszego niebezpieczeństwa. Wcześniej jut naruszona przez człowieka równowaga magnetyczna planety od trzynastu lat nie istniała. Do tej pory nie powstała nowa powłoka magnetyczna, analogiczna do tej, jaka od milionów lat chroniła glob przed kosmicznym promieniowaniem. Teodor Hornic zasnął dopiero przed północą śniąc znów o Głowie Kasandry, postrachu ocalałej ludzkości lub tylko wymyślonej przez niedobitków.

Koło południa następnego dnia temperatura emocji Hornica zrównała się niemal z temperaturą otoczenia. Miejsce wybrane z daleka rzeczywiście kryło pod sobą wyrzutnię. Płyta pokrywowa znajdowała się pod jeziorkiem otoczonym trzciny i wysoką, soczyście zieloną trawą. Tuż obok, na małym pagórku rosły wrzosi, w których zaczął kopanie. Małą saperką kroił darń i odkładał ją na bok pozostawiając rowek szerokości łopatki i głębokości około trzydziestu centymetrów. Do wieczora pierwszego dnia wykopał w ten sposób ponad dwieście metrów kanalików. Pozwoliło mu to ustalić zasięg robót niwelacyjnych wykonanych przy maskowaniu terenu i stwierdzić, z jakim rodzajem pokrywy ma do czynienia. Po tygodniu jego wstępne oceny sprawdziły się. Silos należał do dużych i Hornic był niemal pewny, że wykonany został pod balistyczny pocisk taktyczny. Z takimi silosami już się spotkał i potrafił łamać ich systemy zabezpieczeń. Teren wokół stawu upodobił się do placu poszukiwań archeologicznych. Gęsta Biec wykopów pokrywała okoliczne pagórki i cienkimi nitkami wpisywała się trawersami w okoliczne wzniesienia.

Niedzielę Hornic jak zwykle spędził na świętowaniu, a w poniedziałek rozpoczął pompowanie wody ze stawu. Zajęło to następnych dziesięć dni. W tym czasie jadł bardzo mało i spał krótko i źle.

Monotonny warkot pompy ucichł następnej środy w południe. Wtedy zszedł na sam środek mokrego dna stawu, by stwierdzić, że rodzimy muł kończy się w odległości trzech metrów od brzegu. Dalej był ił gliniasty, nie pasujący zupełnie do struktury geologicznej otoczenia. W najniższym punkcie dna znalazł wylot kamionkowej rury. Płynęła nią nadal leniwie woda, jak przypuszczał, z któregoś, z okolicznych stawów. Zgarnął nogą glinę i wepchnął ją do wylotu rury. Zamknął oczy i długo stał nieruchomo czując, jak przez ciało przenika świadomość bliskości celu. Przed oczami przewijał mu się film z utrwalaną trzynaście lat wiedzą. Wierzył zawsze w siebie i teraz swojej wiedzy ufał. Ostatni etap trwał trzy dni. W czterech punktach wyznaczonych teodolitem, z dokładnością do centymetra, wbił na głębokość pięciu metrów przygotowane w bazie stalowe kliny. Pozostawił na powierzchni tylko ich metrowe końcówki. Samą akcję odłożył do następnego dnia. Zwinął, zakonserwował i spakował sprzęt, który już nie był mu potrzebny. Przejrzał mechanizm wyciągarki liniowej i sterowanie jej zdalnego napędu.

Tej nocy po raz pierwszy się opanował. Nerwy, nie dające się dotąd ujarzmić, zaczęły mu być posłuszne. Jak nerwy myśliwego przed strzałem mającym zdecydować o jego życiu. Nie miał żadnych snów. Rano wolno zjadł śniadanie i umył naczynia. Przebrał się w kombinezon. Założył pas i ładownicę z wykonanymi przez siebie narzędziami. Na piersi zawiesił elektroniczny miernik uniwersalny. Na drugim boku maskę przeciwgazową. Następnie otworzył nie używany do tej pory pojemnik i zdjął pokrowiec. Skontrolował wzrokiem pulpit radiokomputera z ekranową końcówką i włożył kluczyk do stacyjki. Zgrał się z systemem sterowniczym wyrzutni symulując drogą radiową wstępne polecenia otwarcia systemu zabezpieczającego.

Długo obserwował setki wariantów wyświetlanych na monitorze, sprawdzających punkt po punkcie cały system silosu. W końcu komputer wyświetlił ten właściwy, jedyny i niepowtarzalny klucz sygnałowy. Hornic uruchomił emisję i spojrzał przez ramię w kierunku stawu. Grunt drgnął i półokręgiem, wokół linii przybrzeżnych trzcin, ziemia zapadła się ukazując przepastną czeluść. Pale, wbite po drugiej stronie dolinki, uniemożliwiły szersze otwarcie wyrzutni, blokując tym samym moment odliczania do startu. Powrotną jej drogę, drząc lekko z emocji, Hornic odciął hydraulicznymi rozporami. Podjechał transporterem do krawędzi szczeliny. Na krzesłkowym dźwigu ze sterownikiem w ręce i maską na twarzy, opuścił się w głąb. Zaledwie dwa metry pod stropem zatrzymał wyciąg. Odruchowo przetarł rękawicą szkła maski i zamarł.

Betonowy silos o średnicy około dwudziestu metrów i głębokości trzydziestu, był pusty. Dwa pionowe rzędy czerwonych świateł oświetlały ponurym światłem wilgotną i przepastną, pustą czeluść. Dziki wrzask wiszącego na linie człowieka targnął zamkniętą przestrzeń zwielenokrotnionym pogłosem.

Purpurowy zachód słońca zastał Hornica stojącego twarzą w kierunku, który jego przodkowie nazywali północą. Na twarzy i gęstej brodzie mężczyzny widniały ślady łez. Były to łzy upokorzenia i zawodu. Przetarł rękawicą twarz, rozmazując na niej smar z liny wyciągarki.

- Niewiele po nas zostało, to prawda - szepnął do siebie - ale nie oddam ci nawet tego. Znajdę cię, choćbyś się schowała pod stumetrową warstwą ziemi lub wody.

Odpowiedział mu szum traw, który trwał od stworzenia świata.

Robert Walath, właściciel i pan na pół murowanego, na pół drewnianego domu wyszedł na dobudowany do frontowej ściany głęboki ganek z podcieniami. Podeszedł do wiszącego na poprzecznej belce dzwonił i odwiązał sznur mocujący serce. Poranna tropikalna mgła otulała niemal całkowicie odległą o kilkadziesiąt metrów palisadę z pni wielkich drzew. Zastygłe w bezruchu korony drzew zwiślały martwe nad jej krawędzią. Popatrzył na stojący pod zadaszeniem ciężki wóz bojowy z przyczepioną cysterną, po czym westchnął i pociągnął za sznur. Dźwięk dzwonu zabrzmiał w porannej ciszy ostro i odbity ścianą lasu wrócił pogłosem w akompaniamencie krzyku ptaków. Mała ludzka enklawa zaczęła jak co dzień, od lat w ten sam sposób, budzić się do życia... Teodor Hornic w swoim pokoju otworzył oczy i utkwiał wzrok w ścianie. Drzwi zasłaniała mu spiętrzona pod brodą pościel, nie okrywająca zupełnie

ciała. Znow spał nerwowo. Długą chwilę nadśluchiwał odgłosów domu nie ogarniając od razu sytuacji. Potem przypomniał sobie swój późny przyjazd i hałas, jakiego narobił w nocy manewrując transporterem po placu. Gdzieś w przyległym korytarzyku cicho stuknęły drzwi. Usiadł na krawędzi łóżka i spojrzał przez otwarte okno na zielony kocioł, z którego przybył. Od dworu pokój oddzielony był niemal przezroczystą siateczką rozpiętą na okiennej ramie.

Umył się w łazience pod ciepłym prysznicem rozkoszując się i pozwalając ponad miarę spływać wodzie po plecach i głowie. Nie korzystał z tego dobrodziejstwa przez ostatnie trzy miesiące przebywania poza bazą. Po otwarciu pustego silosu przeszukał teren w promieniu dziesięciu kilometrów. Zajął mu to miesiąc, w czasie którego wydało mu się, że jest na tropie. Tyle że trop przeciął w poprzek i nie wiedział jak przebiega. Odnaleziony pusty silos, dokładnie zbadany, okazał się atrapą. Nie był uzbrojony i bez wcześniejszego wyposażenia nie mogłaby z niego wystartować żadna rakietka. Analiza komputerowa pozwoliła mu jednak ustalić, że ta maskarada była celowym manewrem odwracającym uwagę. Dały się temu podstępowi zwieść obsługi satelitów wykrywających podziemne wyrzutnie. Z namalowanymi przez nie mapami Jefferson mógł latać po całym kontynencie z jednakowym skutkiem.

Ubrał się i szedł do jadalni. Drzwi na podwórzec były otwarte na oścież. Deski podłogi lśniły czystością. W salce unosił się zapach drewna i świeżości. Na trzech długich drewnianych ławach ułożone już były nakrycia do posiłku. Jak było w zwyczaju w Starym Świecie, w rzędach talerze, przy nich łyżki i gdzieś tam noże lub widelce różnych rodzajów. Kilka talerzy było porcelanowych z wytartym zdobieniem, dwa mosiężne i kilka miseczek z jakiegoś nieokreślonego szarego tworzywa. Wszystkie niemal, bez wyjątku, mocno na brzegach nadłuczone i spękane. Kubki i sztućce prezentowały się podobnie. W kącie pod oknem stał duży stół bilardowy wyłożony pasowanymi wycinkami skór zwierząt. Na ścianie mapa okolicy z naniesionymi ręcznie poprawkami linii rzek i strumieni. Obok, na ścianie, stare olejne płótno w głębokich ramach, przedstawiające zimowe polowanie. Obraz pełen ruchu i dynamizmu. Kilkanaście spienionych koni w biegu, z białymi od piany chrapami, poprzedzanych sforą psów goniących dzika. Na koniach w rozpiętych kożuchach siedemnastowieczna książęca rodzina o pucołowatych, rumianych twarzach i błyszczących emocją i radością oczach. Nad drugim oknem papierowy plakat z żółtym napisem na zielonym tle: „Wędrowcze! Strzeż się gazu!” Nad drzwiami do kuchni duży bambusowy krzyż.

Hornic po zlustrowaniu jadalni zatrzymał się jakby niezdecydowany gdzie się skierować, kiedy w drzwiach jednocześnie pojawili się Walath i nieznajomy mężczyzna o śniadej cerze i nieco wschodniej urodzie. Z ubioru Hornic wywnioskował, że to przyjezdny.

- Zdrowy dzień - pozdrowił go nieznajomy uprzejmie przyglądając mu się z życzliwym zainteresowaniem, a Walath skinął głową i uśmiechnął się lekko.

- Zdrowy dzień - odpowiedział Hornic i dodał: - Jak może być inaczej w tak zdrowej okolicy.

Walath uśmiechnął się z widocznym zadowoleniem z komplementu i odpowiedział:

- Za chwilę będzie śniadanie. Żona zaraz rozda pieczywo. Mleko już się gotuje.

Podali sobie ręce na środku izby, a Hornic spojrzał pytająco na gospodarza. W odpowiedzi ten skinął powiekami potwierdzając i to przyniosło Hornicowi ulgę.

W kwadrans później przy dwóch stołach zasiadło 26 osób, w tym dwie rodziny o bardzo licznym potomstwie. Żadne z dzieci nie miało więcej niż dziesięć lat. Przecrój ubiorów był skrajnie kontrastowy, tak jak stołowe nakrycia. Hornic z zaciekawieniem, lecz dyskretnie zlustrował siedzących. Jedni ubrani byli w zupełnie nowe bluzki i koszule produkowane do ostatnich dni Epoki. Drudzy w grube płócienne niby koszule, wiązane w pasie kolorowymi sznurkami, nienagannie jednak czyste. Twarze siedzących w większości były pogodne, choć bez trudu można było na nich odczytać ślady przebytych chorób. Przy drugim stole jeden z kilkuletnich chłopców siedzących obok mężczyzny o długich białych włosach, poza krótkimi jedynie spodenkami miał na gołym torsie połyskliwe czerwona bluzę ze złotym napisem „Coca cola” na plecach. „Ciekawe czy ten, malec pytał już rodziców co to znaczy?” - pomyślał Hornic.

Żona gospodarza, Kira, wniosła po kolei kilka głębokich naczyń z gorącym mlekiem, a po nich miski i koszyki z pieczywem i owocami, po czym usiadła na czołowym miejscu drugiego stołu. Przy pierwszym, też na głównym miejscu, siedział Walath obserwując teraz z pozorną niedbałością siedzących. Kiedy nikt nie sięgał po jedzenie i zapadła dłuższa cisza, złożył ręce i odezwał się:

- Przez pamięć tych, których nie ma... - zawahał się - niech prawo życia będzie silniejsze od wspomnień.

Przerwał na dłuższą chwilę, po czym kontynuował:

- Pobłogosław Panie te dary, abyśmy dzień dzisiejszy przeżyli w zdrowiu i siłach. Aby ślad promieniowania nie pozostał na tych produktach i ani ich skażona cząstka nie zatrąła nam organizmów. Daj nam odporność zieleni i ochraniaj przed nieszczęśliwymi miejscami, abyśmy się nie stali ofiarami chemicznej i radioaktywnej śmierci. Spraw, aby nasze geny nosiły tylko zdrowy owoc naszego żywota. Amen. - Amen! - chóralnie odpowiedzieli siedzący.

Po śniadaniu w pokoju Hornica odbyło się spotkanie. Gospodarz przyprowadził trzydziesto-kilkuletniego mężczyznę o silnie opalonej twarzy i śnieżno-siwych włosach opadających gęstym splotem na ramiona. Przy stole siedział on na wprost Hornica. Kiedy drzwi zostały zamknięte od środka na skobel, mężczyzna przedstawił się po niemiecku:

- Jestem Kurt Watzinger. Herr Walath mówił, że pan chciał się ze mną widzieć.

- Tak - odpowiedział Hornic również po niemiecku - dziękuję, że zechciał pan przybyć tutaj. Czy pan Walath mówił, czego oczekuję po rozmowie z panem i kim jestem?

- Mówił, że szuka pan schematu stanowisk rakiet taktycznych. Ja wiem, że pan jest Teodor Hornic znany jako Wielki Łowca. Dlatego przyszedłem - odpowiedział zwięźle Watzinger.

- Tak! Szukam sieci stanowisk... A właściwie jednego stanowiska. Za to niezmiernie dobrze ukrytego. Nie mogę go znaleźć mimo wielu lat poszukiwań. Nie wiem jaki pan ma stosunek do sprawy, ale... Hornic zawiesił głos. Tamten podjął wątek:

- Pan mówi o Głowie Kasandry! Wiemy u nas, że pan jej szuka. Wierzę, że ona istnieje. Jeżeli to panu cokolwiek ułatwi, to powiem od siebie, że jestem tego pewny. Choć osobiście sceptycznie patrzę na pana sukces w jej poszukiwaniach.

Walath przysłuchujący się do tej pory rozmowie w milczeniu, odezwał się cicho:

- Pan Watzinger, Teodorze, był oficerem, a przedtem doradcą urbanistycznym mera miasta. Jest jedynym mi znanym człowiekiem, który otarł się być może o samą raketę. A na pewno posiada wiadomości, które mogą coś nowego wniesić do poszukiwań. Dlatego przybył tutaj z tak daleka.

Watzinger położył na stole mały woreczek i rozwiązał go. Wyjął aluminiowy pojemnik wielkości dłoni i odkręcił wieko. W środku była rolka taśmy magnetycznej.

- To - zaczął Watzinger - jest ślad, o którym przypomniałem sobie miesiąc temu, gdy był u mnie pan Walath. Właściwie to niebywałe szczęście, że się w ogóle przechował. Zapamiętałem go, bo to był najdziwniejszy meldunek przed Katastrofą. Pracowałem wtedy w stacji elektronicznego nasłuchu, w sekcji deszyfracji. Dwa dni przed pierwszym wstrząsem wyłapany został przekaz szyfrem, który był prozaicznie prosty. Jego złamanie zajęło nam około godziny. Nadany był tekstem angielskim.

- A kto nadał? - zapytał Hornic.

- Tego nie wiem - uśmiechnął się Watzinger - sam język też o niczym nie świadczy, zwłaszcza w szyfrowanych przekazach. Dziwne było to, że tak jak łatwo złamaliśmy pierwszy stopień zaszyfrowania, nie udało nam się jednak pójść dalej. Ze względu na inne zadania odłożyliśmy tę sprawę na 24 godziny, a potem już pan wie. Przestało to być ważne.

Watzinger spojrzał uważniej na Hornica i pośpieszył z wyjaśnieniem:

- W pięć lat po wojnie, minio wzajemnych podejrzeń, nikt się właściwie poważnie nie dozbierał. Po obu stronach już wtedy przemysł po prostu nie istniał. Rakiety, jak wiecie, dotarły nawet do głębokich podziemnych fabryk i pokładów kopalnianych, do poziomów siedemset i głębiej. Przez te pięć lat można

było teoretycznie korzystać z nieprzeliczonych zapasów. Ale żywność zaczęła się kończyć w naszych magazynach wojskowych po trzech latach. Tak było przynajmniej pod ziemią. A przecież na powierzchni już wtedy nie było trzydziestu procent ludzi i nikt nie myślał o produkcji. W ówczesnej sytuacji, gdy rządy praktycznie przestały mieć jakąkolwiek władzę, nie było spójnej taktyki obronnej. Miało to oczywisty wpływ na tło przekazów szyfrowych. Wielka globalna konspiracyjna elektroniczna zabawa zamieniła się w grę, którą grała wąska grupa ośrodków. Chaos i dezintegracja pozwoliły ograniczyć nasłuch do kilkudziesięciu punktów nadawczo - odbiorczych. Po pięciu latach znaleźliśmy niemal imiona dowódców jednostek łączności... Oczywiście w przenośni - uśmiechnął się Watzinger.

- W tej sytuacji wiedzieliśmy, kiedy zaczynała się wymiana informacji, pomiędzy kim i kiedy się kończyła, choć rzadko wiedzieliśmy o co chodzi.

Ten przekaz, który panu chcę dać, był wyjątkiem. Nie był bowiem ani początkiem ani końcem jakiegoś cyklu wymiany informacji. Nie nawiązywał do żadnego z prowadzonych dialogów. Więcej nawet. Nie pasował do stylu charakterystycznego dla żadnej ze znanych nam wtedy stacji. Zinterpretowaliśmy ten odbiór jako odezwanie się nowego ośrodka. Pamiętam, że nas to mocno zaniepokoiło, bo nie wiedzieliśmy po czyjej jest stronie. No i ten tekst...

- Czy możemy tę taśmę wczytać? - zapytał Hornic.

- Tak - odpowiedział Walath - wczoraj zrobiliśmy to z Kurtem zanim przyjechałeś. Przejdźmy do piwnicy.

Zeszli po szerokich drewnianych schodach i Walath przez chwilę mocował się z zamkiem w drzwiach. Pomieszczenie, wykonane, kilka lat wcześniej przez Hornica, gospodarza i dwóch już nieżyjących elektroników, utrzymane było w dobrym stanie. Szafy i segmenty systemu komputerowego stały pod ścianami, a na środku szklana szala z dyskami i taśmami. Przy niej stolik. Walath zdjął pokrowce z trzech bloków i uruchomił stacyjkę komputera. Założył taśmę i uruchomił odczyt.

Stali nachyleni nad ekranem i śledzili płynący wierszami tekst. W pewnym momencie Walath zatrzymał odczyt.

- Trojańska wyrocznia otrzymała prezent - odczytał półgłosem Hornic. Dalej były dziesiątki cyfr, a potem: - Kiedy słońce zajdzie 7400072133 prezent zostanie odesłany 033020224. Adresat nieznan. Pozdrowienia dla pana boga 034291.

- To koniec? - zapytał Hornic.

- Tak - Watzinger wyprostował się i przeniósł wzrok na okienko piwnicy. - To jest wszystko. Sprawa wyglądała na pozór dobrze. Oczywiście, uzyskaliśmy kilka wariantów, ale żaden nie odpowiadał stopniowi wiarygodności translacji. Zakładaliśmy też, że tekst nie kryje w sobie nic z jest wcześniej uzgodnionym hasłem bez odzewu. Ale przy takim założeniu nie ma sensu dalej szukać.

- No, a... - stracił na moment koncept Hornic - a te cyfry za słońcem i dalej. Co oznaczają?

- Próbowaliśmy ustalić czy nie są koordynatami - wyjaśnił Walath - ale dostaliśmy zbyt wiele odpowiedzi. I żadna, jak myślę, nie jest prawdziwa. Wątpię, byśmy naszym systemem mieli jakąkolwiek szansę je rozgryźć.

Komie odwrócił się od pulpitu komputera i podszedł do małego okienka. Patrzył przez chwilę za wzrokiem Watzingera na bawiące się na placu dzieci. Miały po osiem, może dziewięć lat. Były roześmiane i beztraskie.

- Wiecie o czym myślę? - powiedział częściowo do nich, a częściowo do siebie. - Że mamy bardzo mało czasu i musimy zdążyć. Jesteśmy najprawdopodobniej ich ostatnią szansą.

Wskazał dzieci głową.

- Czy one uczą się czegoś?

- Ni? - usłyszał głos Walatha - poza czytaniem, pisaniem i elementarnym liczeniem nie chcą się uczyć. Mówią, że nauka to śmierć. A wiedza to narzędzie śmierci. I że nie chcą umierać!

Hornic zamknął oczy i mocno je zacisnął. Po chwili znów otworzył i zapytał:

- Czy pan się śpieszy, panie Kurt?

- Mogę zostać kilka dni - odpowiedział Watzinger - dla ludzi, którzy jeszcze wierzą mam dużo czasu.

- To zapraszam panów na łowienie ryb. Mam w transporterze kilka wędek - odpowiedział Hornic i nie oglądając się wyszedł z pomieszczenia.

Ryby brały znakomicie. Nurt rzeki był powolny i głęboki. Siedzieli na krawędzi przyczółka mostowego, łowiąc jednocześnie na dwie wędkę. Kilkanaście metrów od brzegu, w gęstym cieniu drzew, stały wiaderka z rybami. W powietrzu, lekko przymglonym upałem, leniwie grały owady. Hornic siedział w milczeniu gryząc się myślami. Watzinger z zainteresowaniem przyjmował każdy okaz złowionej ryby.

W większości były to okazy tropikalne i słodkowodne. Skąd się wzięły w tej rzece, oddzielonej od prehistorycznych okolic globu ogromem morskich wód, nie wiedział nikt. - Jedyna możliwość, jaka wydaje mi się prawdopodobna - mówił Walath - to przeniesienie flory i fauny drogą powietrzną.

- Trudno uwierzyć - odparł Watzinger - żeby wiatr był w stanie przetransportować takie ilości fauny.

Walath spojrzał na Watzingera.

- Gdzie pan wtedy był? - zapytał.

- Pod ziemią - Watzinger szarpnął wędką i wybrał linkę. Automatyczny kołowrotek terkotał chwilę, aż kolejna ryba zatrzepotała w powietrzu. Wtedy ucichł. W chwilę później znalazła się w pojemniku pod drzewami.

- ...na powierzchnię wyszedłem dopiero po trzech latach - kontynuował po powrocie na stołeczek. - Ze względu na skażenie powierzchni obowiązywał zakaz opuszczania jednostki.

- I nikt nie wychodził? - zapytał Walath.

- Były oczywiście próby rozpoznania, ale nikt nie wracał z takich zadań. Kiedy stan osobowy zaczął się zmniejszać do bezpiecznej granicy, zastosowaliśmy wariant przeczekania. Nie wiedzieliśmy, jaką skalę miało to na górze.

Walath rozejrzał się po przeciwnej stronie rzeki.

- Widzi pan tę jasną płytę, tam w zieleni - wskazał kierunek. Watzinger powiódł wzrokiem za ręką Walatha i skinął głową.

- To jest konstrukcja dachowa, no, teraz już resztki dachu, bo bambusy zniszczyły go niemal całkowicie. Kiedy oglądaliśmy go po znalezieniu, miał na swojej powierzchni napis w języku włoskim. Pochodził z magazynu dworcowego, okręgu kolejowego Mediolanu. Przeniesiony został tu przez Alpy.

Watzinger roześmiał się z niedowierzaniem i uniósł brwi.

- Mamy więcej takich pamiątek w okolicy - podjął Walath - dlaczego razem z dachami nie miały tu przylecieć ryby, chociażby w formie narybku lub ikry. Nie to nas jednak dziwi. Najbardziej niezwykle wydaje się, że to wszystko przeżyło kilkudniowe przebywanie w atmosferze. Przecież masowa śmierć nastąpiła dopiero na skutek zagazowania i napromieniowania, a nie pod wpływem ruchów tektonicznych. Ruchy płyt kontynentalnych pogłębiły tylko uderzenie, szczególnie na terenach nadmorskich.

Watzinger wyjął z kieszeni fajkę i tytoń. Długo, w milczeniu i pedantycznie nabijał. Kiedy zapalił, odezwał się pierwszy:

- Herr Walath, pan był górnikiem. Niech mi pan powie, ale tak od siebie, odkładając wierzenia. Czy pan przypisuje zagładę tektoniczną wojnie?

Walath westchnął i przygładził dłonią włosy:

- Wiele razy pytano mnie o to. Mogę powiedzieć panu to, co mówię za każdym razem. To jest moje osobiste zdanie. Uderzenia jądrowe naruszyły stabilność górotworów. Pan sam mówił rano, że przemysł przez te pięć lat nie działał. Fabryki nie mogły funkcjonować między innymi z braku energii. A energii nie było, bo skończyły się dostawy węgla i ropy naftowej. Na drugi dzień po jądrowym uderzeniu zaczęliśmy uruchamiać kopalnię, w której pracowałem. Nie zważaliśmy na radioaktywny pył opadający na kombinezony. Wiedzieliśmy, że godziny zadecydują o tym, czy pokłady zostaną zatopione. Nie

zważaliśmy na to, co może wydarzyć się w sytuacji militarnej. Kiedy rano przyszedłem pod szyby, został tylko jeden. Jakimś trafem. Dwoma sąsiadami wydmuchało klatki wyciągowe, bo do szybu połączonej z nami kopalni wpadła rakietka termo. Chyba manewrująca. Z braku energii zeszliśmy do szybu o własnych siłach. To, co tam zastaliśmy, doprowadziło do zasłabnięcia górników z dwudziestoletnim stażem. Struktura poziomów wydobywczych była wręcz niemożliwa. Korytarze główne w podszybiu były labiryntem o różnicy poziomów do piętnastu metrów. Wypiętrzenia górotworu zniszczyły całkowicie sieć korytarzy, a szyb główny kończył się na stu dwudziestu metrach. Nowe dno odchylone było od pionu o trzysta metrów. Dopiero tam zrozumieliśmy, że nie ma już czego ratować przed zatopieniem. Zrozumieliśmy wtedy, że ziemia nam tego nie podaruje. Górotwór był tak niespokojny, że czuliśmy i słyszeliśmy jak stęka i zawodzi. Był nawet moment, iż myśleliśmy, że oszalejemy. Ziemia niosła tak straszny jęczący pogłos, że mam go w uszach do dzisiaj. Jeżeli takie naprężenia powstały na znacznych obszarach, to mogły spowodować to, co nastąpiło.

- Tak nagle i w pięć lat później? - zapytał Watzinger.

- A dlaczego nie?

Linka wędki Walatha naprężyła się gwałtownie. Chwycił ją w momencie, gdy spadała z podpórki. Walka z rybą była zaciekle i podniecająca, ale ją wygrał. Był to piękny okaz nieco podobny do okonia, ale o wielkich, czerwonych płetwach i białych pojedynczych pasach po jednym na każdym z boków. Zmieściła się z trudem w trzecim pojemniku, rozlewając ogonem, obficie wodę.

- Co to jest? - zaintrygował się Watzinger.

- Nazywamy go płetwikiem króliczym - odparł Walath - ma smak króliczego mięsa. Założył nową przynętę i zarzucił haczyk. - Poza tym nie kumuluje substancji rozszczepialnych.

- Jak panu udało się to przeżyć? - powrócił do tematu Watzinger.

- Wcale się o to nie starałem. Liczyliśmy w sekcji komputerowej warianty uruchomienia tego, co pozostało, a pod oknami jeździły autocysterny i splukiwały radioaktywny pył do kanalizacji. Zwykłą wodą. Wszyscy, którzy byli tam ze mną nie przeżyli dwóch tygodni. Ja przeleżałem miesiąc i na tym się skończyło. Zniknęły mi nawet wrzody, które miałem od lat. Umilkł i po chwili, jakby ważąc słowa, dodał z ledwie wyczuwalną goryczą: - I nieraz zadaję sobie pytanie, dlaczego to ja przeżyłem?

Siedzieli długo w milczeniu. Ożyłe w rozmowie wspomnienia wróciły krótką urywaną lalą, już bez przeżywanych tysięcy razy emocji, pogrążając każdego we własnych myślach. Koło południa, kiedy ucichły owady i szelest drzew, a upał stał się niemożliwy do zniesienia, zaczęli zbierać się do powrotu.

Milczące krzątanie przerwał Watzinger zwracając się do Hornica:

- A pan, Herr Hornic, jak pan przeżył ten okres? Nigdy nic o panu nie słyszałem. Hornic trzymając w rękach dwa wiadra wypełnione niemal po powierzchnię wody rybami, zamarł w bezruchu. Spojrzał przed siebie wzrokiem, który znalazł cel gdzieś w powietrzu. Potem przeniósł go na Watzingera:

- Nigdy nikomu nie opowiadałem swojej przeszłości, Watzinger. Nie nadszedł jeszcze dzień, w którym to zrobię.

Ten spojrzął w oczy Hornicowi i powiedział i powagą:

- A więc to prawda, że jest pan ostatnim człowiekiem, który nie rozliczył się jeszcze z przeszłością. Tylko że teraz nikt z żyjących już panu niczego nie zarzuci, ani nie będzie miał sprawy, która nie byłaby z góry wybaczona.

Hornic pokręcił głową:

- To nie o to chodzi. To jest mój osobisty zegar i mój osobisty rachunek. Mam głębokie przekonanie, że kiedyś opowiem panu nie tylko o sobie. Mam przekonanie, że to kiedyś nastąpił.

Dzieci żyjące w osadzie miały już swój własny świat, którego Hornic im zazdrościł, ale też cieszył się, że go mają. On, cień z minionego świata, był dla nich postacią na pół zanurzoną w chmurach. Puste lasy, mikrogrupa społeczna, wieczna cisza przyrody i jej ostre barwne kontrasty były dla nielicznego młodego pokolenia środowiskiem naturalnym. Miały w nim swoje miejsce tak zwyczajne jak fakt, że nie

widziały nigdy w swoim krótkim życiu ponad stu ludzi jednocześnie w jednym miejscu. Patrzyły szeroko rozwartymi oczami na Hornica, jak z nabrzmiałą wysiłkiem twarzą wraz z ich patriarchalnym ojczymem Walathem długim wyciorem czyścili lufę automatycznego działa 60 mm. Po ziemi walały się brudne strzępy paków, czarne od grafitowego smaru.

Dzieci z bezradna, ciekawością zaglądały do wnętrza cuchnącego stalą, smarami i potem jeżdżącego olbrzyma na dwunastu mamucich kołach. Wewnętrzne ściany pełne zegarów, klawiatur, dźwigni i barwnych ekraników, świecąc niezrozumiałymi żywymi rysunkami tchnęły niezwykłością i jakąś sytuacyjną uroczystością rzadkiego widowiska. Dzieci wiedziały, że to wszystko służy do zadawania śmierci komuś, kto ośmieliłby się zrobić krzywdę Hornicowi. Jego samego się jednak nie bały. Był dla nich największym bohaterem, zmagającym się z ukrytymi złymi maszynami-zwierzętami, których budowniczo wie już dawno ponieśli zasłużoną karę. Maszyny te unoszą się na słupach ognia, jak dzikie zwierzęta czyhały na nieostrożnych podróżnych. Tyle że na swój sposób. W jaki, dzieci nie wiedziały.

W zajeździe za ich życia zmarło ponad czterdzieści osób, które chowano na pobliskim cmentarzu. Umierali na skutek trafienia na miejsca, lub całe połacie złego powietrza. Każdy nowo przybyły człowiek pozwalał Walathowi zaglądać sobie w oczy i do gardła. Opowiadał o zdrowiu i przebytych chorobach. Od czasu do czasu Walath prowadził kogoś do jednego z pokojów i tam noszono mu jedzenie. A potem był pogrzeb Walatha kochały jak ojca, ale Hornic, mimo wszystko, wydawał się od niego większy. Znał bowiem nieodgadnięty i niezmierny Wielki Świat. Niczego się nie bał. Powtarzał stale, że bohaterami są ich przybrana matka Kira i ojczym Walath, a nie on. Ale co to za bohaterstwo siedzieć w jednym miejscu, pilnować pór posiłków i snu, prowadzić prace przy stajni i domu, uczyć zniechęconego czytania, pisanie i liczenia. Jakaż to odwaga?

Kiedy wycior znalazł się na ziemi, Hornic założył na lufę stalowy kaptur. Przyglądająca się tym czynnościom grupka stała w bezpiecznej odległości, śledząc Hornica z gotowością do bezpiecznego odwrotu, gdyby zaszła taka potrzeba. Przeważał wiek od 7 do 9 lat. Tylko jeden chłopiec, Alin, dając bardziej wyraz swojemu naturalnemu prymatowi nad resztą z racji swoich dwunastu lat, niż z odwagi, wysunął się o dwa kroki do przodu. Hornic z rozbawieniem zerkał na chłopca, który zachowując z pozoru zupełną obojętność, stał jakby przypadkowo w tym właśnie miejscu. Tylko błyszczące oczy zdradzały, że ta obojętność jest rezultatem silnego, samozaparcia. Wielka maszyna z wymalowaną na burcie skradającą się panterą budziła lęk, ale jednocześnie pobudzała chłopięcą wyobraźnię. Skoro nie bał się jej Hornic tak śmiało wpychając jej do pyska stalową włócznię, cóż mogło grozić jemu.

W domu działo się od kilku dni tyle tajemniczych i ciekawych rzeczy. Ojczym rozmawiał z dwoma obcymi w piwnicy, do której nikt z domowników nie miał wstępu. Potem sami poszli na ryby. To musiało do czegoś prowadzić. Dzieci prześcigały się w domysłach, co się może wydarzyć. Wiało jakąś tajemnicą z twarzy przybyłych, którzy zachowywali się co prawda bezpośrednio i często uśmiechali się, ale dziecięcą spostrzegawczość niełatwo jest oszukać. Uśmiechy mężczyzn były sztuczne, pod nimi kryły się twarde maski stężyły w powadze twarzy. Żelazne i poważne były też oczy gości, Alin znajdował w nich mądrość i niemożliwy do ogarnięcia chłopięcym umysłem ogrom zaangażowania w jakieś wielkie, odległe sprawy. Jakie, w tym cichym świecie, pełnym roślinności i zwierząt, nie sposób dociec. Łowca Rakiet! Na dźwięk tych słów oczy przybranej matki Kiry stawały się łagodne i błyszczące. Ojciec na ich brzmienie wybaczał drobne przewinienia. Teraz On, Wielki Łowca był tuż o wyciągnięcie ręki. Kiedy Hornic wszedł do wnętrza pojazdu, światło iluminatora zasłoniła od zewnątrz twarz chłopca. Wyrażała niemą, ale czytelną prośbę.

- Obiecałem ci Alin, jak skończysz czternaście lat - powiedział Hornic.

- Tydzień temu upolowałem jelenia - odpowiedział chłopiec. - Ojciec powiedział, że dorosłem, by chodzić ze strzelbą na polowania.

Twarz chłopca była nadal obojętna, lecz głos zdradzał ukryte napięcie i rozterkę. Hornic znieruchomiał. Chciał jeszcze odsunąć tę rozmowę, ale zrozumiał, że jest za późno by się wycofać.

- Wejdz drugim włazem - powiedział - ale uważaj. Nie rozbij głowy o sklepienie.

Na ułamek sekundy uchwycił szeroki uśmiech i usłyszał szybkie plaśnięcie bosych stóp. Po chwili z otworu zwisły nad fotelem nogi chłopca usiłującego znaleźć po omacku oparcie.

- Nogi do przodu i opuszczaj się wolno - powiedział Hornic.

Kiedy chłopiec siadł w fotelu, Hornic obserwował go uważnie.

- Teodorze - powiedział Alin. Gotował w sobie słowa chyba od dawna: - proszę mnie nauczyć.

- Czego?

- Chcę być tropicielem rakiet! Zapadła niezręczna cisza.

- Myślisz, że to jest łatwe?

- Nie - Alin rozejrzał się po konsolach i aparaturze na ścianie czołowej kabiny.

Potwór drzemał, cieniutko brzęczały elektroniczne świerszcze. W małym okienku świeciła wielocyfrowa seledynowego koloru liczba, Ostatnia jej cyfra zmieniała się bez przerwy w następującą po niej w kolejności liczenia.

- Nie - powtórzył jakby mniej pewnie - ale to bym chciał robić w życiu.

- Podoba ci się tu? - zmienił temat Hornic.

- Tak - ta deklaracja brzmiała bardzo niepewnie - ale ja się nie boję.

- Tak?

- Tak - podchwycił chłopiec - ja już polowałem na tygrysa.

- I spotkałeś go?

- Nie... nie, ale założyłem sidła. Ojciec mnie nauczył.

Hornic rozluźnił się i uśmiechnął?

- Myślisz że podobnie łowi się rakiety?

- Nie wiem, ale ty możesz mnie nauczyć - wiara tryskała chłopcu z oczu.

- Widzisz, Alin, nie wiem czy to się da zrobić. To wymaga ogromnej wiedzy.

- Pan ją ma.

- Tak, ale ja chodziłem do wielu szkół, których teraz nie ma.

- A bez szkół nie można? Hornic pokręcił głową.

- Nie. Nie można. Zresztą ojciec mówił mi, że nie chcecie się uczyć.

Alin spuścił głowę na piersi i zacisnął dłonie na oparciach fotela.

- Mama mówi, że wszystko to się stało ze światem, bo ludzie za dużo umieli.

- Nie mylisz się Alin? - zapytał Hornic. - O ile pamiętani, mówi, że dużo umieli ci, którzy byli źli.

Czy to nie różnica?

Chłopiec nie odpowiedział.

- A może łatwiej się nie uczyć? Może po prostu tak jest w ogóle łatwiej, bez żadnej nauki?

- Nieprawda - zaprotestował gwałtownie chłopiec. Hornic trafił niechcący w jego czułe miejsce. - To nieprawda! Ja nie jestem leniem...

- To dlaczego?

- Ten kto dużo umie... - zaczął chłopiec - musi umrzeć.

- Ja żyję - powiedział Hornic, ale poczuł, że trafił w próżnię. Psychika dzieci, tych dzieci była dla niego zupełnie obca i niezrozumiała. Nie czuł jej. I zaraz pożałował riposty.

- Miał pan dzieci?

- Tak - odpowiedział.

Alin podniósł na niego oczy. Patrzyli na siebie przez chwilę w milczeniu.

- A czy umiały więcej ode mnie?

- Teraz myślę, że nie. Żyły w innym świecie. Tego nie można porównać.

- Ja wiem, że to był zły świat. Oglądałem kolorowe zdjęcia. Tam było tak pusto. Wielu ludzi siedziało na pustej, kamiennej ziemi, ulicy i było tylko jedno małe drzewko obmurowane ceglami, a wyżej

zamknięte dookoła w klatce. Aż do korony.

- Widzisz, Alin. To wszystko nie Jest takie proste. Nie można powiedzieć jednoznacznie, że świat był zły. Było wielu dobrych ludzi, ale to nie przez nich stało się to wszystko.

- Ale oni nie żyją.

- Nie ma też złych. Nie można mówić tak jednoznacznie. Tak jak nie można powiedzieć, że teraz świat jest dobry... Przecież i tu zdarzają się, ludzie, których trzeba się wystrzegać. Czy na świecie będzie dobrze, zależeć będzie także od ciebie.

Znów pustka. Chłopiec nie zareagował, ale widać było, że myśli zupełnie inaczej. Rozmowa nie kleiła się. „Może jestem zbyt nachalny?” - pomyślał Hornic. - „Zresztą czy Jest sens dyskutować i chłopcem i narzucać mu swoje prawdy”. Prawdy minionej ery. Czy jest sens jej w ogóle bronić? Tylko Jak w ogóle rozliczyć się ze swoich korzeni, ze swego pochodzenia, skażonego rodowodu. Czy przez tę granicę czasu można przenieść chociaż dydaktykę dobra? Chłopiec ma Już przecież własny, nowy skompilowany przez Walthów i przyrodę światopogląd”. Chłopiec wybrnął z milczenia spontanicznie. Zaczął pytać o urządzenia. Hornic uruchomił aparaturę.

- Co to jest? - pytał Alin wskazując na monitor z naniesioną siatką współrzędnych, na tle której widział obraz palisady i wnętrza podwórza w Jednobarwnej czerwonej poświacie.

- Sztuczny horyzont - wyjaśnił Hornic. - Tego się używało przy strzelaniu.

- A ten obrazek?

- Telewizyjne prowadzenia rakietek przeciwpancernych.

- A te cyfry?

- Komputer prowadzący. - Do czego?

- Zapamiętuje drogę i sam prowadzi pojazd, jeśli coś tę stanie załodze.

- A te przyciski? - Alin wskazał na klawiaturę.

- Programowanie działa, nie trzeba pamiętać a strzelaniu. Robi to samo.

- A to?

- Sterowanie napędem. Służy do kierowania pojazdem w czasie jazdy.

Była to dziwna rozmowa. Chłopiec ani razu nie pogłębił pytania. Połykał gładko wszystkie obce i zupełnie dla niego niezrozumiałe słowa. Ale pytał systematycznie o wszystko po kolei. Na tym upłynęła im prawie godzina. W końcu poprosił o włączenie silnika. Ogłuszający Jęk rozrusznika i basowy grzmot dwunastu cylindrów rozpedził stojącą do tej pory nieruchomo grupkę dzieci. Rozbiegły się z piskiem. Chłopiec nieco pobladł, ale w oczach błysnęły iskierki triumfu. Stalowy potwór żył. Oddychał, świecił ekranami, pluł w powietrze czarną fontanną spalin. Dla niego, Alina, działa się to za sprawą rąk Wielkiego Łowcy. Kiedy wszystko znów ucichło, skórą ciągle pokrywała mu jeszcze gęsia skórka.

- Chciałbym być taki sławny jak ty - wyszeptał - ja muszę być taki sławny.

- Lepiej być szczęśliwym - odparł Hornic, ale chłopiec go nie dosłyszał.

- Teraz wszystkie będą mnie słuchać - mówił jakby do siebie - widziałeś jak uciekały? One są tchórzliwe. Bały się tutaj przyjść.

Po południu Hornic z Watzingerem spędzili kilka godzin w pokoju na próbach zebrania, posegregowania i przeanalizowania posiadanych wiadomości. Z tego co pamiętał Watzinger zdołali oszacować kilka stref zapór rakietowych. Większość z nich Hornic znał. Niektóre rozbroił. Inne pozostawały poza zasięgiem człowieka, obwarowane systemami bezpieczeństwa, tak że żadna żywa istota nie była w stanie naruszyć żelbetowych ścian. - W tych wypadkach - wyjaśnił Hornic - mogłem je tylko zaporować. STX 8 taktyczne otwierane są wybuchem kierunkowym, który odrzuca płytę pod kątem piętnastu do dwudziestu stopni do poziomu. Jak pan wie, nie ma sposobu przewidzenia, w którą stronę nastąpi odrzucenie.

Tym bardziej że zbrojone są połówkami zupełnie ze sobą mechanicznie nie połączonymi. Łączy ją

konstrukcyjnie beton, który pęka po średnicy w chwili odpału i połówki rozrzucone są nożycowo.

- Tak, od spodu jest odlany karb na jedną trzecią obliczeniową grubość płyty - wtrącił Watzinger.

- Nie dwie piąte? - zdziwił się Hornic.

- Tylko geometrycznie. Do jednej trzeciej nadlany jest w dnie chudy beton, który nie stawia praktycznie oporu przy wybuchu.

Hornic zamyślił się wyraźnie poruszony tą informacją.

- To jest niebezpieczna, Herr Hornic, bardzo niebezpieczna pułapka - dodał Watzinger.

- No tak, teraz rozumiem... dobrze, że nie prowokowałem odpału - Hornic zawiesił głos - ale... przy tego typu silosach unikam otwierania z innych względów. Zazwyczaj stosuję siatkę.

Napotkał pytający wzrok rozmówcy i uśmiechnął się.

- Nie... nie zwykłą siatkę. Układam ją z izolowanych prętów zbrojeniowych na polu o bokach sto na sto metrów, co osiemdziesiąt centymetrów. Węzły łączę zbrojeniem pośrednim, spawam i zalewam betonem w szalunku. To są małe kostki i łatwo co dzień rozrabiać małe ilości betonu.

- To musi być wielka i zmusna praca - powiedział dziwiąc się Watzinger - ile czasu to panu zajmuje?

- Jeden silos od dwóch do trzech miesięcy. Potem robię około dwumetrowy nasyp i mikroniweluję.

Las i jego roślinność wiąże całość w pół roku. Głowice STX nie wybuchają w wypadku nieudanego startu.

- A jaki jest stopień wyhamowania?

- Praktycznie sto procent. Liczyliśmy z Walathem warunki wytrzymałościowe - wskazał palcem na piwnicę i maszynę liczącą. - W warunkach dynamicznych dużych naprężeń wybuchowych siatka pracuje jak gumowa.

Watzinger przymrużył oczy i kontynuował techniczny opis Hornica.

- Płyty ześlizgują się po spodniej części siatki na boki - w jego głosie zaczął rosnać podziw. - Gazy wydmuchują ziemię przez oka i bez trudu znajdują ujście nie rozsadzając silosu. Głowica natomiast grzęźnie w siatce. Tytanowy pancerz chroni ją przed uszkodzeniem mechanicznym i temperaturą. Brawo, Herr Hornic, ja zaczynam wierzyć, że pan jest w stanie powstrzymać Kasandrę, jeśli ją pan znajdzie.

Hornic nie ukrył uśmiechu satysfakcji.

- Cieszę się, że pan tak mówi. Ja chwilami bardzo potrzebuję wiary w jej odnalezienie - odpowiedział: - to już 13 lat. I jeżeli być przesądnym... - urwał.

- Pan przesądny? - zdziwienie było raczej kurtuazyjne.

- Wszyscy jesteśmy po trosze przesądni, skoro w nią wierzymy. Proszę spojrzeć - Hornic rozłożył mapę otrzymaną od Jeffersona. - Te żółte obszary to tereny czyste. Niebieskie oczyszczone, bądź zabezpieczone przeze mnie. Widzi pan jak mało ich jest, prawie nie widać. Te czerwone punkty to wyrzutnie. Prawdopodobne strefy wyrzutni. A poprawki na mapie pochodzą ze zdjęć lotniczych zrobionych już teraz.

Watzinger pochylił się nad mapą. Długo śledził w milczeniu jej szczegóły. Kiedy oderwał wzrok powiedział cicho:

- Jest gorzej niż myślałem. Tutaj - zakreślił palcem łuk - i tutaj, aż do gór nie ma przejścia. Skażenie jest tak duże, że nie chcą rosnąć nawet roślinność. Pan o tym nie wiedział?

- Nie byłem tak daleko.

- Tutaj, między miastami, jest dobra betonowa droga, którą można przedostać się na drugą stronę. Nie ma skażenia, a o tysiąc kilometrów w prostej linii jest dość dobrze zorganizowane dwudziestotysięczne królestwo. Królem Jest Henryk Bouver. Elekt. Wie pan, że nazywają go Wspaniałym?

- Tak - odparł Hornic - chciał u mnie kupić Kasandrę trzy lata temu. Był ostatnim przewodniczącym komisji FAO przy ONZ. Dwa lata temu dwa tysiące ludzi z jego królestwa wyruszyło w Tybet. Byli dobrze wyposażeni, ale schorowani. Tam, w królestwie, jest dość duży stopień wtórnego skażenia. Dziwiłem się, że tak mała grupa postanowiła się ratować. Bouver to silna osobowość i jest w stanie

utrzymać ludzi przy sobie, ale nie wiem czy nie za szybko wiąże struktury społeczne. Pisałem mu o tym.

- A tutaj? - Watzinger zatrzymał palec na ręcznie naniesionej linii brzegowej morza. Wchodziła głęboko w dawny ład. - Co tu jest?

- Pustkowie! Skazenie ustąpiło już po kilku latach, ale ludzie nadal się boją tych okolic. Te kółka to osady. Takie jak tutaj. Często mniejsze. Ten teren penetrowałem bardzo intensywnie. Jest wprost naszpikowany wyrzutniami. Wydaje mi się, że tam może być Kasandra...

- Bagna - pomyślał głośno Watzinger - nie wystarczy życia jednej osoby żeby je przeczesać.

- Chyba że ktoś by mi pomógł - powiedział Hornic. Wstał i zaczął się przechadzać po pokoju. Zatrzymał się przed oknem obudowanym stalowymi okiennicami o wielkich czopowych zawiasach.

- Tak, Herr Hornic. Jeżeli nie zdarzy się cud i stu ludzi nie wystarczy. Niech pan się modli o cud. Dla nas wszystkich.

Hornic odruchowo pogładził się dłońmi po kurtce z tygrysiej skóry. Dotyk dzikiej sierści pobudził w nim jakąś atawistyczną energię. Może za sprawą energii zabitego drapieżnika. A może powodowały ją genetyczne kody walki i przetrwania, tkwiące głęboko w podświadomości ludzkiego zwierzęcia.

- I dwustu ludzi za mało by ją unieszkodliwić - powiedział cicho.

- Czy mogę skopiować pańskie mapy? Są dla mnie bezcenne - zapytał Watzinger.

- Tak, naturalnie. Na dole znajdzie pan deskę i przybory kreślarskie. Są do pana dyspozycji.

Wieczorem sporządzimy w trójkę protokół opisowy analiz, jakie przeprowadziliśmy. Przyda się jako uzupełnienie map.

Watzinger wziął się niemal od razu do kopiowania, a Hornic poszedł do obory pomóc gospodarzom w pracach gospodarczych.

Wieczorem niczego nie spisali. Na dwie godziny przed zachodem słońca nadciągnęły gęste, czarne, burzowe chmury. Wiatr zaczął targać koronami drzew. Z drzew liściastych strefy umiarkowanej sypały się chmury drobnych gałązek i liści, łamanych i wrywanych niemal huraganowym wiatrem. W obawie przed szkodami, przy oknach na czuwaniu zebrali się wszyscy obecni w zajeździe. Nie obawiali się o palmy, te znosiły wichry poddając się elastycznie naporom wiatru. Natomiast rosnące w pobliżu dęby i buki traciły całe konary, które niesione ogromną siłą i z dużą szybkością mogły rozbić zewnętrzne instalacje zajazdu. Burza była niespodziewanie silna jak na lato. Wiatr ucichł dopiero po godzinie, ale wyładowania atmosferyczne i ulewny deszcz trwały jeszcze następne pół godziny. Kiedy ustały jak ucięte nożem, do pokoju Hornica wszedł Walath. Twarz miał poważną i napiętą.

- Deszcz był radioaktywny - oznajmił nie siadając.

Hornic wstał, czując jak mrówki zaczynają wędrować wzdłuż kręgosłupa. To było wydarzenie, którego skutki trudno było przecenić,

- Co ze zbiorami? - zapytał.

- Pójdiesz ze mną?

- Tak, w wozie mam indykator i skafander.

- Nie trzeba. Dam ci moje. Nie mówiłem tego jeszcze nikomu z domowników. Niech to zostanie na razie między nami. Aż nie ustalimy koncentracji.

- A Watzinger?

- Zostanie tu pod pretekstem rutynowych pomiarów.

Wyszli bocznymi schodami do piwnicy i włożyli żółte gumowe skafandry z szerokimi pelerynami na plecach i głowie. Długo dopinali wszystkie zatrzaski i paski, upodabniając się do nieforemnych olbrzymów z twarzami zasłoniętymi metapleksowymi osłonami. Chcieli wyjść niepostrzeżenie tylnym wyjściem, ale kiedy znaleźli się na korytarzyku, po drugiej stronie zobaczyli Kirę. Stała w milczeniu. Domyśliła się od razu. Nie padło żadne słowo. Zatrzymali się tylko na kilka sekund patrząc na siebie, po czym Walath skinął dłonią i wyszli na zewnątrz zamykając starannie drzwi, a potem furtkę w palisadzie.

Dojście do krawędzi pola zajęło im kilka minut. Zatrzymali się przed ścianą dojrzałego prawie zboża.

Coś niematerialnego spowodowało, że nie od razu poszli przed siebie. Może cisza, jaka zawisła nad światem. Cisza po gwałtownej burzy tak absolutna, nieskazitelna, nie skażona nawet pacnięciami kropel z mokrych jeszcze liści, że uszy zaczęły z każdą sekundą głuchnąć tracąc oparcie w rzeczywistości dźwiękowego świata, odrealniając go tym samym. Coś na podobieństwo tłumiącej waty, która sprawia, że ucho środkowe zaczyna powoli boleć odmawiając dokumentowania dźwięków, opłotło szczelnie ich głowy. A może zatrzymał ich surrealizm widoku, jaki się przed nimi roztaczał.

Nad rozległym płaszczem częściowo powalonego, a miejscami stojącego martwo zboża leżała tropikalna lepka mgła. Nawet nie mgła, tylko wielkie jej tumany o fantastycznych kształtach i kolorach, W tej mgle zginęła całkowicie perspektywa. Miejscami poletka o kilkumetrowej powierzchni idealnie przezroczystego powietrza graniczyły, niczym przez szklaną tafłę, z gęstym tumanem, który wyrastał spośród kłosów i piął się na wysokość kilkunastu metrów, gdzie ginął. Od tej wysokości nie było świata. Mgła, rozpoczynająca się nie wiadomo gdzie, nie dawała oczom żadnego oparcia. Pod nią dziesiątki i setki planów. Końca pola nie było widać. Tonął w słupach, globulach, chmurach, dywanach, dymach, ostrogach mgieł. Słońce jeszcze nie zaszło, nasycając te przestrzenie, nieuchwytnie, nieziemskie struktury, światłem Cała przestrzeń była oświetlona jakimś samoświecącym żółtawym blaskiem i zarazem na podobieństwo światła reflektorów, wąskimi, to znów szerokimi pasmami padającymi nie wiadomo skąd. Te strugi światła uwydatniały krawędzie tumanów różem, złotem, miejscami seledynem niemal, fioletem i całą gamą dominującej czerwieni i pomarańcza. Kępy zboża jakby wisiały w powietrzu. Odcięte od spodu idealnie płaskim dywanem szarej mgły o złotożółtym hafcie krawędzi, zdawały się prawem optycznego złudzenia niemal unosić i majestatycznie płynąć. Kiedy zamknęli oczy i otworzyli je znowu, zbożowe wysepki były znów na swoim miejscu. Po chwili patrzenia znów zaczynały swój hipnotyczny taniec. Może to tło płynęło niedostrzegalnie, a może oczy odmawiały posłuszeństwa w ślad za słuchem.

- Boże, co to ma znaczyć - powiedział Walath, a jego głos zadzwonił metalicznie, jakby wydobył się z długiej, miedzianej, obłożonej filcem rury. Ogarnęło ich poczucie odrealnienia. Stali za długo, niebezpiecznie za długo. Walath ruszył pierwszy. Rozwinął płócienny worek i zawiesił go na pasku skafandra. W prawą rękę ujął sierp. Zanurzył się w tumanie zanim ściał pierwszą próbkę zboża. Hornic usłyszał chrzęst ostrza i skrzyp kłosów ścinanych wprawna ręką wolno i miarowo. Pomyślał o żniwiarzach, tnących w ten sposób zboże od stuleci. Ujął mocniej indykator i wszedł w zboże za Walathem. Mgły jakby ruszyły, ale to było złudzenie. To on się przemieszczał. Idący kilka kroków przed nim Walath raz wynurzał się z mgły, to znów w niej ginął. Teraz postać Walatha zaczęła się odrealniać. Nogi zginęły we mgle kończącej się na wysokości kolan równą taflą. Szedł tylko tułów, wielki fosforyzująco żółty, lśniący wodą płaszcz z czarną rozetą, symbolem radioaktywnego zagrożenia. Nie, nie szedł. Płynął. Unosił się za każdym tumanem na innej wysokości i w innej odległości, choć szli równym krokiem.

Indykator szczęknął raz, drugi. Postać przed nim ściała sierpem wiązkę kłosów i włożyła do worka. Tylko chrobot geigera i chrzęst zboża dotarły do jego uszu głucho i zwały się w surrealistycznym efekcie dźwiękowym. Czy tak wygląda żniwiarz? Raczej śmierć, kostucha z dawnych wyobrażeń. Nie, to ten pierwszy zbiera ją jak gospodarz. On, dawca życia wyglądający sam jak śmierć, zbiera symbol życia, kłosa, które są w rzeczywistości śmiercią. Gra pozorów i gra błędnych skojarzeń, odziedziczonych po innych, minionych czasach, kiedy dobro i zło były tylko sobą. Wystrzegać się takich skojarzeń! Nie czas na nie. Idący w przodzie zamierzał żyć i przeżyć. Niezależnie od spuścizny, jaką otrzymał po społeczności takich jednostek jak on. I Hornic też czuł w sobie ciężenie ku życiu, bez względu na grzechot indykatora. Odrzucił te myśli. Żółta postać znów zniknęła w rudozłotej globuli waty. Kiedy się z niej wynurzył nie zobaczył jej na wolnym, kolejnym przedpolu. Zatrzymał się na moment. Cisza. Żadnego dźwięku. Jakby się rozplynęła. Słońce zachodziło. Niemal w oczach sceneria nasyciała się czerwienią, z jasnej zaczęło przechodzić do purpury.

Ruszył dalej przyspieszając kroku. Szedł długa chwilę, ale bez rezultatu Westchnął konstatając, że się

po prostu zgubił. Postanowił iść prosto, aż do końca łąnu. Zanurzył się w tej purpurze, od czasu do czasu odbierając uchem chrobotnięcie aparatu. Gdzieś w tej pustce dźwięków zagrał wiatr, na jednej gałęzi, wysokim jękiem niemal zawodzenia. I ruszyły mgły. Wszystkie jednocześnie. Bardzo wolno, majestatycznie, jak miliontonowe masy skał. Zatrzymał się i zacisnął powieki, bo czuł, że zmysł równowagi odmawia mu posłuszeństwa. Otworzył je po długiej chwili. Rzeczywiście szły. Kłosa sięgające piersi, o dwa kroki przed nim, wolno żeglowały przez strzępy rudoczerwonej mgły. Mógł nawet policzyć wynurzające się jedne kłosa po drugich. Do końca pola nie mogło być daleko.

Ruszył szybkim krokiem patrząc intensywnie pod nogi, by zachować równowagę. Na przecinkę wyszedł tak niespodziewanie, że zatrzymał cię już na granicy drugiego łąnu. Nie była to nawet droga. Wąska na dwa metry przecinka zarośnięta niską, sięgającą kostek trawą. Biegła znikąd do nikąd. Tonęła w mgłach, raz o dwa metry od niego, raz o pięć lub dziesięć, w miarę jak milczący pochód tumanów zmieniał jej perspektywę. Sprawa kierunku wydała mu się obojętna. Nie było przecież żadnych kierunków. Mimo to stał nieruchomo, mając nadzieję złowić jakiś dźwięk i wtedy pomyślał o broni. Chociaż krótkiej. Drapieżne zwierzę w tej sytuacji miało nad nim przewagę nie do wyrównania. Poszedł wolno, uważnie wpatrując się przed siebie. Po kilku minutach ucieszył się, że wybrał dobry kierunek.

Przez ułamek sekundy mignęła mu sylwetka, zasłonięta natychmiast ścianą krawędzi czerwieni. Przyśpieszył kroku. Nie chciał wołać. W takiej mgle głos jest zwodniczy. Wiedział o tym dobrze. Żeby tylko Walath nie skręcił w zboże! Nie skręcił. Znów dojrzał zarys sylwetki, już dużo bliżej. Po zapachu poznał, że jest już blisko lasu. W tumanie wyciągnął rękę przed siebie, żeby nie wpaść na Walatha. Szybciej niż pomyślał nogi same stanęły w miejscu jak wrośnięte. Zadowolenie pękło jak mydlana bańka. To nie był Walath. Spowity do kolan we mgle i otoczony nią ze wszystkich stron stał nieznajomy człowiek. Na jego widok Hornic cofnął się odruchowo o krok. Był to starzec w łachmanach. Raczej strzęp człowieka. Skóra ledwo obciągała kości rąk i twarzy. Czarna, pokryta szaropopielatym meszkiem, cała w bliznach i ranach, czyniła odrażające wrażenie. Oczy były całkiem czerwone z przekrwienia i jakby nie widzące. Kaptur niby płaszcz, niby narzuty, zakrywał czoło nadając całej twarzy cechy upiora. Człowiek ten wspierał się na grubym kiju. Upiorów Hornic się nie bał, bardziej lękał się chorób. Dlatego nie zbliżył się rozpoznając objawy kilku groźnych i najbardziej widoczną, popromienną. Stali naprzeciw siebie w milczeniu, ale tylko Hornic wyglądał na zaskoczonego tym spotkaniem. Starzec podniósł drżącą rękę.

- Jesteś - ni to zapytał, ni to oznajmił. Głos miał suchy i wibrujący starością.

Hornicowi wydało się, że człowiek ten nie dokończył zdania i braku sił. Ale nie był całkowicie pewny swego spostrzeżenia.

- Czekałem na ciebie - powiedział starzec.

- Na mnie? - pytanie było bez sensu.

- Czekałem, Hornic - powiedział mężczyzna.

Dostał gęsiej skórki. Trochę było tego za wiele. Wykonał ręką gestykulację, która zamarła.

- Skąd pan... - głos mu zamarł, bo nagle tumany mgły zakryły stojącego i Hornic pochylił się żeby coś dojrzeć.

- Ty też czekałeś? - głos był wyraźny.

- Na co? - wyprostował się i postanowił wziąć go spokojem.

- Na swój dzień... - głos przeszedł w falset i urwał się nagle... - na dzień, w którym ją spotkasz.

- Kogo?

- Tę, której szukasz od trzynastu lat. Kasandrę!

Poczuł, że staje się sztywny, a nogi robią się ciężkie jak ołów.

- Zaraz. Kim pan jest i skąd...

- Może twoją podświadomością... nieważne.

- Posłuchaj mnie - postać wynurzyła się równie nagle z mgły. Człowiek drżał. Wydawało się, że

mówi do siebie. - Uparłeś się zgotować sobie przeznaczenie, które może przerosnąć twoje siły... które może spowodować, że przeklniesz dzień swoich urodzin...

- Mam to za sobą - Hornic podniósł głos, bo jakiś irracjonalny gniew uderzył mu nagle do głowy - nie unikam śmierci... i nie obawiam się o życie...

Starzec zaczął się trząść. Trzęsły mu się ramiona i głowa. To był śmiech. Dziwny, bezgłośny śmiech, od którego Hornica ogarnął chłód.

- Pomogę ci, Hornic, odnaleźć to czego szukasz - raptownie się uspokoił. - Powiem ci jak masz iść. Zapamiętaj. Byłeś kiedyś w dolinie kominów. Pójdiesz prosto, zostawiając po prawej stronie chłodnię kominową, przez wieś z ocalałą dzwonnica kościelną w kształcie kuli. Jedenaście kilometrów dalej na wschód między jeziorami i lasem będzie początek twoich poszukiwań. Jeżeli nie zrezygnujesz z zadawania pytań do samego końca, a myślę, że nie zrezygnujesz, bo jesteś Wielkim Łowcą, znajdziesz pełną i ostateczną odpowiedź...

- Co wiesz na temat wyrzutni? - zapytał przytomnie Hornic, pozostawiając analizowania sytuacji na później.

Ale starzec nie odpowiedział, tylko zaczął znów trząść się od śmiechu. Napłynął nowy tuman mgły, który zakrył postać. Tylko głos dobiegł go wyraźnie.

- Nie unikam śmierci... nie obawiam się o życie... - To była drwina. Starzec przedrzeźniał go.

Tego było za dużo. Przyczał się na brzegu mlecznej ściany, ale kiedy ta odpłynęła, otworzyła się przed nim tylko pusta przecinka kończąca się ścianą lasu w odległości niecałych trzydziestu metrów. Stał długo w bezruchu aż zrobiło się całkiem ciemno. Do enklawy trafił dopiero przed pomocą. Niepokojono się już o niego.

W trzy tygodnie później, przygotowany i wyposażony w cały niezbędny sprzęt, wóz bojowy Hornica zatrzymał się na ulicy miniaturowego miasteczka, zabudowanej z obu stron białymi ruinami parterowych i piętrowych domków, na wprost wysokiej kościelnej wieży uwieńczonej kopułą kulistego dachu. Siedzący na krawędzi wjazdu Robert Walath podniósł do ust mikrofon:

- Jestem zaskoczony Teodorze. To wygląda dokładnie tak jak mówiłeś. Zatrzymujemy się tutaj?

- Nie. Za miastem. Nie znamy terenu - szcęknięło w odpowiedzi w słuchawkach hełmofonu poprzez huk silnika.

Wojna, a potem kataklizm wyraźnie miasteczko oszczędziły. Domy rozpadały się tylko ze starości. Siadów gwałtownych zniszczeń nie było widać. W tle zwycięskiej zieleni białe dwa szeregi ścian, gdzieś pozbawionych płytów tynku. Przed kościołem jezdnia rozwidła się. Szersza - w prawo - pełna była przełomów i zapadlisk. Pojechali w lewo, przez rynecek. Dopiero tutaj, po uważniejszym przyjrzeniu się domom, zaczęli korygować ocenę ich stanu. Tylko fasady wyglądały pozornie jeszcze dobrze. Wnętrza większości nosiły ślady mechanicznych zniszczeń. Nie odezwali się do siebie. W milczeniu rozpoznawali ślady broni niszczącej zabudowę w ten właśnie sposób. Mury pozbawione z góry dachów wessanych niszcząca próżnią do piwnic, przywoływały dawne, ale wciąż Jeszcze żywe wspomnienia. Tym dziwniejsze było, że ocalał kościół. Zielona, z zaśniedziałej miedzi kopuła wieży była praktycznie nietknięta. W wielkim, spadzistym dachu nawy głównej tylko miejscami prześwitywały puste miejsca po brakujących dachówkach. Krawędzie murów okalały wieńce zieleń. Zarastała dywanem nawet jezdnię.

Kilometr za miasteczkiem było wzgórze. Tam zatrzymali się na noc. Po drugiej stronie otwierał się widok na okolicę na pół stepową, miejscami pokrytą wysepkami drzew. Droga prowadziła niemal prosto, odcinając się raczej geometrią zieleni niż czernią asfaltu. Walath obserwował dyskretnie Hornica. Ten jednak nie zwracał niemal uwagi na współtowarzysza. Od kiedy wyruszyli na wspólną i desperacką wyprawę mówił rzadko, półsłówkami, czasem jednym, dwoma zdaniami. Zamknięty w sobie i napięty do granic wytrzymałości wykonywał wszystkie czynności z jakimś wewnętrznym zaciętym skupieniem. Myślał intensywnie i niemal wyłączył się psychicznie z otoczenia.

Obóz rozbili sześć kilometrów za osadą. Przejrzeli mechanizmy wozu i jak co dzień napełnili zbiorniki paliwem z holowanej cysterny. Hornic wyciągnął lornetkę i długo wpatrywał się w linię horyzontu. Walath z każdą godziną czuł, jak udziela mu się napięcie Wielkiego Łowcy. Miał świadomość, że akcja już się rozpoczęła. Wieczorem, po kolacji, której Hornic niemal nie ruszył, powiedział tylko cztery słowa: „Wstaniemy przed świtem. Dobranoc”.

Pobudka nastąpiła właściwie w nocy. Do pierwszego brzasku brakowało godziny. Szybko zwinęli obóz. Przebrali się w skafandry bojowe, czarne w zielone łaty, wyposażone w osłony wszystkich przegubów i grube pierścienie mocujące przyłbice do kołnierza. Przed wozem, w odległości około 50 metrów, Hornic wyciął trawę i wbił w ziemię krótki statyw z głowicą mikrometryczną. Potem rozwinął kabel przeciągając go z wnętrza wozu do stanowiska. Zdjęli pokrywę komputera i uruchomili go. Niemał cały tydzień jeszcze w zajeździe, Walath uczył się oprogramowania i obsługi. Ten typ urządzenia był jednym z ostatnich, jakie powstały przed załamaniem się przemysłu. Nie posiadał jednak skrajnych uproszczeń obsługi typowych dla urządzeń cywilnego użytku.

Z pojemnika wyjął Hornic zablokowaną z komputerem lornetkę z panoramicznym obiektywem i zamocował ją na przygotowanym stanowisku.

Zgrał ustawienie głowicy i podłączył przewód. Kiedy wrócił do wozu, Walath zapytał:

- Co to jest?

- Lornetka skanująca. Przystosowałem ją do komputera. Będziemy zdejmowali pasma promieniowania terenu, wprowadzając wybrane sekwencje do pamięci.

Nachylił się nad pulpitem i włączył monitor. Odtwarzał on pole widzenia lornety. Obraz był ciemny, ale po kilku ruchach palców na klawiaturze rozjaśnił się.

- Nie będę rejestrował wszystkiego, obserwuj uważnie obraz. Potem porównamy spostrzeżenia. Tu jest pamięć celu. Kiedy zapali się sygnał z mojej strony, wczytaj te fragmenty do pamięci. Zapamiętaj też zbliżenia, jakie dam na podgląd. To na razie wszystko.

Siedzieli w milczeniu prawie kwadrans, w czasie którego Walathowi wydawało się, że siedzący z przymkniętymi oczami Hornic śpi. Ale to było złudzenie. Jak na niemą komendę otworzył je i energicznie wy dostał się z wozu. W otworach wejściowych zaczęło szarzeć, kiedy ruszyła rejestracja. Hornic pracował precyzyjnie i z uderzającą systematycznością. Obraz w zieleni. Kadrowanie. Translokacja. Wycięcie segmentu obrazu. Skok lornety o kilkanaście sekund kątowych. Powtórka. Kępy drzew. Strzępy mgieł. Przez chwilę krawędź dalekiego lustra wody. Powietrze pływało nadając kształtem postać drżącej turbulencjami powietrza wizji. Świecąca w rogu monitora cyfra oznajmiła odległość do obserwowanego miejsca. Dwa kilometry, sześć, osiem. Horyzont falował rozmazując się chwilami niemal całkowicie. Obraz stawał się niemal nieczytelny. Walath nie rozumiał logiki ujęć. Przeważały mgły i skrzenia rosy na trawach. W miejscach najmniej spodziewanych zbliżeń zapalał się symbol rejestracji i Walath wczytywał te fragmenty do pamięci. Po zlustrowaniu horyzontu na szerokość stu dwudziestu stopni obraz przeszedł na fiolet i sekwencje powtórzyły się. Potem był krajobraz w błękicie, cytrynie i czerwieni. Kiedy zapłonął napis „Koniec rejestracji” było całkowicie jasno. Minęła prawie godzina. Walathowi wydało się, że jest mocno zmęczony.

Śniadanie zjedli w milczeniu. Cały dzień przeszedł na analizowaniu obrazu. Pod wieczór mieli upragniony wynik.

- Jak wpadłeś na tę metodę? - zapytał przy kolacji Walath.

- Idea jest prosta. Już Rzymianie nie zakładali obozowisk w dowolnych miejscach. Przed świtem właśnie obserwowali jak rozkładają się mgły nad powierzchnią terenu. Nad podziemnymi ciekami wodnymi mgły utrzymywały się dłużej. To zjawisko występuje także nad innymi anomaliami gruntu, uskoki tektonicznymi, koncentracjami mas, a także nad przestrzeniami pustymi. W oczach Walatha błysnęło uznanie:

- Czy każdy silos sygnalizuje swoją obecność w ten sposób?

Hornic uśmiechnął się gorzko:

- Tak, każdy - spojrzął w zapadającą nad ziemią ciemność. Twarz ściał mu na mgnienie oka grymas.

Oczami wyobraźni zobaczył Kasandrę:... bez wyjątku - dokończył przez półzamknięte usta. Ognisko paliło się równomiernie.

- Mamy jedenaście punktów. Jak znajdziesz ten właściwy - podjął Walath.

- Jest jeden silos. Duży - powiedział Hornic pewnym głosem.

- Skąd... - zaczął Walath, ale urwał, bo to pytanie wydało mu nagle się nieodpowiednie. Hornic powiedział to do siebie. Po raz pierwszy tego dnia. Powiedział to, co nie wynikało z żadnych przesłanek. Po prostu wiedział. Walath poczuł, jak rośnie między nimi dystans. Kiedy on za dnia nadążał za tokiem myślenia Hornica, ten musiał w tym samym czasie przeanalizować tysiące szczegółów terenu i warunków. Zupełnie nieuchwytnych dla Walatha.

- Jest jeden - podjął Hornic - ale sam nie podjąłbym się otwarcia. Dziękuję, że jesteś ze mną.

Tego wieczoru nie padło już żadne słowo. Drugiego dnia rano włączyli samoczynne prowadzenie wozu, dojechali do miejsca uznanego przez Hornica za właściwe i zaczęli pracę. Teren nie był skażony. Ustawili wóz na krawędzi zagajnika. Łąka ciągnęła się łagodnymi pochyleniami do brzegu stawu odległego o około sto metrów. Przez dwa tygodnie Hornic zarządzał przenoszeniem kopców mrowisk z lasu na łąkę. Budowali dla ptaków gniazda z deseczek o specyficznych kształtach. Te gniazda Hornic nacierał jakimiś pastami przechowywanymi w zakamarkach ładowni wozu. Przenosili roje dzikich leśnych os z miejsca na miejsce w sposób dla Walatha zupełnie pozbawiony sensu. Pracę przerywali tylko na niedziele, w czasie których Hornic wyjmował Biblię i czytał ją do południa. Po południu wyjmował znakomite wino do mięsa upolowanych i upieczonych zwierząt. Ale nawet wtedy nie rozmawiali o tym, co robili przez poprzednie dni. Hornic takich rozmów unikał, nie tłumacząc powodu. Samych rozmów także w miarę upływu czasu ubywało. Ograniczały się ze strony Łowcy do krótkich wymian roboczych uwag. W drugą niedzielę Hornic przestał się odzywać zupełnie i stał się jakiś nieobecny. Zatopiony w myślach i we wsłuchaniu się w coś, co go otaczało. Walathowi wydawać się zaczęło, że Hornic wsłuchuje się w siebie. Raz tylko podjął próbę rozmowy:

- Dlaczego robimy to wszystko?

- To konieczne - padło w odpowiedzi.

- Wy tłumacz mi dlaczego robisz to, czego nie robił żaden z poszukiwaczy.

- Bo żaden z nich nie żyje - uciął Hornic.

Napięcie rosło. Udzielało się z dnia na dzień. Któryś z uspijonych zmysłów zaczął sygnalizować śmierć, nieuchronną i bliską. Nie robili w tym czasie nic związanego z próbami otwarcia wyrzutni. Walath nie był nawet przekonany o jej istnieniu. Jediną przesłanką potwierdzającą ten fakt, był udzielający się, lęk. Jako człowiek nie poddający się nadmiernie emocjom, nie brał tego objawu za potwierdzenie faktu, ale nie mógł go też ignorować. Hornic wydawał się być kamieniem bez uczuć tak po tygodniu, jak i po miesiącu trwania sytuacji. Czwartej soboty wieczorem cierpliwość Walatha była na wyczerpaniu. Wieczorem przy ognisku zdecydował się zaprotestować:

- Teodorze, jestem zniecierpliwiony i niespokojny. Wyjaśnij mi naszą sytuację - zażądał stanowczo.

Hornic podniósł oczy, które zmieniły się w czasie tego miesiąca nie do poznania. To już nie były ludzkie oczy, lecz oczy drapieżnika, który całym swym jestestwem pożąda ofiary. Pełne zimnych błysków i wewnętrznego przyczajenia. Gdzieś w dalekim planie, a może to było złudzenie, też czaił się strach. Po długiej chwili Hornic zaczął mówić cicho:

- Nasze czekanie się kończy, Robercie. Czujesz strach. Wiem o tym, bo ja też go czuję. To jest instynkt. Zawsze mnie dziwi, bo to oznacza, że polowanie na podziemną śmierć natura nam głęboko zakodowała w podświadomości miliony lat temu. Czasem boję się myśleć, czy nie przez podobne jak teraz okoliczności - zamyślił się: - Pytałeś mnie dlaczego to wszystko robimy. Pamiętasz słowa przekazu? - urwał i zawiesił głos: - „pozdrowienia dla pana boga”. Odebrałem to jako wyzwanie ale też i

ostrzeżenie. One dla mnie oznaczają, że ci, co budowali wyrzutnię, byli pewni, że nikt jej nie otworzy. Pamiętasz tych wszystkich, którzy zginęli zanim dokopali się żelbetowych panczerzy? Zginęli nie wiedząc nawet o tym. Jeżeli ONA jest tutaj, a czuję, że jest, i skoro trzynaście lat poszukiwań przeżyłem, to nie po to żeby zginąć teraz. U kresu drogi!

Hornic podniósł się ze skór i odwrócił w stronę jeziora. Blask ogniska pełzał po jego postaci wydobywając jej szczegóły. Prostą sylwetkę odzianą jak zwykle w dużą kurtkę w tygrysie pręgi, gęstą czupryną włosów i brodę pokrywającą niemal całkowicie twarz i pół piersi. Sprężysta postawa z tej dzikiej na pierwszy rzut oka formy ludzkiej wykrywała coś, co zaprzeczało wrażeniu całości.

- To jest głowica chemiczna o ogromnej pojemności bojowej. Jedna głowica - powiedział. - Ona musi być uszkodzona!

Walath wbrew swej woli odruchowo wstał i zamarł w oczekiwaniu.

- Widziałeś mrówki? Ginę w oczach, te, które są już martwe, mają popielate odwłoki. Zdrowe mrówki ich nie przenoszą. W ogóle nie ruszają. W ciągu miesiąca mrowiska postarzały się o trzy miesiące. Pod względem utrzymania populacji uległy degradacji.

- Skąd wiesz? - Walath nie krył zdumienia.

- Sieć kanałów i zasięg penetracji osobników zmniejszył się do sześćdziesięciu procent w stosunku do kopców poza strefą skażenia, Mrowiska są z punktu widzenia organizacji zaniedbane. Brakuje osobników do ich pielęgnacji. Ale jednocześnie nie uciekają. Nie wiem dlaczego. Wygląda na to, że giną te, które kanalikami schodzą w głąb gruntu. To jest dziwna broń. Jeszcze o takiej nie słyszałem. Musimy bardzo uważać. W poniedziałek rozbijemy ule i przeanalizujemy larwy. To nam powinno dużo wyjaśnić.

- Kwiatostan jest bez zmian - powiedział Walath.

- To prawda, Robercie, ale nie znamy mechanizmu - odparł Hornic.

- Rozbrajałeś kiedyś rakietę chemiczną? - zapytał Walath.

- Kilka razy. Ale żadna nie była uszkodzona. Chemikalia tutaj zdążyły się chyba przedostać do gleby przez ściany silosu. Żeby tak wiedzieć od ilu lat trwa przenikanie, Mielibyśmy już wiele.

Larwy zawierały kilka domieszek obcych. Nie znaleźli w nich jednak żadnego czynnika bezpośrednio trującego, podobnie jak w odwłokach mrówek. Analizator spektroskopowy wykazał, że te ślady pochodzą z tła naturalnego. Liczyły kilkanaście lat, Natomiast glina uszczelniająca gniazda naniesiona w czasie ostatniego miesiąca potwierdziła najgorsze obawy, Komputer określił struktury chemiczne związków, które mogły wyniknąć z reakcji z substancją nazwaną tuż przed wybuchem wojny, chyba przez ironię, „zielonym deszczem dwa”. Związek był tak agresywny chemicznie, że nie można go było utrzymać nawet w metalowych pojemnikach. Utleniał niemal wszystko, oprócz wybranych gatunków szkła. To, co hipotetycznie przeszło do gruntu, nie było właściwie nawet samym związkiem, tylko produktem jego reakcji z glebą. Walath patrzył na wyświetloną moc utleniającą związku

- Nie wiedziałem, Teodorze, że jesteś też znakomitym chemikiem - powiedział Walath.

- To nie moja zasługa. Znalazłem instrukcję... Hornic wyraźnie się spieszył.

Tak się Walathowi wydało. Nie drażył go więcej, choć chciał zadać kilka pytań. Wiedział, że nic się nie wydobydzie. Pozostało mu tylko cierpliwe wyczekiwanie do najbliższej sprzyjającej okazji.

Jeszcze tego samego dnia odważyli się zrobić, w osłonie ochronnych skafandrów, metrowy odwiert i pobrać próbki gruntu. Potwierdziły i rozszerzyły wcześniejsze wyniki. Ale dały też niespodziewany i zmieniający obrót sprawy rezultat.

- Możemy drążyć w pokrywie - oznajmił Hornic przyglądając się rozsypanej na płachcie folii wydobytej ziemi. Walath nie zapytał już dlaczego. Wielki Łowca oznajmił tak wielkie odkrycie, że zapomniał nagle o wszystkim co było mniej istotne.

- Spieszyli się - powiedział do siebie. - Jak piekielnie się spieszyli i obok spycharki pracowała co najmniej kompania łopat.

Uklęknął na jednym kolanie, nad odwiertem, a twarz rozjaśnił mu błysk triumfu.

- Wierzyłem, że jest luka. Wierzyłem, że musi być gdzieś szczelina w tej perfekcji. Jakiś błąd. Nie wiem dlaczego się śpieszyli, ale ten pośpiech jest dla nas zbawienny, Robercie.

- Wstał i wyprostował na całą wysokość. Ujął się pod boki i popatrzył w niebo.

- Robercie, za tydzień Kasandra będzie nasza!

Następnego dnia radiokomputerem odnaleźli klucz radiowy i wprowadzili polecenie zniesienia blokady całego systemu zabezpieczenia. Ekranowanie wewnętrznego sterowania miało ten sam słaby punkt co znane mu do tej pory wyrzutnie TCT.

- No, gdyby tylko tymi raketami chcieli walczyć, to ludzkość do dzisiaj mogłaby spokojnie spać. Nie doszłoby do zagłady - powiedział niespokojnie przy jedzeniu Hornic.

- Przed wojną propaganda przedstawiła te rakiety jako bardzo groźne - odpowiedział Walath. Hornic uśmiechnął się sarkastycznie,

- Ten silos nie był budowany pod tę głowicę, Ciekawe jak skrócili człon pośredni?

Próbny odpal i sejsmiczna analiza gruntu potwierdziły skuteczność blokady i dały pojęcie o geometrii silosu. Przystąpili do pracy wczesnym rankiem. Zrzucili z tyłu wozu łyżkę spychową. Hornic podjechał do niej przodem i Walath zamocował ją na siłownikach. Przez trzy dni teren zmienili w wielki płac budowy. Na miejscu cichej łąki ział wielki krater okolony pięciometrowym obwałowaniem ziemi. Co jakiś czas Hornic natrafiał na minę, która eksplodowała pod łyżką, wyginając ją nieco i obsypując pancierz fontanną ziemi i odłamków. Dół osiągnął ponad cztery wysokości wozu, kiedy po raz pierwszy zgrzytnął beton. Resztę ziemi wybrali łopatom pracując cały czas w kombinezonach przeciwchemicznych z włókien szklanych. Pomimo codziennego odkazania, pancierz wozu opalili na koniec palnikiem, a kombinezon pocięli i odkazili paląc polaną po ich resztkach benzynę. Zrobienie szczeliny metodą mikrowybuchów i wypalenia zbrojenia palnikami zajęło im dwa dni. Moment wejścia do wnętrza wypadł na noc. Nie chcieli czekać do rana. Skażenie terenu zaczęło rosnać wolno, ale zauważalnie.

- Będziemy rejestrować? - zapytał Walath, kiedy Hornic stanął nad wykopem w nowym kombinezonie przeciwchemicznym.

- Nie - głos był stłumiony hełmem. Żadnych zbędnych impulsów. Działamy zgodnie z planem. Pilnujesz sygnału, a po przejęciu wytłumiasz obwód przez rezonans.

- Dobrze, jestem gotowy.

Hornic zaczął iść, zrazu wolno, jakby z wahaniem, potem coraz pewniej. W jednej ręce trzymał blok pojemnika narzędziowego, w drugiej dwie butle z reduktorami. Na plecach miał plecakowy analizator obwodów. Robiło się już prawie całkiem ciemno, tylko rozstawione na brzegach wykopu dwa reflektory oświetlały żółtym, łukowym światłem płytę i nakrytą szczelinę. Kiedy stanął na betonie, dobiegł go grzmot silnika. Obejrzał się w oczekiwaniu. Na czarną w tle fioletowego nieba krawędź wykopu wspiął się kontur wozu z lufą obróconą do tyłu, z wysięgnikiem dźwigowym na przedzie. Ciężko przechylił się na krawędzi i przewalił do przodu.

Pierścień reflektorów uderzył morzem ostrego światła w Hornica i wykop. Ten odwrócił się plecami i dał rękami znak, żeby zjeżdżać. Sam, już w morzu ruchliwego światła omiatającego cały wykop, szedł równo odmierzając kroki na zabezpieczonej warstwą asfaltu płycie. Zatrzymał się nad przykryciem szczeliny. Bas silników i zgrzyt - talowego wyposażenia o pancierz, zwielokrotnione śliskimi ścianami, zagłuszył nawet myśli. Ale Hornic stał nieruchomo jak zahipnotyzowany. Pod szybą ochronną hełmu jego oczy nie reagowały na otoczenie. Stał jak kamienny posąg, aż wóz zatrzymał się tuż za nim. Skinął dłonią. Część reflektorów zgasła. Pozostały główne i jeden ruchomy. Ramię dźwigu opadło. Hornic zaczepił hak na kółku osłony. Po odłożeniu jej na bok zwolnił hak. Stanął nad czarnym otworem o metrowej szerokości i kształcie klina, którego podstawa ginęła w zboczu, a stożek dochodził do środka wykopu. Czekał, aż wysięgnik z krzeselkiem opadnie i przestanie się kołysać. Otwór w hipnotyczny sposób przyciągał wzrok. Ujął krzeselko i usiadł w nim. Zwisало na stalowej linie. Za oparciem znajdował się bęben na kabel sterowania wyciągarką. Po bokach dwa halogenowe reflektory. Przy oparciu sterownik. Zapiął się.

Sprzęt umieścił na kolanach i ujął małą klawiaturkę. Kiedy zawisł nad otworem, poczuł jak od dołu wieje zimnem. Jak to zimno ogarnia najpierw nogi, potem biodra, wreszcie całe ciało. Złudzenie? Podniósł rękę z kciukiem w górę. Silnik wozu zgasł i zapanowała kłująca uszy cisza.

Ruszył w głąb. Pod stropem sprawdził butlę i pojemniki na haku przy siedzeniu krzeselka. Ujął rękojeść reflektorów i zapalił.

Była! Wielka! Olbrzym lśniący gładkim, niemal lustrzanym metalowym pancerzem. Silos średnicy około 16 metrów też był wyłożony od wewnątrz stalową powłoką, skręconą ze sferycznych, chromowanych segmentów blach połączonych zakładkami na tysiące śrub. Głowica miała około trzech metrów średnicy. Paraboloidalna w kształcie i tępa jak piłka golfowa na szczycie. Przechodziła w wielkie, niczym wielorybie, połyskliwe cielsko biegnące w dół na dziesięć, może piętnaście pięt. Krzeselko kołysało się nieznacznie, a wraz z nim światło, czyniące to, co widział niemal żywym, pełnym grozy spektaklem.

Refleksy docierały bez trudu aż do dna czeluści. Światło płynęło ze wszystkich stron, odbite od lśniących ochronnych ścian silosu i wypolerowanego rudoczerwonego korpusu rakiety zwielokrotnionymi promieniami, rozpraszanymi kolejnymi odbiciami w sączący się pył. Ruszył w dół obserwując dokładnie wszystkie szczegóły instalacji. Uważnie obejrzał granatowe płyty usterzenia, trzpienie sterujące i delikatne zarysy płytek idealnie wkomponowanych w powierzchnię. Nie dotykał na razie niczego. Przy górnym członie zatrzymał się. Zbliżył się do powierzchni, w której znajdowało się okienko, wziernik, a w nim bieleła się tarcza ciśnieniomierza. Strzałka wskazywała zero. Nie to go jednak zainteresowało. Na krawędzi szybki manometru cienkim pierścieniem otaczała skalę seledynowożółta obwódka. Prawie niedostrzegalna, ale ją zauważył. Wyciek z głowicy! Jak? W jaki sposób? - nie dociekał. To nie było ważne. Stało się! Należałoby sprawdzić, czy manometr jest uszkodzony, czy też zostały przeżarte przewody ciśnieniowe. Przy drugim członie zatrzymał się dłużej. Tutaj biegła po pancerzu, kryta w rurze ochronnej, dźwignia z siłowników do usterzenia dolnego wraz z przewodami impulsowymi. Drugi wziernik na manometrze środkowego członu wskazywał 10 atmosfer. Najdłuższy, dolny, pierwszy człon był gładki. Sterowanie zapłonem i największymi dolnymi płytami usterzenia biegło po drugiej stronie korpusu. Nie było mu potrzebne.

Na dnie silosu stała cienka, kilkunastocentymetrowa warstewka wody. Pod dyszą wylotową zaczynał się kanał kumulacyjny spalin. Spód dolnego członu obejmowały wielkie dźwigary utrzymujące kilkusettonową całość. Wysięgniki w środku korpusu pełniły jedynie rolę stabilizatorów pionu i były samoczynnie podnoszone w chwili startu. Uważnie, by nie wpaść w betonową czeluść i nie uderzyć głową o konfuzor gazów, stanął w wodzie i zajrzał w dół. Szyb spalin oddzielał od posadzki niski murek. To on utrzymywał lustro wody na poziomie kilkunastu centymetrów. Jej nadmiar przelewał się w głąb sztolni. W jej czeluści, kilka metrów niżej, stało czarne i martwe lustro wody Nawet silne światło halogenowych reflektorów nie docierało do dna tego przypadkowego zbiornika. Było tu mroźno i wilgotno.

Otworzył skrzynkę z narzędziami i wyjął z niej pneumatyczny nóż do blach. Podłączył go do butli z gazem i przedłużył uchwyt trzema gwintowanymi tulejami. Sięgały do zaślepionej nierdzewną blachą dyszy wylotowej we wnętrzu kielicha konfuzora. Przyłożył głowicę do srebrzystej powierzchni i nacisnął spust. Bardziej niż miękki wstrząs aparatu, wywołany przebicciem blachy przez iglicę, podrażniła go świadomość pierwszego targnięcia się na Kasandrę. Podniósł na nią rękę! Ośmielił się i podniósł! A Ona, wielka i cicha, nie zareagowała. Blacha odginała się z cichym jękiem cięta wzdłuż obwodu pneumatycznego nożem na karda nowym zawieszeniu Spadła z pluskiem w czarną czeluść Zdemontował aparat Gardziel była otwarta. Widział w świetle reflektorów gruby żeliwny ruszt, za którym czerniły się grube jak pniaki młodych drzew, laski materiału wybuchowego. Za dwa, trzy dni będą bezużyteczne. Wilgoć nasyci całą objętość higroskopijnego materiału i zrobi z niego substancję nie groźniejszą od suchego sprasowanego siana. Żądło przestanie istnieć.

Siadł ostrożnie na krzeselko i spojrzął w górę. Lina ginęła w czerni stropu. Drżała lekko i tańczyła naciągnięta zwisającym na niej ciężarem. Droga w górę była trudna. Wkładał cały wysiłek, by nie uderzyć o ściany silosu. W połowie drogi zatrzymał się i zbliżył do jednej z kilku tkwiących w ścianie szaf rozdzielczo-sterujących. Przez chwilę szukał tego jednego jedyne miejsca. Znalazł je trzy metry wyżej między dwiema pokrywami sąsiadującymi o niespełna metr od siebie. Podciągnął się do ich poziomu. Na czarnych płaszcach widniały jednakowe białe liczby „41”, a obok nich trupie czaszki i błyskawica przestrzegająca przed wysokim napięciem. Tego napięcia nikt by tam nie znalazł, wiedział o tym, ale nie miał najmniejszego zamiaru się do nich włamywać. Interesował go niepozorny przewód, który biegł w rurze ochronnej z chromowanej stali. Dotknął delikatnie powierzchnię rury jakby chcąc wyczuć tętno pacjenta. Rękami wyczuć go nie mógł, ale do tego miał sprzęt i komputer we wnętrzu bojowego wozu, przy którym na ten moment czekał naprężony do ostatnich granic Walath.

Wyjął ten sam co na dole nóż i założył diamentowe ostrze. Naciął delikatnie ścianę osłaniającą i hydraulicznym imadłem odchylił na całą szerokość naciętą osłonę. Sięgnął do analizatora i pociągnął zwisający z góry luźno kabel komputera wozu. Delikatnie założył na tkwiący gumowy kabel uchwyt zawierający w sobie system uzwojeń wtórnych wzbudzania. Jeden jego koniec połączył z kablem prowadzącym do Walatha, drugi z analizatorem na plecach. System żył. Obraz na monitoru kontrolnym ułożył się w skomplikowaną, ale cykliczną krzywą. Czekał. Pięć, dziesięć, piętnaście minut, wieczność, ze świadomością, że teraz jego los i los operacji zależy od Walatha. Cichy diodowy brzęczyk i linia prosta na ekraniku oznajmiła, że komputer przejął inicjatywę i wymodelował tłumiący sygnał rezonansowy na podstawie programu ułożonego przez Hornica prawie dziesięć lat temu. Teraz mógł być pewny, że każdy impuls w systemie sterowania wyrzutnią zostanie wyciszony.

Z ulgą odjechał w stronę korpusu rakiety. Za gwałtownie! Już w połowie drogi zorientował się, że w rozmachu uderzy w drugi człon. Ogłuszający huk i zgrzyt o metal wstrząsnęły martwą do tej pory ciszą. Poczuł, jak wszystkie włosy na całym ciele wrywają się z cebulek i idą z przerażenia po skórze. Omal nie wpadł w panikę. Przykleił się do korpusu i trwał tak z zamkniętymi oczami czując jak spływa po nim stróżkami pot, a drżenie powietrza i metalu powoli zanika. Kiedy je otworzył stwierdził, że szeroko rozpostartymi ramionami obejmuje krzywiznę pancerza. Bardzo tym razem wolno zbliżył się do gniazda impulsowego. Zwisał z niego długi kabel podwieszony do ramienia wysięgnika silosu. Przewód uwieńczony był wtyczką wielkości trzech męskich pięści. Trofeum na wagę życia i zwycięstwa. Zanim ją pociągnął, spojrzął jeszcze rac w dół i w górę, potem na przewód, który podłączył do komputera, jakby chcąc się upewnić, czy nic się z nim nie stało.

Wolno zacisnął zęby i pociągnął. Nie stało się nici. W pięć minut później ucięta wtyczka znalazła się w pojemniku pod siedzeniem. Odpiął kabel z wozu i schował uchwyt z uzwojeniem wtórnym. Pojechał w górę. W piersi zaczęło mu rosnać radosne, wypełniające uczucie triumfu. Tłumił je w sobie, bo praca nie była skończona. Ale sama świadomość nie opuszczała go już ani na chwilę. Kolejno przerwał połączenie sterownicze między członami i spuścił przez klapki na korpusie powietrze z obwodów drugiego członu. Przyspawał wysięgnik pionu do wspornika na kadłubie. Do głowicy się nie zbliżał. Delikatne obwódki na niektórych łączeniach świadczyły, że już niedługo substancja poradzi sobie z jej osłoną. Ile muszę jej mieć na sobie - pomyślał. Kątem oka dostrzegł czerwoną lampkę w rogu hełmu, obok manometru aparatu tlenowego. Kończył się tlen. Ile to czasu? Cztery godziny? Pięć? Trzy butle po dwie. To sześć! Podniósł głowę i spojrzął w górę. Szczelina była czarna. Zgasił światła. Nieśmiało i delikatnie do wnętrza zajrzał szary świt.

Nie zapalając reflektorów wyjechał na powierzchnię. Teraz dopiero poddał się nastrojowi. Krzyczał z radości i w wymachiwał rękami. Kreślił w powietrzu literę „K”. Walath błysnęła kilka razy wszystkimi reflektorami. Hornic ochłonął. Zakryli otwór. To nie był jeszcze koniec. Zagrzmiały silniki i wóz zaczął się cofać: Hornic szedł za nim i poganiał jak zwierzęta w swojej zagrodzie. Na krawędzi wykopu odwrócił się i popatrzył w dół.

„Dziękuję ci zjawo” - powiedział - kimkolwiek byłaś, dziękuję.

Stali na szczycie wzgórza i patrzyli przez lornetki na miasteczko. Słońce, stojące jeszcze nisko, mieli za plecami. Widoczność była znakomita. Z tej odległości obraz był prawie idylliczny. Gołym okiem nie widać było zniszczeń. Mury jakby spały białą plamą oprawione w zielenią ciągnącą się od horyzontu po horyzont. - Czy widzisz to samo co ja? - Walath patrzył w jeden punkt.

- Tam ktoś jest - odpowiedział Hornic. - Kiedy tu jechaliśmy, drzwi do kościoła były zamknięte.

Opuścił lornetkę i dodał i lekką emocją w głosie:

- Przywieziemy jeszcze z sobą ludzi, Robercie, zobaczysz.

- Jeżeli nie będą do nas wrogo usposobieni - odpowiedział Walath.

Hornic pamiętał o tym. Miewał już spotkania, które rozpoczynał strzał z ukrycia. Ale to było wiele lat temu. Podniósł znów lornetkę do oczu. Brama kościoła była wyraźnie uchylona. Teraz zorientowali się, że przejeżdżając przez miasteczko nie widzieli na uliczkach wraków pojazdów, mebli, innego sprzętu, którego rozwleczone w ciągu jednej nocy resztki zaśmiecały wszystkie właściwie miasta i osiedla ludzkie świata. Tutaj ktoś je uprzętał.

- Co zrobimy z cysterną? - Walath był zaniepokojony.

- Nie będę odpinał. Włączmy obserwację termowizyjną - wyjaśnił Hornic. - Niepotrzebnie się niepokoisz, to oni będą mieli powód do niepokoju. My będziemy widzieć ich jak na dłoni.

Obrócił jednak zaślepioną lufę działa do przodu. Zjeżdżali wolno. Przy pierwszych domach Walath przykleił się do głębokich osłon wizjera. Mijali metr za metrem, dom za domem tak wolno, by można było zlustrować cały obszar widzenia. Na placu, pod murem, okalającym teren kościoła, stał drewniany czterokołowy wózek zmontowany z różnych zaimprovizowanych elementów. Obciążony brezentem i starannie spięty sznurkami świadczył, że właściciel lub właściciele - jeżeli było ich więcej - nie zamierzali pozostać tu długo. Tego wózka przedtem nie było z całą pewnością. Zatrzymali się przed uchyloną bramą.

- I co? - rzucił Hornic.

- Nie ma śladu. Muszą być chyba w piwnicach. Hornic przyciągnął z pułapu drugi wizjer. Popatrzył tylko chwilę.

- Wychodzę - oznajmił. - Podaj mionikrofon na zewnątrz.

Stał kilka kroków od wozu, na tyle ile pozwalała na to długość kabla mikrofonowego.

Sprawdził czy działa i wolno powiedział starannie dzieląc sylaby:

- Nazywam się Teodor Hornic. Ze mną jest mój przyjaciel, Robert Walath.

Głos wzmocniony dwoma megafonami odbił tłą zwielokrotnionym echem od murów.

- Nie jesteśmy żołnierzami. Ten pojazd zabrany został ze starych magazynów i służy nam do podróży. Jak widzieliście, a może nawet widzicie, lufa jest zaślepiona. Mamy przyjazne zamiary. Chcemy was poznać.

„Poznać. Poznać, poznać...” - odpowiedziało echo i zapadła znów cisza przerywana tylko śpiewem ptaków.

- Będziemy na was czekać do wieczora. Zapewniam was, że z naszej strony nic wam nie grozi.

„Grozi, grozi, grozi...” - jego głos przedrzeźniał go ginąc stopniowo. Odłożył mikrofon i mrużąc oczy stanął na wprost półotwartej bramy. Z trudem komponował w całość szczegóły ołtarza, oświetlonego wtórnym światłem odbitych od wewnętrznych ścian słonecznych potoków wpadających przez okna i dziury w dachu. Myśl, która przed dobrą chwilą zakiełkowała - w jego głowie, zaczęła dojrzewać. Zrobił dwa kroki i wszedł na pierwszy z czterech stopni prowadzących do głównego wejścia.

- Teodor, uważaj, to może być podstęp - w słuchawkach hełmofonu usłyszał głos Walatha.

Przed oczami miał czysty termowizyjny obraz wnętrza, a teraz wyraźnie widział kilka siedzących lub półleżących postaci wokół ołtarza. Na stole mszalnym leżał ktoś ubrany w połyskliwe szaty. Zrobił

jeszcze jeden krok.

- Na taki podstęp może się zdobyć tylko... - zaczął półgłosem i urwał jak rażony piorunem. Teraz rozpoznał. Ta postać na stole to był... jego drugi skafander przeciwchemiczny! Odruchowo cofnął się o dwa kroki. Wstrząsnął nim dreszcz grozy. Wskoczył na pancierz i zjechał na swoje siedzenie. Bokując po płytach jezdni zawrócił niemal w miejscu wyrzucając spod kół fontanny Bierni i drobnych odłamków betonu. Dopiero na wzgórzu stanął i wyłączył silnik.

- Oni nie żyją! Wygrzebali z ziemi mój skafander przeciwchemiczny. Jak mogło do tego dojść - wyrzucił z siebie i uderzył pięścią w sklepienie kabiny: - Szaleńcy! Samobójcy!... Co za głupota... Jak straszna bezmyślna głupota!

Rozłożyli sprzęt przeciwchemiczny i zmyli ciała. Analiza wody popłucznej nie wykazała obecności związku, ani jego śladów. Nie było go też na kołach i pancerzu wozu.

W południe Hornic położył ze wzgórza ogień na miasteczko. Stali w odległości dwustu metrów od wozu przy odczepionej i osłoniętej wypukłości terenu cysternie i patrzyli ponuro, jak kierowany komputerem pokładowym wóz pokazuje swoją siłę rażenia. Jako pierwsza, w ogłuszającym huku, od którego zatańczyła ziemia, rozpadła się, wieża kościelna. W ścianie ceglastoczerwonego napalmowego ognia zniknęły zabudowania kościoła, potem ryneczku i pobliskich murów. Gorący podmuch przyniósł z dołu duszący odór napalmu. Powietrze nasycone było do granic wytrzymałości zapachem zgęszczonej benzyny i musieli przyłożyć do ust chusteczki, żeby go znieść. Walathowi wydawało się, że tego morza ognia nic nie ugasi. Słup czarnego sadzowego dymu unosił się wysoko w niebieskie niebo. Miasteczko płonęło dwie godziny. Potem rozpoczął się ostrzał gaszący. Pociski wybuchając tworzyły fale uderzeniowe, pod którymi ogień gasł jak płomień zapałki. Pogorzelisko zaczęła powlekać opona z ciężkich gazów tłumiących. Wokół miasteczka powstał komin termicznych wiatrów, który porywał nawet gałęzie drzew.

- Zaraz spadnie deszcz - powiedział Hornic obserwując gromadzące się chmury. - Chodźmy stąd, bo nie doczyścimy sprzętu.

Odjechali na kilometr. Deszcz był czarny i smolisty. We wnętrzu wozu ledwo dawało się wytrzymać. Dopiero koło północy przyszedł wiatr. Prawdziwy, nie wywołany sztucznie.

Nie mogli spać. Hornic wyszedł na zewnątrz wozu i stanął w trawie. Zamknął oczy. Chciał być sam. Nieoczekiwany finał sukcesu przybił go i stłumił tak świeże jeszcze uniesienie. Nie policzył ich nawet. Ile ich było? Trzy, cztery osoby? Chyba cztery. Pod ołtarzem, a dalej? Jedno było pewne, że nie żyli. To się musiało stać co najmniej dobie wcześniej bo ciała zdążyły całkiem wystygnąć. Zaczął liczyć. Na zabezpieczenie wykopu zużyli cztery dni. Oznaczałoby to, że byli przez cały ten czas obserwowani. Odtworzył w myślach obraz minionych dni. Usiłował przypomnieć sobie jakiś szczegół, który zdradził by mógł ich obecność. Ale niczego nie mógł sobie przypomnieć. Wykopali drugi skafander, ten, którego nie zniszczył mechanicznie. Zakopany pod lasem, a nie wyrzucony do wykopu. Ale żeby wrzucić go do wykopu, trzeba by było włożyć następny. Nie! Nie mógł sobie robić z tego powodu wyrzutów, to było nie do przewidzenia.

Przypomniał sobie miniony dzień. Radość z dnia i uczucie lekkości. Potem nadzieję, że spotka ludzi. Nowych ludzi. Uliczki miasteczka, placyk jak wyjęty ze starych pocztówek, mur przykościelny i wóz. Wóz obciążony brezentem. Zaraz! Widział go teraz wyraźnie, jakby tam jeszcze był. „Może to bez znaczenia” - pomyślał, ale spróbował policzyć wypukłości pod brezentem. Wydało mu się teraz, że były cztery. Tyle ile ciał. Ale nie zajmowały całej długości wózka. Indywidualne bagaże? Dalej! Brezent spływał nisko, przykrywał jakieś płaskie przedmioty. Może materiały lub namioty, bo sznury wpijały się głębokimi, poddającymi się wklęsnięciami. Otworzył oczy. Był niemal pewny, że zmieściłyby się, tam jeszcze dwie, może nawet trzy takie części. Jeżeli spekulacje nie są bezpodstawne, nie zaszkodzi przeszukać okolicę. Jeżeli pozostali byli w pobliżu, może są tutaj nadal.

Rano Hornic podzielił się swoim planem i Walathem. Zaprogramował komputer na wyszukiwanie

obiektów o temperaturze własnej powyżej 25° C. Rozpoczęli rundę granicą lasów, pierścieniem o przybliżonym promieniu kilku kilometrów wokół tłącego się wciąż miasteczka. Mokre od deszczu liście, zakłócające nieco z rana odczyt, bardzo szybko wyschły i obraz w dwóch sprzężonych monitorach co jakiś czas ukazywał zarysy większych zwierząt ukrytych w poszyciu. Tego jednak automat nie rejestrował. Na panelu programującym widział duży przycisk z podświetlonym napisem „Człowiek”. Uruchamiał analizującą pamięć graficzną. Przed użyciem go Hornic zawsze sprawdzał czy zablokowane jest połączenie ze sterownikiem ognia. Ten system, sprzężony z baterią precyzyjnych karabinów i miotaczy pocisków, przeznaczony był do samoczynnego likwidowania żołnierzy piechoty przeciwnika”. Tak to brzmiało w propagandowej instrukcji, którą Hornic wyrzucił przy którymś z porządków.

Jechali w pewnym oddaleniu od ściany lasu, by być widocznymi z daleka. Ukrywanie się nie miało sensu. Hałas czyniony przez jadący wóz bojowy i holowaną cysternę z paliwem był słyszalny na wiele kilometrów wokoło. Hornic liczył, powodowany doświadczeniem, że ten właśnie hałas może mu pomóc. Tak bywało już nieraz. Przyciągał zaniepokojonych ludzi do odległości, z której byli widoczni przez ścianę zieleni na termowizyjnych ekranach. W głowie kłębiły mu się ponure myśli. Zwyciężył Kasandrę, ale dalsze wydarzenia przygłębiły go. Czworo ludzi przypłaciło jego sukces życiem. Obliczenia, jakich dokonał po powrocie z silosa wykazały, że wybuch tej głowicy na wysokości dziesięciu kilometrów był w stanie skażić obszar o powierzchni 300 000 kilometrów kwadratowych. Krążąca legenda mówiła więc słusznie o zagładzie świata. Skażenia rozniesione przez płynące przez kontynent rzeki we wszystkich kierunkach, dokonałyby reszty. Była rzeczywiście przeznaczona dla wszystkich. Za sprawą bezmyślnego strategicznego amoku konstruktorów objęłaby nie tylko zwyciężonych. Także zwycięskich, gdyby tacy pozostali.

A przecież resztki pozostały. Zwyciężyli jednak ci, którzy po prostu przeżyli i są zdrowi na tyle, by móc kontynuować gatunek. Samobójczy mechanizm samozagłady, jeżeli uda się rozbroić jeszcze skończoną liczbę takich rakiet, okaże się słabszy od człowieka. Maszyny, tysiące ton śmiertelnych maszyn, poddawały się ludziom, tam gdzie można było jeszcze bezpiecznie żyć. Człowiek jeszcze raz pokazał swoją nad nimi wyższość. Ta pompatyczna myśl wydała mu się nagle przyjemna. Jakież to złe przeznaczenie być wyznaczonym do pokonania Kasandry. Jego przeznaczenie. Teodora Hornica. A w przypadku dalszego totalnego postępu skażenia pozostawał jeszcze Dach Świata. Surowy, niedostępny, ale bezpieczny Tybet. Miejsce, skąd wyszedł Homo Sapiens.

Przed wybuchem Wojny naukowcy mieli na to ponad 90 procent pewności. Przyczyniła się do tego seria głośnych odkryć możliwa dzięki przejściowemu zezwoleniu rządu chińskiego na archeologiczną eksploatację Tybetu, Pamiru i Himalajów. Tysiące znalezionych w jaskiniach ciał w niezwykle ubiorach i w otoczeniu równie niezwykle, niewiadomego przeznaczenia przedmiotów potwierdzać zdawały się hipotezy o kolebce ludzkości. A może tylko przechowalni tych niedobitków, którzy pozostali po jeszcze starszej zaginionej cywilizacji? O hipotezach mówiących o powtarzalności jej rozwojów i upadków. O wielkim kole czasu zamkniętym w gwiazdach. O Przeznaczeniu, o przekleństwach ciążyących na ludzkim gatunku, od niepamiętnych czasów wojnami piszącym swoją historię do etapu, aż posiadał zdolność do wywołania tej jednej, największej wojny, po której rozpocząć musiał od nowa swój cykl samorozwoju. Hornic był świadkiem wszystkich tych wydarzeń, prognozowanych racjonalnie i znanych jako przepowiednie bez naukowego uzasadnienia. Przepowiednia, ta największa, sprawdziła się, a wymiary racjonalne i utopijne, jednakowo zignorowane wypełniły swój czas.

Hornic prowadził pojazd w zamyśleniu i z niemal bezwiedną rutyną. Pod wieczór, gdy zamknął pierścień i wjechał na ślady kół pozostawionych rano, otrząsnął się z myśli.

- Podjedź do tamtego stawu, prawo trzydzieści - powiedział Walath. - Trzeba się wykąpać.

Skęcili. Po długim, łagodnym pochyleniu zjeżdżali na wysprzęglonym silniku nabierając wolno prędkości. W połowie drogi Hornic powiedział nagle głośno?

- Są!

Jednocześnie zapalił się sygnał alarmu. Na monitorze pulsowała cyfra „3”. Zresztą i bez tego widać ich było jak na dłoni. Trzy punkty, raczej przecinki, za pierwszą ścianą zarośli. Stali. Naraz jeden odłączył się i zniknął na chwilę, potem znów się pojawił. Za nim ruszył drugi. Plamki połączyły się, znieruchomiały na moment... i znikły.

- Położyli się - oznajmił Hornic.

- Skąd wiesz? - zapytał Walath.

Hornic bez słowa włączył transfokator. Obraz najeżdżał na miejsce, w którym zniknęły postacie. Kilka ruchów palców na klawiaturze i na śrubach mikrometrycznych, wydobyło z upstrzonego czerwono-czarnymi plamami zbliżenia tła drgające płaskie krople. Nad nimi, w spolaryzowanym świetle podczerwieni, unosiły się lekko słupy drgającego powietrza. Obraz ruszył w bok i zatrzymał się na trzeciej.

Położył się także - skomentował Hornic.

- Mogą być uzbrojeni - rzucił Walath - po tym, co zobaczyli wczoraj...

Hornic wyłączył silnik i zwolnił hamulce. Zaczęli toczyć się powoli i bezszelestnie.

- Będziesz mówić? - zapytał Walath.

- Nie! To na nic. Przejmij prowadzenie.

Walath przesiadł się na jego miejsce, a Hornic przebrał się w bojowy rudoczarny kombinezon. Na głowę włożył ciężki, czarny hełm z lustrzaną, pancerną szybą sięgającą mostka. Zamierzał rozegrać spotkanie psychologicznie. Pierwszy moment był najważniejszy. Z uchwytu zdjął karabin i największy puszkowy magazynek. Włożył do niego cztery ślepe naboje i założył. Na lufę wkręcił nasadkę akustyczną zwielokrotniającą huk strzału. Przez chwilę wahał się czy wziąć krótką broń. Z westchnieniem przyczepił do pasa kaburę z rewolwerem zawierającym prawdziwe pociski.

- Gdyby zaczęli strzelać, daj salwę po drzewach i użyj gazu - powiedział - będę się starał wycofać.

Nie czuł strachu, nie bał się też takiej śmierci.

Teraz, po unieszkodliwieniu Kasandry życie wydawało mu się jakby mniej cenne. Zatrzymali się o pięćdziesiąt metrów od ściany lasu. Na ekranie nie było nic.

- Kamienie zasłaniają albo coś podobnego - skomentował - to na nic.

Opuścił szybę ochronną i wyszedł na pancerz, za osłoną otwartej pionowo klapy wyjściowej. Oddech, głośny w zamkniętej przestrzeni hełmu, świszczą na filtrach. Serce biło wolno, ale coraz mocniej. Podniósł na biodro karabin i zaczął iść wolno przed siebie. W odległości około trzydziestu metrów od linii zarośli zatrzymał się.

Trwał tak może minutę lub dwie, kiedy liście poruszyły się rozgarniane gołymi rękami. Jego napięcie zmieniło się w osłupienie. Nie tego się spodziewał. W jego kierunku szła zjawka. Ubrana w śnieżnobiały, delikatnie opinający ciało strój, jasnowłosa, najwyżej osiemnastoletnia dziewczyna. Zapomniał nagle, że może to być podstęp. Była tak delikatnej budowy, że wydała mu się unosić razem z falowaniem fałdów materiału. Patrzyła mu prosto w oczy, spokojnie i jakby z lekkim zażenowaniem. Zatrzymała się cztery kroki przed nim i uniosła do góry dłonie. To był przyjęty znak pozdrowienia i pokoju. Zupełnie bezwiednie odpowiedział tak samo. Stał zahipnotyzowany zaskoczeniem. Za jej plecami zaszeleściły znów liście. Wyszło z nich i stanęło... dwoje dzieci. Chłopiec i dziewczynka w wieku około ośmiu lat. Teraz dopiero Hornic zorientował się, że ona nie widzi jego twarzy. Nie może widzieć przez lustrzaną powierzchnię szyby. Zanim zrozumiał co się dzieje poczuł, że zaczyna płakać. Tak jak nie płakał od wielu lat, na głos. Opadł na kolana. Karabin miękko stuknął w trawę. Ramionami wstrząsał coraz mocniej nie sam już płacz, ale wszystko, co się w nim nagromadziło od dawna. To było niespodziewane i gwałtowne jak strzał pioruna przesilenie. We wściekłym uniesieniu zerwał z głowy hełm i odrzucił daleko w trawę odsłaniając zarośniętą wielką brodą twarz. Ten potoczył się i znieruchomiał, pusty i straszny, szybą wpatrzony w niebo jak odrąbana głowa olbrzyma, szczerząca zęby filtrów przeciwigazowych w złowieszczym i okrutnym uśmiechu.

Miała tylko imię Karia. Dzieci też nie miały nazwisk. Nosiły imiona Christa i Łukasz Christa mówiła twardym akcentem wrzucając co jakiś czas francuskie, rzadziej holenderskie słówka lub zwroty. Łukasz dodawał jeszcze słowa polskie i słowackie. Jadły palcami. Nie krępowały się żadną formą zachowania, ale sposób bycia miały silnie zdominowany nabytą bystrością i inteligencją. Od pierwszej chwili Hornic i Walath zgodnie spostrzegli, że nad tą trójką prowadzona była regularna i intensywna praca wychowawcza i opiekuńcza. W żadnym z nich nie było tak charakterystycznej dla tego pokolenia dzikości zachowania.

- Czy osoby w mieście były z wami? - zapytał przy kolacji Hornic.

- Tak - odpowiedziała Karia nie przerywając jedzenia. Oblizywała palce z tłuszczu kapiącego obficie z mięsa. Widać było, że długo musieli na taki posiłek czekać. - To są nasi ojczymowie i macochy. Oni są z nami od ośmiu lat - zawahała się na chwilę przerywając jedzenie. - Odłączyliśmy się, bo chcieliśmy was powitać sami. Hornic przerwał jedzenie:

- Dlaczego?

- Taki mówi nauka Vlada - przymrużyła oczy i wyrecytowała z pamięci:

- „Nie będziesz witał Łowcy w obecności dzieci”.

Teraz obaj w Walathem zamarli w osłupieniu. Spojrzeli na siebie w milczeniu, jakby się upewniając wzajemnie czy dobrze słyszeli.

- Kim jest ten Łowca? - zapytał Walath.

- Ty jesteś - odpowiedziała Karia zwracając się twarzą do Hornica i zaczęła znów jeść.

To było coś nowego. Spotykali się nieraz z nowo utworzonymi subkulturami, jakie rodziły się w skupiskach i mikro-społecznościach. To było zjawisko powszechne. Ale zwyczajnie dość blisko oscylowały wokół pozostałości zwyczajowych Epoki. Powiełały lub przekształcały zachowując pamięć obrzędu nabytego jeszcze w tamtym dzieciństwie. Pokolenie Hornica i Walatha było jeszcze wciąż pokoleniem tamtej epoki. I na jego wzór kształtowane były dzieci.

- Oni już nie wrócą - powiedział Hornic, kiedy siedli już po kolacji przy ognisku.

Zapanowała niezręczna cisza, przerywana trzaskiem płonących gałązek.

- Widzieliśmy dym nad miastem - powiedziała po chwili Karia.

- Mówili, że to może być niebezpieczne.

Vlado mówił, że wokół ciebie jest pierścień sił, które zabijają. Mówił, że te siły chronią cię...

Nauczał, że tylko on umie poprowadzić do ciebie...

- Czy on był dobrym człowiekiem? - zapytał cicho Walath.

Hornic spojrzał na niego zaskoczony pytaniem, a Christa powiedziała atanka Kapią zdążyła otworzyć usta:

- Nie! Karia powiedz wszystko. Myśmy uciekły od niego! Karia uciekła z nami! Dziewczyna skinęła głową:

- Tak, Łowco. On kazał nam czekać na ciebie, ale myśmy uciekły. On prowadził do ciebie już kilka lat i ciągle coś wymyślał, żeby odwlec ten moment. Dotąd wszyscy musieliśmy go słuchać. Teraz też nie chciał cię spotkać, ale już musiał. Bo opiekunowie i my bardzo nalegaliśmy. Nie miał wyjścia - mówiła to cicho, ale wyraźnie.

- Dlatego był bardzo zadowolony, kiedy zostaliśmy. Nie wiedział, że chcemy uciec.

- Oni podglądali nas, kiedy niszczyliśmy wyrzutnię - powiedział Hornic. - Potem wykopali ubiór, który chronił mnie przed trucizną z ziemi. Ja go specjalnie zakopałem, żeby nikt się od niego nie... zaraził.

- Oni nie żyją? - w głosie dziewczyny nie było zdziwienia.

- To nie była moja wina, wierzcie mi - Hornic poczuł w sobie potrzebę usprawiedliwienia. -

Wykopal to, czego nikomu nie byty wolno nigdy dotykać. Nawet mnie.

Dzieci też nie wyglądały na wstrząśnięte.

- To dobrze dla was - powiedziała Karia. - Vlado nie pogodziłby się z wami. A matki i drugi ojciec

usłuchaliby go. On nikomu nie chciał ustępować.

Dziewczyna długo opowiadała o panujących w tej grupie zwyczajach. Obraz, jaki zaczął się z tej opowieści wyłaniać, był wyraźny. Mały despota, malutki wódz przedkładający nade wszystko chęć posiadania i rządzenia. Ze słów trójki wynikało, że stworzył nawet jakąś pseudonaukę na pograniczu pseudowiary, podpierającą i chroniącą jego prymat. Ileż lat mógł mieć ten Vlado? Jeżeli tylko dziesięć, piętnaście więcej od Karii - ona miała dwadzieścia - to nie mógł być wolny od świadomości najcięższych doświadczeń, które doprowadziły do Kataklizmu ziemski glob.

Nie mógł w młodości nie tkwić, jak wszyscy wówczas, w wojnie krzyżujących się nauk, wiar, kłamliwych dogmatów wszelkich rodzajów, ideologii i idei, tworzonych nie na użytek ludzi, ale w celu utrzymania zysków, posiadania i rozszerzania wpływów, żądzy władzy. Pozostali po zagładzie ludzie, te właśnie zjawiska odrzucali nawet w najgłębszej świadomości. Kolejne pięć lat było jak Katharsis, ogólnoludzkie oczyszczenie. Ten człowiek ni? mógł być w tym czasie nieobecny.

- Jak oni umarli? - zapytała Karia.

Opowiedział cały przebieg wydarzeń, nie wspominając oni słowem o znaczeniu, jakie miało unieszkodliwienie Kasandry. Kiedy skończył, Karia powiedziała:

- Nie mogłam uwierzyć, że jesteście z innego świata. Nie tylko dlatego, że mówił tyle nieprawdziwych słów. I dlatego, że nie był dobry. Ale spotkaliśmy innych ludzi i oni mówili co innego o tobie. Mówili, że jesteś zwykłym człowiekiem. On nas zapewniał, że tak nie jest, a oni, różni i obcy, mówili to samo. Mówili, że przyjmujesz wszystkich i nie robisz różnicy dla stron świata. On zawsze szybko ich zegnał. Dlatego mu nie wierzyliśmy.

Drugiej nocy, kiedy wszyscy zmęczeni upałem i jazdą zasnęli, Karia wybrała Hornica, tak jak w nowej epoce kobieta wybierała mężczyznę dla swoich dzieci, dającego gwarancję ich zdrowia i prawidłowego rozwoju. Niekoniecznie musiał gwarantować skuteczną ochronę rodziny. Od tego mogli być inni. Nie padło ani jedno słowo, bo żadne słowo nie było im potrzebne. Dopiero kiedy zmęczeni kochaniem patrzyli na wiszące nad ich głowami Obłoki Magellana, pochylające się nad odległą o kilkaset metrów grzywą lasu, Karia zapytała szeptem: - Miałeś dzieci?

- Tak - odpowiedział ruchem ust

- Jak było wtedy... z rodziną? Spojrzał w jej oczy jakby szukając w tym pytaniu czegoś więcej.

- Tego nie da się porównać. To był inny świat. Odwróciła głowę w drugą stronę.

- Nie chcesz o tym mówić?

Uśmiechnął się.

- Nie o to chodzi. Mogę mówić, bo minęło Jut tyle lat. Tylko nie wiem czy to się uda. Może trochę, fragmentami. Widzisz, to jest całość, której nie udało się nikomu z tych, co jej nie znali, opisać, oddać możliwie wiernie.

- Spróbuj - szepnęła, a ponieważ nie odpowiedział, dodała: - Ja chcę wiedzieć... muszę wiedzieć.

Zaczął opowiadać. Mówił o wielkiej liczbie ludzi i starał się jej wytłumaczyć, co ona oznacza i jakie przez to znaczenie mają interakcje jednostek. Mówił o szkołach, kodeksie cywilnym, służbie zdrowia, podziale majątku, mieszkaniach, wycieczkach, o tysiącach rzeczy, które jak mu się wydawało, przesypują się przez dziurawe sito jego interpretacji. Wydało mu się, że ona słyszy i nie rozumie, ale z delikatności o nic nie pyta. Pomyślał nawet w pewnej chwili, że zasnęła, bo przez cały czas nie drgnęła. Kiedy jednak urwał zareagowała natychmiast:

- To znam z opowiadań. Wszystkie rodziny miały takie same warunki, ale przecież każda musiała być inna. Ja chcę wiedzieć jak to było, że każda mogła być inna, kiedy wszyscy żyli tak samo.

Wrócił do punktu wyjścia.

- To jest bardzo trudne pytanie. Ta trudność to brak punktów odniesienia. Warunki życia rodzin różniły się. Jedna miała więcej, inna mniej. Ale te różnice były inne niż teraz. W dzisiejszym pojęciu

wszystkie, nawet te najuboższe, żyły w luksusie. Różnice polegały na tym, ile oboje byli w stanie uzyskać dla siebie nie tylko z systemu ciągłego podziału dóbr. Ważne było też, ile mogli dać sobie z rzeczy, które dotyczyły tylko ich dwoje. Myślę o uczuciach, wierności seksualnej i psychicznej. Dzisiaj to znaczy co innego. Odmienność wiązała się też z osobowością małżonków, z ich przystosowaniem do życia w tej masie ludzi.

- A jak kobieta wybierała mężczyznę? Czym się kierowała?

- To też było inaczej. W kulturze obowiązywał zwyczaj, który nakazywał mężczyźni zdobywać kobietę. Nawet jeżeli było odwrotnie, pewne pozory bywały zachowane.

- Jak to, przecież kobieta rodzi i wychowuje... Elastyczny mur odbił go znowu.

- Karia! Zawarcie małżeństwa nie oznaczało od razu posiadania dzieci. Urodzeniu dziecka zapobiegano i to nieraz przez wiele lat po ślubie. A kiedy mężczyzna i kobieta byli ze sobą bez ślubu, to dzieci nie chcieli z zasady w ogóle... No więc nie było w twoim rozumieniu tej naturalnej wyższości. To brzmi teraz niezrozumiale, ale w ogólnym sensie dzieci było za dużo. W skali całej Ziemi i w skali wielu państw, choć nie we wszystkich oczywiście. Dlatego dzieci nie były naturalną koniecznością każdej pary zdrowych ludzi.

- To znaczy, że kobieta nie była tak ważna jak teraz? - szept Karii zabarwiło dziwne brzmienie.

- Nie - pośpieszył z wyjaśnieniem - była ważna. Wokół kobiet obracała się właściwie cała kultura. Tylko rodzenie nie było tak wyeksponowane jak teraz. Liczyły się inne sprawy. Uroda, atrakcyjność seksualna, inteligencja, kultura bycia, wiele spraw dziś nie istniejących lub mających tylko trzeciorzędne znaczenie. Inne były Warunki życia, więc inne były też miejsca płci. Przetrwaniu nic nie zagrażało, a zdrowie było pod kontrolą. Karia milczała.

- Opiekunowie nie mówili na ten temat. Oni nie mogli mieć dzieci. Urwała na chwilę:

- A jakie by było moje miejsce w tym świecie?

Drgnął zaskoczony:

- Myślę, że w każdym przypadku nie mniej ważne niż teraz. Miałabyś powodzenie i wielu mężczyzn wokół siebie, którzy stawaliby na głowie by cię zdobyć.

- Dlaczego, jeżeli dzieci nie były takie ważne? - odpowiedziała, a Hornic przymknął oczy i pomyślał, że czekają go długie miesiące rozmów. Tak samo porwanych i nieuporządkowanych jak ta.

Przypominających poszukiwanie się dwojga ludzi z wyciągniętymi rękami w całkowitych ciemnościach. W ciemnościach wynikłych z przepaści między dwoma światami, dwiema kulturami, tylko formalnie wywodzącymi się z tej samej ziemi. A nie tylko z różnicy wieku. Otworzył oczy. Patrzyła na niego uważnie.

- Dlaczego chcieliby tylko części dobra pierwotnego?

- Czego?... - zaczął odruchowo i urwał.

- Nie znasz pisma świętego? Teraz jej głos, zawierał zaniepokojenie pomieszane ze zdziwieniem.

Poczuł się nagle jak rozbitek na ostatniej desce ze statku, a w mózgu zapłonęło czerwone światło ostrzeżenia przed nieznanym niebezpieczeństwem.

- Znani, Kari, znam - wycofał się zbyt pośpiesznie. Nie był pewien czy to zapewnienie zabrzmiało wiarygodnie:

- ...ale nie słyszałem o dobrze pierwotnym.

- Jak to? - podniosła się na łokciu. Delikatna poświata nocnego nieba wydobyła z ciemności jaśniejszą kreską jej odurzające go wciąż jeszcze kształty, te które poznawał tego wieczoru jakby po raz pierwszy w odnowionym nagle życiu.

- No tak - jej głos był karcący i zdziwiony jego oczywistą ignorancją:

- Ella miała rację. Nie chcieliście znać całego pisma. Czy nie mówi o pierwszych rodzicach, Ewie i Adamie?

- Tak, Kari...

- Czy nie mówi o darze pierworodnym, jaki Adam dał w raju Ewie za radą mądrego węża?

- Eee... mówi o raju i pierwszych rodzicach. I o wężu, tak. I o symbolicznym jabłku...

- No właśnie! To symboliczne jabłko to przecież symbol daru pierworodnego - przerwała mu podnosząc szept do cichego głosu. - Adam kochając Ewę pierwszy raz dał jej dar życia. Dzieci, Teodorze, Kaina i Abła. Dzieci, których tak pragnęli, bo Bóg dał im ciało i namiętności. To było dobro pierworodne.

Urwała, a on przez chwilę milczał,

- A grzech pierworodny? - zapytał.

- Grzech pierworodny popełnił Kain zabijając Abła i dlatego Bóg wypędza wszystkich z raju, by żyli w nędzy i ubóstwie.

Ciemny kontur jej twarzy i delikatną kształtną linię, prześwietloną piaskiem nieskończenie dalekich gwiazd, zamykała tęcza ich blasku w cienkich jak len włosach. Nie mówił nic, bo nie miał nic do powiedzenia. Zaskoczenie jej światopoglądem i interpretacją świata nie dawało mu już miejsca na własną przeszłość.

- Kto cię uczył pisma?

- Opiekunowie, głównie Ella. A ciebie?

- W młodości - księża. Ale kanony, to znaczy zasady religii i jej schematyczna wykładnia, były znane wszystkim. Nawet tym, którzy nie byli jej wyznawcami. To był historyczny fundament Europy i jej społeczności. Tylko - zawahał się - to nie było zupełnie tak jak myślisz z tym grzechem pierworodnym.

- Nie?! A jak było?

- Grzechem pierworodnym było oddanie się Ewy Adamowi.

Zachnęła się spontanicznie i podniosła znów głos:

- To znaczy, że to co robiliśmy było grzechem?

- W myśl kanonów tak, Kari.

- Zawsze?

- Tak, choć w różnym stopniu. Zależnie od sytuacji. Zamilkli.

- Nie wyobrażam sobie jakbym mogła, gdyby było naprawdę tak jak mówisz...

Poczuł na twarzy jej przyspieszony oddech.

- To jest przecież okrutne. Opiekunowie mówili, że doszło do wojny, bo zło zostało zamienione miejscami z dobrem, ale nie chciałam wierzyć,

Jak mogliście dać się tak oszukać... Dlaczego to, co jest najlepsze, nazwano grzechem?

- Wojnę prowadzili wszyscy, nawet ci, którzy nie myśleli w ten sposób. Ludzie wszystkich wyznań i niewierzący. To byłoby zbyt łatwe uproszczenie.

Poczuł, że zapada się bezradnie, a słowa, zamiast wyjaśnić coś, wiążą mu tylko ręce;

- Karia, ja sam nie wiem dlaczego tak było i nie pytaj mnie, bo rozumiem tylko fragmenty. Przedtem wydawało mi się, że wszystko jest jasne, teraz rozumiem tylko poszarpane fragmenty. Nikt w tamtej epoce, ani tym bardziej teraz, nie umie dać odpowiedzi na pytanie: dlaczego? Choć wiele bym dał, by wiedzieć.

Położyła się na jego piersi i bez słowa wsłuchiwała w bicie jego serca, szybkie i nerwowe. Jej serce biło spokojnie. „Czy pytanie dlaczego, ma w ogóle sens?” - pomyślał. Karia natomiast była pewna, że on wie. Jako Wielki Łowca i jako najwspanialszy mężczyzna, jakiego mogła wybrać w tym groźnym świecie. Ale postanowiła więcej do tego tematu nie wracać. W końcu nie było to tak ważne wobec ich wspólnej, jasnej przyszłości. Hornic tymczasem dręczył się pytaniem, które sobie zadał tej nocy i na które nie umiał odpowiedzieć mimo swego życiowego doświadczenia: „Kim ja dla ciebie jestem? Kim dla ciebie jeszcze mogę być?”.

Powrót do enklawy Walatha był huczny i radosny. Ze śpiewem domowników i kwiatami, z morzem

leż. Ciągające się tygodnie pełne męczącego wyczekiwania i rosnącego laku o ich los, na dźwięk znajomego basu silników wprowadziły mieszkańców w euforię. Był to pierwszy tak niezwykły dzień w kilkunastoletniej historii enklawy. Po wstępnych wyjaśnieniach, do Kasandry wrócono tylko raz, na chwilę przed posiłkiem. Kiedy Walath skończył modlitwę padło głośnie pytanie: - Kto ją zrobił?

Odpowiedział jednym słowem, a cisza nie trwała dłużej niż skrzypnięcie zamykanych wiatrem drzwi obory. Nie wrócono już do tego tematu. Dwa tygodnie później Walath pojechał w górę rzeki do enklawy Czetyś i przywiózł księdza oraz kilku jej dorosłych mieszkańców. Karol, olbrzymi, wielki jak niedźwiedź mężczyzna w barwionej na czarno sutannie i brązowych oficerkach, długo badał Hornica i Karię. Robił to z chmurnym wyrazem twarzy, patrząc zza olbrzymich krzaczystych rudych brwi oczami wytrawnego lekarza o uniwersyteckim wykształceniu i dużej praktyce. Oczami podobnymi do dwóch granitowych kostek. Kiedy skończył, uśmiechnął się szeroko i jego wzrok złagodniał.

- Jesteś dzieckiem szczęścia i Opatrzności, Teodorze - powiedział tubalnym głosem. - Nie pobłogosławiłbym waszego związku, gdyby wasze zdrowie nie było takie jak trzeba. Cieszę się, że jest dobrze. Westchnął i dodał w zamyśleniu. - Dawno już nie udzielałem ślubu.

Uroczystość odbyła się w następną niedzielę. W poprzedzającą ją sobotę Hornic stał się innym człowiekiem. Na prośbę Karii i na dobry znak na przyszłość ogolił brodę do gładkiej skóry i dał sobie ściąć włosy na zapalkę. Zrobiła to Kira.

Kiedy było po wszystkim, nie poznał siebie. Patrzył w lustro i nie wierzył oczom. Spoglądał na niego obcy człowiek, nawet oczy były inne.

- Wygląda na to - powiedziała Karia, kiedy pokazał się w salce jadalnej - że bardziej wstrząśnięty jesteś wyglądem niż jutrzejszą ceremonią.

Zebrani domownicy wybuchnęli śmiechem. Ale nie było to prawdą. Hornic rzeczywiście zmienił skórę. Z olbrzymiego dzikusa o włosach jak lwia grzywa i brodzie do piersi przeistoczył się, jak za sprawą cudownej różdżki w szczupłego, wysportowanego i przystojnego mężczyznę. Kiedy napotkał wzrok Karii, zobaczył tylko jej rozszerzone lekko oczy i coś, co tak dobrze znał od blisko miesiąca, tylko teraz bardziej wyraziście. To, co odmieniło go bardziej od zmiany zewnętrznego wyglądu. Nie był nawet pewny czy bardziej niż zniszczenie Kasandry. Ale nad tym już nie myślał i nie chciał.

W czasie ceremonii Karia miała na sobie różową suknię do kostek i krótki, półprzejrzysty welonik. Hornic ubrany był w przerobiony na garnitur granatowy mundur wojskowy, białą koszulę i ciemnogramatową tasiemkę zawieszoną w zastępstwie muszki.

Wesele było huczne i radosne. Przed domem rozstawiono stoły z jedzeniem. Między nimi a palisadą wydzielono plac do tańca. Dwie stuwatowe kolumny głośnikowe wypełniały podwórzec tonami walców, tang, muzyki utrwalonej przed laty, nagranej przez najlepsze orkiestry taneczne. Wzmacniacz radiowy i rozwieszony nad całym placem kolorowe lampiony podłączono do spalinowego generatora. Powstał z nich w ten sposób sztuczny pułap, drgające na wietrze barwne sklepienie, miraż ciepła i kameralności. Pite w dużych ilościach rocznikowe wino dodawało myślom skrzydeł, a atmosfera wydarzenia otworzyła okienka nadziei na przyszłość. Hornic okazał się znakomitym tancerzem. Karia, nie znając tańca w ogóle, poddała mu się z natychmiastową i żywiołową intuicją.

- Wyglądają pięknie, jakby się cofnął czas - powiedział ktoś cicho, kiedy wszyscy stanęli półokręgiem, na placu pozostali stopieni, nieskazitelnie wyprostowani, zwiwni, wyrwani ze swoich czasów mężczyzna i kobieta. Ona przewieszona lekko przez jego ramię, poddana bez reszty prowadzeniu, z rozwianymi włosami i unoszącą się na wietrze suknią. Była tak piękna, że to ona skupiała na sobie całkowicie wzrok podziwiających.

- Kim jest Teodor? - zapytał ktoś.

- Kim jest Karia? - dorzucił ktoś.

- Kim jesteśmy my wszyscy - tego szeptu nikt nie dosłyszał.

Taniec zakończył się brawami i wiwatami. Hornic odprowadził wspartą na jego boku żonę, na

honorowe miejsce za stołem. Długo w noc siedzieli oparci o heblowane deski oparcia, tylko od czasu do czasu wymieniając bezgłośnie półsłowa rozdzielane kroplami wina. A świat, dziwny i niemożliwy w swoich mikrowymiarach, kręcił się w oczach, upajał i tańczył ruszony raz z posad. Przed północą podszedł do nich Walath, uśmiechnięty, z kielichem wina w dłoni i szepnął Karii:

- Pan młody musi przyjść na męski kwadrans. Zapomnieliśmy o kawalerskim wieczorze.

O drugiej w nocy nawalił generator i trzeba było zwinąć aparaturę, tym bardziej że zaczęło zanosić się na deszcz. Nikt nie myślał o natychmiastowej naprawie urządzenia. Przeniesiono stoły do jadalni. Dzieci zagoniono do łóżek, a kobiety zebrały się w jednym z pokoi. Hornic wykorzystał to natychmiast. Dolał sobie nieco wina i spojrzał w stronę grupki mężczyzn siedzących na dworze. Walath zrobił szelmowskie oko i powiedział głośno:

- Teodorze, do stajni.

Ruszył w ślad za znikającymi w jej drzwiach postaciami. Wszedł do środka i rozejrzał się po pomieszczeniu oświetlonym wiszącym na belce kagankiem. Stali przy jednym z boksów. Czekali na niego. Kiedy podszedł, zdziwił się, że na ich twarzach nie ma śladu rozbawienia. Kieliszki pełne wina stały na belce obramowania boksu. Milczeli przez chwilę:

- Co się stało? - przerwał ją Hornic.

- Nasza muzyka przyspieszyła poród jałówki. Miał być w piątek - wyjaśnił Walath.

- Nie żyje? - To oznaczałoby dużą stratę.

- Jałówka żyje - odpowiedział Walath. - Nie żyje cielę. Zabiłem je. Zobacz!

Weszli do wnętrza boksu. Krowa stała pod ścianą przywiązana do niej krótko. Na środku, przykryty płachtą, leżał noworodek. Walath chwycił za jej brzeg i ściągnął. Zapanowała martwa cisza. Kielich w dłoni Hornica strzelił okruchami szkła. Noworodek cielaka miał dwie głowy. Pokryty był cały jakimś szorstkim nalotem robiącym wrażenie meszku.

- Skażenie dotarło do naszej okolicy - powiedział Walath. - Dotarło kilka miesięcy temu.

Radioaktywny deszcz nie był jego pierwszą falą. Przypuszczam, że raczej jego skutkiem.

- Dobrze, że jest nas więcej - powiedział Karol. - Nie będziemy musieli tracić czasu na zawiadamianie się o planach. Najlepiej zrobić je teraz, tym bardziej że te znaki znacie.

Dłoń Hornica zaczęła krwawić. Odłamki szkła skaleczyły ją w kilku miejscach, na szczęście niegroźnie. Wyjął chustkę i zawiązał rękę.

- To drobiazg - powiedział przez półzaciśnięte usta. - Karol ma rację. Nie możemy tu zostać dłużej niż jeden zbędny dzień. Odwrócił się i spojrzał na zebranych.

- Mogą być Alpy. Szwajcarzy mają tam sieci wydrążonych w górach miast. Osobiście wolałbym inne wyjście.

- Dlaczego? - zapytał Karol.

- Za małe góry. To po pierwsze. Za małe terytorialnie. Mogą być przepelnione, to po drugie. Trzeci powód, najważniejszy: to wyjście zmusiłoby nas do życia w jaskiniach. Nie wyobrażam sobie skutków takiej egzystencji. To oznacza kilka pokoleń bez świeżego powietrza i światła. Skutki będą równie nieobliczalne jak pozostanie tutaj. To oznacza degradację kolejnych pokoleń, niewykluczone, że po prostu wyrok z opóźnionym wykonaniem.

Zamilkł. Zaakceptowali jego argumenty bez słów.

- Ile nas będzie razem? - zapytał jeden i przybyłych z Karolem mężczyzn.

- Trzeba dać znać enklawie profesora Selenga. On też pójdzie z nami - powiedział Walath. - No i trzeba liczyć, że po drodze na pewno dołączą do nas i inni. Jak to zwykle bywa. Spojrzał na Hornica znacząco i w jego wzroku była odpowiedź.

- Tybet - powiedział głośno Hornic.

- Razem około trzydziestu osób, licząc i dziećmi - powiedział Karol.

- To mało. Znasz drogę Teodorze?

- Mało i niemało. Mniejszym grupom jest łatwiej prześlizgiwać się. Mam na mapach projekty tras karawan, które poszły tam przed laty. Prowadzą najczęściej granicą Kaukazu i Elbrusu, południową stroną Hindukuszu, potem przez Pamir, na północ od Chotanu. To miasto jest podobno częściowo zamieszkałe. Mapy mam w bazie. Nigdy ich nie zabieram ze sobą.

- To oznacza co najmniej tydzień - powiedział Walath. - Zresztą i tak nie zdążymy się przygotować. Do tego doliczmy czas dla Karola i Selenga. Przynajmniej miesiąc. Ty Teodorze musisz czekać na Jeffersona.

- Tak, przylatuje za dwa tygodnie. Jeżeli będzie o czasie, będzie nam mógł w czymś pomóc - zawahał się - jeżeli nic się wokół niego nie wydarzyło...

- Właśnie - wtrącił Walath - mówiłeś, że przyleciał dużą maszyną. Może będzie korzystnie osiedlić się w południowej Kanadzie, na Alasce. Co wiesz o tych rejonach.

- Też myślałem o tym i rozmawiałem z nim o takiej ewentualności - odparł Hornic - ale u nich to też tylko kwestia czasu. O ile wiem, to wszyscy szukają teraz lotnisk na obrzeżach Himalajów. Tak w ogóle, to nie jestem w stanie przewidzieć, co po sześciu miesiącach pozostało w niezmiennym kształcie, a co już jest nieaktualne. Myślę, że powinniśmy liczyć przede wszystkim na własne siły. Marsz pieszy, jak długo się da przy wsparciu wozu.

- Ile czasu może zająć? - zapytał Karol.

- Rok - Hornic spojrzał jeszcze raz do wnętrza boksu. - Rok! I bez zwierząt. Już są bezużyteczne!

Chciał się podrapać po brodzie, ale zorientował się, że jej nie ma. Naraz mu jej zabrakło, kiedy poczuł na policzkach swoją mokrą dłoń. Mokrą od potu.

Nie działał systematycznie. Każdy poprzedni powrót rozpoczynał obchodem i zorientowaniem się w zmianach zaszłych pod jego nieobecność w otoczeniu Bazy. Witał tę okolicę z pewnym wzruszeniem. Wydała mu się inna, ale wiedział, że to ona się zmieniła. Witał ją ostatni raz! Transporter pozostawił dwieście metrów od zagrody. Wolno otworzył drzwi do domu. Stał jakiś czas na progu. Chłodnymi oczami lustrował wnętrze. Wyglądało na to, że nic się tu nie działo od miesiący. Na wiszących na ścianie trofeach między wiszącym zegarem, a reprodukcją obrazu kwiatów van Gogha pracowicie rozpiął gęstą sieć pająk. Odwrócił się na progu i poszedł w stronę pasa startowego. Zatrzymał się na jego krawędzi.

Pojedyncze ptaki o rozłożystych skrzydłach żeglowały wolnym, majestatycznym, ślizgowym lotem nad osią betonowej płaszczyzny. Jak żywe puchoskrzydłe samoloty, które nie mają chęci lądować. Rozgrzewany od trzynastu lat słońcem pas niezależnie od „pory roku” podgrzewał sobą powietrze, które kilometrową ścianą utworzyło naturalny komin wstępujący. Z lewej strony płyta kończyła się w odległości trzystu metrów niską, karczowaną specjalnie co jakiś czas roślinnością. Po prawej, w odległości niespełna kilometra, bieleły zabudowania. Jeffersona nie było. Świadczyły o tym gałęzie i liście zaścielające równomiernie powierzchnię pasa. Niektóre zdążyły już zbutwieć i zgnić, tworząc lepkie rozlane plamy pozbawione koloru. Od nich zaczął. Dwie godziny po powrocie uruchomił gazik, doczepił pług szczotkowy i przemierzył jeszcze tego samego dnia pas czterokrotnie, zgarniając zanieczyszczenia poza jego krawędź. Obiadokolację zjadł na zimno. Czas gonił, czuł ten upływ niemal wyczuwalnie.

W drugim dniu przystąpił do kompletowania przedmiotów do wywiezienia. Pierwsza lista, jaką sporządził poszła do kosza. Nie miała końca, a każda pozycja wydawała się niezbędna. Druga, choć o wiele krótsza, też okazała się niemożliwa do zrealizowania. Skrócił ją do połowy. Z tego, co pozostało, wybrał najniezbędniejsze. Utworzyły w hangarze na posadzce stertę wysokości transportera. Zdemontował urządzenie wnętrza pojazdu opancerzonego, traktując je dość bezceremonialnie. Wyrzucił po prostu przez otwory wjazdowe na zewnątrz. Zastanowił się tylko nad konsolą komputera. W końcu i ona podzieliła los pozostałego wyposażenia. Gorzej poszło z opancerzeniem wewnętrznych ścian i pozostałych po urządzeniach wspornikach. Nie bawiąc się w żmudny demontaż odpalił je po prostu, a wystające kikuty zeszlifował szlifierką turbinową.

Dwa dni trwało pakowanie. Czas podczas jego nieobecności poczynił szkody. Na samym początku spalił się silnik wyciągarki stropowej w hangarze i Hornic stracił kilka godzin na zastąpienie go nowym, przyniesionym z magazynu. Trzeciego wieczoru, podczas kolacji, wrócił niespodziewanie pies. Stał w progu chaty i na chwilę zastygł nieruchomo, a z gardła wydobyło się warczenie. Nie poznał Hornica. Dopiero gdy człowiek zawołał, zwierzę rzuciło się na powitanie, obalając go niemal na podłogę. Klepaniu, targaniu za sierść z jednej strony, a lizaniu i skowytaniu z drugiej nie było końca. Dopiero tłuste kawałki wędzonego mięsa zamknęły powitalną uroczystość. Przed snem wyjął z szuflady okrągłe aluminiowe pudełko z rolką magnetycznej taśmy. Tej samej, którą dostał od Watzingera. „Jeżeli nie zrezygnujesz z zadawania pytań do końca, a myślę, że nie zrezygnujesz, bo jesteś Wielkim Łowcą, znajdziesz pełną i ostateczną odpowiedź”. Stary człowiek we mgle, twór w oczach Hornica ciągle żywy, miał rację. O ile zdobycie Kasandry spełniło się, o tyle nie uregulował jeszcze jednego pokładu swojego życia i jego trzynastu lat. Nie wiedział o niej nic, oprócz tego, jakiej była produkcji. Nosił w sobie niedosyt jakiegoś spełnienia. Może informacji o Niej. Na pewno jednak czegoś, co pozwoliłoby o Niej zapomnieć. A wciąż nie mógł. Pokonana, wracała w snach. Podświadomość szeptała „to nie wszystko?” Zniszcz ją moralnie. Zniszcz ją w sobie.

O sto z górą kilometrów stąd czekała osoba, która nagle z dnia na dzień stała się Antykasandrą. Tak ją nazwał w myślach. Antykasandrą osobistego wymiaru. Każde wspomnienie tej pierwszej, żelaznej, zaciemniało obraz drugiej. Dlatego trzeba ją było zniszczyć. Rola taśmy na szpuli miała ponadto moc magiczną, przyciągała i nie pozwalała się odłożyć nie rozszyfrowana.

Wieczorem pojechał do hangaru i zszedł po krętych schodkach do stacji komputerów. Odczytał taśmę i pół dnia z bijącym sercem zmagał się z maszyną i swoimi możliwościami. Najbardziej prawdopodobny tekst po translacji brzmiał:

„Trojańska wyrocznia otrzymała prezent. Kiedy słońce zajdzie, moc na niebie plus 82810. Prezent zostanie odesłany wiernej 32435. Adresat nieznany. Pozdrowienie dla pana boga od 39 973”.

Zatrzymał się nad ostatnim wierszem, „pana boga” było z małych liter, choć głowica pisząca zastosowała w pozostałych partiach tekstu duże litery zgodnie z pisownią. Wyszedł na górę z rozczarowaniem. Pod okapem budynku zatrzymał się jeszcze raz i zamyślił nad wyrwaną z wałka kartką papieru. Tekst wydawał się coś mówić, poza literami, ale nie umiał tego odebrać. Żółte żeliwne kolumnienki dystrybutorów paliw wytrzeszczające w milczeniu kuliste szklane ślepia liczników stały w milczeniu jak żołnierze zastygli w pozycji na „bacność”. Było ich sześć. Każda czatowała przy swoim zbiorniku. Dwie pierwsze miały zielone paski na obwodzie. Liczniki zbiorników i ropą, z których korzystał od lat. Każdy o pojemności 10 000 metrów sześciennych. W dwóch kolejnych, i czerwonym pasem, benzyna 98-oktanowa. Używał jej niewiele. - Dwa ostatnie nie przedstawiały ładnej dla niego wartości. Zakurzone mocno niebieskimi otokami wskazywały poziom paliwa, lotniczego o najwyższej czystości. Tui po kataklizmie zrobił na nim kilka lotów śmigłowcem. Potem tylko pojedyncze samoloty tankowały po kilkadziesiąt metrów sześciennych. Kropla w morzu możliwości. Zbiorniki musiały mieć wielokomorowe wnętrza. Zawierały dwieście tysięcy metrów kubicznych, przygotowanych na wielką Wojnę i nigdy nie użytych. Przetarł szybę ręką i uśmiechnął się gorzko.

- Żegnamy się jak dobrzy znajomi - powiedział głośno. - Jeszcze się przydadcie. Ten pan nazywa się Jefferson. Weźmie wam kilka wiader. Nie na wojnę.

Wieczór zastał go pod ulubionym drzewem, na ulubionym leżaku. Niedziela była dopiero nazajutrz, ale postanowił pożegnać się ze swoimi wspomnieniami jeszcze tego wieczoru. Czerwony, krwisty zachód słońca, przymglony chmurzastymi powłokami nad widnokrzem, stał się pretekstem do intymnego toastu. Za przyszłość, za lata nadchodzące, które, być może, przyjdzie przeżyć bez dotychczasowego obsesyjnego niepokoju Pił wino z jednej szklanki, a z drugiej dawał psu, który chęptał słodkawy płyn chciwie. Zasnęli, człowiek i zwierzę, nie ruszając się z miejsc. Noc przyszła chłodna, ale cicha i miękka jak wata. Po raz pierwszy od tygodni Hornicowi znów nie śniło się nic.

Rano zepsuł się gramofon. Hornic słuchał właśnie arii torreadora z „Carmen” Bizeta. Nie przerwał toalety. „Cóż. I tak firma Sony byłaby z ciebie dumna” - pomyślał. Dzień wstał w mglistych barwach burej, nieruchomej zieleni. Jak zwykle jesienią. Zmarznięty wypił gorącą kawę czując z przyjemnością rozchodzące się po ciele ciepło. Poczł się jakiś uroczysty i lekki. Pomyślał, że właśnie w tym dniu powinien przylecieć Jefferson. Przed schodkami do stacji komputerowej zawahał się, ale pomyślał, że nie zejdzie.

Łamiąc pierwszy raz kanon świętowania podtoczył do dystrybutora cysterne na kołach i zaczął ją napełniać. Chwilę później pompka tłocząca zaczęła głośno warczeć. Zaniepokoił się, że odmówi posłuszeństwa. Od powrotu wszystko się sypało. Nie omylił się i tym razem, w połowie napełniania stanęła ostatecznie. Wymontował drugą z dystrybutora paliwa lotniczego. Przy okazji stwierdził, że i ten prawem serii się rozjechał. Strzałka była przesunięta, choć sprzężony z nią bębenek nie obrócił się ani o milimetr. Na tej pompce dokończył napełnianie. Zwinął starannie przewód i zasunął włązy pod dystrybutorem, spod którego ją wymontował.

Wycierając pakułami ręce popatrzył na kolumnienkę... i przerwał wycieranie rąk. Ścisnął pęk szmat i przetał nim szybę, za którą był licznik. Zrobił to machinalnie, odruchowo. Strzałka zepsutego wskaźnika była znów przesunięta. Minimalnie, ale wyraźnie. Zbliżył twarz do szklanej powierzchni i patrzył nieruchomo. Reakcja przysła szybciej niż myśl. Jeszcze nie zrozumiał dlaczego go to zaintrygowało, kiedy poczuł ucisk w uszach. To był stres, który działał za sprawą inżynierskiego instynktu. W tej awarii było coś nie tak, jak bywa przy awarii. Coś, czego tylko absolutny laik mógł nie zauważyć.

Paliwa ubyło! Jedna działka pod grubą jak palec wskazówką oznaczała dziesięć tysięcy metrów sześciennych! Wskazówka przesunęła się o pół grubości. O nieco mniej niż półtorej działki. To oznaczało... 5 000 metrów sześciennych! Od nóg zaczęła go ogarniać dziwna słabość, w miarę jak mózg jasno pracował. Jeszcze odrzucał to, co wyliczył. Powoli, czując jak lekkie omdlenie obejmuje tors i ręce, obrócił samą głowę w kierunku drugiego dystrybutora. Mierzył go przez chwilę szklanym wzrokiem. Odepchnął się rękami od kolumnienki i zrobił kilka kroków. Spojrzał na tarczę wskaźnika i czarne płyty zawirowały mu w oczach. Strzałka stała... na zerze. Z dołu tarczy wyskoczył półokrągły czerwony języczek z drobnym napisem: „Zbiorniki puste. Nie napełniać przed zabezpieczeniem od wybuchu”. Pakuły wypadły mu z dłoni.

Jak pijany odepchnął się od dystrybutora i chwiejnym krokiem wyszedł na zalany słońcem plac. Kilkanaście kroków dalej opadł na kolana i dostał torsji. Podświadomość jeszcze się broniła. Odrzucał całym jestestwem to, co szalony umysł, ale nie szalony instynkt mówiły i utwierdzały w pewności. Doszedł do trawy, ukląkł i zamknął oczy. 15 000 kubików w dwie godziny! To oznaczało 90 000 w 12 godzin. Z drugiego dystrybutora ubyło około 15000. Razem 105000 metrów sześciennych! Za około 11 godzin drugi zbiornik będzie pusty. Zaraz, jak to było - myślał gorączkowo. - „Moc na niebie 82810”. Spojrzał na zegarek. „Czternaście godzin!”. „Kiedy słońce zajdzie...”

Teraz jest jedenasta minut siedem. Zachód słońca był około dziewiątej wieczorem. 82 810 przez 3 600, w przybliżeniu, to około 23 godziny.

- Zgadza, się - powiedział to głośno - o dziewiątej, kiedy wyjąłem pompkę, strzałka była jeszcze na swoim miejscu. Od wczoraj trwa opróżnianie zbiorników od chwili wczytania taśmy!! Z paliwa dla samolotów. Z paliwa używanego też... w rakietach. Podniósł głowę i spojrzł na zabudowania. Obrót sytuacji omal go nie zmiażdżył. Teraz zaczął budzić się w nim dawny Hornic. Twardy i zimny. Wstał. Nie czuł jak wiatr łopoce jego niedopiętą bluzą i wydusza z oczu resztki łez. Nie czuł nic. Modlił się i bluźnił na przemian. Tej, którą dopiero teraz czuł. Tak, jak bardzo czuł. Wszystkimi cząsteczkami żywego ciała. Każdą komórką, ścięgnem, nerwem. Teraz czuł to, co powinien czuć Wielki Łowca, kiedy czuje prawdziwą ofiarę choć jej jeszcze nie widzi.

- Zaskoczyłaś mnie, Kasandro! - powiedział, ale usłyszał tylko siebie.

- Zaskoczyłaś mnie tak, jak nikt mnie w życiu nie zaskoczył! Zakpiłaś ze mnie. Trzynaście lat byliśmy

razem, a Ty milczałaś. Trzydzieści lat tułałem się z narażeniem życia po Europie, żeby Cię znaleźć. Trzydzieści lat igrałaś ze mną. I widzisz, mały pasek magnetycznej tasiemki zdradził Cię! Wydał Cię ten mały magnetyczny konfident. Mnie, Hornicowi, Twojemu pogromcy!

Stał nadal nieruchomo jakby jeszcze na coś czekał, ale to oczekiwanie tylko zaostrzało zdumienie. Baza, najcichsze miejsce, jakie znał, kryło legendę świata. Kasandra była pod nim. Może pod chatą, pod zagrodą dla zwierząt. Może pod pasem startowym. Oswajał się z faktem, że dopiero teraz całkiem nieoczekiwanie przychodzi czas jego rozliczenia. Jeszcze dziwił się, że zrozumiał to tak od razu, choć wnioski oparte są jeszcze wciąż na spekulacjach i instynkcie. Nie umiał już myśleć inaczej. Nawet obudzony któryś zmysł zaczął chwilami widzieć przyszłość najbliższych dwóch, trzech sekund. I Hornic nagle przestał być już człowiekiem, który w świetle lampionów tańczył tango, rezygnując z hardości. Nie był już też bezradnym człowiekiem, który wiele lat temu w tym miejscu umierał ze strachu. Teraz, po trzynastu latach nagonki dojrzał jako Człowiek. Teraz odzyskiwał siły, czuł budzenie się zmysłów i przyzwyczajal na powrót do ich subtelnego, tajemniczego szeptu. Wraz z myśleniem w kategoriach walki, wróciło poczucie rzeczywistości.

Analizował chłodno. Zadanie było niewspółmierne do wszystkich dotychczasowych. Należało ocenić charakterystykę i parametry wyrzutni.

Wiedział, że ten ubytek paliwa oznaczał napełnianie Jej zbiorników. Znał stanowiska i samotankującymi cysternami elaboracji i startu. Tylko te wymiary! Największe potrzebowały kilkudziesięciu metrów sześciennych paliwa. Dwieście tysięcy było wartością wymykającą się wyobrażeniom. „Ile stanowisk musi to być” - myślał. - „Dlaczego nie ma ładnych śladów podziemnych pustek” Najśmielsze obliczenia oznaczały kilkadziesiąt kolosów po kilka tysięcy ton masy startowej każdy. Odrzucił ten wariant. Oznaczał on gigantyczne prace ziemne na miarę egipskich piramid. Tego nie dokonano by nawet w szczytowym okresie rozwiniętej cywilizacji. A cóż dopiero po jej rozpadzie”. Jedna rakietka? Balistyczny absurd. Nie dźwignęłaby swojej, masy. Poczł grozę zagadki Był jednak pewny, że Kasandra bierze to paliwo do startu. I nie był w stanie wyobrazić sobie jej rozwiązania technicznego. Pod wpływem niewiadomej zaczął czuć się bezradny. Słońce stało niemal w zenicie i paliło ostro w twarz. Wnętrze otwartego hangaru ziało ostro kontrastującą ciemnością wnętrza. Na podjeździe cysterna, obok szary gazik, jakby zamarłe, spizowe twory nagłe obce w formach, nie z tej ziemi. Odcień chwili poprzez kształt, koloryt i napięcie psychiczne wydały się Hornicowi jakby znajome. „Retrognicja?” - pomyślał. Znał to uczucie. Znał powtarzające się te dwie, trzy sekundy, w czasie których odnosił wrażenie, że daną sytuację już kiedyś przeżywał. Teraz właśnie wydało mu się nagle, że wrócił po którymś z zamkniętych torów czasu i znalazł się znów w tej samej chwili i miejscu. Pomyślał, że zaraz powie: „tylko spokojnie, Teodor” i zakręciło mu się w głowie.

- Tylko spokojnie, Teodor - powiedział głośno by się opanować. Potem wydało mu się, że zaraz usłyszy wysoki dźwięk brzęczyka. Kiedy tylko zejdzie w dół; gdzieś gdzie są kręte zimne schody. Ale nic nie nastąpiło, a całe ulotne przeżycie powtórzonej rzeczywistości pękło jak mydlana bańka. A przyszłość i przeszłość były zamknięte.

- Tylko spokojnie - powtórzył głośno, zęby siebie usłyszeć. - Nie daj się ponieść napięciu i omamom. Zaczni działac racjonalnie. Po pierwsze zejdz do komputera i wydobadz, co się tylko da.

Spojrzał na zegarek. Do opróżnienia drugiego zbiornika miał około ośmiu godzin, I niewiele mógł zrobić, by przejąc inicjatywę. Przypomniał sobie rozmowę z Jeffersonem i swoje słowa wypowiedziane w uniesieniu: „Ona nie istnieje, nawet gdyby istniała to nikt jej nie znajdzie) Rozumiesz, nikt! Ale się sama nie ujawni”. Minęło pół roku, a on pamiętał je, jakby zostały wypowiedziane przed godziną. Poszedł do stacji komputerów.

Kiedy schodził zinnymi, krętymi, betonowymi schodkami, usłyszał dobiegający zza grubych drzwi daleki brzęczyk! Zatrzymał się przed ich mozaikową powierzchnią. Pchnął, otwierając Je na całą szerokość, i patrzył długo na to, co się rozgrywało w środku. Sala tyk! Głośne brzęczenie dziesiątków

elektronicznych urządzeń ogłuszyło go niemal. Setki kontrolki mrugało wielokolorowymi podświetlonymi sygnalizatorami. Monitory pełne były znaków i kolumn cyfr. Wielkie bębny pamięci starego typu wirowały urywanymi ruchami, samoczynnie przewijane i odczytywane. Szeptało poświsem sprężone powietrze pneumatycznych poduszek dysków. Jakże dobrze znany Hornicowi dźwięk. Pracowały prawie wszystkie, a te odłączone ostatnim razem urządzenia peryferyjne i wyjątkiem drukarek, których nie używał.

Wszedł do środka. Poczł się jak wielki, nie proszony intruz. Chciał sięgnąć do pierwszego z brzegu pulpitu, ale nie zrobił tego. Ręka zwisała niezdecydowanie w powietrzu, Wyświetlane na monitorach odczyty nic mu nie mówiły, ani i niczym się nie kojarzyły. Tysiące cyfr w tysiącach kolumn i wierszy sztucznego, świecącego seledynu, weryfikowane niemal z szybkością wiązki kineskopowej, nie dawały szans na zatrzymanie na nich oka. Wolno, nie śpiesząc się, wyjął z wiszącej na pasie kabury pistolet i odbezpieczył go. Rozejrzał się po pomieszczeniu i znalazł miejsce, którego szukał. Beżowa, niewielka maskownica zasilacza elektrycznego. Uniósł i wyprostował dłoń. Wycelował szukając punktu, gdzie mieścił się transformator niskiego napięcia. Ściągnął jęczyczek spustu. Potem drugi raz i trzeci. Za każdym strzałem z obudowy sypał się grad odłamków i snop jaskrawych isker świadczących o celności trafień. Kiedy z otworów po kulach wypełził czarny dymek, a światło w pomieszczeniu zgasło ustępując poświacie padającej z korytarza, opuścił rękę. Z jęklivego pogłosu strzałów wydobył się znów szum maszyn pracujących bez najmniejszego zakłócenia. Pomyślał z zawodem, że jego ocena była słuszną. Kasandra nie potrzebowała zaopatrzenia w zewnętrzną energię! Miała własne, z pewnością znakomicie zabezpieczone, źródło energii. Test wykazał to bezwzględnie. Był też pewien, że poza tym jednym kablem elektrycznym, który zniszczył, nie było innego. Ani w sali, ani poza jej zewnętrznymi ścianami.

Zaklął i schował pistolet. Pobiegł na górę i wrócił po kwadransie ze skrzynią materiału detonującego. Wybuch nie był silny. Zniszczył jednak wszystko oprócz pancernych drzwi. Podłoga zaścieniona była piaskiem odłamków i pokruszonych na miał urządzeń. Brodził w tych odłamkach chwilę, aż panujący zaduch zmusił go do ucieczki na górę. Gdzieś w głębi nie miał wcale pewności, że przerwał odliczanie. Na odpowiedź trzeba było poczekać kilka godzin. Strzałka dystrybutora przesuwiała się zbyt wolno, by to zauważyć od razu. Kolbą pistoletu stłukł po kilku silnych uderzeniach osłonę tarczy licznika i zrobił na wprost strzałki cienką kreseczką. Potem podczepił cysterne do gazika i z trudem, na pierwszym biegu zaciągnął ją pod chatę, gdzie stał już transporter.

Zszedł do piwnicy i otworzył wino. Wypił kilka łyków i wrócił pod hangar. Tam przełożył na powrót wymontowaną pompę paliwa do dystrybutora i w ciągu godziny napełnił lotniczym paliwem drugą cysterne. Wyciągnął ją samochodem na zewnątrz i wrócił do stacji paliw. Przyłgnął czołem do żeliwnej obudowy licznika wpatrując się z bliska w tarczę. Kreska na białej powierzchni nie pokrywała się już z końcem wskazówki. Zacisnął pięści. Zniszczenie centrum liczącego nie miało wpływu na uruchomioną przez Hornica procedurę startową. Przybity, ale nie rozczarowany tym odkryciem, odholował cysterne na pobocze pasa do połowy jego długości, gdzie znajdowała się odnoga betonowej wstęgi przeznaczona do postoju samolotu. Potem wrócił do chaty i zabrał z piwnicy puszkę białej olejnej farby i dwa średniej wielkości pędzle. Łyknął znów wina i podjechał pod cysterne tak, by stojąc w samochodzie mógł sięgnąć jej bocznej powierzchni. Brudząc ręce namalował po francusku na jej zielono-brunatnym łaciatym panczerzu duży napis: „Paliwo dla ciebie Jefferson, Pełna objętość”. Zegarek wskazywał godzinę piętnastą minut siedem.

Myślał o Karii. Siedział w leżaku, oddalony o dziesięć kroków od samochodu wypełnionego sprzętem. Transporter wypruty z całej elektroniczno-bojowej zawartości, zwykły ciężki pojazd, z odpaloną brutalnie palnikiem wyciągarką, był równie bezużyteczny co gazik. Widzisz Kari - myślał - mówiłaś, że szczęście to taka prosta rzecz. Trzyście lat pilnowałem jak oka w głowie wszystkich urządzeń, a zniszczyłem je na kilka godzin przed tą najważniejszą chwilą. Przeszkodził nam ludzie. Chcą nas zniszczyć nawet po swojej śmierci. Tak było zawsze! Tylko Adamowi i Ewie nie zagrażali. Mówiłaś,

że to było dobro pierworodne. A grzech był w drugim pokoleniu. Pomyśl, tysiące ludzi stawało na głowie by nam przeszkodzić. Teraz musimy być silniejsi od nich. Znowu muszę być silniejszy. Jeszcze ten jeden raz... Ale wyrównam rachunek”. Wcześniej policzył czasy. „Prezent zostanie odesłany wiernej 32 435”. Po podzieleniu oznaczało to niemal dziewięć godzin. To znaczy szóstą rano. „Pozdrowienia dla pana boga 39973”. Jedenaście godzin i sześć minut. Zatem godzina siedemnasta. Usiłował sobie przypomnieć, o której Bóg stworzył Ziemię, ale nie umiał. Nalał sobie do szklanki na dwa palce wina i delikatnie, bardziej smakując niż pijąc, chłonał jego aromat i wytrawną cierpkość na podniebieniu. To wino było najlepsze ze wszystkich, jakie miał. Ponad dwadzieścia lat leżało w jednej z trzech butelek. Wiklinowy koszyczek oplatający butelkę polewał co chwilę wodą z wiaderka, by poprzez jej parowanie utrzymać właściwą temperaturę zawartości.

Wilczur leżał w nogach z łbem na przednich łapach i przymrużywszy ślepią dyszał ciężko mimo cienia, jaki rzucała korona drzewa. Hornic myślał znowu o spotkaniu ze starcem-zjawą. Nie usiłował już, jak wiele razy dotąd, zrozumieć fenomenu wydarzeń, kolażu surowej i trzeźwej rzeczywistości z wkomponowanymi irracjonalną ręką losu fragmentami utopijnego, symbolicznego czasu i przeznaczenia. Nie wierzył w nie, ale i nie zwalczał w sobie tej filozoficznej koncepcji życia. Druga połowa jego egzystencji obaliła je, zadając kłam wszystkim i niemal każdej z osobna. Nauka zginęła wraz z jej twórcami, a on przekonał się, że poza wiarą w naukowe dogmaty nic nie było. Umiejętności, jakie posiadał, stały się nieważne ze światopoglądowego, a wkrótce i praktycznego punktu widzenia. Nie były ważne i nie były już potrzebne w tym świecie. „Jeżeli nie zrezygnujesz z zadawania pytań do samego końca, a myślę, że nie zrezygnujesz, bo jesteś Wielkim Łowcą, znajdziesz pełną i ostateczną odpowiedź... „. Hornic nie czuł śmierci. Dziwiło go to trochę, bo myślał, że tak jak wielu ludzi będzie czuł jej nadejście. Wytłumaczył sobie, że być może coś jeszcze przed odpałem się wydarzy. Może coś, na co będzie mógł mieć wpływ.

O godzinie siódmej wieczorem zjadł kolację i nakarmił psa. Potem pozmywał naczynia i poukładał je pedantycznie na swoich miejscach, z myślą o tych, którzy tu kiedyś zabłądzą, jeżeli będą żyć. O ósmej wziął prysznic ze zbiornika na poddaszu i poczuł się dużo lepiej. Przebrał się w swoje stare ubranie: drelichowe zielone spodnie i kurtkę z tygrysiej skóry. Rozczarował się. Nie poczuł się już taki sam. Nie był już tym samym człowiekiem. Krótco ostrzyżony i bez zarostu, o innym wnętrzu, był innym Łowcą.

Wiedział, że Jefferson tego dnia już nie przyleci. Słońce zachodziło nad drzewami, kładąc się smugami refleksów na samotnym, ulubionym drzewie i dalekich punktach zabudowań. Było cicho i spokojnie jak zwykle. Może dzięki tej właśnie ciszy, dobiegł go naraz obcy dźwięk. Wypadł z domu na zewnątrz i spojrzał na zegarek. Dwudziesta dwadzieścia trzy. Serce zabiło mu gwałtownie. „Jefferson!”. Daleki basowy grzmot odrzutowych silników niósł się wyraźnie po ziemi. „Pas!?” - krzyknął w myślach i pobiegł do budki z generatorem. Szarpnął za linkę rozrusznika i pociągnął. Raz, drugi, trzeci. Silnik prychnął i zaskoczył. Strzałki na tarczach licznika napięcia i energii drgnęły i ruszyły z wolna wokół osi obrotu. Dotarły do czerwonych kresek. Ujął jednocześnie dłońmi dwie manetki włączników i ściągnął w dół. Po obu stronach pasa startowego zapłonęły dwa szeregi świateł sygnalizacyjnych. Przełączył trzecią i dalekie zabudowania rozjarzyły się rojami czerwonych punktów ostrzegawczych.

Wybiegł na zewnątrz i rozejrzał się po czystym niebie. Samolotu nie było jeszcze widać. Czekał! Mijały minuty, w czasie których powietrze wypełniał warkot generatora. Po dziesięciu minutach był u szczytu napięcia. Zawrócił. Wyłączył oświetlenie pasa i zamknął dopływ paliwa do silnika. Kiedy wyszedł na zewnątrz znów usłyszał bas odrzutowych silników. Świadomość omyłki spadła jak grom z Jasnego nieba. Dźwięk szedł od zabudowań! Wskoczył do gazika i boksując kołami trawę wyjechał z rozpędem na płytę. Z piskiem opon zakręcił i ze wskazówką szybkościomierza drgającą na cyfrze 70, popędził wprost na hangar. W odległości pół kilometra huk powietrza zagłuszył warkot silnika.

Z poślizgiem wyhamował na placu przed bramą hangaru. Nakrywający ziemię grzmot pochodził z dachu. Wpadł do klatki schodowej i żelaznymi krętymi schodami dotarł do poziomej stalowej kłapy

zamykającej wyjście na dach. Z wysiłkiem uniósł ją na plecach i odwalił na zewnątrz. Nie wyszedł od razu. Rozejrzał się wokoło. Potem, kiedy Już stanął na górze, chodził wolno z otwartymi ustami, zaciskając do bólu dłoń na uszach, bo grzmot był nie do wytrzymania. To były wywietrzniki. Stalowe kosze zwieńczone stalowymi kapturami. Kasandra brała powietrze! Szybami grawitacyjnej, jak do tej pory mu się wydawało, wentylacji. Betonowy dach drżał i wibrował pod nogami. Hornic nie wierzył Jeszcze, że kominy wywiewne były w rzeczywistości dyszami wlotowymi, wiodącymi widocznie gdzieś głębiej.

Usiłował przypomnieć sobie znane mu systemy sprężarek zasysających, które byłyby zdolne do takiej wydajności. Ale wydawało mu się, że takich nigdy nie było. Tutaj musiały działać turbiny wielkich mocy. Spotykał takie dwadzieścia lat temu na wyrzutniach rakiet kosmicznych. Służyły do udrażniania i przedmuchu kanałów gazowych podczas startu. Policzył te kanały ssania, od lat imitujące stalowe wywietrzniki. Naliczył osiem. Przez chwilę pomyślał żeby je zniszczyć, ale zaraz tę myśl odrzucił. Wydała mu się bezsensowna. Samo zbliżenie do krat groziło przyssaniem i natychmiastową śmiercią przez zmiżdżenie. Zresztą te turbiny, które pamiętał, miały cyklony z wirującymi bębniami odławiającymi odśrodkowo na drodze powietrza nawet betonowe kęsy i cegły. Budowniczowie Kasandry musieli i taką ewentualność przewidzieć.

Zszedł, a właściwie uciekł na dół, bo wnętrza nie wytrzymały już wibracji. Głuchnąc, z trudem zamknął klapę. Na dole, w hali, ochłonął trochę. Popatrzył na zegarek. Mając przekrój kanału wlotowego, wydajności turbin, jakie pamiętał i czas pracy, mógł w przybliżeniu oszacować hipotetyczną ilość powietrza, jaka jest gromadzona gdzieś w głębi ziemi. Wsiadł do gazika i odjechał na kilkaset metrów i znów zaczął walczyć z nadchodzącym lękiem. Do dwustu tysięcy metrów sześciennych paliwa dochodziły teraz miliony metrów powietrza. „Do czego?” - myślał i czuł obezwładniające go uczucie bezsilności! „Do czego potrzeba Jej aż tyle?”

O dwudziestej drugiej nie wytrzymał nerwowo i uciekł do swoich zabudowań, bo pobór powietrza trwał. Uciekł jak przed laty, gdy ziemia pływała niczym rozkołysany ocean. W głównej izbie, po ciemku, usiadł pod zamkniętymi drzwiami na podłodze i długo dyszał uspokajając się wolno. Zapalił lampę naftową i nalał sobie wina. Wypił jednym przechyleniem szklanekę i otarł usta dłonią. Bezwiednie zatrzymał wzrok nad cieniem drzwi do kuchni, gdzie na skórze tygrysa zawiesił ostatnie trofeum: końcówkę chemicznej, którą wziął za Kasandrę. Powiesił ją tam specjalnie, by w tej oprawie z fasonem zaprezentować ją Jeffersonowi. Targnął nim śmiech. Śmiał się z siebie. „Wielki Łowca!?! - kpił „Pogromca Kasandry!”. Teraz, tutaj, w nocy pije wino, żeby oszukać strach, kiedy przez uchylone okno nadal dobiega dźwięk, od którego skóra pokrywa się skorupą lęku. „Gdyby mnie teraz zobaczyła Karła, Robert, Kira, Yves, Karol... „,

- Zaraz - powiedział głośno. - Oni muszą o tym wiedzieć.

Poszedł do drugiego pokoju, gdzie był radionadajnik. Zdjął pokrowce i zawahał się. Nadawać jeszcze nie musiał, ale wobec nadchodzącej ostateczności, z godziny na godzinę groźba użycia radiowych fal mogła przestać mieć swój wymiar światowego niebezpieczeństwa wobec faktu, który już trwa. Faktu najgorszego z najgorszych. Zmontował antenę i przygotował aparat do pracy. Do rana przesiedział w samochodzie. Zdrzemnął się nawet krótko przed świtem na kierownicy. Zbudził się nagle, gdy słońce wisiało już nisko nad pasem startowym, rażąc ostrymi promieniami oczy. Przysłonił je dłonią i wyprostował się. Coś się zmieniło. Przez chwilę nie wiedział co, ale zaraz zrozumiał. Ucichł monotony bas sprężanego powietrza. Pobór powietrza dobiegł końca. Spojrzał na zegarek. Była piąta minut czternaście. „Dziewięć godzin!?! - pomyślał. „Prezent zostanie odesłany wiernej 32 435!”.

Wysiadł z gazika i poszedł do izby, gdzie w szufladzie leżał mikrokomputer z solarno-akumulacyjnym zasilaniem. Wyjął go z pokrowca i wyszedł na dwór. Z grzbietu wyciągnął na całą długość słoneczną baterię i skierował jej fotoogniwa prostopadle do promieni biegnących od białej odwiecznej tarczy, pnącej się szybko w górę po błękitnym niebie. Ciche ćwierkanie sygnału oznajmiło o naładowaniu

akumulatora. Schował fotoogniwo i zakodował wzór na masę powietrza. Wprowadził dane i odczytał wynik. Przymknął oczy i porównał z masą powietrza, o jakiej kiedyś mówił były górnik, Walath. Rozmawiali wtedy o ilościach powietrza potrzebnych do jednorazowej wymiany w całej kopalni. Podzielił przez tę wartość i odczytał krotność.

„Co oni zbudowali?” - to pytanie znów wypchnęło wszystkie myśli poza świadomość chwili.

Dochodziła szósta trzy.

- Trzymaj się Hornic - powiedział do siebie głośno. - Jesteś dzieckiem szczęścia. Teraz musisz temu szczęściu pomóc.

Opanował się. Wziął prysznic i ogolił się.

Zrobił duże, gorące śniadanie i poczuł się dużo lepiej. Zaspokojony zmysł łaknienia uspokoił myśli na tyle, że pomyślał o Karii i pozostałych mieszkańcach osady. Wiedział, że ma jeszcze ponad dziesięć godzin. Czuł, że zanim nastąpi to, co ma być, nie wydarzy się nic. „Znowu instynkt?” - zdziwił się. Poszukał wzrokiem psa. Leżał na progu. Przewalił się leniwie na bok i wodził ślepiami, zamykając je od czasu do czasu. „Co się teraz z nią dzieje?”. Kolejny etap elaboracji przebiegał bez zewnętrznego manifestowania.

Hornic zszedł do piwnicy, zdjął z haka duży płat suszonego mięsa z kością i dał psu. Potem wziął lornetkę i usiadł w leżaku przed domem tak, by mieć w zasięgu wzroku całą dolinę z pasem, dalekimi zabudowaniami i jeszcze dalszymi krawędziami lasów po drugiej jej stronie. Do południa nic się, nie wydarzyło, choć mocno czuł, że to, co nastąpi, jest nieuniknione. Od czasu do czasu lustrował okolicę zatrzymując wzrok są każdym razem na moment na którymś z jej charakterystycznych punktów. O trzynastej zjadł obiad składający się i gotowanego, uwędzonego wcześniej mięsa, wykopanych w ogrodzie jarzyn i zerwanych z drzew owoców. Niewiele tych ostatnich zostało, bo podczas jego nieobecności prawie wszystkie zjadły ptaki. Popił obiad mocną herbatą i usiadł znów na swoim miejscu.

Niebo zasnuło się rzadką oponą mlecznobiałych chmur - wczesną oznaką zbierającej się burzy. Wilgotność powietrza zaczęła się wyraźnie podnosić. Spod nakrycia głowy zaczęły Hornicowi spływać strużki potu. Spod przymkniętych powiek popatrzył w kierunku hangaru. Ten unosił się nad ziemią. Gorące powietrze oddzieliło go od ziemi i uniosło w górę. Optyczna poduszka iskrzyła się unosząc na sobie także obraz lasu. Czekał w bezruchu na Jeffersona. I coraz mniej wierzył, że ten zdąży. Długie czekanie czuł całym ciałem i wiedział, że jest tak nieuniknione jak - myślał - „nieuniknione jest życie i śmierć”. Pół do trzeciej leżący do tej pory nieruchomo pies zerwał się nagle i zaczął niespokojnie biegać wokół Hornica. Trwało to około dziewięciu minut. Potem wilczur podbiegł do niego i zaczął lizać jego rękę. Hornic spojrzał mu w ślepia i pogłaskał po łbie.

- Co piesku - powiedział - dobijamy do celu?

W chwilę później pies zaskomlał, podwinął ogon i pobiegł w stronę lasu. Człowiek odprowadził go lekko zdziwionym wzrokiem. Pomyślał, że już nie wróci. Parę minut po trzeciej zaczął cichnąć las. Hornic niemal siłą zmusił siebie do pozostania na miejscu. Umilkły zwierzęta, zniknęły gdzieś ptaki. Pozazdrościł im. Pomyślał, że dałby teraz wiele, żeby wiedzieć to, co one teraz wiedzą i czuć ich zmysłami. Najmniejszy dźwięk nie dochodził już nawet z daleka. Zielone, żywe piekło nagle stało się martwą, zastygłą w bezruchu atrapą. Zieleń stała się już tylko pomnikiem wykonanym ze spiżu. Życie odeszło nagle, w ciągu kilkunastu minut. „Jak to możliwe?”. Pytanie powtarzane od poprzedniego dnia wiele razy, nagle wydało mu się zużyte.

Punktualnie o siedemnastej przebrał się w wojskowy kombinezon. Tygrysią kurtę zawiesił na kołku w głównej izbie. Zamknął dobrze drzwi i zaryglował żelazną sztabą. Obszedł dom sprawdzając okiennice. Usiadł za kierownicą wozu. Przyniesiona z domu radiostacja i akumulator leżały na tylnych siedzeniach. Podręczny sprzęt był na prawym siedzeniu i podłodze. Jeszcze nie wiedział co robić, nie chciał jednak zostać zaskoczonym w domu. Jakieś ulotne instynktowne podświadome refleksy myśli i odczuć błąkały się po jego głowie, gdzieś zdążając, coś szepcząc. Słuchał ich, ale znów nie mógł odczytać. Wydawało

mu się chwilami, że one mu pomogą, ostrzegą przed czymś, ale nie czuł zwykłej do nich ufności. Kilkakrotnie usiłował wsłuchać się w siebie, tak jak to robił przed każdym polowaniem. Za każdym razem jednak doznawał zupełnie nieznanego odczucia lęku. Było ono tak silne, że w końcu zaniechał tego.

O siedemnastej czternaście doznał znów retrognicji. Odczuł, że tu i teraz już kiedyś był. Zobaczył oczami powtórnego czasu, że włączył silnik i pojedzie pod hangar. „Dlaczego mam czekać tutaj?” - pomyślał pod wpływem tego wrażenia i zdziwił się, że nie zadał sobie tego pytania wcześniej, Przekręcił kluczyk w stacyjce i zapalił. Wrzucił bieg i wyjechał na pas. „A więc jednak? - skonstatował półgłosem. O siedemnastej dwadzieścia sześć na placu przed bramą zapalił światła samochodu, bo opona nisko wiszących chmur sprawiła, że zrobiło się ciemno. Stał na progu hangaru i rozejrzał się.

Helikopter stał w jednym rogu, obok dwa transportery opancerzone, dwie cysterny, elementy kratownicowych konstrukcji. Żadnych zmian. Żadnego nowego przejawu aktywności. Ale coś się działo. Poczł na plecach czyjś wzrok. Odwrócił się gwałtownie. Nic. Dwa snopy światła raziły trochę w oczy ale nie na tyle, by nie mógł stwierdzić, że nie ma nikogo. Mimo tego odczucie czyjegoś wzroku na sobie nie ustąpiło. Jakąś obecność wyraźnie wyczuwał. Stał nogami na rowku, na którym jeździły kółka bramowych wrót hangaru, na wprost samochodowych reflektorów, w samym centrum strumienia światła. Na dworze pociemniało jeszcze bardziej, ale burza nie nadchodziła. Panująca cisza zaczęła kłuć w uszach. Wolno podniósł rękę i zegarkiem. Czas obliczony na podstawie zapisu magnetycznego taśmy upłynął. „Pozdrowienia dla pana boga” - pomyślał:

- Czy tak wyglądał świat w chwili stworzenia? Cichy, ciemny i martwy? Naraz poczuł przyływ siły i pewności siebie. Jakieś wewnętrzne przesilenie, którąś z fali nerwowego kryzysu ubraną w szaty determinacji i emocjonalnej stabilności. Jakiś wewnętrzny głos szepnął: „Pokaż, że się nie boisz. Pokaż sobie i Jej. Przejmij psychiczną inicjatywę”.

- Hej ty! - krzyknął, a głos zwielokrotniony rezonansem betonowego pudła za plecami poniosł echem jak grzmot. Krew uderzyła mu do głowy. Wysunął do przodu szczękę i zmrużył oczy.

- Jestem Teodor Hornic! - krzyknął znów i przyszedłem do Ciebie! Słyszysz mnie... Kasandro! Zamarł i czekał aż zgaśnie ostatni podźwięk.

- Kasandro! Gdzie jesteś?! Pokaż mi się! Teraz! - krzyczał robiąc przerwy między słowami, głośniejsz niż przedtem, - Chyba, że się boisz!!!... boisz... boisz!

Poczł raczej niż usłyszał. Ziemia westchnęła i poniosła niski, na dolnej granicy słyszalności, infradźwiękowy jęk. Nie obrócił się, zmartwiały, patrzył szklanymi oczami przed siebie, a zza pleców, z wnętrza hangaru uderzyła rosnącym natężeniem lawina - morze liliowego światła. Uderzyło w samochód, przyćmiło jego reflektory i popłynęło kaskadami w przestrzeń. Ukośnymi słupami poprzez przeszkłone świetliki w ścianach, prostokątne snopy oświetliły oponę niskich chmur. Na tych skłębionych tumanach zobaczył swoją postać. Swój cień, w lekkim rozkroku, z rękami oddalonymi od ciała, kształt szerokich ramion, fałdy munduru na nogach i bokach. W tłą wielkiego prostokąta rozsuniętych bram hangaru. Spuścił wolno wzrok i spojrzł na nogi. Podeszwa butów stała na stalowej ryniencie wrót, obcasy wisiały w powietrzu. Między nimi, w perspektywie kilku metrów niżej, opadała posadzka hangaru. Leniwie, ruchem trwającym wieczność, czując niestabilność równowagi przestawił do przodu jedną nogę, potem drugą. Obrócił się i popatrzył w dół. Helikopter, transportery i cysterny przypominały z wysokości już tylko zabawki opadające w dół wraz z całym wnętrzem hangaru. Wewnętrzne jego ściany przechodziły gładko w lśniące gładzią i rzędami liliowych świateł, ściany otwierającego się gigantycznego szybu. Kilkanaście metrów niżej posadzka zaczęła odsłaniać wielkie, malowane na betonie litery w czarnych obrysach, krojem przypominającym mu oznakowanie wojskowych obiektów. Odczytał napis: „Szyb IV - Nośność 1000 ton”.

Poziomymi pierścieniami co kilka metrów, za grubymi szybami, świeciły wciąż odsłaniające się potężne reflektory, liliową lawiną światła wypełniające otwierającą się przestrzeń. Kiedy posadzka była około 10 pięter niżej, odsłoniła drugą wielką strzałkę na przeciwległej ścianie. Tuż pod nią opadanie

ustało. Wychylił się i zlustrował wszystkie ściany. Były gładkie, tylko w prawym kącie za helikopterem dojrzał mały z tej wysokości prostokąt. Przyniósł z samochodu lornetkę. To była kwadratowa płyta o rozmiarach nie większych od metra. Posiadała za szklanym wziernikiem klawiaturę, szczelinę wyglądającą na gniazdo czytnika i kilka innych detali, które nic mu nie mówiły. Położył się na brzuchu i rękami sięgnął do czarnego pasa z nieznanego mu tworzywa obiegającego ścianę około trzydziestu centymetrów pod krawędzią szybu. To wyglądało na uszczelnienie. Wykonane tak znakomicie, że ani kropla wody nie mogła przez nie przepłynąć i zdradzić tym samym obecność podziemnej pustki. „Pustki?” Gdyby tam była, wiedziałby o tym. Krawędź szybu była nierówna, drobno postrzępiona. Łączenie zalane było betonem, który pękł, gdy posadzka zaczęła opadać.

Podniósł się, podszedł do samochodu by uruchomić radiostację. Kiedy zbliżył się do burty samochodu, poczuł elektryczne mrowienie. Oceniał to odkrycie natychmiast. Radiostacja była bezużyteczna. Delikatnie, nie dotykając wozu, dwoma palcami wziął z siedzenia rękawice. Dopiero przez nie wyjął z bagażnika skafander faradajowski, z wieszakiem stalową siatką. Założył i uziemił nogawki do butów. Sprzęt przeniósł daleko od samochodu. Wskazanie analizatora kwarcowego potwierdziło wstępne rozeznanie. Gdzieś w pobliżu pracował generator statystycznej elektryczności. Znał ten chwyt od dawna. Gdyby opadanie posadzki zaskoczyło go w środku hangaru, już by nie żył!

Poczuł się raźniej. Kasandra witała go typową pułapką. Zdecydował się, że podejmie tę grę natychmiast Wrócił do wozu, odstawił daleko nadajnik, po czym za konturem gazika włożył trzeci kombinezon z folii odbłaskowej. Jeżeli w dole pracowały detektory podczerwieni, to teraz stał się dla nich niewidoczny. Wygiął w specjalny sposób kluczyk do stacyjki i włożył go delikatnie do gniazda, patrząc jak z obudowy na klucz przeskakują zimnobłękitne elektryczne ogniki. Przewlókł przez ucho kluczyka koniec długiej, cienkiej linki. Spomiędzy rupieci wyjął puszkę z resztą białej farby i pędzel. Na płycie, z dala od samochodu przed hangarem napisał:

„Jefferson! To jest szyb Kasandry. Jestem w środku, Nie podchodź. Grozi śmiercią! Daj znać do enklawy, 131 km + 200, 132° 16' 09" NNE. Pomóż im, będą ciebie potrzebować. Jeżeli mnie nie będzie, weź wóz bojowy. Teodor Hornic”.

Obok wymalował duży krzyż, z jednym niedokończonym ramieniem, bo skończyła się farba. Odrzucił pustą puszkę i pędzel daleko od siebie. Wrócił do samochodu, odkręcił korek wlewu paliwa, położył go na siedzeniu i delikatnie rozwinął sznurek aż do krawędzi budynku. Schował się za nią. Wolno naprężył linkę, czekając aż pokona opór stacyjki. Głośna eksplozja targnęła powietrzem. Samochód podskoczył w fontannie ognia, i opadł, tonąc w płomieniach rozlanej gwałtownie zawartości baku. Patrzył chwilę jak pierwsza fala ognia opada i pożar kurczy się do palnych części wraku. Samochód przestał być niebezpieczny. Teraz nie zdejmując pokrowca z kombinezonu antystatycznego założył pasy operacyjne i zawiesił na nich sprzęt. Na plecy zarzucił płaską butlę tlenową o ciśnieniu 500 atmosfer, a na piersi mikrokomputer z wiązką czujników. Na pasie zawiesił narzędzia. Uda opasał i mocno ściągnął sprzączkami. Zatknął za nie broń, amunicję i materiały detonujące. Pod kolana założył ochraniacze z tytanowych łusek. Przedmuchał reduktory, założył maskę i sprawdził pedantycznie szczelność. To było wszystko. Nie! Dotknął kieszeni i wyczuł mały, okrągły kształt. Teraz dopiero uznał, że sprawdził wyposażenie do końca.

Krętymi schodami przybudówki wyszedł na dach hali. Dotarł do świetlika znajdującego się pod krawędzią okapu i założył materiał wybuchowy. Stłukł ampułki inicjujące i wetknął do kostki zapalnika. Położył się za wypukłością dachu i odczekał spokojnie, aż wybuch zdmuchnie konstrukcję świetlika. Przez wyrwę opuścił się po instalacji elektrycznej na szynę suwnicy. Dotarł do jej ramy i po grzbiecie, balansując nad czterdziestometrową przepaścią, dotarł do mechanizmu wyciągarki. Otworzył skrzynkę styczników i po krótkiej analizie pozamieniał łącza. Podciągnął linę i zaczepił się na jej końcu. Opuścił się na głębokość jej swobodnego zwisu. Spojrzał w górę, potem w stronę otwartych wrót hangaru. Ujął wiszący też luźno sterownik suwnicy. Rozebrał go i przebroił tak, by zaczepioną w jego obudowie linką

mógł go z dołu uruchomić przy ewentualnym powrocie. Dobrze nasmarowana, zwinięta na bębnie lina wyciągarki nie pozwoliłaby na wspięcie się siłą mięśni. Koniec linki puścił z ręki i popatrzył jak spada rozwijając się po drodze. Sięgnęła dna, trzepiąc spazmatycznym uderzeniem po betonie, aż zamarła w bezruchu.

Nacisnął przycisk opuszczenia i ruszył. Po drodze przyglądał się, uważnie ścianom i szeregom reflektorów za grubymi szybami. Bez sprawdzania długości fali liliowego światła wiedział, że emitowane jest idealnie monochromatycznie. To światło mogło być jeszcze widoczne z pokładu nisko lecącego samolotu, ale było już nieobecne dla bojowych satelitów rozpoznawczych. Wywnioskował z tego, że twórcy Kasandry nie bali się nalotów. Czyżby zatem istniała jakaś ochrona? Może ta rakietka, która wróciła go do życia przed trzynastu laty była wymierzona przeciw nadlatującemu wrogowi?

Stanął na dnie. Odpiął się i poszedł w stronę płyty z klawiaturą. Nie omylił się w oczekiwaniach. To był etap pośredni. Za szklaną płytą szczelnie wpasowaną w tablicę, znajdowała się głowica odczytująca i dwie osie z bębniami. Stłukł ją uderzeniem rękojeści klucza. Wyjął z kieszeni aluminiowe pudełko i otworzył. Zwój magnetycznej taśmy otrzymanej od Watzingera tkwił na swoim miejscu. Nie założył jej od razu. Obszedł całą posadzkę hali przyglądając się uważnie jej gładkim jak marmur ścianom. Pokryte były subtelnym jasnym pyłem. Chwilę zastanawiał się co to może być. Wahając się wziął trochę na koniec języka i natychmiast wypluł. To był pył piaskowy! A więc dlatego przestrzeń pod hangarem była pełna! Setki tysięcy metrów sześciennych suchego, o jednolitym granulometrycznie składzie piasku. Teraz ten piasek przesypywał się do jakichś prawdopodobnie naturalnych porowatych szczelin - zbiorników powodując jednolite opadanie betonu hangaru. Lanego, nie zbrojonego betonu. Bez jednego pęknięcia. To była fantastyczna budowlano-inżynierska robota. „Tyle lat deszczów i trzęsień ziemi - myślał. - Jeden przeciek na uszczelnieniu spowodować by musiał powstanie zlepów, nierównomierne opadanie, złamanie posadzki nie obliczonej na przenoszenie obciążeń, a w konsekwencji zaklinowanie jej w szybie!”.

Założył na szpulę taśmę i uruchomił odczyt. Przeleciała w ułamku sekundy. Trzepotanie rozprężonego luźnego końca taśmy na drugim bębnie nie ustało jeszcze, kiedy poczuł jak nogi stają się lekkie. Ruszył w dół, a tablica została w górze. Przez moment łudził się jeszcze, że zaraz będzie koniec, ale kiedy sznur i lina, na której się spuścił, rozwinęły się do końca zrozumiał, że musi pożegnać się z myślą o powrocie. Nie było jednak czasu na odreagowanie, bo spod posadzki zaczęła wyłaniać się wielka litera. Kiedy wychyliła się do jednej trzeciej wysokości, wiedział co będzie dalej: K-A-S-A-N-D-R-A - czytał ruchami ust. Litery ułożone były w pionie. C-Z-E-K-A.

Zaparło mu dech! Do sklepienia hali było około 80 metrów, kiedy podróż w głąb ziemi dobiegała końca. Po tej stronie, gdzie stał helikopter i wozy, dojrzał owalny otwór zamknięty płytą z polerowanego metalu. Płyta była owalnie spłaszczona ale tak duża, że mógł wjechać bez trudu transporterem. Podszedł. Nie było żadnego sterowania. Zdjął rękawicę z ekranowej folii i położył na płycie. Poddała się samoczynnie. „Podczerwień!? - pomyślał z triumfem.

Korytarz nie miał więcej niż 30 metrów długości. Opadał lekko pod kątem kilku stopni i kończył się komorą wielkiej windy. Nad jej wejściem znajdowała się zwykła stalowa lampa i normalną żarówką. Czerwony napis oznajmiał w kilku językach: „Zjednoczone siły zbrojne - Wschodząca Gwiazda - Dźwigi F”. Założył maskę i włączył butlę z tlenem. Drzwi były na fotokomórkę. Starał się wyczuć, z jaką prędkością opada, ale subtelna vibracja kabiny nie dawała wyobrażenia prędkości. Po blisko trzech minutach poczuł się ciężki. Hamowanie. Kilkanaście sekund hamowania. Podłoga chodziła w górę i w dół, aż uspokoiła się całkowicie. Założył rękawicę w chwili, kiedy drzwi się rozeszły ukazując wnętrze. Prosty, też owalny korytarz, zakończony stalowymi wrotami. Po drodze spostrzegł, że korytarz był pocięty parami równoległych opasujących go szczelin. „Zapadnie?”. Rząd lamp w pancernych, osłoniętych siatkami koszach. Posmak wilgoci i lekki ucisk w uszach. „Ciśnienie!? Zabezpieczyli się nadciśnieniem przed wtargnięciem powietrza z zewnątrz. „Czym jest Kasandra, jeśli zabezpieczyli ją przed infekcją?”.

Na razie wiedział jedno. Jeszcze żył i miał widocznie żyć, skoro jakiś ukryty człowiek lub program

wiedli go do nieznanego miejsca przeznaczenia Płyta drzwi cofnęła się bezszelestnie w głąb, ukazując betonowy mur, grubości około trzech metrów. Na krawędziach wewnętrznych powierzchni otworu wejściowego znów zobaczył te same uszczelnienia co pod posadzką hangaru.

To wejście było już małe i jedyne. „A więc winda mogła jechać dalej, zabierając większy ładunek”. Nie zdziwił się tym. Pochylił się lekko by nie uderzyć głową o sklepienie i przeszedł kanał drzwi. Znalazł się w małym pomieszczeniu, którego lewą stronę zasłaniała bryła drzwi. Kiedy jednak stanął na posadzce, stalowy blok wrócił na swoje miejsce, równie bezszelestnie jak przy otwarciu.

Pomieszczenie miało rozmiary kwadratu o boku około pięciu metrów. Ściany z tworzywa imitującego drewno. Podłoga z popielatej masy sztucznego tworzywa, W lewej, odsłoniętej teraz ścianie, w równym szeregu, małe drzwi. Zbyt małe na wejściowe. Na wprost następna pancerna wejściowa płyta wiodąca dalej. Po prawej ławeczka, nad nią rząd mosiężnych stylizowanych wieszaków. Ucisk w uszach minął po kilkunastu sekundach od chwili ostatecznego zamknięcia wejścia.

Zanim zdążył cokolwiek przedsięwziąć, gdzieś nad głową chrobotnęło sucho i rozległ się ludzki głos: Przygotuj się do odkażenia. Wszystkie przedmioty i odzież włóż do szafek. Kiedy będziesz gotowy powiedz: „Jestem gotowy. Wymień język, jakim się posługujesz”.

Rozejrzał się po suficie zaskoczony tym niespodziewanym ludzkim akcentem, który zdumiał go i nagle zdekoncentrował. Sekwencję wypowiedziano po angielsku. Patrzył jeszcze w górę, kiedy ten sam głos, tylko jakby wyższy, powtórzył to samo po niemiecku. Potem po hiszpańsku, francusku, rosyjsku. Ostatnim językiem był język chiński.

Powoli zdjął z głowy kaptur zewnętrzny, potem kaptur kombinezonu antystatycznego. Zacisnął dłonie na reduktorach maski bojowej. Chwilę trzymał zaciskając palce do białości aż zdecydował się i szarpnął. Poza krótkim sykiem uwolnionego tlenu nic się nie stało. Oddychał czystym powietrzem. Po kilku wdechach stwierdził, że zadziwiająco czystym i świeżym. W jakiś czas potem stanął nagi przed drzwiami. Chciał już odezwać się po angielsku ale ugryzł się w język. O mało nie stracił okazji do zrobienia testu,

- Jestem gotowy - powiedział po polsku i dodał: - Język suahili.

- Vizuri - chrypnął ten sam głos - saa rubili ya usiku. Ngoja.

Chrząknął odruchowo i poczuł, że się zdenerwował.

- Esperanto!

- Bone. Dudeka horo. Vi atendas.

Zacisnął usta. Stalowe drzwi ustąpiły.

Zawahał się przez moment. Wszedł do małej komory o gładkich śnieżnobiałych ścianach jakby odlanych z matowego szkła. Znów poczuł lekkie nadciśnienie. Potem na całej skórze ciepło jakiegoś promieniowania. Owionął go ciepły wiatr biegnący od dołu z niewidocznych zupełnie szczelin. Z góry popłynęło znów nieprzyjemne liliowe światło. Zamknął oczy. Już wiedział. Światło pełniło zadanie sterylizacji. Ta komora była komorą odkażania, ale jego proces zaczął się jednocześnie z funkcją maskowania już w szybie. Znał ten proces z okresu wojny. Tutaj dochodziły tylko dwa, trzy elementy więcej. Zakończył się tak cicho jak rozpoczął. Wiedziony nadal usługnymi drzwiami Hornic przeszedł do trzeciego pomieszczenia, jeszcze mniejszego, w pastelowych barwach. W szafce wisiały krótkie... spódniczki z miękkiego, przyjemnego materiału na elastycznym ściągaczu do zapinania w pasie. Tych spódniczek było kilkanaście, w różnych kolorach. Kiedy wziął do ręki jedną okazało się, że jest i góra, tylko zwinięta w środku w ciasny wałek. Włożył na siebie tę, którą wziął do ręki. Poczuł się wygodnie i lekko, w dodatku po odkażeniu jakiś odprężony i świeży.

- Jestem gotowy - powiedział w swoim języku.

Drzwi rozstąpiły się.

Już przedtem pomyślał, że nie będzie tu rakiety, ale to, co zobaczył, przykuło go do miejsca. Stał nieruchomo, zaskoczony, że pomylił się nie tylko w ocenie sytuacji. Przede wszystkim zaskoczony

kontrastem emocji minionych lat wokół strasznej legendy, a obrazem, jaki miał przed oczami. Przed nim otwierał się kilkunastumetrowy hol, z którego odchodziło kilka korytarzy. Ten hol nie zasługiwał jednak na takie miano. To była komnata! Pełna najbardziej wyrafinowanego przepychu i plastycznego smaku. Korytarze owalne, iluminowane smugami perlistego, ciepłego światła przypominały raczej wschodnioazjatyckie mozaikowe wnętrza. Zrobił kilka kroków i stanął na posadzce hallu. Wyłożona była grubym, prawdziwym perskim dywanem sięgającym nieprzerwaną płaszczyzną poprzez ściany aż umownej krawędzi eliptycznych ścian i sklepienia. Łeptała miękką powierzchnią bose stopy.

Na wprost, między wejściami do dwóch korytarzy, wisiał wspaniały, wielki średniowieczny obraz przedstawiający malarską alegorię stworzenia pierwszej kobiety. Śpiący Adam, wielki siwowłosey Bóg otwierający bok śpiącego człowieka i siedząca po jego lewicy, jakby senna, Ewa, kobieta o kształtach obfitych, oddanych z anatomiczną maestrią pędzla. Z opony chmur padały trzy promienie światła na trzy centralne postacie obrazu. W chmurach zastępy aniołów z uniesionymi wysoko rękami, o twarzach wyrażających uniesienie, ekstazę, apoteozę dzieła. Obraz zabezpieczony był naciągniętą szczelnie przezroczystą folią na wielkich, rzeźbionych, złotych ramach. Podejrzanie, doznane w komorze, w której zostawił ubiór i sprzęt, że nie będzie tu ludzi, umocniło się i poczuł intuicyjną pewność, że tak właśnie jest.

Na ścianach korytarzy wisiały również obrazy w foliowych pokrowcach. Wszystko było nietknięte ludzkim użytkowaniem, sterylne i idealnie świeże. Gdzieś w głębi, ze wszystkich stron, a może zza pleców, nie wiedział, dobiegło coś jak westchnienie. Ledwo słyszalny wydech powietrza. Wydało mu się przez moment, że nie jest to skok ciśnienia. Było zbyt ludzkie, żywe. Oddech Kasandry? Wzdrygnął się i obrócił. Po drzwiach nie było śladu. Tylko lita miękka powierzchnia o perskim wzorze.

- Główny system komputerowy programu Kasandry wita cię w jej pomieszczeniach - niski głos, o tonacji sprawiającej, że mógł pochodzić z powodzeniem tak od mężczyzny, jak i od kobiety, dobiegł ze wszystkich stron. Głośniki musiały być zainstalowane równomiernie na płaszczyznach ścian, bo dźwięk szedł ze wszystkich kierunków i wypełniał przestrzeń korytarzy i komnaty jednolitym, dotykającym tembrem. Hornic odruchowo uniósł ramiona przytłoczony efektem, choć był świadomy mechanizmu tego wrażenia, tak codziennego w czasach jego młodości.

- Znajdujesz się w najlepiej strzeżonym miejscu kuli ziemskiej. Tutaj, w pomieszczeniach, które od tej chwili mogą należeć do Ciebie, my, twórcy bezimienni tego programu, przygotowaliśmy dla wybranego przedstawiciela ludzkiego gatunku, od dzisiaj ciebie, prezent, jaki od narodzin ziemskiej ewolucji nie mógł i nie był udziałem żadnej żyjącej istoty. Zanim nasz głos poprowadzi cię w głąb pomieszczeń, wiedz, że w chwili zakończenia naszej roli, to jest przed czternastu laty nie znana nam jest osoba, która się tutaj znajdzie. Ale przez wzgląd na to, że trzeba spełnienia szeregu specjalnych warunków, wykazania odpowiednich dla programu umiejętności, wynikającego z nich światopoglądu, a ponadto szczęścia by tutaj stanąć, czuj się wybrańcem losu. Wybrańcem przeznaczenia, bo nikt tu przed tobą ani po tobie tej szansy mieć nie będzie.

To nie był głos z taśmy. Komputer odliczył czas, czternaście lat, wplatając go swobodnie w generowany sztucznie tekst i głos.

- Co dalej? - powiedział Hornic wyraźnie.

- „Wejdz w prawy korytarz? - głos dobiegał tylko z tego korytarza.

Szedł nim około stu metrów. Korytarz biegł po dużym łuku. Kiedy Hornic doszedł do końca, który stanowiła tafła ciemnego szkła, skręcił w odnogę niespodziewanie odbiegającą w lewo. Kilkadziesiąt kroków dalej stanął przed drugą taflą, identyczną do tamtej. Innej drogi nie było. Na białym, biegnącym z sufitu słupku, podwieszony do niego na wysokości klatki piersiowej znajdował się panel z klawiaturą i małym ekranikiem. Ekran zapłonął tekstem. To był test i wezwanie, by nie zastanawiać się nad jego znaczeniem. Odczytał polecenie, uśmiechnął się, bo zastanawiać się nie musiał. Był to specjalny test możliwy do wykonania tylko przy absolutnej sprawności umysłowej, stosowany podczas szkolenia w

jednostkach specjalnych. Zrozumiał, że dalej nie pójdzie jeśli go nie rozwiąże. W chwilę później test był wypełniony.

Ciemna tafla szkła okazała się prawie bezbarwna, gdy z drugiej strony zrobiło się jasno jak w dzień. Tafla odsunęła się do połowy szerokości korytarza. Ale Hornic stał nieruchomo. Nogi znów stały się cięższe niż zwykle, a ręce mokre z wrażenia od potu. Sala, bo nie było to również zwykle pomieszczenie, miała plan trapezu o najdłuższym, przeciwległym boku. Jej głębokość sięgała dwudziestu metrów. Przeciwległa ściana miała około trzydziestu metrów szerokości. Pod wysokim stropem znajdowała się wielka na całą niemal ścianę, składana z wielkich segmentów szklana tafla ekranu. Znał doskonale tę srebrzystość jej wewnętrznej powierzchni. Po dwóch stronach sali biegły takie same ekrany monitorowe, tyle że ustawione w pionach. Szerokie na dwa, wysokie na cztery, pięć metrów. Dołem biegł pulpit niemal całkowicie pusty. Tylko w prawym bloku posiadał jakieś oprzyrządowanie. Zasłonięte było dużym, stojącym na jednej nodze fotelem, pokrytym w całości futrem i obciążniętym folią. Stał w wejściu i popatrzył na taflę drzwi. Miała trzy centymetry grubości. Była pancierzem nie do przebicia nawet dla karabinu maszynowego gdyby nawet udało się go tutaj przemycić. Przekroczył próg. Nie czekał długo.

- Znajdujesz się w sercu systemu bunkrów. Zanim dowiesz się o nich więcej, usiądź w jednym z foteli. Będzie ci lepiej mówić.

Głos był ten sam. Rozejrzał się. Pod lewą ścianą stały dwa fotele na kółkach. Równie głębokie i futrzaste jak tamten. I tutaj też była folia. Wolnym krokiem podszedł do jednego i nich i usiadł. „Kiedy ostatni raz dotykałem czegoś takiego?” - pomyślał. Folia zaskrzypiała pod jego palcami. Futro pod spodem było miękkie jak puch. „Ile zwierząt straciło dla tego fotela życie?”. Jak cień, jakiś stary strzęp wspomnienia, ulotnego, zatrzymanego tylko gdzieś w fałdzie mózgu przeleciało skojarzenie. Nowe, błyszczące metalicznymi barwami auto, szczupła, ładna kobieta o kasztanowych włosach wsparta o jego przedramię, ich dwoje dzieci pakujących się na tylne siedzenie. Sprzedawca w salonie samochodowym uśmiechający się bardziej do niej niż do niego. Tamten samochód miał podobne siedzenia. Futrzaki i folia. Za szybą tłumy ludzi na ulicy. Podniósł wzrok.

- Program Kasandry ma do ciebie kilka pytań, które musi zadać i powinien otrzymać na nie pełną i prawdziwą odpowiedź, jeżeli ma spełnić swoje zadanie do końca. Potem odpowie na niektóre twoje pytania. Dopiero wtedy poznasz cel twojej tutaj obecności. Czy się na to zgadzasz?

- Dobrze - powiedział.

- Czy czujesz się zdrowy?

- Tak!

- Czy jesteś głodny lub spragniony?

- Nie!

- Od kiedy wiesz o tym ośrodku?

- Od chwili poboru paliwa z dystrybutorów pięć i sześć.

- Od kiedy znasz nazwę „Kassandra?”

- Od trzynastu lat. Znam nazwę „Głowa Kasandry”.

- Czy wiesz dlaczego „głowa?”

- Nie.

- Jaki jest twój osobisty związek z tą nazwą?

- Szukałem tej rakiety.

- W jakim celu?

Zawahał się na ułamek sekundy.

- Unieszkodliwienia.

- Dlaczego?

- Zagroza życiu ocalałych ludzi.

- Czy myślisz, że tego dokonasz?
- Jeżeli to będzie możliwe, tak!
- Czy uważasz, że masz przewagę nad sytuacją?
- Wydaje mi się, że nie.
- Czy mimo tego gotów jesteś podjąć próbę jej zniszczenia?
- Taak - wysyczał. Zaciśnął dłonie na oparciu, ale zwolnił ucisk, bo zrobiły się mokre. Folia nie

wchłaniała potu. Nastąpiła przerwa.

- System ocenia, że mówiłeś prawdę. Jesteś bliski optymalnemu wzorcowi, jaki przewidywali twórcy Kasandry - głos znów wypełnił salę. - System może zaoszczędzić ci długiej procedury. W pamięci ma rejestr dużej populacji ludzi. Jeżeli zechciałbyś podać swoje nazwisko, imię i podstawowe dane, może okazać się prawdopodobne odszukanie w rejestrze twojej osoby. Umożliwiłoby to pominięcie długiej serii pytań. Wiedz jednak, że nie musisz tego robić jeżeli nie chcesz.

Spojrzał na ekran, pulpit, posadzkę. Pochylił się w fotelu i zakrył twarz rękami. Trwał długo. Kiedy się wyprostował, był już zdecydowany zrobić to, czego nie uczynił od lat. Czego nie robił nawet przed sobą samym.

- Kapitan doktor Teodor Krzysztof Hornic. Dowódca skomputeryzowanego Batalionu Rozpoznania i Przeciwdziałania Dywersji Antyrakietowej. Piąta Brygada Rakiet Manewrujących Powietrznych Sił Zbrojnych Grupy Południe. Jednostka HX 374 122 „Victor? Kryptonim „Albatros? Numer identyfikacyjny T 88 675 - 339 A.

Zapadła cisza. Jak grzmot uderzyła o ściany Głos zwlekał.

- W ewidencji figurujesz jako dezertor. System zweryfikuje zapis, jeżeli odpowiesz na jedno pytanie.
- Dobrze.
- Jaki był temat twojej pracy doktorskiej?
- Był podwójny. Ten utajniony i właściwy brzmiał: „Zwiększenie dokładności nocnego naprowadzania rakiet manewrujących na cele metodą albedo księżycowego jako wyposażenia dodatkowego, w warunkach uniemożliwiających stosowanie naprowadzania radio i lasero-lokacyjnego na konfigurację terenu”.

- Twoja tożsamość jest stwierdzona. Możesz zadawać pytania. Nie otrzymasz odpowiedzi na wszystkie. Musisz to zrozumieć i zaakceptować. Taki jest wymóg programu, którego cel poznasz później.

Zaczął pytać. Najpierw o bazę, technikę komputerowej generacji mowy i dialogu, konstrukcję podziemia. Odpowiedzi zaczęły dawać obraz, który Hornic nakreślił Jeffersonowi w uniesieniu. Stało się oczywiste, że to wszystko, co do tej pory robił było działaniem amatorskim. Tak jak przewidywał, pojedynczy człowiek, z podręcznym komputerem był i musiał być bezradny wobec wielkiego, przemyślanego systemu Kasandry. Potwierdziło się, że jest w tych podziemiach tylko dlatego, że program nastawiony był na przyjęcie, jednego, jedyne, wybranego człowieka. Zaczęła ogarniać go świadomość ironii życia. Dostał się tutaj właśnie on. „Czy o tym mówił starzec we mgle?” - pomyślał z goryczą, ale już bez zdziwienia. Czy po to wymyślał śmiertelne systemy superdoskonałego wyszukiwania życia na Ziemi przeznaczonych do unicestwienia, Ziemi, którą miało objąć masowe, celowe i przemyślane zabijanie, by teraz otrzymać od minionej cywilizacji prezent? Przetrwalił?

Bo czymże były te korytarze i pomieszczenia, jeżeli nie przetrwalnikiem z perspektywą najlepszego grobowca na Ziemi? „Czy to jest wybuch rekompensaty, symbolicznej, wyrafinowanej formy ekspiacji grupy szaleńców?”.

- Gdzie jest rakietka?
- Bez odpowiedzi. Czy masz inne pytania?
- Po co tu jestem?
- Odpowiedź uzyskasz za chwilę w odezwie twórców systemu.
- Czy mogę się wydostać na powierzchnię?

- Tak. Po wysłuchaniu całości przekazu twórców systemu plus jeden tydzień pobytu przymusowego przeznaczonego do przemyslenia.

- Nie mam pytań.

Zapadła cisza. Wielki ekran ożył. Wolno zrazu, potem już wyraźnie, we wspaniałej barwnej projekcji ukazała się mapa Ziemi w rozwinięciu Merkatora. Łądy zaznaczone były z oszałamiającą dokładnością podwójnymi obrysami. Żółtą linią obrysowane były kontynenty i wyspy w swoich dawnych zarysach. Druga, biała linia ukazywała nowy ład ziemi i wody. Hornic, pod wrażeniem widoku, odruchowo wstał z fotela. W lewym górnym rogu zapłonął duży napis: „Obraz satelitarny”. Pod spodem data. Rok, miesiąc ziemski i księżycowy, dzień, godzina, minuta i zmieniające się miękko cyfry sekund. Pod spodem cyfra. Odliczała minuty. Minuty jego pobytu w tym kompleksie! Chłonał całym ciałem obraz nowego świata. Pochłaniał oczami zarysy Azji południowo-wschodniej, Bliskiego Wschodu, obu Ameryk, Afryki, Europy. „Niemożliwe? - wyszeptał.

Zatrzymał wzrok na Tybecie. Ocean podchodził od północy aż pod Himalaje dwoma zatokami, ale ten obszar Ziemi, który miał stać się dla niego celem, tkwił w centrum ekranu tak samo niewzruszenie jak zawsze. Tak stojącego, zapatrzonego Hornica, zastał Głos. Głos mężczyzny, ludzki głos. Chyba utrwalony. Spływał kaskadą ze sklepienia i ścian. Otoczył go jak wata, mgła gęsta jak płyn.

„Nie pytaj kto zbudował Kasandrę. Zbudowaliśmy ją wszyscy. Nie interpretuj w nawykowy sposób. Odrzuć uwarunkowania kulturowe. Bo kultury już nie ma. Wszelkie uwarunkowania propagandowe, do jakich też zostałeś przyzwyczajony przed datą wielkiej wojny, spełniły swoją rolę i poprzez akt militarnego starcia, jakie miało miejsce, uległy dezaktualizacji. Obecnie nie istnieją żadne uwarunkowania by prowadzić jakąkolwiek wojenną eskalację. Zaniechaj jej. Ani uwarunkowania militarne, ani terytorialne, ani narodowościowe, ani gospodarcze. Wielka wojna poprzez akt spełnienia zakończyła ostatecznie i nieodwracalnie epokę dziejów ludzkości, a wraz i nią wszystkie roszczenia i zależności, jakie tym dziejom towarzyszyły. Mogą pozostać tylko emocja. Ale stosunek siły niszczącej Kasandry jest niewspółmierny nawet do najsilniejszych emocji całych narodów, gdyby takie jeszcze istniały. Jest niewspółmierny tym bardziej do twoich emocji, i jakiegokolwiek źródła by się nie wywodziły. Pamiętaj o tym. Jako żołnierz sił zbrojnych posiadasz umiejętność myślenia kategoriami pragmatyzmu strategicznego. Najcenniejszej cechy żołnierza. Jesteś też wykształcony, bo inaczej nie przedostałbyś się tutaj. Jesteś w końcu i człowiekiem o głębokiej świadomości swego istnienia, o głębokiej świadomości otaczającego cię świata, a więc i gatunku ludzkiego, życia na Ziemi we wszystkich formach, istnienia planety i otaczającego ją kosmosu. Do twojego humanizmu, wiedzy z pragmatyzmu się odwołamy. Stojąc w obliczu sytuacji planety i życia na jej powierzchni w stale rosnącym poziomie radioaktywnego skażenia, a także wobec lawiny kosmicznego promieniowania, którego nie powstrzymuje magnetyczny i atmosferyczny płaszcz, dajemy ci szansę, możliwość i władzę, jakiej nie miał nikt ani nic od chwili narodzin życia na Ziemi. Tą szansą jest możliwość wyboru zmiany toru ewolucji życia na Ziemi. Otrzymujesz władzę, która zdarza się tylko raz w historii kosmosu i w naszym przekonaniu winna być dana tylko jednej jednostce ludzkiej. Ty nią Jesteś. Ludzie skazani są już na zagładę, powolną, ale postępującą degenerację. Taka sama przyszłość czeka najprawdopodobniej tysiące gatunków zwierząt i roślin. Ale są gatunki lub ich gałęzie, którym promieniotwórcze skażenie nie przeszkodzi rozwijać się dalej, a które uwolnione od biocenotycznego balastu skazanego na wymarcie utworzą nowy łańcuch życia. W nowej formie, w nowym pierścieniu ekologicznym, nowej zupełnie biocenozie świata, której szkodzi obecna. Życie na Ziemi tym samym z umierania przejdzie do swoich drugich narodzin. Cóż z tego, że bez ludzi. Jeżeli zadasz sobie takie pytanie, to zapytaj również, czy nie jest największym ten pomnik, którym jest dzieło stworzenia?

Pytałeś gdzie jest rakieta i jaki zawiera ładunek. Odpowiadamy! Program Kasandra, owoc najwyższego humanitaryzmu i dojrzałości epoki, opiera się na trzystu rakietach małej mocy rozlokowanych na czterech kontynentach oraz w punktach przestrzeni kosmicznej oddalonych od Ziemi od

stu do stu pięćdziesięciu tysięcy kilometrów. Żadna z głowic nie posiada ładunku wybuchowego o przeznaczeniu niszczącym. Wszystkie wyposażone są w środki, które po rozpyleniu w wyższych warstwach atmosfery spowodują oczyszczenie życia na Ziemi z gatunków, które nie mają, naszym zdaniem, szansy przeżycia, w tym i ludzi. Uczynią to poprzez bezkrwawe przerwanie systemu łańcucha biocenotycznego. Program opracowany został tuż przed wojną, przez świadome już sytuacji najsilniejsze zjednoczone wojskowe i cywilne laboratoria świata, jeszcze wrogich sobie stron. Dzięki Kasandrze spełnisz wymóg naukowego humanitaryzmu, największego osiągnięcia naszej cywilizacji, ucinając powolną śmierć niedobitków ludzkiego gatunku. Z naukowego punktu widzenia uruchomisz nową ewolucję. Ten akt nie będzie aktem niszczenia, lecz tworzenia. Pomysłodawcy tego programu chcieli inaczej, ale pod wpływem nacisków zespołu koordynującego postanowiliśmy, że ten akt będzie aktem wolnej woli. Argumentem, który nas ostatecznie przekonał, była możliwość twojej ucieczki od czekającego się wyboru poprzez popełnienie niezrównoważonego czynu. Ucieczki poprzez targnięcie się na swoje życie. Mając możliwość powrotu na powierzchnię podejmiesz decyzję w każdym wypadku. Na konsolach znajdują się dwa przyciski. Uruchomienia i blokady. Pierwszy nieodwołalnie uruchamia System. Drugi unieszkodliwia go i równie nieodwołalnie blokuje wszelkie zagrożenia z jego strony. Ta alternatywa odbiera ci sens samobójstwa. Będzie to zatem akt wymuszony wprawdzie, ale prawdziwie wolnej woli, zależny jedynie od twojego wewnętrznego rozstrzygnięcia. W ten sposób zatem, w kryteriach ludzkiego światopoglądu towarzyszącego tysiącom lat ludzkiej cywilizacji, religii i kultury, otrzymujesz boską władzę. Ale oceń ją pragmatycznie.

To otrzymasz od ludzi i tylko im zawdzięczasz, bo właśnie przypadkiem ty, w tym miejscu, warunkach i sytuacji się znalazłeś. Zadaj sobie pytanie i osądź. Czy ludzkość twoim zdaniem zdała egzamin ze swego istnienia? Odpowiedź znajdziesz z pewnością w każdej części siebie. Na to liczymy. Technicznie ułatwi ci ją zainstalowany tutaj system bieżącej obserwacji planety. Naszym zdaniem, po odrzuceniu nieracjonalnych i subiektywnych przesłanek, wybierzesz wyjście dobre. A na pewno będzie to wyjście prawdziwe. Zatem twórz nowe lub pozostaw stare. Stań się dobroczyńcą i bogiem tej planety”.

W ciszy, Jaka zapadła, ciemne oka kamer rejestrowały z ukrycia sztywną sylwetką człowieka, bosego, w niby spódniczce, stojącego na podobieństwo spiżowego pomnika. Ale pomniki nie popełniają gwałtownych czynów. I kamery nie musiały uruchamiać wewnętrznych systemów obronnych.

Baza zawierała wszystko, czym dysponowała ludzkość. W dziesiątkach pomieszczeń były galerie z zebranymi najwspanialszymi obrazami świata, pracownie sztuk pięknych, sale badań naukowych i technicznych, basen o olimpijskich wymiarach, sale gimnastyczne, kina, biblioteki wyposażone we wszystkie księgi świata, z tajnych archiwów armii, dyplomacji i kultury, tybetańskich i watykańskich skarbnic. Skomputeryzowany szpital.

To był czas kuszenia. Dla wybranego człowieka przygotowano i stymulatory doznań wszystkich odcieni i rodzajów bez pominięcia żadnego, gwarantujących po dokonaniu wyboru ucieczkę przed sobą samym. Po tygodniu człowiek odwołał się po ratunek do dawnych uczuć. Potem do wspomnień ukochanej osoby. Ale to nie był ratunek, pułapka pochłoneła tę miłość i starła na proch. Z przerażeniem stwierdził, że jest nagi, a wszystko, czym się zaślania, jest tylko mirażem, samooszustwem i ucieczką. W ósmym dniu, dla sprawdzenia zapewnień o możliwości powrotu, wsiadł do windy i wyjechał na powierzchnię ziemi. Szyb w hangarze był zasypany piaskiem pod samą krawędź. Pas był pusty, a cysterna z paliwem nie ruszona. Tylko słońce i drzewa były świadkami jak wchodził z powrotem do wjazdu kanałowego kryjącego pod sztucznym dnem osobowy dźwig na kilometrowej linii.

Po miesiącu w enklawie Walatha zaczęto się mocno niepokoić o Hornica. Karia chciała, żeby ktoś pojechał do bazy, ale wytłumaczono jej, że należy jeszcze poczekać. To właśnie czekanie, którego prawdziwego sensu nikt nie podejrzewał, trwało trochę dłużej.

Trwało aż do dnia, kiedy człowiek na dole poczuł, że doznania retrognicji więcej nie będzie, bo koło czasu uległo zerwaniu czekając na Słowo, które znów miało być pierwsze. Wtedy przeklął dzień swoich

urodzin. W najbardziej luksusowym pomieszczeniu padł na kolana i zawołał:

- Dlaczego stchórzyliście?

W miesiąc i trzy tygodnie później, w poniedziałek, o piątej czterdzieści pięć rano, Teodor Hornic dokonał wyboru.

Marek Baraniecki - Kalgoro, godzina 18.00

Pułkownika Williama Trainera, stałego Przedstawiciela Prezydenta przy Misji, wyciągnięto z łóżka o 2.16. O 2.18, jeszcze w stanie sennego odurzenia, zaciskając pasy zbiegł po schodach do czekającego na podjeździe Ładownika. Sadowiąc się na tylnym siedzeniu wiedział już, że czeka go trudny dzień. Dwaj kapitanowie i cywil, znał ich z widzenia, siedzieli sztywno, trzymając okładki z godłem państwowym. Pułkownik przetarł oczy i spojrzał na konsolę sterowniczą; „Lot balistyczny, cel zastrzeżony, czas miejscowy 15.04” Cywil o młodej, lecz zniszczonej twarzy odwrócił się z przedniego siedzenia: - Jestem Henry Hunt z gabinetu prasowego i mam panu towarzyszyć do Centrum Nasłuchu Galaktycznego. Choć moim zdaniem jest to przesadna ostrożność, mam obowiązek nie dopuścić do prób nawiązania z panem łączności. Chodzi o środki przekazu. Panowie kapitanowie tylko mi towarzyszą. Czy ma pan pytania?

Wiedział już, skąd zna tę twarz. Widział ją nieraz w otoczeniu Prezydenta i raz nawet spotkał się z Huntem na rządowym bankiecie. Wiedział też, że niczego więcej teraz odeń nie wyciągnie. Skinął głową Huntowi na znak, że przyjął wyjaśnienia do wiadomości i nie ma pytań. Ten podał mu okładki z zadrukowaną kartą i odwrócił się na siedzeniu.

Dokładnie po 30 minutach, w świetle późnego popołudnia, Ładownik zatrzymał się na końcu pasa przylegającego do wąskiej drogi. Trwała tu ciepła, pachnąca schnącymi liśćmi jesień. Wóz Centrum wiozł ich aleją ognistoczerwonych kasztanów aż do potężnej bramy z betonu, z dużym, tłoczonym w niklu napisem: „Centrala Nasłuchu Galaktycznego w Karlgoro”.

- Jeżeli to awaria systemu nasłuchu, to pojedziemy w prawo, jeżeli nowe dane, to prosto aż pod obelisk - myślał Trainer. Westchnął głębiej i dłońmi od głowy do kolan zebrał, nie dotykając ciała, igiełki zmęczenia. Po magnetycznym masażu poczuł równowagę ducha. Pojechali prosto. Za Pomnikiem Cichych Bohaterów skręcili przed główny budynek Ośrodka. Na podjeździe powitał go dyżurny sierżant.

- Sierżant Daniel Savetski, dyżurny sekcji. Jest pan oczekiwany, panie pułkowniku. Proszę korytarzem w prawo do dźwigu numer siedemnaście.

Sierżant cofnął się oddając honory i Trainer wszedł do wnętrza, W momencie przekraczania przejścia poczuł Obecność i dzięki niej wiedział już, gdzie ma się stawić. Czuł, że ktoś go oczekuje. Przed dźwigiem numer 17 oddał oficerowi inspekcyjnemu wszystkie drobiazgi i otrzymał stalowy pasek z magnetyczną ścieżką.

- To jest pana sympatyzer na piętro, na którym zatrzyma się dźwig i do wszystkich urządzeń sieci informatycznej, Na piętrze czeka pułkownik Andersen - powiedział oficer wręczając mu magnetyczny klucz i uśmiechnął się służbowo. Pułkownik Anderson stał kilka kroków od drzwi dźwigu. Nie miał na sobie munduru. Był w luźnym stroju relaksyjnym, używanym podczas medytacji w Sekcji Mentalistyki.

- Mamy ciężki przypadek, William - rozpoczął bez wstępu. - Pozwól za mną, zapoznam cię ze szczegółami.

Ruszyli korytarzem. Anderson kontynuował!

- Półtorej godziny temu powiadomiliśmy sekretariat Prezydenta o sytuacji i zyskaliśmy uprawnienia do prowadzenia akcji w trybie utajnionym. Zagrożony jest skład osobowy załogi kosmolotu „Europa II”. Ze względu na wagę tej informacji nie przekazano ci jej w czasie lotu. Oficjalnie zostałeś tu ściągnięty do jednego z programistów zranionego podczas remontu Sekcji Mocy Geopatycznej. Zapamiętaj na wszelki wypadek: ranny jest porucznik Roger Bostov z Sekcji Analizy Echa, Jego stan nie budzi obaw Tej

informacji nie zwolniono jeszcze do rozpowszechnienia.

Minęli korytarz prowadzący do głównej sali medytacyjnej, przeszli obok wejścia do wojskowych kaplic: anglikańskiej i prawosławnej. W pierwszym pomieszczeniu Sekcji Przetwarzania Danych znajdował się tylko stolik wizyjny, ekran ścienny i trzy foteliki Usiedli. Anderson włożył swój sympatyzer w gniazdko końcówki systemu informatycznego i odwrócił się do Trainera. Na jego twarzy widać było napięcie.

- Według sprawdzonych informacji, na statku „Europa II” około godziny ósmej zero siedem naszego czasu uległ ciężkiemu wypadkowi Główny Mentalista Misji - Roy Holmsen. W trakcie energetyzowania kapsuły badawczej, część energii wymknęła się z ujęć magnetycznych. Nie nadaliśmy biegu procedurze po pierwszym doniesieniu jasnowidzącego J 6A. Rozkład szumów jego kory mózgowej podczas transu dyżurnego dawał osiemdziesiąt cztery procent prawdopodobieństwa wizji. J 6A przekazał jednoznaczny komentarz do widzenia: całkowita, subiektywna pewność wypadku. Drugie zgłoszenie nadeszło w siedem minut po pierwszym. Widzenie o tym samym efekcie miał J 9A. Z tych dwóch widzeń zsyntetyzowaliśmy komputerowo obraz obrażeń Holmsena, Wtedy nadaliśmy bieg sprawie i wyszły nowe dane. Przetestowaliśmy możliwości medyczne „Europy”, okazało się, że on nie powinien żyć. Dotąd nie wiemy, jak oni utrzymują go przy życiu. Spójrz na zapis.

Na ekranie, który z płaskiego stał się przestrzenny, rozegrała się dramatyczna sekwencja. W rozmazanym, bajecznym kolorowym tle zawirowało coś ciemnego o niewyraźnych konturach i zamarło w dolnej części ekranu. Potem obraz przeskoczył na bliższy plan Tło pozostało bez zmian, zbliżeniu uległ ciemny przedmiot drgający niesamowitym ruchem. Trainer wiedział co to jest. Z trudem doszukał się kończyn.

- Na tym kończy się wizyjny zapis widzenia zdjęty z kory mózgowej J 6A - podjął Andersen. Resztę informacji J 6A odebrał poza widzeniem korowym Jak wiesz innych wizji nie potrafimy rejestrować. J 6A twierdzi, że ta unikalna wizja przedstawia moment wybuchu odrzucającego Holmsena pod ścianę korytarza w punkcie konstrukcyjnym U7490713 24 CC 70 X, Spójrz na analizę porównawczą. - Kilkom przyciskami uruchomił znów ekran. Na syntetyczny obraz korytarza z komputerowej pamięci nałożył się obraz wizji jasnowidzącego. Potem przetransformował się w obraz uszczegółowiony z numerami charakterystycznych punktów konstrukcyjnych.

- Dzięki drugiemu widzeniu J 9A - mówił Anderson - uzyskaliśmy dane o uszkodzeniu ciała. Niestety, bez rejestracji wizyjnej. J 9A nie wyraża na nią zgody. Obrażenia opisane przez niego dotyczą kończyn, przedniej części tułowia i lewej strony głowy. Jakimś cudem ocalała strona prawa. Zresztą nie ma to znaczenia; z medycznego punktu widzenia obrażenia kwalifikują się jako poparzenia trzeciego stopnia z głębokimi ubytkami.

Zapanowała chwila ciszy.

- Znałem go, pamiętasz? - przerwał milczenie Trainer. - Byliśmy wtedy mali. Ja miałem siedem lat Był idolem wszystkich małych mężczyzn. Pamiętasz jak z nami rozmawiał? Nikt tak ze mną później nie rozmawiał. Bez słów. Mamy jedną biofałę.

Przerwał znów i zmienił temat.

- Dlaczego dowództwo tak długo czekało z informacją dla mnie i dlaczego zerwali mnie dopiero w nocy?

Anderson chrząknął.

- To nie dowództwo zwlekało, to my. Widzisz, nie mamy... nie mam osobiście pełnej jasności, za mało dowodów... Nie wyobrażam sobie zresztą jak można by dowieść... tego co wyłoniło się z naszych analiz. No i rozbieżności interpretacyjne... Zbudzono w pierwszym rządzie Prezydenta. Nie wiem jeszcze, jak przebiegała rozmowa. Trwała pięćdziesiąt trzy minuty. Zdajesz sobie sprawę, co to oznacza.

Prezydent dokładnie wypytywał o wszystkie konsekwencje naszych wniosków. Po tej rozmowie dostaliśmy nakaz przyjęcia do Ośrodka trzech największych mediów i bioenergetyka Eismontowa. Nasi bioenergetycy byli i są zdania, że... należy zastosować przekaz energii biologicznej na „Europę II”. Uważają, że przy takich mediach odległość siedmiu lat świetlnych dzielących statek od Ziemi, jest do pokonania. Na zebraniu przygotowawczym opracowaliśmy schemat łańcucha dawców energii. Eismontow ma być dawcą głównym narzucającym biofałę prowadzącą... Jego pole jest dwieście dwadzieścia razy silniejsze od pola Roya Holmsena. Zdajesz sobie sprawę jaka to potęga? W ubiegłym miesiącu napromieniował z odległości ośmiu tysięcy kilometrów grupę szesnastu tysięcy ludzi i ma dziewięćdziesiąt cztery procent odwróceń procesów chorobowych. Centrum medycyny kosmicznej dobrało cztery osoby o cechach eterycznych spolaryzowanych z jego parametrami. Nie mogliśmy w pierwszych godzinach dobrać prowadzącego, który by tę energię przetransformował i kosztem pozostałych dawców przekazał na „Europę II”. Dopiero na dwadzieścia minut przed twoim przybyciem powitaliśmy... tak to się odbyło, powitaliśmy Jiddu Swami Sanhramurti. On ma tytuł Światłość Światłości. Zdaniem naszej sieci informacyjnej jego stosunek do naszej rzeczywistości jest dla tej operacji najbardziej odpowiedni.

Przerwał i odwrócił się do obrazu trwającego w niemej projekcji. Wiszące w przestrzeni cyfry opisujące elementy konstrukcyjne, wśród których tkwił w nienaturalnej pozycji ludzki strzęp, rzucały wyzwanie.

Anderson pochylił się nad pulpitem i przełączył obraz. Ujrzeni wiszący w przestrzeni anatomiczny model ciała ludzkiego o przezroczystej strukturze wewnętrznych układów. Plamka wskazująca zaczęła wolno kreślić na powierzchni modelu nierówne płaszczyzny o postrzępionej fakturze.

- To jest prawdopodobna symulacja obrażeń. Zapamiętaj je dokładnie do seansu bioenergetycznego. Wszystkie wnioski Komputera Medycznego wyglądają tak samo. Na pytanie dlaczego z takimi obrażeniami ranny żyje, wyświetla: „Przypadek hipotetyczny. Ze względu na sprzeczność danych nie kwalifikuje się do analizy”. Jednocześnie wyklucza możliwość hibernacji. Jedyne posunięcia, jakie proponuje, to hel w temperaturze 293° K, pod ciśnieniem jednej Atm. Na „Europie II” najprawdopodobniej właśnie to zrobili; Jiddu dał do zrozumienia, że wie dlaczego on żyje, ale swoimi myślami się nie dzieli.

Plamka dobiegała końca drogi zostawiając obraz bardziej wstrząsający od poprzedniego. W dolnym prawym rogu zawisł fioletowy napis: „zejdźcie - Roy Holmsen A SCX 7440 3172”.

- Jest w tym jakaś tajemnica - kontynuował Anderson - ciągle odnosimy takie wrażenie. Podzieliłiśmy się wynikami burzy mózgow z Departamentem Polityki Zagranicznej i oni odesłali nas do Prezydenta. Pomogli nam też nakłaniając Jiddu do przybycia. Wiesz jakie to trudne w przypadku prawdziwych medytujących?! Tymczasem on wiedział, że go poproszą i natychmiast wyraził zgodę.

- Wiem - powiedział Trainer - przy wejściu odebrałem wewnętrzny przekaz. To on mi się przedstawił, chociaż wtedy nie wiedziałem, że to on. Wiem też, że on ma możliwość Prowadzenia. Wydaje mi się, że odczułem co was niepokoi. Czułem też, że uzyskam odpowiedzi na wszystkie pytania, ale dopiero w trakcie przekazu. Bo rozwiązanie leży poza granicą technicznych i naukowych możliwości. Ono jest strukturalnie inne. - Widząc zdumienie Andersona dodał: - Otrzymałem polecenie uczestniczenia we wszystkich waszych działaniach i miałbym kłopoty, gdyby Jiddu mnie nie zaakceptował. Za osiem miesięcy kończy się kadencja i staremu potrzebne są atuty. Takie akcje, w dodatku udane, na tym etapie przedwyborczym nieźle mu zrobią.

Anderson spojrział na czasomierz i wykonał gest ponagłania:

- Zanim pójdziemy na salę musisz się przebrać. Osoby, z którymi będziemy pracować, dekoncentrują się na widok munduru:

Trainer skinął głową.

- Przekaz rozpoczniemy za czterdzieści minut, do tego czasu zapoznasz się z najświeższym przekazem radiowym, jaki dotarł do nas wczoraj z „Europy II”. Pochodzi sprzed siedmiu lat, nie ma więc związku ze sprawą, ale będziesz miał materiał do serwisów informacyjnych. Gdzie się przebierzesz?

- Tutaj!

Anderson wcisnął przycisk.

- Mundur relaksacyjny dla pułkownika Trainera... Zostawię cię na pół godziny - dodał.

Syk drzwi wyjściowych złał się z pstryknięciem stacyjki transportera pneumatycznego. Trainer wyciągnął z pojemnika pakiet odzieżowy i strzepnął go rozwijając dwuwarstwowy lekki kombinezon bez wojskowych emblematów. Przebrał się nie odrywając oczu od ekranu, przedstawiającego nadal symulowane ciało o nie wykształconych rysach twarzy. Przez dozownik zamówił posiłek i otrzymał kubek mętnego płynu. Usiadł przed pulpitem. Przyjęto zamówienie na określone danie, ale rola Trainera w ośrodku była zakodowana, więc nadjechała potrawa nie zawierająca substancji mogących zakłócić przepływ bioenergii. Przed zakłóceniami zewnętrznymi chroniły ulokowane na najniższej kondygnacji stabilizatory pól geopatycznych, obejmujące swoim zasięgiem cały kompleks budynków Centrum, W promieniu kilkudziesięciu kilometrów nie było więzień, szpitali psychiatrycznych, linii wysokiego napięcia. Niczego, co mogłoby zakłócić funkcjonowanie ludzi o wybitnych cechach psychotronicznych, zatrudnionych w Ośrodku. Marzenia więźniów o wolności, stresi chorych psychicznie - wysyłane w eter, przenikając wszystko co materialne, pojawiać by się mogły w postaci wizji mediom nastawionym na odbiór myślowych przekazów ze statków lecących w przestrzeni. Błądzące myśli i wizje o niezwykłych natężeniach znajdować by mogły przypadkowych odbiorców w osobach jasnowidzących i mogłyby być wprowadzone przez odczyty ich pól mózgowych do systemów przetwarzania, a linie energetyczne dekoncentrowałyby medytujących pracowników służb nasłuchu. Do Centrum Nasłuchu Galaktycznego nie miał dostępu Prezydent; jego ambicje i żądze naruszyłyby równowagę eteru mentalnego. Z tych samych względów nie mogli tam przebywać inni politycy, nie przeszkoleni wojskowi, aktorzy, sportowcy przed ważnymi imprezami. Wszyscy pracownicy Centrum wybierani byli po trudnych testach. Warunkiem pracy w Służbie była pełna stabilizacja życiowa i psychiczna. Komfort emocjonalny decydował o pracy w sekcjach technicznych. Bezwzględna umiejętność jego zachowania, niezależnie od warunków zewnętrznych, pozwala ubiegać się o stanowisko czynnego funkcjonariusza Nasłuchu. Testowe parametry emocjonalne liczyły się na równi z wykształceniem i wymogami zawodowymi.

William Trainer, absolwent Wojskowej Akademii Lotów Pozaukładowych, robił błyskawiczną karierę naukową, a potem służbową, bez konieczności stymulowania swoich działań napięciami psychicznymi. Dzięki tym psychofizycznym predyspozycjom zajął szybko uprzywilejowane stanowisko przy Pałacu Prezydenckim. Uczestniczył już w dwóch akcjach specjalnych w pierścieniach Saturna. Ale dopiero tu, na Ziemi, w środku jednej z głównych baz naziemnych Floty Galaktycznej, czuł zbliżające się zderzenie z Nieznanym. W gnieździe czytnika tkwił sympatyzer Andersona, a pod nim jarzył się napis: „Otwarcie pamięci łącznie z kluczem nr 4 po sprawdzeniu”. Włożył w gniazdo swój klucz. „Znowu taka ostrożność z wyjściem informacji - pomyślał Trainer. - Gabinet Prezydenta będzie miał kolejny powód do skargi na stosunek do prezydenckiej służby”.

Pół godziny obserwował sekwencje z wnętrza „Europy II”. Krótkie wypowiedzi członków załogi ujęcia nowo narodzonych dzieci. „Obecna? sytuacja wśród załogi. Funkcjonowanie systemów kosmicznego miasta. Obraz był płaski i czarno-biały, przecinany zakłóceniami, toteż Trainer nie od razu poznał Holmsena. Cofnął ujęcie i zatrzymał je. To był Holmsen sprzed 7 lat. Niemal taki, jakim go pamiętał. Wyrazistość kamiennej z pozoru twarzy, oczy patrzące daleko poza obserwowany obiekt wzrokiem, któremu nie wystarcza dojrzenie i poznanie. Kiedy ich oczy spotkały się, oczy siedmiolatka i

oczy czterdziestodwuletniego mężczyzny o światowej sławie - poznał w nich siebie w swojej dziecięcej perspektywie i swoją przynależność do przyszłości. Takie samo wrażenie odnieśli wszyscy ze szkolnej grupy jego rówieśników. Z każdym z nich Holmsen rozmawiał 3 lub 4 minuty. Rozmową bez wstępu i zakończenia. Rozmową o samym sensie każdego z nich. W 8 miesięcy później Holmsen jako jeden z ostatnich lecących dołączył do wprowadzonej już na orbitę okołosłoneczną „Europy II”. Z owej grupy dzieci, 38 osób zostało mentalistami. Między innymi Anderson i Trainer.

Włączył odtwarzanie. Holmsen mówił o stanie socjocynnika zwartości grupowej i relacjach indywidualnych, ciekawych z punktu widzenia socjotroniki. Potem przeszedł do tematu badań przestrzeni wokół „Europy II”. Kiedy po raz kolejny zmienił temat, Trainer odruchowo wyostrzył uwagę. Kiedy zapis się skończył, cofnął go i odtworzył powtórnie. Potem zrobił to po raz trzeci. Skupił uwagę na słowach wypowiedzianych wolno, stanowczym tonem: „Narastanie atmosfery niepokoju obserwowałem jut kilkakrotnie. Jest to zjawisko o tyle nietypowe, że nie ma źródeł w obiektywnej sytuacji grupy. Proces konsolidacji naszego mikrospołeczeństwa przebiega bez napięć. Udało nam się stworzyć więzi i systemy zachowań daleko już odbiegające od przyjętych na Ziemi, ale w naszej sytuacji poczucia odrębności, zmiany te przebiegają dla grupy korzystnie. Przewidywania programowe i prognozy mikrosocjologiczne sprawdzają się nadal, przy czym obserwuję dominację potrzeb wyższych. Zbiorowe medytacje relaksacyjne odbywają się obecnie w każdą niedzielę, a kreatywne w środy i piątki i są głównymi punktami dnia roboczego. Jak już wspomniałem w poprzedniej transmisji, podział światopoglądowy na dobro i zło jako wartości kreatywne ustabilizował się w optymalnym składzie załogi. Otóż ów niepokój odbierany jest właśnie w tej konwencji. Wypadkowa opinia na jego temat i obraz są takie... Zacytuję wspólnie opracowany i uzgodniony tekst: „Czujemy napór psychiczny o odcieniu lekkiego zagrożenia. Występuje ono w odstępach kilkutygodniowych. Ma związek z sytuacjami konfliktowymi, ale wyczuwamy je dopiero po udanych operacjach załagodzenia konfliktów. Jego nasilenie jest małe, ale wyraźne. W odczuciu 12 procent załogi wystąpiło ono też po zapobieżeniu dwu awariom systemów energetycznych opisanych pod numerami S 701 03 i 06 w tej transmisji. Odczucia te są natury podprogowej i nie mają cech reakcji na stresy. Jednocześnie nie są czynnikiem istotnym w stabilności nastrojów. Panuje powszechne przekonanie, że ich źródło jest obiektywne, zewnętrzne i nie związane z naturalnymi reakcjami psychobiologicznymi”.

Dział mentalistyki ma pełną kontrolę nad sytuacją i nie obserwujemy żadnych zjawisk negatywnych. Zapis dla sekcji socjotechnicznej opracowany został zgodnie z programem Ziemi procedura nr A 7 349. Następną transmisja za 280 dni o godzinie 10.30 czasu pokładowego”.

Obraz na ekranie zmienił się na wizyjny sygnał wywoławczy „Europy II”. To był koniec odtwarzania. Trainer siedział w bezruchu starając się zrozumieć, co go tak mocno zaintrygowało w wypowiedzi Holmsena. Czuł, że punkt ciężkości tkwi w końcówce: „Panuje powszechne przekonanie, że ich źródło jest obiektywne, zewnętrzne i nie związane z naturalnymi reakcjami psychobiologicznymi”. Intuicja podpowiadała mu istnienie jakiegoś związku między faktami odległymi od siebie o 7 lat. Ale kiedy zadawał sobie konkretne pytania, całe wrażenie znikło. Powoli, ociągając się, Trainer połączył się z sekcją konstrukcyjną Ośrodka. Zgłosił się młody rudowłosy porucznik.

- Jakie jest prawdopodobieństwo wycieku energii na „Europie?” - zapytał.

- W tym wypadku?

- Tak!

- Wyświetlam - zameldował porucznik i zakodował pytanie. Na ekranie pojawiła się liczba 0,000000003, a pod nią uwaga: „W czasie lotu podniesiono stopień zabezpieczenia w stosunku do pierwotnego”.

- Czy ma pan dalsze pytania?

Trainer odpowiedział przecząco i połączenie nią skończyło. Wydruk świetlny nadal wisiał w przestrzeni ekranu przecząc tłącym się jeszcze w świadomości podejrzeniom o technicznej przyczynie awarii. Wiedział teraz jak znikome było prawdopodobieństwo wybuchu w momencie, kiedy znajdował się tam Holmsen. Jego obecność nie była wymagana w tym punkcie statku ani regulaminem, ani zakresem obowiązków.

W 10 minut później zatrzymał się już w towarzystwie Andersena przed drzwiami sali, w której znajdowali się wszyscy uczestnicy Przekazu. Trainer czuł podniecenie pomimo samokontroli, jaką prowadził od chwili zapoznania się i Zadaniem. Anderson, jakby czytając w jego myślach, odezwał się półgłosem.

- Czują się jak uczeń przed egzaminem. Nie wykonywałem jeszcze zadania w takiej sytuacji. Odnoszę wrażenie, że nie ja nim kieruję, że jestem pionkiem.

- Jaki on jest? - zapytał Trainer.

- Wykształcony. Trzy fakultety, jednaście języków. Ma trzydzieści jeden lat, jeżeli w jego przypadku ma to jakiegokolwiek znaczenie - odpowiedział Anderson i dodał spoglądając na czasomierz: - Godzina szesnasta, pięćdziesiąt sześć. Pamiętaj o rytuale!

Uruchomił drzwi i weszli do wnętrza. Bezcieniowe oświetlenie o żółtym odcieniu pozwalało dostrzec siedzących półokręgiem na niskich stołeczkach. Ściany, podłoga i strop pokryte były modrzewiową mozaiką kryjącą pod sobą ekrany akustyczne i rejestratory systemów komputerowych. Na tej sali zapisywano obrazy widziane przez medytujących. Na jednej ze ścian znajdowało się duże przestrzenne zdjęcie nagiej postaci Holmsena. Po przeciwnej stronie wejścia w półokręgu były dwa wolne miejsca. Siedzący trwali w całkowitym bezruchu i ciszy, odwróceniu do drzwi plecami. Trainer wiedząc, że Anderson już widział się z Jiddu, zrobił dwa kroki, ukląkł i pokłonił się siedzącemu tyłem mężczyźnie. Zrobił to w całkowitej ciszy i nikt z obecnych nie wykonał żadnego ruchu. Smagły mężczyzna, którego Trainer przywitał, trwał w bezruchu i milczeniu. Klęcząc nadal, Trainer przebiegł wzrokiem po pozostałych. Dwaj z nich, widoczni z profilu, byli ciemnowłosymi mężczyznami w nieokreślonym wieku, o cerze kredowobiałej, wpadającej w lekko cytrynowy odcień. Ręce czyniące wrażenie gipsowych odlewów, poprzez swój bezruch - kontrastowały i barwą czerwonorudych luźnych ubiorów. Z prawej strony siedział mężczyzna o silnej budowie ciała i wyrazistym kanciastym profilu. To był Eismontow. Jako ostatnia po prawej stronie siedziała kobieta w średnim wieku o bardzo przeciętnej urodzie i pospolitej postaci. Była jednym z najlepszych na Ziemi mediów.

Trainer przeniósł wzrok na plecy pokryte szarym sukniem. Jiddu, wciąż siedzący bez najmniejszego ruchu, odezwał się cichym głosem.

- Otworzyliście techniką niebo, ale nie umiecie otworzyć drzwi do swych ciał. Pragniecie poznać siebie, szukacie poza sobą. Kiedy jest za późno, drżycie o braci, a kiedy jest czas, zapominacie jak dzieci o tym, że wasze działania są pyłem wobec nieskończoności. Umilkł i znów zapanowała zupełna cisza. Po chwili równie cicho Jiddu powiedział:

- Słucham twoich słów.

- Pozwól mistrzu, abym doznał łaski powitania ciebie - odpowiedział Trainer.

- Witaj - padło w odpowiedzi.

- Pozwól mi też złożyć podziękowanie za twoją obecność i przywitanie mnie u progu budynku. Pragnę, aby twoja droga stała się dla mnie światłem wiodącym do doskonałości. Pragnę twojej nauki.

Odpowiedzią było milczenie. Trainer odebrał je jako aprobatę.

- Oczywiście wiesz - ciągnął - że pragnę cię jeszcze raz we własnym imieniu prosić, abyś użył swojej mocy i chciał przywrócić tycie ciało Roya Holmsena. Spraw swoją siłą, która jest ponad materialne i czasowe więzy, aby wrócił do pełnego zdrowia bliski nam wszystkim człowiek. Przyłączam

się do prośby, z jaką przybyli do ciebie przedstawiciele naszego Ośrodka.

Znów zapanowała chwila ciszy, zanim Jiddu odpowiedział:

- Zgodziłem się na to, bo prosicie o to nie tylko wy. Nakaz życia w jego duszy silniejszy jest od nakazu dalszej wędrówki. Zajmij miejsce.

Trainer wstał i kolana i obaj z Andersenem usiedli na wolnych stołeczkach. Część wstępna była skończona.

- Przed waszym przybyciem - powiedział mężczyzna siedzący po prawej stronie Jiddu - miałem widzenie ze statku. Nie mogłem mimo starań dojrzeć rannego. Widziałem natomiast, że wśród załogi panuje determinacja, ale też i rozładowanie napięcia emocjonalnego. Praca przebiega normalnie. Od chwili wypadku wszyscy oczekują jakiegoś wydarzenia. Nie potrafię określić jakiego. Wiem, że nie jest ono oczekiwane jako dobre. Nie umiem tego wytłumaczyć. Miało nastąpić w ciągu godziny po wypadku, ale nie nastąpiło.

- Czasu jest mało - powiedział Jiddu przerywając mówiącemu. - Musimy się wszyscy przygotować, aby zdążyć z pomocą. Musicie przygotować wasze ciała i waszego ducha do przyjęcia Prawdy. Tylko przez nią będę mógł zapanować nad życiem człowieka poza Ziemią. Od waszego poddania się Prawdzie zależeć będzie życie ciała i ponowne nałożenie więzów duchowi. Czy jesteście gotowi?

W ciągu kilku minut wszyscy odpowiedzieli myślą twierdząco. W chwili ostatniej odpowiedzi Trainer poczuł, że już nie jest sam w sobie. Nagle otworzyło się jego zamknięcie i wiedział, że nie będzie już więcej słów. Był pod działaniem jakiejś siły, która otworzyła zamknięte kanały zmysłów. Czuł jak zanikają wszelkie więzy kierujące fizycznym działaniem. Był lekki i jasny. Mógł wiedzieć wszystko czego zapragnął. Doznał nagłego olśnienia, a ten stan to było Wyzwolenie, jakie osiągnąć mógł do tej pory po wielu dniach medytacji. To przyszło nagłe i było niemożliwe do zakłócenia przez zewnętrzne bodźce. Wiedział, że znajduje się w stanie wywołanym przez Mistrza. Czuł, że nastąpi zaraz to, co znał ze swojego doświadczenia. A potem będzie tylko Nieznane.

Pierwszy zaczął gasnąć słuch. Z ciszy wyłoniły się szelesty. Jego mózg odbierał coraz odleglejsze szumy pracy Centrum. Mimo ekranów, rejestrował drgania ziemi pod spadającymi z drzew liśćmi. Wiedział, że gdyby teraz w pomieszczeniu zabrzęczała mucha, zginąłby od eksplozji huku jej skrzydeł. Nic takiego nie nastąpiło i faza nadśłyszenia ustąpiła, a słuch został wyłączony. Po nim zgasł wzrok, ale zanim to się stało, zrozumiał, że nie odbiera już wrażeń ciepła i smaku. Bez trudności przeszedł ostatnią barierę, jaką napotykał w początkach sztuki medytacji. Barierę lęku. Podświadomość opanowana do perfekcji poddała się jego woli i nie zareagowała, kiedy świat jego zmysłów przestał istnieć wraz z zewnętrznymi atrybutami życia. Wtedy zapragnął widzieć i otworzył mu się obraz, ale już niezależny od oczu. Zapragnął słyszeć i zaczął słyszeć, ale nie zmysłem. Potem zapragnął kontaktu z tym, który go otworzył i zlał się z nim w jedno. Zaraz za nim rozszerzył się o wszystko. Odbywało to się bez jego działania. Wystarczyło pozwolenie Mistrza. Zbliżał się do Prawdy. Jego własna potęga była teraz tak wielka, że nie czuł jej granic. Mógł wszystko. Wystarczyło pobudzenie Woli.

I wtedy rozpoczął się Dialog.

Nie było w nim słów ani pojęć. Dialog toczył się w nim samym. Dialog o wszystko. Od pierwszego atomu Wszechświata do ostatniej chwili jego istnienia. Ten dialog był jego atakiem na więzy indywidualności. Choć wiedział, że nie jest sam, jego obecność otaczała psychiczna nieprzepuszczalna błona uprzedzeń, ignorancji, egoizmu. Z zewnątrz naciskało ją Dobro tego, który go prowadził... Ta siła łagodnie i stanowczo żądała wyzbycia się ziemskich przywar. Ustępował wolno, bardzo wolno... I nie nastąpiło to, czego się obawiał. Podświadomy opór, że się zatraci, kiedy odrzuci więzy łączące go z przejawami fizycznego życia, nie miał już podstaw.

Był więc w stanie pełnej świadomości celu, w jakim poddał się fizycznemu wyłączeniu, a jego

fizyczna odrębność zatraciła się. Czuł, że jest Energią wysublimowaną z siedmiu osobowości. Każda z nich miała teraz ten sam cel co on. Gdzieś za granicą poznania była gasnąca życiowa energia mentalisty Holmsena nie mogąca przeciwstawić się chaosowi materii Wszechświata, choć za wszelką cenę trzymająca się ciała. Gdzieś w głębi wypłynęło pytanie, które nurtowało Świadomość. Pytanie nie sformułowane żadnymi umownymi znakami. Było zdziwieniem, jak to się stało, że nastąpił wypadek. Jak to się dzieje, że ciało nie chce się poddać. Zamiast odpowiedzi zaczął odczuwać wolno napływające Zrozumienie. Przychodziła Wszechwiedza. A kiedy go wypełniła, zrozumiał Nieubłaganą Wrogość Chaosu, na który podniósł rękę człowiek wraz ze swoim Uporządkowaniem. Człowiek pragnący dowieść, że wszystko i wszędzie ma swoją Przyczynę i Skutek. Że Chaos jest zbiorem nieskończonym perfekcyjnych praw Natury. Ten Chaos atakował od prapoczątków wszystkie poczynania istot ożywionych i najwyższą ich formę na Ziemi - Homo Sapiens. Człowiek wdarł się w międzygwiazdną próżnię, która nie była dla niego przeznaczona.

We wrażeniu bezosobowego teraz Trainera i zjednoczonych w medytacji dawców bioenergii, ten Chaos stał się synonimem i uosobieniem Zła. Siły przeciwstawnej Życiu. Ale nie materii, bo właśnie jej uporządkowanie było Złem. Prawo do przenikania rozumem stało się przez superpozycję Dobrem. Społeczność „Europy II” wdarła się w Chaos. Nastąpiła nieunikniona samoobrona żywiołu, w życiu ludzi zwana przypadkiem. Mikro-społeczność przez wiele lat pokładowych broniła się zbiorową organizacją, wyszkoleniem, naprawami, umiejętnością gaszenia wybuchających tu i ówdzie konfliktów międzyludzkich, będących niczym innym jak najwyższym przejawem Entropii. Prawo Entropii wybierało zawsze i tutaj wybrało najslabszy punkt w ogniwie zabezpieczeń. Połączyło awarię systemu z obecnością człowieka będącego głównym elementem spajającym załogę. Był nim mentalista Roy Holmsen.

Kiedy wspólna Świadomość medytujących ogarnęła to zrozumieniem, Jiddu wydał jedyne czytelne, myślowe polecenie, które świadomość Trainera wykonała natychmiast. Arthana czanda-takrija - łatwość działania zgodnego z wolą. W tym momencie spełniło się oczekiwanie. Zapragnął znaleźć się w sali medycznej „Europy II”. I był w niej. Przed nim w dole, pod półprzejrzystą pokrywą stołu medycznego leżało okaleczone ciało. Trainer znajdował się w odległości 7 lat świetlnych od Ziemi i od swego ciała. Wyraził wolę uzdrowienia tego człowieka i poczuł napływającą jak trans Energię i Moc. Czuł, podchodzi ona z sześciu miejsc i zespala się z jego. Zogniskował się w niej i wszedł w ciało leżącego. Masa zniszczonych komórek zablokowała pierwsze wtargnięcie bioenergii i życia. Nieopisane, niemal namacalne uderzenie hamujące! Nie ustąpił jednak i po chwili poczuł, jak ta energia z niego wypływa w kierunku wszystkich chorych komórek leżącego ciała. Trwało to ułamek sekundy... a może wieczność. Nie wiedział. Miarą czasu stał się tylko opór przyjmującego organizmu. Kiedy opór ten zniknął całkowicie, poczuł że jego obecność się kończy. Ogarnął Wszechwidzeniem w ułamkach chwili cały statek. Napady, systemy, pomieszczenia, ludzi, pamięć systemów informacyjnych, zwierzęta i rośliny, zewnętrzne instalacje „Europy II”. Zapamiętał jednocześnie wszystko, zarejestrował sytuację i podziękował prowadzącemu, bo to on dal mu ten moment. Zapadł się w ciemność i pustkę. I czuł, że wraca.

Po długiej chwili czasu, który już odczuwał, otworzył oczy. Zamiast obrazu sali miał przed oczami kolorowe plamy wolno rozplływające się na boki. Do uszu docierały ciche pojedyncze, niezrozumiałe słowa. Czuł się strasznie zmęczony - jak nigdy dotąd przez całe życie. Dźwięk słów zaczął przybierać składne formy. Mówił mężczyzna o niskiej barwie głosu.

- ...w historii Centrum. Pełny zapis analizują właśnie w Sekcji Przetwarzania... Pułkownik przytomnieje. Dajcie jeszcze trochę energii na głowę, ręce niżej, teraz dobrze.

Obraz wyostrzył się. Przed nim na jednym kolanie klęczał lekarz Centrum w błękitnym kombinezonie i trzymając dłonie nad jego głową uważnie mu się przyglądał. Twarz miał skupioną i uważną. Po chwili lekko się uśmiechnął.

- Panie pułkowniku, jak się pan czuje?

Trainer spojrział w górę na kilkanaście rąk nad sobą, a potem zobaczył mokre plamy wokół siebie.

Cały kombinezon był mokry, jakby Trainer właśnie wyszedł z wody.

- Wydaje mi się, że już dobrze - zawahał się - czy było źle?

- Oddał pan bardzo dużo energii, ale już jest w porządku - odpowiedział lekarz - wie pan, że przekaz trwał 18 godzin?

Trainer odruchowo dotknął rękami swojego korpusu, jakby sprawdzając czy istnieje. Wywołało to śmiech zebranych. Ręce zaczęły opadać.

- Wszyscy po tej informacji zareagowali tak samo - skomentował lekarz - oprócz Jiddu.

- Gdzie on jest? - zapytał Trainer.

- Wyjechał dwie godziny temu - odpowiedział siedzący z tyłu Anderson - tak jak pozostali.

- Jeżeli czuje się pan na siłach, to może pan już skorzystać z natrysku - dodał lekarz - to była najszybsza kuracja odchudzająca, jaką ostatnio widziałem. Schudł pan, podobnie jak pułkownik Anderson, o cztery i pół kilograma. Następne dwie godziny upłynęły Trainerowi na zdawaniu sprawozdania. Kiedy skończył, wydało mu się nagle, że jest wielkim oszustem. Mówił o stanie statku, załodze, Holmsenie, sobie i przebiegu akcji, ale w części „wnioski” podał tylko argumenty za rozwojem psychotronicznych metod łączności ze statkami w odległościach pozaradiowych. Wnioski sformułowane były błyskotliwie; mogło to mieć znaczenie przy awansie na wyższe stanowisko. Ale pod zawodową maską Trainer z trudem powstrzymywał tłoczące się myśli.

- Wiesz dlaczego Holmsen chciał żyć? - zagadnął Andersona w połowie milczącego obiadu i nie czekając na odpowiedź, którą Anderson musiał znać, powiedział: - Do życia mogło go ciągnąć przywiązanie, potrzeba kontynuowania wyprawy, chęć zakończenia Misji... Ale to nie był powód.

- Nie - potwierdził Anderson.

- On wiedział od siedmiu lat co najmniej to, co my wiemy teraz - kontynuował Trainer - on wiedział co się z nim stanie, gdy znajdzie się w tym miejscu korytarza. Wiedział na długo wcześniej, że To musi nastąpić.

Anderson drgnął zdziwiony.

- Mam podobne odczucie, ale dlaczego on się poddał?

- Myślę, że to nie było poddanie - Trainer odsunął talerz i wytarł usta.

- Nie rozumiem...

- Nie odniosłeś wrażenia, że to nie powinno się być w ogóle zdarzyć? Sześćdziesiąt tego typu urządzeń i siedemnaście kilometrów korytarzy, z których trzy kilometry przylegają do identycznych miejsc, jakie zostały objęte wybuchem. I on jeden. To była ta tajemnica, o którą wszyscy się ocieraliśmy przy analizie.

- Co masz na myśli?

- Sądzę, że on dużo wcześniej od nas zdał sobie sprawę, że żadna doskonałość nie jest i nie może pozostać bezkarna. Może to zabrzmiało irracjonalnie, ale teraz nie mam już dawnych wątpliwości. Ta Misja to obelga dla Najwyższego Ładu Natury. Każdy skuteczny krok w kosmos to naruszenie prawa Chaosu. Każda udana próba założenia przyczółka cywilizacji to Wyzwanie. Dlatego w historii obowiązuje prawo cykliczności wojen i pokojów, rozkwitu i stagnacji; po epokach rozwoju cywilizacji kulturowych - ich upadek. Tłumaczenia to opisowymi prawami rozwiązywało sprawę na etapie mechanizmów działania kryzysów. Wiedzano jak i kiedy, ale nie wiedzano dlaczego. Nigdy nie zdawano sobie sprawy z tego, co wie już nasze pokolenie dzięki mentalistycy. Tu działa najbardziej niepojęte dla człowieka prawo - prawo entropii i uporządkowania. I nieważne czy to nazwalibyśmy walką dobra ze złem w kategoriach religii. Trendów rozwoju i stagnacji w kategoriach ekonomicznych uzasadnień wojen i pokojów. Dobrą

lub złą passą w życiu poszczególnych ludzi. Całe pokolenia wiedziały, że jeżeli człowiekowi długo się wiedzie, to należy się spodziewać, że zbliża się Jakiś dramat. Zjawisko znano jako feralność. Budziło instynktowny lęk. Szczególnie silny, jeżeli człowiek się jawnie i beztrosko z tego cieszył. Ale te pokolenia tylko wiedziały na podstawie doświadczenia. Bez odpowiedzi na pytanie: dlaczego? Ta wyprawa też była, upraszczając sprawę, kontynuacją takiego „radosnego pasma powodzeń”. Statek jest praktycznie niezniszczalny. Dzięki mentalistyce i technikom psychospołecznym załoga jako mechanizm też nie miała szans się „zepsuć”, ulec entropii, zniszczeniu. To właśnie było naruszeniem Prawa, że przypadek jako wykonawca Chaosu został na „Europie II” praktycznie wykluczony na 30 lat. Prawdopodobieństwo niewystępowania żadnej awarii stało się w tym okresie z punktu widzenia Entropii, niemal równe zeru. Jakaś katastrofa musiała nastąpić.

- Były dwie awarie, opisane w ostatniej radiotransmisji, którą wczoraj przejrzałeś. Choć i matematycznego punktu widzenia ich prawdopodobieństwo było praktycznie zerowe - powiedział Anderson.

- Właśnie - podjął Trainer - w transie zobaczyłem, że innych awarii w czasie następnych siedmiu lat nie było. Po prostu rozbudowano system zabezpieczeń wewnętrznych i zewnętrznych.

Przerwał i dłuższą chwilę milczał.

- Już siedem lat temu załoga odczuwała stany niepokoju, jakie poprzedzają nieszczęśliwe wypadki. My to nazywamy przecuciem, które jest może oznaką reakcji jakiegoś najwyższego zmysłu na Entropie. Ale oni tam nie dali szans spełnienia się tego przecucia. Stąd niepokoje, właśnie po udanych akcjach zapobieżenia napięciom międzyludzkim i awariom technicznym.

Znów przerwał, jakby się nie mógł zdecydować dokończyć.

- Myślę, że Holmsen rzucił największe wyzwanie naturze, na jakie człowiek do tej pory się zdobył. On wiedział, że musi sam zasymulować wyładowanie. Zasymulować, bo zamierzał przeżyć swoją śmierć. On wiedział, że kanonów Praw Natury nie można obejść wprost, bo być może w tej sytuacji w pewnym momencie bez żadnego powodu „Europa II” na przykład, uległaby nagłemu rozpadowi. A my uznalibyśmy to zdarzenie za fakt o nieskończenie małym prawdopodobieństwie i czulibyśmy się zwolnieni z obowiązku rozwiązania zagadki. Holmsen rzucił wyzwanie Entropii. Tuż po zakończeniu Przekazu bioenergii, w transie wejrzałem w system zabezpieczeń. Ten układ energizacji kapsuły badawczej, który uległ awarii, miał siedem obwodów zabezpieczeń, podczas gdy wszystkie pozostałe - osiem. Ten jednak został zdjęty na dwanaście godzin przed wypadkiem, a jak wiesz z teorii zabezpieczeń, pełne matematyczne bezpieczeństwo daje w tego typu urządzeniach system trzyobwodowy. System podwójnego dublowania. Pozostałe pięć założono DO opisanych w transmisji dwóch awariach. Roy Holmsen wiedział, że Entropia z tej szansy skorzysta!

- Ostrożnie William, jeszcze trochę i ją spersonifikujesz. Przecież to tylko opisowe Prawo Natury!

- Powiedziałem to w przenośni, choć taki wyłania się sens. Nie wiem jednak, dlaczego w medytacjach Nieznane nie ma cech suchych praw. Dlaczego cała historia mentalistyki i ludzkości w paranormalnych stanach poznania odkrywa nie wzory i zależności dynamiczne, czasoprzestrzenne i logiczne opisy materii, ale stany dobra i zła, miłości i pustki. I nimi opisuje świat tworząc techniki działania, z których my korzystamy ponad techniką materialną. Myślę, że Roy Holmsen zdjął tę blokadę i tylko tę jedną, jakby wymierzając tym jednym obwodem policzek wszechmocy Przyrody. Również tylko raz poszedł w to miejsce. Kiedy byliśmy w czasie transu w nim, jego żołądek był pusty od dwóch dni. Nie zawierał żadnej substancji odżywczej, która przy tego rodzaju obrażeniach mogłaby przyspieszyć śmierć. Dlaczego? Jak to wytłumaczysz?

- Nie wiemy również, dlaczego przyjechał do nas Jiddu - kontynuował Trainer. - On wiedział, jak sam mówiłeś, o wszystkim, zanim go poproszono o pomoc. A przecież on nigdy nigdzie nie jeździ.

- Myślisz że... - zaczął Anderson i przerwał.

- Myślę, że to podstawienie się wypadkowi było celowe. Jestem też pewien, że Holmsen liczył na naszą pomoc, właśnie taką, jakiej mu udzieliliśmy. Wliczył tę pomoc w akcję. Myślę, że zrobił to nie po to, by rozładować nieuchronność. Oczywiście upraszcam sprawę językowo. Nie wiem tylko dlaczego to zrobił? Wydaje mi się to wszystko najbardziej pokerową rozgrywką, jaką jestem w stanie sobie wyobrazić. I szczerze mówiąc nie czują się dobrze, kiedy zaczynam rozumieć skutki udanej akcji Holmsena.

- Czy dlatego, że pomoc odebrał z Ziemi, a nie od członków załogi, która była na miejscu? - zapytał Anderson.

- Tak - Trainer powiedział to bardzo cicho - tylko że Ziemia nie ma wielokrotnych zabezpieczeń wszystkiego.

Anderson wstał z miejsca i wrzucając naczynia do zsypu odpadków powiedział: - A zatem czekamy na raport z dyżurnych transów naszych mediów.

Pożegnali się przed drzwiami dźwigu nr 17. Na poziomie wyjścia z Centrum na otwartą przestrzeń parku Trainer odebrał mundur i drobiazgi. Na placyku podjazdu przystanął i z przyjemnością wciągnął w nozdrza cudowny zapach jesieni. Aleja wysadzona złotymi grzywami kasztanów zachęcała do spacerów. Wrzucił mundur do czekającego służbowego wozu i ruszył pieszo w stronę lądowiska. Nie uszedł jednak kilometra, kiedy z jadącego za nim wozu wychylił się dyżurny oficer.

- Panie pułkowniku, połączenie z Centrum, Pułkownik Anderson na linii.

Zawrócił na pięcie i wsiadł na tylne siedzenie. W trójwymiarowym ekranie monitora wbudowanego w tył przedniego fotela czekała pomniejszona postać Andersena.

- Mamy pierwszy raport z widzenia 3 12A. Organizm Holmsena jest zregenerowany w dziewięćdziesięciu sześciu procentach. Proces odnowy tkanek na skutek pobudzenia bioenergetycznego w czasie Przekazu przebiega kompleksowo. W czasie najbliższej godziny przewidywane jest odtworzenie się całej powierzchni skóry i zanik śladów pourazowych. J 11A zrelacjonował kolejne etapy biologicznego odtworzenia. Holmsen jest przytomny i nie ma nawet szoku pourazowego. To jest prawdziwy sukces, pułkowniku Trainer. Prezydent będzie z pana dumny. Głos zawibrował lekkim sarkazmem.

- Tak, to jest sukces, pierwszy prawdziwy sukces naszego Ośrodka, również dzięki panu, pułkowniku Anderson, dziękuję za współpracę - odpowiedział oficjalnym tonem Trainer. Z trudem ukrył nutką cierpkiej autoironii.

Kiedy ekran zgasł, spojrzął na czasomierz, ale nie było go w rękawie bluzy.

- Która godzina, poruczniku - rzucił w kierunku oficera za konsoleta sterowniczą.

- W Karlgoro?

- Taki

- Za minutę osiemnasta - padła odpowiedź.

Skinął głową i wóz ruszył z dużą szybkością aleją w stronę lądowiska, na którym kołował wojskowy lądownik, którym tu przybył.

Marek Baraniecki - Teatr w dolinie ciszy

Tylko raz na sześćset lat gasną wszystkie kontrolne wskaźniki w sterowni krążownika dalekiego zasięgu - „Pumy Orion”. Zdarzenie to, po tak długim czasie, jest czymś nierealnym. Tak jak nierealne jest wyrwanie się z wieczności. Ekran i holoprojektory już nie odpowiedzą na żaden impuls ciała. Żaden zmysł organizmu nie odbierze informacji. Wytarte płaszczyzny klawiatur, dźwigni, konsolet skazane są na ziemski ogień hutniczego pieca wraz z milionami ton konstrukcji korpusu. Nikt już nie będzie usuwał pokładowych awarii. Nikogo nie zainteresują przedmioty-świadki milionów Zdarzeń w przepastnych czarnych niebach kosmosu. Przed końcem przybędą tylko automaty, by wypruć sekcje i urządzenia przeznaczone do badań testowych. Dla kosmolotu powrót oznacza śmierć. Dla najlepszego pilota galaktycznego swojej epoki, Samuela Ditlocha, rozstanie. A po nim - nauka chodzenia.

Biegł przez niskie, rzadkie zarośla pracując rytmicznie płucami. Żar letniego dnia łał się z nieba. Krótkie spodenki i płócienna bluza o śmiesznym kroju łagodziły nieco skutki upału i zmęczenia. W ustach czuł śluz zmieniający się pod wpływem wysiłku w ślinotok. Pod pachami ściekał strużkami pot. Stopy pływały w obuwiu. Był zadowolony z chwili i z jej smaku.

Jeszcze rano spodziewał się powitania ludzi, ale nie chcieli go przywitać. Wysłali automaty, które przekazały instrukcje i odzież. Ale to rozczarowanie nie miało od godziny znaczenia. Od tej chwili obcował z Ziemią. Zimny ludzki automat, zdeformowany - przystosowany do organizmu Statku, biegł teraz, by się zmęczyć. Bił rękami po gałęziach, żeby nasycić się bólem, który był nowością. Biegł, by paść ze zmęczenia. Wysportowane ciało nie dało się jednak złamać. Zatrzymał się nagle i w ostatniej chwili na skraju skarpy. Pod nogami zaczynał się stromy stok prowadzący do niewielkiej doliny. Na wprost, poprzez zielen przeciwległego zbocza prześwitywały krasowe skałki porośnięte szarym mchem. W dole zamykając widok z lewej strony leżał staw, cały w wodnym pyłe grzmiącego wodospadu. Dużo łagodniejsze stoki po prawej przechodziły w płytki, szeroki jar. Porastał go młody las. Na jego skraju stał drewniany dom. Ubiór nie wchłaniał już potu. Co za uczucie! Zadrapania na rękach i nogach czerwienieją pręgami i nie znikają pod czułymi płaszczyznami medycznych emiterów. Nie ma już urządzeń! To jest Ziemia naga. Nieprawdopodobna, niewyśniona.

Zaczął wolno schodzić w dół. Myślał sprawnie i jasno. Analizował i notował w pamięci reguły gry, jakich miał przestrzegać podczas pobytu w tej okolicy. Wiedział, że nie spotka nikogo, zanim nie opanuje swoich odruchów. Powiedzieli, że ma czas. Nikt go nie będzie ponaglał.

Aż dojrzeje do następnego etapu. Zatrzymał się nad wodą i podniósł ręce do szyi. Zamiast zacisków skafandra znalazł miękki kołnierzyk. W wodzie ujrzał swoje odbicie i zdziwił się. Znał je przecież z wyłączonych ekranów sterowni. Ale one były wklęsłe lub wypukłe. I nie falowały pod wpływem kołysania powierzchni. Tam nie wolno było przyglądać się swojej twarzy. To też była gra, ale inna. Zbliżył się do swojego odbicia i zanurzył w nim usta. Pił długo i chciwie, czując jak woda wypełnia zimną watą żołądek. Wynurzył głowę parszcząc. Rozebrał się i skoczył. Kiedy wynurzył się ściśnięty zimnem, krzyknął: „Ciepłej!” Ale nic się nie stało. Wiedział, że tak będzie, zanim wyartykułował do końca polecenie dla nie istniejącego systemu stabilizacji temperatury basenu. Zdziałała wytresowana rutyną podświadomość. Przepłynął staw i wrócił. Po drodze „popęłnił” kilka czynności, jakie wykonywał na „Pumie”. A więc o tym mówił automat! Po następnej godzinie zaczął doceniać ich intencje. W przeznaczonym dla niego domku znalazł samojezdną kosiarkę do trawy - jak wynikało z

przypiętej kartki - wraz z oprzyrządowaniem. Nie doszukał się w niej żadnych myślących czytników poleceń. Miała tylko prymitywne, elektromagnetyczne przełączniki funkcji. Korpus z zewnątrz i od środka gładki. Sprawdził ten fakt z niedowierzaniem. Pochylił się nad częścią tnącą. Zdziwiło go, że lakier był pozdzierany, a cała część robocza porysowana i miejscami nadkruszona. Zastanawiał się przez chwilę, co to może oznaczać. Czyżby to urządzenie już kiedyś pracowało? A jeśli tak, kto go używał? I dlaczego urządzenia nie zastąpiono nowym.

Dom zbudowano ze sztucznych pni imitujących drewno. Pachniało w nim ziemią i czymś prowokującym do kaszlu. „Wymiana powietrza!” - krzyknął z odruchową irytacją. Stał dłuższą chwilę na środku izby wsłuchując się w szum drzew docierający przez niedomknięte drzwi. Nic się nie stało. Ściany były martwe. Wchłonęły egoistycznie jego głos bez żadnej reakcji. Cofnął się w kąt i obrócił. Przypatrywał się długo perspektywie pustego pomieszczenia. Trzy wąskie okna szerokości pół metra, biegnące od podłogi do sufitu, rzucały ostro kontrastujące słoneczne pasma, w których wolno, ruchami mikroturbulencji unosiły się roje kurzu. Mózg Ditlocha bezwiednie ocenił stężenie części stałych w metrze sześciennym powietrza. Przekroczenie norm dwustukrotne. Inhibitory „Pumy” wymieniłyby tę objętość pomieszczenia w siedem sekund. Przy spiętych równoległe filtrach sekcji Ster. Pobór mocy trzynaście mikrowatów... Spod odruchowej oceny fizykaliów oderwał się strzęp indywidualnego doznania. Nagle zatrzymał toczącą się analizę przy ocenie obciążenia stosu. To nie ma sensu, pomyślał. Już nigdy nie będzie go miało. Nigdy, aż do ostatniego swojego dnia nie usiądę w fotelach sterowni.

Zrobił krok. Wyciągnął przed siebie ręce i zanurzył w smudze perlistego kurzu rozświetlonego ciepłym słonecznym światłem. Bawił się próbując uchwycić ją palcami. Posłuszna, jak kosmyki nieważkich włosów tańczyła w dłoni. Oplatała palce. Czuł jej ciepło, nieomal dotyk. Gdzie widział ostatnio takie kontrasty? Myślał chwilę i doszedł do wniosku, że w poprzednim życiu, przed lotem, bo nie mógł znaleźć niczego w pamięci. W galaktycznej przestrzeni były tylko światłość i czerń, obie absolutne i płaskie. We wnętrzach „Pumy” przez setki lat otaczało go światło bezcieniowe, sączone przez ściany, całymi płaszczyznami. Postanowił sam przewietrzyć dom. Przeszedł przez dwa sąsiednie pomieszczenia, ale nie znalazł automatyki wentylacyjnej. Bez efektów zakończyły się też poszukiwania otworów wywiewnych w sufitach. W końcu znalazł jednak rozwiązanie. Po krótkich oględzinach otworzył wszystkie okna. Powstał ciąg, który powoli zainicjował wymianę powietrza. Podmuchu były nieregularne, chwilami przygasaly, ale ucieszył się, że poradził sobie z tym problemem.

Pierwszy dzień upłynął na zwiedzaniu okolicy. Dwukrotnie chodził do stalowego, ażurowego kosza, w którym czekał na niego posiłek. Musiał przy tej okazji przebyć około pięciuset metrów, które pokonywał biegiem. Po każdorazowym przebiegnięciu tej drogi czuł wewnętrzne zadowolenie. Na „Pumie” przed rokiem podniósł ciężenie z 0,7 na 1,1 g. Teras mięśnie ćwiczone na przyrządach w sekcji witalizacji zdawały egzamin.

Meble były proste, ale wygodne. Pneumatyczne łóżko z klawiszowym inicjatorem kształtu pod wezłowiec. Niski szafko-stół na kółkach, dwa krzesła ze sztucznego drewna pokrytego pianoskórą, a raczej czymś, co ją przypominało. W komórce znalazł pojemnik z ubraniami i dwie sztuki broni. Jedna z mechaniczno-wybuchowym wyrzutem pocisku. Druga - rozpoznał ją po zapachu kolca Tufowego - karabinek plazmowy z poręcznym szorstkim uchwytem. Sporo też było drobnych narzędzi, częściowo mu nie znanych, ale przeznaczenia których się domyślał.

Pierwsza noc na Ziemi była niezwykła, pełna snów, których nigdy nie miał na pokładzie. Dziwnych, odkrywających przed nim jakieś zupełnie nieznanne pokłady świadomości.

Nazywam się Selon. Będę Twoim łącznikiem do czasu, aż zdasz coś w rodzaju egzaminu. Zaliczysz go wcześniej lub później. Życzę Ci oczywiście skrócenia tego czasu do minimum. A teraz o Tobie. Jesteś

tyśiąc trzysta siedemdziesiątym czwartym pilotem rewitowanym techniką Teatru Zdarzeń do warunków ziemskich. Zapamiętaj tę nazwę i zachowaj jej świadomość. Stan Twojej struktury psychicznej nie jest najlepszy. To zrozumiałe po tak długim okresie przebywania w sztucznym otoczeniu. Zmiany w Tobie są przemijające i mieszczą się w średnim niższym przedziale skali. Możesz czuć z tego powodu zadowolenie. Większość powracających miała podobne i na porównywalnym poziomie. Twoja percepcja jest analityczna, a pamięć spekulatywna. To cechy już niepotrzebne. Zredukujesz je sam. Obowiązkiem Organizacji rewitującej do dalszego życia w nowych dla Ciebie warunkach jest uczynić to w sposób konstruktywny. Co oznacza, że musisz i będziesz się kreował sam od podstaw. Zrozumiesz to po zdaniu wspomnianego egzaminu. Społeczeństwo, które zastałeś, zaskoczy Cię odmiennością od tego, w jakim się wychowałeś. Myślę, że będzie to zaskoczenie pozytywne i takiego odbioru Ci życzę.

Tutaj w Dolinie, przez którą przewinęło się kilka pokoleń powracających wypraw, miało miejsce wiele wartościowych wydarzeń. Wkrótce staną się one i Twoim udziałem. Przyjmiesz w tym celu warunki, jakie zostaną Ci nałożone. Jutro rano znajdziesz na stole kilka arkuszy literackiego monologu. Nauczysz się ich na pamięć. Jeden arkusz zawierać będzie scenariusz Twojego działania. Opanujesz go pamięciowo i wykonasz. Dwa słowa wyjaśnienia. Pomyślisz, że to wszystko jest dziwne i być może pozbawione sensu. Nie szukaj tego sensu, bo opóźnisz tylko cykl kwarantanny. Współczesną techniką moglibyśmy zaingerować w Twoją strukturę psychiczną w sposób praktycznie nieograniczony, co miewa miejsce w przypadkach pilotów z silnymi odchyleniami. Tylko oni przechodzą rewitację bezpośrednią i jako zdrowi wcielani są do społeczności natychmiast. Na Twoją psychikę nie będziemy czynnie oddziaływać. Porozumienie utrzymamy, na razie jednostronnie, za pośrednictwem takich rękopisów jak ten. Potraktuj to, co przeczytałeś, jako ostatnie służbowe polecenie i wykonaj możliwie najstaranniej, jak potrafisz, kiedy przyjdzie Twój czas, spotkamy się. Do tego momentu będziesz sam.

Odłożył kartkę i przeglądnął pozostałe. Zatrzymał się na scenariuszu. Prześledził go dwukrotnie. Po śniadaniu wyjął z futerału karabinek klasyczny. Szybko zorientował się w konstrukcji. Rozłożył „go na części i powtórnie złożył. Załadował dziewięć pocisków i zabezpieczywszy wyszedł przed dom. Patrzył długo w Dolinę, myśląc o gorących słońcach obcych układów i martwych planetach, na których pozostawił Spinacze Przestrzeni - wieczne przyczółki ekspandującej ziemskiej cywilizacji. Wsłuchiwał się w siebie zgodnie z poleceniem z pierwszego dnia. Ale nie czuł nic. Usiadł na trawie i położył karabin na kolanach. Biała ściana wodospadu rozkładała słoneczne światło na tęczowe barwy. Dużo wapnia, cez w normie, rozkład nieharmonijny w paśmie Millingtona - zarejestrował bezwiednie, patrząc na jej kręgi. Czuł wynik analizy fotochromatycznej, ale po dłuższej chwili wyparł go ze świadomości. Pomógł mu w tym wysoki wielotonowy dźwięk z oryginalną - jak mu się wydało - modulacją, który odwrócił jego uwagę.

Spojrzał w niebo i zobaczył ptaka. Krążył nisko nierównymi liniami. Kilkakrotnie zniżył lot ku łące, aż zdecydował się usiąść na zbutwiałej gałęzi o kilkanaście kroków od Ditlocha. Obserwował człowieka przekrzywiając kolorowy łebek. Gdzieś w pamięci plątała się nazwa gatunku, ale nie przypomniał jej sobie. Po raz pierwszy od lat coś zapomniał. Siedział patrząc na ptaka z lekkim zdziwieniem. Jutro zaczną zabijać, pomyślał, bowiem postanowił poddać się scenariuszowi. Jutro zaczną polować, poprawił się natychmiast, bo tak brzmiał scenariusz.

Światło błękitne, światło żółte. Odblask na sklepieniu łoża. Z ukosa widoczne wewnątrz obszernej kabiny z rojami seledynowych punktów. Milczące cienie foteli wycinających czernią kontury na tle tysięcy wskaźników komputerów krionicznych. Wystarczy szepnąć „dzień”, a przywita go głos, zapraszając do spędzenia ośmiu godzin na kolejnej porcji pracy. Gdzieś za plecami zbliżająca się w absolutnym milczeniu gwiazda, odczuwalna nabytym zmysłem przez wielowarstwowe pancerne poszycie

kadłuba.

Poraził go blask. Ditloch otworzył oczy i zaraz je zamknął. Leżał uświadamiając sobie po raz trzydziesty, że to nie wewnątrz kabiny. Usiadł opuszczając bose stopy na zimną podłogę. Bieg do jeziora? Nie. Wczoraj znów upolował sarnę. Trafił ją w głowę, kiedy przyglądała mu się z bliskiej odległości. Nie był z tego zadowolony. Pozostawił ją nad stawem do uprzątnięcia, jak poprzednio. Wyszedł przed dom i mrużąc oczy poszukał miejsca, gdzie ją zostawił. Leżała nadal. Pobiegł po śniadanie, a kiedy wracał, coś go zatrzymało w połowie drogi. Skręcił. Kiedy zobaczył ją z bliska, zrobiło mu się nieprzyjemnie chyba po raz pierwszy w życiu. Sklął system sanitarny za opieszałość, ale wiedział, że to też część gry. Pochylił się i dotknął ciała sarny. Była sztywna i twarda. O co tu chodziło? Czy o zadanie śmierci? Czy o jakieś prozaiczne cele. Ale jakie? Zakopał ją w ziemi nie wiedząc, co o tym myśleć. Przy śniadaniu coś się w nim stało. W połowie przerwał je konstatając, że nie ma ochoty na jedzenie. Szukał przez chwilę przyczyny, ale jej nie znalazł. Po prostu nie miał chęci jeść dalej. Przed obiadem przepłynął dwukrotnie staw w obie strony i poczuł głód. Pierwszy na Ziemi! Obiad smakował mu jak nigdy dotychczas. Samogrzejące opakowanie wrzucił do pojemnika z wodą i patrzył, jak rozpuszcza się nie pozostawiając po sobie śladu. Wodę wylał na trawę.

Tekst monologu był zbyt długi jak na to popołudnie. Do wieczora przeczytał całość kilka razy, męcząc się zapamiętywaniem. Nie było w tym żadnej analityki. Żadnego logicznego sensu. Żadnego fizykalnego następstwa. Tylko słowa. Słowa. Bez końca.

O jak piękna jesteś, przyjaciółko moja,

jakże piękna!

Oczy twe jak gołębicę

za twoją zasłoną.

Włosy twe jak stado kóz

falujące na górach Gileadu.

Zęby twoje jak stado owiec strzyżonych,

gdy wychodzą z kąpieli

każda z nich ma bliźniaczą

nie brak żadnej.

Nim wiatr wieczorny powieje

i znikną cienie,

pójdę ku górze mirry,

ku pagórkowi kadzidła.

Cala piękna jesteś, przyjaciółko moja,

i nie ma w tobie skazy.

Przymrużył oczy. Selon polecił mu, by mówił wyuczone partie głośno. Tak to określił bez precyzowania. Wybrał siłę głosu trzeciego stopnia - poleceń dla systemu żywnościowego:

... i znikną cienie,

pójdę ku górze mirry,

ku pagórkowi kadzidła.

Spojrzał w tekst. Poprawił się i nagle własna dłoń go zaskoczyła. Zmięła arkusz. Patrzył zdumiony na zaciśniętą pięść przez dłuższą chwilę. Potem rozprostował arkusz i wygładził go na kolanie. To była jakaś forma ingerencji w reakcje podświadome! Kiedy upewnił się w tym podejrzeniu, jego myśli ułożyły się w łańcuch indukcyjny. Przeczytał tekst jeszcze raz. Tutaj analiza logiczna nie miała punktu zaczepienia. „Oczy twe jak gołębicę za twoją zasłoną...” Podkreślenie tożsamości oczu kobiety i samicy

jednego z ptasich gatunków. Opis bierny lub zwrot... może do osoby, którą mu przedstawią. Skąd zasłona, skoro żadnych mikropól w czasie rewitacji mieli nie stosować. Chyba że jest to przekaz lateralny sugerujący pewną blokadę spojrzenia lub porozumienia wzrokowego. „...jak stado kóz falujące na górach Gileadu”. Góry nieznanne, trudność odniesienia do terenowych punktów umownych. Wyjaśnienie falowania prawdopodobnie w związku przyczynowym z okolicą. Dalej znów porównania lateralne. Jakże z kolei stymulujące znaczenie może mieć podkreślenie pełnego uzębienia przy braku alternatywy. Dalej obce nazwy: „mirra” i „pagórkowi kadzidła”. Kadzidło jest dopełnieniem. W tym zdaniu nie sugeruje uczuć, kolorów, cech geometrycznych. Choć możliwe, że jest to odniesienie do cech za jego czasów nie stosowanych. Całość materiału zdradza intencję Selona - wpłynięcie na podświadomość - choć nie ma w sobie najmniejszej spójności. Chyba że opanowali nowe, nieznane mu techniki. Późnym wieczorem, wyuczywszy się na pamięć dwóch arkuszy, zasnął zmęczony chaosem nowego, nieznanego jeszcze świata.

Twój pobyt w Teatrze przebiega bardzo poprawnie. Jestem z Ciebie zadowolony. Ostatnie trzy miesiące uwolniły Cię praktycznie od tak zwanej matrycy zachowawczej zespołu pilota. Zniknęło już podświadome odwoływanie się do homeostatycznych systemów współdziałania. Dzieje się w Tobie coś; czego nie rozumiesz i trochę się obawiasz. Tak ma właśnie być. Jest to kolejny etap kwarantanny. Zachowaj zmysł obserwacyjny i nie dbaj o analityczny. Znajdziesz się u progu nowych wydarzeń. Rozpoczną się, gdy opanujesz trzy arkusze nowego tekstu, jaki otrzymałeś, Selon.

Był zły. Krzesło, które się złamało wczoraj, choć zabezpieczone prowizorycznie, chybotąło się trzeszcząc niebezpiecznie. Odłożył instrukcję Selona i wstał. Zaniósł krzesło do komórki i zatrzasnął drzwi. Od dwóch tygodni rzeczywiście działo się z nim coś nowego. Miał jakieś dziwne uczucie niemieszczenia się w Dolinie. Na początku wszystko wydawało się oczywiste. Teren Teatru był miejscem jakby doświadczalnym, umownym. Wszystko, co robił, wypełniało pewien program, wobec którego stał niejako obok. Czynności wykonywał tak jak na „Pumie”, analitycznie i chłodno, w konkretnym celu. Teraz owo poczucie celowości zniknęło. Tłumaczył to częściowo obserwowanym u siebie wybijaniem się z rytmu statku i uświadamianiem, że tamten okres w życiu definitywnie się skończył. Ale wielu rzeczy nadal nie rozumiał. Już sam ten fakt go irytował. Toczące się dni nie zdążyły w żadnym określonym kierunku. Poza tym trwały krótko i ujmowały bezproduktywnie z jego życia bezcenne części czasu, który tutaj biegł bardzo szybko.

Co siedem dni otrzymywał polecenie od Selona. Za każdym razem inne i jednakowo bezsensowne. Wspiąć się na skały, zaorać ziemię, strzelać do zwierząt. Jakże jest to społeczeństwo, do którego ma wrócić?

Trzy dni później, przed południem, zgodnie ze scenariuszem miał zapolować. Wykonał ze sprężynującego cięgna pętlę i zastawił na ścieżce, którą rano i wieczorem przychodziły do stawu zwierzęta. Scenariusz tym razem przewidywał użycie ciężkiego tasaka. Po raz pierwszy miał zabić zwierzę własnoręcznie. Wracając do domku, przystanął przy dwunastu kopcach ziemi leżących w dwóch szeregach wzdłuż ścieżki. Zakopywał tutaj upolowane zwierzęta, ponieważ od pewnego czasu nikt ich nie usuwał, a sam nie odkrył, pomimo poszukiwań, żadnego zbiornika odpadów. Ta część gry wydawała mu się najbardziej niejasna. Czekał, siedząc przy wodopoju z karabinkiem kulowym, i kiedy zwierzę przystawało, by się mu przyjrzeć, strzelał w głowę lub serce. Zaczynało go to marnotrawstwo materiału coraz bardziej irytować. Zaraz za irytacją szło coś, czego nie umiał rozszyfrować. Było to nieznanne uczucie.

Nad ranem następnego dnia samoczynna pętla zacisnęła się na tylnej nodze młodego, ładnego jelenia o krótkim porożu. Ditloch postanowił śniadanie odłożyć na później. Kiedy z tasakiem stanął przy pułapce,

zwierzę leżało już na boku i ciężko oddychało. Pętla trzymała mocno i tylko rozerwana do kości noga świadczyła o bezskutecznych próbach wyrwania się z pułapki. Spojrzenia człowieka i zwierzęcia spotkały się. Patrzył długo w duże brązowe oczy, wilgotne i pełne tragicznego smutku. Wzdrygnął się. Wygląda jak żywy, pomyślał.

Zdecydował, że przetnie jeleniowi kręgi karku i odetnie połączenie głowy z tułowiem. Jeszcze tego nie robił, bo strzał załatwiał sprawę, a zwierzę w ciągu godziny, dwóch stawało się sztywne i łatwe do przeniesienia. Ujął mocno tasak i podszedł do jelenia od tyłu. Kiedy znalazł się o dwa kroki od zwierzęcia, jelen nagle i ku jego całkowitemu zaskoczeniu zerwał się na równe nogi. Linka ze śpiewnym jękiem naprężyła się podcinając Ditlochowi nogi. Zaskoczenie było tak pełne, że nie zdążył się zaasekurować. Uderzył plecami o trawę, a głową o gliniaste klepisko ścieżki. Na moment stracił świadomość, ale zaraz ją odzyskał czując piekielny i dotychczas nieznan ból w czaszce. Chciał się zerwać, ale przetoczył się tylko na bok. Wstrząs odebrał mu na chwilę poczucie kierunków. Z dziwnym smakiem w ustach, zaszokowany, usiadł wolno i rozejrzał się za zwierzęciem. Stało kilkanaście kroków dalej, na tyle, ile pozwalała mu linka sideł. Wstał, podniósł tasak i ocenił sytuację. Obliczył obwód najbliższego drzewa i porównał z długością linki. To wyjście zdawało się optymalne. Trzydzieści obwodów i zwierzę znajdzie się przy pniu, gdzie je zablokuje małym wysiłkiem mięśni. Zrobił to w kilkanaście minut, w milczeniu nacierając na jelenia. Zwierzę chrypiało i toczyło pianę. Okaleczona noga silnie krwawiła. Ditloch nie pominął odruchowej oceny wydatku wody przez powierzchnię ciała. Od zwierzęcia emanowało coś niepokojącego. Czuł wibracje subtelne niczym wiatr gwiazdny, kiedy krążył po wąskich orbitach słońc. Czyżby to miało być zapowiedziane przez Selona wydarzenie? Postanowił jak najszybciej skończyć tę męczącą sekwencję. Z całej siły przyparł jelenia do pnia własnym ciałem. Podniósł rękę z tasakiem, ale do karku było za daleko. Przesunął się do przodu blokując z całej siły zryw silnego cielska. Kiedy znów się zamierzył, zwierzę cofnęło się i głowa znalazła się przy ramieniu Ditlocha. Znów spotkały się ich oczy. Ten moment zadecydował o dalszym biegu wydarzeń. Tasak opadł na trawę, a Ditloch odbiegł kilka kroków i padł na kolana. Wybuch wściekłości zagłuszył na chwilę pierwszą w niemal wiecznym jego życiu chwilę - tłoczące się myśli.

Ten jelen jest jak żywy, krzyczał w myślach, oczu nie można tak podrobić. Jeżeli zainstalowana jest w nich fantomatyka hipnotyczna, to by znaczyło, że Selon kłamał zapowiadając nieużywanie bezpośredniego nacisku.

Nagle otrzeźwiał. A jeżeli to kłamstwo? Odwrócił się. Zadanie było nie wykonane i wiedział, że go nie wykona. Podszedł do jelenia i pochylił się nad zaciśniętą pętlą. Przez ułamek sekundy zatrzymał wzrok na poranionej nodze, białych kościach, poszarpanej tkance. Zwolnił blokadę otwierając pętlę. Jelen zrobił kilka kroków kulejąc, zawahał się na moment, jakby nie dowierzając, że jest wolny, po czym zniknął błyskawicznie między drzewami. Ditloch wolno usiadł na ziemi patrząc w stronę, skąd dobiegły go ostatnie trzaski gałązek. Siedział długo, nie mogąc złożyć epizodów wydarzenia w jedną całość. Zaskoczyła go sytuacja, ale jeszcze bardziej zastanowiły własne reakcje. Balast niepokoju przydusił ciężarem okolicę mostka i uświadomił, że Ditloch przestaje być najlepszym pilotem galaktycznym swojej epoki.

Był tak pogrążony w rozmyślaniach, że dopiero po kilku sekundach wyprężył się, czując na ramieniu ciepłe dotknięcie ludzkiej dłoni.

Jeżeli zapytasz siebie, dlaczego?, nie szukaj odpowiedzi w przeszłości. Wszystko, co czujesz, jest ułamkiem tego, w co musisz się wyposażyć na najbliższe kilkadziesiąt lat. Tyle trwa ludzkie życie, u Ciebie powiększone o długi, ale przecież skończony odcinek czasu. Ludzie, których spotkasz, są również w trakcie kwarantanny, byli członkami załogi „Kapitana Magellana”, o którym uczyłeś się jeszcze jako

dziecko. Aż do odwołania obowiązywać Cię będzie zakaz rozmawiania o waszych doświadczeniach z pobytu w przestrzeni. Do odwołania nie wolno wam rozmawiać ze sobą w ogóle. Kierunek zmian przystosowawczych jest dla Ciebie nadal korzystny. Selon.

- Miałem polecenie obserwowania ciebie, od kiedy przestali usuwać zabite zwierzęta - mówił Selon dwa tygodnie później. - Przyznam się, że nie wpadło mi do głowy, że traktujesz je jako urządzenia, homeostaty. Chwilami czułem do ciebie niechęć, kiedy patrzyłem, jak zabijasz je, wydawało się, z zimną obojętnością, zupełnie bezbronnie i nieświadome zagrożenia. Dopiero kiedy zaczęłeś wymiotować, tam przy wodopoju, gdy ci powiedziałem o twojej pomyłce, zrozumiałem, jak różniły się doświadczeniami.

Samuel Ditloch siedział oparty o ścianę domku, blade, ale zewnętrznie chłodny jak zwykle. We wnętrzu czuł się jednak chory. Przechodził stany, o jakich całkowicie wśród gwiazd zapomniał.

- Tam, gdzie jest wszędzie pustka dla żywego organizmu niewyobrażalna, smak i sens żywej inteligencji jest czymś tak niewypowiedziane niezwykłym... to słabo powiedziane... - zawahał się. - Nikt nie jest w stanie tego opisać, gdyby chciał. Sam wiesz, co to oznacza?

Selon powoli skinął głową.

- W takiej beznamiętności - kontynuował Ditloch - nieskończoności we wszystkich kierunkach przestrzennych i czasowym dopiero zaczyna rozumieć się coś, co nie powinno, nie miało prawa się zdarzyć. To znaczy życie. Tam... to znaczy wszędzie, jest... nic. To też nie to słowo. Ta nieskończoność odrealnia. Mógłbyś uwierzyć, że Ziemi nie ma. A jeśli wiesz, że się na niej urodziłeś, to znaczy zostałeś urodzony przez żywą istotę, która też jest z Ziemi, to... wracając wydawało mi się, że przez tę nicość bez końca każdy żywy organizm jest w jakimś unikalnym sensie nietykalny, święty. Za moich czasów cywilizacja szła w stronę dublowania wszystkiego, co żyje, by oszczędzać zagrożony wówczas stan zasobów żywego materiału, żywej przyrody, wszystkiego, co wydała Ziemia. Wszystkie zwierzęta, na które mogliśmy polować, były homeo. Bez czucia, idealne kopie. Nie byłbym w stanie podejrzewać, że cokolwiek mogłoby się zmienić, nawet w jednostkowej skali. Nie podejrzewałbym, że mogliby mnie tak przywitać. Zabiłem dwadzieścia żywych stworzeń, a za każde tam...

Zapadła cisza. Dopiero po długiej chwili odezwał się Selon.

- Jak wytrzymałeś w tak dobrej formie?

- Nie było zagrożenia. Medyczny Dubler zajmował jedną piątą statku. Nie wiem, jak to działało, i nigdy nie usiłowałem dociec. Po prostu, kiedy zaczynałem czuć się źle w sensie psychicznym lub fizycznym, kładłem się i zasypiałem. Budziłem się dobry. On usuwał wszystko, co mi szkodziło, za pomocą integralnych systemów zawierających wzorzec mojego ciała i psychiki. W siedemdziesiąt lat po twoim odlocie techniki dublowania żywych systemów poszły mocno do przodu. Na statku wszystkie pomieszczenia mieszkalne i robocze były objęte działaniem systemu.

Selon pokręcił głową.

- Trudno mi to przyjąć tak bezkrytycznie. Nas było dwustu siedemnastu, a i tak kłopoty wynikłe z poczucia izolacji zaczęły się niemal od początku. Kiedy wylatywaliśmy, o technikach syntetycznego zastępstwa dopiero zaczynało się mówić. Trochę żał takiego nakładu wysiłku, by umieścić Spinacze zaledwie na czterech planetach. Pomimo świadomości, że takie są prawa i wady rozwoju cywilizacji. Ile ty umieściłeś?

- Siedemdziesiąt sześć. Większość w przestrzeni - odpowiedział Ditloch. - Teraz robią to pewnie z niewyobrażalną wydajnością.

- Już to zrobili. - Selon narysował palcem na ziemi figurę z kilkoma cyfrowymi indeksami. - Od kilkunastu lat system działa. Żałuję, że nie wolno mi więcej ci przekazać. Nie masz pojęcia... - urwał. Zamazał rysunek i dodał: - Jak widzisz swoją przyszłość?

- Nie rozumiem, jak mogę przy braku jakichkolwiek przesłanek coś planować.

- A gdybyś ich nie otrzymał?

Ditloch spojrział na Selona podejrzliwie:

- Byłeś po tamtej stronie?

- Tak.

- Jak to oceniasz?

Selon zamyślił się. Z widocznym wahaniem, czy nie przekazuje zakazanych informacji, odpowiedział:

- Nasze daty urodzenia dzieli prawie sto lat. Ale to jest mało. Sam się przekonasz, jak mało w stosunku do zmian, jakie nastąpiły potem. Mnie wprowadzał w kwarantannę człowiek urodzony jeszcze wcześniej. Taką przyjęli praktykę. Wkrótce być może ty będziesz na moim miejscu, chociaż masz jeszcze daleko... Wyleciałeś później, a to cię stawia w trudniejszym położeniu. Ja, widzisz, strzelając do zwierzęcia nie pomyślałbym, że może być sztuczne. Wiesz, co to jest teatr?

Ditloch zastanowił się:

- Przekaz informacji w stylizowanej formie. Kopiowanie akcji o określonym toku, przebiegu. Przejaw nie opanowanego operowania na zbiorach informacji. Przed moim lotem był już w zaniku jako nieefektywna forma przekazu.

Selon uśmiechnął się.

- Za twoich czasów prawdziwy już nie istniał. O teatrze w moim okresie nikt nie powiedziałby, że jest nieefektywną formą przekazu, operowaniem na zbiorach. Nawet najsilniejsze umysły ścisłe bywały w nim nie po to, by czerpać informacje. Mierzenie jego efektywności nie miało sensu. Teatr to było życie. Wywodził się z napięć i stresów. Przekazywał nie tylko informacje, ale przede wszystkim emocje, nastroje. Był tym, czego nie da się do końca zanalizować.

- To znaczy opisywał stany niekontrolowane - wtrącił Ditloch.

- Takie jak wczoraj - skontrował Selon.

Ditloch popatrzył podejrzliwie na niego i odpowiedział z ociąganiem:

- Widocznie nie zrozumiałem jeszcze zasad gry, skoro nie pojmuję, dlaczego mając pełny obraz zjawiska uciekasz się do nieokreśloności. Zakładasz sztuczną umowność. Jak to wszystko tutaj.

Zrobił ruch ręką, wskazując na Dolinę, która wszystkimi barwami jesieni grała w płomieniach zachodzącego słońca.

Nazywam się Viktoria. Prowadziłam w Teatrze Selona. Teraz poprowadzę Ciebie. To będzie trwało zresztą dość krótko. Tak myślę. Selon jest już po tamtej stronie. Od dzisiaj nie będziesz już uczył się tekstów. Powtarzaj tamte. Będą Ci potrzebne, kiedy się spotkamy. Ale o tym później. Mam dla Ciebie wiadomość. Twój statek „Puma Orion” został w ubiegłym tygodniu pocięty, a dzisiaj rano ostatni jego fragment, Twoja kabina, przetopiony w stalowni Haaven. W serwisie ziemskim podano też wiadomość, że wróciłeś. Aha, w komórce znajdziesz ciepłą odzież. Dbaj o staranne ubieranie się, kiedy spadnie śnieg. W Teatrze nie ma Dublera.

Odłożył kartkę i podrapał się po długiej brodzie. Dlaczego mam się starannie ubierać? To już przestaje być umowne. W komórce leżała odzież. Kombinezon jednoczęściowy z gęstym włosiem od wewnątrz. Drugi z cienkiego materiału. Długo i z niedowierzaniem szukał systemu biostabilizacji. Nie znalazł go. Był rozdrażniony i przeniknięty niepokojem. Bardziej niż brak systemu biostabilizacyjnego w ubiorze, uderzyła go wiadomość o likwidacji statku. Jego statku.

Wyszedł przed dom trzymając w rękach kombinezony. Oddychał pełnymi ustami, czując rosnącą i nieodwracalną destabilizację nastroju. Wiadomość o kasacji statku, w którym spędził wieczność,

wstrząsnęła każdą cząstką jego ciała. Fakt, że było to wydarzenie oczywiste i przewidywane, nie miał teraz żadnego znaczenia. Nastąpił kres doskonałości.

Środowisko, dla którego celem ostatecznym był człowiek, Samuel Ditloch, nie istniało. Dopiero teraz skończyło się Trwanie.

Odwrocił wzrok w kierunku wodospadu i po raz pierwszy, ku swojemu zdziwieniu pomyślał, że ten wodospad jest piękny. To wrażenie nie miało żadnego analitycznego sensu, ale niespodziewanie otworzyło blokadę zbierającego się lęku i przykrości, przynosząc ulgę. Ulgę podobną do tej, znanej z tysiącznych nocy, w czasie których Dubler pracował z opiekuńczą skwapliwością i precyzją. Tutaj Dublera nie było. Istniał za to wodospad, piękny sam w sobie, i piękna dolina. To było odkrycie! Stał nadal nie wiedząc, co teraz nastąpi, aż poczuł potrzebę uwolnienia się. Coś uzyskał dzięki sobie i to coś musiał oddać... czemuś. Nie! Komuś! Viktoria! Ale jak to zrobić? Wpadł do domp, porwał arkusze i zatrzymał się bezradnie. Nie miał czym pisać. Zaklął. Wpadł do komórki. Nic. Myśląc gorączkowo, wrócił do pokoju.

Baza i nośnik! Oderwał od ściany długą drzazgę raniąc głęboko palec. Zasycał z bólu i zobaczył, jak płynie krew. Arkusze zapisane były jednostronnie. Usiadł przy stoliku. Umoczył drzazgę we krwi i przyłożył do białej powierzchni. Pierwsza litera przypominała błąd komputera graficznego. Druga też. Ręka była oporna. Drgała. Tworzyła kanty i zaciągnięcia. Nie umiał pisać! Zapomnienie. Zacisnął usta i dokończył to, w co władował całe uczucie chwili. Spojrzał na efekt. Od lewego górnego rogu, ukosem w dół ledwie czytelne kulfony ułożyły się w zdanie:

WODOSPAD JEST PIĘKNY

Siedział sztywno czując, jak przenika go mróz i coś zaciska szczęki. Więc to jest efekt jego przeżycia? Efekt sześciuset lat bez postawienia ręką jednej litery. Czuł, jak między nim a nieznaną jeszcze Viktorią wyrasta szczelny, wysoki mur nie do przebycia. Czy to było celem kwarantanny? Udowodnić niemożność porozumienia irracjonalnego? Przekonać o bezradności superwiedzy wobec podstawowego kontaktu? Zmusić do myślenia lateralnego, którego ludzkość tak długo nie mogła pokonać? Obalić najdoskonalsze ideały epoki Ditlocha. Dlaczego? Dlaczego nie stosują Dublera, skoro to jest najlepsza rzecz, jaką wymyślono. Najpragmatyczniejsza. Najdoskonalszy system zapewniający człowiekowi idealne, humanitarne warunki życia. Dlaczego dopuszczono, by poczuł się teraz taki bezradny. Taki przemijający, kiedy znał już smak wieczności. Jej dobry smak. Pełen stabilizacji, ale i dynamizmu. Bezpieczny, ale, i nie nużący. Celowy i sensowny. Dlaczego od miesięcy wykonuje polecenia, które są takie dziwne i obce naturze. Jego naturze. Jak teraz, kiedy czuje zupełną niemożność przekazania i wymiany informacji. Odczuć! On! Pogromca przestrzeni!

Wieczorem poczuł klucie w płucach. Dwa następne dni przeleżał czując, że kończy się jego istnienie. Zdawało mu się, że płuca przeziębione (?) na wietrze żyją własnym życiem. Nie znany mu kaszel otworzył jeszcze jedne zamknięte przed jego poznaniem drzwi. Trzeciego dnia znalazł na stoliku kartkę.

Nic Ci nie zagraża. To zwykły kaszel i lekkie przeziębienie. Idź po pożywienie i pokonaj słabość. Viktoria.

Ubrał się w oba skafandry. Za grubo. W połowie drogi, którą przebył chwiejnym krokiem, pot zalał mu oczy. Rozpiął część magnetycznych szwów futra. W pojemniku na pożywienie leżał stos nie wybranych opakowań. Otworzył pierwsze, jakie trafiło mu do ręki. Zawartość zjadł z wilczym apetytem. Wracając czuł przesyt, który przywrócił myśli sprzed dwóch dni. Zatrzymał się na skarpie i długo stał patrząc na biały żywioł grzmiącej majestatycznie wody. Znów pomyślał, że jest piękny. Ale tym razem spostrzeżenie było dojrzałe, jakieś inne, pełniejsze. Wielowymiarowe i nieuchwytnie.

Wtedy zobaczył idącą w jego kierunku postać. Stał czekając, aż podejdzie. Drugi człowiek Ziemi, pomyślał. Po miesiącach samotności w Dolinie, z od lat przygotowanym programem powitania

pierwszych ludzi, który rozsypywał mu się w proch. Już po raz drugi, po Selonie, stał bezradny.

To była Viktoria. Piękna i inna od ludzi, wśród których wyrósł. Tak inna jak Selon. Ale jednocześnie inna niż on, w jakiś nieuchwytny sposób. Zatrzymała się o trzy kroki od niego. Milczała. On też. Czuł sztuczność sytuacji, która przeciągała się coraz dłużej. Ich spojrzenia trwały nieruchome, aż rozeszły się. I co teraz? pomyślał czując, że traci szansę kontaktu. Tego systemu nic nie opanuje, żaden Dubler. To przerasta możliwości najlepszego systemu. Na zbiorze otwartym nikt już nie zbuduje wiążącej teorii. Na jego podstawie nie zadziała żaden kompleks informacyjny. Kiedy poczuł, że jest zaprzepaszczony wraz ze swoim chaosem, Viktoria zaczęła mówić cichym, ciepłym tembrem:

Gdy król wśród biesiadników przebywa,

nard mój rozsiewa woń swoją.

Mój miły jest mi woreczkiem mirry

Wśród piersi mych położonym.

Gronem henny jest mi umiłowany mój

w winnicach Engadii.

Od miesięcy znał te sztuczne słowa, które nic nie znaczyły. Teraz poczuł, że odkrywa to, co do odkrycia było niemożliwe. Ulotne i przemijające jak życie na Ziemi. Słowa były boskie. Ciepłe i pełne treści. Przewrotnie sztuczne w tej sytuacji i jednocześnie pełne wyzwolenia z pułapki:

O jak piękna jesteś, przyjaciółko moja,

jak piękna,

oczy twe jak gołębice...

Belkami domu naszego są cedry, a cyprysy ścianami.

Na języku poczuł słony smak potu spływającego z twarzy i pomyślał: Witaj, Ziemi nieskończenie niedoskonała. Pełna przemijania. Precz z wiecznością! Niech żyje Sztuka!

Nazywam się Samuel. Będę Twoim przewodnikiem w Dolinie Ciszy. To jest teren Twojej kwarantanny. Spędzisz tutaj pewien czas niezbędny do przygotowania się do nowego życia w innym społeczeństwie. Wierzę, że to społeczeństwo zaakceptujesz, jesteś tysiąc trzysta osiemdziesiątym czwartym człowiekiem rewitowanym w warunkach Teatru Zdarzeń po długotrwałym przebywaniu poza Ziemią. Będiesz jego aktorem aż do chwili czegoś w rodzaju sprawdzianu: gestem przekonany, że zdasz go z powodzeniem, jak wielu członków załóg przed Tobą. Będziesz wykonywał polecenia, które traktuj jako ostatnie służbowe polecenia w Twoim życiu. Nie staraj się od razu zrozumieć ich sensu. Ich cel znajduje się nie tam, gdzie będziesz się spodziewał go znaleźć. Zrozumienie przyjdzie z czasem. Daremne na razie poszukiwania mogłyby tylko opóźnić opuszczenie Doliny. W komórce znajdziesz meble, jedno krzesło jest połamane. Może uda Ci się je jakoś naprawić. Na oknie stoją materiały piśmienne. Może Ci się kiedyś przydadzą. Kontakt między nami będzie na razie jednostronny, poprzez arkusze pisane przeze mnie, na niektórych przedstawię Ci literackie teksty. Naucz się ich na pamięć. Załączam też harmonogram czynności, jakie w tym tygodniu wykonasz.

Życzę powodzenia.

Eugeniusz Dębski - Przetarg

- No i jak? - Harvey rzucił kapelusz na wieszak i podszedł do Liz. Pochylił się lekko i pocałował ją w policzek.

- Doktor mówi... - zawiesiła głos, jakby nie była pewna, czy może to powiedzieć głośno.

- Że co?

- Że chyba dzisiaj... - spojrzała na Harveya. Ujrzała w jej spojrzeniu niczym już nie tłumioną radość.

- Jak sądzisz... - Harvey przełknął ślinę. Pożałował już, że wdał się w tę rozmowę; mimo wszystko brzydził się własnej radości, a już ten triumf w oku Liz wstrząsnął nim.

„A przecież nie jestem wcale lepszy od niej. Też myślę tylko o tym, ile kto dostanie po śmierci ojca. Nawet nie: ile kto?, tylko ile ja? Ale, w końcu, coś mi się również należy od życia. Nie mogę ciągle...”

- Coś zaczęłaś mówić? - Liz spojrzała, jak mu się wydało, z lekką drwiną. Mesjasz Tavera miał rację - najzdolniejsza w całej rodzinie. Najwięcej dostanie.

- Nieee... Nic ważnego... - Harvey zaczerwienił się. Czuł, że na czoło występują mu krople potu. Liz rozejrzała się dookoła. Pchnęła go i wskazała na bibliotekę.

- Wejdz. Musimy porozmawiać.

Ruszył posłusznie. W progu przepuścił ją przodem, wszedł i zamknął dokładnie drzwi. Przedtem jeszcze rzucił okiem na hali. Pusto. Nikt ich chyba nie podejrzwał. I nie podsłuchał.

Liz podeszła do barku, otworzyła go bez skrępowania i nałała obojgu spore porcje. Jeszcze parę dni temu... Wskazała na kanapę pod ścianą.

- Słuchaj, po co mamy się nawzajem oszukiwać? Wszyscy w tym domu nienawidzą ojca, nie zaprzeczaj, podniosła rękę. Gest Liz uratował go od kłamstwa. - Sam sobie winien. To on zrobił sobie z nas bezpłatnych współpracowników, wydajnych i ofiarnych, bo smaganych obietnicą pieniędzy po jego śmierci. No co? Nie pamiętasz, jak mówił, że tylko ci, co mają coś w głowach i wykorzystują to w pracy, mogą liczyć na spadek po nim? Nie pamiętasz, jak ten... ten... - nie mogła znaleźć odpowiedniego określenia - ...tyran poganiał nas jak niewolników? Jak nas budził po nocy, bo wpadł mu do głowy „jakiś nowy pomysł?” A tak naprawdę robił to nam na złość, sam już nie sypiał od paru lat. Tak! Nienawidzę go! Tylko dlatego mogłam wyjść za twego brata, że jestem projektantką systemów komputerowych i przydałam się twemu ojcu w pracy. I tylko dlatego mogłam po samobójstwie Roberta pozostać w tym domu! Despota! Zniszczył nam wszystkim życie. Dla swoich odkryć, dla swej sławy. A my? Zawsze autorem kolejnych prac był sam Mesjasz Tavera!

Siedziała bębniąc palcami w oparcie. Harvey chciał coś powiedzieć, ale rozmyślił się. Liz miała rację. Ojciec przekształcił dom w prywatny instytut, a swoją rodzinę w prawie darmowych pracowników, mułów roboczych, ciągle zresztą łajanych za niewiedzę, tępotę i rzekome lenistwo. Teraz wszystko się miało zmienić. Dostaną swoje, naprawdę uczciwie zapracowane, pieniądze i będą mogli zrobić, co tylko im się spodoba.

- Wiesz, postanowiłem zerwać z matematyką - wypalił niespodziewanie dla siebie.

- Myślisz, że ci się dziwię? - Liz spojrzała na niego z uśmiechem. Odprężyła się i uspokoiła trochę. - Ja też mam zamiar skończyć ze wszystkim, co może kojarzyć się z tym domem, z latami pracy tu i twoim ojcem podniosła szklaneczkę do góry. - Za nowe, piękne życie!

- Niech będzie, za nowe, piękne...

Wypili.

- Harvey, a co - jeśli to nie tajemnica - chcesz robić? Oczywiście Liz błyszczały, nie wiadomo, czy pod wpływem alkoholu, czy podniecenia spowodowanego faktem rychłego już otrzymania znacznej, na pewno znacznej, fortuny.

- Wiesz, chciałbym wreszcie zobaczyć świat, ludzi, Afrykę, Europę. Przecież siedzę w tym mieście i w tym domu całe swoje życie. Tyle pięknych rzeczy umknęło mi sprzed nosa. Mam już trzydzieści sześć lat! Trzydzieści sześć... Prawie nic z nich nie miałem.

- Posłuchaj... - Liz nie była już tak opanowana jak przed chwilą. - Nie wiem, czy wiesz... ale zawsze mi się... Jesteś dobry, nawet za dobry. Jesteś ludzki... Moglibyśmy... Tylko nie myśl, że ci się narzucam! - rzuciła gniewnie. - Ja już od dawna...Ale wiedziałam, że ten dyktator nie pozwoli nam i tak... Ciągłe liczył, że znajdziesz sobie jakąś programistkę, a ja konserwatora jego przeklętego komputera. Miał kłopoty ze średnim personelem technicznym - dodała z goryczą.

- Liz... ja... wiesz... Ja też... - Harvey patrzył w podłogę, nerwowo splatał i rozplatał dłonie. Drgnął, gdy Liz dotknęła jego ramienia. Odwrócił się do niej, chciał coś jeszcze powiedzieć, ale nie zdążył. Zawsze był fajłapą.

- Kiedy nauczyłeś się całować? Ty... - po długim pocałunku jeszcze raz musnęła wargami jego usta.

- Miałem w pokoju schowany telewizor - Harvey uśmiechnął się nieśmiało. - Czasem udało mi się obejrzeć jakiś film.

- Nie będziesz już musiał uczyć się z filmów - Liz odwróciła się po odstawione wcześniej szklaneczki. - Będziemy... - zaczęła, ale nagle do biblioteki dotarł stukot czyichś obcasów na schodach. Odkoczyli od siebie, drzwi otworzyły się i wsunęła się głowa Susan.

- Doktor... - zacięła się na widok zmieszanej twarzy brata. - Mówi, że to już...

Po chwili wszyscy byli na górze. Nad wyciągniętym na łóżku Mesjaszem Taverą pochylał się doktor Greenfield. Obok małego stolika siedział mecenas Fudge. Oprócz nich w pokoju był jeszcze mąż Susan, David, i siostra umierającego Mesjasza - Betty. Harvey i Liz stanęli blisko drzwi. Coś nie pozwoliło im podejść bliżej. Jakby mimo wszystko byli winni, jakby go oszukali. Harvey objął Liz ramieniem, spojrzała na niego z wdzięcznością i zdziwieniem. Jakby zmężniał, urósł. „To dobrze - pomyślała. - Robert był zbyt słaby, nie wytrzymał presji ojca. Harveya już nie pozwolę sobie odebrać!”

Mesjasz oddychał głośno, coś chrypiało mu w gardle. Oczywiście miał zamknięte, ręce wyciągnięte na kołdrze. Greenfield ujął wysuszony, upstrzony brązowymi plamami nadgarstek, pomedytował chwilę i spojrzał na zgromadzonych w pokoju. Harvey przełknął ślinę. Ciotka Betty chlipnęła - dla niej wolność przyszła chyba zbyt późno. Susan odwróciła się do męża.

Tavera odzyskał nagle przytomność. Dłuższą chwilę huczało mu w głowie, ale już gardło, dotychczas ściśnięte jakąś obręczą, stopniowo uwalniało się z ucisku. Zaczął oddychać normalnie. Z sekundy na sekundę czuł się lepiej, czuł że ma ręce i nogi. Spróbował otworzyć oczy.

Zobaczył swoją sypialnię i wszystkich w niej zgromadzonych. Zastygłych w bezruchu. Doktor, pochylony nad torbą, wkładał do niej stetoskop, Fudge patrzył w bok, gdzie zgromadziła się rodzina. Susan zamarła w pół obrotu do męża, David patrzył na niego szklanymi oczami. Dalej stali Harvey i Liz, objęci. Jeszcze dalej, pod oknem, siedziała jego siostra, zastygła w szlochu.

„Umarłem. Albo zwariowałem. Nie, nie zwariowałem... A więc umarłem! Ale w takim razie... Życie pozagrobowe”... A oni... jeden spieszy się do innego pacjenta, przedtem wyrazi współczucie i zgarnie honorarium, drugi funduje sobie darmowe obserwacje psychologiczne. A reszta po prostu się cieszy. I już się spiknęli... Tylko ta krowa... - pomyślał o siostrze. - Niezdary, beztalencia! Przez nich tak mało zrobiłem. Moje równania niespójne! Nie skończyłem... Szkoda...”

Spróbował podnieść rękę, ukazała się w polu widzenia, trochę drżała, ale skóra była napięta i

gładka! Usiadł. Nic się nie zmieniło, siedział na swoim łóżku otoczony kręgiem nieruchomych postaci. Jak w gabinecie figur woskowych.

- Hej! Wy tam! Coście tak postawiali?

Nikt się nie poruszył. To samo szklane spojrzenie Davida, ten sam nie dokończony szloch Betty. Tavera wstał z łóżka i już miał podejść do Greenfielda, gdy usłyszał:

- Niech pan ich nie dotyka, Tavera.

W małej wnęce po lewej stronie łóżka stał jakiś starszy pan o siwych skroniach, niezmiernie dystyngowany, w świetnie skrojonym garniturze. Odczekał chwilę, jakby chciał się upewnić, że Tavera dobrze go sobie obejrzał i zrobił dwa kroki do przodu. Wskazał Taverze łóżko, sam usiadł w stojącym pod ścianą fotelu. Oszołomiony Mesjasz posłusznie usiadł.

- Króciutko o nich - obcy ruchem ręki omiół pokój, wskazując wszystkich obecnych. - Nie można ich dotykać, żyją w innym czasie. Nasza dwugodzinna pogawędka wyda im się ułamkiem sekundy. Dlatego też każde dotknięcie odczują jak uderzenie kafara. Ale nie to jest ważne - machnął lekceważąco ręką. - Ważny jest pan, szanowny panie Tavera. Pan wie, że w tamtym czasie wskazał kciukiem na resztę pokoju - umiera pan?

- Kim pan jest? - Tavera odchrząknął.

- Spokojnie, spokojnie - obcy powiedział to łagodnie, ale Tavera, być może po raz pierwszy w życiu, poczuł że nie potrafi sprzeciwić się rozmówcy. - Sytuacja jest dla pana na tyle dziwna i nawet, powiedziałbym, niesamowita, że nawet pański umysł może mieć trudności z jej ogarnięciem. A czasu mamy... - zerknął na płaski jak płatek bibułki zegarek - ...tylko dwie godziny. Taaak... umilkł na chwilę, ale zaraz jakby się opamiętał, podniósł przepaszając rękę i uśmiechnął się ujmująco. - Niech się pan nie denerwuje, zdążymy.

Tavera zacisnął pięści. Ten typ zaraz się dowie... Przypomniał jednak sobie, jak przed chwilą „typ” zmusił jego, Taverę, do milczenia i przełknął tylko ślinę. Nieznajomy zrobił jakiś dziwny ruch ręką i wyciągnął ją do Tavery. Na dłoni leżały dwa cygara.

- Proszę - Tavera zawahał się. - To są naprawdę dobre cygara.

Były rzeczywiście wyśmienite, boskie! Czegoś tak dobrego Tavera w życiu nie palił.

- Panie Tavera... - nieznajomy starannie rozпалиł cygaro i wytchnął kłęb dymu. - Czy pan wierzy w opatrzność?

- No wie pan...

- To może inaczej - nieznajomy dość obcesowo przerwał Taverze. - Co sądzi pan o nieśmiertelności?

- Ha! Parę minut temu umierałem. Trudno, bym w tej sytuacji nie szukał dla siebie jakiejś furtki. Był u mnie pastor... - popatrzył uważnie w twarz nieznajomego. Aleee... panu nie o to chyba chodzi? - Nieznajomy potwierdził domysły Tavery kiwnięciem głową. - No to... chyba nie sprzedaje pan nieśmiertelności?!

- Właśnie tak - nieznajomy skromnie spuścił oczy.

- Gdyby nie cała ta sytuacja - Tavera powiódł rękę po pokoju - byłbym przekonany...

- Że pański rozmówca kwalifikuje się do leczenia w zakładzie zamkniętym - odpowiedział obcy.

- Tak, tylko że...

- I tu właśnie dochodzimy do meritum - nieznajomy uniósł do góry wskazujący palec. - Jestem wysłannikiem cywilizacji, która osiągnęła już chyba szczyt swoich możliwości. Nie mamy celu, do którego powinniśmy dążyć, brak nam motywacji istnienia. A bez tego... - rozłożył bezradnie ręce. - Szukamy jakichś dróg wyjścia z tej kabały i tu dochodzimy do Ziemi. Niewykluczone, że Ziemianie świadomie, czy nie, mogą nam pomóc. A jeżeli nawet nie - to obserwacja ludzi w działaniu jest dla nas bardzo przyjemną rozrywką. Dlatego też, co jakiś czas, proponujemy wybitnym jednostkom swego

rodzaju nieśmiertelność. Tuż przed zgonem odwiedzamy takich ludzi i oferujemy odmłodzenie i pracę u nas...

- A wy? Tylko się przyglądacie?

- Tak.

- Jak dorośli dzieciom? Z pobłażaniem i drwiną?

- Po co ta uszczypliwość? Bądźmy szczerzy, przecież pan dla swych celów poświęcił życie najbliższych. Niech im się pan przyjrzy, czy któreś z nich pana żałuje. A my aż takiego poświęcenia nie wymagamy. To jest interes. Leci pan do nas i pracuje nadal nad swymi równaniami niespójnymi, a zapewniam, że jest z kim u nas popracować i podyskutować, a gdy miną cztery tysiące lat, wraca pan na Ziemię. W innej postaci, dowolnej. Jeśli nie - zwijam pole i umiera pan w ciągu trzech, czterech minut.

- T-to draństwo! - Tavera szarpnął kołnierz piżamy. Ładna alternatywa! Umrzeć albo pajacować gdzieś...

- Cy-cy-cy-cy! - zacmokał nieznajomy. - Panie Tavera, nie wszystko jest takie proste. Bo jest to sprawa dość dla nas ważna, a przecież nie możemy zabierać stąd ludzi w rozkwicie sił. To by hamowało wasz rozwój. Chyba się pan z tym zgodzi? No i dając życie możemy i od was czegoś wymagać. Dodam, że nawet czasem przekazujemy na Ziemię coś wymyślonego przez rodaka. To są te tak zwane olśnienia. A pan... Cóż, pan jest postacią bardzo nas interesującą. Zbliży się pan do... E! Nieważne machnął ręką. - Dowie się pan później. To co? Cztery tysiące lat i wraca pan na Ziemię. Inni nasi pensjonariusze zgodzili się pracować dłużej.

- Dostali wyższe wyroki - mruknął Tavera.

- Cha-cha-cha-cha! Chciałbym posłuchać pana dysputy z Paganinim. To największy zgryźliwiec w naszym...

- Zoo?

- Hghm... Chyba pan przesadza, drogi panie Tavera obcy spojrzął z udanym wyrzutem na Tawerę. - Takich warunków do pracy nie miał pan nigdy. Cała dostępna literatura, mieszkanie jak z bajki, towarzystwo, swoboda w wyborze tematu. Panie Tavera - jowialnie rozłożył ręce. - Nad czym pan się jeszcze zastanawia? Czas płynie, musi pan podjąć decyzję. Może jeszcze cygarko? - zdjął z powietrza jeszcze jedno cygaro, ale Tavera pokiwał przecząco głową.

- Czy mógłbym na chwilę odzyskać świadomość? Tu, w łóżku? - zapytał.

- Widzę, że pan się już zdecydował, bardzo mnie to cieszy. Ale co do pana prośby - to niestety, muszę odmówić. Ludzie usiłują przekazać informację o nas. Musieliśmy zlikwidować tego rodzaju „przecieki”. To co? poderwał się rześko z fotela.

- Niech się pan nie śpieszy, Tavera! - nie był to głos ani Tavery, ani jego rozmówcy. Dochodził z tyłu. Tavera zerwał się na równe nogi i odwrócił. Dystyngowany nieznajomy stał już obok niego. Razem patrzyli na wysokiego szczupłego młodzieńca stojącego po drugiej stronie łóżka. Najwyraźniej bawiła go ta sytuacja.

- Rega am terr... - wycharczał stojący obok Tavery obcy.

- No-no? Nie jest pan zbyt uprzejmy względem naszego gospodarza - zadrwił młodzieniec. - Musimy używać znanego mu języka, tak będzie uczciwie. Zresztą, ty już swoje powiedziałaś. O! - strzelił palcami. - Będiesz się nazywał Abek, a ja - Cedek. Wziąłem sobie dalsze litery, chyba ładnie to o mnie świadczy?

- Panie Tavera, niech pan nie słucha tego drania. Przecież już się pan zdecydował, prawda? - Abek był bardzo zdenerwowany.

- Nie wygłupiaj się, Abek. Nie słyszałem niczego, co dawałoby ci prawo do pana Tavery. Zgadza się? - skłonił głowę przed uczonym.

- No... Właściwie...

- Tavera! - wrzasnął rozwścieczony Abek. - Zagrałem z panem w otwarte karty, a pan teraz...

- Nie wrzeszcz - przerwał spokojnie Cedek. - Grałeś w otwarte karty, bo taka jest procedura, bez żadnej łaski! A teraz ja mam głos. Jak interes, to interes - pouczył Abeka. - Dwa tysiące lat! - powiedział uroczyście. - Takiego terminu oni panu nie dadzą - wskazał lekceważąco konkurenta.

- Czy to znaczy?... - Tavera nie mógł uwierzyć swemu szczęściu.

- Tak, mamy prawie identyczny problem, ale oferujemy ludziom dużo lepsze warunki. Mamy pewność, że za dwa tysiące lat Ziemia będzie Ziemią. Natomiast za cztery tysiące... - rozłożył ręce dając do zrozumienia, że nie bierze na siebie odpowiedzialności za Ziemię po czterech tysiącach lat. - A poza tym dobór ludzi... - cmoknął w zachwycie.

- Nooo, tu już przesadziłeś - Abek zatrzepotał w powietrzu rękami. - Najwybitniejsze jednostki są u nas!

- Taaak? A Platon? A Edison? Szalopin? Houdini? Schiaparelli? Twain? Gutenberg? Fleming?

- A Torquemada? Pitagoras? Boyle? Voltaire? Hus? Pasteur? Rembrandt?

- Ale da Vinci wam odmówił!

- A wam Spartakus!

- To był przypadek. Niedoświadczony agent!

- Sam pan widzi, jak oni podchodzą do ludzi - Abek szarpnął Taverę za ramię. - Lekceważą was! Natomiast nasze kadry...

- Tylko bez picu! - Cedek stracił całe swe opanowanie. - Nie chciałeś pozwolić profesorowi na chwilę widzenia z rodziną. Ma pan to u mnie załatwione - towarzyszący oświadczeniu gest sprowadzał problem do kategorii drobiażdżków.

Tavera z trudem zachowywał powagę, miał ochotę zachichotać z radości. Niech się kłóć, niech się biją! Będą musieli dużo spuścić!

- To by mnie urządziło - powiedział powoli, nie zamykając bynajmniej licytacji.

- Tavera! - Abek zareagował natychmiast. - Daję również dwa tysiące lat, pięciominutowe widzenie z rodziną i... - podniósł palec - ...młodość! Będzie pan miał trzydzieści lat! - obwieścił triumfalnie.

- Tysiąc pięćset lat, dziesięć minut rozmowy i dwadzieścia pięć lat! - szybko rzucił Cedek.

Tavera łypnął okiem na Abeka.

- Jeżeli o nas chodzi - wycedził tamten przez zęby dodajemy panu dowolnie wybraną towarzyszkę życia.

- To mi śmierdzi ingerencją! Nie wolno zabierać stąd ludzi tylko dla zachcianek! - Cedek posiniał ze złości.

- Życzenia naszych drogich gości są dla nas...

- To wbrew prawu! Ja...

- W nosie mam prawo - przerwał Abek. - I wynocha stąd!

- Ach tak?! - Cedek wykonał jakiś ruch ręką. Coś błysnęło w jego dłoni. Abek pchnął Taverę tak, że ten upadł na podłogę. Zdążył tylko zauważyć, że w drugiej ręce Abek trzymał jakiś pierścień. Potem oślepiające światło rozbłysło w pokoju, zadrżało łóżko, coś pękło, jak olbrzymia bańka mydlana...

Harvey odwrócił wzrok od ojca i chciał powiedzieć Liz, że mimo wszystko czuje się świnią, gdy nagle Mesjasz Tavera jakoś dziwnie podskoczył w łóżku, coś błysnęło w pokoju, ciało Tavery stoczyło się na podłogę i zamarło.

- Harvey... - Liz wbiła paznokcie w obejmujące ją ramię.

Nie mógł uwolnić ramienia, w końcu wyszarpnął się i przesuając ołowiane stopy zbliżył się do ojca. Pozostali stali jak kamienne rzeźby. Harvey przyklęknął przy ciele i dotknął leżącej bezwładnie

ręki. Była ciepła i gładka, niebywale gładka jak na osiemdziesięciolatka. Nagle ręka szarpnęła się i po sekundzie Tavera zaczął wstawać z podłogi opierając się o łóżko. Odwrócił się do zebranych.

Czterdziestoletni Mesjasz Tavera ze zjadliwym uśmieszkiem patrzył, jak na podłogę wali się Susan, kątem oka zauważył, że siostra leży bezwładnie w fotelu, a prawnik rzezi klęcząc na kolanach. Już wcześniej zorientował się, że Abek i Cedek zniszczyli się nawzajem. A on został. Młody!

- Pogrzeb odwołany? - zwrócił się do Harveya. - Jeszcze nie? No to odwołaj. Zawsze byłeś niezgłą, nie to, co Liz. To byłaby niezła żona dla ciebie, ale nie będzie! Chyba, że wyniesiecie się z mojego domu - ominął syna i stanął przed Liz. - Już się opanowałaś? Opanowałaś stwierdził jakby z żalem. - Szkoda... - przerwał. - Słuchajcie! Nic w tym domu się nie zmieni. Kto chce dziedziczyć - zostaje. Kto woli poznać biedę - odchodzi. Zrozumiane? No. Dzisiaj macie wolne. Świętujcie moje zmartwychwstanie. Chchaaa-chech! Aechcha-che-ch! Niech to!... - rycząc ze śmiechu wyszedł z pokoju.

- T-t-t-o p-pot-twór... - Liz oparła się plecami o ścianę. Drżała, a ze schodów dobiegał rechot Tavery.

- Ja mu powiem... - Harvey rzucił się do drzwi otworzył je i w tej samej chwili usłyszeli jakiś trzask na schodach, łomot i jęk Tavery. Harvey sadził na dół przeskakując po trzy stopnie, Liz biegła za nim. Zwolniła na wysokości dwumetrowej wyrwy w poręczy, tak że biegnący za nią David omal nie stracił jej ze schodów. Harvey był już na dole, stał nad leżącym na plecach Taverą i patrzył na strumyk krwi wypływający spod jego głowy. Drgnął, gdy Liz dotknęła jego dłoni.

- Potknął się o chodnik - wyszeptała.

- Nie, to Opatrzność - odwrócił się i podszedł do telefonu.

Eugeniusz Dębski - Życ Prawdziwym Życiem

23 sierpnia, godz. 17.21

Moens bał się spojrzeć w bok. Bał się, że spotka tam spojrzenie Layny, że odczyta w tym spojrzeniu pogardę, może litość. Współczucie. Nalał do szklanki trzecią już w ciągu ostatnich czterech minut porcję whisky i przełknął. Prawie nie poczuł smaku alkoholu, zdenerwowany zgasił papierosa, ale już po kilku sekundach zapalił innego z leżącej obok telefonu paczki. W końcu odwrócił się w stronę łóżka.

Layna spokojnie paliła, z jej szklanki bardzo niewiele ubyło.

- Nalać ci jeszcze? - Moens zdecydował się zagadać pierwszy.

- Nie, jeszcze mam - podniosła naczynie gestem jak przy toaście, ale chodziło tylko o pokazanie, że jest tam sporo alkoholu. Moens odwrócił się do okna.

- Mo... - drgnął i obejrzał się. -. Będziesz tak się zalewał przez całe życie? Może tak ci jest wygodniej? - mówiła spokojnie jak spikerka czytająca wiadomości radiowe, ale jej spokój nie udzielał się Moensowi. Wręcz przeciwnie.

- Daj mi spokój - warknął i nalał sobie jeszcze whisky. Na złość.

- Oczywiście, że dam. Nie jesteśmy dziećmi - zgasła papierosa, wstała i zaczęła się ubierać. - Nie sądzę, żeby to było najlepsze wyjście, ale ty chcesz... - wciągnęła przez głowę sweterek. - ...zrobić z tego swoją i tylko swoją prywatną sprawę. Niech więc tak będzie - była już prawie ubrana, kilkoma ruchami dokończyła toaletę, podniosła torebkę i podeszła do Moensa.

- Może jednak zmienisz zdanie? - położyła mu rękę na ramieniu.

- To nie ma sensu - Moens zdjął jej rękę, wstał i znowu podszedł do okna. Dalej już nie mógł. - Nie chcę pocieszania, litości, terapii. Idź już.

- Idę. Ale pamiętaj, że zawsze mówiłam ci prawdę, słyszysz? Gdy mówiłam, że cię kocham - też.

Moens nie odpowiedział. Wierzył Laynie, ale w tej sytuacji? Począł na trzaśnięcie drzwi i dopiero wtedy odwrócił się od okna. Chwilę stał nieruchomo ważąc coś w myślach, a potem zdecydowanym krokiem wszedł do łazienki, otworzył szafkę z lekarstwami i odnalazł słoiczek z pastylkami nasennymi. Wysypał całą garść na dłoń i połknął. Odczekał chwilę, aż spłynęły do żołądka i wrócił do pokoju. Nalał i wypił jeszcze kilka porcji whisky, zanim usnął w fotelu. Nie słyszał już dzwonka telefonu, chociaż Layna dzwoniła kilkakrotnie i za każdym razem długo trzymała słuchawkę, zanim położyła ją na widełki. Tym bardziej nie słyszał jękliwego sygnału karetki pogotowia.

Moens honorowo odszedł z życia, w którym nie było dla niego miejsca na kobiety. Nie wierzył, że jedna porażka nie decyduje o wszystkim. Załatwił to raz na zawsze.

Tak przynajmniej myślał.

23 sierpnia, godz. 18.47

Barber zapalił papierosa i pomachał zapałką w powietrzu. Zatrzymał ją nieruchomo prawie nad głową i w tej, dość ekstrawaganckiej, pozycji spojrzął na Moensa. Otworzył usta, zamknął, odchrząknął.

- Moens... Moens! - powtórzył głośnie. Tamten drgnął.

- Taaak... Widzisz, tak to wygląda... - powiedział bezradnie. - Nie wiem już sam, co mam robić. Kocham ją i jednocześnie... boję się... Sam nie wiem czego... Jakoś tak...

- Chłopie! O czym ty gadasz? Przecież nie masz żadnych podstaw, nie? Rozmawiałeś z nią? Coś ci

powiedziała?

- Nieee, skąd! Wręcz przeciwnie. Jestem prawie pewien, że i ona mnie kocha. To zupełnie coś innego - złamał zapalkę i wrzucił kawałki do popielniczki. Potem połamał następną i jeszcze jedną. - Jakbym to już przeżywał. Jak z obcym miastem, które nie wiadomo dlaczego wydaje ci się znane... Chol-lera! Nie wytłumaczę ci tego!

- Posłuchaj... - Barber zaciągnął się głęboko, szukając rozpaczliwie jakiejś mądrej myśli w głowie. - To... Ty po prostu zakochałeś się i... i jak każdy zakochany boisz się kosza! - dokończył triumfalnie. - Powiedz jej, że ją kochasz, że chcesz się z nią ożenić i po kłopotach - trącił Moensa w ramię. - Zobaczysz!

- Tak zrobię - Moens podniósł brwi do góry i westchnął. Barber poczuł, że Moensowi nie o taką radę szło. - Tak... zrobię - powtórzył. Skinął na kelnera i rzucił na blat stolika kilka banknotów. - Trzymaj za mnie kciuki.

- Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Tylko nie wpadaj w panikę. Bo jak nie - to ja to załatwię - dość topornie zażartował Barber.

Do mieszkania Layny było stąd bardzo blisko. Moens stracił na drogę ledwie dziesięć minut. I to łącznie z zakupem kwiatów.

- Ależ śliczne! - Layna chyba szczerze ucieszyła się z bukietu. - Kochany jesteś! I rozrzutny - dodała z nutką potępienia.

- Lay... - wychrypiął Moens. Postanowił od razu wyjaśnić sprawę. - Ja... Ja bardzo cię kocham... I chcę żebyś... żebyś... no, wyszła za mnie...

- Wiesz... ja myślałam o tym. I czekałam... Myślałam, że już nigdy się nie zdecydujesz - dodała z wyrzutem.

- Lay! - Moens rzucił się do niej i objął ramionami. Chwilę trwali w uścisku, potem Moens odnalazł jej usta i pocałował mocno. Poddała się, ale w sekundę później wyszarpnęła się i uderzyła Moensa w twarz z całej siły. Potem podniosła rękę do ust, jakby zaskoczona swoim postępkami. Zamarli oboje.

- Mo... Ja nie wiem... Nic nie rozumiem... Dlaczego tak zrobiłam... Ale nie mogę... Nie wiem... - szept Layny przeszedł w szloch. - Idź! Nie! Poczekaj... Moens! Przecież ja... ja jestem pewna... - Moens stał nieruchomo. Nagle Layna rzuciła mu się na szyję i od razu odskoczyła. W jej oczach pojawił się strach.

- Ja n-nie mogę... Idź... Idź szybko... Idź!

Moens odwrócił się i wyszedł z mieszkania. Chwilę stał na klatce schodowej oparty o ścianę, wyprany z jakichkolwiek myśli. Dopiero w jakiś czas potem zauważył, że jego ręce, niezależnie od woli, drgają beładnie. Jak marionetce. A potem ruszył przed siebie.

Był przekonany, że to koniec, że już nigdy nie odważy się nawet podejść do Layny.

Mylił się.

23 sierpnia, godz. 9.27

Viny przeszła po korytarzu obok pokoju Moensa świetnie widoczna przez szklaną ścianę.

- Zdzir-ra! - Moens szarpał taśmę do maszyny usiłując wyplątać ją z prowadnic. Miał określone zdanie na temat tej nowej. Albo Sorella wziął ją, bo się z nią przespał, albo wziął ją, by się z nią przespać. Wulgarna, płytka i łatwa. Szmirowato-kiczowata!

- Ależ się męczysz! - Viny stała w drzwiach. Zabrzmiało to: „męcz-czysz-sz”. Z przydechem.

Oparła się łokciem o szafkę, wygięła w biodrach. Jej krawiec artystycznie połączył niemi kilka różnej wielkości dziur w materiale, a było ich dużo.

- Krzywisz się, jakbyś łyknął tuszu do pieczętek - Viny oderwała się od szafki i stanęła bliżej Moensa.

- N-nie, to nie to - wystękał. Jej obecność działała nawet na niego. - Nerki mnie nasuwają. Jestem już

staruszkiem. Ruina - ze zdziwieniem zrozumiał, że zaczyna się krygować i wdzięczyć. A zaraz potem poczuł, że Viny przysunęła się tak blisko, że nie dałoby się wsunąć między nich bibułki z papierosa. Chciał się odsunąć... Chciał...

- Na pewno nie jesteś tak zrujnowany, jak mówisz tchnęła Viny. Moens poczuł jej ręce na swoim karku. I usłyszał sapnięcie drzwi.

Stała w nich Layna. Była po prostu smutna. Bardzo smutna. Mocno szarpnął się i uwolnił z objęć. Ale nie był w stanie zrobić kroku w kierunku Lay. Patrzył bezradnie jak odwraca się i wychodzi. W tym momencie był już absolutnie pewien, że ją stracił.

Nie miał racji.

23 sierpnia, godz. 16.48

Przez ciało Moensa przebiegło drżenie. Szarpnął się jeszcze raz i otworzył oczy. Czuł żar w całym ciele. I chłód. Jednocześnie. I ból głowy. Spróbował podnieść rękę. Udało się, zobaczył ją nawet, mimo że przed oczami fruwały mu jakieś jaskrawopurpurowe strzępy. Zaraz potem poczuł się dużo lepiej i podniósł głowę. Leżał w jakimś korycie napełnionym żółtawą cieczą, zupełnie nagi. Rozejrzał się wokół. Wszędzie, jak wzrok sięgał, stały identyczne wanny z nagimi ciałami. Trzy szeregi. Mnóstwo.

Usiadł i przetarł mokrą twarz przedramieniem. Zdumiony rozglądał się dookoła, gdy poczuł jakieś dotknięcie na karku. Wyskoczył z chlupotem z wanny, z trudem utrzymał równowagę na śliskiej podłodze i obejrzał się.

Nikogo z tyłu nie było, ale zobaczył jakieś cienkie przewody biegnące gdzieś zza koryta, pociągnął za nie i poczuł dojmujący ból w skroniach. Przeszły go ciarki. Podniósł ręce i obmacał czaszkę. Ten pęk kabli wychodził z czubka głowy, pod ogoloną w tym miejscu skórą wyczuł jakiś spory guz. Nie zastanawiając się owinał przewody wokół dłoni i szarpnął z całej siły. Oderwał je z łatwością od ściany. I nic nie poczuł, może jakiś lekki zawrót głowy. Odsunął się od swego sarkofagu i zrobił krok w kierunku najbliższego mężczyzny.

Leżał w korycie, jak i Moens nagi, jak i on podłączony do czegoś tam taką samą wiązką cienkich kabli. Na policzku miał wypisany czy wytatuowany numer Kl 1238763. Moens dotknął swej twarzy, ale pod palcami nic nie wyczuł. Pochylił się nad ciałem sąsiada i nagle zauważył, że tamten oddycha. Podskoczył do następnej wanny, ten oddychał również. Ucieszyło to Moensa. Nie był w prosektorium ani w kaplicy, wszyscy tu żyli, a więc trzeba tylko gdzieś się zgłosić, zameldować przebudzenie i po kłopotcie. Zaczął iść wzdłuż szeregu wanien. Najpierw przyglądał się wszystkim ciałom, kluczył, zawracał, skręcał, ale po jakimś czasie zrezygnował. Nie widać było końca tych koryt, a częste odchylenia od kursu powodowały, że posuwał się naprzód bardzo wolno. Zaczął iść szybciej, zerkając tylko na najbliższej leżących. W pewnej chwili zatrzymał się jednak gwałtownie. Był pewien, że zna mężczyznę w wannie przed nim. Wpatrywał się w twarz, którą zapamiętał z przyjęcia u Chicassa, nazwisko wyleciało mu z pamięci, ale znał go na pewno.

Oderwał się od wanny i prawie pobiegł do przodu. Wysechł już całkowicie i stopy przestały mlaskać o podłogę. Nie czuł zimna, musiało być ze trzydzieści stopni. Przebiegł tak kilkaset metrów, gdy zauważył pomarańczowe światło z przodu, zwolnił, a po chwili, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, zaczął się skradać. Gotów do szybkiego uskołu za którąś z wanien dotarł do źródła światła. Było to skrzyżowanie korytarzy, ściany w tym miejscu oznakowano jakimiś literami i cyframi, ale Moens nic z tego nie rozumiał. Stał chwilę, zastanawiając się jaki kierunek obrać, w końcu poszedł w prawo.

Po paru metrach zobaczył, że w tym korytarzu leżą kobiety. Młode, w średnim wieku, dziewczęta, staruszki. Jakoś go to nie zdziwiło, dopiero widok młodej brunetki w ciąży zastopował go na chwilę. Stał i patrzył na napięty brzuch dziewczyny, nagiej jak i wszystkie jej sąsiadki, niezbyt ładnej i przez swoją

ciążę w absurdalny sposób nie pasującej do tego korytarza jak z koszmarnego snu. Do korytarza Moens już przywykł i niemal apróbował go.

Przetarł twarz dłońmi, odetchnął głęboko. Oderwał się od brunetki i ruszył przed siebie. Starał się nie patrzeć na mijane ciała, wstydził się swojej i ich nagości, bał się, że któraś z nich, jak i on, nagle się ocknie.

Po godzinie marszu ujrzał znowu pomarańczowe światło, znowu zwolnił i sprężył się w sobie, gotów do ukrycia w razie potrzeby. Tym razem ostrożność się opłaciła - zza rogu bezgłośnie wynurzył się wózek popychany przez mężczyznę w ciemnym kombinezonie. Nie spojrzął nawet w stronę Moensa, ten jednak skoczył za jedną z wanien, a gdy po chwili odważył się wyrzeć, korytarz był już pusty. Oczekał jeszcze chwilę i ruszył w stronę skrzyżowania, doszedł do rogu, wychylił się i zerknął w stronę, gdzie kierował się nieznajomy. Wchodził właśnie w drzwi, nad którymi w regularnych odstępach czasu błyskały białe i zielone koła. Moens oparł się o ścianę i nabrał powietrza do płuc. Usiłował zmusić się do jakiejś decyzji, do działania, ale wszystko, co przychodziło mu do głowy, już po sekundzie odrzucał jako głupie lub niebezpieczne. Czuł, że jest bardzo zmęczony, aż dziwne jak bardzo, wiedział, że się boi - boi się usiąść i odpocząć, boi się iść. Boi się coraz bardziej i gdy poczuł, że bardziej już bać się nie może, odepchnął się od ściany i wysunął zza rogu.

Było pusto. Najciszej jak mógł podszedł do oznaczonych świetlnymi kołami drzwi. Zgarbił się przy tym tak, że omal nie przydepnął snujących się za nim posłusznie przewodów. Przyłożył ucho do drzwi, stał chwilę i w końcu pchnął je. Zobaczył wąski korytarz załamujący się po jakichś trzech metrach. Wsunął się i puścił drzwi, odczekał parę sekund i na palcach posunął się w stronę zakrętu.

- Gdzie leziesz?! - okrzyk szarpnął Moensem i rzucił go na ścianę.

- Nooo... Sprawdzę, co tam w drugiej sekcji... - drugi głos należał również do mężczyzny, ale był dużo młodszy.

- Co tak się rwiesz do roboty? Za parę minut wszystko wyjdzie na ekran - to ten starszy.

- Też fakt - młodszy oddalił się, Moens rozluźnił spocone dłonie. - Ale... szefie, tego... czasem trzeba samemu. Nie wszystko wychodzi, nie?

- Co nie wychodzi? Co nie wychodzi? Ty ciągle o tym ka trzy siedem siedem dwa jeden dziewięć pięć?

- No właśnie - żywo przytaknął młodszy. - Komputer się wściekł, a tamten... - westchnął, jakby żałował „tamtego”.

- Aleś ty głupi! I po cholere ja cię budziłem? Już ci tłułu dziesięć razy tłumaczyłem, że komputer nie może się wściec. Miał zwarcie w buforze, i to wszystko; Teraz jest okej.

- Może teraz i jest okej, ale co się facet namęczył!

- Eee... Nie przesadzaj. Już w trakcie usuwania awarii podsunęliśmy mu inną babkę. Nie nasza wina, że jej nie chciał.

- To wyglądało, jakby komputer był zazdrosny, nie? Ciągle nie dawał facetowi... - młodszego temat najwyraźniej bardzo interesował.

- Jak cię strzelę, to sam pozazdrościsz! Że nie śpisz! - przerwał starszy. - To jest tylko komputer, durniu! Opiekuje się nimi, układa im życie, i tak dalej, ale to tylko maszyna. Maszyna, do cholery! I zawsze nią będzie!

- Dobra, ale w tym wypadku się nie spisał, musi pan to przyznać.

- Może się i nie spisał, ale to nie ma znaczenia. Wyzeruje facetowi wszystko i da mu kolejne podejście. No i skończy się afera zazdrosnego komputera! Chche! - roześmiał się zadowolony z udanego rymu.

- A ta dziewczyna?

- Layna. Też nic nie będzie pamiętała - lekceważąco rzucił „szef”. - Niezła - dodał. Moens stracił na chwilę kontakt z rzeczywistością, chciał krzyknąć, ale tylko jęknął.

- Ciii! Szefie!

- Co?

- Coś pisnęło. Pójdę zobaczyć.

Moens stał niezdolny do poruszenia choćby palcem.

- Sieeeedź! To przedmuch kanałów. Czasem tak piszczy.

Nikt nie pojawił się z za zakrętu, widocznie młodszy usłuchał. Chwilę trwała cisza.

- A skąd wiesz, gdzie ona leży?

- Za dużo chcesz wiedzieć, to niezdrowo, chche! Posiedzisz tu parę lat, jak ja, to się dowiesz.

- A jak, by się facet obudził?

- Po pierwsze, to prawie niemożliwe...

- Jak mówisz: „prawie”, to znaczy, że jednak możliwe - przerwał młodszy.

- Noo... Zdarza się. Ale bardzo rzadko - szybko dorzucił szef.

- I co wtedy?

- Widzisz tę półkę? - pauza, jakby mówiący pokazywał coś ręką. - Tam są paralizatory.

- Yyy... To wszystko?

- „Wszystko-oo” - sparodiował młodszy szef. - Jak przygrzejesz z czerwonego guzika - facet jedzie do bozi i nawet nie mruknie! A właściwie, dlaczego ty tego wszystkiego nie wiesz, co? Miałeś wkuć instrukcję! Tak czy nie? A ty co? Aaa! Ty gnojku! Łazisz do kobiet! Żżżeby cię!...

- Nie! Ja się uczyłem! Skąd ci to... Uważ... - wyglądało na to, że szef mocno potrząsa młodszym. Moens szybko zdecydował się i wyrzwał z za rogu. Bezbłędnie wybrał moment - zobaczył tylko plecy jakiegoś mężczyzny, pochylonego nad drugim, siedzącym w fotelu. Szybko rozejrzał się w poszukiwaniu półki, odnalazł ją i nie namyślając się dłużej skoczył bezgłośnie. Zdążył złapać do ręki krótki pręt z trzema guziczkami, zanim tamci go zauważyli. Usłyszał okrzyk, odwrócił się z palcem na czerwonej wypukłości. Obaj byli już na nogach, starszy jakby chciał skoczyć na Moensa, młodszy był zupełnie oszołomiony.

- Spokojnie... Spokojnie - powtórzył Moens. - Mam was na czerwonym, może boleć - przypomniał sobie jak przemawiali bohaterzy filmów gangsterskich, a jednocześnie gorączkowo zastanawiał się, co będzie, jeżeli okaże się, że broń trzeba odbezpieczyć. Ale chyba nie obaj stali jak wmurowani. Trzymając paralizator skierowany w ich stronę obejrzał dokładniej pokój.

Jedną ścianę zajmowało olbrzymie tablo pulsujące różnymi kolorami, na drugiej, podzielonej poziomymi i pionowymi liniami, widniał najprawdopodobniej schemat całego kompleksu. Musiał być ogromny. Trochę z boku stały dwa ogromne fotele. Dwa, a więc nie przewidywano tu wizyt.

- Siadać tam - Moens wskazał głową fotele. - I bez żadnych gwałtownych ruchów!

Usiedli grzecznie, Moens przesunął się tak, by mieć pod ewentualnym obstrzałem również wejście. Obliznął wargi.

- Teraz opowiadaj - zwrócił się do starszego.

- Co mam opowiadać? - tamten wzruszył ramionami. Wyraźnie grał na zwłokę.

- Nie rób ze mnie durnia. Trochę już wiem, dość długo słuchałem waszych rozmówek. Ale zacznij od początku. Skąd to się wzięło - wykreślił paralizatorem koło w powietrzu.

- Nie wiem.

- Posłuchaj, moja cierpliwość się kończy! Albo powiesz, co wiesz, albo... - wycelował paralizator w starszego.

- Teraz ty posłuchaj. Miałem już trzech przebudzeńców. Wszyscy chcieli wiedzieć to samo: skąd to

się wzięło, kto tym kieruje, który mamy rok. I tego właśnie ja nie wiem. Zostałem obudzony, gdy miałem tyle lat co on kiwnął głową w stronę młodego. - Nauczono mnie obsługiwać centralę i siedzę tu. Myślę, że niedługo pójdę spać, a on tu zostanie.

- Skąd wiesz?

- Mój nauczyciel po pewnym czasie znikł i zobaczyłem go później w wannie.

Zaległa cisza. Moens przetrawiał informacje, ale niewiele tego było.

- Jak się nazywasz? - spytał tylko, by przerwać ciszę.

- Tu się ma numery... Moens - dodał niespodziewanie.

- Skąd wiesz?

- Widzę twój numer - przejechał dłonią po policzku, zaczepił o coś paznokciem i zdarł. Pod cienkim plastrem miał numer.

- Podglądałeś mnie, ty świnió!

- Musiałem. Komputer miał blokadę na pewnym fragmencie twego życia...

- „Życia”. Życia? Ty to nazywasz życiem?

- A jak mam nazwać? - tamten też się zdenerwował. Widać było, że coraz mniej boi się Moensa.

- Co wiesz o tym pewnym fragmencie życia? - Moens postanowił uspokoić najpierw szefa.

- Była blokada na twoim współżyciu z Layną.

- Była?

- Tak, bo już jej nie ma.

Znowu cisza.

- Co jeszcze wiesz o tym wszystkim?

- Tylko moje domysły...

- Niech będzie - Moens oparł się łokciem o pulpit.

- Myślę, że w pewnym momencie zaczęło na Ziemi brakować miejsca dla ludzi. I wtedy ktoś wymyślił te... przetrwalnie. Bo tu, u mnie, jest ponad miliard ludzi. To jest jedna sekcja, a wiem na pewno, że są trzy. Czyli trzy miliardy. No, a takich przetrwalni może być na kuli ziemskiej bardzo wiele. I to jest moim zdaniem najbardziej prawdopodobne wytłumaczenie.

- Dlaczego mi to wszystko mówisz?

- Dlatego, że i tak nic tu nie możesz zmienić. Najlepsze, co możesz wymyślić, to położyć się z powrotem do swojej wanny. Ja zrobię resztę.

- O nie! Teraz już nie mógłbym tak żyć...

- Nie gorączkuj się - przerwał tamten. - Nic nie będziesz pamiętał. Mogę ci nawet zamodelować, co chcesz. Bogactwo, podróże, kobiety, przygody...

- Nie, nie, nie... Zrobimy coś innego. Pomożesz mi Moens znowu podniósł paralizator. Szef jakby zaczął się domyślać, co Moens miał na myśli. Jeżeli odmówi...

- Jak masz na imię? - zapytał, by tamtego zmianą tematu wytrącić z równowagi.

- Camis.

- A ty? - Moens popatrzył na młodego.

- Nao.

- Fajnie. Teraz wam powiem, co zrobimy - Moens przesunął się bliżej świetlnego schematu. - Obudzicie wszystkich klientów...

- Zwariowałaś! - Camis zerwał się na równe nogi. Czy ty wiesz, co to znaczy? Miliard ludzi? W co ich ubrać? Co dać jeść? I co dalej? Jak wyjść na powierzchnię, jeżeli jest w ogóle jakieś wyjście i jeżeli jesteśmy na Ziemi!

- Wszystko się zgadza. Dodaj tylko, że to będzie miliard wściekłych ludzi.

- A czy ty myślisz, że życie poza wanną to taki raj? Posiedź tu sam kilkanaście lat, to zobaczysz! Wy macie normalne życie, jakbyś się nie obudził...

- To już moja sprawa! - wrzasnął Moens. - Normalne życie! Idiota! To idź do mojej wanny, zamienimy się zacisnął zęby i zmusił do spokojnego tonu. - Nie mów mi, że nie mamy w co się ubrać. Leżymy nago całe życie, to możemy też jakiś czas jeszcze wytrzymać. A co do jedzenia... - zawiesił głos. - Co wy jecie, co? - wpakował w to pytanie cały zapas jadu, jakim dysponował.

Camis spojrzał na Nao, a potem nic nie mówiąc podwinął rękaw bluzy. Z przedramienia wyrastała przezroczysta rurka zakończona czopkiem. Taka sama, jak na ręku Moensa.

Poczuł, że uchodzi z niego cała energia. Oparł się ciężko o ścianę i przymknął oczy. Nie zauważył, że Camis popatrzył na Nao i wskazał mu oczami końcówki przewodów wychodzących z czaszki Moensa. Jeden z końców wsunął się w szparę żaluzji wentylacyjnych. Camis jeszcze raz wskazał ten przewód Nao i jak mógł ponaglił młodzieńca. Nao w końcu zdecydował się i przesunął wolno do tyłu, gdzie ze ściany wystawał mały przycisk. Bez przerwy patrzył na Moensa, ale ten, mimo że otworzył już oczy, nie widział nic wokół. Nao przesunął się o pół kroku, jeszcze pół, dotarł do ściany i oparł o nią plecami. Przesunął się trochę, aż wyczuł łopatką przycisk i nacisnął go. Żaluzja bezszelestnie zamknęła się, przytrzymując koniec przewodu. Camis przymknął powieki i skinął głową. Teraz jego kolej.

- Moens, coś ci pokażę - wskazał dłonią na jakieś światełko obok siebie. - No? Chodź tu.

Moens zawahał się, ale zrobił krok w jego stronę. Nie poczuł szarpnięcia głowy. Poczuł piekielny ból, który rzucił go na kolana. Nie słyszał już, jak Camis powiedział do Nao:

- No, to wszystko w porządku.

23 sierpnia, godz. 18.47

Barber zapalił papierosa i pomachał zapałką w powietrzu. Zatrzymał ją nieruchomo prawie nad głową i w tej, dość ekstrawaganckiej, pozycji spojrzał na Moensa. Otworzył usta, zamknął, odchrząknął.

- Moens... Moens! - powtórzył głośniejszym głosem. Tamten drgnął.

- Taaak... Chyba rzeczywiście pora się ustatkować. A trochę mi żal.. - westchnął.

- Ale kochasz ją? - upewnił się Barber.

- Kocham, pewnie, że tak.

- No to pędź do niej. Powiedz jej to i po kłopotcie.

- Łatwo to mówić - Moens podniósł się i wyjął z kieszeni kilka monet. Podrzucił je do góry, złapał zręcznie i położył na blacie. - Do jutra.

Do mieszkania Layny było stąd bardzo blisko. Moens stracił na drogę ledwie dziesięć minut. I to łącznie z zakupem kwiatów.

- Ależ śliczne! - Layna chyba szczerze ucieszyła się z bukietu. - Kochany jesteś! I rozrzutny - dodała z nutką potępienia.

- Lay... - wychrypiał Moens. Postanowił od razu wyjaśnić sprawę. - Ja... Ja bardzo cię kocham... I chcę żebyś... żebyś... no, wyszła za mnie...

- Wiesz... ja myślałam o tym. I czekałam... Myślałam, że już nigdy się nie zdecydujesz - dodała z wyrzutem.

Następnego dnia rano Moens podniósł głowę z poduszki i spojrzał na Laynę. Potem nachylił się i pocałował ją delikatnie. Obudziła się od razu.

- Yuumm... - przeciągnęła się, wysuwając spod prześcieradła.

- Lay... Wiesz, co? Mam takie uczucie, jakbym się już kiedyś oświadczał. I dostałem od ciebie kosza...

- Mo... - objęła go za szyję. - Nie wiedziałam, że z ciebie taki głuptak...

Andrzej Drzewiński - Forsa

Leżałem w fotelu sterowniczym próbując policzyć, który to raz z rzędu mam okazję lądować na planecie z ciążeniem powyżej 0,5 g. Wychodziło mi, że gdzieś sto osiemdziesiąty. Jednocześnie wynikało stąd, że popadam w głęboką rutynę. Podobno najmniej wypadków mają piloci około setnego lotu. Wcześniej nie mają doświadczenia, a później gubi ich zbyt duża pewność siebie. Ja chociażby, od dawna przestałem zakładać hełm, który i tym razem leżał grzecznie koło fotela.

Zaskrzybiało w głośniku. Jak już miałem okazję się przekonać, głos kapitana Jovela nabierał miłego tonu tylko w czasie golenia.

- Na którym stanowisku kazali ci siadać?

- Na czwórce - odpowiedziałem i przerzuciłem kolejny przełącznik, gdyż komputer kończył manewr wejścia.

- Ląduj na dwójce. Maks mówi, że jest wolna. Uśmiechnąłem się pod nosem na myśl, czego to się nie robi, aby wykołować konkurencję.

- Słyszałeś?

- Jasne. Tylko w razie czego mieliśmy uszkodzenie przystawki.

Zaśmiał się chrapliwie.

- Dobra jest, może być przystawka - dodał i wyłączył się.

Parę sekund później ukazał się na ekranie zarys Strobos. O ile pamiętałem, kosmodrom siedział dokładnie w środku miasta. Było ono klasycznym kompleksem handlowym. Całe wkopane w skałę, z wielkimi płaszczyznami baterii słonecznych nakierowanych ku gwiazdzie gdzieś o połowę większej od ziemskiego słońca. Mimo braku lokalnych surowców założona przed czterdziestu laty baza rozrosła się do kilkunastotysięcznego ośrodka, który magazynował maszyny dla trzech sektorów galaktycznych, nie licząc przygodnych statków. Podobno magazyny na Strobos były największymi, jakie Ziemia gdziekolwiek postawiła.

Plama kosmodromu ciemniejąca pośrodku ekranu była dowodem dobrej pracy komputera naprowadzania. Niemniej, dla pewności, trzymałem ręce na pulpicie i dziesięć sekund przed kontaktem przełączyłem się na naprowadzanie ręczne. Niedostrzegalny ruch i najbezpieczniej w świecie stałem już świecą nad drugim stanowiskiem. Dyżurny kosmodromu ocknął się dopiero, gdy łapy mojego transportowca wdepnęły w ceramikę lądowiska.

- Co robicie, do cholery?! - zajazgotał ekran. - Mieliście lądować na czwórce.

Odwróciłem twarz do kamery.

- Na czwórce? Przecież było, że na dwójce.

Facet za szklaną szybą spurpurowiał.

- Co, może macie przystawkę zepsutą?

Głos ociekał szyderstwem, lecz ja schyliłem głowę, jakbym usłyszał wielce głęboką myśl.

- Słusznie - puknąłem się w czoło. - Ona już kilkakrotnie nawalała.

Łącznościowiec zabalgotał.

- Ale w końcu, co to za różnica? - dokończyłem rozłączając się.

Cóż mu mogłem więcej powiedzieć. Obydwaj wiedzieliśmy, że statki lądujące bliżej portu są szybciej rozładowywane.

Parę godzin później, gdy Jovel zwycięsko zakończył potyczki z nadzorem, poszliśmy do mesy, która w takich chwilach służyła za kantorek wypłat. Jako że na następny ładunek armator kazał czekać tydzień, szczególnie potrzebna była forsa. Większość rozrywek w Strobos była bez niej nieosiągalna. Jak zwykle pobrałem jedną czwartą wypłaty, zostawiając resztę na procent, i o wiele spokojniejszy, niż moi radośni kumple, udałem się na zwiedzanie miasta.

Po wyjściu z portu miałem do wyboru trzy ruchome chodniki i dwie estakady, sądząc z mrugających neonów prowadzące na poziom miejski. Wolałem jednak wybrać wygodniejsze rozwiązanie. Niedaleko wyjścia, przy fantazyjnie wykręconej rzeźbie, stało kilka wozów dostawczych. Jak obok każdego większego portu kierowcy starali się złapać kogoś na kurs. Facet o źle dobranych szklach kontaktowych, jedno oko miał zielone, a drugie piwne, zgodził się pojechać do taniego hotelu z miłą, jak twierdził, obsługą. Przez tunel obwodowy dotarliśmy na miejsce po piętnastu minutach.

Chuda jak kij blondyna, o bujnych piersiach rozwiniętych najwyraźniej pod wpływem zastrzyków, zadała kłam stwierdzeniu o miłej obsłudze. Gdyby nie to, że koja na statku obrzydła mi zupełnie, kto wie, czy nie wypiąłbym się na jej hotel. Jako że pokój miał być przygotowany za kilka godzin, zostawiłem bagaż w depozycie i ruszyłem zwiedzić poziom.

Nad traktem dla pieszych wisiało iluzoryczne sklepienie i sądząc z barwy nieba było późne popołudnie. Mijane sklepy, bary i punkty rozrywki godnie się prezentowały, zarówno liczbą jak i wystrojem. Wszedłem do knajpki, której wejście imitowało jaskinię obitą czerwonym pluszem. W pseudoskalnych zagłębieniach tkwiły stoliczki mające, był to charakterystyczny szczegół, po dwa siedziska. Usiadłem przy tym, który stał najbliżej, o dziwo, autentycznego zespołu.

- Koniak naturalny i kawę - poleciłem do wazonika pełniącego zarazem rolę mikrofonu.

Zgrabna panienska w przezroczystym uniformie przyniosła to, co zamawiałem, tylko w podwójnej ilości. Gdy usiadła, kładąc mi nieomal stópkę na kolanach, zrozumiałem, do jakiego lokalu trafiłem.

- Mm... - mruknęła zachęcająco. - Co cię sprowadza do Strobos?

Łypnąłem wokół oczyma, ale z racji wymyślnie pofałdowanej podłogi nie dostrzegłem nikogo. Tylko od orkiestry błyskały refleksy światła i stojący tam faceci pociągali z ustawionych na podłodze szklanek.

- Dlaczego się nie odzywasz? Jeśli ci się nie podobam, bądź chcesz coś ekstra, powiedz.

Miała drobną twarz, mikroskopijny nosek i oczy jak bławatki. Gdybym ją spotkał winnym czasie i w innym miejscu, to kto wie.

- Nic z tego, mała - odrzekłem i uniosłem kieliszek. Wypiła posłusznie i rozpinając guzik pod moją szyją spytała.

- Dlaczego?

- Jestem zmulizowany - odparłem swobodnie, mimo, że gębę musiałem mieć jak krwawy befsztyk.

Odsunęła się i marszcząc brwi obejrzała mnie od stóp do głów. Następnie, ruchem szybkim jak grom, uczyniła rzecz, której nigdy bym się nie spodziewał. Krótco mówiąc, położyła dłoń tam, gdzie temperatura męskich uczuć najwyraźniej się okazuje. Zdrętwiałem cały, lecz zaraz, świadom własnych możliwości, rozluźniłem ciało i obserwowałem autentyczny smutek malujący się na jej twarzy.

- Jeśli nie jesteś impotentem, to faktycznie masz rację.

Zabrała dłoń i dopiła resztkę alkoholu.

- Żona tak cię załatwiła?

Skinąłem głową.

- Przyszła żona.

Jej błękitne oczy prawie że napełniły się łzami.

- To świństwo i egoizm zabierać mężczyźnie co ma najcenniejsze.

Nie miałem ochoty na dyskusję, lecz niecodzienność rozmowy bawiła mnie.

- To tylko czasowo.

- Nieważne - odparła zbierając szkło. - To świństwo. Ale teraz, kochany, zapłać i idź sobie do innego lokalu.

Musiałem być zaskoczony, gdyż przesunęła paznokciem po mojej szyi w sposób szczególnie frapujący.

- Jesteś fajny chłopak, ale nie możesz blokować stolika.

Wcisnąłem do jej szczupłej dłoni o ruchliwych palcach banknot na okrągłą sumę i ruszyłem ku wyjściu. Idąc usłyszałem głośny motyw grany przez zespół muzyczny, jakby na pożegnanie. Kłębiące się w jamkach pary nie przerywały sobie rozrywki.

Przy samych drzwiach lokalu napotkałem niespodziewaną przeszkodę. Był nią muskularny mężczyzna o czarnych, wręcz smolistych włosach, który z parą wykidajłów tworzył istną figurę Laokoona. Poprzez jęki i poświstywania dobiegały głosy cerberów, którzy domagali się opłaty za wiadome usługi, czego siłacz stanowczo odmawiał. Tłumaczył się przy tym niefachowością personelu. Ta rycząca kotłowanina korkowała drzwi tak skutecznie, że chcąc nie chcąc musiałem interweniować. Pierwsze słowa świadczyły, że jestem w nastroju filantropijnym.

- Puście go, ja zapłacę.

Sądząc po minach, najbardziej zaskoczony był siłacz.

Cerber, ten z podbitym okiem, przykuśtykał do mnie.

- Sto dziesięć - warknął, jakbym rzeczywiście był mu winien.

Zapłaciłem i popchnąłem oszołomionego rozrabiakę ku drzwiom. Wypadając na trakt chwycił się stojaka reklamowego i fioletowy w świetle neonu przyglądał mi się badawczo. - Przecież ja cię nie znam - stwierdził i o mało nie stracił równowagi.

- Nie szkodzi - odparłem. - Zaraz możemy to nadrobić. Objąłem ramieniem tego prawdziwego, niezmulizowanego faceta i potoczyliśmy się traktem ku przyjemniejszej przystani. Ponad nami na wygaszonym niebie wiła się orgia neonów.

Był to chyba najpodlejszy bar w całym Strobos. Sądząc po twarzach, przychodził tu tylko personel pomocniczy z transportowców. Szafa grająca żałośnie buczała, ale nikomu nie chciało się ustawić nowego programu. Stanowczo większe zainteresowanie wzbudzał stereoekran z fikającymi dziewczynkami. W zależności od posiadanej forsy gówniarze szli stąd do zimnych łóżek albo do takich lokali, jaki niedawno opuściłem.

Usiedliśmy w rogu sali, możliwie jak najdalej od kłębówiska. Od biedy można się było usłyszeć. Niestety, Colins w godnym pozazdrosczenia tempie doprowadzał się do stanu samoupojenia i stawał się coraz mniej komunikatywny.

- Mój drogi, teraz nie ma życia... - bekał do ucha, jeszcze bardziej ostudzając mój zapach do przebywania z surowym i prostym facetem.

- Co narzekasz, ja też pracuję na statku.

Zamachał rękoma.

- E... tam. Jesteś pilotem?

Skinąłem głową.

- Gdybyś był mechanikiem jak ja, to byś inaczej śpiewał - ryknął przekrzykując gwar baru.

Poniekąd miał rację, przez ostatnie trzy lata chyba ani razu nie miałem styczności z obsługą. Postanowiłem zmienić temat.

- A co przedtem robiłeś?

Twarz rozlała mu się w grymasie satysfakcji.

- Boksowałem.

Mruknąłem zaskoczony.

- Klasycznie czy dublowo?

Podrażniony łyknął z butelki.

- Tylko dublowo, klasycznie może być frajer. Przerwaliśmy, gdyż obok nas zaczęło się przepychać dwóch szczeniaków. Collins wstał, zatoczył się i jakby na pokaz, dwoma ciosami rzucił chłopaków na ścianę. Bez szemrania zmyli się w drugi koniec baru. Klienci z pobliskich stolików również zerknęli z większym szacunkiem.

Dobre, nie? - spytał i z fantazją zamówił coś na ząb, naturalnie na mój rachunek.

Poklepałem go po ramieniu.

- Klasycznie też potrafisz - pochwaliłem.

Trafiłem w czuły punkt, gdyż napiął się jak paw.

Znów łyknął, a potem rąbnął się w klatkę, aż zadudniło.

- Co mam nie potrafić. W końcu robiło się dla Union Sport.

Zainteresował mnie autentycznie.

- Ho, ho... to duża firma.

- A jak! - znów rąbnął się i niezgrabnie wyciągnął z pudełka wykałaczkę. - Dziesięć lat tam robiłem.

Ja sam! Słyszałeś o Premii Światowej?

Zrobiłem ruch, mogący wszystko znaczyć.

- Dwa razy, słyszysz? - walnął dłonią w stół. - Dwa razy ją miałem.

- Dlaczego z tym skończyłeś?

Spojrzały na mnie z wyrzutem jego zamglone oczy.

- Dziewczyna. Taka supersexy, ale wiesz... - zamachał ręką. - Całkowicie wstrzemięźliwa.

Rozumiesz? Rozśmieszyło mnie to zestawienie.

- Jasne. Tylko że nigdy takiej nie widziałem.

Chyba nie usłyszał, gdyż skończył się pokaz na stereoekranie i tłuszcza gromadnie obstała kontuar.

Huczeli przy tym jak wodospad.

- Tylko trzy lata z nią byłem - dobiegły mnie słowa.

Potem wyrzuciła mnie na ulicę.

- Nie mogłeś wrócić do boksu?

Ręce, o które opierał głowę, rozjechały się i wyrzwał podbródkiem o blat.

- To się nie da - mówił masując szczękę. - Do firmy po przerwie nie przyjmą.

- Trzeba więc było samemu. Na każdych zawodach fiest miejsce dla amatora.

Jego oczy błysnęły kpina.

- Gówno prawda.

- Jak to? Przecież sam widziałem.

- E... tam. Wystąpić to sobie może każdy, ale czy widziałeś kiedyś, aby taki amator wygrał? - zmrużył

chyttrze powieki.

Krótką pracą mózgu nie znalazła takiego przypadku.

- Widzisz - szturchnął mnie palcem. - Tak sprawa wygląda.

- To znaczy? - spytałem trochę głośniejszym głosem, niż chciałem.

Odchylił się w krzesło i dłubiąc między zębami oglądał moją fizjonomię. Wyglądał, jakby miał przebłysk trzeźwości.

- A powiem ci, panie pilot. Niech mnie diabli, ale powiem - stwierdził wreszcie, osuszając do dna butelkę.

Nie miałem pojęcia, o co chodzi, ale przecucie kazało zamówić jeszcze jedną flaszkę. Przyjął to jako rzecz zrozumiałą.

- Powiem, mimo że mi nie wolno. Ale dzisiaj mam gdzieś to całe sukinsyńskie Union Sport - zaczął i ścisnął pięść w kułak. - Ty wiesz chociaż, jak wygląda aparatura ringu dubletów?

- Tak mniej więcej.

Skrzywił się pogardliwie.

- Założmy. Więc wiesz, że sygnały sterujące wychodzą z kabin i idą do robotów.

Skinąłem.

- Jak sądzisz, co by się stało, gdyby podłączyć się do toru tamtego frajera i podsłuchiwać jego rozkazy.

Oczy musiałem mieć w tej chwili jak salaterki.

- Ale przecież to za mało czasu.

- Gówno prawda. Jeśli masz mikrokomputer, to słyszysz rozkaz w tym samym momencie, co przeciwny robot. Jak masz refleks, to zawsze zdążysz się zasłonić przed każdym ciosem.

- Wiem wcześniej, gdzie tamten uderzy?

Klepnął mnie, cudem nie urywając ramienia.

- Otóż to. Zaczynasz kapować.

- Ty tak walczyłeś?

- Zgadza się. Komputerek mówił: lewa prosta, szczeka, a ja unik i cios gościa leci w powietrze.

Nawet najlepsi wysiadali - łyknął i po raz pierwszy od godziny zagryzł zapiekanką. - Tego... ale najlepiej bywało kiedy markowałem cios, komputerek mi mówił, jak tamten się zasłania, a ja go wtedy z drugiej strony... trach!

Wypluł pestki i znów ucapił wykałaczkę.

- Do licha - sapnąłem. - Przecież to musiało się kiedyś wydać. Zaśmiał się ochryple, jakby miał zgniecioną krtań.

- To nie musiało się wydawać, wszyscy o tym wiedzieli.

- Wszyscy?

Ukazał przekrwione białka.

- Znaczą, firmy organizujące spotkania. Ten szwindel był tylko przy amatorach. Kiedy walczą bokserzy firmowi, aparaciki są wyłączone.

- Jasne - mruknąłem. - To nie miałyby sensu.

- Aparaciki... rozumiesz? - bełkotał bez związku.

Milczałem z pałającymi policzkami. Wreszcie, po tylu latach, fortuna łypnęła do mnie okiem.

- Jak sądzisz, czy oni dalej tak kombinują?

Zasypiał, więc potrząsnąłem go za ramię.

- Kiedy przestałeś walczyć?

- Pięć... - mruczał. - Pięć lat. Przytknąłem butelkę do jego ust. Na to zareagował.

- Czy firmy dalej to robią?

- Pewnie - odbiło mu się. - Dlaczego nie? Zresztą przejrzyj wyniki.

Głowa opadła na pierś, ale jeszcze raz uniósł ją ku górze.

- Nie myśl, że ja każdemu gadam... - machnął ręką i wyrzucił butelkę - ...i tak nic się nie poradzi. To Sitwa.

Chwilę patrzyłem na jego tors unoszący się w takt oddechu, a potem wygładziłem pochłapane alkoholem spodnie. Z pobieżnych oględzin wyglądało, że nie byliśmy obserwowani. Zadowolony wsunąłem mu do kieszeni banknot i mijając typów o mętym wzroku ruszyłem ku wyjściu. Nawiasem

mówiąc, okłamałem faceta. Trzy lata temu, gdy Elen odleciała na Persefonę, walczyłem na ringu z bokserem Union Sport. Sprzął mnie wtedy na perłowo i pozbawił całej gotówki. Przyznaję, że dobrze o tym pamiętałem.

Następnego dnia wprowadziłem Jovela w stan najwyższego zdumienia, które rychło przeszło we wściekłość. Z satysfakcją obniżył mi za wymówienie procent i poradził złamać kark. Co ciekawsze, wcale się nie interesował, gdzie idę i na co mi tyle gotówki. Już godzinę po tej rozmowie wsiadałem do kuriera międzyukładowego, lecącego do Space Garden, największego jakie znałem centrum rozrywki w kosmosie. Przy okazji unikałem przypadkowego spotkania z moim czarnowłosym siłaczem. Wydawało mi się to wskazane.

Space Garden od początku do końca było inne niż Strobos. Przede wszystkim zawdzięczało to szczególnym własnościom planety. Ta ostatnia miała atmosferę o składzie niewiele różniącym się od ziemskiej i, co było szczególnie ciekawe, posiadała dużo wody. Mówiąc wprost, oceany zajmowały połowę powierzchni globu. Na zewnątrz centrum można było wychodzić korzystając ze zwykłych podręcznych filtrów i skafandry były całkowicie zbędne. Nic więc dziwnego, że większość budynków mieszkalnych i usługowych umieszczono nad poziomem gruntu, gdzie przez wielkie szyby można było oglądać powierzchnię planety. Wokół samego centrum roślinność była sawannowata i jedynym, co odróżniało pejzaż od ziemskiego, były wiecznie snujące się nad trawami mgły. Były o tyle nietypowe, że z reguły nie zajmowały większej przestrzeni niż kilkanaście metrów kwadratowych, gęste i skołtunione. W pierwszych latach eksploatacji wysuwano nawet nieśmiałe hipotezy, że są to formy rozumne, lecz dokładniejsze badania rozwiały wszelkie nadzieje. Mgła jak mgła, tyle że nie ziemską.

Szedłem teraz najwyższym korytarzem, z racji mieszczących się tu bibliotek i sal oświatowych nieczęsto odwiedzanych przez turystów. Za panoramiczną szybą, po ścianach, rurach i łącznikach budynków włóczyły się naleśniki mgły. Któryś zasłonił okno i miałem wrażenie, że razem z korytarzem wpadłem do skondensowanego mleka. Słońce tego układu, słabe i nieciekawe, ledwie rozpraszało mrok. Poryw wiatru odegnał zasłonę i ponad srebrzystą kopułą siłowni mogłem dostrzec brzeg oceanu. Space Garden leżało w gardzieli olbrzymiej zatoki.

Cicho rozwarły się drzwi i stanąłem w niewielkim holu, całym wyłożonym drewnianą boazerią. Wszystko wskazywało na to, że pochodzi z Ziemi.

- Czym mogę służyć?

Kobieta w okularach wielkich jak dłonie miała włosy zaczesane tak mocno, iż wyglądały na przyklepione. W rękę trzymała najprawdziwszą książkę. Ta ostatnia sprawiła, że odparłem ze sporym opóźnieniem:

- Chciałbym znaleźć materiały dotyczące zawodów bokserskich, które w ostatnich pięciu latach odbywały się w tutejszej kolonii.

Miała około czterdziestki i, sądząc po braku obrączki, nie był to pierwszy zawód, jaki spotkał ją w życiu. Niemniej, widząc jej smutny wzrok, omal nie zamówiłem Dostojewskiego.

- Kabina pierwsza, zaraz przyślę materiały. Proszę tylko umieścić się na liście.

Zrobiłem, o co prosiła, i poczłapałem ku drzwiczkom z dużą cyfrą nad futryną. Kiedy przestępowałem próg, jedynka rozjarzyła się światłem.

Uruchomiłem ekran prosząc o same wyniki spotkań, ze szczególnym uwzględnieniem barw bokserów.

Po dwóch godzinach sytuacja wyklarowała się. Jednym słowem, Colins miał rację. Jeszcze nigdy się nie zdarzyło w trzy i więcej gwiazdkowych zawodach, aby z firmowcem wygrał bokser-amator. Regułą też było, że bez szwanku przechodził on pierwszą rundę, lecz nigdy nie wytrzymał do piątej. Za każdym razem przegrywał przez nokaut.

Wychodząc uśmiechnąłem się do bibliotekarki i puściłem oko. Zaczerwieniła się po czubki włosów i pewnie teraz z niepokojem będzie oczekiwać mojej ponownej wizyty. Bidulka.

Facet był niski, krępy, o twarzy buldoga i to parę minut przed atakiem wścieklizny. Opierał się o agregat odkurzający i bez przerwy pstrykał palcem w klawisze.

- Mówi pan, że nie wolno zwiedzać hali?

- Hale można - zacharczało mu w gardle. - Aparatury nie można.

Zrobiłem parę kroków, tak że teraz musiał patrzeć na mnie z boku.

- Niech pan posłucha. Walczyłem tu kilka lat temu. To nie jest dla mnie tajemnicą. Chcę sobie zobaczyć, czy nic się nie zmieniło. Jasne?

- Nie.

Przyznaję, że gdybym miał spotykać częściej takich facetów, to chyba chodziłbym z miotaczem mającym odpaloną bezpiecznik.

- Dwadzieścia.

Udał, że ogląda własne, brudne jak matka ziemia paznokcie.

- Pięćdziesiąt.

Zaczął je obgryzać.

- Sto i ani grosza więcej.

Splunął na świeżo wyczyszczonej podłodze. - Dobra. Dawaj pan.

Dałem. Złożył banknoty w małą kostkę i wsunął za pasek spodni. Gdy ruszył, poszedłem za nim ku środkowej hali. Stał tam prostokąt ringu przykryty kopułą z nietłukącego się szkła. Krzesła widowni podchodziły niemal pod jej krzywiznę. Najwyraźniej siedzący tam lubili patrzeć, jak roboty wypruwają sobie elektroniczne flaki.

Buldog rozejrzał się czujnie i przekręcił klucz. Pstryknął wyłącznik i ujrzałem wewnątrz korytarzyka prowadzącego pod ring.

- Wejdę tam sam.

Buldog pokręcił głową i otworzył usta, lecz nie powiedział ani słowa, gdyż zatrzasnąłem drzwi przed jego nosem. Zanim zdążył walnąć pięścią, zasunąłem zapadkę. Zgodnie z przewidywaniami zamilkł i potulnie czekał na mój powrót.

Po trzech krokach korytarzyk napotykał szerszy, prostopadły do niego. Zgodnie z moją pamięcią kończyły go kabiny, po dwie z każdej strony. W nich to w czasie walki siedzą zawieszeni w uprzężach bokserzy. Obecnie nie interesowały mnie. Za to z wielką ciekawością wszedłem do wnęki przeciwległej ściany i krótko majstrując przyniesionym kluczem otworzyłem skrytkę. Tak, jak się spodziewałem, była to tablica rozdzielcza. Naturalnie, sama oszukańcza aparatura musiała być w ścianie, i nie jej szukałem. Z wielką uwagą począłem oglądać gniazdko i złącza. Przyznam, że wkrótce twarz rozjaśniła mi się uśmiechem.

Poprawiłem sweter i płynnym ruchem zwolniłem zapadkę. Buldog musiał warować z uchem przy drzwiach, gdyż momentalnie szarpnął klamkę. Pod jego wściekłym wzrokiem wyszedłem na zewnątrz.

- Nie ruszaj się, draniu! - sapnął, gdyż właśnie przekręcałem klucz.

- Niech pan się nie denerwuje. Chciałem sam obcować z latami mej młodości.

Błysnął białkami i kazał unieść rękę.

- Muszę sprawdzić, czy czegoś nie zwędziłeś. Inaczej łeb by mi urwali.

Spokojnie pozwoliłem poklepać się po ubraniu.

- W porządku - mruknął udobruchany. - Na drugi raz nie rób takich numerów, bo nie ręczę za siebie.

Łypnął ku mnie z wyraźną zachętą w oczach. Najwyraźniej liczył jeszcze na parę groszy.

- Dziękuję panu, bardzo dziękuję - powiedziałem i ścisnąłem jego wyciągniętą rękę.

Gdy wychodziłem, jeszcze do drzwi gonił mnie monotony szept przekleństw. Gdy zniknąłem z jego oczu, przystanąłem i wyplułem trzymany dotąd w ustach kawałek złącza. Był bardzo niepozorny.

Na tym poziomie korytarze były prawie tak szerokie, jak trakty Strobos. Widać było mnóstwo ludzi: zaaferowanych, rozgadanych, jednym słowem turystów. Zjeżdżali się tutaj ze wszystkich sektorów galaktycznych, nie wyłączając i Ziemi. Naturalnie, mówiąc turyści, nie miałem na myśli osób kochających kontakt z naturą. Tacy z reguły wracali na nasz stary glob. Tutaj przyjeżdżali ci, którzy się chcieli dobrze najeść, zabawić i znaleźć towarzystwo; ot taki kurort w kosmicznym wydaniu.

Zły na tę całą zafajdaną cywilizację nie patrzyłem na jaskrawo pulsujące wejścia mniej i bardziej atrakcyjnych przybytków. Bardziej interesowało mnie, dlaczego na podłodze leży tyle papierzysek, porwanych opakowań i pustych pojemników. Wiedziałem, że nad ranem przyjadą skrzętne automaty i nieomal wylizają podłogę do czysta, lecz uważałem, że to nikogo nie usprawiedliwia.

Wysoki i histeryczny wrzask kobiecy wyrwał mnie z rozmyślań i zmusił do uniesienia głowy. Przedemną, dotykając przeciwległych ścian, stał potwór. Nie, nie zwariowałem. Bydlę było olbrzymie jak skała, miało dwie głowy, z których każda kończyła się nad podziw ruchomą szczęką. Ta ostatnia miała ostre i ociekające śluzem kły. Pazury zdzierały w zniecierpliwieniu pasy plastyku. Zerknąłem na boki, lecz poza rozplaszczonymi na szybach bladymi twarzami nie dostrzegłem żadnego ratunku. Potwór zaryczał i ruszył ku mnie. Przytłaczany bijącym od niego fetorem skoczyłem do najbliższego baru. Zamknięty. Próbowałem wspiąć się po framudze, licząc że u góry biegnie pomost konserwatorski, lecz w efekcie zwałem się jak kasa pancerna, z wyrwanym kawałkiem pleksi w ręce. Bydlę chlapało śluzem, jakby miało ślinotok. Na kolanach uciekałem do tyłu. Ktoś tam krzyknął, zerknąłem. Przed wejściem z dużym napisem „Sauna” stał w rozkroku niski mężczyzna. Był ubrany w srebrzysty kombinezon, a na ramieniu trzymał coś pośredniego między akordeonem i dwudziestowiecznym karabinem maszynowym. Wcisnął klawisz. Z wylotu broni pomknęła seledynowa nitka ognia. Stęknęcie i ugodzony potwór rozprysł się na kawałki. Bryzgi pacnęły o ścianę. Ktoś klaskał, rozległy się wiwaty. Po korytarzu zaczęli biegać mali, ubrani na srebrno faceci z reklamówkami i biletami w garści. Tupiąc i wrzeszcząc ciągnęli ludzi do nie zauważonego uprzednio przeze mnie kina. Moją leżącą postacią nikt się nie przejmował. Jak widać, nie przyszło im do głowy, że ktoś może wziąć na poważnie zwykłą reklamę kinową. Wielki hologram bestii wyszczerzył zęby znad wejścia, gdzie pchało się mnóstwo chętnych.

Wstałem i strząsałem z ubrania poprzyklepane papiery. W toalecie najbliższej knajpy obmyłem twarz zimną wodą. Adrenalina wstrzyknięta do krwi tarosiła sercem na wszystkie strony. Starannie zamykając drzwi za sobą ruszyłem ku kontuarowi.

- Whisky i sok ananasowy - zamówiłem głosem obcego mi człowieka.

Aby poprawić wrażenie, dodałem.

- Bez wody.

To zabrzmiało znacznie lepiej. Czy to ze względu na porę, czy też przez kino z przeciwka lokal był pusty. Jedyne pod ścianą trzech typów załatwiało jakieś ciemne interesy. Gdy barman przyniósł zamówione napoje, poprosiłem go, aby podał słuchawkę od stereoekranu. Uczynił to z najwyraźniej wrodzoną flegmą i wrócił do liczenia pieniędzy. Sądząc z miny sprawiało mu to diabelną przyjemność.

Na ekranie rozpełzł się znak rozpoczynający nadawanie aktualności. Poprawiłem słuchawkę i już tak zostałem z palcem przy uchu. Obraz pokazywał lądowanie wyprawy pozaukładowej, która trzy i pół roku temu wyruszyła do podwójnego układu Persefony. Mieli sporo prac badawczych i dlatego trwało to tak długo.

Przechyliłem głowę, aby uważnie przyjrzeć się osobom wychodzącym na płytę ziemskiego lotniska.

Trzecią z kolei była ona. Miała piękny kształt głowy i bijący z twarzy zapas sił witalnych, resztę zakrywał kombinezon. Spiker, idiota, powiedział, że to Elen Scott, tak jakbym nie znał imienia swojej narzeczonej. Gdy ekran zapełnił rybopodobny osobnik w aseptycznym fartuchu, odłożyłem koreczek-słuchawkę na kontuar i podałem barmanowi kolejny banknot do kolekcji. Cicho, wręcz na palcach, przeszedłem przez salę. A więc już wróciła - pomyślałem i oparłem czoło o szybę. Zgodnie z umową miałem teraz trzy miesiące na powrót do domu na Ziemię. Podłubałem palcem w ucho i westchnąłem. Było mało czasu.

Biura Union Sport znajdowały się tam, gdzie się można było spodziewać. W pasażu między halą bokserską a pływalnią. Ubrałem się celowo w rozciągnięty opinacz i przed wejściem rozczochrałem włosy. Miałem nadzieję, że teraz bardziej przypominam bywalców firmy.

Wystrój wnętrza musiał najwyraźniej projektować ktoś z uszkodzonym błędnikiem. Podłoga była przechylona pod kątem dwudziestu stopni, a sufit pofałdowany jak w zapadającym się chodniku kopalnianym. Posyłając zabójcze uśmiechy piąłem się pod górę, mijając siedzące za drukarenkami dziewczyny. Każda z nich łupiąc w folię dawała do zrozumienia, że biurokracja żyje i ma się dobrze.

Łysy jak kolano typ, siedzący ni to w zagłębieniu podłogi, ni to za biurkiem uniósł głowę dopiero, kiedy oparłem rękę o statuetkę boksera. Był to jedyny element tego pomieszczenia związany z boksem.

- Słucham?

- Chciałem się upewnić, czy pańska firma będzie organizować w Space Garden zawody bokserskie dubletów.

Zerknął na moje ubranie i wyraźnie siłąc się na grzeczność odpowiedział.

- Najbliższe są za dwa tygodnie, w piątek.

- To świetnie. Chciałbym wziąć udział. Jakie są wymagania?

- Jako amator? - musiał się upewnić.

- Hm... nie pracuję dla żadnej firmy.

Panienki przy drukarenkach na moment przestały walić w klawisze. Łysy uśmiechnął się szczególnie cynicznie i wyciągnął z szuflady kostkę mikrofilmu.

- Po pierwsze należy wpłacić kaucję w wysokości trzydziestu tysięcy unitów.

- Aż tyle? - byłem zaskoczony. - Kiedyś było znacznie mniej.

Nie raczył odpowiedzieć.

- W wypadku przegranej dostaje pan z powrotem dziesięć procent. Jak pan wygra, otrzyma pan całą kwotę plus pięćdziesiąt tysięcy.

- Sądziłem, że za zwycięstwo jest większa stawka. Spojrzał na mnie jak kat na skazańca, który się pyta, co będą robić po egzekucji.

- Najbardziej się opłaca wykupić zakłady. Można zarobić nawet dwudziestokrotnie.

Obejrzałem się za siebie i byłbym przysięgł, że panienki z nudów podsłuchiwały naszą rozmowę. Kątem oka dostrzegłem, jak łysy posyła porozumiewawcze spojrzenie. Wyglądał na niepodzielnego władcę tego haremu.

- Może to przesada - zacząłem - ale z ciekawości chciałbym wiedzieć, kiedy się wypłaca nagrody, czy zaraz po meczu?

Chyba go bawiłem, gdyż z wysiłkiem opanował drgnięcie warg.

- Wszystkie pieniądze, zarówno stawka, jak i zakłady, są z tak zwanej puli detainowej. Nie wiem, czy orientuje się pan w bankowości.

Zaprzeczyłem. - Nieważne. W każdym razie są wypłacane w dowolnej filii „Middlebank”, ale dopiero trzy dni po zawodach.

Potrząsnąłem moją skołtunioną głową.

- Rozumiem. W każdym razie nie przepadną.

Łysy roześmiał się i dopiero po przełknięciu śliny wykrztusił.

- Przepraszam, coś mi się przypomniało - otarł łyzy. Wie pan, jeśliby się pan nie zgłosił w ciągu miesiąca, to pieniądze zostaną scedowane na naszą firmę.

- Aha, rozumiem - poprawiłem opinacz. - Sądzę, że nic takiego nie zajdzie, nie mówiąc, że trzeba jeszcze wygrać walkę.

Wygiął usta i pokiwał mi głową.

- Otóż to. Przystępuje pan do zawodów?

Jedną ręką położył na biurku formularz, a drugą szukał czegoś w szufladzie.

- Nie - powstrzymałem go. - Jeszcze nie. Muszę sprawdzić konto i zastanowić się.

Bez zdziwienia odłożył folię i wyciągnął wyświetlacz.

- Naturalnie, kaucja to ładny grosz - mruknął na odczepnego i poprawiając się w fotelu zatopił wzrok w ekranie.

Milcząc ruszyłem z powrotem. Sekretarki, ostatecznie przekonane, że jestem kolejnym frajerem, ze znudzonymi minami obserwowały moje manewry.

Zasunąłem wejście i powolnym krokiem ruszyłem wzdłuż korytarza. Za ścianą dygotała trampolina i kolejne chlupoty wody rozbrzmiewały mi w uszach jednym słowem: forsa, forsa. Potrzebowałem jej, aby mieć jeszcze większą forszę.

Automatów do gry, psychobotów i innych urządzeń, było w Space Garden co niemiara. Trudno było wejść do baru, aby nie trafić na coś dzwoniącego i żebrzącego o żeton. Jednak wszystko to służyło bardziej rozrywce, niż zdobywaniu gotówki. Prawdziwe centrum hazardu rozlokowało się w zachodniej części miasta, najbardziej zbliżonej do oceanu. Trzy kondygnacje oszklone i tyleż samo pod ziemią zadowalały najbardziej wyszukane gusta. Spośród wszystkich gier, poczynając od klasycznych kart czy kości, a kończąc na sprzężonych bitwach strategicznych, dla mnie osobiście największy mir miała ruletka. Prosta w regułach, przejrzysta w rozgrywce i tak diabelnie obiecująca. Jej to postanowiłem zawierzyć cały majątek.

Pierwsze wrażenie, przyznam, było negatywne. Na czarnej ścianie przy wejściu jarzył się napis: „Pamięci Pascala, wynalazcy ruletki”. Było to nieetyczne, takie podpieranie się kimś znanym.

Korytarz, cały wyłożony lustrami, prowadził do okienka, gdzie musiałem zostawić określoną sumę pieniędzy. Ponury jak gromnica kasjer sprawdził konto i podsunął woreczek z żetonami. Smutno mi się zrobiło, że kwota trzydziestu tysięcy unitów nie zrobiła na nim jakiegokolwiek wrażenia. Jakkolwiek by było, stanowiła prawie cały mój wkład. To, co zostało, starczało tylko na jeden bilet powrotny.

Zaraz potem chwyciło mnie pod ramię wdzięczne dziewczątko i pod spojrzeniem o wiele mniej wdzięcznych typów zaprowadziło do kabiny informatycznej. Przekonano się tam, że nie przenoszę żadnych komputerów, nadajników czy układów polimatycznych. Jak słyszałem, nabrano takich manier przed paru laty, kiedy to kilku facetów mających dostęp do systemu komputerowego rozbiło bank trzy razy pod rząd.

Musiałem być czysty, gdyż dziewczątka z jeszcze szerszym uśmiechem ruszyło ku właściwej sali. Tam, niestety, zostałem sam.

Gdyby szalony i bogaty miłośnik ruletki postanowił zbudować monumentalny pomnik tej rozrywce, to z pewnością owa sala zadowoliłaby go w pełni. Aby to zrozumieć, wystarczy wyobrazić sobie przeciętnej wielkości boisko do piłki nożnej, które ktoś zaokrąglił na kantach i uformował na kształt misy. Następnie wokół środka, na kolejnych wysokościach umieścił szeregi stołów. Każdy z ich koncentrycznych kręgów stał na różnych, coraz ciemniejszych wykładzinach, zbiegających się czarną

plamą ku środkowi. Różnica kolorów jednoznacznie określała różnicę w wysokości stawek. Bez namysłu, z miną utracjusza, zacząłem schodzić coraz niżej. Oświetlenie, padające z płaszczyzny sufitu, sprawiało, że im bardziej się zbliżało ku centralnemu stołowi, tym mniej widoczne były pozostałe poziomy. Zostawał tylko on, ten najważniejszy stół. Zielony, z dwoma symetrycznymi polami numerów, między którymi wirowało koło z trzydziestu siedmioma przegródkami. Pilnowało go po dwóch krupierów i inspektorów gry stanowiących sprawny kwartet, z mechaniczną precyzją operujący stertami żetonów. Zawahałem się i wybrałem lewą część stołu. Wydawało się, że twarz operującego tam krupiera jest bardziej uduchowiona.

Pierwsza stawka, jaką położyłem, sprawiła, że momentalnie znalazło się dla mnie miejsce siedzące. Dwa tysiące na parzyste. Krupier powiedział swoje, uruchomił ruletę i cisnął kulkę. Toczyła się chwilę po otoku, spadła niżej, odbiła od jednego z romboidalnych występów i zleciała w dół. Stuknęła o krawędź przegródki, znów zatoczyła łuk i wpadła do dołka.

- Trente et un - powiedział krupier i ściągnął grabkami żetony.

Obok klaskała w dłonie uroczą dziewczyna, trzymana za ramię przez typa o minie playboya. Położyłem cztery tysiące ponownie na parzyste. Większość, w przeciwieństwie do mnie, obstawiała numery. Z uznaniem zerknąłem na stosiki żetonów. Szurnęła kulka. Przez zwężone powieki obserwowałem jej tor. Trzask i znów nieparzyste. Westchnąłem i starając się zachować twarz pokerzysty położyłem osiem tysięcy w to samo miejsce. Odniosłem wrażenie, że krupier uśmiechnął się pod nosem. Cóż, system był stary jak ruletka. Obstawiało się tą samą prostą stawkę, za każdym razem podwajając kwotę. W wypadku trafienia za którymś rzutem, odzyskiwało się cały włożony kapitał z pewną wygraną. System był bardzo dobry pod dwoma warunkami. Trzeba było mieć dużo pieniędzy i nie mieć cholernego pecha. Ja zaś po raz trzeci ujrzałem jak wypada nieparzyste. Machinalnie rozejrzałem się wokół, lecz każdy był zajęty sobą. Gdzieś u góry majaczyły inne stoły. Nieruchomą, jak w czasie treningu dłonią położyłem szesnaście tysięcy na prostokacie z napisem „pair”.

Przy stole zrobiło się ciszej. Ktoś z tyłu mruknął: no, no. Zamknąłem oczy. Krupier wypowiedział sakramentalne „rien ne va plus” i puścił koło. Słyszałem, jak kulka uderza o występ i wpada do którejś z przegródek. Przełknąłem boleśnie ślinę i rozwarłem powieki. Akurat w sam raz, aby dojrzeć, jak grabki zabierają moją górę żetonów. Miały do tego prawo. Kulka leżała na numerze dziewięć. Poczułem, iż ktoś trzyma moje dłonie. Zerknąłem w dół. Zaciśnięte aż do białości palce wiązały się nawzajem. Szarpnąłem, leci nie puszczały. Krupier czekał chwilę, a kiedy uznał, że nie mam trzydziestu dwóch tysięcy puścił koło ponownie. Kiedy odchodziłem od stołu, usłyszałem jego krzyk: parzyste.

Minutę później stałem przed okienkiem kasjera. Spojrzał na podaną kartę wypłat i pokiwał głową.

- Coś się stało? - spytałem mając irracjonalne wrażenie, że zaraz się rozplączę.

- Nic takiego - odparł i wystukał kod bankowy. - Wiem tylko, co oznacza, kiedy klient podaje nie zaokrągloną sumę.

Wzruszyłem ramionami.

- Będąca równoważnością biletu na Ziemię - dodał.

- Przeszkadza to panu? - warknąłem.

Wycelował we mnie wodniste oczy.

- Bynajmniej.

Z nową porcją żetonów w kieszeni doszedłem do sali, tym razem już bez dziewczątka u ramienia. Miałem do wyboru inne, znacznie mniej wyrefinowane stoły, lecz jak szalencie ruszyłem w dół. W głowie szumiało jak po szampanie.

Krupier musiał mnie poznać. Znać to było po spojrzeniu jakie wymienił z inspektorem. Ująłem w garść wszystkie żetony jakie miałem i drżącymi palcami ustawiłem z nich walec na polu z cyfrą zero.

Miałem dość prostych stawek. Suma nie była duża, ale, wyglądała solidnie i grający ponownie zerknęli z uwagą.

Ruletka zakręciła się jakby szybciej niż poprzednio. Kulka uderzyła w przeciwnie biegnące przegródki, zakręciła koło stojana, a potem, kiedy wydawało się, że tam zostanie, zaczęła spadać. Wyglądało, że leci w bok od zera. Zamknąłem oczy. Stukot. Otworzyłem.

- Trois - powiedział krupier.

Opierając dłonie na stole, czując że mam wyciętą połowę mózgu, wstałem. Obce palce zacisnęły się na moim ramieniu.

- Dwa błędy - szepnął głos z wyrzutem. - Dwa błędy zrobiłeś.

Niski mężczyzna o garbatym nosie pocierał uporczywie nie ogolony podbródek. Patrzyłem na niego jak przez dym.

- Ja widziałem. Najpierw grałeś systemem kapitana. Bzdura - odbiło mu się i zasłonił usta. - Potem postawiłeś wszystko na zero.

Szedłem, nawet nie wiedząc dokąd idziemy. Starłem się nie myśleć o tym, że straciłem wszystko, co zapracowałem w ciągu trzech lat.

- Chciałeś za dużo wygrać. Tak nie można. Trzeba zawsze przeznaczyć pewną sumkę na grę i nie dodawać ani grosza, jak się przegra. Spokojniutko, powoli.

Kontuar, kochery i facet błyskawicznie nalewający alkohol do kieliszków wyjaśniły cel naszej wędrówki.

- Teraz już za późno - bełkotał i z podejrzaną radością zerknął na podawane nam napoje.

Wypiłem jednym haustem. Jedyne, co mogłem teraz zrobić, to zatelegrafować na Ziemię do Elen. Zawiadomienia o zerwanych zaręczynach nie musiałem wysyłać osobno. Potrząsnąłem głową za moim towarzyszem niedoli, lecz ten gdzieś się ulotnił.

- Proszę płacić - powiedział barman i znacząco zerknął na puste kieliszki.

Nie miałem pojęcia, kto tyle wypił. Było ich osiem.

- Nie widział pan tego gościa, który pił ze mną?

- Nie - odparł i nachylił się niebezpiecznie blisko.

Strach przed nie zapłaconym rachunkiem zdusił nawet wspomnienie bankructwa. Z rozpaczą, świadom pustki, sięgnąłem do kieszeni jednej, drugiej i w ostatniej, ku memu osłupieniu wymacałem dwa żetony. Upuściłem je na kontuar. Barman uspokoił się.

- Dziękuję, bardzo dziękuję - odrzekł i nie wydając reszty umknął na zaplecze.

Chwiejnym krokiem ruszyłem ku wyjściu. Stało tam owo dziewczę wraz z dwoma mężczyznami. Nietrudno było zauważyć, iż nie istnieję dla niej. Z poczuciem wyrządzonej krzywdy przepuściłem jakąś wychodzącą parę i patrząc pod nogi ruszyłem jej śladem.

Gdy byłem w połowie drogi, chlapanęło z boku światło i wśród gromkich oklasków otoczyło mnie kilkanaście osób. Poczulem gorące usta i ręce dziewczątka na szyi. Wrzawa rosła.

- Gratulujemy, gratulujemy! - ryczał tłusty osobnik o buzi oseska.

Oderwano wreszcie ode mnie dziewczynę.

- Nie rozumiem - wymamrotałem, starając się pojąć, czego pragną ode mnie.

- Jest pan milionowym klientem, który odwiedził kasyno. Proszę powiedzieć, kim pan jest i co pan robi. Tracąc kontakt z rzeczywistością powiedziałem parę zdań bez większego związku. Dziennikarze byli jednak zadowoleni. Chyba mój widok rekompensował im niedostatki wywiadu. Ponownie włączył się tłusty.

- Jak zdążyliśmy się dowiedzieć, przegrał pan pewną sumę. Dla otarcia łez. - tłum zaśmiał się jak z dowcipu dostanie pan od nas w prezencie tysiąc unitów, chyba... - zawiesił głos. - Chyba że zechce pan

wrócić do gry.

Już spora grupa gapiów zaczęła gwizdać i klaskać. Mignęła twarz znajomego z baru.

- Wtedy dostanie pan całe pięć tysięcy.

Ostatnie słowa powiedział tak wyraźnie, jakby pobierał lekcje dykcji. Znowu błysnęło światło.

- Jasne, że będę grał dalej - wyszeptałem i czułe mikrofony podchwyciły głos.

Nieomal na rękach zostałem zniesiony z powrotem do centralnego stołu. Wszyscy goście klaskali, jakby byli opłaceni. Posadzono mnie na krzesło, wciśnięto woreczek z żetonami i poproszono o ciszę. Zerknąłem na stół. Cyfrą, na którą padło moje oko było piętnaście. Zakląłem w myślach niecenzuralnie i uznałem, że jest to moje przeznaczenie. Wycierając dłonie w spodnie ruszyłem do obstawiania inaczej niż do tej pory. Podzieliłem żetony i jak w natchnieniu kładłem kolejne słupki na wszystkich możliwych stawkach tego numeru. Pojedyncza, podwójnie, potrójnie, tuzin, kolor, i tak dalej. Krupier z błyskiem w oku śledził moje poczynania. Jak się rychło okazało, w tej rozgrywce byłem jedynym grającym. Uśmiechnął się stereotypowo i uruchomił mechanizm koła. Tłum przestał oddychać i słyszać było wyraźnie terkot toczącej się kulki. Trach, uderzyła o występ, z niespodziewaną siłą trzasnęła w bandę i zleciała do przegródki z numerem piętnaście. Wydawało się, iż setki głów zawisły nad stołem. Kulka drgnęła, jakby jeszcze miała wyskoczyć, przecież wpadła z takim impetem, ale już obroty malały i syk wypuszczanego przez ludzi powietrza świadczył, że wygrałem.

Koło stanęło. Hałas, wrzaski, ktoś szarpnął mnie za rękaw, a krupier z kamienną twarzą podsunął pod nos górę złotych żetonów. Musiałem prosić o dodatkowy woreczek. Pytano się, czy będę grał dalej. Stanowczo pokręciłem głową i przyznam, że tłusty nawet tym się nie zmartwił. Sądzę, że dla reklamy kazał nakryć stół czarnym kirem.

Nie mniej oszołomiony niż przed pół godziną wdrapywałem się do wyjścia. Dwóch roślących pracowników kasyna bezpardonowo usuwało zbyt natarczywych gości z mojej drogi. W jednym tylko wypadku zrobili wyjątek. Kazałem zatrzymać owego znajomka z baru i ku jego osłupieniu wcisnąłem mu parę żetonów do garści. Oczywiście postarałem się, aby nie były zbyt dużego nominału.

- Wypij sobie na moje konto - mruknąłem i pchnąłem go w tłum.

Sala zaklaskała.

Po pięciu minutach, gdy spocony jak szczur wymieniałem żetony u kasjera, dziennikarze już się przerzedzali.

Czując gumowe poduszki pod stopami, chwyciłem świadczenie bankowe i jak najprędzej czmychnąłem najbliższego chodnika. Dopiero jadąc, w świetle neon przyjrzałem się sumie. Była wstrząsająca.

Gdyby nie moje zadawnione porachunki z Union Sport, to kto wie, czy nie zadowolilibym się sumą wygraną w kasynie. Sądzę, że była wystarczająco tłusta, aby ucieszyć Elen. Jednak teraz, gdy zaszedłem już tak daleko, nie było mi w głowie wycofywać się. Nie na darmo Jovel nazwał mnie przy pożegnaniu upartym sukinsynem.

Złatwiając ostatnią przeznaczoną na ten dzień sprawę wyszedłem z biura podróży i estakadą szybkiego ruchu dotarłem do zewnętrznej ściany centrum. Niedaleko kasyna mieściło się jedno z sześciu wyjść spacerowych. Przed służą czekało właśnie kilku amatorów przechadzki. Widać było, że kolejka przede wszystkim jest zasługą porządkowego, który każdą czynność przerywał przerażającym grymasem twarzy. Chwytał się przy tym pod boki, jakby miał chore nerki i dopiero widząc zainteresowanie stękał i wracał do zajęć. Tym sposobem dostałem filtr i nadajnik dopiero po piętnastu minutach. Wciągając i wypuszczając powietrze śluza przepchnęła mnie na zewnątrz. Wokół niewielkiego tarasu pieniło się w podmuchach wiatru morze traw. Porównanie było szczególnie udane zważywszy kolor i dotyk. Szafirowa,

o miękki jak puch łądygach, chwytając i łaskotała po łydkach. Gdybym był młodszy, wywinąłbym chyba parę kozłów dla samej przyjemności, ale teraz wstrzymywał mnie widok ludzi. Parami, rzadziej samotnie, krążyli wokół centrum. Dziewczyny z reguły uciekały przed kłębam mgły, popiskując przy tym bardziej z uciechy niż odrazy.

Większość szła nad brzeg oceanu, lecz i tak zasięg nadajników ograniczał poruszanie. Prospekty twierdziły, że krajobraz nie zmienia się w promieniu dziesiątków kilometrów. Było to charakterystyczne dla spokojnych, aby nie rzec monottonnych planet.

Przechodzący mężczyzna spytał, czy nie mam zapasowego akumulatora. Widząc mój wzrok uciekł speszony, lecz nie przejąłem się tym. Uważam za bezsens spacerowanie z wyświetlaczem przed oczyma. Dobrze chociaż, że wolno używać tylko odbiorników słuchawkowych. Sądząc po liczbie wciśniętych w ucho koreczków, byłby tu spory jazgot.

Minąłem parę całującą się mimo filtrów i stanąłem na szczycie nadmorskiej skarpy. Bezwietrzna pogoda sprawiała, że w oceanie odbijało się bliźniaczo pożółkłe niebo. Jedyne cienie płatów mgły sprawiały wrażenie dziur wypalonych gigantycznym papierosem. Kreska horyzontu była praktycznie niewidoczna. Opuściłem wzrok i dostrzegłem najbardziej interesujący fragment pejzażu. Przy kamienistej plaży, już w wodzie, stał prostopadłościenny postument z balustradką i wycelowanym ku niebu jakby zniczem. Po obydwu stronach oddzielała go od ogólnie dostępnej plaży zaporą z jaskrawymi tablicami ostrzegawczymi.

Chwyciłem poręcz i zacząłem schodzić z platformy wytopionymi w skale stopniami. Z radością zauważyłem, że wygodniccy turyści nie przychodzili na plażę tak gromadnie jak u góry, Najwyraźniej odstraszał ich brak windy. Chrupiąc kamyczkami dotarłem do bariery.

„Stacja tunelowa. Wstęp surowo wzbroniony”.

Tej treści metrowe tablice wisiały co kawałek. Przypuszczalnie większość ludzi nawet nie wiedziała, co to jest stacja tunelowa, lecz napis robił swoje. Był wystarczająco groźny. Zerknąłem w bok. Wiszące nad głową urwisko nadawało scenerii smaku. Szarą skałę o oślepiająco białych żyłach dopiero kilkanaście metrów wyżej wieńczyła kita trawy.

Niedostrzegalny ruch wstrząsnął powietrzem. Jak można było się spodziewać, na przedłużeniu stacji, kilkanaście metrów od postumentu, woda zadrgała i jakby się ugięła. Zerkając na zegarek wyszukałem stopami pewniejsze miejsce wśród kamieni. Rozmieszczone w równych odstępach czerwone światła rozjarzyły się na barierach równo z terkotem dzwoneczków. Powietrze nad wylotem znicza drgnęło. Zastrzygłem uszami, gdyż powiał wiatr o specyficznym, astmatycznym gwiździe. Gdy dławiąc się, osiągnął maksimum, ze znicza, grubym na dwóch chłopa słupem, trysnęła woda. Od strony platformy doleciały strzępki okrzyków. Najwyraźniej zauważono nową atrakcję. Zadarłem głowę. Zielonkawy na tle nieba cokolwiek wody przewiercał nieboskłon. Tam, niewidoczna z tego miejsca, wisiała stacja kosmiczna, adresat przesyłki. Zatrudniając kilkaset osób, mając trzy doki i przyjmując statki pozaukładowe potrzebowała sporo HZO. Dlatego dwa razy dziennie wykonywano operację transportu z pomocą skanalizowanego pola grawitacyjnego. Była to klasyczna metoda stosowana w tego typu przypadkach.

Chrząknęło i równo odcięty filar zieleni pomknął ku niebu. Wiatr dmuchał dalej, świadcząc, że przerwano tylko dopływ wody. Kanał miał być utrzymany jeszcze przez kilkanaście minut, dopóki ładunek nie dotrze na stację. Przypominały o tym mrugające światła i trele dzwoneczków. Wiadomo było, że każdy, kto się nachyli teraz nad wylotem, zostanie porwany w kosmos, gdzie zamarnie, udusi się bądź pięknie od wylewów. Nikt normalny nie chciałby doznać tego typu wrażeń.

Ująłem w palce wybrany uprzednio kamień i długim łukiem posłałem go nad wylot; tylko furknęło. Ktoś krzyknął od strony urwiska. Wychyliłem się w tamtą stronę. Obok wtopionego w zbocze wjazdu stał

człowiek i wygrażał mi pięścią. Zrobiłem przeproszącą minę, czym go udobruchałem, w każdym razie uspokoił się, i ruszyłem ku schodom. Bynajmniej nie byłem zakłopotany. Byłem zadowolony. Dowiedziałem się dwóch rzeczy. Po pierwsze nie było czujnika sprzężonego z laserem, a po drugie widziałem już, gdzie można oczekiwać dozorcę, naturalnie jeśli wieczorami również pilnuje terenu. Wariacki plan, który ułożyłem w głowie, nie przewidywał, że pójdzie mi to aż tak łatwo.

Budząc uznanie odpoczywających na platformie turystek wbiegłem tam bez zadyszki.

Wokół przepływały całe stada ryb. Niewyraźne, docierające przez warstwę wody światło nadawało wszystkim przedmiotom nienaturalny wygląd. Człowiek, z którym się umówiłem, miał twarz koloru gliny.

- Idiotyczny pomysł - zacząłem. - Już lepszego miejsca na spotkanie nie mógł pan wymyślić?

Odpowiedział spokojnie i metodycznie.

- Mało kto odwiedza akwarium i trudno jest kogoś rozpoznać.

Miał rację. Wyglądał o dwadzieścia lat starzej niż poprzednio. Jak stawał blisko szkła, to nawet włosy miał siwe.

- Przywiózł pan skafander?

Skrzywił się.

- Czy musimy zaraz wszystko nazywać?

Przesadzał, ale cóż mogłem poradzić. Wsunąłem mu pod pachę rulonik banknotów.

- Tak jak pan prosił, gotówka.

Po raz pierwszy wykonał naturalną czynność, uśmiechnął się. Zaraz jednak przypomniał sobie o własnej roli.

- Pan na pewno zbiera skafandry?

Łypnąłem spode łba, jakby posądził mnie o jakieś wyrafinowane zboczenie.

- Przecież mówiłem. Zresztą do czego innego może się przydać zniszczony egzemplarz.

Nogą przesunął pakunek.

- Tak - chrząknął. - On jest zniszczony. Tylko, wie pan, powinienem go zdać.

- Dobra, dobra - poklepałem go. - O tym już mówiliśmy. Nie ma się co martwić.

Chwyciłem worek i żegnając się krótko, ruszyłem ku wyjściu. Kiedy się odwróciłem na zakręcie, jego już nie było.

Mrużąc oczy od światła wyjechałem na wyższy poziom. Szybko, nie chcąc świecić w oczy paczką, po trzech przesiadkach dostałem się do najmniej atrakcyjnej dla turystów części Space Garden. Nie biegły tam nawet ruchome chodniki, a korytarz; do którego trafiłem, świecił pustką. Przeskoczyłem balustradkę z napisem „Wstęp tylko dla personelu” i przyciskając paczkę do boku, ruszyłem wzdłuż ściany. Dla bezpieczeństwa nie zapalałem światła, lecz i tak w smudze padającej z głównego korytarza znalazłem drzwi. Pchnąłem je i śmiało oświetliłem pomieszczenie. Przyniesione przeze mnie uprzednio pakunki leżały nienaruszone świadcząc, że trafnie dobrałem miejsce.

Dostarczony skafander faktycznie nie nadawał się do użytku. Przepalony w dwóch miejscach, z wymontowanym blokiem energetycznym przedstawiał obraz nędzy i rozpacz. Rozłożyłem materiał starannie na podłodze i wyjętym z pakunków promiennikiem odciąłem rękaw w łokciu i na barku. To, co zostało, najważniejszą część z emblematem, uniosłem w górę. Czując, jak tłucze moje serce, podszedłem do ściany graniczącej z powierzchnią planety. Przy drzwiach służyła kontrola komputerowej. Nad nią, na wysokości ramienia, była zamontowana płytki identyfikatora. Przytknąłem emblemat.

Wraz z lampką gotowości rozbłysły moje oczy. Czując jak spada mi kamień z serca skasowałem ją. Starannie chowając rękaw zwinąłem resztkę skafandra i gasząc światło wysunąłem się na korytarz. Jak to

dobrze, pomyślałem, że personel po czternastej nie pracuje. Szedłem, a pod podłogą pracownicy burczały agregaty.

Gdy wyszedłem spod natrysku, dorwało mnie dwóch facetów o minach grabarzy i pobrało wymiary. Miało to gwarantować, że uprząż nie będzie mnie gniotła i uwierała nawet podczas najbardziej wymyślnych wygibasów. Gdy wyszli, jeszcze raz sprawdziłem, czy wszystkie potrzebne rzeczy mam w jednej torbie. Następnie zasunąłem zamek i rozwinąłem schowany uprzednio za umywalką przedmiot. Był to długi na kilkanaście metrów kabel, zakończony z jednej strony wtykami, a z drugiej blaszką. Szczyt prostoty, żeby nie powiedzieć prymitywizmu. Jednak na ordynarny i w sumie banalny chwyt Union Sport należało odpowiedzieć czymś podobnym. Zsunąłem spodenki i zacząłem owijać biodra. Po paru minutach mogłem stwierdzić, że lustro nie ujawnia żadnych szczegółów całej machinacji. Pod gumkę wsunąłem jeszcze mały klucz. Ktoś zastukał. Sprężystym krokiem podszedłem do drzwi.

- Co jeszcze? - spytałem, widząc jednego z tych; którzy mnie mierzyli.

- Nic - odparł i psiknął sobie do nosa czymś w aerozolu. - Przyszedłem powiedzieć, że za parę minut zaczynamy.

- W porządku - odparłem i przymknąłem drzwi. Pokój, w którym przebywałem, był zwykłą szatnią bokserską z szafą diagnostyczną, stołem do masażu i paroma taboretami. We wnęce wisały ręczniki. Nie dziwiłem się temu wiedząc, że tutaj odbywają się również zwykłe walki bokserskie. Świadczyły o tym przyschnięte do niestarczająco wysypanego kosza krwawe strzępki tamponów. Ponownie zapukano.

- Musimy już iść - dobiegło z korytarza.

Ze świadomością, iż personel techniczny jest stanowczo miłszy niż pracownik biura, wyszedłem na korytarz. Torbę z dokumentami zostawiłem tuż za progiem.

Zrazu cichy, potem głośniejszy, a na końcu hałaśliwy głos tłumu zmieniał się wraz z przebytymi metrami korytarza. Jednak gdy stanąłem między wysokimi ścianami widowni i ujrzałem rozświetloną płamę ringu, poczułem się jak gladiator rzucony na pożarcie lwom. Rozgadane twarze, setki nachylających się głów i kursujący w przejściach sprzedawcy tworzyli jedno rozmazane kłębowisko.

Pchnięto mnie w ramię i ruszyłem dalej. Po wejściu na rampę tłum dostrzegł moją sylwetkę. Huknęły brawa, rozwrzeszczały się głośniki. Z tego, co słyszałem, wynikało, iż parę walk przed trzema laty zaowocowało błyskotliwą karierą. Na przekór, jak powracające po latach przerwy bożyszczce, uniosłem zaciśnięte pięści i pogroziłem sklepieniu. Gest zyskał aprobatę i sala ponownie zatrzęsała się od oklasków. Widownia była wypoczęta i jak w każdej inauguracyjnej walce skora do żywiołowych emocji. Siedzący w loży przedstawiciele Union Sport klepali od niechcienia.

Zatrzymałem się przy samym ringu. W świetle bezcieniowych lamp stały dwie ludzkie postacie. Z bliżej nieokreślonych pobudek w miejsce twarzy miały jedynie szpary imitujące usta i oczy. Aż się prosiło, aby lać je w gębę.

Sala ponownie zatrzęsała się od oklasków. Na początku rampy wyłonił się mój przeciwnik. Wystudiowanym gestem, jakby od niechcienia, pozdrawiał ludzi. Z natężenia oklasków można było wnosić, że sympatia jest po jego stronie. Chyba dla jej wzmożenia chwycił moje dłonie i uśmiechając się od ucha do ucha potrząsnął nimi parę razy. W przeciwieństwie do Colinsa był blondynem o śnieżnobiałych zębach. W filmach archiwalnych grałby z pewnością czułych i męskich amantów.

Sędzia zawodów chwycił nas za nadgarstki i poprowadził do wejścia pod ring. Machając tłumowi weszliśmy do środka. Zamknięto drzwi i zostaliśmy sami.

- Uff - sapnął blondyn ocierając autentyczny pot z karku. - Ta hołota zawsze mnie wykańcza.

Miał teraz zatroskaną twarz człowieka, który dostał łopatę i wie, że zaraz będzie kopał rowy. Już się nie uśmiechał.

- Chodźmy - powiedział. - Trzeba iść zarobić na sławę.
- Sądząc z wiwatów już ją masz. Zerknął z potępieniem.
- Ci na szczycie nie walczą z amatorami - powiedział i odwrócił się na pięcie.

Uczyniłem to samo. Przed wejściem do kabiny pomachałem ręką, co zupełnie zignorował, i zamknąłem drzwi. Przytrzymałem je parę sekund, a później uchyliłem. Był już w środku. Teraz, od tej chwili, zaczął grać rolę czas.

Truchtem dopadłem wnętrza i obrzuciłem wzrokiem tablicę rozdzielczą. Na uchwytych wisiała plomba. Zerwałem ją i wyjętym kluczem otworzyłem drzwiczki. Lewa ręka, prawa, lewa... błyskawicznie odwijalem kabel, a później setki razy przemyślanym ruchem wcisnąłem wtyczki w złącza. Widząc, że nic się nie pali ani nie wyje, wycofałem się ciągnąc za sobą przewód przez całą długość korytarza. Drzwi od kabiny pozostawiłem uchylone. Sądząc z zegarka, robot tamtego już dawno ożył i machał zwycięsko do publiczności. W rekordowym tempie wsunąłem się w uprząż i z końcówką kabla w ręku opuściłem na głowę hełm.

Pisk, krótkie buczenie i stałem na ringu widząc przed sobą sylwetkę przeciwnika. Złudzenie było doskonałe i tylko trzymana w ręku blaszka z przyciskiem przywracała realność. Musiałem się pilnować, aby nie myśleć o jego wciskaniu, gdyż ten kretyński robot będzie robił to samo. Mógłby zwrócić czyjąś uwagę.

Trzy oślepiające błyski zapłonęły pod szczytem kopuły. Ruszyliśmy ku sobie. Krótki, taneczny krok i dostałem pierwszy cios w szczękę. Gdybym był tam naprawdę, miałbym zęby w mózgu, a tak zabolalo, jak przy policzku. Odskokczyłem i trzymając gardę zrobiłem wokół niego dwa kółka. Przyznaję, że cios mnie rozjuszył. Konstruktorzy dobrze wiedzieli, co czynią, kiedy projektowali ograniczony przekaz bólu. Ruszyłem do przodu. Cios w szczękę, jeszcze jeden i hak z dołu. Nie oszczędzałem się wiedząc, że muszę zakończyć walkę w pierwszej rundzie, a mimo to on przyjął wszystko na rękawice. Gdyby robot miał twarz z pewnością uśmiechnąłby się szyderczo. Zaatakowałem ponownie, cały czas z palcem na przycisku, prosty, prosty i unik przed kontrą. Na szczęście zdążyłem. Faceci z pierwszych rzędów tłukli pięściami o szkło. Byli bardziej nieludzcy niż ten robot.

Ponowny taniec po ringu. Dobiegała pierwsza minuta walki. Musiałem przystąpić do rozstrzygnięcia. Nie mogłem zwlekać: Miałem nadzieję, że ostatecznie upewniłem blondyna co do skuteczności komputerka.

Uginając nogi zrobiłem pół kółeczka, a kiedy stanął, jak tego pragnąłem, zaatakowałem. Prawy sierp, pomyślałem i puściłem przycisk. Stop, lewy hak!

Spokojnie unosił ręce do bloku i kiedy miał je na wysokości szczęki wsadziłem raketę tam, gdzie człowiek ma wątrobę. Było to jedno z najczulszych miejsc, jakie zaprojektowali konstruktorzy. Zafalował ramionami, zgiął się jak scyzoryk i runął na ziemię. Widownię przeszły drgawki. Odskokczyłem. Robot pełznąc jak krab próbował znaleźć oparcie. Widać było, że blondyn odczuł cios i jeszcze nie jest w stanie go kontrolować. Z boku wyciekała brunatna ciecz. Kreślił nią pozwijane smugi na plastiku podłogi. Czas biegł strasznie wolno. Nie mogłem uwierzyć, że odliczają dopiero czwartą sekundę. Robot podniósł się na rękach, ale nie wytrzymując ciężaru zwałił się na bok. Wiedziałem dobrze, co będzie, jeśli wstanie. Blondyn odłączy komputerka i zrobi ze mnie miazgę. Podobno zdarzały się wypadki nokautu dubletowego. Siódma sekunda. Robot utrzymał się na wibrujących ramionach i stara się postawić kolano. Ósma sekunda. Blondyn świadom uszkodzeń z precyzją sprawia, że robot już klęczy. Dziewiąta. Próbuje wstać. Dziesiąta i nie wytrzymuje rozbity mechanizm. Zwała się na ring plamiąc podłogę. Światło i sygnał końca walki. Jakies przedmioty rozpryskują się na szkło klosza. Dopiero po chwili rozumiem, że mogę wychodzić. Brzęczenie i hełm odsłania na powrót półmrok kabiny.

Szarpiąc zdjąłem uprząż i z kablem w ręku wypadłem na korytarz. Jeszcze go nie było. Wyszarpuję

wtyczki, zamykam tablicę i upychając nogą zostawiam kabel we wnęce. Kiedy się odwracam, blondyn już tam stoi. Obierając się dłonią o ścianę patrzy z mordem w oczach. Kolana chodzą mu na boki.

- Tak sądziłem - cedzi przez zęby. - Tak sądziłem.

Ostentacyjnie szurnałem nogą wystającą końcówkę.

- Należało się wam.

- Co się należało?

Podszedłem do niego.

- Obydwasz się kryjemy. Ja nie powiem o waszym numerze, a ty nie możesz powiedzieć o moim pomysle: Prawda?

Pchnąłem go i nie zważając co bełkocze, podszedłem ku wyjściu. Ucałował mnie za ramię, gdy otwierałem drzwi. Otrząsnąłem się i ukazałem ludziom. Gwizdy, oklaski, wyzwiska i gratulacje. Sędzia pociągnął nas ku rampie. Jak dostrzegłem, pod kłosem kręcili się już technicy wymieniający po każdej walce roboty. Triumfalnie pomachałem dłonią, nie zważając na bladą i zawziętą twarz blondyna. Widać było, że jakiś paskudny zamiar kiełkuje w jego głowie.

Ryk sali osiągał apogeum. Nieoczekiwane zakończenie kompensowało krótką walkę. Na olbrzymiej tablicy świetlnej ukazały się wyniki zakładów. Czerwonymi literami ogłoszono, że padły najwyższe od trzech lat wypłaty. Wraz z kolejną falą gwizdów z podłogi wyrosły metalowe przegrody mające nas zabezpieczyć przed ewentualnym atakiem. Co by powiedzieć, większość sali przegrała. Nieliczni szczęśliwcy biegli kłusem do stanowisk totalizatora, aby potwierdzić wygrane. Sędzia na wszelki wypadek skrócił moją prezentację i wskazał drogę do szatni. Uderzające o ścianki poduszki z foteli i puszki po piwie stanowiły przyjemny akompaniament. Przed wyjściem zdążyłem jeszcze dostrzec, jak blondyn podbiega do foteli organizatorów.

Pierwszą rzeczą, którą zrobiłem po wejściu do szatni, było zagarnięcie ubrania i torby. Przekręciłem klucz i korzystając z pustego korytarza pobiegłem w kierunku pryszniców. Programator w kabinie załśnił gotowością, lecz ignorując go zacząłem się przebierać. Zegarek sugerował, iż nie wolno mi się za bardzo spieszyć. Przecież cały plan opierał się na dokładnym zgraniu czasu i tylko dzięki temu mogłem szczęśliwie opuścić Space Garden.

Prawdę mówiąc, nie sądziłem, aby Union Sport chciało mnie ukatrupić. Najprawdopodobniej dostałbym mocno w kość, musiałbym podpisać parę zobowiązań i po miesiącu, kiedy mijał termin wypłat, wypuszczono by mnie na wolność. Naturalnie niczego nie mógłbym później udowodnić. Jedynym miejscem, gdzie mogłem tego uniknąć była Ziemia. Strasząc odpowiednio notariuszem czy wpisem komputerowym obiecałbym, że jeśli się ode mnie odczepią, to nie puszcę pary z gęby. To, że już nigdy nie będę walczył, było oczywiste.

Przeszedłem po mokrej posadzce i zerknąłem, co się dzieje w moim pokoju. Przed drzwiami stało trzech facetów; wyglądających na takich, co to bicepsiem gniotą orzechy. Pałac papierosa dreptał między nimi osobnik, którego przedtem dostrzegłem w łóży.

Zawróciłem i zapasowym wyjściem dotarłem na tyły pływalni. Lawirując między ubranymi w slipki ludźmi przeskoczyłem płotek i wszedłem na ruchomy chodnik. Powinno minąć pięć minut, zanim zaczną pukać do drzwi i następne trzy zanim zdecydują się je wyważyć. Mniej więcej po piętnastu minutach powinni obstawić port wahadłowców. Jasne było, że tą drogą nie dostanę się na stację kosmiczną. Komuś może się wydawać, że w miejscu pełnym ludzi trudno jest obezwładnić człowieka nie budząc zamieszania. Niestety, nie miałem takich złudzeń. Słyszałem aż za dobrze o działaniu pocisków ciśnieniowych. Cichy syk i już dwóch kolegów podtrzymując osłabłego przyjaciela wychodzi z sali. Myślę, że nawet by tego nie zauważono.

Zerkając na wszystkie napotykanne zegary sunąłem ku mojej służbie. Zostawione w hotelu rzeczy

powierzałem w spadku dyrekcji.

O wyznaczonej godzinie stanąłem przed wyjściem i przyłożyłem emblemat do płytki. Sądziłem, że elektryk pracujący w tym pomieszczeniu ucieszy się z paru drobiazgów, jakie mu zostawiłem. Niestety nie miałem sposobu, aby je zabrać.

Potrząsając aparatem plecowym wyszedłem na zewnątrz. Z racji późnego zmierzchu potykając się o żelastwa i kawałki plastiku stanąłem na trawie. Odwróciłem się ku gmachowi centrum. Rozpalony światłami, pocięty konturami korytarzy i kopuł wyglądał jak zamek z tysiąca i jednej nocy. Nad nim niebo było czyste, świecąc drobinkami nie znanych mi konstelacji. Nawet nie wiedziałem, w którym kierunku była Ziemia.

Odsunąłem płytkę i odnalazłem manetki. Przypuszczałem, że moi prześladowcy dotarli już do hotelu. Uruchomiłem silnik i czując znajome dygotanie uniosłem się kilkanaście centymetrów, a potem ruszyłem przed siebie. Po kilometrze zmieniłem kierunek i poleciałem po obwodzie koła, którego środek stanowiło Space Garden. Kiedy jego jasna sylwetka schowała się za moim prawym ramieniem, byłem nad oceanem. Z boku świeciła plamka platformy widokowej. Mając nadzieję, że dozorca jeszcze nie wyszedł na plażę, jak kometa zsunąłem się ponad ocean. Ponownie zerknąłem na jasne cyferki wtopione w nadgarstek. Mówiły, że jestem punktualny. Dla bezpieczeństwa opuściłem się nad samą wodę.

Planeta nie posiadała księżyca i tylko gwiazdy odbijały się w spokojnym jak rtęć oceanie. Pchnąłem manetkę i smuga gazu zasyczała uderzając o lustro wody.

Gdy zbliżyłem się na kilkadziesiąt metrów, obok światełek pozycyjnych na barierach rozbłysły sygnały ostrzegawcze. Zaterkotały dzwoneczki. Słyszac to wstrzymałem lot na krawędzi świetlnego kręgu. Nie byłem pewien, lecz na platformie widokowej stało chyba parę osób. Reszta urwiska różniła się od nieba tylko brakiem gwiazd. Znajomy głos obwieścił, iż woda ruszyła. Jej słup był teraz ledwie widoczny. Z daleka przypominał smołę albo błotny gejzer. Wyczuwałem, że ocean pod moimi nogami zatacza ociężałe kręgi. Zaczynałem się bać. To, co chciałem uczynić; od strony technicznej było wykonalne, ale mniej więcej na tej zasadzie jak polowanie z widelcem na tygrysa. Oczywiście, że można go było pokonać, wystarczyło tylko trafić w oko.

Wraz z silniejszym powiewem wiatru kolumna czerni zniknęła. Perfidnie wywołałem z pamięci twarz blondyna i przyglądając się jej chwilę szarpnąłem manetki. Oświetlony kawałek plaży ruszył na mnie. Drobną poprawką na wysokość. Spokój upewniał, że nie zostałem zauważony. Zmrużyłem oczy, gdy do wnętrza wpadł blask od barier. Nie miałem czasu na opuszczenie blendy. Widać było, że lecę prosto na wylot generatora. Już!

Manetki w dół, kontra i świat staje na głowie. Atawistyczne przyzwyczajenie sprawia, iż wydaje mi się, że plaża wywija kozła i po chwili, z głową wycelowaną w gwiazdy, zaczynam spadać. Skafander działa prawidłowo. Zerknąłem do góry pod moje nogi. Akurat widzę, jak oświetlony kontur centrum zmienia się w małą kropkę, a potem znika zupełnie. Najtrudniejsza przeszkoda została pokonana. Waląc się kułakami w skafander tonę coraz głębiej w mroku kosmosu.

Gwiazdy już dawno przestały mrugać i entuzjazm sprzed kilkadziesiąt minut zniknął bez śladu. Wokół było diabelnie zimno, a zasłonięte planetą słońce wciąż się nie ukazywało. Jedyne odczuwane ciśnienie było gwarancją, że wciąż lecę właściwą drogą, a poprzedzają mnie tony lodu. Mimo uporczywego zadzierania głowy wciąż nie było widać stacji, a powinno, gdyż był to kolos. Jedyne gwiazdy wisiały nieruchomo w przestrzeni. Tutaj nie było mowy o dwuwymiarowości nieba jak na powierzchni planety.

Bałem się paskudnie i gdybym mógł, oddałbym całą forszę za szczęśliwy powrót. Miałem gdzieś tę

aferę i nawet myśl o Elen była bez sensu.

Pole zniknęło. Pojąłem to, gdy przestałem wiedzieć, gdzie góra, a gdzie dół. Tryknąłem głową o okap hełmu i omal nie oślepiłem. Zza planety trysnął rozżarzony rąbek słońca. Po omacku zasunąłem blendy. Uruchomiony aparat plecowy wyrównał lot. Przechylając się zakreśliłem kółko i omal nie wyrwałem sobie płuc okrzykiem radości. Duża, pękata i lśniąca w słońcu stacja tkwiła kilkanaście kilometrów ode mnie. Z rosnących w oczach fragmentów konstrukcji widać było, że mam całkiem sporą prędkość własną. Nie chcąc się roztrzaskać dałem ciąg wsteczny i minimalną korektę kursu.

Plując gazem zatrzymałem się między dwoma filarami nośnymi łączącymi moduły korpusu. Ten, do którego dążyłem, był po lewej stronie. Czując się jak mrówka, która przypadkiem trafiła do dziwnego i skomplikowanego urządzenia, leciałem ku białej ścianie. Uważałem przy tym, aby nie trafić w zasięg kamer. Wreszcie dostrzegłem słuź transportową numer dziewięć. Przeleciałem nad nią i wylądowałem na pancerzu. Nie więcej niż metr od moich nóg rysował się właz awaryjny. Niestety, był z gatunku tych, co się otwierają tylko od wewnątrz. Chyba setny raz spojrzałem na zegarek. Kiedy odwróciłem głowę, szczelina w pancerzu właśnie się rozwierała. Najpierw wysunęła się ręka, potem reszta. Widząc mnie facet z uznaniem pokiwał głową. Ruszyłem za nim.

Już po kilku minutach staliśmy w niewielkim, ale za to dokumentnie zagrożonym pomieszczeniu.

- Niezła z ciebie sztuka - powiedział.

Przebierając się nie zwracałem uwagi na komplementy.

- Jednak udało ci się dostać tutaj bez wahadłowca dodał i zachrypiął papierosowym kaszlem.

Do torby, którą mi przyniósł, przełożyłem wszystkie rzeczy z kieszeni wewnętrznego skafandra. Na szczęście nic się nie przepociło. Facet przyglądał się kontrolkom zdjętego aparatu.

- Tym jednak nie leciałeś - stwierdził.

- Może - odparłem ruszając ku wyjściu. - Czy to ważne?

- O, nie - powiedział i zagroził drogę.

- Czego chcesz? - warknąłem czując jakieś świństwo.

Poklepał mnie po kieszeni, gdzie włożyłem gotówkę. Z przykrością stwierdziłem, że ma nieświeży oddech..

- Dostałeś już.

Przewrócił oczyma.

- Pensja instalatora jest cieniutka.

- Ile?

- Tyle samo.

Wiedział, że się spieszę, i wiedział, co zrobię. Odliczone banknoty wcisnąłem do jego wilgotnej garści.

- Na prawo, po schodkach w dół - powiedział, kiedy wychodziłem.

- Mam nadzieję, że rzeczywiście dojdę do łącznika.

- Mowa, masz to jak w banku.

Zniknął mi z oczu, ale jeszcze do zejścia słyszałem jego śmiech. Był równie obrzydliwy jak oddech.

Na szczęście nie kłamał. Łącznikiem szli ludzie wyglądający na pasażerów, którzy już przebyli kontrolę biletów i bagażu. Bez kłopotu wmieszałem się w ich rozgadaną ciżbę i podążyłem ku statkowi. Ci, którzy mogli na mnie czekać w sali odpraw, zostali na lodzie. Myśląc o tym, omal nie roześmiałem się na głos.

Stewardesa podeszła jakieś pół godziny po starcie. Dwie lampki wina i wiadoma sytuacja zdążyły mnie w tym czasie wprawić w szampański humor.

- Pan Molden?

Wyszczrzyłem zęby.

- Naturalnie.

Kucnęła przy fotelu, jakby sprawdzała mi puls.

- Jestem pewna, że pański bilet jest nie skasowany.

Jeśli nawet byłem wstawiony, to wytrzeźwiałem momentalnie. Rozejrzałem się. Siedząca naprzeciwko para nie zwracała na nic uwagi.

- A o co chodzi?

Dziewczyna musnęła palcami wierzch mojej dłoni.

- Myślę, że zainteresuje pana wiadomość, iż zakłady z pierwszej walki bokerskiej w Space Garden zostały unieważnione.

Ścisnąłem jej rękę.

- Kto cię przysłał?

- Puść! - syknęła. - Wiesz dobrze, kto mnie przysłał.

Starając się skoncentrować, wyłączyłem brzęczący magnetowid. Patrząc na zgasły ekran poczułem ból zębów.

- Jak to zrobili?

Znowu pogładziła mnie po ręce.

- Po prostu był uszkodzony komputer totalizatora i nie było możliwości sprawdzenia kto i na kogo stawiał.

Nie mogłem uwierzyć.

- Poszli na to?

Westchnęła cichutko.

- Z pewnością zepsuje to na jakiś czas opinię, ale to można nadrobić, a płacić nie trzeba.

- Jeśli myślicie...

Poklepała mnie czule.

- Spokojnie. Nikt nic nie myśli. Wystarczy, że załatwimy sprawę polubownie.

Wysunęła półeczkę i położyła dwa arkusze.

- Mam to podpisać?

- Tak.

Przejrzałem dokumenty.

- Dzięki temu dostaniesz kaucję i jeszcze dwieście tysięcy rekompensaty.

Nachyliłem się do niej i postukałem w dolny arkusz.

- A dzięki temu, nie będę mógł pisać nikomu o waszych sztuczkach.

Małym, czerwonym języczkiem oblizwała wargi.

- Na to wygląda.

Suma nie była tą, o której marzyłem, ale przynajmniej gwarantowała spokój. Myśląc o nim poczułem się diabelnie zmęczony.

- Proszę - ująłem dokumenty. - Teraz pieniądze.

Sięgnęła do kieszonki i wyciągnęła kartonik przelewu. - Do realizacji od jutra - powiedziała i starannie złożyła oświadczenia.

- Dobrze, że się zgodziłeś. Szkoda by cię było - dodała i uszczypnęła mnie w ucho.

Odchodząc posłała mi długie i pełne słodczy spojrzenie.

Parę minut później wyrwał mnie z rozmyślań głośny hałas. Coś się działo z tyłu, w przejściu między klasami. Siedzący przede mną mężczyzna aż do połowy wychylił się w fotelu.

- Co się dzieje? - spytałem, kiedy ucichło. Odwrócił się poprawiając okulary.

- Stewardesa zasłabła, chyba ją odprawią na Space Garden. Powinni zdążyć do styku.

Podziękowałem i nalałem sobie soku. Wypiłem duszkiem i po rozłożeniu fotela świadom dobrze spełnionego obowiązku, złożyłem głowę na poduszce. Wszystko wskazywało na to, że jutro powinienem być znów na Ziemi.

Andrzej Drzewiński - Pomagajmy sobie

W pierwszej chwili wydawało się, że dzień jedenastego lutego wejdzie złotymi literami na karty historii, aby dla przyszłych pokoleń stanowić punkt, od którego rozpoczęła się nowa era ludzkości. Tego to właśnie dnia, około czwartej po południu, Kryspin Kalski, pracownik Europejskiego Centrum Kosmonautycznego, odebrał sygnały jednoznacznie wskazujące na - rozumnego nadawcę. Po pół godzinie tekst poszedł do działu dekryptażu, a wieczorne dzienniki jeszcze zdążyły zamieścić ową sensacyjną wiadomość.

Następnego dnia gazety grzmiały całoszpaltowymi tytułami: „Bracia w rozumie obiecują nam pomoc”, „Gwiazdki dobroczyńcy”, „Nie jesteśmy sami”.

Faktycznie, tekst rozszyfrowany przez sprzężony zespół komputerów zawierał informację, że przedstawiciele nieznanej nam cywilizacji przybędą dokładnie za pół roku i pomogą ziemianom przyspieszyć techniczno-naukowy rozwój. Wynikało też, iż pomoc jest odpowiedzią na wysłaną uprzednio z Ziemi, wiadomość. Trzeba przyznać, że była tu pewna trudność. W ubiegłych dziesięcioleciach, a szczególnie w ostatniej dekadzie dwudziestego wieku, zorganizowano tyle najróżniejszych zespołów mających za cel nawiązanie kontaktu, że nie sposób się było w tym połapać. Mimo przetrząśnięcia archiwów jednoznacznie nie ustalono, kto był nadawcą wychwyconego przez Obcych programu. Jednak nie było czasu, aby się dłużej zastanawiać, gdyż do przyjęcia wysłanników brakowało tylko kilku miesięcy.

Po gorączkowych, a miejscami dramatycznych sporach na forum ONZ postanowiono zbudować lądowisko na jednej z wysp Pacyfiku. Z racji tego, że nie miała ona przynależności państwowej uniknięto wyróżnienia któregośkolwiek z państw. Następnie, z nad podziw szybko zebranych funduszy zbudowano potężną platformę, zdolną przyjmować nawet najcięższe statki. Obok postawiono port, szereg hoteli i naturalnie cały ciąg magazynów mających pomieścić przywiezione przez Obcych dobra. Na wszelki wypadek całość otoczono kilkoma tysiącami żołnierzy z sił ONZ mającymi pilnować porządku.

W oznaczonym dniu, kiedy stacje astronomiczne już informowały o zbliżaniu się do Ziemi obcego statku, samotna wyspa przeżyła istny najazd oficjeli. Niespodziewanie okazało się, że parę tysięcy osób posiada nie wiadomo przez kogo wystawione zaproszenia. Naturalnie każdy twierdził, że reprezentuje interesy swojego kraju, który nie pogodziłby się z myślą o braku przedstawiciela. Nawet najmniejsze państewka powysyłały kilkusobowe delegacje, które niczym na wielkim pikniku snuły się po gmachu portu plotkując i popijając colę. Ktoś twierdził, że widziano nawet buszmenów. W efekcie tego trzeba było interwencji samego sekretarza generalnego ONZ, aby wybrać trzydziestoosobową grupę, która miała witać Obcych na płycie lotniska. Przy okazji wyszła na jaw nieprzyjemna sprawa z pewnym dyplomata. Podrzucony czyjaś życzliwą dłonią list spowodował kontrolę osobistą, której efekt przeszedł najśmielsze oczekiwania. Dyplomata miał kieszenie wypchane diamentami, a w teczce, o zgrozo, trzymał owinięte w ołowianą folię pręty uranowe. Jak się okazało, miała to być łapówka dla zapewnienia większego udziału w rozdziale darów. Delegata jednogłośnie wykluczono i usunięto z wyspy.

Następnie wszyscy udali się do schronów, gdyż tak naprawdę to do końca nie wiedziano, na jakim paliwie wylądują Obcy. Na szczęście plotka, że mają tylko silniki fotonowe, była na wskroś fałszywa. Potężny, surrealistyczny w kształcie statek Obcych wylądował na zwykłym silniku grawitacyjnym i poza niegodną właściwie uwagi trąbą powietrzną wszystko przebiegło spokojnie.

Trudno powiedzieć, czy komukolwiek z ziemian Obcy przypadli do gustu. W końcu zawsze znajdzie się ktoś, komu podobają się duże na pięć metrów meduzy z dwiema parami rąk i jedną peryskopodobną głową. W atmosferze lekkiego zażenowania wymieniono parę kurtuazyjnych zwrotów, na które pozwalała pamięć maszyn tłumaczących i przystąpiono do wyładunku darów. Było tego mniej, niż oczekiwano, lecz w końcu, jak wynikało ze słów Obcych, była to dopiero pierwsza wizyta. Następne miały się odbywać co dwa lata.

Nie minęło więcej niż parę godzin, a Obcy przy dźwiękach ustawionej za portem orkiestry zamknęli włazy i żegnani tysiącem machających rąk unieśli się ku niebu. Tym razem wywołali małe tornado.

Jeszcze tej samej nocy postanowiono na wyspie urządzić stały punkt Kontaktu z Inną Cywilizacją. Po tej decyzji wszyscy pobiegli w stronę magazynów, sprawdzić co też one zawierają. Jak się wtedy okazało, pomysł ze sprowadzeniem zawczasu wojska był głęboko słuszny i przemyślany.

Dwadzieścia lat później

Jonatan i Scordi żuli gumę tym samym, miarowym tempem i dopiero kiedy włazy statku Obcych zatrzęsły się na dobre, splunęli jednocześnie.

- Jak sądzisz, co będzie, kiedy zabraknie magazynów? - spytał Scordi wyłączając idiotyczną muzykę, która leciała na lądowisku przez cały czas pobytu Obcych.

- Wygląda, że następnym razem zdołają zapełnić ten hangar od strony Oceanu - dodał.

Jonatan, który kończył wprowadzać wózki transportowe do składu, burknął coś niewyraźnie.

- Tak, kochany - kontynuował Scordi, nalewając kawy z automatu. - Cała ta kurtuazja zaczyna być męcząca. Oni przywożą nam pierdoły, a my, zamiast kazać się wypchać, udajemy wniebowziętych. Psiakość, jeszcze te przemówienia z taśmy za każdym razem, aż zęby bołą.

Dla zmanifestowania uczuć siorbnał głośno z kubka. Jonatan zgasił oświetlenie lądowiska i zmieniając buty na wygodne papucie siadł na ławie.

- Wiesz, że to niemożliwe - powiedział. - Jedyne, w której moglibyśmy im to powiedzieć, brzmiałaby mniej więcej jak: „poszoł won”. Nie znamy na tyle języka, aby wyrazić to kulturalniej, a inaczej nie wypada.

Chrupnął zgnieciony przez Scordiego kubek i poleciał do kosza.

- Nie wypada, nie wypada... a udawać idiotów wypada?

Uniósł się i wystukał parę klawiszy. Na ekranie pojawił się schemat magazynów. Poza jednym wszystkie świeciły żółtym blaskiem. Scordi łypnął na Jonatana i rytmicznie zaczął stukać w klawiaturę.

- Magazyn pierwszy: aparat do syntezy pożywienia z odpadów - uderzył i światło w pierwszym kwadraciku zgasło. - Do kitu, bryja ma wygląd rozkładającego się wieloryba, a śmierdzi jeszcze gorzej.

Uderzył następny klawisz.

- Aparaty do syntezy krwi, tylko u licha! My nie mamy zielonej krwi o własnościach kwasu siarkowego.

Zgasił następne światło.

- Sześćdziesiąt tysięcy piżam w niebieskie kropki, z trzema nogawkami i czymś, co działa jak naładowany kondensator.

Znów rąbnął.

- Zdjęcia ich miast, przewodów pokarmowych czy może tamtejsze malarstwo, czort wie!

Przy następnym magazynie uniósł palec i wyrecytował ze szczególnym upodobaniem.

- Maszyna, która zdarła z szanownej komisji ubrania, opryskała je zieloną farbą i przy dźwiękach kociej muzyki ganiała wokół magazynu... Uf... dobrze, że ten bubel rozsypał się w kawałki po paru okrążeniach.

Scordi z triumfującą miną usiadł na pulpicie.

- I co, mało ci?

Jonatan właśnie szukał w telewizorze czegoś atrakcyjnego, więc odparł po dłuższej chwili.

- Jeszcze powinieneś wspomnieć o nas, obsługujących całą imprezę.

- A powiem, żebyś wiedział, że powiem. Już dawno przestało mi się opłacać robić z siebie błazna co trzy miesiące. Każdy ma honor - pisnął i dodał już ciszej. - Poza tym trafia mi się lepsza robota.

Jonatan ironicznie uniósł brew.

- Znaczy się, zmieniasz pracę?

Scordi rozłożył ręce.

- Chyba na tym się skończy.

- Może jednak zmienisz zdanie. Zawsze można liczyć na coś ciekawego.

- Na co na przykład?

- A obejrzyj się za siebie.

Scordi zerknął na pulpit łączności, w którego środku paliła się czerwona lampka wywołania.

- O, do diabła! Centrum nas wzywa, że też nie mogłeś powiedzieć wcześniej - jęczał biegnąc do fotela. Jonatan założył ręce pod głowę i uśmiechnął się do sufitu.

Dwa dni później

O ile sam gmach Stowarzyszenia Astronautycznego był skromny i starannie wkomponowany w park, o tyle gabinet prezesa był zaprzeczeniem dobrego gustu. Cały obity szkarłatnym pluszem z woskowaną posadzką i archaicznym biurkiem zostawiał na interesantach niezatarte piętno. Dlatego też nic dziwnego, że Jonatan i Scordi stali sztywno, mnąc w palcach wejściówki i nie śmieli spuścić wzroku z wiszącego nad biurkiem emblematu.

- Może panowie napiją się czegoś? - spytał prezes i odsłonił zamaskowany w ścianie barek.

Mimo ukończonej pięćdziesiątki doktor Longe nie miał ani jednej zmarszczki, a słyszało się przecież, że prowadzi, nazwijmy to, lekko hulawczy tryb życia.

- Panowie - rzekł, kiedy już mieli kieliszki w ręku. Zanim przedstawię moją propozycję, chciałbym wyjaśnić parę rzeczy.

Poprawił się w fotelu i o centymetr wysunął rożek chustki z kieszonki.

- Będziecie jednymi z nielicznych, którzy dowiedzą się, że udało się nam nawiązać kontakt z obcą cywilizacją.

Scordi nie wytrzymał i sapnął.

- Znowu...

Prezes roześmiał się głośno.

- Tym razem jest to intelekt na niższym stopniu rozwoju niż my. Odebraliśmy jego sygnały. Wygląda, że chcą nawiązać kontakt i proszą o pomoc technologiczną.

Scordi gwizdnął.

- No, no...

- Właśnie - odparł prezes. - Sprawa jest delikatna i musimy rozegrać ją ostrożnie.

Jonatan położył dłonie na poręczach.

- Pewnie chcecie, abyśmy doradzili, jakie dobra należy im wysłać, albo jeszcze lepiej, jakich nie należy - mrugnął do Scordiego.

- Ależ nie! - zaryczał prezes tubalnym głosem. - Zestaw darów mamy przygotowany.

Spojrzeli po sobie.

- W takim razie co my mamy...

- Panowie, dajcie dokończyć - przerwał im. - Ustalono, że zostaną wysłane przedmioty, które są składowane na waszej wyspie. W ten sposób... - chwilę szukał słów...zostaną upieczone dwie pieczenie na jednym ogniu.

Scordi z wrażenia nie mógł trafić kieliszkiem do ust.

- Nie możecie, to byłoby świństwo.

Prezes zacmokał i jakby dla polepszenia nastroju naciśnięciem guzika otworzył okno.

- Po co używać takich ostrych słów? Staramy się znaleźć wyjście optymalne, a panowie są nam potrzebni.

- Po co, jeśli wolno spytać? - Scordi robił się najwyraźniej agresywny.

- Chcemy, abyście zawieźli tej nowej cywilizacji nasze dary. Macie już wprawę w kontaktach...

Przerwało mu szuranie odsuwanej fotela.

- Idziemy, Jonatan - mówił Scordi czerwony z wściekłości - robią tu z nas idiotów.

Gdy byli przy drzwiach, dogonił ich głos prezesa.

- Zapomniałem dodać, że za ten lot dostaniecie po trzysta kawałków na głowę.

Stanęli i odwrócili się jak na komendę.

- Trzysta kawałków - powtórzył Scordi i uśmiechnął się. - Ależ trzeba było od tego zacząć. Teraz to inna rozmowa.

Raźnym krokiem wrócili na miejsca.

Rok później

Rycząc silnikami chemicznymi opuszczali się ku oznaczonemu przez Kosmitów lądowisku. Starali się robić to jak najłagodniej i jak najszybciej. Ostatnie komunikaty były wręcz nagłące i mimo lakoniczności sformułowań widać było, że bardzo liczą na pomoc. W tej sytuacji sam fakt poznania nowej cywilizacji schodził na plan dalszy.

Stęknęły amortyzatory i ustała wibracja; znak, że wylądowali. Jonatan starał się dojrzeć cokolwiek na ekranie zewnętrznym, lecz gęste i ciemne chmury znacznie ograniczały widoczność.. Nawet nie było wiadomo, czy to przejściowy kaprys pogody, czy też nieodłączny element pejzażu.

Wreszcie w ciemniejących z oddali budowlach coś się poruszyło, trysnęły sztuczne ognie i przedstawiciele tubylców ruszyli ku statkowi z przysłowiowym chlebem i szczyptą soli. Kiedy zbliżyli się na kilkanaście metrów, Jonatan zbladł jak trup i ucapił Scordiego za rękaw.

- Mów, co widzisz... - szczękał zębami. - Ja chyba śnię.

Scordi przyłożył twarz do okularu lornety i tylko szepnął:

- O w mordę...

Przed nimi po płycie lądowiska pełzły pięciometrowej wielkości meduzy o czterech rękach, z pałakami peryskopów huśtających się u góry.

- Jakim cudem oni tu się wzięli? To niemożliwe, żeby sami czekali na pomoc.

Scordi szarpał włosy..

- Może... może tak się wykosztowali pomocą dla nas - dusił słowa. - Może też nie umieli nam elegancko powiedzieć, że więcej nie mają.

- Nieważne - zachlipał Jonatan. - Ale powiedz, co my teraz zrobimy?

Meduzy podeszły pod sam statek i najwyraźniej czekały na ziemian. Nie było czasu do namysłu.

- Niech to diabli - jęknął Scordi. - Jeśli są tak kulturalni, to udadzą, że tego nie zauważyli. Wylądowuj, co przywieźliśmy.

- Ale przecież to jest to samo, co oni nam dali.

Scordi dwoma ruchami rozwinął gumę do żucia i włożył ją do ust.

- Trudno - mlasnął. - Wyładowuj.

Jonatan uniósł oczy ku niebu i z westchnieniem rozpaczy uruchomił transportery. Meduzy spokojnie czekały.

Andrzej Drzewiński - Posłaniec

Artemid już od dłuższego czasu myślał tylko o jednym. Celny kopniak żołnierza kanejskiego wstrząsnął wnętrznościami. Zmusił do wyłącznego poświęcenia się bólowi, sadystycznie wzmaganemu przez rwanie przywiązanych do włóczni rąk i nóg. Otworzył oczy. W chaotycznym świetle pochodni nie mógł dojrzeć celu, ku któremu był niesiony, ale na cóż mógł liczyć on, pokonany żołnierz. Jęknął na moment obudzoną wściekłością. Tak się dać podejść, całkowita klęska armii, wszyscy zabici. Gdyby nie martwy koń, który go nakrył zdychającym ciałem...

Cisza świadczyła, że znalazł się na miejscu przeznaczenia. Tamci z kimś rozmawiali, nie rozumiał ich języka. Rozpoznał jednak pijacki bełkot i człowiek cuchnący nie sfermentowanym piwem przystawił mu żagiew nieomal do twarzy. Zaskwierczały przypalone włosy, a ciało wygięło się próbując ująć ogniowi. Szyderczy śmiech i ktoś splunął mu w twarz, lecz chybił. Jeden z tragarzy postawił koniec włóczni na ziemi i ciało Artemida zsunęło się w bolesnym upadku. Skrzypnęły zawiasy i jednym mocnym wyrzutem został ciśnięty do środka. Zamknęli go.

Podłoga cuchnęła zwierzęcymi odchodami i brudem, łańcuch, czy też uprząż, wbijała się w brzuch, jednak brakowało mu sił, aby przewrócić się na plecy. W pierwszej chwili sądził, że jest w lochu czy piwnicy i dopiero po jakimś czasie przyjmujące ciemność oczy dostrzegły stojące przy ścianach koryta. Lecz nie to było najistotniejsze. W kącie, oświetleni smugą księżycowego światła, siedzieli ludzie. Jeden z nich, jak monstualny pajak sunął ku niemu.

- Kim jesteś? - pytanie to padło w ojczystym języku.
- Centurion Artemid. Ty zaś kim jesteś?
- Żołnierz, nazywają mnie Plebo.

Mówiąc to sprawdził jego więzy, a potem nie wiadomo skąd wyciągniętym ostrzem przeciął sznury. Artemid uniósł się i sycząc z bólu zaczął odrywać wżarte w ciało konopne włókna.

- Ilu nas tu jest?
 - Razem z tobą ośmiu.
 - Czy są jacyś oficerowie?
- Plebo zawahał się.
- Tak... chyba jeden.
 - Dlaczego chyba?
 - Nie odzywa się do nas.

Artemid zamilkł i całą wolę skupił na próbie powstania. Powykręcane stawy były nieczułe i groziły kontuzją. Kiedy ruszył Plebo, z podziwem zerknął na jego szerokie bary. Chciałby mieć takiego żołnierza u siebie, lecz czy kiedykolwiek będzie miał ku temu okazję?

Już z daleka wyczuł, który z nich jest oficerem. Niski blondyn o złamanym nosie siedział samotnie pod oknem obok zawalonego koryta. Żołnierze nawet nie poruszyli się, kiedy do nich podeszli. Przy tym, który jęczał, został Plebo.

- Centurion Artemid - wypowiedział swoje imię o ton za głośno.
- Tamten musiał to zauważyć, gdyż niechętnie zerknął w górę.
- Czy to teraz ważne? Siadaj.

Próbując znaleźć suche miejsce dostrzegł na szyi oficera metalowy łańcuch. Z wrażenia aż zapomniał,

jak mu przeszkadza smród pomieszczenia.

- Trybun - wyciągnął palec. - Jesteś trybunem.

Człowiek pod oknem spojrzął na medalion i z niechęcią pokiwał głową.

- Widzisz, zapomniałem wyrzucić - mruknął i chwycił Artemida za połą. - Tak, jestem trybun Lukjusz, ale mam to w dupie.

Zanim słowa dotarły do Artemida, uczył dłoń na ramieniu. Był to Plebo.

- Potrzebuję koszuli na szarpie, jeden z nas mocno krwawi.

Nieomal odtrącił rękę.

- Jak to... nie zostanę w samej kurcie.

- Zostawcie, żołnierzu, centuriona - powiedział Lukjusz i niezdarnie zaczął ściągać ubranie. - Jemu koszula może być jeszcze potrzebna.

Artemid szcerwieniwał. Takie poniżenie - pomyślał, lecz nie odezwał się ani słowem, dopóki Plebo był przy nich.

- Trybunie Lukjuszu - mówił z naciskiem. - Nie dość, że gardzicie swoją pozycją, to jeszcze ośmieszacie... Przerwał mu skrzekliwy śmiech. Byłby przysiągł, że tamten jest serdecznie rozbawiony.

- Centurionie - usłyszał. - Jak to się stało, że mając tak walecznych i honorowych oficerów przegraliśmy tę bitwę?

- Jak to się stało? - syknął przez zęby.

Tym razem glina zmieszana z gnijącymi odpadkami nie przeszkodziła mu. Opadł na kolana.

- Stało się tak dlatego, że nasi dowódcy dali się jak dzieci nabrać na przejrzysty manewr Kanejczyków. Dlatego, że pozwolili ich największej broni - konnicy - obejść skrzydła i zamknąć wszystkie centurie w kotle.

Lukjusz przestał się śmiać i z zaciekawieniem śledził twarz Artemida.

- Dlatego, że po godzinie walki, kiedy jeszcze mieliśmy przewagę w ludziach, konsul zamiast zarządzić odwrót, kazał atakować ciężkozbrojnych. Wiadomo było, że nie mamy już włóczni.

Lukjusz podrzucił kilkakrotnie medalion.

- Trochę masz racji, centurionie, ale tylko trochę uniósł dłoń i jeden po drugim rozwierał palce. - Po pierwsze: po bitwie zawsze jest łatwiej krzyczeć, że wszystko z góry było wiadome. Po drugie: zważ, że to nasza konnica została najpierw podstępem i zdradą odcięta od sił głównych, a potem zatłuczona w tym wąwozie. Po trzecie: konsul Marek zginął w pierwszych minutach, kiedy osobiście starał się przyjść jej z pomocą.

Artemid przechylił głowę, aż dosięgnął ściany chlewu.

- Co innego słyszałem w czasie walki.

Lukjuszowi błysnęły ironicznie oczy.

- W czasie bitwy wiele się słyszy.

Zamilkli. Z gromadki leżących dobiegał bulgotliwy oddech. Wyglądało, jakby jego właściciel się dusił. Któryś z żołnierzy musiał żuć czosnek, gdyż zapach powoli przebijał się nad zwierzęcopolodne smrody. Za oknem chlewu słycać było człapanie strażnika. Odgłos kroków umilkł tak niespodziewanie, że obydwaj z Lukjuszem unieśli głowy. Szmer spływającej za ścianą cieczy wyjaśnił sytuację. Z odrazą przesunęli się na bok.

- Jak ci się zdaje, centurionie, po co nas tu trzymają?

Pytanie było retoryczne i jakby trochę szydercze. Artemid dłuższą chwilę wpatrywał się w twarz trybuna, zanim odparł.

- Powiedz, jeśli wiesz.

- A ty się nie domyślasz?

- Nie, nie domyślam!

Lukjusz bawił się jego złością.

- Walczyć was uczą, ale o obyczajach wroga nikt nie pomyśli - mówiąc to przebierał palcami ogniwa łańcucha. - Kanejczycy mają zwyczaj darowania wolności jednemu z jeńców. Wybierają go spośród pozostałych przy życiu. Trzeba przyznać, że przy ich sposobie walki niewielki mają wybór. Żeby nie było wątpliwości, to powiem, że resztę jeńców zabijają, a samego posłańca wyprawiają do swoich.

- Po co?

Lukjusz z wyrzutem zerknął na Artemida.

- Wyobraź sobie. Jesteś w stolicy, wojska ruszyły na spotkanie wroga, którego muszą powstrzymać. W mieście niepokój, wszyscy oczekują nowin. A tu przybywa żołnierz, jedyny pozostały przy życiu z całej armii. Opowiada o klęsce i chcąc nie chcąc, o potędze wroga. Zalękniony, pełen strachu, mimo woli gloryfikuje najeźdźców, osłabia morale i wiarę tych, którzy przecież muszą stanąć do ostatecznej walki o kraj. Teraz już rozumiesz?

Artemid z pobladłą twarzą wstaje i pochyla się nad trybunem. Rozdygotane ręce szorują po ścianie.

- Na bogów, nie można do tego dopuścić. Obydwaj wiemy, jakie nastroje są w stolicy. Niech ten człowiek otworzy sobie lepiej żyły.

Lukjusz zniża głos do szeptu.

- Uspokój się. Tego nikt nie robi. Sądzę, że nawet ty. No powiedz, zrobiłbyś to...

Artemid chwieje się i obraca twarz do okna. Chce, ale nie potrafi odpowiedzieć.

- Widzisz. Jeśli my nie umiemy, to jak możemy tego wymagać od żołnierzy.

Przez okienko widać gwiazdy, chyba po raz pierwszy od tygodnia.

- Lukjuszu - szept jest cichy, niedosłyszalny. - Kogo oni wybiorą?

- Nie wiem. Zdaje się, że nie ma żadnej reguły. Wybiera i piętnuje żelazem sam Osteron. Nie bój się, rano będzie wiadomo.

W ciszy znów słyhać charkot umierającego. Lecz wydaje się, że Artemid tego nie słyszy. Wstaje i lekko kuśtykając zaczyna przemierzać klepisko między dwoma przeciwległymi ścianami. Rytmiczne mlaskanie najpierw irytuje, a potem, o dziwo, wciąga żołnierzy. Błyszczące oczy zdają się z maniackalnym uporem sunąć za zgarbioną sylwetką centuriona. Nawet umierający żołnierz cichnie, ulegając nastrojowi.

Artemid stał przy ścianie i w zamyśleniu wydłubywał glinę spomiędzy desek. Wreszcie otworzył szerzej oczy i potakując myślom odwrócił się ku tamtym. Wyglądało, że śpią, może jedynie Lukjusz oddychał zbyt szybko.

- Lukjuszu! - potrząsnął go za ramię. - Wiem... już wiem.

Trybun rozwarł powieki. Wzrok miał pogodny, rozumny i gdyby nie ten uśmiech błędzący po wargach...

- Co wiesz, centurionie? - spytał, lecz Artemid nie odpowiedział.

Stał odwrócony do niego plecami.

- Żołnierze! - krzyknął zapominając o strażach. - Czy wiecie, dlaczego oni nas tu trzymają?

Milczeli, więc odpowiedział sam sobie..

- Słuchajcie! Jutro jeden z nas zostanie wybrany przez tego mordercę Osterona i wypuszczony na wolność, aby mógł zanieść naszym matkom i braciom straszną wieść o klęsce. Nie pytajcie nawet, co Osteron uczyni z pozostałymi; kto walczył wczoraj, ten nie może mieć wątpliwości.

Podszedł, prawie dotykając siedzących postaci.

- Lecz nie to jest ważne. Przed wyruszeniem w drogę Osteron osobiście wypali posłańcowi swój znak. Wiecie już, o co chodzi?

Potoczył wzrokiem.

- Osobiście, on sam to robi. Wystarczyłoby chwycić miecz, drąg albo jak kto ma siły, zadusić zmię. To będzie jedyna szansa, gdyż nikomu nie przyjdzie do głowy, że ten jeden, któremu zostało darowane życie, odważy się na takie szaleństwo. A wtedy? - głos wibrował mu w gardle. - Wtedy potęga Kanejczyków padnie jak ślepy i kulawy. Czymże oni są bez wodza? Niczym. On jeden zbudował i umocnił to plugawe państwo. Jego zabić to zabić państwo.

Umilkł, chciwie oczekując odpowiedzi. Lecz słyszał jedynie świst własnego oddechu i cichy śmiech Lukjusza. Tylko oczy żołnierzy świadczyły, że nie uronili ani jednego słowa. Trzasnął pięścią w dłoń i skoczył ku trybunowi.

- Ty... ty... - dławił się. - Czymże jesteś, kto ci dał prawo?

Lukjusz gwałtownym ruchem chwycił go obydwoma dłońmi za włosy i przyciągnął do siebie.

- Uspokój się, szaleńcze - szepnął mu do ucha. - I nie bluźnij.

Artemid daremnie próbował uwolnić się z niespodziewanie silnego chwytu. Wilgotny oddech muskał mu twarz.

- Czego ty od nich oczekujesz? Są przyuczeni do walki, a nie do podejmowania zawiłych decyzji. Teraz muszą sami to przemyśleć i sami dojść do tego. Rozkazem ich nie zmusisz.

Puścił jego głowę.

- Na mnie też nie pluj.

Artemid odskoczył.

- Więc rób - wydyszał - rób coś.

Lukjusz bez słowa wyciągnął w górę, ku smudze światła dłoń, a drugą zaczął coś zsuwać z palca. Jeszcze moment i trzymał w ręku pierścień. Zwykły, miedziany nie wzbudzający pożądania w rabusiach.

- Oczywiście nie wiesz, co to jest?

Pokręcił głową.

- Co widzisz z dołu?

Zbliżył twarz.

- Mały kołeczek.

- Zgadza się. Jeśli go wyciągniesz, najlepiej zębami, u góry wysunie się kolec. Biada temu, kto się nim ukłuje.

Artemid z wrażenia przestał oddychać.

- Wystarczyłoby tym... - wydusił.

- Zgadza się. Osteron po jednym ukłuciu padnie martwy. Na to nie ma ratunku.

- Skąd to masz?

- Każdy z trybunów posiada coś takiego; na wszelki wypadek - dodał i rzucił przedmiot na dłoń Artemida. Ten omal go nie upuścił.

- Jak to... dajesz mi go?

- Bierz. Tobie bardziej się przyda.

- Ale przecież równie dobrze mogą wybrać ciebie.

Lukjusz skrzywił się i dłuższą chwilę obserwował coraz słabszą smugę światła.

- Czy naprawdę chcesz mnie zmusić do tego, abym powiedział, że mój wybór nie będzie miał dla sprawy żadnego znaczenia?

Opierając się o jego ramiona powstał.

- Śpij i niech bogowie mają cię w opiece.

Artemid został na jego miejscu i z uwagą obserwował niknącą sylwetkę. Nie udało mu się dostrzec twarzy.

Obudził go nienaturalny, piskliwy głos, który wrzeszczał i starał się być groźny. Odchrząknął podły smak w gardle i skoncentrował wzrok na przybyłych. Źródłem hałasu był stojący przed dwoma Kanejczykami tłumacz.

- Wstańcie wreszcie, psubraty! Tu idzie o wasze życie.

Ociągając zebrali się w świetle drzwi. Najwyższy rangą Kanejczyk miał nieduże oczy i obwisły lewy policzek, ślad dawnego cięcia. Tłumacz wyszczeżał jego słowa.

- Dostojność pyta się, ilu was jest?

Artemid zerknął na Lukjusza, lecz ten stał sztywny i milczący.

- Siedmiu - odparł ktoś z tyłu. - Jest nas tylko siedmiu.

Artemid nie zmiażdżył Plebo wzrokiem tylko dlatego, iż dostrzegł strach na twarzy tłumacza. Aż dziw, że człowiek może się tak szybko spocić.

- Jak to siedmiu? - rozbiegły mu się oczy. - Ktoś uciekł?

Kanejczycy również okazali zaniepokojenie, lecz umilkli, gdy jeńcy rozstąpili się na boki. Można było teraz dostrzec leżącego człowieka. Głowę miał tak przechyloną ku tyłowi, iż grdyka celowała prosto w powalę, zasłaniając twarz. Okryta rdzawymi szmatami klatka piersiowa była nieruchoma. Kanejczyk, ten z bliźną, wrzucił ramionami i uniósł rękę. Stojący za nim kusznicy chwycili leżącego za nogi i wywlekli na zewnątrz. Ponownie zaszczekał tłumacz.

- Jego najwyższa dostojność wódz Osteron postanowił darować jednemu z was, niegodnych, życie.

Artemid spojrział kącikiem oka na Lukjusza. Trybun miał dumnie uniesioną twarz.

- Aby dać wam wszystkim równe szanse, zostaniecie poddani próbie - ponownie odezwał się tłumacz. - Wojska wielkiej armii kanejckiej zostaną w tej okolicy przez jakiś czas, aby nabrać sił do ostatecznego pokonania waszego władcy. W tym czasie zbudujemy arenę, na której stoczycie między sobą walkę. Kto przeżyje, ten będzie wolny.

Tłumaczowi jarzyły się w podnieceniu oczy i zanim przełożył ostatnie słowa, dodał coś od siebie.

- Wy świnię! Będziecie tańczyć jak osły w cyrku - otarł nos rękawem. - Teraz zostaniecie rozdzieleni, abyście przypadkiem nie doszli do porozumienia psującego widowisko.

Wystawił żółte łopaty zębów i strzyknął śliną. Oficerowie odsunęli się ustępując miejsca kusznikom. Nie szcędząc kopniaków i wyzwisk wypędzili więźniów na dwór. Lukjusz ani słowem nie odezwał się, kiedy mu ściągano łańcuch. Inni również milczeli.

Przez całe dwa tygodnie, które przyszło mu spędzić w namiocie, nie odezwał się ani słowem. Lecz opłacało mu się to. Po dniach przemyśleń upewnił się w jednym. Pokona wszystkich, musi to zrobić, a później zabije Osterona. Wiedział dokładnie, jak to robi. Gdy ten przyłoży rozżarzone żelazo do ramienia, z pewnością będzie spoglądał mu w twarz oczekując grymasu bólu, a wtedy jeden cios i imperium kanejckie upadnie w proch.

Jeszcze się uśmiechał, gdy gwałtownie odskoczyła zasłona. Przyszli. Mrużąc oczy od dawno nie oglądanego słońca stąpał niepewnie za strażnikiem. Suche powietrze uniosło spod stóp kłęby brunatnego kurzu. Skojarzył sobie, że przez cały okres niewoli była upalna, bezdeszczowa pogoda.

Potknął się i łapiąc równowagę jakby odzyskał słuch. Usłyszał bliski szmer tysięcy ludzi. Zasłaniając oczy można było dojrzeć, iż zбочa wąwozu, ku któremu podążali, obsadzone są morzem głów kanejckich żołnierzy. Zaklął bezsilnie i potknął się po raz wtóry. Wtedy dojrzał innych: Lukjusza, Plebo i tamtych, których imion nie dane mu było poznać. Nie powitali się nawet. Po co?

Ściany wąwozu coraz wyraźniej zamykały pas nieba i coraz pewniejszym stawał się plan Kanejczyków. Szli ku rzędom ceglanych murów pokrywających cały środek wąwozu. Żółta barwa ścian

tylko nieznacznie odróżniała się od podłoża, wszystko było suche, jałowe i monotonne. Ryk kanejckich żołnierzy narastał, spadło kilka kamieni. Lecz gest stojącego na skalnej półce człowieka uciszył tłum i uświadomił Artemidowi władzę Osterona. W dusznej ciszy podeszli do ceglanych labiryntu. Pod pierwszym murem leżała broń: włócznie, tarcze i miecze. Stał przy nich oficer z blizną na policzku.

- Zostaniecie poddani próbie - zaszczekał tłumacz zza jego pleców. - Każdy z was może wybrać dowolny rodzaj i ilość broni. Wejdziecie do labiryntu jednocześnie, każdy przez inne wejście. Macie walczyć...

Tu Kanejczyk uniósł rękę i szyderczym wzrokiem omiół zbocza.

- Macie walczyć na śmierć i życie, dając przykład naszym żołnierzom. Ktokolwiek będzie próbował opuścić labirynt przed zachodem słońca, zginie. Moi kusznicy już się o to postarają.

Jakby na pokaz stojący dotąd z boku żołnierze z kołczanami na plecach zaczęli ostentacyjnie kręcić korbami. Cięciwy niemile skrzypiały.

- O zachodzie słońca, gdy rozlegnie się głos trąb, ten który ocaleje, będzie mógł wyjść. Ale tylko jeden. Gdy wyjdzie dwóch, obydwaj zginą.

Oficer zakaszlał i splukał gardło winem z podanego przez tłumacza bukłaka. Następnie skinieniem ręki zachęcił ich do wyboru broni. Gdy odchodzili do wejść, tłum na zboczach ponownie falował gardłowymi okrzykami.

Oparł się plecami o mur i ocierając strużki potu przekręcił głowę. Widoczna część labiryntu była pusta. Mur po drugiej stronie, tak jak i ten, o który się opierał, był o głowę niższy od niego. Mógłby podskoczyć i sprawdzić co jest dalej, lecz bał się. Wystarczyłby jeden sztych prosto w twarz... Nad cegłami, w dalszej perspektywie czerniały na tle skał sylwetki Kanejczyków. Zamknął oczy. To okropne uczucie mieć usta pełne gęstej i gorzkiej śliny. Te sucze pomioty nie dały im nic do picia, a przecież widzieli, jak słońce praży.

Odkleił się od muru, gdzie nadaremnie szukał cienia i ocierając dłonią plecy ruszył dalej. Nie potrafił zbyt długo osłaniać się tarczą od słońca, była zbyt ciężka.

Dziwiąc się sobie, drobił teraz flegmatycznie krok za krokiem i jedynie na zakrętach wzmagał czujność. Na razie jednak nie natrafił na nikogo. Labirynt był duży, można w nim było długo szukać śmierci, depcząc bez ustanku ceglany gruz i rozpalony piasek. Przedśionek piekła, przyszło mu na myśl. Miał cichą nadzieję, że uda się możliwie jak najdłużej unikać walki. Niech się wyrzną, myślał, a on wypoczęty tym łatwiej poradzi sobie z ostatnim.' Przecież musi zwyciężyć.

Za najbliższym załomem dojrzał wreszcie przeciwnika, lecz już pierwszy rzut oka wyjaśnił sprawę. Żołnierz miał rozplątane aż do kręgosłupa gardło. Obok, w kałuży krwi, leżała pęknięta tarcza, którą obsiadły tysiące much; dużych i zielonych. Artemid wzdrygnął się i przeskoczył ciało. Szybkim krokiem uciekał od wirującego, brzęczącego kłębowiska.

Gdy przystanął dla zaczerpnięcia tchu, dopadł go daleki ryk Kanejczyków. Gdzieś niedaleko, za którymś z ceglanych murów, ktoś kogoś mordował. Uniósł twarz i węsząc starał się usłyszeć cokolwiek. Niestety, upał tłumił wszelkie dźwięki. Zrezygnowany wytarł dłonie w kurtę i mocniej ujął włócznie. Wtedy dopiero pojął, że ów zauważony przez niego kształt leżący u końca korytarza jest człowiekiem. Osłonił oczy i przestał mieć wątpliwości, nawet zaczął się domyślać prawdy. Podeszedł i trącił postać włócznią w ramię. Osunęła się na bok wytrzeszczając ku słońcu szkliste gałki. Na ustach trupa błąkał się lekko ironiczny uśmiech. Wiedziony instynktem rozwarł zmarłemu palec. Pośrodku dłoni, jak robak, leżał miedziany pierścień. Wokół miejsca ukłucia zasychała kropla krwi, szkarłatnie czerwonej.

- Uciekłeś - wyszeptał. - Po prostu uciekłeś i nic nie zrobiłeś.

Westchnął.

- Szkoda.

Zamknął powieki Lukjuszowi i ruszył dalej dziwiąc się sobie, że tak mu żal tego człowieka.

Stał przy kolejnym zabitym i zastanawiał się, na czym mu teraz najbardziej zależy. Ocaleniu życia, zabiciu Osterona czy położeniu kresu tej mordędze. Jakże małe są wielkie sprawy, kiedy człowiek ślania się na nogach ze zmęczenia, upału i strachu. Jakże szybko traci się pamięć o tym dla kogo, po co, w imię czego... Gdyby była możliwość, uciekłby jak najdalej od tego miejsca i jedyną rzeczą, która go powstrzymuje, jest fakt, że nie ma takiej możliwości. Trzeba iść i dopełnić przeznaczenia.

Od dawna zdawał sobie sprawę, że idzie czymś śladem; krwawym i jednoznacznym. Jeszcze jeden trup i będzie wiedział, kto zbiera to żniwo: Plebo czy inny żołnierz.

Nie zastanawiając się skręca na najbliższych rozstajach w lewo i faktycznie, przypuszczenia spełniają się. Piąty trup nie jest trupem Plebo. Nieznany żołnierz leży na boku i jedynym wyjaśnieniem dziwnej pozycji jest wystające z pleców ostrze włóczni. Krew jeszcze nie zdążyła wyschnąć. Artemid nie przygląda się dłużej. Do zachodu słońca pozostało niewiele czasu. Przyspieszając kroku pilnie wypatruje rosłej sylwetki tego, którego chciał mieć w swoim oddziale. Głęboko oddychając przez nos zbiera się do walki. W tej chwili jest to z pewnością najważniejsza walka w jego życiu. Nie myśli jednak o tym i gdy za kolejnym murem dostrzega sylwetkę Plebo, decyzję podejmuje błyskawicznie. Najpierw jęczy on, a potem oszczep rozpruwający powietrze. Z oddali dobiega ryk Kanejczyków. Plebo jest jednak wspaniały. Pada na twarz pozwalając ostrzu musnąć kark i już stoi naprzeciwko Artemida. Za nim widać wybity w murze otwór. Artemid unosi tarczę i do bólu ściska rękojeść miecza.

Jednocześnie zaczynają zataczać kręgi wokół siebie. Jak uwiązani trzymają wciąż tę samą odległość. To nieprawdopodobne, ale zza tarczy Plebo widać tylko oczy. Nic więcej, ani kawałka ciała. Artemid ostrożnie przestawia stopy. Pamięta o swoich długich nogach i wysoko umieszczonym środku ciężkości. Dlatego też ma zgięte kolana i ów posuwisty krok. Przekleństwo! Wszędzie jest twarde podłoże, żadnych kamieni, lecz on się potyka. Odzyskuje równowagę, lecz za późno. Z trzaskiem wbija się w tarczę oszczep Plebo. Długi, ciężki, o wiele cięższy od jego oszczepu, zaczyna mu ściągać tarczę w dół. Końcówka drzewca wibruje w powietrzu naśladując drżenie mięśni. Widzi, że tamten zacieśnia krąg wokół swojej ofiary. Jeszcze czeka, ale wie, że prędzej czy później omdlałe ramię Artemida da mu miejsce do ciosu. Centurion krzyczy i celując wbitym oszczepem w głowę tamtego szarżuje. Piasek chłoszcze łydki, łoskot zderzenia. Mur wylatuje na oczach Artemida w niebo, a on sam wali się na spaloną ziemię. Krew płynie z rozbitej twarzy, lecz nie zważa na to. Przewraca się na plecy. Olbrzymi żołnierz już niczym nie przypominający Plebo unosi miecz. Jego koniec celuje w słońce. Ostatnia szansa, przemyka Artemidowi, jestem ostatnią szansą. Nadludzkim wysiłkiem ciska w tamtego mieczem. Wydaje się niemożliwe obronić przed tym ciosem, lecz Plebo z łatwością odbija żelazo i tnie. Artemid zamiera w połowie oddechu. Jego wygięte ciało niczym przyszpilone drga nad piaskiem. Purpura ścieka wzdłuż rękawów aż do dłoni. Unosi je wbrew wszelkim prawom ku żołnierzowi, lecz mocny kopniak odrzuca je z powrotem. Z pięści wysuwa się niewielki miedziany pierścień i toczy do martwego boku. Gdzieś za murami odzywają się trąby. Plebo kładzie stopę na torsie i z chrzęstem wyciąga miecz. Trąby grzmia niecierpliwie.

Osteron był szczupłym człowiekiem o rysach twarzy bardziej przypominających filozofa niż wojownika. Lecz na tym kończyło się podobieństwo. Wyblakłe, groźne oczy, gwałtowne ruchy i głos tak nie pasujący do sylwetki. Tłum szalał na sam jego dźwięk.

Stali teraz przed głównym namiotem wodza. Na podium, między paleniskami z rozżarzoną węglą, leżał osadzony na drewnianej rączce sygnet Osterona. Z tysięcy żołnierzy każdy chciał go dojrzeć, stąd

też słyhać było przekleństwa i wrzaski. Mieli również jeszcze jeden powód do zniecierpliwienia. Do obozu przysły becзки z piwem, które miały być otwarte po ceremonii oswobodzenia. Na razie musieli czekać, ale w zasadzie nie narzekali. Tego rodzaju widowiska zawsze należały do udanych.

Ryk wstrząsnął ich gardzielami. Na podium wszedł Osteron odziany w purpurową szatę z naszytym czarnym orłem na piersiach. Trzask tysięcy uderzających o tarcze pięści był ogłuszający. Wódz był zadowolony. Nie uciszał żołnierzy, chciał właśnie tego. W nie milnącym hałasie między czwórka kuszników wszedł za nim na podium żołnierz pokonanej armii. Był obnażony do pasa.

- Widzisz naszą potęgę! - zaskowyczał ten sam tłumacz. - Idź do swoich władców i opowiedz, co ujrzałeś. Niech odstąpią od oporu.

Osteron podniósł rączkę i włożył metal między węgle. Plebo nie przyglądał się dłużej jego powolnym ruchom. Wodził wzrokiem po szeregach kanejskich żołnierzy, gdzieniegdzie tylko przedzielonych szarymi plamami namiotów. Nad postaciami dygotało, nieomal dysząc, rozgrzane powietrze.

Tłum ponownie zaryczał, znak że Osteron wyjął sygnet. Uniósł go w górę, tak samo jak w górę uniosły się kusze otaczających podium żołnierzy, a potem mocno przycisnął rozpalone żelazo do ramienia Plebo. Zaskwierczał tłuszcz i strużka bladego dymu uniosła się ku górze. Osteron nieomalże z uznaniem obserwował twarz, której jedynie źrenice minimalnie się zwężyły. Na jasnej skórze wyraźnie odcinał się wypalony znak, wokół którego czerwieniała i puchła skóra. Plebo z pustką w oczach spoglądał na to. Jedynie uważny obserwator mógłby zauważyć kurczowo zaciśnięte mięśnie szczęk. Osteron rozejrzał się po zamilkłych żołnierzach i powiedział parę słów. Ich intonacja była tak jednoznaczna, że tłumacz był tu zbędny. Żołnierze zanieśli się śmiechem. Osteron, zadowolony, zawtórował im gromko, lecz chrzęst łamanych kości zdusił jego radość. Szybki jak błyskawica cios Plebo wbił mu nałokietnik w twarz. Posoka trysnęła na orła i zaskwierczała w pobliskim palenisku. Osteron chciał krzyżeć, lecz wbita w podniebienie szczęka i zgnieciona krtań pozwalały jedynie na głuże jęki. Szczęknęły cięciwy i Plebo z brzeszczotem wbitym w czoło zwałił się z podium. Kusznicy odskoczyli robiąc miejsce jego ciała. Pozostały na estradzie człowiek dusił się własną krwią. Słaniając się, zrzucił węgle i jak pajac podrygiwał wśród płonących okruchów.

Nagle jak duchy zjawili się dwaj oficerowie i nie pozwolili upaść konającemu. Chwycili go pod ramiona i biegiem podążyli ku namiotowi. Tłum szalał. Szeregi rozsypywały się w mgnieniu oka. Na ziemię spadały porzucone tarcze i miecze. Dyscyplina, porządek, rozpadały się z każdą sekundą, groząc przemianą żołnierzy w rozdygotany motłoch.

- Stójcie, głupcy! - krzyknął ktoś ku temu rosnącemu chaosowi.

Wydawało się, że głos ten przejdzie bez echa, lecz stało się inaczej. Żołnierze zwrócili twarze ku podium. Oficer z bliźną na policzku ścisnął szatę na piersi.

- Czyż przestaliście wierzyć w wodza! Czyż jesteście jak psy, w które starczy rzucić kamieniem, a te tchórzliwie uciekają z podkulonym ogonem? Uspokójcie się. Wódz nasz, Osteron, żyje!

Pomruk niedowierzania, ale i nadziei przetoczył się nad głowami stojących.

- Nie wierzycie, to patrzcie. Patrzcie, co może nieśmiertelny.

Tłum powiódł wzrokiem ku wejściu do namiotu wodza. Zasłona była nieruchoma. Tłum spojrział ponownie na oficera, lecz jego pewny i zdecydowany wygląd zmusił do ponownego obrócenia głów. Zasłona umknęła w bok i ukazał się Osteron. Tłum wstrzymał oddech, a potem zawył. Waliły pięści, huczały miecze.

- Bogowie! - Osteron stał już na podium. - Bogowie mnie uratowali!

Wódz krzychał i nikt nie zwrócił uwagi, że z tyłu namiotu między wozami transportowymi przenoszono zawinięte w płótno czyjeś ciało. Niosący je oficerowie mieli zaciśnięte usta i jeden, ten sam wyraz twarzy. Gdy składali zwłoki na ostatnim wozie i zaprzęgali konie, mogli dosłyszeć głos swego

nieśmiertelnego wodza.

- Teraz widzicie, że zwyciężymy, gdyż bogowie są z nami. Widzicie!
Nie słuchali tego dłużej i zacięli konie.

Adam Fierla - Bez Apelacji

Ten cholerny upał, wlewający się na podobieństwo gorącej smoły do pokoju, obezwładniający, odbierający siły, zalewający oczy potem wyciśniętym z czoła; ciężki, niemal dotykalny, z którym turkoczający pod sufitem wentylator toczy uporczywą, choć z góry przegraną walkę. I jeszcze duszność, sprawiająca, że nie ma czym oddychać. Gorzej nie może być w samym piekle. Ted, przyjacielu, byłbym ci bezgranicznie wdzięczny, gdybyś ponownie napełnił mój kieliszek. Ta whisky jest naprawdę bardzo dobra. Chyba nie będziesz żałował jej staremu kumplowi jeszcze z dawnych, studenckich czasów, którego nie widziałeś trzydzieści lat?

Tak, trzydzieści lat! Szmata czasu. Jak dziwnie teraz wspominać tamte świetne lata naszej młodości. Wówczas byłem kimś zupełnie innym niż dzisiaj. Miałem wzniosłe ideały i wielki cel, gardziłem drobnymi, przyziemnymi przyjemnościami życia codziennego. Pamiętam, że ochrzciliście mnie z tego powodu Andrew asceta; nawet ty, fed, nigdy nie nazywałeś mnie inaczej. Ale mnie nie obchodziło, co o mnie myśleli inni; ja chciałem zostać matematykiem.

I zostałem nim, niech to szlag trafi! Moje wielkie marzenie! Przez to dowiedziałem się tego, czego nie powinien wiedzieć żaden człowiek, poznałem okrutną i niewytłumaczalną prawdę, odbierającą sens wszelkiej ludzkiej działalności.

Nalej jeszcze, Ted. I nie bądź zły, że moja wizyta tak znacznie uszczupliła twoje zapasy. Co innego, oprócz picia, pozostaje człowiekowi, który wie, że umrze za trzy dni?

Młody człowiek wyszedł z bramy dokładnie o osiemnastej dwadzieścia dwie. Godzina nie pozostawiała żadnych wątpliwości, ponieważ Andrew akurat w tym momencie spojrzął na zegarek.

- To on - powiedział, zwracając się do siedzącego za kierownicą Roberta Scotta. - Uważaj na niego. Jeszcze jedenaście minut.

Młody człowiek miał około dwudziestu lat. Nawet z tej odległości bez trudu można było dostrzec, że jego bujne, opadające na ramiona włosy od dawna nie widziały szamponu, a obszarpany, niegdyś zapewne jaskrawoczerwony, obecnie przyrudziały sweter proszku do prania. Oprócz swetra chłopak był ubrany w wytarte džinsy i półbuty wyglądające jak wyciągnięte ze śmietnika, a jego szyja owinięta była grubym, błękitno-białym szalem. Całość prezentowała się raczej pstrokato i nie wzbudziła entuzjazmu u Andrewa.

Chłopak różnym krokiem przemierzył szerokość chodnika i usiadł za kierownicą zaparkowanego przy krawężniku białego porsche.

- Zapalaj - natychmiast zareagował Andrew. - Jedź za nim i staraj się trzymać jak najbliżej. Nieważne, czy nas dostrzeże. No, już! - to ostatnie wykrzyknął, bo porsche z wyciem motoru wystrzelił na ulicę.

- Już się robi, szefie - odparł zgryźliwie Robert, wkładając całą uwagę w takie manewrowanie pedałami sprzęgła i gazu oraz dźwignią zmiany biegów, by jak najszybciej nabrać prędkości. Mimo jednak dramatycznych wysiłków przez chwilę wydawało się, że nie zdołają utrzymać się za białym porsche, którego kierowca prowadził z istic kawaleryjską fantazją: wpadał z wizgiem opon w zakręty, wyprzedzał na trzeciego, nie respektował pierwszeństwa przejazdu na skrzyżowaniach.

- Do takiej roboty należało zaangażować prywatnego detektywa - burknął z irytacją Robert po kolejnym karkołomnym manewrze. - To przez wasze idiotyczne pomysły i urojenia. Trzeba mieć źle

poukładane w głowie.

- No, no - mruknął Andrew, sam blady, trzymający się kurczowo uchwytów przy drzwiach. - O tym się zaraz przekonamy, kto ma źle poukładane w głowie.

- Zrobiliście sobie z komputera elektroniczną wróżkę i sądzą, że wpadliście na trop wielkiego odkrycia. A już szczególnie ty i Lew.

- To nie jest żadna wróżka, tylko naukowo opracowane dane.

- Naukowo opracowane dane! Bzdury, mrzonki, nie dane. Kto wierzy w ten wasz... - Robert wykrzywił się zgryźliwie - „determinizm”. Do licha!! - zaklął, gdy wozem zarzuciło i o mały włos nie znaleźli się w rzece. Dlaczego mam być samobójcą? Dość tego, zatrzymuję się!

- Jeszcze tylko cztery minuty - zaprotestował Andrew, spojrzawszy na zegarek.

- Niech cię лихо! - zachnął się Robert, ale posłusznie prowadził dalej.

Porsche bez najmniejszego zredukowania prędkości skręcił w przecznicę, przez krótki moment w ogóle nie dotykając lewymi kołami nawierzchni. Gdy Robert powtórzył ten manewr, uciekinier był już daleko w przodzie, zbliżając się do drugiego wylotu ulicy.

Przed wyjazdem na poprzeczną, główną arterię stał znak „stop”, ponieważ uliczka w tym miejscu obramowana była z obu stron wysokimi fasadami budynków, silnie ograniczającymi widoczność. Młodzieniec w porsche takimi drobiazgami się nie przejmował i bezsprzecznie zamierzał znak zignorować. Tym razem miał pecha.

Refleksu nie można mu było odmówić. Gdy wielka, sześciosiowa ciężarówka wyłoniła się z lewej strony, tarasując wylot, nie miał już czasu na hamowanie.

Konwulsyjnie targnął kierownicą w lewo, chcąc przemknąć tuż za jej tylnym zderzakiem. To mu się udało, lecz przy tym zawadził lewym błotnikiem o słup narożny. Stąd, z odległości dwustu metrów, Andrew i Robert z przeraźliwą wyrazistością zobaczyli, jak cały lewy bok mlecznobiałego porscha zwija się w harmonijkę, a następnie wóz niczym dziecinna zabawka wznosi się w górę i koziółkując opada, rozrzucając daleko wokół siebie pogięte i powyrywane fragmenty karoserii. Dopiero wtedy dobiegł ich straszliwy huk zderzenia.

- O Boże! - zdołał tylko wyszeptać Robert, bezwiednie przyciskając pedał gazu, by jak najszybciej znaleźć się na miejscu wypadku.

Andrew patrzył zahipnotyzowanym wzrokiem w leżący kołami do góry, pogruchotany wrak. Nagle przypomniał sobie o czymś i spojrzął na zegarek.

- Osiemnasta trzydzieści trzy - powiedział nienaturalnym, schrypniętym głosem. - Zgodziło się co do minuty.

- Niech cię diabli, w takiej chwili o tym pamiętasz odwarknął Robert.

Z piskiem opon zahamował przed skrzyżowaniem, wyskoczył z samochodu i podbiegł do leżącego porscha, uprzedzając nadbiegających ze wszystkich stron ludzi. Dwa kroki przed wrakiem zatrzymał się i targnął wstecz.

Andrew dołączył do niego i również odwrócił wzrok. Nie było przyjemnie patrzeć na ten krwawy strzęp we wnętrzu pokiereszowanej karoserii - to, co pozostało z beztróskiego długowłosego młodzieńca.

- Potworność - wymamrotał Robert zbielełymi wargami. Andrew pociągnął go za sobą.

- Chodź, jemu i tak już nic nie pomoże.

Przepchnęli się przez narosły w kilka sekund wieniec ludzi i wrócili do samochodu. Robert skłonił się i oparł głowę na kierownicy, najwidoczniej nie mogąc wrócić do siebie.

- Ty wiedziałeś, że on zginie - niemal załkał.

- Przecież dlatego tu jesteśmy - odparł Andrew. - A ty nie chciałeś uwierzyć, że to nie może być zbieg okoliczności.

- Wiedziałeś, że on zginie - powtórzył Robert. - Wiedziałeś... I traktowałeś to tak spokojnie.

- A co miałem robić? Rozpaczać nad jego losem? Nie on jeden. Na świecie co jedną trzecią sekundy ktoś umiera. A w ten sposób mamy potwierdzenie naszego odkrycia - Andrew umilkł, wsłuchując się w narastający dźwięk syreny karetki i wozów policyjnych.

- Ale jak to możliwe? - nie ustępował Robert. - Jak można w ogóle przewidzieć taka śmierć? Zginął zupełnie przypadkowo. Mógł jechać tędy o parę sekund wcześniej lub później, mógł zmieścić się między ciężarówką a słupem, mógł jechać inną trasą. Więc - jak?!

Andrew cicho westchnął i pokiwał głową.

- Na to pytanie nie potrafię ci jeszcze odpowiedzieć. Wiem tylko, że czeka nas dużo, dużo pracy.

...Nie, to nie rak. W ogóle żadna choroba. Nic z tych rzeczy, o których myślisz.

Jeśli chcesz, możesz to nazwać przeznaczeniem.

Rytmiczny łoskot, buchający z czterech osiemdziesięciowatowych kolumn umieszczonych na podpórkach w rogach wielkiej sali był niemal nie do zniesienia.

Andrew uświadomił sobie nagle, że się starzeje - jeszcze nie tak dawno ów hałas, panujący na wszystkich dyskotekach, nie tylko nie robił na nim wrażenia, ale wręcz sprawiał mu przyjemność.

Torował sobie drogę poprzez chwiejający się i podrygujący na wszelkie możliwe sposoby tłum. Pomimo ostrożności i uwagi zdążył parę razy zarobić łokciem pod żebro, nim przedarł się do ustawionych wzdłuż jednej ze ścian stolików.

- Nie spieszyłeś się zbytnio - powitał go z nutą pretensji w głosie Robert, gdy nareszcie usiadł przy stoliku.

- Wóz mi nawalił - usprawiedliwił się Andrew. - Musiałem łapać taksówkę.

- Psiakrew, akurat teraz ci nawalił?!

- Uspokój się, przecież to nie jego wina - zareagował Barry Thobias. Zwrócił się do Andrewa: - Ona jest tutaj. Nazywa się Kathleen Grey, pokażę ci ją, jak przestanie tańczyć. Niestety, nie jest sama.

- Z mężczyzną? - spytał Andrew, a po potakującym ruchu głowy Barry'ego dodał: - Co w tym dziwnego?

- Nic dziwnego, oczywiście. Trudno było się czego innego spodziewać. Niemniej to nam skomplikuje sprawę.

- Wiesz, Andrew - wtrącił Robert - Barry strasznie boleje, że nie może sam jej poderwać. Z tą nadzieją przecież tutaj szedł.

Barry zignorował zgryźliwość w słowach Roberta.

- Rzecz jasna, to by znacznie wszystko uprościło, gdybyśmy mogli zawrzeć z nią znajomość - rzekł. - A tak będzie trzeba wymyślić inny sposób. - I dodał tonem wyjaśnienia na użytek nie rozumiejącego nic z tej rozmowy Andrewa: - Postanowiliśmy z Robertem, że spróbujemy ją ocalić. Dość już mamy biernych obserwacji.

Tym razem Andrew był naprawdę zaskoczony.

- Ocalić? - powtórzył. - Jak to sobie wyobrażacie?

- Po prostu. Postaramy się odizolować ją od jakichkolwiek niebezpieczeństw.

- Nie sądzę, byś znalazł takie miejsce na Ziemi, gdzie człowiek byłby wolny od niebezpieczeństwa. Ale nie o to mi chodziło. W jaki sposób chcesz oszukać matematykę”.

- Matematykę! - parsknął Robert. W jego ustach to słowo zabrzmiało niemal jak obelga. - Cholerny z ciebie matematyk, prawda, Andrew? Tylko obserwować z otwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczami, jak giną ludzie. Śmierć to dla ciebie jedynie wielkość w równaniu.

- Wiesz dobrze, że tak nie jest, Robert - odparł Andrew poirytowany. - Mnie też obchodzi życie ludzkie. Ale co można zrobić?

- Akurat, obchodzi! Przecież byłem z tobą nieraz i widziałem, jak się zachowywałaś. Jakbyś to wszystko obserwował w kinie. A Lew i Dick wcale nie są lepsi od ciebie.”

- Daj spokój, Robert - Barry łagodnie położył mu dłoń na ramieniu, w odpowiedzi na co ten tylko podniósł głos.

- Mamy kolejne równanie do rozwiązania, nieprawda? Popatrzmy, jak ginie istota ludzka po to, żeby lewa strona równania ślicznie zgodziła się z prawą!

- Przestań! - krzyknął wyprowadzony z równowagi Andrew. - Nie zamierzam dłużej słuchać tych insynuacji!

Barry chwycił go za rękę i posłał mu krótkie, uspokajające spojrzenie. Potem zwrócił się do Roberta:

- Daj z tym spokój. Przecież żadnemu z nas nie zależy na niczyjej śmierci. Wszyscy chcielibyśmy uratować jej życie - wskazał głową ku rozpląsanemu tłumowi - o ile tylko jest to możliwe. Chyba że ty wolisz zamiast tego sprzeczać się z nami.

Robert nie odpowiedział. Skrzywił się tylko i ze złością odwrócił głowę.

Mocny akord zakończył płynącego z głośników rock and rolla i dyskdzokej zapowiedział następny utwór, jakąś melancholijną piosenkę. Tylko kilka par zostało na parkiecie, nad którym przyćmiono światła, reszta ruszyła hurmem ku stolikom.

Barry nachylił się do Andrewa.

- To ta blondyna w jasnoróżowej bluzce bez rękawów, widzisz? - wskazał.

Andrew potaknął. Przystojna, może dwudziestoletnia dziewczyna o wspaniałej figurze, anielskiej twarzy i włosach spadających miękką falą poniżej ramion siadała na krześle podanym usłudźnie przez jej towarzysza, wysokiego młodzieńca ubranego w ciemnobłękitny komplet dżinsowy. Co do tego ostatniego, nie wzbudził on sympatii u Andrewa. Był przystojny i na pewno podobał się dziewczynom, jednak coś w jego wyglądzie kazało podejrzewać w nim lekkomyślnego amatora przygód, nie odpowiadającego za swoje czyny.

Patrząc na dziewczynę Andrew przestał dziwić się tym dwóm, że chcą ją ocalić.

- Jak stoimy z czasem? - spytał Barry.

Andrew spojrział na zegarek.

- Do dwudziestej drugiej osiemnaście zostało niecałe pięćdziesiąt minut - poinformował.

- Ucieka ten czas. Trzeba coś zrobić. Siedzicie tutaj, a ja spróbuję poprosić ją do tańca, bo widzę, że na was nie mogę liczyć.

Obserwowali Barry'ego, gdy podszedł do dziewczyny i skłonił się przed nią. Jej towarzysz coś powiedział do niego i wywiązała się krótka dyskusja, poparta żywą gestykulacją. Młodzieniec kręcił przecząco głową, zaś Barry pokazywał dłoń z jednym palcem skierowanym do góry, co miało zapewne znaczyć, że pragnie zatańczyć z dziewczyną jeden taniec. W końcu postawił na swoim. Puścił Kathleen przodem, gdy przeciskali się pomiędzy ciasno ustawionymi stolikami i schodzili na parkiet, a potem objął ją i przytulił do siebie. Młodzieniec, zapewne niezbyt zadowolony, zapalił papierosa i nie spuszczał z nich wzroku.

- Barry jest w swoim żywiole - napomknął Robert, a gdy Andrew przytaknął niecierpliwym mruknięciem, dodał: - Dziewczynom umie zawracać w głowie. Ciekaw jestem tylko, czy teraz zależy mu na czymkolwiek więcej, niż na zabawieniu się.

- Skąd mam wiedzieć - burknął Andrew. Wciąż był zły na Roberta za tamten nieuzasadniony wybuch.

Utwór się skończył i wkrótce zobaczyli Barry'ego z dziewczyną wracających do stolika; widocznie Kathleen ściśle egzekwowała warunki umowy. Barry odprowadził ją, a potem wrócił do towarzyszy.

- Twarda sztuka, staruszkowie - oznajmił kwaśno. Nie znęciła jej żadna z moich propozycji. Oświadczyła, że jest z partnerem, w związku z czym mogę poszukać szczęścia innego dnia, a najlepiej w

ogóle z inną dziewczyną.

- Kiepsko się spisałeś, stary - zawyrokował Robert. Schodzisz na psy.

- To może ty spróbujesz? - odciął się Barry. Robert w wieku trzydziestu lat był nadal kawalerem i wszyscy wiedzieli, z jaką niezdarnością i wręcz lękiem odnosił się do płci pięknej.

- Skoro taki Don Juan jak ty nie dał rady...

Barry udał, że nie słyszy tej uwagi, co zresztą mogło być prawdą - bo z głośników znów dobiegał ogłuszający łomot. Zwrócił się do nich obu:

- Nie podoba mi się ten jej partner. Wygląda na człowieka, który gotów jest zaprowadzić ją gdzieś do bramy i tam zgwałcić.

- Myślisz, że on będzie przyczyną jej... - wtrącił Andrew i nie dokończył zdania.

- Nic nie myślę - odpalił Barry. - Ale wszystko trzeba brać pod uwagę. A ona poznała go dopiero przed trzema godzinami.

Andrewa uderzyło nagle, że mówiąc o dziewczynie nikt z nich nie używa jej imienia - zawsze znajdzie się jakiś zastępczy zaimbek. Jakby była dla nich tylko obiektem eksperymentu, godnym troski, ale pustym jako ludzka istota. A więc Robert miał rację - są w tym momencie tylko matematykami. Ale przecież on sam nie zachowuje się inaczej.

- Trzeba będzie coś zrobić - ciągnął Barry - ale jeszcze na to nie pora. Na razie czekajmy.

Czekali więc, zerkając od czasu do czasu na stolik, przy którym siedziała dziewczyna. Chyba jednak robili to zbyt ostentacyjnie, bo jej towarzysz, obejrzawszy się na nich raz i drugi, nagle nachylił się i powiedział coś do niej.

Oboje wstali i młodzieniec podał dziewczynie żakiet.

- Wychodzą - zauważył podnieconym głosem Andrew.

- Nie jesteśmy ślepi - odburknął Robert. - Co robimy?

- Idziemy za nimi - zawyrokował Barry. - Gazu Bo się nam zgubią.

Mieli zaledwie kilka metrów straty, ale w tym rozkołysanym i rozpląsanym tłumie stanowiło to bardzo dużo. Torowali sobie drogę bez pardonowo, nie bacząc, że zostawiają za sobą siniaki i przekleństwa. Życie Kathleen Grey było ważniejsze.

Ostatni, luźniejszy fragment drogi przebyli biegiem i wypadli na chodnik. Zaraz też dostrzegli Kathleen i jej towarzysza, stojących w pobliżu krawężnika i wpatrujących się w strumień nadjeżdżających samochodów, prawdopodobnie w poszukiwaniu taksówki.

Młodzieniec również zobaczył zbliżającą się ku niemu trójkę. Nie miał zapewne o niej zbyt pochlebnego zdania, bo zareagował błyskawicznie: postąpił dwa kroki do przodu, tak że Kathleen znalazła się za jego plecami i przybrał bojową postawę.

- Macie jakiś interes, chłopcy? - spytał zadziornie.

- Owszem, mamy - odparł Barry.

- No to nie dzisiaj. Widzicie, że jestem zajęty.

- Nie musisz się tak jeżyć, nie mamy żadnych agresywnych planów. Na imię ci Ken, prawda? Ja jestem Barry, a to są Robert i Andrew - Barry wskazał swoich towarzyszy.

- Miło mi poznać - widać było, że młodzieniec czuł się nieco zaskoczony zachowaniem Barry'ego, ale nie odrzucił bojowej postawy.

- Jeśli wam chodzi o dziewczynę, chłopcy - ciągnął agresywnie - to nic z tego. Dzisiaj ona jest pod moją opieką.

- Ale mógłbyś mnie przynajmniej przedstawić - wtrąciła z wyrzutem Kathleen.

Andrew po raz pierwszy usłyszał jej głos i miał wrażenie, jakby spędziwszy całe dotychczasowe życie w hałaśliwej fabryce obrabiarek wyszedł nagle na łąkę i usłyszał śpiew słowika. - Barry już mnie

zna, ale jego przyjaciele jeszcze nie.

- Przepraszam - Ken najwyraźniej się zmieszał. Objął Kathleen i dokonał uroczystej prezentacji: - Chłopcy, oto najpiękniejsza i najmiłsza dziewczyna pięciu kontynentów, Kathleen.

Andrew i Robert skłonili się jej. Barry podjął:

- Aby przypieczętować tak zawartą znajomość i przełamać pierwsze lody, zapraszam wszystkich na kolację do restauracji.

- Oszczędźcie sobie tych wysiłków, chłopcy - Ken nie zamierzał ustąpić. - To naprawdę jest bezcelowe.

- Jeszcze nie wiesz, o co mi chodzi. Pragnę, żebyście oboje poświęcili mi tego wieczoru pół godziny. Pół godziny, nie więcej. To naprawdę bardzo ważne.

Młodzieniec pokręcił przecząco głową i zamierzał zdaje się po raz kolejny odmówić, gdy Kathleen nagle zaproponowała:

- A może jednak, Ken? Chętnie zjadłabym dobrą kolację.

- Ależ zjemy ją u mnie - zapewnił ją Ken.

- A dlaczego nie mielibyśmy pójść na nią razem z nimi? Nie powiesz chyba, że jesteś o nich zazdrosny.

- Bardzo prosimy - dodał Robert.

Ken westchnął ciężko. Był wyraźnie zły. W końcu jednak ustąpił; cóż miał robić.

Kwadrans później Kathleen zwróciła się do Barry'ego:

- Nie powiedziałaś nam jeszcze, dlaczego tak bardzo zależało ci na tej wspólnej kolacji.

- To skomplikowana sprawa - odparł Barry. - Długo musiałbym mówić, a i tak niewiele byście zrozumieli. Prowadzimy wspólną pracę naukową i to się właśnie z nią wiąże.

- Zdaje się, mówiliście, że jesteście matematykami? Nie rozumiem, co matematyka może mieć wspólnego z nami.

- Nie jesteśmy matematykami w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Zajmujemy się pewnymi dziedzinami z pogranicza matematyki, fizyki, socjologii, a nawet filozofii.

- Zresztą, na dobrą sprawę nawet my nie rozumiemy, co to ma wspólnego. Odkryliśmy coś, co dla nas samych stanowi zagadkę - wtrącił Robert.

- Same zagadki - pokręcił głową Ken. - Tajemnica tajemnicą tajemnicą pogania. Nie zrozumcie mnie źle zastrzegł się. - Nie chcę bynajmniej wam ubliżyć. Nie powinienem w ogóle zabierać głosu w tej sprawie. Nigdy nie miałem cierpliwości do nauki i wierzę, że szczerze was podziwiam.

- Andrew, ty też jesteś taki tajemniczy, jak twoi przyjaciele? - spytała Kathleen.

Andrew uśmiechnął się do swojego talerza.

- Nikt z nas nie jest tajemniczy - odparł. - Możemy wam wszystko powiedzieć, ale i tak nie uwierzycie. Pomyślcie, że robimy z was balona.

- Zauważyłam, że co chwilę któryś z was patrzy na zegarek. Spieszycie się gdzieś?

- Nie - mruknął Barry. - Nie spieszymy się nigdzie. Hmm... Dobrze. Jeśli chcecie, powiemy wam, ale za...dziesięć minut.

- A co się ma zdarzyć w ciągu dziesięciu minut? - zdziwił się Ken.

- Mamy nadzieję, że nic.

- Zdaje się, że nadzieje są próżne - wtrącił martwym głosem Robert i wskazał brodą kierunek.

Obejrzel się. W rogu wielkiej sali najwyraźniej panowało wywołane czymś poruszenie. Ludzie wstawali z krzeseł i krzyczeli coś, co z tej odległości trudno było usłyszeć; kilku biegło w tamą stronę. Powoli nad głowy tłumu zaczęły wznosić się coraz gęstsze kłęby dymu.

- Pożar! - wrzasnął Barry, zrywając się z krzesła. - Wychodzimy!

Łatwiej było to powiedzieć, niż wykonać. W wypełnionej po brzegi ludźmi wielkiej sali wszczął się nieopisany harmider; wszyscy ruszyli biegiem do wyjścia, nie zwracając uwagi na bliźnich i zostawiając gdzieś całą swoją ogładę i zimną krew. Języki płomieni były już widoczne. Firanki i wyłożone boazerią ściany zajmowały się błyskawicznie, pożar rozszerzał się w przerażającym tempie. Tłum przypominał teraz stado oszalałych z przestachu owiec.

- Ogień zatarasował wyjście! - zawył Ken, który jako najwyższy z grupy miał nieco lepszą perspektywę.

Ludzie ruszyli teraz ku oknom. Wszystko, co stało na ich drodze, ulegało zagładzie; stoły i krzesła waliły się, ci, którzy potykali się i przewracali, często byli tratowani przez następne szeregi.

Poculi, że prąd tłumu wbrew ich woli zaczyna ich rozdzielać. Barry zdołał jeszcze krzyknąć do Andrewa i Roberta:

- Pilnujcie Kathleen! Pilnujcie jej, na Boga!!

Zadanie okazało się niewykonalne. Stracili z oczu Kena i Kathleen, zanim zdołali cokolwiek przedsięwziąć. Tłum był już nieprzytomną z przerażenia, kłębiącą się, krztuszącą dymem masą, pchaną paniką ku zbawczym oknom.

Andrew nie umiałby powiedzieć, w jaki sposób wydostał się na wolność. Stał teraz w gęstym wianuszkach ludzi, otaczającym półkolem restaurację, która była jednym morzem ognia. Za nim wyły syreny nadjeżdżającej straży pożarnej.

Barry przedarł się do niego.

- Gdzie Kathleen? - krzyknął.

- Nie wiem - odparł Andrew łamiącym się głosem. Zgubiła się nam.

Barry ruszył przed siebie taranem, roztrącając ludzi stojących mu na drodze.

Rozglądał się szaleńczo wokół; w jego wzroku furia mieszała się z rozpaczliwą, coraz bardziej wątłą nadzieją. Wtem dopadł skulonej, siedzącej na chodniku postaci z twarzą ukrytą w dłoniach.

- Gdzie Kathleen? - zaczął gorączkowo potrząsać jej ramionami. Głowa latała bezwładnie w takt tych ruchów, twarz, którą jeszcze niedawno znali jako twarz lekkoducha Kena, wyrażała zupełną martwość. Barry puścił go.

Gdy Andrew skrzyżował z nim wzrok, dostrzegł w jego oczach nagłe i bolesne uświadomienie sobie prawdy, którą on sam wypowiedział już godzinę temu.

Że matematyki nie można oszukać.

Pierwszym z naszej piątki był Dick Martin. To on odważył się przede wszystkim zapuścić w nowy, nie zbadany obszar matematyki. Swoją pracę doktorską poświęcił pewnym wysoce abstrakcyjnym strukturom, powstałym na gruncie jednego z działów teorii mnogości.

Byłem wówczas na czwartym roku studiów i jak prawie każdego młodego człowieka interesowało mnie to, co nowe i nieznanne. Toteż od pierwszego zetknięcia z Dickiem moje zainteresowania spłotyły się z tematem jego pracy. W tym też mniej więcej czasie dokooptowali do nas dwaj dalsi młodzi naukowcy: Barry Thobias - pamiętasz go pewnie, był razem z nami na roku - i Robert Scott, reprezentujący obok matematyki drugą specjalność: kosmologię. Ostatni, socjolog Lew Michalsky, uzupełnił nasz skład dużo później, gdy coraz wyraźniej zaczął ujawniać się związek naszych badań z socjologią.

Jeszcze zanim Dick rozpoczął swoją pracę, wiadomo było, że niektóre abstrakcyjne struktury znane z teorii mnogości potrafią w taki czy inny sposób modelować pewne składniki Wszechświata. My poszliśmy dalej. Dowiedzieliśmy się, że istnieją struktury o wyższym stopniu złożoności, które umieją modelować społeczeństwa.

- Okazuje się, że ten determinizm jest nie do przewyciężenia - mówi Andrew. - Możemy wprawdzie przewidzieć los danej osoby, lecz w żaden sposób nie możemy na niego wpłynąć. Kieruje tym jakieś

nadrzędne, nie znane nam i w tej chwili niepojęte prawo natury, wobec którego jesteśmy bezsilni. Przypadek Kathleen Grey przekonał mnie o tym ostatecznie.

- Gdybyśmy jej nie zabrali do tej pieprzonej restauracji... - wtrącił Barry.

- To by zginęła w inny sposób. Podejrzywałem to już wcześniej, a teraz jestem pewny. To tak, jak z nieuleczalną chorobą: możesz czekać na śmierć w swoim łóżku, możesz uciec przed nią na koniec świata, lecz przeznaczeniu nie ujdiesz.

- Ale nie zginiesz w płomieniach w ogarniętej pożarem restauracji - zauważył Lew Michalsky.

- Ani w roztrzaskanym samochodzie - zgodził się Andrew. - Nie mówię, że rozumiem mechanizm. Ale pewne wnioski, oparte na naszych obserwacjach, nasuwają się same. Na przykład, że danej osobie przypisany jest dokładny czas śmierci, lecz nie jej miejsce ani rodzaj. Te występują w zależności od rozwoju sytuacji i mogą przybierać różne formy. Robert, czy mógłbyś nareszcie usiąść? - zwrócił się do Scotta, który przemierzał wielkimi krokami pokój tam i z powrotem. - Denerwujesz mnie swoim chodzeniem.

Myślał, że Robert rozniesie go samym wzrokiem. Ale posłusznie usiadł.

- Czy więc pożar powstałby, gdybyście tam nie poszli? - spytał Lew.

- Chyba tak... - bąknął Barry. - Przecież Kathleen nie była jedyną ofiarą. Pozostałe też musiały mieć godzinę śmierci wyznaczoną na ten moment.

- To nie jest prawidłowe podejście do zagadnienia odezwał się Dick Martin. - Jeśli już mówimy o determinizmie, trzymajmy się go do końca. Nie można twierdzić, że pożar w restauracji wybuchł dlatego, że wy tam przyszliście - zęby Kathleen Grey miała jak zginąć. Już raczej to wy tam przyszliście, ponieważ miał wybuchnąć pożar.

- Co? - wybełkotał zaskoczony Barry. - Chcesz nam wmówić, że... Ależ to obłąkana idea!

Dick wzruszył ramionami.

- To Andrew pierwszy wspomniał o determinizmie mruknął. Jego zachowanie wyraźnie zdradzało usilną chęć zachowania neutralności.

- A dlaczego nie? - zaatakował Andrew. - Właśnie twierdzą, że Dick ma rację!

- Mogliśmy przecież pójść do którejkolwiek innej restauracji - upierał się Barry. - Mieliśmy wolny wybór.

- To akurat jest bzdura. To, do której restauracji pójdziemy, było zakodowane głęboko w naszej podświadomości i zdeterminowane na długo przedtem. Wolny wybór jest tylko naszą słodką iluzją.

- Skoro tak obstajesz przy swoim determinizmie, zaproponuję ci eksperyment - powiedział Lew. - Sprawdź datę swojej śmierci i, jeśli jest odległa, weź pistolet i palnij sobie w łeb.

- Tego nie zrobię.

- Dlaczego? Tchórz cię obleciał?

- Nie! - ostro odpowiedział Andrew. - To nie na tym rzecz polega! Jestem przekonany o słuszności tego, co powiedziałem, i bez mrugnięcia okiem postawiłbym na to własną głowę. Ale, moi drodzy, nasza teoria przewiduje datę śmierci, lecz nic nie mówi o tym, jak będzie wyglądało życie. Można żyć z kulą w czaszce, z uszkodzonym mózgiem, przez resztę życia w fotelu na kółkach lub wręcz kompletnie sparaliżowany w szpitalu. Sądzę, że to właśnie spotkałoby mnie, gdybym sobie palnął w łeb. A ja nie chcę tak żyć, rozumiecie?

Robert nagle wstał, zdusił papierosa w popielniczce z taką wściekłością, że o mało jej nie przewrócił, i wyszedł z trzaskiem drzwi.

Przez chwilę bez słowa patrzyli za nim.

- Co mu się stało? - odezwał się wreszcie Andrew. Nie sądzicie, że ostatnio jego zachowanie jest poniżej wszelkiej krytyki?

Barry krótko pokręcił głową.

- Trzeba mu wybaczyć - powiedział cicho, niemal szeptem, - Ty nie wiesz, Andrew...

- Co?

- Jest wiele rzeczy, o których człowiek nie powinien wiedzieć, jednak często nie można się powstrzymać... Krótko mówiąc, Robertowi został w tej chwili tydzień życia i on wie o tym.

Andrew przez moment nie mógł wydobyć z siebie dźwięku. Poczł się nagle straszliwie przybity i zniechęcony.

- Oczywiście - dodał Barry - jeśli to, co mówiłeś przedtem, jest prawdą.

- Jest prawdą... - powtórzył Andrew. - Och, gdybym mógł wierzyć, że nie jest! Że Robert ma jakąś szansę! Nie wiedziałem, nie przypuszczałem, że tak niewiele życia mu pozostało.

Przez kilka długich sekund w pokoju panowało milczenie.

- Dlatego zawsze tak bardzo mu zależało, by być obecnym, gdy sprawdzaliśmy naszą teorię - podjął Barry. - Ciągle miał nadzieję, że wyrok nie okaże się nieodwołalny. Dlatego tak skakał na ciebie, gdy dowodziłeś swoich racji.

- Gdybym wiedział - rzekł nieswoim głosem Andrew nie zachowywałbym się wobec niego tak szorstko. Dlaczego wcześniej mi nie powiedzieliście?

- Litowałbyś się, a to byłoby dla niego jeszcze trudniejsze do zniesienia.

Andrew popatrzył po kolei na wszystkie otaczające go twarze, z których każda wyrażała to samo bezsilne przygnębienie.

- Niech diabli wezmą to wszystko! - zaklął.

A potem przyszło odkrycie.

To był model. Model społeczeństwa. Okazało się, że wystarczy wprowadzić do niego pewne dane wejściowe dotyczące człowieka w ogóle, a model ukonkretyzuje się i powie nam rzeczy zadziwiające.

Pojawiły się w nim wielkości, które można było przetłumaczyć na język świata realnego i wówczas stawały się osobnikami i datami. Ścisłej, datami narodzin i śmierci osobników.

Daty te odnosiły się zarówno do zamierzchłej przeszłości, jak i do odległej przyszłości, i w zakresie dostępnym naszej kontroli okazywały się zgodne z prawdą.

Nie wprowadziliśmy do naszego modelu żadnych danych dotyczących historii ludzkości. Nie wprowadziliśmy upadku Imperium Rzymskiego, klęski Napoleona pod Waterloo, nazwiska pierwszego człowieka w kosmosie. Dlaczego więc model podaje nam z nieskończoną dokładnością datę śmierci mojej, twojej, każdej innej osoby?

Zamodelowaliśmy Boga.

Drzwi otworzył Lew. Andrew tylko skinął mu na powitanie ręką i bez słowa wszedł do mieszkania.

Był już tam Dick. Stał nieruchomo przy oknie, wpatrując się w ponure, okryte żałobną szarością tego pochmurnego przedpołudnia fasady budynków po przeciwnej stronie ulicy. Nawet nie odwrócił się na wejście Andrewa.

W drzwiach kuchni ukazała się Edna, żona Lwa.

- Jak się masz, Andrew - powiedziała.

- Dzień dobry, Edno. - Andrew podał jej rękę. - Wybacz, że dawno u was nie byłem. Ale wiesz chyba, co teraz przeżywamy.

- Wiem - Edna ze smutkiem pokiwała głową. Była szczupła i drobna; swoim niepozornym wyglądem i skromnym zachowaniem stanowiła przeciwieństwo tęgiego i otwartego Lwa. Nie była zapewne żoną, którą można się chwalić w towarzystwie; Lew kochał ją jednak pomimo tego i wszyscy jego przyjaciele wiedzieli, że nie zamieniliby jej na inną, choćby najatrakcyjniejszą królową wieczorów.

- Szkoda, że spotykamy się w tak smutnych okolicznościach, Andrew. Może masz ochotę coś zjeść?

Zrobię kanapki.

- Dziękuję, teraz nie.

Lew spojrział na wielki staroświecki zegar stojący w rogu pokoju.

- Chyba pora już iść.

- A Barry? - spytał Andrew.

- Barry nie przyjdzie - Dick po raz pierwszy odwrócił się od okna.

- Nie przyjdzie na pogrzeb? Dlaczego? - Andrew był nieprzyjemnie zdziwiony.

Nie spodziewał się, że Barry nie zechce oddać ostatniej przysługi swemu koledze i współpracownikowi.

- Wyjechał. Na zawsze.

- Jak to na zawsze?

- Już nigdy go nie zobaczymy. - Dick mówił obojętnym tonem, jakby już nic go nie obchodziło. -

Zostawił list dla was.

- Proszę - Lew sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął złożony na czworo arkusz papieru listowego. Podał go Andrewowi. - Ja już czytałem.

Andrew rozłożył arkusz. Wewnątrz widniało kilka zdań, zapisanych pospiesznym, silnie pochyłym pismem Barry'ego.

„Wybaczcie mi, koledzy, że opuszczając Was na zawsze żegnam się z Wami tylko za pomocą tego oto listu. Moja decyzja była tak szybka i natychmiastowa, że nawet nie dała mi czasu na osobiste powiadomienie o niej najbliższych przyjaciół. Rozmawiałem jedynie z Dickiem i przez niego pragnę przesłać Wam moje ostatnie pozdrowienia i życzenia wszystkiego najlepszego.

Mam też nadzieję, że zostanie mi wybaczona nieobecność na pogrzebie Roberta, którego lubiłem i ceniłem jak mało kogo i którego śmierć pogrążyła mnie w nieopisanym smutku i żałobie.

Wyjeżdżam, koledzy. Nie zamierzam już tu wrócić. Nie będę wyjaśniać w tym liście, dlaczego to robię; jeśli jesteście ciekawi, zapytajcie Dicka. Nie zdradzę Wam też celu mojej podróży, abyście nie próbowali nawiązać ze mną kontaktu. Ostatecznego celu zresztą ja sam jeszcze nie znam.

Nie wiem, czy będziecie kontynuować beze mnie ba - dania. Jeśli tak, zrzekam się wszelkich praw związanych z ogłoszeniem wyników naszych dotychczasowych prac.

Żegnam się z Wami i życzę dużo szczęścia. Barry”.

Andrew złożył list i oddał go Lwowi, patrząc przed siebie martwym wzrokiem. Był wstrząśnięty. Nie wyrzekł ani słowa, ani teraz, ani później na klatce schodowej i w drodze na cmentarz. Lawina pytań cisnęła mu się na usta - dlaczego? jak tak można? - a jednocześnie czuł, że jego ogarnięte bezwładem gardło nie jest w stanie przepuścić żadnego słowa.

Głos mu wrócił dopiero w bramie cmentarnej.

- Wiedziałeś o Barrym? - zwrócił się do Dicka. - Dlaczego go nie zatrzymałeś?

- Jak?

Andrew pojął, że zadał idiotyczne pytanie. Barry był wolnym człowiekiem.

- Dlaczego to zrobił! - nie ustępował. - Tak nim wstrząsnęła śmierć Roberta? Przecież wcześniej ode mnie wiedział, że Robert umrze.

- Tu nie chodzi o samą śmierć - cicho odparł Dick - ale o to, co z nami robi wiedza o jej nadchodzeniu. Ta nieuchronność, nieodwołalność. Czy sądzisz, że ci wszyscy ludzie - wskazał głową kręcące się po cmentarnych alejach figurki - zachowywaliby się tak samo, gdyby znali datę swojej śmierci?

- Ja znam.

- Sprawdziłeś?

- Oczywiście. Tyle w końcu człowiek chce wiedzieć.
- Dobrze powiedziałaś: tyle człowiek chce wiedzieć. I ile masz czasu?
- Dwadzieścia pięć lat.
- A gdyby okazało się, że dwadzieścia pięć dni?

Andrew wzruszył ramionami:

- Zmartwiłbym się. Ale pogodziłbym się z tym.
- Tak? Widziałeś, co przeżywał Robert przed śmiercią? W ostatnich dniach znalazł się już na granicy obłądu.

Andrew nic nie odpowiedział. Dick po chwili kontynuował atak:

- Nieuleczalnie choremu nie mówi się prawdy. Życie ze świadomością śmierci to już nie jest życie.

To przepęlniona rozpaczą wegetacja.

- To tak przejęło Barry'ego, że postanowił rzucić wszystko i uciec na koniec świata?

Przez dłuższą chwilę Dick się nie odzywał. Wydawało się, że zachowa milczenie już do końca; przemówił jednak.

- To, i nie tylko to. Jest coś, o czym wiedzieliśmy tylko my dwaj. Postanowiliśmy nie mówić o tym nikomu, nawet wam. Mógłbyś jednak sam wpaść na ten pomysł... Lepiej więc, jeśli dowiesz się ode mnie.

- Ostatnio dowiaduję się od was wielu rzeczy - mruknął Andrew nieco urażony.

- Może jeszcze będziesz żałował, że się dowiedziałeś.

- Co to za tajemnica? - spytał również zaintrygowany Lew.

- Mówisz, jakbyś za chwile miał nas poinformować o rychłym końcu świata.

- Niewiele się pomyliłeś. Wpadliśmy kiedyś z Barrym na pewien pomysł. Nasz model może służyć nie tylko do dokładnego wyznaczania czasu śmierci określonych osób, które istnieją; gdyby dokładnie zanalizować liczbę narodzin i zgonów na przestrzeni lat, można zbadać ogólną strukturę ludności w dowolnie wybranym momencie czasu.

- Zgadza się.

- Postanowiliśmy z Barrym sprawdzić, jak się ma z tym sprawa w odległej przyszłości. Wyniki okazały się dosyć przygnębiające. Przez jakieś najbliższe dwieście lat liczba ludności będzie jeszcze rosnąć, potem na następne dwieście lat ustabilizuje się, by wreszcie zacząć maleć. Za około tysiąc lat spadnie do zera.

- Czy to znaczy, że ludzkość wymrze?! - wykrzyknął Lew.

- Ciszej... Po co od razu ludzie mają słyszeć. Nie wiedzieliśmy, jak ten wynik zinterpretować. Długo się nad tym zastanawialiśmy. Może ludzkość wymrze, może zamieni się w coś doskonalszego, coś, co nie podlega tradycyjnym definicjom życia i śmierci. Nie wiemy zresztą, jak brzmią w ogóle te definicje. Czym jest to, co znajduje odzwierciedlenie w naszym modelu? Raczej nie funkcjami biologicznymi. Może ową głoszoną przez religie duszą? Albo czymś jeszcze trudniejszym do określenia? Nie wiemy. Świat uchylił przed nami rąbka jeszcze jednej ze swoich niezliczonych tajemnic, a my nie jesteśmy w stanie poznać jej całej.

Umilkli, bowiem zbliżyli się do kaplicy cmentarnej, w której wystawione były zwłoki Roberta. Minęli stojących pojedynczo lub grupkami, rozmawiających szeptem, ubranych na czarno ludzi - prawdopodobnie rodzinę zmarłego. Było też kilku przedstawicieli uniwersytetu. Andrew szukał wzrokiem dziekana Wydziału Matematyki, który miał być na pogrzebie; nie dostrzegł go jednak. Widocznie stary profesor zjawi się tuż przed ceremonią.

Weszli po kilku stopniach do wnętrza kaplicy i zbliżyli się do ustawionej pośrodku otwartej trumny. Leżały tam na wznak zwłoki Roberta Scotta, jeszcze niedawno kogoś z ich grona, kogoś, kto razem z nimi

pracował i razem z nimi dokonał odkrycia, kto równie jak oni był tym odkryciem zbulwersowany i miotał się w poszukiwaniu racjonalnego wyjaśnienia. A jednocześnie ktoś, komu to odkrycie zatręło ostatnie tygodnie życia.

Andrew patrzył na jego twarz. Kredowobiała, nienaturalnie zapadnięta, prawie zupełnie nie przypominała twarzy Roberta Scotta za życia; twarzy, którą tak dobrze znali z setek godzin wspólnie spędzonego czasu.

Wycofali się z wnętrza kaplicy do jej przedsionka i podeszli do stojącej tam grupy ludzi. Dwoje z nich znali przelotnie. Starsza kobieta o mocno już pomarszczonej, czerwonej od płaczu twarzy była matką Roberta Scotta, a towarzyszący jej mężczyzna, trzymający się całkiem nieźle, ojcem. Pozostali zostali im przedstawieni: siostra zmarłego wraz z mężem i brat z żoną i synem.

Dick, a za nim Lew i Andrew złożyli wszystkim kondolencje i zamienili z nimi kilka grzecznościowych słów. Potem odsunęli się na bok, ponieważ zjawiała się grupa dalszych krewnych.

- Biedny Robert - westchnął Lew. - Tak bardzo nie chciał umierać! Gdy przypominę sobie te chwile, gdy liczył minuty dzielące go od nadchodzącej śmierci i czuł swoją bezradność... Wydawało mu się, że przewidział wszystko, że zabezpieczył się przed każdym rodzajem śrpierci. Nawet mnie i Barry'emu nie pozwolił zbliżyć się do siebie bardziej, niż na sto metrów.

- W tym momencie jego umysł już nie był w pełni zdrowy - rzekł Dick. - Ten stres ostatnich tygodni wykończył go.

- On zmarł wam w wozie? - spytał Andrew.

- Nie - odparł Lew. - Wylew miał około czterdzieści minut przed przewidzianym czasem śmierci i zdążyliśmy dowieźć go do szpitala. Umarł w dwie czy trzy minuty po dostarczeniu go na salę operacyjną.

- Przed taką śmiercią nie mógł się obronić - mruknął Dick.

Tłum przed kaplicą gęstniał. Coraz więcej osób pojawiało się, aby pożegnać na zawsze Roberta Scotta. Wśród nadchodzących dostrzegli też siwego staruszka o twarzy ukrytej za grubymi szklami okularów. Był to profesor Forster, dziekan Wydziału Matematyki.

- Dick - odezwał się nagle Andrew. - Jak się zorientowałem, podzielasz zdanie Barry'ego w kwestii naszych badań. Czy ty nie zamierzasz przypadkiem się z nich wycofać?

- Czy musisz akurat teraz... - zaczął Lew, ale Andrew przerwał mu bezceremonialnie:

- Muszę. Chcę to wiedzieć.

Dick milczał przez chwilę, zanim się odezwał:

- Zastanawiałem się, jak ci to powiedzieć, Andrew. Zgadłeś. Uważam, że w tej sytuacji kontynuowanie naszej pracy nie ma sensu, na nic się ona ludzkości nie przyda. Lew zgadza się ze mną.

- Ależ... Ależ... Na pewno znajdziemy kogoś na miejsce Roberta i Barry'ego! Nie wolno zaprzepaścić takiej pracy!

- Źle mnie zrozumiałeś, Andrew. Nie powodują mnie ubytki w naszych szeregach, a jedynie praktyczne skutki naszych dotychczasowych osiągnięć.

- W argumentacji opierasz się na uogólnieniach skrajności. Trzeba umieć spojrzeć na zagadnienie szerzej.

- Tak sądzisz? Spójrzmy więc szerzej. Weźmy człowieka, który mimo że umrze młodo, mógłby wiele w życiu zdziałać jako naukowiec, działacz społeczny czy artysta. Ale zna datę swojej śmierci. Po cóż więc będzie dokładał wszelkich starań po to, żeby się wspinać po szczeblach kariery, jeśli i tak wszystko pójdzie na marne? Odwrotna sytuacja: człowiek o skłonnościach przestępczych. Wie, że pożyje długo. Czy zawaha się przed morderstwem? Nie, Andrew, nie możemy dać ludzkości naszego odkrycia.

Umilkł, bo właśnie zaczęła się ceremonia. Zabrzmiały dźwięki marsza żałobnego Chopina, sześciu ludzi wyniosło z kaplicy zamkniętą już trumnę.

Uformował się pochód, który podążył w kierunku bocznego sektora cmentarza, gdzie czekał wykopany grób.

Tam trumnę położono na poprzecznych deskach. Głos zabrał mistrz ceremonii; po nim przemawiał jeszcze profesor Forster. Andrew nie słuchał ich. Myślami był przy tym, co przed chwilą usłyszał z ust Dicka. Doktor Dick Martin wycofywał się z badań. Świadomie rezygnował z kontynuowania pracy, którą sam zapoczątkował i w której jego własny udział stanowił co najmniej trzy czwarte.

Milczenie, jakie nagle zapanowało, przerwało jego rozmyślenia. W niezmaczonej ciszy wyjęto deski spod trumny i spuszczone ją do grobu. Grudy twardej ziemi zagrzechotały o drewniane wieko.

Pozwoliliśmy naszemu odkryciu odejść w zapomnienie. Nic by ludzkości z niego nie przyszło, a wręcz przeciwnie - przyniosłoby ono jej tylko szkodę.

Od tego czasu minęło dwadzieścia pięć lat. Wiele się zmieniło. Ja sam się zmieniłem. Wówczas nie byłem w stanie pojąć, czym jest dla człowieka nadchodząca śmierć w kwiecie wieku. Nie potrafiłem zrozumieć cierpień Roberta.

Teraz potrafię. Doskonale zdaję sobie sprawę, że umrę za trzy dni i że od tego wyroku nie ma apelacji. Jestem zdrowy i w pełni sprawny fizycznie i umysłowo, mógłbym jeszcze korzystać z życia. Czy wiesz, Ted, jak bardzo przygnębiająca i trudna do pogodzenia się z nią jest w tej sytuacji świadomość, że wkrótce wszystko się dla ciebie skończy?

Teraz, w tych moich ostatnich dniach, często wracam wspomnieniami do tamtych chwil. Odnoszę wówczas wrażenie, że stanęliśmy wtedy u progu wielkiej tajemnicy istnienia, tajemnicy, która spaja materializm i metafizykę, która łączy w jedno wszystkie religie świata i daje odpowiedź na najtrudniejsze z pytań, jakie od wieków zadaje sobie ludzkość. Niestety, tego progu nie dane nam było przekroczyć.

Marek Hemmerling - Deneb III

I

Budowa stacji posuwała się w błyskawicznym tempie. Grupy automatów krążyły wokół elementów konstrukcyjnych wykonując swoje zadania pewnie i błyskawicznie. Część maszyn pracowała w wykopie, gdzie montowano prowizoryczne źródło energii; reszta zajmowała się wznoszeniem korpusu stacji. Givensowi, obserwującemu to wszystko, przysłała na myśl gromada pracowitych mrówek, krzątających się wokół swojego domostwa. Zaczęły nie dalej jak przed godziną, a już można było dostrzec ogólny zarys konstrukcji.

- Nieźle im idzie - powiedział sam do siebie. - Jeżeli nic nie stanie na przeszkodzie, to skończymy wcześniej, niż przewidywałem.

W otwartych drzwiach kabiny pojawił się Manc. Wolnym krokiem podszedł do fotela i usiadł ciężko. Givens przyglądał mu się przez chwilę. Na twarzy Manca widoczne było zmęczenie i zniechęcenie. Oczy Manca bez najmniejszego zainteresowania patrzyły w ekran, na którym Givens kontrolował budowę.

- Nie wiem, co Korn widzi w tej skorupie - powiedział ciężko Manc. - Planeta jak każda inna, nic nadzwyczajnego tu nie ma. Jakieś góry, morza, w sumie pustka, ani żywej duszy.

- Żadnych organizmów?

- Na razie nic. Braliśmy wprawdzie próbki tylko w promieniu stu kilometrów, ale tak na zdrowy rozum widać, że to strata czasu. Skąd na tym pustkowiu miałyby się wziąć jakieś życie? Temperatura otoczenia waha się w okolicy osiemdziesięciu stopni Kelvina. Pod nogami szron, nad głowę chmury. Zwariować można, i jeszcze to ciężenie. Człowiek waży tu prawie dwa razy więcej niż normalnie. Aż strach wychodzić z łazika, ten przynajmniej utrzymuje przyzwoitą grawitację.

- A gdzie O'Paul?

Manc wzruszył ramionami.

- Znalazł niedaleko stąd jakieś niezwykle ciekawe minerały - słowa: „niezwykle ciekawe” wymówił z taką ironią, że Givens aż się uśmiechnął. - Został, żeby wziąć próbki. Powinien zaraz wrócić.

- To dobrze. Niedługo pewnie będziemy tu mieli burzę. Lepiej byłoby dla niego, żeby zdążył na czas.

Givens zamilkł i jakiś czas przebierał nerwowo palcami po brzegu pulpitu. Oczy miał podpuchnięte od niewyspania. Ponad trzydzieści godzin na nogach i bez przerwy w akcji. Lądowanie, analiza otoczenia, wybór miejsca pod stację. W dodatku byli zdani wyłącznie na siebie i centralny analizator statku. Łączność z pozostającym na orbicie stacjonarnej Axelem-156 uniemożliwiły im chmury. Tworzyły zasłonę nie do przebicia; zawodziły wszystkie znane techniki. Chmury posiadały tu taką gęstość, że fale - od radiowych do podprzestrzennych - grzęzły w nich bezpowrotnie. Wiedzieli o tym już wcześniej. Kiedy wlatywali do układu Deneb i próbowali zaobserwować powierzchnię Trzeciej. Dlatego wysłano ich na rozpoznanie. Mieli sprawdzić wszystko na miejscu i najdalej po trzech dniach wystartować. Potężny Axel-156 krążył cały czas na orbicie, czekając na ich powrót. Na pulpicie zamigotało pomarańczowe światło. Zgłaszał się O'Pull. Givens wcisnęła klawisz łączności.

- Nie mogłem wcześniej. Ciągle były jakieś zakłócenia - głos mówiącego zdradzał podekscytowanie.

- Jeśli skończyłeś, to wracaj, spodziewamy się burzy.

- Jestem już w drodze, ale posłuchaj, co się dzieje. Znalazłem dosyć ciekawe minerały i automaty zaczęły kopać. Chciałem zbadać skałę macierzystą, i wiesz co? Grunt się obsunął. Zaglądam do środka, a

tam jakiś tunel. Idealnie okrągły, średnica może z pięć, sześć metrów. W pierwszej chwili zgłupiałem. Potem wysłałem automat. Wrócił po kilku minutach. Nie ma przejścia, tunel jest zasypany.

Manc pokręcił głową z dezaprobatą.

- Młodzik - mruknął. - Niepotrzebnie się podnieca.

- Tak myślisz? - spytał Givens.

Manc wstał z fotela prostując swoje potężne ciało.

- Jeśli rzeczywiście było tu kiedyś coś w rodzaju cywilizacji, to w tej chwili zostały same ruiny. Nie mam zamiaru chodzić z ich powodu na rzesach. Jestem zmęczony. Wezmę natrysk radiacyjny i idę spać.

Wszedł. Givens wyciągnął się w fotelu. Też miał ochotę pospać, ale musiał poczekać na powrót O'Pulla. W tej chwili starał się złożyć jakiś obraz całości z poznanych faktów. Prawdę mówiąc, nic jeszcze nie wiedzieli. Poza tym, że planeta jest dla nas zabójcza. Dwukrotne ciążenie, kłopoty z łącznością, trująca atmosfera. W dodatku na Deneb III nie było przemienności nocy i dnia. Warstwa chmur wydzielala rodzaj białego światła, rozjaśniającego równomiernie obie półkule. Givens przypuszczał, że chmury wyłapują promieniowanie centralnej gwiazdy, magazynują je w jakiś sposób, a potem rozdzielają po powierzchni globu. Ciekawy fenomen natury. A może nie tylko natury?

Nie znał odpowiedzi na to pytanie. Na stole leżała niedawno wykończona mapa Deneb III, złożona ze zdjęć. Wysyłali specjalnie programowane sondy latające. Było z tym trochę kłopotu. Musieli opracować nowy system matryc dla automatów, bo nie dało się kontrolować lotu za pomocą satelitów z powodu chmur. Normalna łączność też zanikała w odległości dziesięciu, najwyżej piętnastu kilometrów. W końcu jakoś sobie z tym poradzili. Wprawdzie kilka pierwszych maszyn nie wróciło, ale zdobyli w miarę dokładny obraz globu, z wyjątkiem biegunów, gdzie góry były tak wysokie, że ginęły w chmurach i tumanach jakiejś lepkiej mgły. Diabli wiedzą, co to za mgła. Jeszcze jedna zagadka. Wiatru ani na lekarstwo, a mgła łązi tam i z powrotem. Dziwne, ale w końcu nie do nich należy rozwiązywanie tych problemów, bo wtedy załoga stacji, którą właśnie budują, nie miałyby nic do roboty. Komandor Korn na pewno zostawi tu paru ludzi. Będą mieli wystarczająco dużo czasu, żeby wygrzebać, opisać i sklasyfikować - a w wolnych chwilach wyjaśnić - wszystkie niepojęte w tej chwili zjawiska.

Givens nie rozumiał takich ludzi. Siedzieć całe lata gdzieś na peryferyjnej planecie - to przerażające. On sam uznawał tylko loty. Zajmował się tym od młodych lat i chwalił sobie takie zajęcia. Owszem, jakiś wstępny zwiad, rozpoznanie, ale dać się zamknąć na tyle czasu w jednym miejscu...

Sygnal dźwiękowy wyrwał go z głębokiej zadumy. Zbliżał się łazik O'Pulla. Givens otworzył przejście w polu siłowym i pojazd, kołysząc się z boku na bok, wjechał po trapie do ładowni. W chwilę później O'Pull wszedł do kabiny.

- I co ty na to? - zagadnął już od progu.

- Nie wiem! - głos Givensa daleki był od entuzjazmu.

- Jutro wezmę automaty i ciężki sprzęt. Spróbuję odkopać ten tunel. Gdzieś musi nas doprowadzić.

- Nie spodziewaj się rewelacji. Jest zasypany, a więc nikt go od dawna nie używa. Poza tym to już nie nasza sprawa. Nie jesteś archeologiem, tylko biologiem. Przekażemy materiały ekipie, która tu zostanie, i jazda, nie ma nas.

- Szkoda - O'Pull westchnął.

- Nie ma czego żałować. Ta planeta to naprawdę nic ciekawego.

- To moja pierwsza wyprawa pozaukładowa. Pewnie dlatego wszystko wydaje mi się interesujące i godne uwagi.

- Chyba masz rację.

Niebo przecięła błyskawica. Ponury grzmot dotarł po czterech sekundach. Zewnętrzne czujniki przekazywały do kabiny narastający szum wichury. Następną błyskawica uderzyła pół kilometra od

statku.

- Szczęście, że zdążyliśmy otoczyć teren budowy polem siłowym - powiedział Givens.

Burza narastała. Naładowana elektrycznością atmosfera planety eksplodowała raz za razem. Cała kopuła ochronna jakby materializowała się. Przebiegały po niej różnobarwne ogniki, tworząc mozaiki fantastycznych wzorów. Givens często oglądał podobne widowiska, ale za każdym razem chłonał je na nowo. Natura bawiła się w stworzenie barwnych dzieł sztuki, które potem uznawszy widocznie za nieudane - natychmiast niszczyła.

- To trochę potrwa - stwierdził wyłączając fonię. Cisza, jaka zapanowała w kabinie, nie pasowała do barwnego widowiska rozgrywającego się na ekranie.

- Możemy chyba trochę odsapnąć - powiedział do O'Pulla. - Za trzy godziny automaty zakończą budowę stacji. Należy nam się chwila snu.

- Wątpię, czy będę mógł zasnąć. Ten tunel nie daje mi spokoju.

- Przecież widzę, że ledwo patrzysz na oczy - Givens klepnął go po plecach. - Idziemy.

Krótkim korytarzem poszli do sąsiedniej kabiny. W jednym z glenisilowych kokonów spał już Manc. Pomieszczenia statku dalekie były od komfortu - panowały tu istic spartańskie warunki - ale „Spetakos” był przecież tylko jednostką zwiadowczą, przeznaczoną do krótkotrwałych akcji.

Givens ułożył się w swoim kokonie, który natychmiast wchłonał go. Słyszał jeszcze jak O'Pull zajmuje miejsce obok. Chciał coś powiedzieć, ale zmęczenie zamknęło mu usta i zapadł w głęboki sen.

II

Zaraz po przebudzeniu Givens stwierdził, że automaty zakończyły budowę stacji. Postanowili więc natychmiast tam się przenieść. Dwa dni w ciasnych kabinach statku zwiadowczego dopiekiły całej trójce.

- Przynajmniej będę mógł wyprostować plecy bez obawy, że rozwalę głową sufit - powiedział Manc podczas przeprowadzki.

Przenieśli na stację kopie wszystkich materiałów, jakie zdobyli podczas pobytu na Deneb III. Mapy, obliczenia, wyniki analiz, próbki - pieczołowicie przetransportowane i zabezpieczone - spoczęły w hermetycznych pojemnikach i magnetycznej pamięci centralnego komputera. Potem Givens wyprowadził z hangaru łazik i cała trójka wyruszyła w drogę.

Jechali w kierunku tajemniczego tunelu. Manc nie chciał się tam grzebać, ale Givens stwierdził, że właściwie zrobili już wszystko, co do nich należało, i mogą trochę czasu przeznaczyć na ten rekonesans. W końcu on był dowódcą zwiadu i do niego należała ostateczna decyzja. A w gruncie rzeczy nie wolno im było zbagatelizować tego odkrycia. Skoro mogą zbadać sprawę na miejscu, powinni tam pojechać.

Dookoła, jak okiem sięgnąć, rozpościerała się oszroniona równina. Stację zlokalizowano w samym centrum rozległego płaskowyzu, więc teren był równy i gładki jak stół. W oddali nad linią horyzontu majaczyły wzniesienia. To tam właśnie O'Pull dokonał swojego odkrycia, które - jak twierdził zgryźliwie Manc - postawi na głowie całą egzobiologię wraz z pokrewnymi naukami. Ale Manc taki już był i nikt nie miał mu tego za złe. Dotarli do wykopu po godzinie. Wstępne oględziny potwierdziły relację O'Pulla. W głąb chodnika wysłano ciężki sprzęt. Po dwudziestu minutach mogli już zabrać ze sobą kilka automatów i ruszyć przed siebie.

Tunel schodził w dół pod kątem dwudziestu paru stopni. Był nie używany od bardzo dawna, świadczyły o tym porozrzucane wszędzie kamienie i większe głazy, które musieli co chwila omijać. Nie dało się wykorzystać łazika ani żadnego innego środka lokomocji. Tunel miał za mały przekrój. Po radzie Givens zdecydował, że trzeba będzie odbyć mały spacer. Najbardziej dokuczalo zwiększone ciśnienie planety. Manc klął całą wyprawę. Szli jak w gęstym syropie - każda komórka, każdy nerw ciała ważyły podwójnie. Co prawda byli na to uodpornieni - nie takich cudów doświadczyli na poligonach -

ale zawsze dodatkowy kłopot.

Mieli za sobą parę monotonnych kilometrów wśród ciemności rozświetlonych reflektorem. Manc chciał właśnie zaproponować powrót, gdy zza kolejnego zakrętu wyłonił się imponujący widok. Tunel przechodził w rozległą, pięćdziesięciometrową przepaść. W dole, na obszarze wielu hektarów, dostrzegli płataninę najdziwniejszych kształtów. Kanciaste i obłe formy różnych wielkości i w różnych zestawieniach, pogrążone w absolutnym bezruchu. Widok tyleż niesamowity, co niezrozumiały. O'Pull stanął jak wryty, Givens pokręcił ze zdziwieniem głowę a Manc gwizdnął przeciągle. Trwali tak znieruchomiali przez jakiś czas, aż wreszcie O'Pull pierwszy otrząsnął się ze zdumienia i wydał polecenia automatom, które zaczęły rejestrować obraz.

- Ruina - stwierdził Manc po dłuższej chwili.

- Przydałoby się zejść na dół - powiedział Givens.

O'Pull przechylony spoglądał w przepaść.

- To nie będzie łatwe, ale spróbować można.

Koniec rozwiniętej liny opadł na dno hali. Automat wstrzelił w ściany korytarza kilka haków. Tkwiły pewnie w granitowej płycie.

- Winda gotowa, szefie - zwrócił się Manc do Givensa. - Można przeciąć wstęgę i jechać.

Chciał chyba jeszcze coś dodać, ale nie zdążył. Z dołu dobiegł jakiś szum, coś na kształt zrywającej się wichury. Powietrze zawirowało i silny podmuch uderzył w galerię, na której stała cała trójka. O'Pull upadł na ziemię, Givens chwytając za linę krzyknął coś, ale w narastającym ryku wichury nie można było rozróżnić słów. Zanim O'Pull pojął, że trzeba wyłączyć zewnętrzne mikrofony i zostawić tylko łączność radiową, zauważył kątem oka, że coś dziwnego dzieje się z Mancem. Stał na samym skraju, tuż nad kilkudziesięciometrową przepaścią i chwiał się balansując w podmuchach wichury. Coraz silniej ścigało go w dół. Wreszcie przechylił się niebezpiecznie i zniknął z pola widzenia.

Lecąc w dół Manc widział skałę przebiegającą obok niego w szalonym pędzie. Doskonale zdawał sobie sprawę z sytuacji. Zrozumiał, że ginie. Upadek z takiej wysokości, przy dwukrotnie większej sile ciężenia to pewna śmierć. A jednocześnie cała jego świadomość wzywała pomocy. Zwyczajny, zwierzęcy strach wziął górę nad chłodnym rozeznaniem sytuacji. Zaczął krzyczeć. Poczł jakieś uderzenie i odbiwszy się od skały leciał dalej w dół, a jego ciało zawirowało. W pewnym momencie wzrok uchwycił zbliżające się dno - kamienista powierzchnia, od której dzieliły go tylko ułamki sekund. Zacisnął powieki.

- Nieee!!...

I wtedy poczuł, że zamiast spadać w dół leci spokojnie gdzieś w bok, niczym nie skrępowany. Otworzył oczy. Jego własne ciało w tej właśnie chwili runęło na powierzchnię gruntu. Widział to tak wyraźnie, jakby ktoś ustawił mu przed oczami aparat wyostrajający i spowolniający obraz. W pierwszej sekundzie wydawało mu się, że stracił zmysły. Ale wszystko było w porządku. Dookoła szalała wichura, ciało leżało roztrzaskane w poszarpanym skafandrze, na górze - w wylocie chodnika - tkwili dwaj ludzie unieruchomieni na jakiś czas tym samym żywiołem, który jego strącił w przepaść.

Zaraz, chwileczkę. Jeżeli on - Manc - leży tam na dole bez życia i jednocześnie on - ten sam Manc - ogląda to wszystko, to coś się tutaj nie zgadza. Był zbyt dużym racjonalistą, żeby tak po prostu zgodzić się z absurdem. Bo pewno nie jest w porządku, jeżeli człowiek ginie i jednocześnie widzi własną śmierć. Największy racjonalista musi ugiąć się przed materiałem dowodowym, jaki stanowią fakty. Faktem zaś było, że on - Manc - w bliżej nie wyjaśniony sposób opuścił swoją cielesną powłokę. Czy można w takiej sytuacji mówić, że zginął? Manc nazwałby idiotą każdego, kto śmiałby wysunąć taką teorię w jego obecności. Tylko że właśnie ta „jego obecność” była dość problematyczna.

Żywa, myśląca, ale bezcielesna osobowość Manca poczuła się nagle zabłąkana i porzucona. Dla

swoich towarzyszy pozostanie tylko roztrzaskanym ciałem. A komu może być potrzebna dalsza wegetacja w tej - tak przecież nietypowej - formie. Przez chwilę czuł się zagubiony w obcym świecie nieznannej planety. Ale tylko przez chwilę, bo oto poczuł nagle jakąś falę nadziei, ciepła i serdeczności. Było w tym coś tak irracjonalnego, że się zdumiał. Fakt jednak pozostawał faktem. Manc nie potrafił sobie tego wytłumaczyć, czuł jednak, że nie jest osamotniony. Jakby jakiś głos dodawał mu otuchy i przyzywał do siebie. Nie był to oczywiście głos; język ludzki jest zbyt ubogi, aby określić takie stany. Lecz mimo że Manc nie potrafił tego nazwać, rozumiał niejako podświadomie swoje nowe położenie. Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na martwe ciało w skafandrze poddał się nagłacemu wezwaniu.

III

Śmierć Manca przybiła O'Pulla. Ten wiecznie zaaferowany młody człowiek, wierzący niezachwianie w potęgę rozumu i wyższości ludzi nad nieokiełznanymi siłami natury, stanął nagle wobec okrutnej rzeczywistości tak bezbronny, że Givens poważnie zaczął się o niego martwić. Przez całą powrotną drogę nie zamienili ani słowa. Givens prowadził pojazd, a O'Pull siedział w kącie mając przed oczami roztrzaskane ciało Manca, jakby wzrokiem chciał przywrócić zmarłemu życie.

Gdy byli już w służbie stacji, O'Pull nie wytrzymał:

- To moja wina - wykrztusił. - To ja namawiałem was, żeby włączyć w ten przeklęty korytarz. On nie chciał tam iść. Zupełnie jakby wiedział!

- Gadasz głupstwa - brutalnie pocieszał go Givens. - Kto mógł przewidzieć, że spotka nas coś takiego? Podmuch wywołany został różnicą ciśnień, a cała reszta to tylko nieszczęśliwy wypadek. Zastanów się spokojnie nad tym, a zrozumiesz, że nie ma tu niczyjej winy. Zresztą jako dowódca zwiadu jestem na pewno odpowiedzialny bardziej niż ty.

O'Pull zamilkł, ale Givens wiedział, że nie przekonał chłopaka. Znał takie sytuacje i rozumiał, iż na to potrzeba czasu. Jutro wrócą na orbitę, gdzie czeka potężny Axel-156 i gdzie komandor Korn na pewno się już o nich niepokoi. Później opuszczą układ Alfy Łabędzia i ruszą dalej. Cały tragiczny epizod ze śmiercią Manca zniknie z pamięci O'Pulla pod natłokiem nowych spraw. A potem przyjdą inne gwiazdy, inne planety.

Drzwi służby ustąpiły. Tuż za nimi posuwały się automaty z ciałem Manca. Chciał osobiście dopilnować, by ciało zmarłego znalazło się w sterylnym pojemniku. Potem wolnym krokiem ruszył w kierunku centrali łączności. Przechodząc koło kabiny O'Pulla przystanął na moment. Wiedział, że chłopak jest w środku, chociaż zza drzwi nie dobiegał żaden dźwięk. Ręka odruchowo wyciągnęła się, aby zastukać, ale po chwili cofnął ją i poszedł dalej.

- Takie rzeczy trzeba rozgryzać w samotności - myślał właściwie powinienem z nim pogadać, ale nie tam. Może sam zrozumie, że to nie jego wina i że nikt nie ponosi odpowiedzialności za to, co się tu wydarzyło.

Doszedł do centrali i usiadł w fotelu.

Swoją drogą, Manc naprawdę miał pecha. Przelecieć sto dwadzieścia parseków, aby tak po prostu skrócić sobie kark. Włączył pulpity i zaczął sprawdzać podzespoły. Wszystkie kanały pracowały bez zarzutu. W kabinie słychać było tylko ciche trzaski wyładowań elektrycznych. Uruchomiwszy blok wizji rzucił okiem na smukłą sylwetkę „Spetakosa”. Kolejny klawisz - sygnał wywoławczy przyjęty. Twarz O'Pulla na ekranie; niema, pytające spojrzenie.

- Sprawdzam łączność - powiedział Givens tonem usprawiedliwienia. Chłopak kiwnął głową. - Byłoby dobrze, gdybyś posiedział trochę w laboratorium. Automaty dostarczyły nowe partie próbek. Popracujesz nad tym do wieczora, a jutro wracamy na górę.

- Dobrze, idę tam.

O'Pull wyłączył się.

- Najważniejsze, żeby go teraz zająć czymkolwiek i nie dać czasu na rozmyślenia - stwierdził Givens w duchu. Sprawdził jeszcze połączenie z centralnym mózgiem i automatami pracującymi poza stacją. Wszystko było w najlepszym porządku. Z głośnika dobiegał cichy szum i jakiś pisk - jeden, dwa, trzy, chwila ciszy i znowu, jeden, dwa, trzy...

- Co to za kawały? - zdziwił się Givens.

Spróbował dostroić dokładniej aparaturę. Sygnały stopniowo słabły, aż wreszcie zanikły zupełnie mimo ponawianych poszukiwań.

Interesująca sprawa. Czysty przypadek, czy celowa ingerencja jakiejś nieznannej siły? Givens zakodował w pamięci komputera częstotliwość, na której pojawiły się sygnały, i nastawił urządzenia tak, że w razie powtórzenia serii impulsów całość zostanie zanotowana w pamięci maszyny.

Resztę dnia zajęło mu porządkowanie spraw związanych z budową stacji. Uniwerproduktory wytwarzały ostatnie elementy wyposażenia i wszystko to trzeba było rozmieścić we właściwy sposób. Tak, by ekipa badawcza, która pojawi się tu za kilka dni, miała przygotowane całe zaplecze techniczne. Brak Manca dawał się w tej robocie trochę we znaki, ale w sumie Givens jakoś radził sobie ze wszystkim. Miał przecież do pomocy całą armię automatów i zaprogramowany komputer stacji.

W czasie kolacji Givens z ulgą dostrzegł, że O'Pull trochę otrząsnął się z przygnębienia. Mówił z ożywieniem o ostatnich analizach denebskiego gruntu, w którym znalazł ciekawe gatunki bakterii, wegetujących mimo nie sprzyjających warunków. Rozmowa - dyskretnie prowadzona przez Givensa - omijała wszystkie szczegóły związane z osobą Manca i porannymi wypadkami. Później rozeszli się - każdy do swojej kabiny.

O'Pull był tak wyczerpany minionym dniem, że z miejsca upadł na tapczan próbując zasnąć. Jednak jego wysiłki okazały się daremne. Bezskutecznie szukał wygodnej pozycji, wymyślał różne podstępny aby zmusić organizm do posłuszeństwa - wszystko na nic. Wreszcie - z braku lepszego pomysłu - zaczął przechadzać się po kabinie tam i z powrotem nie zapalając światła. Najpierw pod ścianami, potem na ukos. Cztery kroki tam, cztery z powrotem i znowu. Nagle zatrzymał się. Chwilę stał nasłuchując w skupieniu, ale mimo wysiłku zmysłów do jego uszu dochodził tylko cichy szum klimatyzacji i odległego buczenia generatorów. Wzruszył ramionami i powrócił do przerwane rytmu marszu. Cztery kroki, obrót, cztery kroki, przeciwległy narożnik... Zatrzymał się w kącie twarzą do ściany. Czuł na karku czyjeś natarczywe spojrzenie. Przecież tu nikogo nie mogło być?!!

A jednak wiedział, że ktoś na niego patrzy. Bezszelestnie odwrócił się. Błyskawicznym ruchem uderzył przełącznik i kabinę zalał snop światła tak jaskrawy, że na ułamek sekundy musiał zmrużyć oczy. Kiedy oświetlone kręgi rozbiegły się, ze zdziwieniem - a może raczej z ulgą - stwierdził, że jest sam.

- Nieprawdopodobne - mruknął. - Dałbym sobie głowę uciąć, że ktoś tu był.

Zrezygnował ze snu i wywołałszy na czytniku jakiś podręcznik biologii planetarnej pogрузił się w lekturze. Przebiegał wzrokiem tekst i nie zauważył, jak światło zalewające dotąd jaskrawym blaskiem kabinę powoli słabło. Dopiero gdy na chwilę oderwał wzrok od ekranu spostrzegł, że w pomieszczeniu panuje półmrok. Zaniepokojony wstał i w pierwszej chwili chciał połączyć się z Givensem, ale po namyśle zrezygnował. Co ma mu powiedzieć: że cierpi na bezsenność i nękają go przywidzenia? Wzruszył ramionami i wyszedł na korytarz. Kroczył bez celu, mijając sekcje stacji. Magazyny, laboratoria, pomieszczenia mieszkalne. Długie szeregi drzwi, za którymi nie było nikogo, z kim mógłby się podzielić obawami. Martwe korytarze wijące się na kilku poziomach, krzyżujące się co kilkadziesiąt metrów i biegnące dalej, w głąb stalowego cielska stacji.

Nie zauważył nawet, jak znalazł się w pobliżu chłodni. Wspomniane wypadki wypłynęły z pamięci tak silnie, że O'Pull zadrżał. Rzucił niespokojne spojrzenie za siebie - korytarz był pusty. Ostrożnie, w

obawie, że ktoś go obserwuje, podszedł do drzwi. Walczył ze sobą. Z jednej strony rozsądek nakazywał mu odejść - nie zawracać sobie głowy sprawami, które nie miały już znaczenia. Ale inny impuls sprawił, że ręka sama uruchomiła mechanizm. Szara tafla drzwi znikła w ścianie. Z głębi pomieszczenia powiało chłodem. Oświetlenie zapaliło się automatycznie z chwilą, gdy O'Pull przekroczył próg komory; widział tam szereg hermetycznych klap, zamykających wbudowane w ścianę pojemniki. Czerwona lampka sygnalizowała, że jeden z nich jest pełen. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, O'Pull wyłączył cyfrowy zamek. Z całych sił pociągnął klapę. Otwierała się powoli, jakby niechętnie. Ciągnął ją oburącz, otoczony parą, której kłęby unosiły się z każdym jego oddechem. Gdy wreszcie odsunęła się na całą szerokość widok, jaki ukazał się jego oczom, wprowadził go w osłupienie.

Ciało Manca nie leżało tak, jak ułożyły go automaty. Było zwinięte w kłębek przy samym wylocie pojemnika - zupełnie jakby zmarły przed dwunastoma godzinami człowiek usiłował się z niego wydostać. Martwa twarz miała otwarte oczy, które wpatrywały się w O'Pulla z taką natarczywością, iż ten poczuł, jak skurcz chwyta go za gardło. Przez moment zwątpił w realność tego, co go otaczało. Ale wszystko było w porządku. Tylko te oczy. O'Pull nie mógł znieść ich spojrzenia. Spoglądały na niego z niemą prośbą i cichym wyrzutem. Nie wytrzymał. Potknął się i upadł na kolana. Nie czuł bólu. Tylko ten wzrok - przygniatał, rozpląszczał go, miażdżył.

- Za chwilę zwariuję - pomyślał zupełnie spokojnie. - Zwariuję, jeśli się stąd nie wydostanę.

Wycofał się tyłem, nie spuszczać wzroku ze skurczonych w dziwnej pozie zwłok. Wreszcie wypadł na korytarz. Włączył automat zamykający drzwi i popędził przed siebie.

- Givens! Givens!!...

Brał stopnie po trzy, cztery, potknął się na ostatnim i wyrzucił twarzą w chłodny metal. Dalej, dalej...

Dopadł do kabiny Givensa i załomotał pięściami.

- Otwórz! To ja, otwieraj szybko!

Słyszał, jak w środku ktoś zrywa się, trzask przewracanego stolika zabrzmiał jednocześnie ze szczękiem otwieranego zamka. Zaspana twarz Givensa ukazała się w drzwiach. O'Pull odepchnął go i wbiegł do wnętrza kabiny.

- Co się stało? Awaria?

- Zamykaj! Szybko zamykaj!

Szara tafla oddzieliła ich od korytarza.

- Mów, co się stało - Givens chwycił O'Pulla za ramiona i potrząsnął. Dopiero teraz dojrzał krew na jego twarzy i włosy stanęły mu dęba. Błyskawicznie oprzytomniał.

- Co się z tobą dzieje? - spytał zdławionym głosem.

- Byłem w chłodni.

- Gdzie?

- W chłodni, tam gdzie Manc...

- Po co?

- Nie wiem. Tak jakoś... Wiesz, on się poruszał!

- Kto, Manc?!

O'Pull skinął głową, ręce mu drżały.

- Jak to, poruszał się? Przy tobie?

- Właściwie nie... zresztą, sam zobacz.

- Powoli. Najpierw pozwól, że zrobię ci opatrunek - Givens wygrzebał z szafki medykamenty. Przemysł twarz rannego i założył kłamry na rozciętej brodzie.

- A teraz uspokój się i mów.

O'Pull, dygocząc cały, zaczął coś płatać. Givens niewiele z tego zrozumiał.

- Pójdziemy tam zaraz obaj - postanowił.

- Nie mogę, nie chcę - O'Pull skulił się w fotelu - gdybyś zobaczył jego oczy...

- Więc co, będziesz tak siedział z założonymi rękami? - Givens wstał i przeszedł kilka kroków. Z szuflady wyjął miotacz. O'Pull obserwował go bardzo uważnie.

- Do kogo chcesz strzelać? - spytał z drwiną.

Givens wzruszył ramionami i wyszedł na korytarz. Nie wierzył w historyjkę O'Pulla, ale chciał się osobiście o wszystkim przekonać. Miotacz wziął tak... na wszelki wypadek.

- Młodziak przejął się za bardzo wypadkiem Manca i stąd cały kłopot - myślał schodząc w dół po metalowych stopniach. - A swoją drogą, jakim cudem przeszedł on w Bazie testy na odporność psychiczną? Trzeba się będzie tym zainteresować po powrocie.

Minął ostatni załom korytarza i stanął przed drzwiami chłodni. Na moment zawahał się, prawa ręka ujęła mocniej kolbę miotacza. Dotyk chłodnego metalu uspokoił go. Puścił broń i przekroczył próg pomieszczenia. Poczł nagle uderzenie lodowatego powietrza i ujrzał otwarty pojemnik z martwym ciałem Manca, leżącym dokładnie tak, jak je zostawiły automaty - wyprostowane, z rękoma przyciśniętymi do tułowia. Podeszed bliżej. Oczy rzeczywiście były otwarte. Wpatrywały się nieruchomo w sklepienie pojemnika.

- Szczeniak narobił niezłego szumu pomyślał gniewnie Givens. Wyciągnął rękę, żeby zamknąć powieki zmarłego i aż krzyknął.

Ciało było ciepłe.

IV

Tej nocy, nie dane było Givensowi zasnąć. Najpierw z trudem nakłonił O'Pulla, żeby ten położył się w swojej kabine, łyknąwszy uprzednio tabletkę nasenną. Potem wezwał automaty, aby przetransportowały ciało Manca do stacji medycznej i następne dwie godziny spędził na analizach. Wyszedł stamtąd zupełnie uspokojony śmierć Manca nie podlegała dyskusji. Tego jednego przynajmniej był pewien w stu procentach. Pozostawało tylko złudzenie - dotyk ciepłych powiek wtedy, w chłodni. Czy aby na pewno złudzenie? Igraszka zmysłów? Niemożliwe. Więc jeśli to była prawda, znaczyłoby, że działają tu nieznanne siły, których natury nie rozumiał. Tylko dlaczego O'Pull twierdzi, że ciało było poruszone?

Givens należał do gatunku ludzi, którzy nie budują różnych nieprawdopodobnych hipotez na podstawie paru przypadkowych faktów. Uznał po prostu, że ma za mało danych, by postawić rozsądną diagnozę. Ale właściwy mu spokój opuścił go. Stał się nieswój. Stacja, w której było dotąd bezpiecznie, wszystkie otaczające go przedmioty - mogły stać się narzędziem obcej siły. Jakiej? - tego na razie nie próbował dociekać. Jak zwykle w sytuacjach, w których nie wiedział co robić, postanowił poradzić się komandora Korna. Łączność z Axelem-156 nie istniała, uznał więc, że polecą tam osobiście, i tak za parę godzin planowali powrót na orbitę. Wystartuje więc wcześniej i porozmawia ze starym w cztery oczy.

Zostawił w kabine O'Pulla informację i po upewnieniu się, że chłopak śpi jak zabity, zaczął przygotowania do odlotu. W pół godziny później cumował już w doku ziemskiego kolosa.

Widok macierzystego statku, w którym spędził kilka ostatnich lat poprawił mu humor. Przywitał się z obsługą doku i od razu został zarzucony serią pytań o los pozostałej dwójki. Uspokoiwszy znajomych (nie miał zamiaru nikogo poza Kornem informować o śmierci Manca) zagadnął o Komandora i otrzymał odpowiedź, że na pewno znajdzie go w sterowni, udał się w tamtą stronę. Minęło parę minut nim szybkobieżna winda zaniósł go na właściwy poziom. Axel-156 to nie byle łupinka rzucona na pastwę próżni, lecz potężny krążownik, mogący pomieścić z łatwością do tysiąca osób załogi, gdyby zaistniała taka potrzeba, i trzeba dodać, że wcale nie byłoby ciasno. W obliczu tego ogromu zbudowanego ludzkimi

rękami wszelkie obawy, jakie Givens przywiózł ze sobą, wydawały się niedorzeczne.

Komandora nie było w sterowni. Zostawił tam tylko dyżurnego nawigatora. Zmianę miał akurat Turley, z którym przesiedział ostatni rok studiów w jednej ławce. Po krótkim, acz krzykliwym powitaniu Givens usłyszał lawinę słów - Turley pytał jak zwykle o wszystkich i o nic.

- Przykro mi, stary, ale spieszę się - przerwał mu Givens. - Więc mówisz, że Korn jest u siebie?

- Tak. Zły jak wszyscy diabli. Lepiej do niego teraz nie podchodź.

- Dlaczego?

- Cała starszyzna jakby ostatnio powariowała. Nikt nie może się połapać, o co chodzi. Ciągłe siedzą i debatują. Wiem niewiele, jak zwykle trzymają wszystko w tajemnicy. Ale czuję, że coś się stanie. A nos mam niezły, musisz mi przyznać. Zawsze pierwszy wyczuwałem, jak się coś szykowało. Obyśmy wynieśli cało skórę.

- Wiesz coś konkretnego?

- Konkretnego nie, same plotki. Ale mam oczy i staram się robić z nich użytek. Takich numerów dawno nie widziałem. Zresztą, pogadaj sobie z komandorem. W końcu tu jesteś większą szyszką ode mnie, więc powinien cię uświadomić. Niedawno skończyła się narada wszystkich „głównych”. Miny mieli niewesołe. Stary pewno równo ich obsztorcował, a teraz śpi. Masz zamiar ryzykować i budzić go?

- Muszę.

- Twoja sprawa. Jak już skończysz, wpadnij. Posiedzę tu jeszcze z godzinę, a po wachcie znajdziesz mnie w mesie. Połamania.

Kabina komandora była oddalona od sterowni zaledwie o kilka kroków. Givens energicznie zastukał do drzwi, które uchyliły się, a potem rozsunęły na całą szerokość. Korn zamrugał ze zdziwienia.

- Ty tutaj? Przecież mieliście wrócić dopiero rano.

- Musimy porozmawiać, komandorze. To ważne, tak mi się przynajmniej wydaje.

Korn przepuścił Givensa przez próg i zamknął drzwi.

- Coś nie gra? - spytał, wskazując ręką na jeden ze skórzanych foteli.

- Mniej więcej - odparł Givens sadowiąc się ostrożnie, jakby w obawie, że jakimś nieostrożnym ruchem mógłby uszkodzić zabytkowy mebel. Zawsze zastanawiało go, jakim cudem udało się komandorowi przemycić te starocie. Ich miejsce było raczej w muzeum, niż na statku dalekiego zasięgu.

- Mógłbyś jaśniej?

W czasie całej opowieści komandor chodził po kabinie, z rękoma wbitymi w kieszenie kombinezonu. Czasami przystawał przed fotelem Givensa, świdrując jego twarz przenikliwym spojrzeniem. Na koniec usiadł.

- Wspomniałeś o tym komukolwiek? - spytał.

- Nie.

- Na pewno?

- Ani słowa.

- To dobrze. Bo widzisz, to, co mówisz, jest tak nieprawdopodobne, że aż trudno uwierzyć.

- Ja nie kłamię - obruszył się Givens. - Tak było... Zresztą dodał - wszystko można sprawdzić na miejscu.

- Prawie wszystko - poprawił go Korn. - Zrozum człowieku, nie mówię, że kłamiesz. Stwierdzam tylko, że to brzmi dziwnie. Ale ostatnio dzieje się tu tyle dziwnych rzeczy...

- Na przykład? - podchwycił Givens.

- Ot, chociażby wczoraj. Przychodzi do mnie szef szpitala i mówi, że miał kilkudziesięciu pacjentów, którzy narzekali na niemal identyczne dolegliwości. Otóż wydaje im się, iż są pod ciągłą obserwacją. W każdej sytuacji towarzyszy im uczucie czyjejś obecności. Żeby to był jeden albo kilku ludzi, można by

machnąć ręką. Ale ich jest wielu, i co gorsza, ja też się do nich zaliczam.

- O'Pull wspominał o czymś takim - wtrącił Givens.

- Tak, ale on oprócz tego twierdzi, że widział poruszone zwłoki. Ty zaś znalazłeś je nie tknięte, ale ciepłe. Nie mamy podstaw, żeby mu nie wierzyć. Tobie tym bardziej. A teraz powiedz: czy to możliwe, aby trup leżący przez dwanaście godzin w kostnicy poruszał się i był ciepły?

- Chyba nie.

- Na pewno nie. Są tu jeszcze ciekawsze rzeczy, powiedziałbym: ogólniejszej natury. Bo twoje spostrzeżenia dotyczą pojedynczych przypadków. My tutaj mieliśmy okazję obserwować problem całościowo. Otóż układ Deneb wykazuje pewne anomalie magnetyczne. Do tego dochodzą solidne skrzywienia pól siłowych, metryka przestrzeni jest zupełnie spaczona. Wszystko jakby drwiło sobie z praw natury. Astrofizycy twierdzą, że gwiazda powinna się w tej sytuacji już dawno rozsypać. Zaobserwowaliśmy zmiany biegunowości całego systemu planetarnego. Na to potrzeba ogromnych ilości energii. Ale skąd miałyby się brać? Nikt nie wie. A jednak bieguny skaczą sobie, raz w górę, raz w dół. Ciekawe, czemu to może służyć.

- Możliwe. Tyle tylko, że tu nie ma żadnej cywilizacji. Była, ale bardzo dawno. Jakieś trzysta, czterysta tysięcy lat temu.

- Willa odkrył ślady na drugiej, a Nikodes na czwartej planecie. Wy też znaleźliście jakieś podziemia. Badałeś wiek?

- Nie. Nie było kiedy.

- Sądzę, że wyniki będą się pokrywać. W każdym razie dawno temu, gdy ludzkość jeszcze skakała po drzewach, kwitła tu potężna cywilizacja, i przepadła, jak kamień wrzucony w wodę.

- Skąd ta pewność?

- Każda cywilizacja musi mieć jakąś bazę materialną. Wiesz o tym równie dobrze, jak ja. Niczego innego w obrębie dotychczas poznanego kosmosu nie odkryto.

- To wcale nie znaczy, że innych możliwości nie ma, komandorze.

- Nie przybyliśmy tu po to, aby zajmować się filozofią. Brak zagospodarowanych globów, brak komunikacji międzyplanetarnej. Chyba nie sądzisz, że można by to wszystko schować tak na zawołanie?

- A jednak coś się tutaj dzieje, wbrew naszej logice.

Korn milczał dłuższą chwilę, przebierając palcami po blacie stołu.

- Masz rację - powiedział - ale co ja mogę na to poradzić? Mam rozrzucić bazy naukowe wraz z personelem w wyznaczonych systemach. Zostawiamy ludzi na trzech planetach układu: drugiej, trzeciej i czwartej. Zamontujemy stacje łączności podprzestrzennej gdzieś na peryferiach i na tym nasza rola się skończy. Reszta zostanie w rękach naukowców, którzy będą tu grzebać.

- Wiec zasadnicze plany nie uległy zmianie? - spytał Givens.

Komandor pokręcił przecząco głową.

- Wobec tego nie pozostaje mi nic innego, jak wracać na Deneb III.

- Poczekaj - Korn powstrzymał go ruchem dłoni. - Wszystkie prace już ukończone?

- Tak jest.

- To dobrze. Nowa załoga zejdzie na dół w godzinach rannych. A przedtem obejrzę sobie z bliska tę waszą stację.

Givensa zdziwiła decyzja dowódcy, ale nie dał tego po sobie poznać.

- Kiedy startujemy? - spytał.

Korn rzucił okiem na chronometr.

- Za czterdzieści minut. Muszę jeszcze przejrzeć kilka raportów - wskazał głową biurko, na którym leżał stos papierów.

- Na razie jesteś wolny - dodał.
Givens zrobił „w tył zwrot” i wyszedł.

V

Z zakamarków nieograniczonej czerni począł wyłaniać się drżący promień światła. Niepewnie musnął jałową i pustą powierzchnię Praoceanu. Jakby pod wpływem tego dotknięcia w martwej dotychczas przestrzeni począł tworzyć się ruch - początkowo chaotyczny, potem coraz bardziej zorganizowany. Cząsteczki materii łączyły się ze sobą, budując coraz bardziej skomplikowane kompleksy, by wreszcie wybuchnąć utajoną dotąd siłą życia. Nad martwym światem podniósł się gwar bilionów molekuł ożywionej substancji. Rozpoczął się Wielki Ruch.

Zorganizowane formy materii tworzyły nowe, coraz bardziej skomplikowane struktury. Życie rozkrzewiło się bujnie, przenosząc swą siedzibę z jednych form w inne. Całą martwą przez miliardy lat materię ogarnął gorączkowy pośpiech. Jakby gorliwością chciała zrównoważyć dotychczasowe trwanie w odwiecznym letargu.

Obdarzona życiem materia szturmowała zaciekle nie znaną jej tajemnicę istnienia. Powstawały nowe generacje, bogatsze o doświadczenia poprzedników. Po nich przychodziły następne, i nie było już skrawka globu, do którego nie dotarłaby nowa siła. Wydawałoby się, że nic już więcej powstać nie może. Świat ożywionej materii osiągnął wszelkie przejawy doskonałości. Dostosował się do środowiska, w którym powstał, w sposób idealny. Ale raz posiane ziarno Przemiany ciągle dawało nowe owoce. Pojawiły się pierwsze, nieśmiałe załączki świadomości.

Kolejny etap nieustającego Rozwoju. Trzeci komponent istnienia dołączył do dwóch poprzednich i zaczął nabierać coraz większego znaczenia. Świadomość, zrazu pokorna, okazała się najbardziej ekspansywna. Nie wystarczało jej bierne dostosowywanie się do środowiska, w którym powstała. Zaczęła w to środowisko ingerować, zmieniając je w sposób bardziej dla siebie odpowiedni. Powierzchnia globu przeistoczyła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Obdarzona świadomością żywa materia dokonywała szokujących przemian. W miejscach odwiecznie dzikich, ukształtowanych powolnymi przemianami natury, pojawiły się wytwory nowej potęgi, i gdy już cała planeta podporządkowana została jej woli, nastąpił kolejny krok. Świadomość uwolniła się z krępujących więzów materii i rozpoczęła samodzielną egzystencję.

Z pędzącego w czarnej cieczy globu, otoczonego nieprzeniknioną zasłoną chmur, zaczęły wydobywać się opary niematerialnego, ale świadomego życia, tworząc coraz większy i potężniejszy obłok, który otulił macierzystą planetę. Czerpiąc energię z promieni centralnej gwiazdy począł rozrastać się jeszcze bardziej. Był coraz bliżej. Poszczególne zwoje falującej chmury zasnuwały już wszystko. Nie było ani jednego skrawka wolnej przestrzeni. W przebiegających wirach pojawił się jakiś niewyraźny zarys. Postać rosła, ale O'Pull w dalszym ciągu nie mógł rozpoznać twarzy. Była zbyt zamazana, zbyt rozmyta. Raz po raz zasłaniały ją strzępy gigantycznej chmury. Wiedział jednak, że może to być tylko on.

- Tak, to ja - potwierdził Manc z oddali.

- Co z tobą?

- Wszystko w porządku.

- Więc żyjesz? - ucieszył się O'Pull.

Chwila milczenia.

- Dlaczego nic nie mówisz?

- Zastanawia mnie, czy stan, w jakim się znajduję, można nazwać życiem? Chyba nie. Przynajmniej w waszym, ludzkim znaczeniu tego słowa. Ale ja jestem zadowolony. Z początku chciałem wrócić, jednak po namyśle zrezygnowałem.

- Mogłeś wrócić i nie zrobiłeś tego? - zdziwił się O'Pull.

Manc skinął potakująco głową.

- Może ci się to wydać dziwne - powiedział - ale gdybyś był na moim miejscu...

- I co się z tobą stanie?

- Zostanę częstką potężnej świadomości, intelektu, przekraczającego ludzką możliwość pojmowania, władającego czasem i przestrzenią.

- Ludzkość też kiedyś do tego dojdzie.

- Obraliście zupełnie inną drogę rozwoju. Związek z ciałem uniemożliwia wam oderwanie się od materialnych wad cywilizacji. Skrępowani konstrukcją organizmu nigdy nie dojdziecie do granic Wszechrzeczy.

- Dlaczego mówisz w ten sposób, jakbyś... Jesteś przecież człowiekiem.

- Byłem nim - twarz Manca uśmiechnęła się. - Teraz jestem już wolny. Potrafisz to zrozumieć? Nie związany z tym konglomeratem białek, który warunkuje wasze istnienie... Sylwetka otoczona kłębamii mgły zaczynała się powoli rozplýwać. Głos, który docierał do O'Pulla, był coraz słabszy, jakby mówiący oddalał się.

- Wiesz już tyle, że możesz dokonać wyboru. Masz wolną wolę, powinieneś sam zdecydować.

- Ale można przecież nawiązać kontakt! - próbował oponować.

- Zbyt duże różnice... brak płaszczyzny - głos zanikał coraz bardziej, aż wreszcie umilkł zupełnie. Postać w skafandrze rozplýnęła się.

- Nic z tego nie rozumiem - powiedział O'Pull. Szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w sufit kabiny. Wzrok zaczynał wyłuskiwać z półmroku zarysy sprzętów. Na ścianie jaśniał prostokąt czytnika.

- Przecież pamiętam, że był wyłączony.

Przeczytał informację zostawioną przez Givensa.

- Wynika z tego, że jestem na razie sam - pomyślał. To się nawet dobrze składa. Będę mógł spokojnie wszystko przeanalizować.

Od czasu kiedy zażył środek nasenny, minęły ledwie cztery godziny. Poza tym człowiek poddany działaniu takiego środka nie miewa marzeń sennych. Zresztą budząc się z reguły zapominamy treść snów, a on pamiętał każdy szczegół zaobserwowanej wizji i każde słowo, jakie padło w rozmowie. A zatem - rozumował logicznie - nie mogło to być jakieś widziadło, tylko realne zdarzenie. Manc rzeczywiście nawiązał z nim kontakt. A więc to, co mówił, musiało się zdarzyć naprawdę. Niesamowita historia.

Rozmyślenia przerwał brzęczyk interkomu. Włączył klawisz odbioru. Komputer stacji zameldował, że „Spetakos” podchodzi do lądowania.

O'Pull zastanawiał się, czy powiedzieć o wszystkim Givensowi. W zasadzie nie miał żadnych dowodów na poparcie swoich słów. Ale nawet jeśli uda mu się przekonać Givensa, pozostaną inni - cała ludzkość. A poza tym taka informacja nie miałaby praktycznie żadnego znaczenia, skoro i tak nawiązanie kontaktu - jak mówił Manc - jest nieosiągalne. Może więc lepiej milczeć?

Na ekranach centrali widoczna była sylwetka „Spetakosa”, siadającego nie opodal stacji. Długi, wrzecionowaty kształt dotknął powierzchni planety. W chwilę później, gdy grunt w miejscu lądowiska ostygł już nieco, z wnętrza statku wyjechał łazik. W polu siłowym powstała luka, przez którą pojazd dostał się pod osłonę energetycznego pęcherza.

- Wielkie nieba - przeraził się nagle O'Pull - przecież on natychmiast sobie przypomni, że powinienem jeszcze spać. Łazik stał już w hangarze stacji. Wysiadł z niego Givens, a za nim jeszcze jeden człowiek, w którym O'Pull poznał komandora. Szli prosto do centrali - ich odziane w pomarańczowe kombinezony sylwetki widoczne były na coraz to innym ekranie, w miarę jak zbliżali się do celu. Na powrót do kabiny nie było już czasu. Zresztą, po co ta maskarada? Zaczeka na nich tutaj i

powie wszystko, a potem - niech się dzieje, co chce. Tamci dwaj skręcili w boczny korytarz i po żelaznych stopniach zeszli na najniższą kondygnację stacji.

- Czyżby szli do chłodni?

Wybiegł z centrali i, starając się stąpać jak najciszej, zszedł za nimi. Komandor z Givensem zniknęli w środku. O'Pull bezszelestnie stanął w progu akurat w momencie, gdy ten drugi otworzył właśnie ciężką pokrywę pojemnika i oczom całej trójki ukazała się... pustka.

- Ładne rzeczy - mruknął komandor.

Givens odwrócił się powoli.

- Nic nie rozumiem. - wymamrotał. Przecież sam...

Dostrzegł postać stojącą w drzwiach.

- Co się tutaj dzieje! - krzyknął. - Mów!

- Tylko bez hysterii - głos dowódcy był beznamiętny. - Czy potrafisz to wyjaśnić? - zwrócił się do O'Pulla.

- On odszedł.

- Dokąd?!

- Do NICH.

Cisza, jaka nastąpiła po tych słowach, była tak przeraźliwa, że aż bolesna. O'Pull cofnął się i poczuł pod plecami metalową ścianę korytarza. Givens postąpił krok naprzód.

- Nie zbliżaj się, to nie ma sensu, i tak nic nie zrozumiecie.

- A ty? Zrozumiałeś?

- Powiedziałem ci, żebyś się nie zbliżał. On odszedł dobrowolnie, i ja też odejdę.

- Oszalałeś?

- Chwileczkę wmieszał się komandor jeżeli było tak, jak mówisz, to... Nie mógł przecież odejść zupełnie bez słowa, po prostu wziąć i odejść.

- To właśnie jest jego ostatnie słowo - O'Pull wskazał na pusty pojemnik.

Było w tej scenie coś tak niesamowitego... Korn aż zadrżał.

- Przypuśćmy, że ci wierzę. Że Manc istotnie odszedł. Ale przecież nie mogę pozwolić, abyś ty zrobił to samo. Zastanów się.

- Już się zastanowiłem.

Givens skoczył, - lecz O'Pull był szybszy. Uchylił się w bok i z całych sił wyrzucił napastnika kantem dłoni w kark. Usłyszał za sobą krzyk komandora, ale nie czekał ani chwili dłużej. Wiedział już, co ma robić. Musiał dostać się do hangaru, wziąć łazik i opuścić stację. Był w połowie drogi, gdy w uszach zabrzmiał mu głuchy łoskot. Za następnym zakrętem natknął się na gładką ścianę, przegradzającą korytarz w poprzek. Widocznie komandor dotarł już do centrali i śledząc na ekranach trasę jego ucieczki odgradzał mu drogę hermetycznymi grodziami. Chwilę stał niezdecydowany. Powietrze przeszył drugi trzask; to było gdzieś blisko. Rzucił się wstecz i skręcił w boczny korytarz. Kolejny łoskot. O'Pull znalazł się przy śluzie wyjściowej, osaczony ze wszystkich stron. Każdy korytarz był zamknięty hermetyczną ścianą. Nie miał już żadnej drogi odwrotu, z wyjątkiem jednej. Odbezpieczył mechanizm blokujący wejście do komory ciśnień. Jeszcze kłapa zewnętrzna. Przez moment jakby się zawahał, ale po chwili droga była otwarta. Trująca atmosfera Deneb III wtargnęła do wnętrza śluzy. Poczuł musnięcie wiatru na twarzy i ruszył prosto przed siebie. Biegł lekko, długimi susami, zostawiając ślady na oszronionym gruncie. Spojrzał w dal, gdzie za przymglonym horyzontem oczekiwali go ONI. Potem w dół, gdzie stopy uderzały rytmicznie o powierzchnię planety. Lecz nie dojrzał swoich stóp i wtedy pojął, że TO już się stało.

VI

„Spetakos” mknął, w przestrzeni, wiedziony sygnałem idącym z Axela-156. Z tyłu - za rufą - pozostała, otoczona całunem nieprzeniknionych chmur, trzecia planeta układu Deneb. W kabinie statku siedział tylko jeden człowiek. Ciche buczenie aparatury pokładowej działało uspokajająco, jednak w głowie Givensa myśli kotłowały się jak schwywane w klatkę ptaki. Przebiegał w pamięci wszystko to, co zaszło na powierzchni planety w ciągu ostatnich dwóch godzin. Od momentu, w którym obudził się w centrali stacji, aż do chwili obecnej.

Pierwsze wspomnienie nie było najprzyjemniejsze. Ostry dźwięk sygnału alarmowego zmieszał się z uczuciem bólu, które towarzyszyło powolnemu otwieraniu powiek. Miał wrażenie, że ktoś zasypał mu oczy piaskiem. Pokonując zmęczenie jednym skokiem znalazł się przy pulpicie. Mrugający pomarańczową barwą prostokąt na obudowie bloku logicznego informował, że automatyczny nadzorca stacji ma coś ważnego do powiedzenia. Włączył kanał translatora.

- Szybko! Co się dzieje, do cholery?! - wyrzucił z siebie zdławionym głosem.
- Mam do przekazania materiał nagrany w bloku pamięci przez komandora Korna.
- I do tego jest ci potrzebny sygnał alarmowy, ty dumny automacie?! - zirytował się.
- Wykonuję wszystko zgodnie z programem.

Zdziwienie pojawiło się na twarzy Givensa. Ale trwało to tylko krótką chwilę. Skoro Korn postąpił w ten sposób, widocznie nie było innego wyjścia. A co go do tego skłoniło - na pewno okaże się po odtworzeniu zapisu.

Uruchomił urządzenie pamięciowie. Po ekranie przebiegały błyski, towarzyszyły temu różne dziwne odgłosy. Potem obraz ściemniał, a z głośnika popłynął równy, spokojny głos Korna.

- Wybacz, Givens, że traktuję cię właśnie w ten sposób, ale doskonale znasz moją naturę asekuranta. Lubię się zabezpieczać przed wszystkimi ewentualnymi komplikacjami, nawet tymi, których nie jestem w stanie sobie wyobrazić. Ta cecha pozwoliła mi przez długi czas dowodzić Axelem bez żadnych poważniejszych kłopotów podczas tylu wypraw. Ale nie o tym chciałem tutaj z tobą rozmawiać.

Głos umilkł, przez chwilę słychać było tylko spokojny, równy oddech komandora. Givens siedział w fotelu cały napięty, oczekując na kontynuację tego dziwnego monologu.

- Widzisz, Givens - odezwał się po dłuższej przerwie Korn - Deneb III to nie jest zwykła sobie planeta, jakich poznaliśmy już setki. Dzieje się tu coś dziwnego. Wszystko na to wskazywało od samego początku, tylko my, w swoim zaślepieniu, nie potrafiliśmy tego dostrzec. Wypadek Manca można by odrzucić, gdyby był odosobniony. Rachunek prawdopodobieństwa dopuszcza istnienie pojedynczych odstępstw od praw poznanych przez naukę. Ale zdublowanie się fenomenów, które nastąpiło za sprawą O'Pulla, w połączeniu z innymi anormalnymi zjawiskami, jakie dają się zaobserwować w całym układzie alfy Łabędzia, skłoniły mnie do wniosku, że coś tu nie gra. Zaczęło to do mnie docierać dopiero wtedy, gdy wyruszyliśmy w pościg za O'Pullem, który dosłownie rozplynął się we mgle. Zrobił to tak dokładnie, że nie byliśmy w stanie odnaleźć najmniejszego nawet śladu jego obecności.

Analizowałem te fakty bardzo długo, obracałem je na wszystkie możliwe strony. Nie, Giv, to nie trzymało się kupy! I gdy już miałem tego galimatiasu po dziurki w nosie, przyszło nagłe olśnienie. Nie wiem, co je spowodowało, ale przyszło. W najbardziej odpowiednim momencie.

To nie są żadne cuda! To po prostu logiczna konsekwencja. Potrzeba jest tylko odrobina odwagi, aby uwolnić swoją osobowość. Manc zrobił to przypadkiem, O'Pull pod wpływem nagłego impulsu. Ja - z czystego wyrachowania.

Znowu przerwa. Givens zacisnął zęby, nie czując bólu zgryzionych warg.

- To wariat, kompletny wariat - przebiegło mu przez głowę.
- Zrozum, ja muszę tak postąpić - mówił dalej Korn. - Możesz nazwać mnie dezertorem, zdrajcą, czy

jak sobie chcesz. Nic na to nie poradzę. Całe życie szukałem. Właśnie tego. Jesteś za bardzo człowiekiem, żeby to wszystko pojąć. Nie, nie traktuję cię jak głupca, wcale nie. Tylko za dobrze cię znam. Ty nie potrafiłbyś się wyrzec swojego człowieczeństwa, i to jest w pewnym stopniu jakaś zaleta. Dlatego wiem, że powierzam dowództwo wyprawy właściwej osobie.

Milczenie.

- Moja decyzja jest ostateczna i nieodwołalna - podjął głos komandor. Zabezpieczyłem się. Nie zdołasz przeszkodzić mi w jej realizacji. Przede wszystkim zadbałem o to, abyś się za wcześnie nie obudził. Potem przygotowałem sobie jeden ze stojących w hangarach poduszkowców. Na koniec uruchomiłem system autolikwidacji stacji. Nie było to może potrzebne, ale muszę mieć pewność, że opuściłeś planetę i wrócisz na pokład Axela. System ten, jak o tym dokładnie wiesz, nie może zostać wyłączony, jeśli już raz ktoś się zdecydował na jego uruchomienie. Stacja przestanie istnieć za półtorej godziny. Jest to wystarczający okres, abyś mógł wystartować i wrócić na orbitę. Krótka przerwa, a potem:

- Komandorze Givens, już czas. Nagranie dobiegło końca. To było wszystko.

Cisza i oszałamiające, beznadziejne uczucie pustki w głowie. Cała galeria głupawo mrugających bezmózgich światełek na pulpitych. Siedział w fotelu, nie próbując nawet ruszyć się z miejsca.

- Czas do realizacji programu autolikwidacji siedemdziesiąt dwie minuty - odezwał się metaliczny głos automatu.

- Zamknij pysk, ty durna maszyno! - wrzasnął Givens.

- Polecenie niezrozumiałe. Proszę inaczej sformuł...

Uderzenie pięści w pulpity wyłączyło kanał translatora. W centrali zaległa martwa cisza. Givens z trudnością opanował drżenie rąk.

- Spokój, spokój - powtarzał przez zaciśnięte zęby. Struga zimnego potu spływała mu na twarz.

- Co robić? - myślał gorączkowo. - Co mam teraz robić?

Włączył pamięć komputera, przeszukując błyskawicznie ten okres, kiedy spał. Ale bloki monitronu były wykasowane do czysta. Kompletna pustka.

- Na pewno robota Korna - pomyślał. - Faktycznie zabezpieczył się z każdej strony. Wyzerował całą pamięć, z wyjątkiem własnego nagrania.

Zaczął krążyć nerwowo po centrali zastanawiając się nad sytuacją. O jednym był przekonany w stu procentach. Że na pewno nie uda mu się powstrzymać komandora od realizacji tego, co zamierzał. Bez względu na to, jak groteskowy i absurdalny byłby ten plan. Co on, Givens, powie ludziom po powrocie na pokład Axela? Jak wytłumaczy im zniknięcie dowódcy wyprawy i swoich dwóch towarzyszy z grupy zwiadowczej? Te myśli błędziły mu po głowie także teraz, kiedy od potężnego cielska krążownika dzieliło go zaledwie kilkanaście minut lotu.

Axel-156 był już na optycznej. Wynurzył się z bezdennej czerni milczący i dostoyny. Ozdobiony girlandami świateł pozycyjnych zdawał się swoim istnieniem urągać milczącej znowie gwiazd. Givensowi zrobiło się trochę raźniej. Z czułością niemalże oglądał każdy szczegół ziemskiego kolosa. Był pewien, że dokonał właściwego wyboru. Tu było jego miejsce. Tu, a nie w tym obcym, pełnym niesamowitych pułapek świecie, jaki pozostał za rufą.

Automaty wykonały manewr cumowania i wprowadziły statek zwiadowczy do wnętrza Axela. Givens odczuwał, że hala lądowiska wypełnia się na nowo powietrzem. Nie trwało to długo. Zapłonął zielony sygnał oznajmiając, że można już wychodzić. Jednocześnie do wejścia leżącego w startowym łózysku „Spetakosa” podtoczył się ruchomy trap.

Idąc w stronę szybu komunikacyjnego Givens spotkał paru ludzi z obsługi technicznej.

- Kiedy odlatujemy, komandorze? - zapytał jeden z nich.

Givens wymamrotał coś niewyraźnie i powlókł się ze spuszczoną głową do windy. Przebył sam kilka kondygnacji. Na dziesiątej kabina zatrzymała się z głuchym sapnięciem i do środka wszedł Turley.

- Witam, szefie. Jak się udała przejażdżka?

Givens wzruszył ramionami.

- Słuchaj, Turley. Powiedz mi, kim ja naprawdę jestem.

- Jak to, kto? Komandor Al Givens, dowódca Axela-156.

- A czy pamiętasz, kiedy mnie zobaczyłeś po raz pierwszy?

- W bazie na Ganimedzie, jakieś pół roku przed odlotem z Układu Słonecznego.

- A przedtem nigdy mnie nie spotkałeś? Zastanów się dobrze, to bardzo ważne.

Turley zmarszczył brwi, myśląc intensywnie. Givens pamiętał dokładnie ten charakterystyczny dla niego wyraz twarzy jeszcze ze studenckich czasów. Pojawiał się on zawsze wtedy, gdy wykładowca zadawał im jakiś problem, wymagający dokładnej analizy. Ale od tego czasu dzieliło ich przecież kilkanaście lat, a nie jakieś durne pół roku!

- Nie, na pewno nie spotkaliśmy się wcześniej - oświadczył zdecydowanie Turley.

Givens zadumał się.

- A dlaczego pan pyta, komandorze?

- Nie, nie. Tak tylko... Miałem wrażenie, że gdzieś się już przedtem widzieliśmy.

- Wykluczone - winda zastopowała. - Ja już tutaj - Turley opuścił kabinę. Drzwi zasunęły się i Givens został sam.

- Jeżeli nawet on mnie nie pamięta, to znaczy, że cały świat stanął na głowie - pomyślał.

Wysiadł z windy i poszedł w stronę sterowni. Wszystko wydawało mu się takie dziwne, ściany wibrowały, podłoga falowała jak powierzchnia wzburzonej wody.

- Coś jest ze mną nie tak - przebiegło mu przez głowę.

Zatrzymał się na moment i wykonał kilka głębokich wdechów. Trochę lepiej. Idąc dalej w stronę sterowni minął kabinę dowódcy statku. Na drzwiach dostrzegł tabliczkę z napisem: KOMANDOR GIVENS.

Przystanął. Serce zaczęło mu bić jak oszalałe, oczy zaszyły mgłą. Oparł się ciężko o ścianę.

- Komandorze Givens! Może panu w czymś pomóc? Pan się chyba źle czuje.

Z trudem podniósł powieki. Stał przed nim jakiś człowiek, którego widział po raz pierwszy w życiu. Naszywki na kombinezonie świadczyły jednak o tym, że należał on do załogi krążownika.

- Skąd pan wie, kim ja jestem? - spytał cicho Givens.

- Chyba powinienem wiedzieć, kto jest moim szefem? - odparł tamten lekko zdziwionym głosem. - Czy pomóc panu?

- Nie, nie trzeba.

- Wydawało mi się, że pan jest chory.

- Już mi przechodzi.

- Może wezwać kogoś z bloku medycznego?

- Nie, sam sobie poradzę.

Nieznajomy odszedł. Givens odprowadził go długim spojrzeniem.

- Chyba będę musiał pogodzić się z tym obłędem - pomyślał.

Rzucił okiem na drzwi i jeszcze raz przeczytał wiszącą na nich tabliczkę. Potem wyciągnął rękę w kierunku identyfikatora.

- Ciekawe, czy mnie wpuści? - zastanowił się.

Drzwi rozsunęły się bezgłośnie. Zabłyły lampy, oświetlając silnym strumieniem całą kabinę. Givens chciał wejść do środka, ale po namyśle zrezygnował, skręcając od razu w stronę sterowni. Ogromna sala,

w której schodziły się wszystkie zmysły gwiazdowego kolosa, była pusta. Zajął fotel dowódcy i wywołał główny mózg krążownika.

- Proszę o dane dotyczące stanu załogi i statku.

- Uszkodzenie usunięte, uzupełniony zapas paliwa, możliwość natychmiastowego kontynuowania podróży. Ekipy remontowe ściągnięto już z powrotem. Na pokładzie znajduje się komplet - Givens słuchał tego z wyraźnym zdumieniem na twarzy. Przecież Axel nie miał żadnych uszkodzeń, a zapasy paliwa były nienaruszone. Najbardziej jednak poruszyła go druga część otrzymanego komunikatu. Ta, która mówiła o stanie załogi.

- Nikogo nie brakuje? Na pewno?

- Na pokładzie komplet - powtórzył sztucznym głosem automat.

- Gdzie jest komandor Korn, gdzie Manc i O'Pull?!

Lampki na pulpicie zamigotały bezładnie.

- Brak danych. Osób tych nie ma na liście załogi. Zero.

- Ciebie też udało im się przerobić? - wrzasnął Givens.

- Nie rozumiem. Proszę o powtórzenie pytania.

Trzasnął ręką w wyłącznik i opadł na fotel. Wszyscy dali się oszukać: ludzie, maszyny. Trzech członków załogi przepadło bezpowrotnie i nikt nawet tego nie zauważył.

- Komplet na pokładzie, brak danych... - mamrotał bezładnie. Ogarnął go gniew - tym większy, że bezsilny. Wzrok zwrócił w stronę głównego ekranu, na którym widniała biała kula Deneb III.

- Pokonałaś mnie - wyszeptał. - Przewidziałaś wszystko na wiele posunięć naprzód. Każdy szczegół twojego planu idealnie pasuje do innych fragmentów układanki. - Wpatrywał się z nienawiścią w obraz planety. - Dlaczego to zrobiłaś? - krzyknął nagle. - Odpowiedz!!

Cisza.

Jednym uderzeniem zerwał bezpieczniki i przesunął dźwignię. Statek wypełnił się jękiem syren, zamigotał sygnał alarmu bojowego.

Pewnym ruchem naprowadził celownik miotacza antymaterii. Na ekranie biała kula przecięta została siatką krzyża nitek. Lecz nim palec zdążył zbliżyć się do czerwonego guzika, obraz planety zafalował i tam, gdzie przed chwilą widniał potężny glob, była już tylko nieskazitelna pustka kosmosu.

Marek Hemmerling - Droga

I

Słońce przygrzewało coraz mocniej. Cornick przewrócił się na plecy. Pogodne niebo nachylało się nad nim, wlewając nieruchome piękno w duszę patrzącego. Uczucie lekkości śpiewało w sercu mężczyzny. Byłoby wspaniale tak leżeć i nie myśleć o niczym, ale niestety czas się kończył.

Wstał leniwie i podszedł do samochodu stojącego na poboczu drogi. Wóz nie wyglądał najlepiej, ale jeździł - i to na razie musiało wystarczyć. Z czasem może uda się zdobyć coś lepszego. Ruszył powoli, wsłuchując się w pracę silnika. Chodził równo, chociaż można było wyczuć pewne opory.

- Niedługo pociągnie, ale nie ma tu na co czekać. Może gdzieś dalej uda mi się zorganizować jakiś serwis.

Droga była wąska i roilo się w niej od dziur. Trzeba dużej zręczności, żeby nie zostawić koła w którejś z nich. Ale bywało przecież gorzej. Przypomniawszy sobie drogi, po których jechał kiedyś z ojcem, matką i siostrą. Były to normalne polne drogi z koleinami, a wóz ciągnęła para starych, zabiedzonych chabet. Wtedy nawet w snach nie widział takich samochodów jak ten, który teraz prowadził.

Z zamyślenia wyrwało go głośnie trąbienie. Spojrzał w lusterko i zobaczył faceta na motorze. Twarzy nie mógł dostrzec - była zasłonięta ciemną szybą. Z zachowania motocyklisty wynikało, że bardzo się śpieszy i chętnie wyminąłby samochód, ale nie ma na to miejsca. Cornick zboczył nieco, motocyklista dodał gazu i tyle było go widać.

- Właściwie po co się taki facet śpieszy - zastanawiał się. - Ojciec mój mawiał często: „Spiesz się powoli, zawsze zdążysz na swój pogrzeb”, i zdążył nieborak, niestety.

Ogarnęła go fala wspomnień. Śmierć ojca. Tak niedawna, a jaki ten obraz zamazany w jego świadomości. Pamiętał mgliście, że ojciec wziął na wóz jakiegoś faceta, który szedł sobie drogą. Potem cała rodzina rozbiła namiot na noc, a rankiem nie było ani wozu, ani siostry. Uciekła z przybłądą, pozostawiając rodzinę bez możliwości poruszania się. Ojciec nie przeżył tego ciosu. Zmarł w kilka dni potem. Był już stary, wóz stanowił wszystko, co posiadali. Matka została przy grobie. Cornick ruszył na pieszą tułaczkę obiecując sobie, że nigdy nie weźmie przygodnego pasażera, jeśli będzie kiedykolwiek posiadać wóz.

Wędrował długo. Często głodował, ale do tego był już przyzwyczajony w dzieciństwie. Stracił rachubę dni. Nocował gdzie się dało. Zimą przesiedział w przydrożnym zajeździe jako chłopiec do wszystkiego. Pracował za kąt do spania i miskę stawy. A z wiosną opuścił gospodę na podarowanym przez właściciela, rozpadającym się rowerze.

Potem zaczęło się normalne życie. Posuwał się cały czas przed siebie. Zmieniały się drogi, krajobrazy, ludzie których spotykał. Wszystko to zlało się w jeden ciąg, z którego nie można już było wziąć pod lupę wspomnień żadnego fragmentu. Z czasem rower został zastąpiony przez jakiś stary, ledwo ciągnący się gruchot na czterech kółkach. Potem przyszły inne samochody. Dorabiał się powoli, ale systematycznie. I, wierny raz powziętej decyzji, nigdy nie wpuszczał do środka przygodnych pasażerów. Pamiętał doskonale, jak oszukano jego ojca i wolał podróżować sam, nie dowierzając nikomu.

Poczuł nagłe szarpnięcie kierownicą. Pogrążony we wspomnieniach nie zauważył leżącego na drodze kamienia. Na szczęście samochód trzymał się dzielnie. Cornick spojrzawszy przed siebie i z zadowoleniem stwierdził, że kilkaset metrów dalej droga rozszerzała się i była wyraźnie lepsza.

- Widocznie położono nową nawierzchnię - pomyślał. - Będzie można zwiększyć tempo. Wlokłem się dotąd niesamowicie. Wjechał na ten lepszy odcinek i dodał gazu. Samochód poszedł jak burza. Cornick poklepał czule kierownicę.

- Robi, co może - mruknął. - Szkoda będzie rozstać się z tym pudłem, ale nie ma innej rady. Przy najbliższej okazji spróbuje go komuś upchnąć i wykombinować inny środek lokomocji. Minął autobus, potem dwie ciężarówki. W lusterku zauważył czarny wóz jadący w dość znacznej, ale stałej odległości. Nie zwracał jednak na niego uwagi. Upajała go sama jazda. Nareszcie coś, na co czekał od dłuższego czasu. Poczciwa droga, bez specjalnych przeszkód i utrudnień. Jechało się po niej szybko i gładko. Czego więcej potrzeba? Po jakimś czasie zza kolejnego zakrętu wyłoniło się rozdroże. Stanął niezdecydowany. Którą z dwóch możliwości wybrać? Obie były podobne do siebie, ale każda wiodła w innym kierunku.

- Masz ci los. Którędy jechać dalej?

Czarny wóz, pędzący dotychczas z tyłu, minął go i skręcił w lewo. Cornick, olśniony nagłą decyzją, ruszył za nim.

Ten chyba wie, co robi. Nie zastanawiał się przecież ani chwili, więc najwidoczniej jest dobrze zorientowany i można mu zaufać.

Dodał gazu i zbliżył się do czarnego samochodu na tyle, że dostrzegł wyraźnie sylwetki siedzących w nim ludzi. Było ich czterech. Czterech mężczyzn, zwyczajnych jak wszyscy. Chwilę ich obserwował, a potem dał spokój, cóż oni mogą go obchodzić? Maję swoje sprawy - podobnie jak on - a to, że jadą akurat tą samą drogą... Zwyczajne zrządenie losu.

Czarny wóz zwolnił. Cornick, nie zastanawiając się, dodał gazu, wyprzedził. Ale po chwili zorientował się, że tamci go gonią.

- Wyścigów im się zachciało - pomyślał. - Dobra, możemy się zabawić.

Jazda stawała się coraz szybsza. Czarny następował Cornickowi na pięty, ale ten nie rezygnował. Brał zakręty jeden po drugim, na prostych wyciskał całą moc z silnika. Zaczynało mu się to coraz bardziej podobać.

Kolejny wiraż. Cornicka zarzuciło na zewnątrz. Czarny wszedł po krótszym łuku i wypadli na prostą „łeb w łeb”. Cornick dostrzegł twarz swojego rywala przy kierownicy tamtego wozu. Była nieruchoma, ale zdradzała wewnętrzne napięcie. W tej samej chwili poczuł, że jest spychany na pobocze. Próbował kontrować, lecz tamten miał większą masę. Jeszcze jedno zdecydowane szturchnięcie i świat wywinął kozła.

II

Odzyskał przytomność w jakiejś chacie. Po izbie krzątał się starzec, zdaje się pitrasił też coś na piecu. Gdy zauważył, że Cornick otworzył oczy, podszedł bliżej.

- Zbudziłeś się, nieboraku - powiedział skrzypiącym głosem. - A już zaczynałem się obawiać, że coś jest nie w porządku. Spałeś całe dwie doby.

- Jak się tu znalazłem?

- Normalnie. Wracam wieczorkiem ze spaceru i widzę rozbity samochód. Podchodzę bliżej, patrzę, leży biedaczysko w środku. Zalany krwią, ale dycha jeszcze, więc wywlokłem cię z tego wraka, przyniosłem tu i opatrzyłem.

Cornick dotknął głowy. Ręka trafiła na grubą warstwę bandaża.

- Nieźle mnie urządzili - pomyślał, a głośno dodał: - Dziękuję dziadku. Gdyby nie...

- Dobra, dobra - stary machnął ręką i podreptał w głąb izby. - Zjesz coś, nieboraku?

- Pić mi się chce.

- Zaraz będzie rosół, to i pojesz, i popijesz.

Cornick spróbował się podnieść, ale natychmiast opadł z powrotem na poduszki.

- Widzicie go, jaki szybki - gderał stary. - Ledwo cię kostucha odstała, a już byś chciał gnać dalej.

Przyhamuj z lekka. Pośpiech jest wskazany przy łapaniu pcheł. I tak pogadując krzątał się po izbie, szykując posiłek. Cornick przymknął oczy. Był wyczerpany - czuł to wyraźnie. Słowa starego ledwie do niego docierały. Zastanawiał się, dlaczego oni to zrobili, ale niczego sensownego nie mógł wykonypować. O co im chodziło? W czym im zawinił? Jechał przecież najzupełniej poprawnie.

Rozmyślenia przerwał mu starzec. Postawił obok niego miskę z rosółem i przysiadł na brzegu łóżka.

- Jak ci na imię? - spytał.

Otrzymał odpowiedź zgłuszoną odgłosem przełykanego rosółu.

- A mnie zwali Teodorem. Ale to było dawno, kiedy jeszcze wędrowałem. Potem zabrakło sił. Nie te lata. Zatrzymałem się więc w tym miejscu i zacząłem sobie sam gospodarzyć.

- Kto stoi w miejscu, ten się cofa - zauważył Cornick.

- Mnie tam już wszystko jedno. - Starzec uśmiechnął się dobrodusznie - swoją drogę przeszedłem, i tutaj jej kres. Nie tęsknię za niczym. Ale tyś młody, i pewnie głowę masz gorącą, mimo że trochę podziurawioną.

- A co innego miałbym robić? Ciągnie mnie takie życie. Zresztą, nie tylko ja...

- Racja, racja - teraz wszyscy tacy. Pędzą i pędzą, i tylko patrzą, jak tu najkrótszą drogą dotrzeć do celu. Dziwny świat. Nie na moje nerwy, o nie. Dawniej ludzie byli inni. Też jechali, ale nie tak jak teraz. Jeden patrzy na drugiego wilkiem. A przedtem ludziska się znali i trzymali razem, i drogi były inne, i koń wystarczył. Ech, dziwny świat, głupi.

- Dlaczego głupi?

- Bo wszyscy powariowali. Spieszą się, nigdzie miejsca nie zagrzeją.

- Chcą, żeby im było lepiej, łatwiej...

- Iiii tam, gadanie - machnął ręką stary. - Każdemu się wydaje, że tam, gdzie go jeszcze nie było, jest jakieś „niewiadomoco”, które trzeba zobaczyć, dotknąć, posmakować. Jak będziesz miał moje lata, sam to pojmiesz.

Cornick wzruszył ramionami. Gada i gada. Poczul, że chce mu się spać. Ożywcze ciepło rozchodziło się po całym ciele napełniając umysł błogim lenistwem.

Spał niespokojnie, zrywając się co jakiś czas. Mamrotał przy tym słowa bez związku. Miał gorączkę, ale do rana wszystko mu przeszło i obudził się jak nowo narodzony.

- Widzę po twoich oczach, że wracasz do zdrowia - powitał go starzec. - Chodź, sprawdzimy co z twą głową.

Rana zasklepiła się szybko. Można było już zdjąć opatrunek.

- Goi się jak na psie - stwierdził z zadowoleniem Teodor. - Masz zdrowie, synku. Zdrowie i kupę szczęścia.

- Że mnie znaleźliście, dziadku?

- Że masz czaszkę twardszą od drewna, barani łbie. Szybko się wyłizesz, ale możesz zostać u mnie, jak długo będziesz chciał.

- Pójdę dalej.

- Pieszko?

- Trudno. Na razie pieszo. Potem zobaczę.

- Jesteś taki sam, jak całe to zwariowane pokolenie. Ale nie możesz iść tak zaraz. Poczekaj, aż nabierzesz sił. Chociaż parę dni, bo inaczej daleko nie zajdziesz. Zasłabniesz jeszcze przy drodze i nikt cię nawet nie zauważy. Dni mijały. Cornick czuł się coraz lepiej i coraz bardziej chciał wracać na szlak. W rozmowach z Teodorem często o tym wspominał, ale stary tylko machał ręką.

- Jeszcze całkiem nie wydobrażał, więc mi się tu nie wymądrzaj - powtarzał.

Wiele rozmawiali ze sobą. O życiu, drodze, ludziach. Stary opowiadał, że gdzieś daleko jest miejsce, do którego wszyscy zdążają. Nazywał to Autostrada. Cornick po raz pierwszy w życiu słyszał o czymś takim. Był strasznie ciekaw, jak to może wyglądać, i koniecznie chciał wiedzieć, którędy się tam dostać.

- Widzę, że nie wybije ci tego z głowy, synku. Ale nie będę zabraniać, choć cię polubiłem. Hm, Autostrada. Nic dobrego tam nikogo nie spotyka. Przekonaj się sam, jeśli nie wierzysz staremu. Znałem takich, co wyruszyli i nigdy nie wrócili.

- Po co mieliby wracać, jeśli im tam dobrze?

- Co to znaczy: „dobrze”? Mnie jest dobrze tutaj. Jestem szczęśliwy, że nie muszę nigdzie gnać na złamanie karku, że mam czas na rozmyślania o tym, co przeżyłem. Jestem prostym człowiekiem i nie potrafię mądrze mówić, ale czuję to doskonale. A ty, jeśli chcesz, pędź z innymi. Nie będziesz mógł nawet obejrzeć się za siebie. Ale to już tylko twoja sprawa.

III

Trzy dni minęły od czasu, jak Cornick opuścił gościnną chatkę Teodora, zaopatrzonego w żywność i dobre rady. Stary do końca gderał i złorzeczył, ale pożegnał go serdecznie. Wiedział, że nie wytłumaczy gorącej głowie swoich racji, bo do tych prawd każdy człowiek dochodzi sam i nie ma na to innego sposobu.

Chwilowo jednak Cornick dochodził nie do prawd, lecz do wspaniałego, sportowego wozu, który stał w środku drogi. Najwidoczniej coś nawaliło, a właściciel nie mógł dać sobie z tym rady.

- Ładna maszynka - ocenił Cornick. - Takim można gnać nawet i na koniec świata.

Podszedł bliżej i zauważył, że lewe tylne koło zamieniło się w bezkształtny kapeć, a w środku wozu siedzi kobieta z niewyraźną miną. Skinął głową na powitanie. Ona opuściła szybę i chwilę mu się przyglądała.

- Potrafi pan to naprawić?

- To zależy. Z klejeniem mogłyby być kłopoty, ale jeśli znajdzie się zapasowe koło, to nie ma sprawy.

- Świetnie - ucieszyła się kobieta. - Nazywam się Ivory - wyciągnęła rękę na powitanie. Cornick przedstawił się i uścisnął jej dłoń.

- Stercę tu już pół dnia i nikt nie chce się zatrzymać - szczebiotała. - Będę ci bardzo wdzięczna, jak mi pomożesz.

Cornick przyjrzał się jej uważnie. Była na pewno starsza od niego i do tego brzydka, ale zachowała jeszcze figurę i poruszała się energicznie.

- Zapasowe koło jest w bagażniku - Ivory podała mu kluczyki.

Z wymianą poszło gładko. Cornick wycierał właśnie pobrudzone ręce w jakąś szmatę, a ona stała oparta o maskę wozu. Taksowali się spojrzeniami. Wreszcie Ivory wsiadła do środka, zostawiając miejsce przy kierownicy wolne.

- Pakuj się szybciej - wskazała ruchem głowy pusty fotel.

Posłuchał jej i wsiadł.

- Jedziemy? - spytał.

Uśmiechnęła się, odsłaniając dwa rzędy równych, białych zębów.

- A masz coś przeciwko temu?

Bez słowa uruchomił silnik i ruszył, aż zapiszczały opony. Przyspieszenie wgniotło go w fotel.

- Świetnie ciągnie - stwierdził w duchu.

Pokonywali drogę. Opowiedział jej, co mu się przytrafiło, a ona też uraczyła go historią swojego życia. Była córką bogatego faceta i wiodło jej się aż do obrzydzenia dobrze. Miała kiedyś męża, który

zginął w wypadku. Ostatnio jeździła bez celu. Raz nawet próbowała poruszać się pod prąd, ale szybko wybito jej to z głowy. W końcu co za sens sprzeciwiać się ogólnie przyjętym normom.

- Chciałam się cofnąć, ale napotkałam na całą masę trudności. Nie pozostało mi nic innego, jak podporządkować się. No i jestem tutaj.

Cornick dziwił się jej.

- Też pomysły. Jazda w przeciwną stronę. Mnie by nigdy coś takiego nie przyszło do głowy.

Chwilę milczał.

- Wiesz, nie mogę zrozumieć jednej rzeczy - podjął po jakimś czasie. - Dlaczego oni mnie zaatakowali? W czym ja im przeszkadzałam? Męczą mnie to od chwili, gdy odzyskałam przytomność.

Roześmiała się.

- Jaki ty jesteś jeszcze dziecinny. Nie rozumiesz takich prostych rzeczy. Tylko się nie obrażaj...

- Nie obrażam się. Chcę zrozumieć... dlaczego?

- Musiałeś się komuś narazić. Istnieją grupy kontrolujące niektóre odcinki dróg i dopuszczające tam tylko swoich ludzi.

- Co to za grupy?

- Gangi, mafie, co tylko chcesz. Nie słyszałeś nigdy o tym? Gdzieś ty się uchowal?

- Na prowincji - Cornick ponuro zwiesił głowę.

- Wdepnąłeś chyba tam, gdzie cię nie potrzebowano. Pewnie próbowałeś być lepszy od nich, i to wszystko.

- Mogli mnie przecież zabić! - zauważył z oburzeniem.

Skwitowała to machnięciem ręki.

- Nie bądź śmieszny. Co znaczy jedno życie wobec całej tej olbrzymiej maszyny, jaką jest świat. Dokładnie nic. Zero. Absolutna pustka.

- To przecież niezgodne z prawem. Każdemu wolno jeździć tam, gdzie mu się podoba.

- Prawo zostaw prawnikom, a życie ludziom.

Poddał się. Niestety Ivory miała rację. Wiedział o tym, choć jednocześnie czuł, że tak być nie powinno. Na wszelki wypadek zmienił temat rozmowy.

- Słyszałaś coś o Autostradzie? - spytał.

- Słyszałam, a nawet byłam bardzo blisko tego miejsca.

- Chciałbym tam dotrzeć.

- Czemu nie. Wiem, że o tym wszyscy marzą, ale nie wszystkim się to udaje. Dostać się tam, to wielka sztuka.

- Mimo to muszę spróbować.

- Pamiętaj tylko, że jak już raz tam wpadniesz, nie będziesz miał odwrotu.

Mijali właśnie jakieś miasto. Cornick widział różne drogowskazy i trasy rozchodzące się we wszystkie strony.

- Którędy jechać?

- Nigdy nie wiadomo, która droga prowadzi do celu - odparła Ivory. - Niektóre kończą się nagle w szczerym polu, inne mogą cię doprowadzić do miejsca w którym byłeś już wiele lat przedtem. Czasem ludzie krążą w kółko przez całe życie i nie mogą się nigdzie wyrwać, choć zdaje im się, że poruszają się do przodu.

Krążyli po uliczkach miasta. Wreszcie Cornick podjął decyzję. Wybrał trasę i nie oglądając się już ani razu pognął przed siebie.

Zauważył wkrótce, że droga jest z każdym kilometrem lepsza - była tam szersza i miała gładszą powierzchnię. Zapadł już zmierzch. Ivory poczuła zmęczenie i prosiła, żeby się gdzieś zatrzymać na noc.

Po kilku kilometrach trafiła się wygodna zatoczka. Coś w rodzaju parkingu. Był nawet stół i ławki, pod daszkiem wspartym na palach. Idealne miejsce na nocleg.

Ivory wydobyła z bagażnika zapasy i przygotowała zaimprovizowaną kolację. Jedli w milczeniu. Cornick czuł jakieś bóle czaszki.

- Widocznie rana jeszcze się dokładnie nie wygoiła - pomyślał. Szybko skończył jeść i poszedł do wozu. Rozłożył swój fotel, rzucił na wierzch gruby koc i wyciągnął się wygodnie. Znużenie dało znać o sobie. Sprawiało mu przyjemność takie zmęczenie po ciężkim dniu.

Kątem oka dostrzegł, że Ivory weszła do środka i ułożyła się na drugim fotelu. Usłyszał w ciemności jej głos:

- Śpisz?

- Nie, myślę.

- O czym?

- O moim życiu.

- Daj spokój teraz takim myślom.

- Dlaczego?

Poczuł jej oddech na swojej twarzy. Objęła go i pocałowała w usta.

- Czy masz coś przeciwko temu? - spytała.

W milczeniu oddał pocałunek.

IV

Ruszyli w dalszą drogę zaraz po śniadaniu. Pogoda popsuła się. Cornick musiał uważnie prowadzić, bo szosa pokryła się w nocy śliską warstwą szronu. Rozmawiali niewiele. Cornick ciągle jeszcze był zbyt zafascynowany klasą wozu, a Ivory nie miała ochoty na pogawędkę. Jechali więc w milczeniu, wyprzedzając pojazdy. Mimo wczesnej pory był spory ruch. Kilka razy napotkali na świeże wraki. Krzątała się przy nich służba porządkowa. Cornick nie przejmował się takimi rzeczami. Według niego było to zwyczajne życiowe ryzyko, które każdy człowiek bierze na siebie w momencie przyjscia na świat.

Przejeżdżali akurat przez długi zakręt rozciągnięty nad skrajem sporej przepaści. Widok był tak niezwykły, że Ivory poprosiła, aby zatrzymali się na chwilę. Oparta o barierkę spoglądała w dół na groźne w swej wymowie piękno natury. Groźne i monumentalne.

Cornick nie dał się namówić na podziwianie widoków. W momencie kiedy Ivory pogrążona w kontemplacji zapomniała o całym świecie, przebiegła mu przez głowę szybka myśl. Nie zastanawiając się włączył silnik i wyrwał gwałtownie do przodu. Zauważył jeszcze w lusterku postać dziewczyny, która biegła środkiem drogi i wymachiwała rękami.

Odetchnął z ulgą. Pozbył się wreszcie zbędnego balastu. Został panem sytuacji. Była to normalna kradzież, ale nie przejmował się. Zastosował po prostu prawa obowiązujące w dżungli, w której przyszło mu żyć. A prawo to mówiło, że tylko silniejszy i sprytniejszy ma szansę przetrwania i wygrania swojej sprawy.

Po paru godzinach jazdy natknął się na drogowskaz. Był stary i zmurszały, ale napis na nim zelektryzował Cornicka. Zatrzymał wóz, wysiadł i przeczytał uważnie - raz drugi, dziesiąty. Na desce białą farbą wymalowane było słowo: „Autostrada”, i niewielka ilość kilometrów dzieląca go od tego miejsca.

Robiło mu się na przemian zimno i gorąco. Usiadł, opierając się plecami o drogowskaz. Nie mógł uwierzyć, że to wszystko jest takie proste. Wystarczy wsiąść do wozu i po godzinie znajdzie się w miejscu, ku któremu dążył przez całe życie. Nawet kiedy nie wiedział jeszcze dokładnie o co chodzi, wyczuwał to podświadomie. Szukał tego miejsca od chwili, gdy opuściwszy matkę zaczął pokonywać

szlak na swój własny rachunek, i oto teraz, stało się.

Skoczył na równe nogi i jeszcze raz przebiegł oczami napis na drogowskazie. Bał się, że to może złudzenie. Ale napis pozostał taki, jakim go ujrzał w pierwszej chwili.

- To nie sen - mówił na głos, a łzy ściekały mu po twarzy.

Nie czekał dłużej. Wóz runął naprzód. Zakręty, drzewa, pobocze... Wszystko to zlało się w jedno migotliwe pasmo. Pęd maszyny upajał. Być tam, zaraz, natychmiast, już! Nie dać się wyprzedzić innym. Nie marnować więcej czasu na tych peryferyjnych drogach. On - Cornick - był urodzony do wyższych celów, i z każdym przebytym kilometrem pewnośc tego faktu rosła w jego duszy.

W godzinę później z lekką obawą wjechał na skrajny pas Autostrady. Sunął powoli rozglądając się uważnie na boki.

- A więc to tak wygląda - myślał.

Przyśpieszył, zjeżdżając coraz bliżej środkowego pasa. Tempo rosło. Dostrzegł inne wozy, jadące w tym samym kierunku.

- Tylko nie dać się zepchnąć na boczny tor.

Włączył się w sznur maszyn. Pęd niósł ich wszystkich wspaniałą szeroką linią autostrady. Silniki pracowały na najwyższych obrotach. Ludzie w skupieniu i z uwagą trzymali kierownice. Wspaniała nawierzchnia, równa i gładka jak lustrzana tafla. Migające krajobrazy, którym nie było nawet czasu się przyjrzeć. Tempo, tempo, wciąż szybciej, coraz szybciej - jakby demon pędu opanował ich wszystkich, zespolił z maszynami i kazał mknąć przed siebie.

Marek Hemmerling - W Poszukiwaniu Własnego Końca

I

Łoskot maszyny do pisania rozlegał się w całym mieszkaniu. Pochylony nad stołem Charles tłuł zawzięcie w klawisze, chwilami przestawał, siedział zamyślony przez kilkanaście sekund, po czym rozpoczynał pracę z nową pasją. Miał właśnie na rozkładzie swój najnowszy kryminał i spieszył się bardzo, żeby oddać go w terminie do wydawnictwa. Wprawdzie jeszcze nie ustalił, komu powierzy zamordowanie starszej pani, i to go trochę niepokoiło, ale postanowił zostawić rozwiązanie tego problemu na później. Nie ma sobie co zawracać głowy drobiazgami. Musi odwalić ten kryminał w ciągu tygodnia, a potem zabrać się za scenariusz komedii, który podrzucili mu wczoraj ze studia telewizyjnego. Reżyser domaga się kilku zmian, więc dlaczego miałby odmawiać? Klient nasz pan - byle płacił!

Poczuł nagle ból w krzyżu i przerwał pisanie, żeby zrobić sobie drinka. Wstając potknął się o rozłożony na podłodze tom kryminalistyki i stertę papieru maszynowego. Zaklął brzydko i poszedł do barku okrężną drogą.

Mieszając whisky z wodą spojrzął na chwilę w lustro. W pierwszym momencie nie bardzo mógł się zorientować, kogo ma przed sobą. Dopiero po chwili zrozumiał, że sprawił to trzydniowy zarost. Potarł ręką podbródek - drapało.

- Cholera, człowiek nawet nie ma czasu się ogolić, a co dopiero mówić o normalnym życiu.

Zatęsknił nagle do ciepłych kapci, domowych obiadów i małego berbecia, który byłby jego osobistym wkładem w rozwój cywilizacji. Jakoś nigdy przedtem o tym nie myślał. Ale teraz? Ma już trzydziestkę na karku i chyba wypadałoby zacząć żyć jak człowiek. Zawsze odkładał to na później, kiedy zdobędzie jakąś pozycję, stały dochód, czy coś w tym rodzaju, i nagle dotarło do niego, że zmarnował swój czas na pisanie szablonowych historyjek, tandetnych bzdurek do jednorazowego użytku. A przecież kiedyś jeszcze czuł w sobie potężną siłę, która przelana na papier powiedziała by ludziom całą prawdę o życiu i o nich samych. Ech, by to szlag...!

Połknął zawartość szklanki jednym haustem i przygotował sobie drugą porcję. Gdy wracał do maszyny, rozdzwonił się telefon. Zły, że przeszkadzają mu właśnie teraz, podniósł słuchawkę. Aż skulił się, usłyszawszy w niej głos naczelnego z wydawnictwa:

- Słuchaj, Charles! Co ty za bzdury mi tu wczoraj przyniosłeś? To ma być problemowa powieść współczesna? Niech skonam! Wydawało mi się, że czytam jakieś ckliwe romansidło!

- Chodzi panu zapewne o „Zamglony świt”?

- Nie wiem, czy jest zamglony, czy przymglony, w każdym razie na pewno beznadziejny. Ja tego nie wydam i mam nadzieję, że nikomu nie uda ci się wcisnąć takiego grafomaństwa.

Charles usłyszał trzask rzuconej na widełki słuchawki. Chwilę jeszcze odczekał, w końcu wzruszył ramionami. Pisał tamtą rzecz przez pół roku i nie miał wcale zamiaru rezygnować z otrzymania honorarium za swoją pracę. Było mu naprawdę obojętne, z jakiej puli je otrzyma. Ważne, żeby odpowiednia suma pieniędzy wpłynęła na jego konto w banku. Poza tym, to jest naprawdę niezła powieść i tylko bałwan może tego nie zauważyć.

Telefon naczelnego przypomniał mu o paru pilnych sprawach. Postanowił zadzwonić do studia radiowego i upomnieć się o należność za dwa słuchowiska, które były emitowane w zeszłym tygodniu. Z trudem znalazł notatnik, potem numer telefonu i dodzwonił się do szefa rozgłośni. Nie zastał go w pracy,

dostał jednak jego numer domowy i tam udało mu się złapać faceta.

- Dobry wieczór panu, mówi Charles Robson. Dzwonię w sprawie honorarium za...

- Tak, tak, pamiętam pana, oczywiście. Jutro otrzyma pan gotówkę zgodnie z podpisaną przez nas umową.

- To świetnie. Chciałbym jeszcze zapytać, co z tym trzecim słuchowiskiem?

- Mamy chwilowe kłopoty z obsadą, ale będzie na dniach realizowane. Niech pan sobie już nie zaprzęta tym głowy.

- Tak. Tylko, widzi pan, chodzi o pieniądze. Miałem ostatnio trochę wydatków i... - Charles zawiesił głos.

- W zasadzie pieniądze wypłacamy dopiero po emisji - szef rozgłośni zastanawiał się przez chwilę - ale niech pan będzie uprzejmy zadzwonić do mnie jutro w godzinach pracy. Będę w biurze. Dobrze?

- Bardzo byłbym panu wdzięczny.

- Cała przyjemność po naszej stronie.

Charles odłożył słuchawkę. Miło jest porozmawiać chwilę z kulturalnym człowiekiem. To nastraja optymistycznie do dalszej pracy.

Wśród walających się na stole szpargałów znalazł paczkę papierosów. Była pusta. Wrzucił zmiętą do kosza i wyruszył na poszukiwanie nowej. Odkrył ją w szufladzie biurka. Nagle coś mu wpadło do głowy. Podszedł do regałów z książkami i wydobył stamtąd na światło dzienne encyklopedię. Wertował uważnie opasłe tomisko przez kilka minut, po czym z nową pasją zasiadł do maszyny. Akcja pisanego kryminału ułożyła mu się przejrzyście, pozostawało tylko przelać ją na papier.

Przy końcu rozdziału na nowo rozdzwonił się telefon.

- Cześć stary? Brian z tej strony. Nie przeszkadzam ci przypadkiem? - rozległo się w słuchawce.

- Przeszkadzasz, jak zwykle zresztą - warknął Charles zrezygnowanym tonem. Brian był jego przyjacielem jeszcze ze szkolnej ławy. Razem udało im się skończyć „dziennikarkę” i nawet jakiś czas pracowali wspólnie w prowincjonalnej szmacie. Potem Charles przerwucił się na pisanie powieściidel najróżniejszego rodzaju, Brian natomiast dostał pracę w redakcji poważnego tygodnika o sporym nakładzie. Spotykali się od czasu do czasu, aby odkurzyć wspomnienia lub zasięgnąć opinii drugiego w jakiejś palącej kwestii.

- Mam dla ciebie bombę o nieprawdopodobnym ładunku - mówił Brian. - Wpadło mi to w ręce zupełnie przypadkowo. Dzisiaj rano.

- Niby co? - domagał się wyjaśnień Charles.

- Książka. Autentyczna starość. Ma, tak na oko, jakąś setkę lat. Wpadnij do mnie, to obejrzysz sobie wszystko dokładnie. Niesamowita sprawa.

- Może byś lepiej poszedł z tym do antykwariatu - zaproponował delikatnie Charles. - Wiesz, że mnie ze staroci interesują tylko wina.

- Nie pleć bzdur. Wsiadaj w samochód i przyjeżdżaj.

- Akurat mam trochę pracy - Charles próbował tłumaczyć się, chociaż z góry znał odpowiedź przyjaciela.

- W takim razie będę u ciebie za pół godziny.

Charles zastanawiał się przez chwilę.

- Czy nie można by z tą sensacją poczekać do kolacji? - zapytał.

- Nawet nie wiesz, ile tracisz - z żalem stwierdził Brian. - No, ale w końcu to twoja sprawa. Słuchaj, czy miałeś może siostrę, która zmarła dość dawno temu, jeszcze zanim zaczęła chodzić do szkoły?

Charles ze zdumienia omal nie upuścił słuchawki. Owszem, miał przyrodnie siostrę. Zmarła na jakieś paskudne choróbsko. Ale było to tak odległe w czasie, że nawet tego nie pamiętał. Wiedział tylko o jej

istnieniu od ojca, który pokazywał mu kiedyś kilka fotografii z dawnych lat. Charles zresztą nigdy nikomu o siostrze nie wspominał, bo i po co?

- Skąd ty o tym wiesz? - spytał wreszcie, gdy otrząsnął się ze zdumienia.

- To jest właśnie fragment tej sensacji. Mam nadzieję, że teraz rzucisz wszystko i przyjedziesz do mnie.

Charles zaczął się wykręcać i dopytywać, o co właściwie przyjacielowi chodzi, Brian jednak uparcie powtarzał, że wyjaśni całą sprawę w bezpośredniej rozmowie.

- Przez telefon i tak ci wszystkiego nie wytłumaczę. To trzeba zobaczyć - mówił, i nic więcej nie udało się z niego wydobyć.

Efektom tej telefonicznej dyskusji było kompletne wybicie Charlesa z nastroju pracy twórczej. Natchnienie prysło; nie mógł nawet spojrzeć na stół z maszyną do pisania. Rad nierad powiedział więc przyjacielowi, że będzie u niego w ciągu najbliższej godziny, mimo iż wcale nie jest mu to na rękę. Potem ogolił się starannie, przebrał w coś świeżego i opuścił mieszkanie trzaskając drzwiami.

II

Zły trochę na siebie, że dał się oderwać od pilnej, bądź co bądź pracy, jechał ulicami miasta, klnąc na czym świat stoi motoryzację z jej korkami, czerwonymi światłami i całą resztą. Stał właśnie od pięciu minut w szeregu trąbiących aut, paląc papierosa i oczekując, aż to wszystko ruszy do przodu. Czasami żałował, że nie ma w domu roweru, tylko to czterokołowe pudło.

Wydawało mu się, że minęła cała wieczność, nim dotarł do dzielnicy, w której mieszkał Brian. Po chwili dzwonił już do mieszkania na 42-gim piętrze, marząc o wygodnym fotelu i lampce dobrego wina.

Jakoż po chwili jego pragnienia zostały zaspokojone i czekał teraz, obracając papierosa w palcach, na pierwsze słowa przyjaciela, który z wyrazem zaaferowania na twarzy siedział po przeciwnej stronie stołu, nie bardzo wiedząc jak zacząć rozmowę.

- Słuchaj Brian - powiedział wreszcie Charles. - Zawracasz mi głowę, nie dając spokojnie pracować, każesz mi się wlec przez pół miasta, a kiedy już wreszcie stawiam się na twoje wezwanie, nabierasz wody w usta. Mam nadzieję, że będziesz przynajmniej próbował wyjaśnić swoje postępowanie.

Przysunął bliżej półmisek z kanapkami i wybrał jedną.

- No, jak będzie, stary? - zagadnął, zabierając się do jedzenia.

Brian dolał sobie kawy i usiadł wygodniej w fotelu.

- Cholernie jestem ciekaw, skąd wygrzebałeś tę moją siostrę i do czego ta informacja mogła ci się przydać?

- Zostaw na razie siostrę w spokoju - powiedział Brian. - Zaczniemy z zupełnie innego końca.

- Umieram z ciekawości.

- Pamiętasz może nasze dyskusje o literaturze z czasów, kiedy jeszcze obydwaj studiowaliśmy?

- A jakże - przytaknął Charles z rozrzewnieniem. - Te nie przespane noce i zażarte spory, które toczyliśmy. Takich rzeczy się nie zapomina.

- No właśnie, i ty pewnego wieczoru powiedziałaś, że najbardziej pociąga cię w pisaniu boska wszechmoc twórcy, który kreując świat swojej powieści może stwarzać byty, panować nad ich losem każąc im się kochać, nienawidzić, zabijać nawet. Tak było?

- Święta prawda. To właśnie skłoniło mnie do pisania powieści i innych tym podobnych bzdur. W reportażu czułem się trochę zbyt skrzępowany realiami życia. Taki urojony, fikcyjny świat mogę nawet zniszczyć. To, co mnie otacza, będzie trwało nadal, niezależnie od moich zachcianek.

Brian zaczął spacerować pomiędzy oknem a fotelem, mówiąc cały czas.

- Los twoich bohaterów jest determinowany. Stanowiąc o ich bycie piszesz Księgę Przeznaczenia...

- No dobra - przerwał mu Charles - ale jaki to ma związek z moją siostrą?

- Trafiłem na to zupełnie przypadkowo - odparł Brian. - Jest jeszcze kilka szczegółów, które byliby dobrze sprawdzić, zanim ci całą sprawę wyłożę.

Otworzył notatnik i chwilę przerzucał kartki.

- W wieku dwunastu lat miałeś chyba jakiś wypadek - powiedział.

Charles - zdumiony - skinął głową.

- A jakże. Potrzaskało mnie wtedy szkaradnie. Złamałem sobie lewą nogę...

- ...trzy żebra i do tego wstrząs mózgu - wpadł mu w słowo Brian - zgadza się?

- Skąd ty to wyciągnąłeś? Zapisaleś się do FBI?

- Nie. To zupełnie coś innego. Właściwie dalsze sprawdzanie nie ma sensu. Stawiam dolary przeciw orzechom, że cała reszta też się zgadza.

- Jaka reszta?!

- Słuchaj, Charles. To najdziwniejsza historia, z jaką się zetknąłem w moim krótkim, acz burzliwym życiu. Dwa dni temu byłem w archiwum miejskim. Potrzebowałem materiałów do pewnej sprawy. Grzebiąc w starociach natknąłem się na tę oto książkę.

Podał Charlesowi mały tomik formatu zeszytu szkolnego, o okładkach steranych przez czas i życie. Książka była bez tytułowej strony, na końcu brakowało kilku kartek.

- I to jest ta bomba, o której mówiłeś mi przez telefon?

Brian skinął głową.

- Przejrzałem ją pobieżnie tam, w archiwum, i już wtedy parę szczegółów mnie zastanowiło. W domu przeczytałem całość dokładnie. Pamiętasz, kiedyś mówiłeś, że każda postać literacka ma swój odpowiednik, normalnego człowieka, który żyje jakby według ustalonego z góry scenariusza. To jest właśnie książka o tobie.

Kanapka utkwiała w gardle Charlesa.

- Nie zalewaj - wykrztusił po chwili.

- Ani trochę. Te szczegóły zaczerpnąłem właśnie stąd - puknął palcem w zniszczony tomik.

- I wszystko się zgadza? - spytał zdziwiony Charles. - Całe moje życie?

- Sam sprawdzisz to najlepiej. Przeczytaj i zastanów się, a potem dasz mi znać.

Charles sięgnął nerwowo po nowego papierosa.

- A jaki jest koniec? - spytał drżącym głosem.

- Brakuje paru kartek, zresztą może jest to pierwszy tom większego dzieła. Ej, stary! - Brian klepnął go po plecach - nie bierz sobie tego tak mocno do serca. To najprawdopodobniej zwykły zbieg okoliczności. Całość jest trochę niespójna i osadzona w zupełnie innych realiach. Gdybym wiedział, że tak cię to ruszy, nigdy bym ci tego nie pokazał.

Przez dłuższy czas Charles siedział tak nieruchomo, że można było go bez obawy wystawić w jakiejś galerii współczesnej rzeźby w charakterze eksponatu. Gdy wreszcie ocknął się z osłupienia, powiódł nieprzytomnym wzrokiem po otoczeniu, przeżuł do końca kęs kanapki i wstał z fotela.

- Słuchaj, ja już chyba pójdę - ścisnął w rękę zniszczony tomik.

- Nie pozwolę ci odejść w takim stanie - przerwał mu Brian. - Zostań tu chwilę, aż się trochę uspokoisz. Ależ cię wzięło - pokręcił ze zdziwieniem głową. - Najlepiej będzie, jak zostaniesz u nas na noc - stwierdził.

- Wolałbym, żebyś mnie odwiózł do domu. Chcę zostać sam, a obawiam się, że nie mógłbym teraz prowadzić wozu. - Charles zapalił kolejnego papierosa i zaciągnął się nerwowo.

- Oczywiście, jeśli uważasz, że tak będzie lepiej. Trochę mi głupio, wiesz, nie myślałem... - Brian zakręcił się po pokoju. Przyniósł rzeczy Charlesa, pomógł mu włożyć płaszcz i po chwili zjeżdżali windą

do podziemnego garażu.

Przez całą drogę Charles nie powiedział ani jednego słowa, przeglądał tylko w mdłym świetle mijanych latarni książkę, którą ścisnął dotąd w rękę. Nie pamiętał nawet, jak znalazł się u siebie i jak pożegnał Briana. W pewnym momencie stwierdził, że leży w swoim mieszkaniu na tapczanie, z radia dobiegają dźwięki jakiejś muzyki, a książka leży na stoliku w zasięgu ramienia.

Wstał i począł do łazienki. Przez dobre dziesięć minut tkwił pod prysznicem, puszczając na przemian to zimną, to gorącą wodę. Gdy wreszcie poczuł się trochę lepiej, wrócił do pokoju i, ubrany w szlafrok, zaczął czytać.

Książka była pozbawiona tytułowej strony, nie znalazł też ani słowa o wydawcy, ani o dacie powstania i wydrukowania dzieła. Treścią jej były losy jakiejś rodziny, w której przyszedł na świat chłopiec, i właśnie dzieje tego chłopca w dziwny sposób splatały się z jego własnym życiorysem. Oczywiście nie było to podobieństwo dosłowne. Istniały jednak analogie pomiędzy kluczowymi momentami z życia bohatera powieści, a przeszłością Charlesa. Zgadzał się stan liczebny rodziny, zachowane były więzi pokrewieństwa, czas następujących po sobie punktów zwrotnych w karierze zawodowej. Mijały godziny, lecz Charles nie bacząc na nie studiował dokładnie tekst. Jeszcze nigdy żadnej książki nie czytał z taką pasją, z zaangażowaniem w losy bohatera. Szukał jakiegoś błędu, potknięcia - miejsca, w którym fikcyjna rzeczywistość rozbiegłaby się w wyraźny sposób z faktami. Jednak nic takiego nie było. Zupełnie jakby on - Charles Robson - poruszał się na scenie życia w myśl ułożonego przed laty scenariusza. Jakby los jego był przepowiedziany i ustalony z góry.

- Oto Księga Przeznaczenia - pomyślał, odrywając na moment wzrok od tekstu. Włosy stanęły mu dęba, a serce zaczęło tłuc w piersi jak oszalałe. Nie czytał już dokładnie, linijka po linijce, lecz przerzucał strony, starając się znaleźć moment terażniejszy i spojrzeć w oczy przyszłości. Jaki los zgotował mu autor tej książki? Jakie czekają go niespodzianki?

Nie potrafił ustalić, w którym punkcie fabuła powieści styka się z terażniejszością. Pewne okresy były streszczane ogólnikowo w jednym bądź paru zdaniach. Poza tym brakowało zakończenia całości. Owych kilku kartek, na których znajdował się zapewne finał dziejów bohatera i - w co zaczął już pomału wierzyć - jego także. Poczuł nagle, że jest potwornie zmęczony. Było koło trzeciej w nocy. Zgasił światło, wyłączył radio i zwałił się na tapczan.

III

Trzy dni minęły od owej pamiętnej dla Charlesa nocy, trzy dni, podczas których nie robił nic innego, tylko analizował treść powieści. Znał ją niemal na pamięć i gdyby znajdowała się w spisie lektur szkolnych, można by go było stawiać za przykład wszystkim leniwym uczniom. Jego partnerem w rozmowie był jednak tylko Brian, który trzymał w rękę jedyny egzemplarz książki i sprawdzał - strona po stronie - każdą wypowiedź przyjaciela.

- Istnieją różnice pomiędzy fabułą tego dzieła a moim losem - mówił Charles - są jednak nieznaczące i wynikają z innych realiów tamtego świata. Po prostu napisano ją jakieś sto lat wcześniej. Nie ma również żadnej wzmianki o tym, że bohater napotyka w swoim życiu na podobne dzieło, jak ja. Jest to pierwsza poważniejsza rozbieżność, jaką zauważyłem. Być może od tej chwili nasze drogi rozejdą się. Muszę przyznać, że bardzo by mi to odpowiadało.

- Wcale ci się nie dziwię - wtrącił Brian. - Życie ze znajomością każdego przyszłego dnia musi być męczarnią.

- To los wszystkich dobrych wróżbitów i jasnowidzów - powiedział spokojnie Charles. Wsypał do herbaty dwie łyżeczki cukru i długo mieszał, podzwaniając kantem o szklanę.

- A co z zakończeniem?

- Nie będzie nam na razie potrzebne. Ten tekst, który mamy, wybiega trochę w przyszłość, i to w wystarczającym stopniu, abym mógł się przekonać, czy fatum wciąż jeszcze wisi nad moją głową.

- Chodzi ci o tę nagrodę?

Charles skinął głową.

- Właśnie. Z tym wiąże pewne nadzieje. Bo widzisz ja nie napisałem nigdy nic takiego, za co mogłaby mi „grozić” nagroda literacka. Po prostu nie mam na swoim koncie żadnej ambitniejszej powieści, i to, co dotychczas tak bardzo mnie poniżało we własnych oczach, stanowi w tym momencie moją jedyną nadzieję.

Uśmiechnął się do własnych myśli.

- Nie masz pojęcia, stary, jakie rzeczy łączę po głowie człowiekowi, gdy ma w ręku swoją Księgę Przeznaczenia. Powiem ci coś - pochylił się gwałtownie nad stołem, aż ich twarze omal się ze sobą nie zetknęły. - Chciałem nawet skończyć z sobą i w ten sposób wywieść w pole pismaka, który to nasmarował. Ale jestem tchórzem - jęknął opadając na fotel. - Ohydny, parszywym tchórzem, który nie ma nawet na tyle odwagi, żeby pozbać się życia.

Jednym haustem wlał do gardła porcję sherry i skrzywił niemiłosiernie twarz. Brian obserwował go uważnie, dostrzegając z przykrością, że przyjaciel bardzo się zmienił. Na zmęczonym obliczu jakby przybyło zmarszczek, a ciemne włosy poprzetykane były gdzieś tam pasemkami siwizny.

- Chyba za bardzo się tym wszystkim przejąłeś - powiedział Brian. - Słuchaj, mam zaległy urlop. Wyskoczmy na jakiś czas nad jezioro. Teraz powinny być niezłe trocie. Posiedzimy ze dwa tygodnie pod namiotem i dojdiesz do siebie.

- Jeżeli to też jest zapisane w scenariuszu...

- Ty chyba do reszty zgłupiałeś - zdenerwował się Brian. - Wprawdzie jest w tym dużo mojej winy, coś podkusiło mnie, żeby dać ci do ręki tę powieść, ale w tej chwili nie mam już pojęcia, co robić.

- Co tam! Masz dobre intencje, a to jest przecież najważniejsze - uśmiechnął się Charles.

- Nie kpij, bardzo cię proszę. Zamiast siedzieć i rozmyślać nad sobą i swoim „fatum”, powinieneś zacząć żyć jak człowiek. Wyskoczmy i...

- Wyjadę sam - przerwał mu Charles. - Rzucę pisanie i nic mnie nie zmusi, żebym jeszcze cokolwiek stworzył. W ten sposób rozminę się ze swoim losem i to - puknął palcem w zniszczony tomik - będziesz mógł spokojnie odnieść do archiwum.

- Nie wydaje mi się, żeby ten pomysł należał do najlepszych.

- Ale mi się wydaje! - krzyknął Charles gwałtownie.

- ...?

- Przepraszam cię - dodał po chwili - ostatnio nie za bardzo panuję nad sobą.

Brian pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Zrobię ci coś do picia - powiedział wstając.

W barku zauważył kilka pustych butelek i z troską pomyślał o czekających przyjaciela perypetiach z samym sobą. Niełatwo dźwigać na barkach taki ciężar. On osobiście niezbyt przejmował się swoim znaleziskiem. Traktował odkrytą książkę raczej jako coś w rodzaju ciekawostki. Charles natomiast bardzo się tym wszystkim przejął. O wiele za bardzo.

- Inaczej bym pewno mówił, gdybym był na jego miejscu - pomyślał Brian.

Chciał nalać dwie porcje brandy, gdy Charles podszedł do niego, wyjął mu z ręki butelkę ze szklankami i postawił na stoliku.

- Po co łączyć w kółko tam i z powrotem, jak można wszystko przynieść od razu - powiedział.

Brian skierował się w stronę kuchni.

- Przygotuję coś do jedzenia - rzucił w drzwiach.

Gdy grzebał w lodówce, dobiegł go trzask włączanego telewizora. Wracając zastał przyjaciela siedzącego ze szklanką w fotelu naprzeciw ekranu. Usiadł obok i zaczął jeść kanapki, obserwując jednym okiem transmisję z jakichś uroczystości.

- Widzisz te kukły tam na ekranie? - zagadnął Charles. - Wydaje im się, że stanowią sami o sobie, a tymczasem kiedyś ktoś napisał już program działania i oni tylko uczestniczą w realizacji.

Brian słuchał z narastającym zdziwieniem.

- Chyba nie mówisz tego poważnie? - spytał.

Charles spojrział na niego rozognionym okiem.

- Im dłużej nad tym myślałem, tym bardziej byłem pewien. Mówi się, że każdy człowiek może napisać jedną dobrą książkę. A ja twierdzę, że nie napisać, ale odtworzyć, na podstawie własnych wspomnień, czyjeś wymysły. Byle pismak płodzi bezwiednie gromady bytów, które potem w ten czy inny sposób, na skutek działania jakiegoś nieznanego nam jeszcze prawa, przeżywają w rzeczywistości los ufundowany im przez takiego grafomana.

- Chyba powinieneś się położyć - powiedział Brian. - Łykniesz sobie coś na sen, a jutro będziesz inaczej na to wszystko patrzył.

- Przestań mnie pouczać i niańczyć jak noworodka! - Charles wzburzony zaczął chodzić po pokoju wielkimi krokami. - Ty też jesteś tylko czymś widziadłem! - krzyczał. - Wszyscy... wszyscy jesteśmy!!!

Wyczerpany opadł na fotel i połknął kolejną porcję brandy. Brian spostrzegł, że butelka, którą przed chwilą postawił na stole, była prawie pusta. Zadzwoił do żony, tłumacząc jej jak mógł najprzystępniej, że wróci dziś trochę później niż zwykle. Gdy skończył, zauważył Charlesa spoglądającego na niego ze złością.

- Po jaką cholere tak się poświęcasz? Jedź do domu, jedź w jasną cholere, dajcie wy mi wszyscy święty spokój. Piastunka się znalazła, patrzcie go!

Wbił wzrok w zdezorientowaną twarz Briana i nagle wybuchnął serdecznym śmiechem!

- W porządku, stary, rozumiem cię. Weź te dwa tygodnie wolnego i pojedziemy na ryby. Jeśli nawet scenariusz tego wymaga, dlaczego nie mamy uprzyjemnić sobie życia. Wyjeżdżamy jutro, gra?

Brian z ulgą uściśnął mu dłoń i zaczął wkładać płaszcz. Gdy już kierował się do drzwi, Charles złapał go za rękę.

- Jeżeli nawet wszyscy ludzie to tylko banda powołanych do życia płodów pisarskich wizji, to przecież ktoś musiał kiedyś poruszyć całą tą lawinę, stworzyć pierwszą powieść. Można by go nazwać Bogiem, a jego dzieło - Wielką Księgą Losu.

IV

Nad wodą spędzili blisko miesiąc. Brian robił, co mógł, żeby odwrócić uwagę Charlesa od uciążliwych wspomnień. Całymi dniami włóczyli się po lasach albo łowili ryby. Wieczory spędzali przy ogniu nad jeziorem. Czasami do obozowiska przyjeżdżała żona Briana, przywożąc coś do jedzenia. Zostawała na dwa, trzy dni i - naopowiadawszy przyjaciółom masę plotek - wracała do odległego o kilkadziesiąt kilometrów miasta.

To beztrioskie życie musiało się jednak prędzej czy później skończyć i Brian od dłuższego już czasu rozważał, w jaki sposób powiadomić Charlesa o konieczności powrotu. Pewnego wieczoru, gdy jak zwykle siedzieli przy ognisku, Charles sam zaproponował, żeby zwinąć obóz.

- Nie przyglądaj mi się tak podejrzliwie. Przemyślałem to wszystko dokładnie. Nie myśl, że zapomniałem o całej sprawie. Doskonale wiem, dlaczego tu ze mną wyjechałeś i siedzisz na tym pustkowiu. Daję ci słowo, że nic mnie to wszystko nie obchodzi i z radością zapomnę o kłopotach.

A gdy Brian nie odezwał się, zaskoczony nagłą zmianą nastroju przyjaciela, Charles dodał:

- Sam się sobie dziwię, że tak bardzo mnie to wszystko obeszło. W ciągu tego miesiąca przemyślałem wiele. Widzisz, to po prostu kwestia przypadkowego zbiegu okoliczności. Ale nie dziw się, że zareagowałem na początku w taki właśnie sposób. To zupełnie inaczej wygląda, gdy spojrzysz na całe zdarzenie z dystansu. Jeśli zaś nagle zetkniesz się ze zjawiskiem, którego prawdopodobieństwo zajścia jest znikomo małe, tracisz głowę i dajesz posłuch różnym pierwotnym instynktom - po prostu wściekle się boisz.

Umilkł i przez chwilę spoglądał na płonące z suchym trzaskiem głównie. Wreszcie wstał i przeciągając się dodał:

- Pora spać. Jutro musimy obaj wcześniej wstać.

Po powrocie do miasta Brian wpadł do redakcji, gdzie czekała na niego cała sterta zaległej roboty. Dopiero w tydzień później znalazł czas, żeby zadzwonić do przyjaciela. Przez telefon poznał, że wszystko jest w porządku najlepszym, bo Charles kłął jak za dawnych, dobrych lat. Na pytanie, co robi, odparł:

- Spytałbyś lepiej, czego nie robię. Palce już mi puchną, gdy tylko spojrzę w stronę maszyny do pisania. Telefon wprost się urywa. Dzwonią ze wszystkich możliwych miejsc. Tym miałem przerobić słuchowisko na sztukę, tamtym skończyć opowiadanie. Słowo daję, aż mi łeb pęka. Słuchaj, a może ty będziesz miał jakiś lepszy pomysł?

I przez dziesięć minut streszczał Brianowi swoje opowiadanie, biadając, że nie wie właściwie, jak zakończyć ten cały galimatias, który się rozpętał w trakcie pisania. Brian rzucił od ręki kilka wersji, które akurat przysły mu do głowy i uspokojony odłożył słuchawkę. Charles najwyraźniej wrócił już do normy.

Jeżeli jednak on zapomniał o całym problemie, to Brian bynajmniej wcale nie miał zamiaru odłożyć tego ad acta. Spróbował zacząć działać na własną rękę. Podrzucił książkę znajomemu antykwariuszowi, który dość długo ją analizował, zanim poradził, dokąd udać się z tą sprawą. Przy pomocy różnych swoich kontaktów spowodował, że jakiś profesor - będący znawcą sztuki drukarskiej - określił, gdzie powieść została wydana i w jakim mniej więcej to było okresie. Drukarnia zresztą od lat już nie istniała, tak że ten trop prowadził donikąd. Na domiar złego archiwum w tej miejscowości spłonęło ładnych parę dziesiątków lat wstecz, na skutek jakichś tam lokalnych zamieszek. To wszystko nie zniechęciło jednak Briana, który, mimo ciągłych niepowodzeń, nie zrezygnował z poszukiwań. Przesiedział kiedyś cały dzień przy komputerach centralnej biblioteki, usiłując znaleźć drugi egzemplarz książki. Niestety - w elektronicznych blokach pamięci nie było żadnych informacji na ten temat.

Czas mijał, życie popłynęło zwykłym torem i wszystko wskazywało na to, że sprawa się po prostu rozmyje, aż pewnego dnia Charles wpadł jak bomba do redakcji, w której pracował Brian, żądając natychmiastowej rozmowy z przyjacielem. Gdy zaprowadzono go do pokoju, bez słowa rzucił na stół kopertę i stanął z rękami w kieszeniach w pozycji wyczekującej.

- Co się stało? - spytał zdziwiony Brian.

Charles ruchem głowy wskazał przyniesiony list.

- Zajrzyj do środka. Dostałem to dziś rano.

W kopercie, na ozdobnym arkuszu, stało czarno na białym, że Charles Robson został laureatem w konkursie Budenauera - na najlepszą powieść roku - i proszony jest o przybycie tam a tam, w dniu tym a tym, o godzinie tej a tej na uroczystość wręczenia nagrody. Tekst opatrzony był wieloma pieczęciami i podpisami osób, których nazwiska - o ile Brian mógł się zorientować - świadczyły o powadze imprezy. Na samym środku arkusza wybity był tytuł utworu, wydawnictwo i autor. Wszystko w zgodzie z najlepszymi zasadami. Pozostało tylko jedno małe ale...

- Kiedy ty zdążyłeś wysmarować ten „Zamglony świt”? Nigdy o czymś takim nie wspominałeś.

- Nie wspominałem, bo nie było powodu. Odrzucono mi to pół roku temu i zapomniałem o całej sprawie. Tyle innych rzeczy się potem zdarzyło, sam wiesz najlepiej.

Brian przytaknął.

- Dzwoniłem już do wydawnictwa. Mam zanotowane nazwisko faceta, który im to przyniósł. Ten gość pracuje w spółce Katlenga. Tam moją powieść zmieszano z błotem, a on zabrał ją cichaczem z magazynu i zaniósł do konkurencji, i trzeba trafu, że zdecydowali się na druk, a teraz widzisz, co z tego wynikło.

- Zdecydowali się na druk bez twojej zgody?

- Nie zapominaj, że przez miesiąc byliśmy poza miastem. Szukali mnie, owszem, ale bezskutecznie. A teraz minęły ledwie trzy miesiące od wydania i już się zrobił bestseller.

- Właściwie powinienem ci pogratulować.

- Nie kpij. Dobrze wiesz, z czym to się wiąże. Jak wróciliśmy wtedy po tym miesiącu nad jeziorem obiecałem sobie, że nigdy nie napiszę nic większego. Same bzdurki, jakiś kryminałek, słuchowisko. W sumie małe sprawy. Myślałem nawet o tym, żeby przenieść się do jakiejś gazety i robić to co ty. Czystą, dziennikarską młóckę. O tej powieści kompletnie zapomniałem, a teraz jakby mi ktoś w łeb dał.

Brian podrapał się z zakłopotaniem. Sprawa zaczynała być skomplikowana. Książkowe „fatum” za żadne skarby nie chciało się od Charlesa odczepić, i kolejny fakt z napisanego przed laty scenariusza uzyskał swoje odbicie w realnej rzeczywistości.

- Co masz zamiar teraz zrobić? - spytał Brian.

- A co niby mam robić? Przecież się nie powieszę. Wiele bym dał, żeby przeczytać do końca tamtą historyjkę.

Brian opowiedział przyjacielowi o swoich nieudanych poszukiwaniach. Charles słuchał uważnie.

- Czyli zrobiłeś właściwie wszystko - stwierdził na koniec - wyczerpałeś wszelkie istniejące możliwości.

- Tak mi się wydaje.

- No dobra, idę - Charles ruszył w stronę drzwi.

- Dokąd!?

- Szukać własnego zakończenia. A tobie radziłbym to wszystko opisać. Wyjdzie z tego niezły reportaż. Inna rzecz, że nikt w podobny galimatias nie uwierzy.

Brian zerwał się i siłą prawie posadził przyjaciela na krześle.

- Nie będziesz niczego szukał. To przecież nie ma najmniejszego sensu. Czy naprawdę tak bardzo interesuje cię, co ten facet nabazgrał w swojej książce?

- Mhm.

- I nie możesz bez tego żyć?

- Mogę, ale posłuchaj. Jeżeli wiem, że poznam do końca swoje życie, to chyba z czystej ciekawości...

- Daj spokój - przerwał poirytowany Brian. - Gdyby twoja teoria była słuszna, to każdy człowiek miałby ustalony z góry scenariusz swoich losów, tak?

- Zgadza się.

- No więc ja chyba też, prawda? I jakoś nie miotam się nie staję na uszach i nie zawracam głowy sobie i innym.

- Jeżeli uważasz, że zabieram ci czas...

- Siadaj, idioto. Nic mi nie zabierasz, tylko daj spokój tym bezsensownym poszukiwaniom. Chyba zdajesz sobie sprawę, że one do niczego nie prowadzą?! - ostatnie słowa prawie wykrzyczał.

Charles siedział zgaszony na krześle. Jego twarz była odbiciem wewnętrznej walki z samym sobą. Rady przyjaciela, niewątpliwie słuszne, były tylko jedną stroną medalu. A istniała przecież druga, nie mniej ważna.

- Pójdę już - powiedział.

- Idź, tylko pamiętaj, co ci tu przed chwilą mówiłem. To nie ma ani grama sensu, uwierz mi.

W głosie Briana było coś takiego, że Charlesowi zrobiło się nagle żal przyjaciela. Wstał jednak i zdecydowanym krokiem wyszedł z pokoju.

V

W drodze do domu Charles rozważał pewien zwariowany pomysł, który przyszedł mu niedawno do głowy. Tak się nad nim zadumał, że o mały włos nie przejechał na pasach jakiejś staruszki. Kiedy jednak dotarł na swoją ulicę, był już przekonany, że zrobi to, co zaplanował. Zaparkował wóz i pobiegł na górę, przeskakując po kilka stopni naraz. Ledwo zrzucił z siebie płaszcz, już był w pokoju. Wziął stos czystych kartek i pierwszą z nich wkręcił do maszyny. Potem wyjrzał przez okno i przez chwilę obserwował siąpiący deszczem zmierzch. Gdy uznał, że wie już wszystko to, co jest mu potrzebne, zamknął okno i zasiadł za stołem z maszyną do pisania. Przez moment jeszcze się zastanawiał, a potem zdecydowanym ruchem uderzył w klawisze:

W narastającym zmierzchu szedł ulicą mężczyzna średniego wzrostu w długim, szarym płaszczu. Zmoczony kapelusz sterczał mu niezdarnie na czubku głowy. Twarz ukryta była za szerokim, lekko zwisającym ro...

Charles przerwał pisanie wpół słowa, przypalił sobie papierosa i zaczął stukać dalej:

...ndem. Mężczyzna ścisnął pod pachą jakąś teczkę i wolnym krokiem zmierzał w stronę skrzyżowania. Przechyliwszy lekko w bok głowę odczytał na murze tabliczkę z nazwą ulicy i ruszył dalej chodnikiem, na którym nie było już ani jednego suchego miejsca. Gdzieś w dali mignęła sylwetka jakiegoś przechodnia, w oknach wieżowców zapalały się wieczorne światła. Mężczyzna szedł dalej, w sobie tylko wiadomym kierunku. W jego wzroku było coś niematerialnego, jakby patrzył nie na konkretny przedmiot, ale przenikał gdzieś dalej - tam, dokąd ludzkie zmysły dotrzeć już nie potrafię. Dziwna ta postać zatrzymała się przed jednym z wysokich domów i po chwili wahania zniknęła w przypadkowo wybranej klatce. Cicho świsnęła wezwana winda. Mężczyzna wszedł i przez chwilę zastanawiał się, który guzik wcisnąć, lecz po sekundzie - jakby wiedziony nagłym impulsem - znalazł właściwe piętro. Winda ruszyła. Mężczyzna strzepnął resztki deszczu ze swojego okrycia. Drzwi ruchomej klatki otworzyły się. Jasno oświetlony korytarz prowadził wzdłuż szeregu jednakowych, dźwiękochłonnych wejść. Mężczyzna przesunął się wzdłuż tej galerii czytając po kolei wiszące wizytówki, aż wreszcie wyciągnął rękę i...

...dzwonek u drzwi wejściowych przebił trzykrotnie monotony stukot maszyny.

- Udało się - pomyślał Charles z ulgą.

Przerwał pisanie nie dokończywszy rozpoczętego zdania i poszedł otworzyć. Na korytarzu stał mężczyzna w długim, szarym płaszczu z kapeluszem w ręku. Ujrawszy gospodarza skłonił się nieznacznie.

- Mister Charles Robson, prawda?

- Zgadza się, a pan?

- Jeśli można... - nieznajomy zawiesił głos, a gdy Charles nie zareagował, dodał. - Widzi pan, straszna dzisiaj pogoda, a szedłem pieszo spory kawałek...

- Proszę, proszę wejść - Charles usunął się nieco przepuszczając gościa, po czym zamknął drzwi wejściowe i wszedł za nieznajomym do pokoju.

- Zechce pan dać mi płaszcz, trzeba by go trochę podsuszyć.

- Nie, nie szkoda fatygi. Ja tylko na chwilę. Naprawdę nie warto - sumitował się gość.

- No dobrze - kiwnął głową Charles. - Ale herbaty to się pan napije. A może czegoś mocniejszego?

Taki parszywy dzień dzisiaj. Na pewno chętnie by się pan rozgrzał.

- Herbatki bym prosił, jeśli można.

Charles poszedł do kuchni nastawić wodę. Nieznajomy z zaciekawieniem rozglądał się po mieszkaniu. Wyjął nawet jakąś książkę z półki i przerzucał chwilę kartki. Gdy Charles wrócił z herbatą, położył książkę na stoliku i z wdzięcznością przyjął gorącą szklankę.

- Wie pan, nie znam miasta i dlatego nie bardzo wiedziałem, z jakiego środka lokomocji mógłbym skorzystać. Taksówki żadnej jak na złość nie było. Zresztą i tak nie znałem adresu...

- A jak pan tu właściwie trafił - zaciekawił się Charles.

- Intuicja. Pan pisarz?

- No, raczej grafoman. Praca jak każda inna.

Nieznajomy pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Ależ ze mnie ofiara! - wykrzyknął nagle - zupełnie bym zapomniał!

Chwycił z fotela teczkę, którą przyniósł ze sobą.

- Proszę, to dla pana.

- Dla mnie? - zdziwił się Charles.

- Tak. Miałem to panu dostarczyć.

- A od kogo, jeśli można wiedzieć?

Przez twarz nieznajomego przemknął wyraz zakłopotania. Dopił herbatę i stawiając szklankę na stole sięgnął po kapelusz.

- Muszę już iść - powiedział zdecydowanie.

Podszedł do okna i przez chwilę spoglądał na ozdobione lawiną świateł miasto.

- Z której strony jest centrum? - spytał.

- Na prawo - powiedział Charles. - Zaraz panu pokażę.

Wyprowadził gościa na szeroki taras i - wskazując z góry gęstą sieć ulic - objaśniał drogę. Nieznajomy spoglądał w dół, słuchając wskazówek i kiwając od czasu do czasu głową.

- Bardzo ładny widok - westchnął, gdy Charles skończył mówić. - Naprawdę, bardzo mi się podoba.

Miasto istotnie wyglądało imponująco. Deszcz już nie padał i w czystym powietrzu widać było oświetlone różnokolorowymi reklamami ulice, które - im dalej sięgał wzrok - łączyły się ze sobą, tworząc aż po horyzont gigantyczny kalejdoskop, mieniący się całą gamą barw.

- Pozwoli pan, że zostanę tu chwilę - powiedział nieznajomy. - Proszę sobie nie przeszkadzać, ja zaraz wrócę do pokoju. Chciałem po prostu popatrzeć na to wszystko.

Charles wzruszył ramionami i poszedł do mieszkania. Widok z balkonu nie był dla niego żadną atrakcją, nawet wydawał mu się nieco monotony, a w dodatku dokuczał bardzo zimny wiatr.

Wszedł do pokoju i wzrok jego padł na maszynę do pisania, z której wystawał częściowo zadrukowany arkusz papieru. Wykręcił kartkę i przeczytał szybko treść, kręcąc z niedowierzaniem głową.

- Musiałem bardzo mocno tego chcieć, skoro los tak od razu spełnił moje pragnienia - pomyślał. - A swoją drogą to idiotyczne. Wystarczy puknąć parę zdań, aby stworzyć nową rzeczywistość... - spojrzał w stronę teczki, którą przyniósł i wręczył mu dziwny gość.

- To musi być to - powiedział półgłosem i poczuł, jak zimny dreszcz przepływa mu wzdłuż kręgosłupa. Nie namyślając się dłużej zajrzał do środka. Tkwiło tam kilkanaście kartek. Ich widok sprawił, że serce zaczęło mu bić przyśpieszonym rytmem. Nalał sobie solidną porcję whisky i - nie rozcieńczając nawet - wypił. Nalał powtórnie i z pełną szklanką wrócił do stołu. Wyciągnął zawartość teczki, przekartkował. Tak! Nie było najmniejszej wątpliwości! Ten sam krój czcionek, identyczny papier

i format. Na ostatniej stronie dostrzegł wydrukowane tłustymi literami słowo „KONIEC”. Odrzucił kartki na stół i podszedł w stronę drzwi wiodących na balkon. Fala chłodnego powietrza uderzyła w rozpalone czoło.. Tak, nie miał już żadnych wątpliwości. To był dalszy ciąg scenariusza jego życia. Wystarczyło wygodnie sięść w fotelu i przeczytać te kilkanaście stron, a potem...

- Właśnie, co potem? - powiedział na głos.

Wrócił do stołu i z rękami w kieszeniach spodni wpatrywał się w swoje przeznaczenie. Potem wzrok jego przemknął po pokoju w poszukiwaniu szklanki. Stała sobie spokojnie na stoliku obok książki, którą nieznajomy wyciągnął z półki. Odruchowo wziął do ręki otwarty tomik, rzucając okiem na stronę czytaną przez dziwnego gościa. Były to jakieś wiersze i Charles z trudem skupił się na tyle, by zrozumieć kilka linijek.

*Na starej Księdze Życia poźółkłych stronic blask
Tam cała jest spisana przyszłość
W tajemnym świecie dziwów nieznany czeka Los
Pozwólcie mu spokojnie płynąć
Ty tylko chciałeś poznać zawartość starych kart
By ujrzeć Los swój aż do końca
Lecz żaden ze śmiertelnych nie chciałby dalej żyć
Wiedząc że kiedyś zbraknie Słońca.*

Zaklął pod nosem i z trzaskiem odstawił tomik na półkę. To nie ma sensu. To od początku nie miało za grosz sensu. Jego wariackie pomysły z pisaniem na maszynie tych bzdur, potem ten facet, który materializuje się jak na zawołanie i wręcza mu fragment Księgi Losu. Ach, żeby to...!

Uderzył pięścią w ścianę i tępy, świdrujący ból ostudził trochę jego zapały. Po jaką cholere zaczął się w to wszystko bawić? Po jaką zasmarkaną cholere?!

- Sam tego chciałeś, idioto - pomyślał. - I co teraz masz z tym zamiar zrobić?

Jednego tylko był pewien: że nie przejrzy tych kartek nigdy w życiu, choćby mu płacili od każdego przeczytanego słowa.

Chciał iść do nieznajomego i spytać go, co to wszystko ma znaczyć, ale w tej samej chwili pojął, że ten dziwny gość niewiele będzie mógł mu wyjaśnić.

Wziął w ręce maszynopis, który sam stworzył przed przyjściem nieznajomego i przedarł zdecydowanym ruchem na dwie części. Przed oczami przemknął mu fragment napisanego tekstu: „...szedł ulicą mężczyzna średniego wzrostu, w długim, szarym płaszczu...” Zniszczyć to paskudztwo, pozbyć się tego świństwa. Darł kartkę na coraz drobniejsze kawałki, szarpał, rozrywał. Wyładował na niej całą skumulowaną w sobie wściekłość. Potem zgarnął wszystko na metalową tackę i wyciągnął z kieszeni zapalniczkę. Papierowe strzępy nie chciały zająć się od razu, ale po chwili buchnęły większym płomieniem, i w tej samej chwili przez pokój przemknął jakiś dziwny impuls - jakby bardzo słabe wyładowanie elektryczne. Charles upadł na fotel, spoglądając ze zdumieniem dookoła.

- Co to takiego?

W pokoju nic się nie zmieniło. Tylko powietrze przesiąknięte było jakimś nietypowym zapachem, przypominającym Charlesowi woń ozonu. Zresztą, mogło to być coś zupełnie innego.

Rozejrzał się w poszukiwaniu tych kilkunastu kartek, które zatruwały mu życie w ciągu ostatnich miesięcy. Lecz nigdzie nie mógł ich dostrzec. Sprawdzał na stole, fotelu, przeszukał podłogę. Teczke nieznajomego też diabli wzięli.

Zdezorientowany tym faktem wybiegł na balkon i znieruchomiał. Dziwny gość - którego tu zostawił -

po prostu zdematerializował się. Charles wyjrzał nawet przez barierkę, aby sprawdzić, czy na chodniku nie leży roztrzaskane ciało. Ale z góry wiedział, że nic tam nie znajdzie. Wolnym krokiem wrócił do pokoju, zamykając za sobą dokładnie wyjście na taras. Mokre ślady ubłoconych butów, zostawione przez nieznajomego na dywanie, stanowiły jedyny dowód, że wszystko, co wydarzyło się tego wieczoru, było rzeczywistością.

Małgorzata Kondras - Eksperyment

- Zupełnie niemożliwe. Ulega pan sugestii. Żaden z zębów po tej stronie nie ma prawa boleć.

- W tej chwili nic nie czuję - pacjent wstał z fotela i stanął niezdecydowany. - Ale wie pan, doktorze, nie zgadzam się z panem, żeby kłaść to na karb sugestii. Po tym, co mnie ostatnio spotkało, mam prawo - jak mi się wydaje - do sceptycyzmu wobec słowa „sugestia”.

- Ma pan może na myśli prawą górną dwójkę i te trzy dolne? - Dentysta wyraźnie pozostawał przy zainteresowaniach zawodowych.

- W pewnym sensie. Nie chciałbym przesądzać sprawy przedwczesnymi wnioskami. Pan sam powinien ocenić. Zaczęło się od tego, że spotkałem kolegę, z którym zdawałem maturę... Ale może ja panu przeszkadzam, doktorze?

- Ani trochę. Jest pan dzisiaj ostatnim pacjentem. Zanim wyjdę, muszę jeszcze trochę uporządkować narzędzia. Miło mi będzie, jeśli dotrzyma mi pan towarzystwa.

- A więc jak mówiłem, Amadeusza - takie właśnie wyszukane imię nosi mój kolega - spotkałem w parku pewnego mglistego, jesiennego dnia. Wyłonił się nagle z szarego obłoku zalegającego aleję, jakby zmaterializował się w sposób nadprzyrodzony. Niewykluczone, że to skojarzenie powstało później, kiedy zdradził mi swój zawód.

W każdym razie poznałem go natychmiast, mimo że nie widzieliśmy się od dwudziestu pięciu lat. Początkowo rozmowa nie kleiła się. O czym można rozmawiać ze szkolnym kolegą, z którym kontakt urwał się z chwilą zdania matury?

- Jesteś lekarzem? - spytałem. Pamiętałem, że wybierał się na medycynę.

- Nie, prawdziwym prestidigitorem.

Nie rozumiałem, co miał na myśli, zwłaszcza że wyraźnie podkreślił słowo „prawdziwym”.

- Medycyna to też kuglarstwo - wyjaśnił - tyle że pacjent o tym nie wie. Wolę uczciwą grę. Pokazuję sztuczki, ale nie wmawiam nikomu, że dokonuję cudów.

- Przecież lekarze nie wmawiają w nas, że są cudotwórcami - zaoponowałem.

- Ci, którzy tego nie robią, są marnymi konowalami bez wyobraźni i bez pozytywnych rezultatów swoich poczynań. Uzdrawia wyłącznie wiara. Cała tajemnica polega na sugestii. Wyniki daje jedynie hipnoza, niekiedy może być nawet nie uświadomiona, ale wyłącznie ona.

- Nie powiesz chyba, że brak witamin można zastąpić sugestią?

- Nie mówimy przecież o braku pożywienia, a o leczeniu. Jeżeli uwierzysz, że zamiast witaminy łykasz cudowny lek, pomoże ci ona, jakby rzeczywiście miała właściwości nadzwyczajne.

Lekarze odnoszą się sceptycznie do praktyk filipińskich magów i mają rację. Magowie nie przeprowadzają operacji. Pęcherzyki z krwią i flaki z kury, którą jedli na obiad, są rekwizytami w ich cyrku. Przedstawienie jest robione dla widzów i samego pacjenta, żeby wszyscy oni mogli uwierzyć, że operacja się odbyła. W rzeczywistości wystarczyłby mały seans hipnozy, a rezultat byłby ten sam.

- Jeżeli poprawa stanu zdrowia zależy tylko od sugestii, to nie widzę powodu, dla którego nie miałbym jej ulegać raczej w schludnym gabinecie lekarza, niż w chacie maga na Filipinach.

- Powód jest prosty - magowie znają sztukę hipnozy, a lekarze w większości - nie.

- Wybacz, ale wydaje mi się, że bardzo upraszczasz całą sprawę. Gdyby tak było, należałoby zamknąć akademie medyczne i zamiast wydawać niepotrzebnie pieniądze na kształcenie lekarzy - zdać się na

znachorów.

- A czy kształcenie malarzy, rzeźbiarzy ma sens?

- To co innego. Talentu nauczyć nie można, ale można go rozwijać.

- Właśnie! Należałoby kształcić jedynie ludzi utalentowanych, a nie wkuwaczy bez polotu. Pewnie myślisz, że przemawia przeze mnie zawiść, bo nie skończyłem medycyny. Otóż oświadczam ci, że jestem lepszym lekarzem od docentów, którzy mnie uczyli. Co ci dolega?

- Ależ nic!

- Nie bój się - roześmiał się głośno, aż jakaś pani spojrzała na nas ze zdziwieniem.

- Naprawdę nic mi nie dolega prócz zmarszczek i łysiny.

- Daj spokój, nie jesteśmy jeszcze starzy - zamyślił się.

Popatrzyłem uważnie na jego profil. Wyglądał młodo, znacznie młodziej ode mnie.

- Mam pomysł - ożywił się znowu. - Udowodnię ci, że siłą sugestii można nawet odmłodzić.

Obiektem eksperymentu powinien być jednak prawdziwy staruszek. Wtedy ocena będzie łatwiejsza.

- Kto oceni wynik doświadczenia?

- Ty sam.

- Mógłbym nie być obiektywny.

- Musiałbyś być nieuczciwy, a takie przypuszczenie odrzucam. Chcesz, załóżmy się o pięć tysięcy złotych.

Jeżeli uda mi się odmłodzić staruszkę w ciągu miesiąca w sposób widoczny, zapłacisz mi, jeżeli nie - ja zapłacę tobie.

Pomysł był nieco szalony, ale żyłka hazardzisty podszeptała mi zgodę.

Na poszukiwanie obiektu naszego eksperymentu wybraliśmy się do parku, tego samego, w którym spotkaliśmy się przypadkowo. Było ładne słoneczne przedpołudnie. Ławki wokół terenu zabaw dla dzieci były przepełnione. Poszliśmy dalej. Za zasłoną z żywopłotu stało kilka ławek, na jednej z nich siedział starszy pan z twarzą zwróconą ku słońcu, którego promienie dawały wyczuwalne jeszcze ciepło. Usiedliśmy obok. Tym razem nasza rozmowa o uzdrawianiu była prowokacyjna, umyślnie skierowana pod adresem nieznanego. Starszy pan wyraźnie słuchał naszej dyskusji, aż wreszcie w pewnym momencie włączył się do rozmowy, jak tego oczekiwaliśmy.

- Mój przyjaciel jest znanym geriatrą - przedstawiłem Amadeusza. - Studiował metody odmładzania w Stanach Zjednoczonych i u mnichów tybetańskich.

Niezajomy przyjrzał się nam obu uważnie.

- Ile ma pan lat? - spytał go Amadeusz.

- Osiemdziesiąt jeden.

- To jest pan młodszy o rok od przyjaciela - ruchem głowy wskazał na mnie.

- Pan raczy żartować. - W głosie staruszka było lekkie tylko niedowierzanie.

- Pospieszyłem z zapewnieniem, że mam osiemdziesiąt dwa lata i tak się dobrze trzymam tylko dzięki kuracji Amadeusza.

- Panowie od dawna się przyjaźnią? - Chciał wiedzieć nasz rozmówca.

- Byłem kolegą ojca doktora, a później zaprzyjaźniłem się z synem - powiedziałem.

- Prowadzi pan prywatną praktykę, czy przyjmuje w ubezpieczalni? - Starszy człowiek zwrócił się wprost do Amadeusza.

- Ani jedno, ani drugie. Do Polski przyjechałem tylko na dwa miesiące, ale jeżeli pan chce spróbować mojej kuracji proszę zebrać ostatnie wyniki badań i przyjść tu jutro o tej samej porze.

- Obawiam się, że nie stać mnie na zapłacenie...

- Honoraria przyjmuję wyłącznie w walucie wymiennej - zażartował Amadeusz - dlatego od pana

nie wezmę ani grosza.

Kiedy pożegnaliśmy się z naszym „pacjentem”, Amadeusz zaprosił mnie na kawę do swojej kawalerki. Zaparzył ją w szklankach zalewając gorącą wodą byle jak zmielone ziarna. Fusy w przezroczystej szklance są tym, czego nie lubię szczególnie, ale nie miałem wyboru. W Polsce mało kto ma ekspres do kawy, nesca jest trudno dostępna, a małe filiżanki służą jedynie za ozdobę kredensów i nikt ich nie używa.

- Z czego ty się właściwie utrzymujesz? - spytałem.

- Jak to? Przecież ci mówiłem. Jestem iluzjonistą. Mam stałą umowę z Pagartem. Występuję w różnych miastach.

- Mógłbyś zademonstrować jakąś sztuczkę?

- Może wolisz zobaczyć mnie w blasku rampy? Mam dzisiaj występ w „Kaskadzie”. Załatwię ci wstęp.

- Nie, dziękuję. Lubię zagadki, ale tylko wtedy, kiedy mam szansę poznać rozwiązanie.

- Tego akurat obiecać ci nie mogę. Zajmijmy się raczej przygotowaniem naszego eksperymentu. - Wstał, żeby poszperać w przepaścistej szufladzie, pełnej najrozmaitszych drobnych przedmiotów. Wyjął z niej i postawił na stole dwie fiołki. Jedna ozdobna, przypominająca flakonik po perfumach, jakich zapewne używały nasze prababki, druga typowa, z napisem: „multiwitamina”, zawierała brązowe pastylki dokładnie takie, jakich sam od czasu do czasu używam.

- Przesyp - powiedział.

Zrobiłem, co kazał. W ozdobnej buteleczce pigułki od razu nabrały tajemniczego wyglądu.

- Schowaj u siebie - powiedział. - Jutro wręczymy nasz cudowny lek staruszkowi i zobaczysz, co potrafi zdyktować zwykła multiwitamina, jeżeli uwierzy się w niezwykle właściwości tych pastylek.

Staruszek otrzymał fiołkę z zaleceniem, aby zażywał trzy razy dziennie jedną pastylkę i codziennie spacerował. Co parę dni przychodziliśmy do parku, ale spodziewanych zmian nie było i Amadeusz wcale nie usiłował ich upatrywać, jak się tego obawiałem.

- Za często go spotykamy - powiedziałem. Chciałem okazać się równie lojalny. - Zmiana, jeżeli ma być widoczna, wymaga trochę czasu.

- Amadeusz zgodził się ze mną. Wyznaczyliśmy termin ostatniego, rozstrzygającego spotkania i każdy z nas zajął się własnymi sprawami.

Po miesiącu staruszek wyglądał tak samo, chociaż bardzo starał się dostrzec poprawę. Nasz ostatni spacer zakończyliśmy w pobliskiej kawiarni. Amadeusz ostrożnie pił zaparzoną w szklance kawę, tak żeby nie łykać fusów. Ja sączyłem ciec, którą nazywano tu herbatą. Milczeliśmy. W pewnym momencie wyjął z kieszeni pięć tysiącłotowych banknotów i położył przede mną na stoliku. Jednym haustem dopił kawę, nie bacząc na fusy, powiedział: - Cześć - i wyszedł.

Było mi trochę głupio, ale co mogłem zrobić? Nic tak skutecznie nie niweczy przyjaźni jak przegrany zakład, a przecież jedna strona zawsze musi być tą poszkodowaną.

Amadeusz wyjechał z miasta, nie zostawiając adresu.

W gabinecie zapanowała cisza. Pacjent zaczął zbierać się do wyjścia, opowieść swoją wyraźnie uważał za skończoną.

- Nie rozumiem - zatrzymał go już w progu dentysta - co ta historia ma wspólnego z pana uzębieniem? Nigdy dotąd w praktyce ani nawet w literaturze nie spotkałem się z fenomenem odrastania wszystkich dawno utraconych zębów u człowieka po czterdziestce.

- A zauważył pan że włosy mam znacznie gęściejsze? - Pacjent zawrócił, żeby w świetle lampy lepiej zaprezentować bujność owłosienia.

- Zmiana pańskiego wyglądu jest uderzająca. Dalej jednak nie rozumiem, co to ma wspólnego z

Amadeuszem.

- Widzi pan, ja w sugestię nie wierzę, dlatego pigułki, jakie mi dał do przechowania, przesyłałem w domu do pudełeczka, a ozdobną fiolkę napełniłem własną multiwitaminą. Kiedy Amadeusz wyjechał, a mnie zabrakło witamin, zacząłem zażywać te przeznaczone dla staruszka...

- Niech je pan koniecznie przyniesie. Damy do analizy.

- Niestety. Dzisiaj połknąłem właśnie ostatnią.

Małgorzata Kondras - Jeszcze Jedna Pani Smith

Panna Judith Doyle siedziała w głębokim fotelu obitym miękką skórą. Spokój, jaki zapanował po wyjściu ostatnich gości, ogarnął wszystko. Czowała go wewnątrz, niezdolna do wykonania najmniejszego nawet ruchu. Pomyślała niedorzecznie, że nigdy już nie zdobędzie się na żadne decyzję. Wszechpotężna pustka napawała ją przygnębieniem. Dotąd nie przeżywała podobnych stanów. Nie wiedziała, jak się bronić. Słyszała o depresjach i załamaniach nerwowych, obserwowała je u innych, ale sama uważała się za odporną na wahania nastrojów. Pokonała tyle przeciwności losu, zdobyła wreszcie upragniony sukces i... Nie tylko nie umie się cieszyć, ale wprost przeciwnie - zrozumiała, co znaczy być bankrutem życiowym. Tak jej się przynajmniej teraz zdawało. Nie umiała znaleźć w sobie żadnej myśli, która nie byłaby z jakichś względów wstrętą.

Wstała z fotela i zaczęła zbierać brudne szklanki, kilka zniosła do kuchni. Nie cierpiała zajęć domowych, a zmuszanie się do nich o tyle nie miało sensu, że rano przyjdzie Peny i jak zwykle wszystko wypucuje.

Znowu usiadła, patrzyła na czubki swoich złotych pantofli.

- Czy jestem elegancka? - myśl ta wydała jej się niedorzeczna. Nigdy nie miała czasu na zadawanie sobie takich pytań. Teraz raptem ma czasu zbyt wiele. Koledzy z instytutu przekonywali ją, że powinna gdzieś wyjechać, odpocząć. Czowała zmęczenie, ale nie miała najmniejszej ochoty znaleźć się znowu w Brighton, dokąd corocznie wyjeżdżała. Zawsze było tam sennie, ale zajęta obmyślaniami kolejnych etapów terapii, którą stworzyła, a potem udawaniem jej słuszności - nie nudziła się. Teraz, kiedy aurograf został zbudowany i udało się zanalizować bioplazmę - mogła wreszcie odpocząć. Spostrzegła jednak, że nie wie, jak to się robi.

Nie wyjechała nigdzie. Po śniadaniu wychodziła z domu, wsiadała w jakikolwiek autobus i wysiadała w miejscu, które wydawało jej się ciekawe. W ten sposób poznała odległe dzielnice Londynu. Te minipodróż dostarczały niespodziewanych wrażeń. Odkrywała małe ogrody na tyłach posesji, targowiska wprost na ulicach zamykanych na ten czas dla ruchu kołowego, sklepy, w których sprzedawano towary po znacznie niższych cenach. Zaczęła przyglądać się ludziom z zainteresowaniem, jakiego dawniej dla obcych nie miała. Co robią? Jakie są ich dążenia? Czego pragną? Niespodziewanie znalazła odpowiedź na te pytania w tygodniku, o istnieniu którego wcześniej nie miała pojęcia. LONDON WEEKLY ADNIERTISER zawierał tysiące ogłoszeń ze wszystkich możliwych dziedzin życia. Było tu miejsce dla reklam dużych firm, i żadnych artykułów, wyłącznie drobne ogłoszenia.

Strony z ofertami lukratywnych interesów Judith pominęła, kupno-sprzedaż domów przejrzała. Znalazła dwie ciekawe propozycje, ale myśl o przeprowadzce sama w sobie była niemiła. Inaczej wyglądała sprawa samochodu. Od dawna uważała, że w pewnych okolicznościach byłby użyteczny...

Zaskakująca była obfitość ogłoszeń matrymonialnych. Czy możliwe, żeby ludzie w ten właśnie sposób dobierali sobie towarzyszy życia? Na co na przykład liczy ten dżentelmen w średnim wieku z letnim domem za miastem, jachtem i dwoma samochodami. Wymagania, jakie stawia potencjalnej partnerce, są bardzo skromne. Czy ma to zachęcić większą liczbę pań, spośród których uda się wybrać tę jedną jedyną?

Odłożyła gazetę i zamyśliła się nad własną sytuacją. Ma czterdzieści dwa lata, jak na uczoną jest niemal podlotkiem, ale jak na podlotka... Od czasów studenckiego romansu z Ralphem mężczyźni, których spotykała, nie odgrywali poważniejszej roli w jej życiu. Nie umiałaby nawet powiedzieć, czy można im

było coś konkretnego zarzucić. Po prostu nie zastanawiała się nad tym. Przytulny dom z suszącymi się pieluszkami nigdy nie był jej marzeniem i chociaż zdarzały się chwile dojmującego uczucia osamotnienia, na szczęście nie były zbyt częste. Na co dzień wystarczały luźne kontakty towarzyskie i te codzienne, wynikające z konieczności zawodowych. Koledzy pożenili się tak jakoś niepostrzeżenie. Mężczyźni małżeństwo pomaga w karierze zawodowej, kobiecie utrudnia ją. Wybrała słusznie, ale teraz... Nagła myśl żeby wyjść za mąż, wydała się jej absurdalna, chociaż... może tylko zabawna?

W następnym tygodniu kupiła znowu tę śmieszoną gazetę z ogłoszeniami. Ofert było mnóstwo. Starannie wyselekcjonowała pięć. Listy, jakie napisała do nieznanym, były suche, rzeczowe, pozbawione kokieterii. Mimo to wszyscy panowie wyrazili chęć poznania jej. Na początek wybrała pana Smitha, chociaż podejrzewała, że pospolite nazwisko jest fałszywe.

Mr Smith - bo tak się nazywał naprawdę - był adwokatem w najlepszej dzielnicy Londynu. Jego biuro mieściło się na pierwszym piętrze solidnego, starego domu. Kancelaria adwokacka była miejscem szczególnie odpowiednim na pierwsze spotkanie. Nie musieli się rozpoznawać po goździku w klapie ani czymś innym równie niepoważnym i krępującym w takich okolicznościach.

Spotkanie z panem Jonathanem Smithem wypadło nadspodziewanie dobrze. Po wyjściu z jego biura Judith miała wrażenie, jakby wydarzyło się coś bardzo ważnego, a byli jedynie umówieni na kolację w piątek. Czuła się podekscytowana i dla zmiany wrażeń postanowiła wpaść do instytutu, żeby zobaczyć jak postępują prace przy wyposażeniu nowego pawilonu. W dużej części sama finansowała to przedsięwzięcie, nie zaszkodzi więc zerknąć, jak przebiegają prace. Ciekawe, kiedy będzie mogła przystąpić do nowej serii badań.

- Świetnie wyglądasz w tym nowym płaszczu - przywitał ją Reginald.

Uśmiechnęła się zadowolona. Próbowiła przypomnieć sobie, czy kiedykolwiek słyszała komplementy na temat własnej elegancji. Pewnie tak, tylko nie pamięta. Te głupstwa zrobiły się nagle ważne.

- Przywieźli zamówione przez ciebie siatki. Nie wiem, gdzie je instalować. - Reginald przeszedł do spraw zawodowych.

- Ach, masz na myśli ekrany energobotyczne. Sama jeszcze nie wiem. To nowa koncepcja... Na razie zmagazynuj je po prostu w szafach.

Piątek od rana był słoneczny. Po wizycie u fryzjera Judith poszła na Bond Street i kupiła nową sukienkę z delikatnego jedwabiu. Pozorna prostota kroju sprytnie podkreślała zalety figury. Resztę dnia Judith spędziła na zajęciach, które innym kobietom wypełniają całe życie.

Spotkanie wypadło bardzo dobrze. Dawno i w niczym towarzystwie nie czuła się tak wyśmienicie.

- Czy zobaczymy się jeszcze? - spytał Jonathan zatrzymując samochód przed jej domem.

- Oczywiście - odpowiedziała. Była zaskoczona pytaniem. Mile spędzony wieczór w ogóle, a wypity szampan w szczególności usposobiały ją życzliwie do całego świata, w którym Mr Smith zaczynał zajmować coraz ważniejszą pozycję.

Wyłączył silnik i odwrócił się w jej stronę.

- Przez cały wieczór nie miałem odwagi wyznać pani...

- ...że jest pan żonaty? - roześmiała się.

- Byłem.

- Ależ to nie zbrodnia!

- Ale ja byłem żonaty już trzykrotnie.

- Widać lubi pan urozmaicone życie - Judith usiłowała zachować dobry humor, chociaż zaczęło to wymagać pewnego wysiłku.

- Ja się nigdy nie rozwiodłem...

- Chce pan przez to powiedzieć...

- Trzykrotnie owdowiałem.

- Bardzo mi przykro. To z pewnością były jakieś okropne wypadki?

- Nie. Żadna z moich żon nie uległa wypadkowi. Mam po prostu pecha. Czy mimo to będzie się pani ze mną widywała?

- Tak - odpowiedziała pospiesznie. Czuła jednak, że w jej głosie można wyczuć rezerwę. Była za to na siebie zła. Nie należy przecież do przesądnych.

Spotkania z Jonathanem stawały się coraz częstsze, aż w końcu trudno było sobie wyobrazić dzień bez wspólnie zjedzonego obiadu czy pójścia gdzieś wieczorem. Judith była świadoma uzależnienia, w jakie popada, i część jej natury - ta najbardziej samodzielna - buntowała się przeciwko jakimkolwiek więzom, nawet jeżeli były przyjemne. Coś ostrzegało ją przed podjęciem pochopnej decyzji.

Wreszcie nadszedł dzień, kiedy Jonathan oświadczył się, a ona nie potrafiła dać mu odpowiedzi.

Zdawał się wyczuwać jej obawy i chyba specjalnie wracał do tematu swoich poprzednich małżeństw.

- Moją pierwszą miłością była Alice Barclay - powiedział, a Judith pomyślała, że oto po raz pierwszy złapała go na kłamstwie. Poprzednio wymieniał Alice jako drugą swoją żonę. - Była śliczna, miała osiemnaście lat, a ja właśnie skończyłem prawo. Chciałem się z nią ożenić, ale jej rodzina nie chciała o tym słyszeć. Byli spokrewnieni z arystokracją, co wystarczyło, żeby nie oddawać córki jakiemuś Smithowi.

Praktykę adwokacką rozpocząłem u Samuela Browna, który wtedy był już poważnie chory. Kiedy umarł w sześć miesięcy później, byłem zmuszony do samodzielnego poprowadzenia kancelarii. Wkrótce ożeniłem się z wdową po szefie. Mimo sporej różnicy wieku nasze małżeństwo należało do udanych. Żona, starsza ode mnie o dwanaście lat, była kobietą dobrą, wyrozumiałą i pogodną. Zmarła, tak jak jej pierwszy mąż, na raka płuc. Szczerze jej żałowałem.

Zacząłem znowu spotykać się z Alice. Odkąd stałem się człowiekiem zamożnym, moje nazwisko przestało tak bardzo razić jej rodzinę i wkrótce odbył się ślub. Małżeństwo nasze trwało pięć lat.

- Co było przyczyną jej śmierci?

- Serce. Miała jakąś wrodzoną wadę. Lekarze byli zdania, że nic poważnego, a jednak... Trzecia była Lilian. Poznałem ją w swoim biurze, kiedy przyszła ze sprawą rozwodowa.

- Byłeś już wdowcem?

- Nie... Ale Alice nie wstawiała już z łóżka. Chcesz wiedzieć, czy nawiązałem romans z Lilian za życia żony? Tak, ale ona nic o tym nie wiedziała, nie mogło to więc wpłynąć na pogorszenie jej stanu.

Lilian była młodą, uroczą osobką, która wyszła za mąż za starca dla jego pieniędzy.. Skąpstwo męża było jednak zbyt uciążliwe, postanowiła więc rozwieść się, a ja pomogłem w załatwieniu spraw finansowych. Zamiast alimentów otrzymała jednorazowo bardzo pokaźną sumę.

Judith wiedziała, co powinna zrobić, chociaż już sama myśl o tym była nieprzyjemna. A jednak - zanim powie „tak”, musi wyjaśnić pewne okoliczności... Wszystko przecież, co wiedziała o Jonathanie, pochodziło z informacji, jakich sam jej udzielił. Czy potrafi być detektywem w sprawie obchodzącej ją tak blisko? Niewdzięczna rola, ale pozostawienie choćby cienia wątpliwości może zaważyć na całym ich życiu.

Postanowiła zacząć od rodziny Alice.

- Lady Barclay przyjmie panią - zaanonsowała starsza kobieta w białym, wykrochmalonym fartuszk. Wyglądała jak żywa ilustracja dawnych, dobrych lat.

Judith weszła do obszernego, zimnego salonu. Przy wygasłym kominku siedziała staruszka opatulona pledem.

- Siądź tak, żebym cię mogła dobrze widzieć, moje dziecko.

Judith posłusznie ustawiła krzesło naprzeciwko leciwej damy.

- Sally powiedziała, że chcesz ze mną porozmawiać o Alice. Znałaś ją?
- Nie miałam tej przyjemności.
- Gdyby żyła, byłaby w twoim wieku, jak sądzę.
- Umarła na serce?
- Nonsens.
- Jak to?
- On ją zabił. Nie wiem, jak to zrobił, że policja niczego nie wykryła, ale to on!
- Ma pani na myśli męża Alice?
- A kogożby innego? On zamordował również pierwszą żonę, a potem i trzecią.
- W jaki sposób?
- Ba! Żebym to wiedziała.
- A co mówili lekarze?
- Oni nic nie umieją. Czy wiesz, że nie potrafią wyleczyć mnie z reumatyzmu?

Wizyta u starszej pani nie była całkiem bezowocna. Judith uzyskała adres lekarza, który opiekował się Alice. Potwierdził tylko wcześniej wydane orzeczenie. Nie było najmniejszych podstaw, aby przypuszczać, że śmierć nie nastąpiła z powodu naturalnej niewydolności serca. Stan pacjentki systematycznie się pogarszała i procesu tego nie można było zatrzymać.

W przypadku pierwszej pani Smith sprawa była jeszcze bardziej oczywista. Zmarła w szpitalu i nie było żadnych wątpliwości co do przyczyn zgonu.

W parę dni później Judith odszukała miejsce, w którym umarła Lilian.

- W końcu dwudziestego wieku, w świetnym londyńskim szpitalu młoda kobieta umiera na zapalenie płuc. Czy to nie dziwne, doktorze? - Judith nie mogła powstrzymać się od tej uwagi.

- Medycyna zna masę dziwniejszych przypadków, zapewniam panią - powiedział chłodno doktor Fabrin. Pacjentka chorowała dwa tygodnie w domu, zanim została przywieziona. Nie umiem powiedzieć, kto ponosi za to winę. Słyszałem, że wzbraniała się przed przyjazdem tutaj. W naszym szpitalu zrobiono wszystko, żeby ją uratować. Może pani porozmawiać z siostrą Dianą. Opiekowała się panią Smith do końca, a prócz tego znały się wcześniej.

- Byłyśmy zaprzyjaźnione jeszcze za czasów szkolnych. Pani ją znała? - Diana przyglądała się Judith uważnie.

- Nie...

- Lilian skończyła szkołę pielęgniarstwa razem ze mną i od razu dostała pracę w domu bardzo bogatego człowieka. Opiekowała się nim tak dobrze, że kiedy wyzdrowiał, zaproponował jej małżeństwo.

- Słyszałam, że był dużo starszy.

- Mógł być jej dziadkiem, ale majątek miał naprawdę ładny!

- Jak układał się ich związek?

- Stary okazał się skąpcem, ale Lilian zawsze miała szczęście: spotkała wkrótce wspaniałego człowieka. Diana spostrzegła, że słowo „szczęście” zabrzmiało niefortunnie zważywszy późniejsze wypadki. - Przynajmniej wtedy tak to wyglądało - poprawiła się.

- Drugie małżeństwo było udane?

- Ona nie umiała się cieszyć. Wie pani, co mam na myśli? Należała do ludzi wiecznie z czegoś niezadowolonych. Po rozwodzie stała się kobietą bogatą. Mogła sobie na wszystko pozwolić. Wysłała ponownie za mąż za człowieka też bogatego, z pozycją. Poznałam pana Smitha i powiem pani szczerze, że byłabym szczęśliwa, gdyby mną zainteresował się ktoś taki.

- A ona?

- Malkontentka, nigdy nie wiedziała czego chce.

- Narzekała na męża?
- I tak, i nie. Nic konkretnego nie umiała mu zarzucić.
- Zwierzała się podczas choroby?
- Miała wysoką gorączkę, majaczyła.

Winien czy nie winien? - Judith Doyle musiała wydać werdykt, który zadecyduje o jej własnym losie. Faktami obciążającymi Jonathana były zgony trzech jego żon. Każda z nich zostawiła mu znaczną sumę pieniędzy. Nic jednak nie wskazywało na zamierzone działanie z jego strony. Uznała, że jedynie niepomysłny zbieg okoliczności tak właśnie ułożył losy tych kobiet. Zrobiła wszystko dla wyświelenia sprawy przedwczesnej śmierci trzech pań Smith i śledztwo uznała za zamknięte.

W instytucie zakończono urządzenie nowego laboratorium, mogła więc znowu zająć się pracą naukową, ale trochę z tym zwlekała. Długie wiosenne dni nie zachęcały do przebywania w murach. Jonathan często zabierał ją na wycieczki za miasto. Podejrzewała, że w biurze nie bardzo ma co robić. Siedzi tam raczej z przyzwyczajenia niż dla zarobku. Jego sekretarka nie udawała nawet, że cokolwiek załatwia.

Ślub odbył się bez zbędnych ceremonii. Zaprosili kilka osób na kolację do pobliskiej restauracji - to wszystko.

- Czy jesteś przywiązany do tego domu? - spytała Judith mniej więcej po tygodniu.
- Nie podoba ci się tu?
- Tego bym nie powiedziała. Nie wiem, jak to określić... Czuję się w nim trochę nieswojo. - Zastanawiała się, czy w tym właśnie domu chorowały wszystkie poprzednie żony Jonathana. Jakoś nigdy o to nie zapytała, a teraz moment był nieodpowiedni.

- Wolisz, żebyśmy zamieszkali w twoim mieszkaniu?

!- Niestety, jest za ciasne.

- W takim razie sprzedam dom i kupimy inny. - Ton jego głosu zabrzmiał niespodziewanie obco, chociaż wypowiedziane słowa świadczyły o najlepszych intencjach.

Wybieranie domu, potem konferencja z dekoratorem wnętrz, wreszcie urządzenie - wszystko razem zajęło dwa tygodnie. Pod koniec Judith była zmęczona tymi sprawami i zdała się całkowicie na męża, a sama wróciła do spraw zawodowych.

Nowy aparat wzmacniający promieniowanie bioplazmy pracował wyśmienicie. Można było przystąpić do rozszczepienia wiązki fal i określić zakres i ukierunkowanie aktywności biogenetycznej organizmu. Doktor Doyle-Smith przystąpiła do następnego etapu: próby ekranizowania i selekcji fal. Zadanie było trudniejsze, niż przypuszczała. Emanacja aury praktycznie nie pozwalała zatrzymać się żadnej zaporze. Siatka z drutu srebrnochromowego zatrzymywała znikomą tylko część fal.

Judith wracała z instytutu późno i długo w nocy nie mogła zasnąć. Nowy dom też miał w sobie jakąś nieprzyjemną atmosferę. Ciekawa była, czy i Jonathan ją odczuwa.

- Wiesz - powiedziała - nie znam źródła niepokoju, który ogarnia mnie zupełnie bez powodu. Śmieszne, prawda?

Mąż spojrzał na nią znad okularów. Odłożył książkę.

- Rzeczywiście dziwne - przyznał. - Może niesłusznie łączysz niepokój z domem. Ja, na przykład, miałem nieprzyjemny dzień, mam więc powód do niezadowolenia, ale ty... Zastanów się, czy nie gnębi cię jakaś sprawa.

- Nie, z całą pewnością, ale odkąd tu mieszkamy nieustannie jestem pod wpływem jakiegoś stresu i nie mogę wykryć jego przyczyny.

- W takim razie jeszcze raz sprzedajmy dom.

- Jesteś wspaniałomyślny. Spróbuję jednak przywyknąć. Co nieprzyjemnego spotkało cię dzisiaj?

- Nie warto roztrząsać.
- Jesteś pewien, że nie potrzebujesz mojej rady?
- Przecież to ja jestem adwokatem, no nie? - roześmiał się.

Chciała okazać mu swoją bliskość, lojalność, ale on poprawił okulary i wrócił do przerwanej lektury, zajęła się więc swoimi sprawami. Nie mogła jednak skupić myśli. Oczywiście! Że też wcześniej nie wpadła na tak prosty pomysł. Trzeba zaprosić Reginalda z jego różdżkarskimi przyrządami. Niech przebada dom, wyznaczy korzystne i niekorzystne obszary. Od tego należało zacząć, a potem dopiero rozmawiać z dekoratorem. Teraz najprawdopodobniej wszystko trzeba będzie przemeblować.

Postanowiła, że umówi się z Reginaldem na czwartek. Tego dnia Jonathan ma zwyczaj do późna przebywać w klubie i nie będzie im przeszkadzał.

- Jeszcze tak zdrowego domu nie spotkałem - powiedział różdżkarz po skończonej pracy.
- Ocaliłeś mi życie - powiedziała Judith wesoło. - Sugestia działa cuda. Z chwilą kiedy uznałeś dom za zdrowy, od razu poczułam się dobrze, jak nigdy przedtem. Czego się napijesz, whisky?
- Masz może wino?
- Wino? Oczywiście, ale czekaj, mam przecież szampana.
- To chyba przesada - zaproponował słabo Reginald.
- Wcale nie. Jest nawet zimny. Nic tak nie ogrzewa atmosfery, jak zimny szampan. Czy wiesz, że jest to pierwszy wieczór od paru tygodni, kiedy nie odczuwam ucisku w dołku. Nieustannie byłam zdenerwowana. Myślałam, że już mam wrzód żołądka.
- Byłaś u lekarza?
- Nie. Teraz już nie trzeba; jakby ktoś zdjął czary.
- Jeśli ty tak mówisz...

- Czyż nie zajmujemy się oboje tym, co do niedawna uważano za zabobony?

Ale czary niestety wróciły. Irracjonalne poczucie zagrożenia, napięcia i zdenerwowania, opuszczało Judith tylko na krótkie chwile, kiedy była w instytucie. Praca w domu wieczorami stała się niemożliwa. Lekarz potwierdził jej obawy.

- Musi pani unikać stresów - powiedział. - Czy jest jakiś powód do częstego zdenerwowania?
- Nie. Denerwuję się bez powodu - przyznała.

Przepisane środki uspokajające nie pomagały. Bezsensowność i ciągłe skurcze żołądka nie dawały jej spokoju.

- Nigdy tak naprawdę nie chorowałam, stąd pewnie wyolbrzymiam dolegliwości - usiłowała sobie tłumaczyć, ale czuła, że z każdym tygodniem siły ją opuszczają. Zdarzały się dni, w które w ogóle nie mogła jechać do instytutu. Coraz trudniej było jasno formułować myśli, podejmować zawodowe decyzje.

Miała przed sobą rozłożone wyniki ostatnich badań i nie potrafiła się skupić nad ich oceną. Za oknem jesienne liście przylepiały się do parkowej ławki. Deszcz nie przestawał padać od rana. Stała przed mokrą szybą, patrzyła na znajomy widok nic nie widzącymi oczami. - Czy moje małżeństwo jest udane? - Zadała sobie półgłosem pytanie. Wiedziała, że od dawna powinna na nie odpowiedzieć, ale zwlekała. Jednoznacznej odpowiedzi nie było. Jonathan zmienił się trochę, ale czy można mieć do niego pretensję, że nie jest dość czarujący? Ona pewnie też daje powody do rozczarowania, ciągle zajęta sprawami zawodowymi... Właśnie, sprawy zawodowe. Czy Jonathan ma w ogóle jakieś? Przesiadanie w biurze nie oznacza pracy. Unika rozmów na ten temat, wyraźnie go drażnią. Często bywa napięty lub nawet... wrogi. „Wrogość”, tak, to najodpowiedniejsze określenie jego postawy.

Teraz dopiero uświadomiła sobie, że tego roku trzy razy zmieniały się jego sekretarki. Co je zrażało? Brak zajęcia? Nuda? Dziewczęta zawsze coś sobie wynajdują: malują się albo czytają romanse, a sekretarki mecenasa Smitha były dobrze opłacane.

Judith wiedziała, co należało zrobić, ale ciągle nie mogła podjąć decyzji. Jonathan z pewnością stanowczo odmówił udziału w eksperymencie. A zainstalowanie aparatury bez jego wiedzy byłoby nie w porządku. Myśl ta jednak nie dawała jej spokoju. Mąż jako „ciekawy przypadek” zaprzętał jej umysł. Zbadanie jego aury byłoby nadzwyczaj interesujące.

Przeprowadziła ostrożną rozmowę, która tak, jak się spodziewała, do niczego nie doprowadziła. Jonathan odmówił uprzejmie, ale stanowczo.

- Jaki zakres ma KX-84? - spytała Reginalda nazajutrz.
- Dziesięć metrów bezwzględnej przestrzeni.
- Myślisz, że można by zainstalować go u mnie w domu?
- Chcesz skompletować sobie podręczne laboratorium?
- Na razie tylko to urządzenie podłączone do końcówki komputera, którą mam w gabinecie.
- Kiedy chcesz, żebym ci zamontował rejestrator?
- Może w czwartek.
- Zgoda.

- Jako dekorator też jesteś świetny - pochwaliła Reginalda Judith. - Nie wpadłabym na pomysł, żeby włączyć KX-84 w aparaturę radiowo-telewizyjną. Zrobiłeś to znakomicie. Konia z rzędem temu, kto go tu odnajdzie. Ale czy nie nastąpią jakieś wzajemne zakłócenia?

- Nie powinny. Częstotliwości są całkiem różne. Pracowałam przecież na tym rejestratorze wśród masy innych urządzeń.

- Czy zgodzisz się na wypróbowanie?
- Oczywiście. Gdzie mam usiąść?
- O, tu, w tym fotelu i włącz telewizor.

Judith wyszła do swojego gabinetu. Usiadła przed pulpitem z klawiaturą i monitorem. Przycisnęła kilka klawiszy. Na ekranie ukazała się postać Reginalda w aureoli otaczającej go aury. Włączyła program i czekała przez moment. Ekran zapełnił się symbolami stanów psychicznych i cyframi oznaczającymi ich intensywność. Judith była zadowolona, wyłączyła aparaturę i wróciła do salonu.

- Jak poszło?
- Świetnie. Jesteś człowiekiem pogodnym, bez cienia trosk.
- A więc przebywanie ze mną to prawdziwy relaks, czyż nie?
- Pozazdrościć twojej żonie.
- Nie jestem już żonaty.
- Nie chcesz chyba powiedzieć, że ona...
- Rozwiedliśmy się.
- To dobrze.
- Dlaczego?

- Dobrze, że nie jesteś wdowcem - powiedziała Judith w zamyśleniu. Po chwili dodała: - Zaraz zrobię kolację.

- Niestety, muszę już iść. Może innym razem.

Nic tak skutecznie nie tłumi protestów sumienia, jak odnoszenie korzyści. Judith szybko zapomniała o swoich skrupałach, kiedy komputer potwierdził jej przypuszczenia. Jonathan rzeczywiście emanował promieniowanie omega o niezwykłym natężeniu. Zastanawiające, jak udawało mu się maskować wrodzoną wrogość w pierwszych kontaktach z ludźmi. Może niezycżliwość, którą wszystkich permanentnie obdarza, daje się jednak sterować? Szkoda, że nie można z nim na ten temat porozmawiać. Znała jego drażliwość i wiedziała, że jest to absolutnie wykluczone. Nigdy nie dowie się, na ile on sam uświadamia sobie własną agresywność. Jest niewątpliwie człowiekiem opanowanym i jako taki ma się

za wzór gentlemana.

Długo i starannie opracowywała wyniki badań bioaury Jonathana, zanim pokazała je neurochirurgowi, z którym stale współpracowała.

- Czy jest pani pewna bezbłędności tych liczb?

- Najzupełniej. Sprawdziałam wielokrotnie, aparat testowałam w innych doświadczeniach. W tym konkretnym przypadku promieniowanie omega oscyluje stale w górnej strefie.

- Domyśla się więc pani, kim może być ten osobnik dla otoczenia.

- Można go przyrównać do człowieka prątkującego.

- Tak, tylko w tym przypadku jego powierzchownie tłumiona agresywność pozornie na każdego działa inaczej, a faktycznie dotyka najsłabszych punktów w organizmie osób z nim przebywających. Ma broń, którą może popełniać morderstwa doskonałe. Każda z jego ofiar umrze na inną chorobę i w sposób pozornie zupełnie naturalny.

- Jak się bronić?

Równie dobrze mogę zapytać o to panią. O ile wiem, to ani prawo, ani medycyna nie zna środków zaradczych, bo społeczeństwo nie jest świadome takiego zagrożenia. Pani je odkryła, jest to więc pani problemem.

Był to problem bardziej osobisty niż doktor Fox mógł przypuszczać. Nie może przecież ogłosić, że poślubiła potwora. Nie wynikłoby z tego nic prócz kompromitacji. W tej sytuacji rozwód był wyjściem stosunkowo najprostszym, miałyby działanie doraźne, odsunęłaby od siebie niebezpieczeństwo... Ale czy wolno jej tak postąpić? Jest jedyną osobą, która zna całą prawdę. Gdyby się jej udało przekonać Jonathana... Nad uczuciami można zapanować, chociaż wymaga to hartu woli. Skrytą wrogość pielęgnował w sobie od lat jako jedyną obronę przed każdym potencjalnym nieprzyjacielem: Jest człowiekiem niesłuchanie wrażliwym i dotknąć może go absolutnie wszystko. Wolał więc zawczasu unicestwić ewentualne próby ataku. Nie uświadamiał sobie tego oczywiście. Byłby wstrząśnięty i dotknięty do żywego takimi zarzutami. Co robić?

Dni mijały, a Judith nie podejmowała decyzji. Czuła się coraz gorzej. W instytucie nie była od - niesiada. Pracowała w domu. Jej gabinet przekształcił się w laboratorium, do którego mąż nie zaglądał nigdy.

Nie interesował się niczym, co go bezpośrednio nie dotyczyło. Pogarszający się stan zdrowia żony przyjmował ze spokojem. Okazywał zniecierpliwienie tylko w momentach, kiedy sytuacja zmuszała go do zmiany rozkładu zajęć, czy zrezygnowania z jakiejś przyjemności. Chciała rozmawiać z nim na temat swojej pracy, żeby później skłonić ewentualnie do współpracy. Może udałoby się opanować jakoś promieniowanie omega. Nie chciał jednak słuchać. Zbył ją żartami:

- Wiem przecież kochanie, że ożeniłem się z mądrą kobietą, nie musisz mi tego udowadniać.

Wysiłki zmierzające do porozumienia spełzły na niczym. Jedynym ratunkiem było opracowanie jakiegoś systemu obronnego.

Kazała przywieźć zamówione dla instytutu ekrany i porozmieszczała je w domu. Częste ataki bólów żołądka przerywały pracę nad testowaniem zapór. Wyniki były stale negatywne. Czuła się coraz słabsza, ale odmawiała pójścia do szpitala. Podjęła wyścig z czasem. Nie chodziło przecież o podleczenie wrzodów, a o zlikwidowanie źródła choroby.

Siedziała w swoim gabinecie przed pulpitem z monitorem i „podglądała” Jonathana oglądającego w drugim pokoju program telewizyjny. Rejestrator aury ukazywał na ekranie tylko zarys jego ciała w wiązce rozchodzących się promieni i... Nareszcie! Ekran VB-32 ukryty za chińskim parawanem zatrzymywał część widma. Na ekranie monitora dawało to efekt jak odbicie światła o wypolerowaną powierzchnię. Włączyła program analityczny. Promieniowanie omega rzeczywiście odbijało się od zapory. Dotknęła

wyłącznika komputera i wtedy nagle poczuła przeszywający ból, usłyszała własny krzyk i wszystko utonęło w ciemnościach.

Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła nad sobą obcą twarz wyłaniającą się z bieli. Spróbowała podnieść głowę, ale okazało się to niemożliwe.

- Jak się pani czuje? - usłyszała.

- Źle. Co się stało?

- Miała pani operację żołądka. Teraz będzie już dobrze.

Zamknęła powieki. - A więc jednak do tego doszło!

Pani Smith wolno wracała do zdrowia i należało się cieszyć, że nikt jej nie niepokoił odwiedzinami.

Pierwsze wizytę złożył Reginald.

- Świetnie wyglądasz - powiedział i zdawało się, że na tym wyczerpał repertuar albo nie znajduje słów, żeby wykrztusić to, z czym przyszedł.

- Czy coś się stało w laboratorium?

- Nie. - Milczenie zaczynało być nieznośne. Po dwóch może minutach zdecydował się dodać: - Dlaczego właśnie ja muszę ci o tym powiedzieć?

- Nie przyszedłeś chyba, żeby mnie dręczyć nieudomówieniami?

- Przepraszam. Przypadło mi w udziale... Chciałem powiedzieć, że twój mąż uległ wypadkowi.

- I?

- Znalaziono go przed włączonym telewizorem... Sekcja zwłok wykaże, co było przyczyną.

Małgorzata Kondras - Wszystkie Zgubione Przedmioty

Lubię swoje mieszkanie, chociaż sąsiedzi z góry niekiedy nie pozwalają mi zasnąć do późna w nocy, a ci z prawej budzą o świcie. Ale jedni i drudzy nie robią tego złośliwie i w końcu na tyle rzadko, że nie ma o czym mówić. Innych mankamentów mój dom nie ma... znowu rzecz rozpatrując raczej ogólnie... Tak czy siak mieszkam tu dość długo i wcale nie miałabym ochoty na zmianę, mimo tych nieprzyjemnych wypadków, jakie ostatnio miały miejsce.

Zaczęły ginąć różne drobne przedmioty. Od razu chcę wyjaśnić, że mieszkam sama, nikt prawie mnie nie odwiedza i nigdy nie było żadnego włamania. Zaginione drobiazgi do cennych nie należały, najczęściej miały wartość tylko dla mnie. Komu i na co przydałby się pusty flakonik po perfumach? Jedyne wspomnienia nadawały mu pewną sentymentalną wartość. Był malutki, mieścił się w dłoni... Tomik z biało-czarnymi reprodukcjami sztuki średniowiecznej też z pewnością nie mógł być cenny. Zawierał jednak dwa fascynujące obrazy przedstawiające ten sam zamek: raz w pełnej świetności, wśród kwiatów i bawiących się dzieci, a na sąsiedniej stronie skuty lodem w pochmurny, zimowy dzień. Niezwykły kontrast robił wstrząsające wrażenie. Niestety, książeczka znikła. Znikały też bluzki, spódnice. Niekiedy odnajdowałam je na dnie szafy lub głęboko w pawlaczu, ale coraz częściej różne przedmioty ginęły bezpowrotnie.

Wiem, co można o mnie pomyśleć, że jestem bałaganiara i po prostu nie pamiętam, gdzie co wetknęłam. To też, ale nie tylko. Zdarzyło się na przykład zniknięcie słoika z dżemem. Drobiazg niby, ale denerwujący - przeszukałam całą kuchnię na darmo. Usiłowałam tłumaczyć sobie, że nie pamiętam, jak wyglądał i myślę go z innymi, chociaż ta argumentacja wcale mnie nie przekonywała. Jeszcze gorzej wyglądała sprawa porcelanowego talerzyka, jedyne, jaki pozostał ze ślubnej wyprawy mamy. Stanowczo nie mogłam pomylić go z jakimkolwiek innym. Strata sprawiła mi prawdziwą przykrość.

- Czy jesteś pewna, że go nie stłukłaś? - zapytała Wiesia, której zwierzyłam się ze swoich kłopotów.

- Masz mnie za wariatkę?

- Ależ nie! - zaprzeczyła zbyt gorliwie, czym posiała ziarno niepewności. Nie chodziło już o talerzyk, byłam pewna, że go nie stłukłam. Ale niewykluczone, że z moją głową coś jest jednak nie w porządku.

Od tamtego czasu zaczęłam być ostrożniejsza w opowiadaniu o dziwnym zachowaniu przedmiotów w moim domu. One zdawały się wykorzystywać tę słabość i płały mi coraz częstsze figle. Najgorzej było wieczorem, przedmioty potrafiły zniknąć z oczu, nie czekając nawet aż odwrócę wzrok.

Pierwszy taki przypadek zdarzył się po następnej wizycie u Wiesi. Wróciłam zmęczona, usiadłam, żeby rozsznurować buty. Spojrzałam na stojący na półce budzik. Wskazywał wpół do dziesiątej. Byłam zdziwiona, że jest już tak późno. Chciałam porównać godzinę z zegarkiem na rękę, a kiedy ponownie podniosłam oczy, budzika na półce nie było... Uporczywie wpatrywałam się w puste miejsce. Czułam jakieś nieznośne osaczenie i niemoc wewnętrzną nie pozwalającą na działanie mimo zagrożenia. Nie wiem, jak długo siedziałam, zanim odzyskałam władzę w nogach. Wstałam, podeszłam do półki i pomacałam miejsce, gdzie powinien stać budzik. Nie było go tam ponad wszelką wątpliwość, tam ani gdzie indziej. Przeszukałam całe mieszkanie. Próbowałam tłumaczyć sobie, że jestem zmęczona i uległam halucynacji, nie jestem przecież obłąkana. Budzik miałam od wielu lat, nie mógł się raptem zdematerializować. Nie wiem czemu, ale koniecznie pragnęłam, żeby ktoś potwierdził faktyczne istnienie budzika. Zadzwoiłam do Aldony.

- Przypominasz sobie mój budzik? - spytałam.

- To jakiś żart?

- Nie. Chodzi mi o to, żebyś sobie przypomniała, jak wyglądał mój budzik, który stał na półce...

- Wybacz, ale masz dziwne pomysły. Skąd ja mogę pamiętać takie drobiazgi. Czy ty się dobrze czujesz?

Zapewniłam, że tak i odłożyłam słuchawkę.

Moje mieszkanie składa się z dwóch małych pokoików, łazienki i minikuchenki. Od początku dbałam, żeby nie zagrzać tej niewie.Kiej przestrzeni, ale z biegiem lat przedmiotów przybywało, a mieszkanie zyskiwało na przytulności. Teraz zaczął się proces odwrotny: ubywało książek, filiżanek, wazoników, a ostatnio opuścił mnie nawet taboret. Nie był specjalnie potrzebny. Kąt, który zajmował, wykorzystałam na umieszczenie wazonu z dużym bukietem wysuszonych w lecie kwiatów.

Afronty, jakie mnie spotykały ze strony przedmiotów, usiłowałam przyjmować z godnością, ale coraz częściej bywałam poirytowana. Moje rozdrażnienie zaczęło być wyraźne. Stawałam się osobą nietolerancyjną, łatwo wpadałam w złość, której nie mogłam opanować.

- Tak dłużej nie można.- powiedziała Aldona któregoś wieczoru, kiedy zaprosiłam ją na herbatę i miałam nadzieję, że zachowuję się zupełnie jak dawniej.

- Co masz na myśli? - spytałam ostrożnie.

- Twoje ciągłe rozdrażnienie.

- Przepraszam.

- Daj spokój konwenansom. Niepokoi mnie twoje zdrowie.

Milczałam. Miałam nadzieję, że nie ma na myśli mojego zdrowia psychicznego. Ona jednak była nieubłagana:

- Coś cię gnębi - powiedziała - i jeżeli nie potrafisz poradzić sobie z tym w porę, możesz mieć poważne kłopoty.

- Myślisz, że jestem wariatką?! - Znowu nie udało mi się opanować.

- Myślę, że powinnaś wyjechać.

- Wyjechać?! - Ucieszyłam się. Taka terapia bardzo mi odpowiadała. Ale ona przecież nic prawie nie wie o powodach mojego stanu psychicznego, dlatego rada może okazać się nieskuteczna. Dlaczego by jednak nie opowiedzieć jej wszystkiego od początku, jest przecież psychologiem...

Po wysłuchaniu mojej opowieści Aldona podtrzymała swoją receptę. Ustaliłyśmy, że postaram się wyjechać w jakąś dłuższą podróż.

- Ale wytłumacz mi jeszcze jedną rzecz - poprosiłam. - Jak sądzisz, czy ja te przedmioty chowam sama przed sobą, czy może wyobrażam sobie takie, których nigdy nie miałam?

- Tego nie wiem. Myślę, że po prostu z roztargnienia umieszczasz je w miejscach dla nich nie przewidzianych i nie możesz później znaleźć.

- No więc w końcu powinnam je znaleźć czy nie?

- Poznają się nieoczekiwanie: książki wbieliźniarce, a talerze wśród papierów...

- Proszę, zobacz, czy koszule mam między talerzami, a ręczniki wśród butów albo coś w tym rodzaju!

- Nie denerwuj się. Przecież mówiłam, że nie wiem. Jeżeli wykluczysz kradzieże...

- Nikt nie ma klucza do mieszkania, a poza tym one giną podczas mojej obecności. Znikają. Dematerializują się - rozumiesz!

W oczach Aldony widziałam niedowierzanie. Poczułam się bezsilna. Może rzeczywiście to tylko przywidzenia...

Następnego dnia przystąpiłam energicznie do załatwiania spraw związanych z wyjazdem. Miałam zupełnie wyjątkowe szczęście. Wycieczkę statkiem po Morzu Śródziemnym udało mi się wykupić w

biurze turystycznym bez żadnej łapówki. Paszportu też mi nie odmówiono. W dwa miesiące później zostawiłam Aldonie klucze do mieszkania, żeby podlewała kwiatki podczas mojej nieobecności i zabukowałam się na statek.

Pogodę mieliśmy bardzo ładną, dzięki czemu opanowałam dość szybko chorobę morską i czułam się całkiem dobrze. Długie godziny spędzałam na leżaku, nie myśląc o niczym. Ożywiałam się, kiedy przybijaliśmy do portu.

Zwiedzałam, co mogłam, ale dosyć chaotycznie. Patrzyłam na wszystko, nieświadoma najczęściej tego, co akurat oglądam. Później próbowałam porządkować wrażenia, ale bez przewodnika szło mi kiepsko. Pośród współpasażerów nie znalazłam nikogo zorientowanego w historii odwiedzanych przez nas miejsc. Do najczęściej spotykanych specjalności należała znajomość kursów walut i cen towarów. Zaniechałam więc prób systematyzowania tego, co oglądam i poddałam się samym tylko doznanom estetycznym.

Byłam chyba jedyną na statku osobą, której stan posiadanych przedmiotów nie ulegał żadnym wahaniom. Przez całą podróż nic nie kupiłam, ale również niczego nie zgubiłam, nawet spinki do włosów! Dziwne kłopoty z ginącymi rzeczami w moim mieszkaniu wydawały mi się odległe, nierealne. Miałam nadzieję, że jestem już inną osobą, której nic podobnego nie może się więcej przytrafić.

Z utęsknieniem zaczęłam czekać na powrót do domu. Nareszcie będę spała w łóżku, które stoi całkiem nieruchomo na twardym gruncie. Byłam pewna, że moje przywidzenia już nie wrócą. Nie umiem powiedzieć, na czym opierałam tę pewność, ale jasno zdawałam sobie sprawę ze swojego byłego stanu psychicznego. Aldona miała zupełną słuszość, że odpoczynek wyleczy mnie z urojeń.

Dom przywitał mnie gościnniej, niż mogłam marzyć. Dobre przecucia nie zawiodły. Znalazły się wszystkie zgubione przedmioty! Przynajmniej te wszystkie, o których pamiętałam: talerzyk - ostatni z serwisu, flakonik po perfumach; taboret stał nie wiem po co w łazience. Jeżeli chodzi o książkę z reprodukcjami, to radość była przedwczesna, brakowało w niej dwóch kartek, tych akurat z ulubionymi obrazami. Trudno, nie należy wymagać zbyt wiele. Cieszyłam się jak dziecko, chodziłam z kąta w kąt i stale odnajdowałam coś nowego, dawno zapomnianego. Wszystkie zgubione przedmioty leżały na swoich miejscach, nawet te sprzed lat. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Czułam, jakbym wróciła nie tyle do dawnego miejsca, co do dawnych czasów. Przedmioty, które poginęły mi dwa, trzy lata temu tkwiły tam gdzie być powinny. Mieszkanie znowu było przytulne, pełne książek, bibelotów i tego wszystkiego, co potrzebne oraz co się może przydać, chociaż nie wiadomo dokładnie kiedy ani komu. Byłam wręcz zakłopotana natłokiem nagromadzonych rzeczy, ale jakbym odmłodziła... Poczucie niedowierzania własnym zmysłom rozwiało się bez śladu, chociaż przy odrobinie zastanowienia sytuacja powinna mi się wydać równie nedorzeczna jak poprzednia. Nie myślałam jednak o tym, uradowana, że urojenia ze znikaniem przedmiotów same znikły i wszystko wróciło do normy.

Zgrzyt zamka w drzwiach zdziwił mnie w pierwszej chwili, zapomniałam bowiem, że klucz zostawiłam Aldonie, żeby mogła podlewać kwiatki.

- O! Jesteś! - Była też zaskoczona moją obecnością.
- Czas szybko mija. - Podeszłam i uściśnęłam ją.
- Czy aby nie za szybko? - Patrzyła na mnie ze źle ukrywaną podejrzliwością.

Nastawiłam czajnik na herbatę i zaczęłam opowiadać o podróży, ale ona nie słuchała, była jakaś roztargniona, może zła, jakby nie wierzyła moim słowom. Wreszcie przerwała mi brutalnie:

- Nie zmyślaj - powiedziała. - Przecież w ciągu trzech dni nie mogłaś opłynąć Europy.

Byłam zdumiona jej absurdalnym zarzutem.

- Obawiam się, Aldono, że tym razem z twoją głową coś jest nie w porządku - powiedziałam chłodno. Wyjęłam z torebki paszport i położyłam przed nią na stole. Możesz sprawdzić pieczętki, daty,

nazwy miejscowości powiedziałam. Poszłam do kuchni, żeby nalać herbaty. Kiedy wróciłam z tacą, Aldona siedziała tak, jak ją zostawiłam. Robiła wrażenie skamieniałej.

- Co się stało? - spytałam.

- Znikł - wyszeptała ledwie dosłyszalnie.

- Kto?

- Twój paszport. Wyciągnęłam po niego rękę, próbowałam uchwycić...